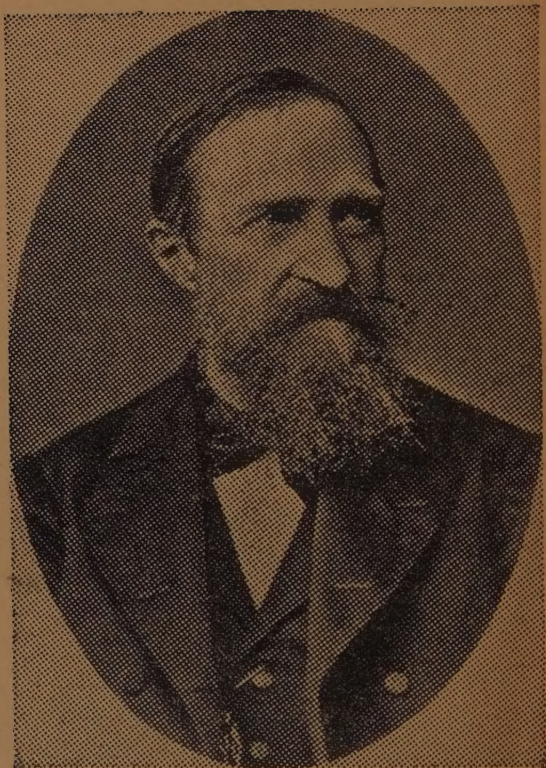


BIBLIOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

KRÓL CHŁOPÓW

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXVIII

J. I. KRASZEWSKI

KRÓL CHŁOPÓW

CZASY KAŻMIRZA WIELKIEGO

Prof. Dr. J. I. Kraszewski
CZĘŚĆ I



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225



PROLOG

W wielkiej, sklepionej sali krakowskiego zamku, na dole, mrok się już wieczorny rozpościerał. Wąskie okna, głęboko w mur wpuszczone, w większej części były gęstemi przysłonięte oponami, przez inne mało się już gasnącej światłości wkradało. Włoska lampka oliwna zapalona stała w kącie, ale słaby jej ogień ledwie małą przestrzeń ruchawym rozjaśniał promykiem. Cisza głęboka panowała w obszernej izbie, w przedsieniach; na podwórzach ledwie się co poruszało.

W kościele św. Wacława na zamku dzwoniono cicho, żałobnie na wieczorną modlitwę.

W jednym rogu sali, na szerokiem łożu, skórami i sukniami okrytem, widać było z ciemnego tła jedwabnych przykryć, na których spoczywała twarz wybladła, z oczyma zamkniętymi, jakby uspięnego człowieka lat podeszłych.

Z jednej strony łoża stał w czerni, w sukni duchownych, mężczyzna stary, wpatrzony w leżącego z brwiami ściągniętymi, z drugiej, na wielkiem siedzeniu, w pół klęczący, pochylony troskliwie, niespokojne oczy wlepiając w chorego, młodzieniec w kwiecie wieku, silny, piękny, rysów szlacheckich, pańskiego oblicza. Ręce trzymał załamane na kolanach.

Opodal nieco niewiasta, w długiej szarej obcisłej sukni, z zasłoną na głowie, z różańcem w ręku, modliła się, żywo paciorki przebierając palcami wychudłemi.

W nogach łoża z rękami do modlitwy złożonemi, cicho coś szepcząc, oczy wzniosłszy ku niebu, stał mnich w sukni białej, w płaszczu czarnym.

Na łożu tem wyczekiwał śmierci i wyzwolenia król, co przeszło pół wieku walczył dla połączenia w jedno roz-

szarpanego dziedzictwa Mieszka i Chrobrego — Władysław zwany Łokciem, mąż wielki małego ciała, a potężnej ducha siły.

Czuł on sam, widzieli wszyscy przybliżającą się ostatnią godzinę. Nie choroba, nie rany zwyciężyły go i obaliły: długi trud, niezmierne troski wyczerpały sił ostatek.

Gasnął powoli, bo życia ogień wypalił się w nim do dna. Umierał z tą mocą duszy, z jaką żył, mężny i spokojny; nie broniąc się śmierci, pożądając jej, zstępując do grobu z pociechą w sercu.

Nie dokonał wszystkiego, co zamierzał, ale niewiele brakło do spełnienia myśli jego, zrodzonej w dzieciństwie, wykołysanej życiem, dojrzałej w bojach... Myśl swą spuścizną zostawił synowi.

Mnich, stojący w nogach łoża, pobożny dominikanin Heljasz już był przejednał króla z Bogiem. Władysław dnia tego wolę swą objawił mężom dostojnym, ojczycom królestwa swego i pożegnał wszystkich; rozstał się z żoną, pobłogosławił syna, któremu Polskę oddawał, ziemianom zleciwszy jedyne dziecko.

Lekarz, kanonik Waclaw, przepowiadał bliski zgon; królowa Jadwiga, płacząc, powtarzała modlitwy za konających, lecz śmierć nie przychodziła jeszcze... Stary wojownik bronił się jej resztą potęgi w bojach mnogich nabytej.

Król tylko usypiać się zdawał. Oddech jego stawał się to przyspieszonym gorączkowo, to słabym tak, że go ledwie czuć było. Zapadłe powieki podnosiły się nagle, głowa poruszała, zaschłe usta otwierały, zbladłe oczy biegały po otaczających, i Łoktek chwilowo powracał do życia. Duch starego wojownika, jak przykuty do tego starganego wiekiem ciała, nie mógł się z niego wyzwolić.

Nadchodziła noc, po której wracający dzień już, wedle przepowiedni lekarza, króla nie miał zastać między żywymi. Medyk patrzył zdumiony i upokorzony, bo na tem łożu śmierci działał się cud — walka się odbywała nieprzewidywana, niewiadoma, nieznana mu, życie opierało się zniszczeniu.

Stojący nad chorym kanonik lekarz dał zlekka znak, aby mu spoczynku nie przerywano i sam począł na palcach chodzić. Cofnął się też, ujrawszy to, mnich Heljasz i królowa pocichu powolnie ku drzwiom zwróciła.

Król usypiał.

Wszyscy po dniu tym wzruszeń pełnym zapragnęli usunąć się do bocznej komnaty i tam czekać przebudzenia, gdyż jeszcze się go spodziewano. Jeden syn, pochylony przy ojcu, pozostał nieruchomy.

Na dany przez matkę znak potrząsnął głową, wskazał na ojcowskie łóż, dając łatwo zrozumieć, że chciał czuwać przy nim. Niedawno jeszcze z ust jego słyszał ostatnie wyrazy błogosławieństwa i przestrogi, niedawno brzmiały tu głosy zwolanych panów rady — królewicz-następca wzruszony był.

Do łóża konającego wiązała go miłość, wdzięczność i ta troska o jutro, która brzemieniem całej nieznaney przyszłości leżała na piersiach jego. Łzy kręciły mu się w oczach...

Złotą była korona, którą miał włożyć na młodocianą skroń, ale ciężką.

Zwolna wysunęli się wszyscy ku drzwiom bocznym, których zasłonę królowa podnieść kazała, aby na najmniejszy szelest, na zawołanie powrócić była gotową.

Nieruchomy, w tej półkłęzącej postawie królewicz został jak przykuty do siedzenia i łóża. Wzrok jego na bladej twarzy ojca spoczywał.

Plomyk lampki, który, podniósłszy się, żywszym rzucił blaskiem na rysy króla, dozwalał rozeznąć lekkie ust ściągnięcie i na powiekach wysilek i drganie. Dźwignęły się one z ciężkością, z głębin ich blado zaświeciły oczy. Zatrzymały się długo na synu, wargi zatrzęsły się, jakby je przewiew uśmiechu przebiegł bezsilny.

Kaźmirz jeszcze bardziej pochylił się do ojca.

Cud tego życia, przerywającego konanie, coraz był widoczniejszym, głowa zwróciła się ku ukochanemu dziecięciu. Oddech piersi stał się głośniejszym i głucho dobył się z nich głos:

— Kaźmirz.

— Jam jest! — odparł syn cicho.

— Jak za mgłą cię widzę — szepnął król wyraźniej nieco. — Wody! usta spięzone! — dodał, chcąc dobyć napróżno z pod przykrycia osłabłą rękę.

Wnet Kaźmirz pośpieszył z kubkiem rzeźwiącego napoju, stojącym tuż przy łóżu, i ostrożnie nachylił go do ust ojca, wlewając w nie płyn po kropli.

Usta się rozwarły nieco, trochę życia wstąpiło w twarz, której oczy nabrały blasku. Uśmiechnął się Łoktek.

— Noc? — zapytał cicho.

— Wieczór późny.

Król oczyma potoczył po komnacie, jakby się chciał przekonać, czy byli sami.

Chwilę trwało milczenie, pierś pracowała, aby się na głos zdobyć ostatni.

— Koronę — rzekł silniej. — Koronę niech ci, nie zwlekając, włożą, niech namaszczą. Bóg z nią daje moc. A potrzeba jej, aby utrzymać wszystko w jednej dłoni. Polskę całą, Kujawy, Mazowsze, Pomorze... Pomorza Niemcom nie ustąpić nigdy! Tamtędy droga w świat, jedyna, wolna, wkoło wrogi, bez niego więzienie...

Mówił, odpoczywając chwilami; Kaźmirz słuchał pochylony. Nie była to rzecz do niego zwrócona, lecz jakby mimowolnie snujących się myśli wyrazy, wpół do siebie, do Boga, do niego... Coś, jak marzenie, jak modlitwa...

— Mazowsze posłuszne, lenne być musi i twoje, pod prawem jednym — ciągnął dalej — Śląsko zgniłe, zaniemczone przepadło... przepadło!... Już mu nie odżyć, rdza niemiecka je zjadła...

Mówiąc to, przymknął powieki, ale natychmiast podniosły się znowu i usta dalej szeptały, dla syna tylko dosłyszalnym szmerem.

— Z siostrą, z Węgry musi być wieczne przymierze, za ręce trzymajcie się oboje... Pod Rzymem stać wiernie, pod Awinjonem, bo tam głowa nasza i siła. Papież mnie ratował, rozgrzeszył, dzwignął, wiele lat temu... Królestwo nasze pod Piotrową stolicą, hołd mu winniśmy...

Zamruczał coś niewyraźnie i poruszył się niespokojnie.

— Znajdziesz ludzi dobrej rady. Jaśko z Melsztyna, mąż prawy, Trepka wierny... Ziemianie, szczyty rycerstwa dobre, ale nie oni jedni... Jest ubogi lud, jest biedny chłop... to także ojczyce nasi. Pamiętaj! ja pomnę, gdym z błogosławieństwem miłościwego lata powrócił z tułactwa, sam, sam jeden, jak palec, nie miałem wówczas nikogo. Ziemianie nie chcieli mnie, zamiast rycerstwa szli ze mną chłopki z siekierami Polskę budować. Szli i bili się... a dopiero po nich przyszły szczyty, a na końcu barony i comites... Chłopkom wdzięcznym być!

Spojrzał na syna.

— O chłopkach pamiętaj!

Kaźmirz skłonił głowę.

— Tarczą im bądź i opieką, — szeptał król cicho — sędzią im bądź sprawiedliwym, obrońcą, oni mnie obronili...

— Z krzyżowcami niemieckimi nigdy pokoju... Przeciwko nim przymierze i pokój choćby z pogany! — mówił dalej niezrozumiale, głos mu drżał. — O! nigdy zgody z nimi! Kruki czarne, wilki żarłocze, wrogi wiekuiste... Z Pomorza ich wygnać potrzeba precz, lub oni tę koronę prędzej, później żelaznym klinem rozsada. O! z nimi nigdy pokoju... Z pogany się jednać lepiej, Litwie żoninej dać rękę, Ruś zagarnąć... Węgry zsojuszzone, nasze, Czech się grzywnami przejedna, daj mu ostatnią koszulę... choćby kielichy ze skarbców kościelnych, byle zjednać przeciw krzyżakom, wszystkich przeciw nim... Brandenburczyków głaskać, Ślązaków zagodzić... a Pomorze odbić, bo tchnąć nie będzie czem... Gościniec w świat nam zaprą i uduszą.

Spoczął nieco i dodał:

— Krwi się tam dużo poleje... będzie strumieniami ciekła... jak pod Płowcami...

Marszczki na czole króla wygładziły się, pogoda zwycięstwa opromieniła je na chwilę.

— Płowce! — powtórzył. — Płowce! Drugie Płowce przyjdą nieprędko, ale ja je widzę, widzę. Stosy chorągwi ich po ziemi się tarzają i trupów stosy w posoce.

Każmirz, klęczący przy łożu, aby mógł słyszeć lepiej, przychylił się tuż ku ustom ojcowskim.

Od przepowiedni tej serce mu zadrgało żywiej. Łoktek smutnie się uśmiechnął.

— Nie ty ich poskromisz... — dodał — nie, tobie nie dano! Ty gdzie indziej musisz szukać zwycięstwa.

— Ojciec mój, — ozwał się Kaźmirz, gdy stary zamilkł nieco — ojciec mój, ja nie mam miecza twojego, ani dłoni twej...

— Da ci Bóg, gdy będzie potrzeba, — przemówił król — nie miecz wojuje, ani ludzka dłoń, ale wola i opieka Boża. Spełni się wszystko, jak On postanowił. Ty, ty kleić i spajać musisz, co rozerwały wieki, żelazną wiązać obręczą... miłością ożenić, prawem zjednać...

Ostatnie słowa wyrzekł gorąco i znużony nagle mówić poprzestał. Ujrzał zdalą stojącą, z głową zwieszoną, królowę. Wpatrzył się w jej postać smutną i wejrzeniem żegnali się długo.

Jadwiga stała chwilę i, milczeniem króla odprawiona, odeszła. On mowę odzyskiwał tylko dla syna.

— Bóg z tobą — rzekł. — On dla mnie czynił cuda, On przeze mnie słabego i małego stworzył znów królestwo, które

do potęgi znów urosnąć... Dziś ta stara szata królewska poszarpana na skrajach: zszywać ją trzeba, odbierać obcięte kawaly, wojować, na straży stać i latać, aż płaszcz z niej będzie pański... Bóg wielki tworzy z niczego i przez małych.

Po krótkiem milczeniu szepnął cicho:

— Błogosławie!

Głos zamierać się zdawał, oczy się przymykały.

Nagle król dobył jeszcze głosu z piersi:

— Ojcie Heljaszu! — zawołał — Heljasz!

Mnich, który się spodziewał być powołanym, stał już blisko i przysunął się do łoża samego, krzyż podnosząc w rękę.

Wśród ciszy zabrzmiała uroczysta modlitwa kapłana. Była to ostatnia, którą żywi przeprowadzają duszę ku lepszym ulatującą światom.

Oddech umierającego stał się nagle żywszym i cięższym, w piersiach wyraźniej odzywało się chrząszczenie, pot występował na czoło.

Z drugiej strony łoża stojący kanonik Wacław wejrzeniem i ruchami dawał poznać, iż stanowcza chwila nadeszła.

Głowa króla głębiej w pościel i niżej opadała na piersi. Wysilek jakiś poruszał całem ciałem, które się podnosiło i ściągało naprzemiany. Królowa klęczała przy mężu.

Głos mnicha, coraz wyraźniej, coraz mocniej podnosząc się, aby stępiałego już doszedł ucha, rozbrzmiewał po całej sali.

Oczekujący w sąsiednich komnatach, usłyszawszy go, zjawili się na progu gromadnie. Byli to ludzie poważni, w szatach ciemnych, smutnego a zadumanego oblicza. Oko ich naprzemiany to szukało łoża, na którym spoczywał umierający, to pochylonej młodego królewicza głowy. Niespokojni szeptali pocichu.

Kapłan w głos już z zapalem odmawiał resztę modlitwy. Poklękli wszyscy. Królowa twarz splakaną zanurzyła w pościeli i lkała z bólu.

Raz jeszcze podniosła się twarz starca, powieki odsłoniły oczy zbladłe, westchnął ciężko.

Lekki stłumiony okrzyk wyrwał się z ust królowej.

Z rana już na łożu, w tej samej sali, rozpostartem szeroko, spoczywały Łoktka zwłoki, przyodziane do grobu, w helmie na skroni z koroną, pasem objęte, z mieczem wiernym u bo-

ku, z berłem w dłoni, w śpiczastem obuwiu ze złożonemi ostrogami, z twarzą wypogodzoną, jaką mu dał zgon.

Dokoła stali posiwiali ostatni jego towarzysze broni, najmłodsi, a najstarszy z młodości czasów sługa leżał w kaplicy u franciszkanów, w tercjarskiej sukni, czekając też pogrzebu.

Rycerze spoglądali na wyciągniętego konaniem, drobnych zawsze rozmiarów, człowieczka tego, którego żelazny miecz, nieruchomy teraz, wyciosał królestwo wielkie. Patrzyli i milczeli.

Podwórza zalegały ciche tłumy. Smutek był na twarzach wszystkich.

W przedsienu, na marcowego wiatru zimnym przewiewie, nie czując go, poopierani o słupy, nieruchomi, jak posągi, stali u wnijscia: Jerzy Trepka, który królewiczowi towarzyszył nieodstępnie w latach ostatnich; poważny Jaśko z Melsztyna, którego król synowi do rady nazначzył; Mikołaj Wierzynek, rajca krakowski, starego i młodego pana ulubiony sługa; Kochan Rawa, powierny dworzanin Kaźmirza, i Suchywilk, kapłan, siostrzeniec arcybiskupi.

Kochan Rawa, którego wszyscy znali, najbliższy królewicza, choć się powinien radować z tego, iż pan, którego był ulubieńcem, miał włożyć koronę, posępny stał i smutny. Mężczyzna to był młody, silny, przystojny, w kwiecie wieku, Kaźmirza rówieśny, twarzy rozumnej, lecz namiętnego i zuchwalego wyrazu.

W bystrych oczach jego czytać było można, iż sprawcą mógł być lepszym, niż doradcą. Marszczyło mu się białe czoło od myśli ciężkich. Ręką ująwszy się w bok, a razem rękojeść miecza ściskając, drugą to czoło pocierał, to wąs targał i brodę.

Zbliżył się doń Trepka, wyglądający poważnie a rycersko.

— Nie pójdziecie zajrzeć, — spytał — co się z młodym panem dzieje.

— Byłem tam, — odparł krótko Kochan — spoczynku mu potrzeba. Sam pozostał... Stara królowa modli się, młoda krząta się niespokojna. Jam go zamknął od nich, bo siły pokrzepić trzeba. Teraz ich dużo mieć musi.

Zbliżył się do rozmawiających Wierzynek.

— Straciliśmy ojca — jęknął smutnie.

Nie odpowiadali mu długo.

— Ktoby tego pana nie żałował — podchodząc, począł spokojnie Suchywilk, którego rozumna twarz we wszyst-

kich uszanowanie wzbudzała. — Strata to niepowetowana, aleć Bóg opatrzny dał nam godnego z lędźwi jego następcę. Ten podejmie i dokońca, co tamten rozpoczął. Nie trapijmy się zbytnio. Czas było znużonemu spocząć i pójść po zasłużoną nagrodę. Któryż z królów tak długo i skutecznie dla tej korony pracował? Starzy tylko pomną początki, my z ich ust o nich wiemy... Z niczego on stworzył koronę tę, na kawałki rozbitą, a pomyślcie, z jakimi o nią walczył mocarzami! Z liczbą, z przewagą, ze złotem, ze złością, ze sprzymierzonymi, nie mając nic nad łaskę Pańską! Cuda przezeń czynił Bóg!

— Tak — potwierdził, głowę skłaniając, Jaśko z Melsztyna — a tem trudniejsze zostawił dziecku dzieło nawpół dokonane, gdy pamięć trwa, ile uczynił, i nadzieja z nią, ile dopełnić syn musi. Ani się dziwować, iż królewicz po ojcu tak boleje i pod brzemieniem się ugina. Wielkie ono.

— Każdy dzień ludzki ma troskę swą — odrzekł Suchy-wilk — lecz na ciężkie godziny z pomocą Opatrzność śpieszy. Spoglądali po sobie smutni.

— My wszyscy też tak winniśmy młodemu służyć, jakęśmy starego miłowali.

Głosy się podniosły potwierdzające. Kochan Rawa obojętnie na nich spoglądał.

— Mnie pana mego żal, — rzekł popędliwie — srogi żal! Skończyły się dla nas dni swobody i wesela. Zkolei zaprzęcie go do tego pluga, z którego jarzma ani się na godzinę wyzwolić! Tak! teraz ani dnia, ani nocy, ani wytchnienia mieć nie będzie... We snach nawet troska zajrzy w oczy. Biedny pan mój! Korona śliczna, ale nie samą skroń, ciśnie ona całego człowieka, a zrzucić jej ani na chwilę nie można. Wojna? — musi być żołnierzem; pokój? — gospodarzem mu być trzeba; nocą stróżem... hej! hej! dola nasza! Królem się będzie zwał, a w rzeczy niewolnikiem zostanie...

Jaśko z Melsztyna potwierdził, głowę pochylając.

— Tak jest — rzekł — ale królestwo — kapłaństwo, królestwo — ojcostwo! Przez króla mówi Bóg, i żeby się stać godnym tego, wielkim a czystym trzeba być.

Kochan Rawa węża pokręcił i skrzywił się.

— No — dodał — i człowieczeństwa się wyrzec. Mnie mego pana żal!

Spojrzeli nań drudzy, nie odpowiadając.

Kochan posunął się zwolna ku drzwiom, które wiodły do izb królewicza, inni pozostali w przedsieni.

— Mnie się zdaje, — rzekł Suchywilk, spoglądając za odchodzącym — iż temu Rawie nie tyle królewicza żal, co samego siebie. Lęka się, aby z łask nie wypadł i przystęp mu się nie utrudnił. Nie byłoby to może wielką szkodą dla młodego pana, choć służy mu wiernie, lecz człek gorący, popędliwy, pan młody... Oliwy do ognia dolewać nie jest bezpiecznie.

Jaśko z Melsztyna spojrział na mówiącego i zamilkł. Inni nie przeczyli, ni potakiwali. Wierzynek, trochę na bok się usunąwszy, stał sam zadumany. Nadciągała starszyczna i dzwony pogrzebowe wszystkich kościołów w mieście zaczęły. Lud na Wawel płynął.

M A R G A R E T A

W dziedzińcu krakowskiego zamku, na ławie pod murem, odpoczywało dwóch młodych ludzi. Po wytwornym ich stroju, postawach śmiałych i butnych, głosach donośnych, a obejściu się zamaszystem, po twarzach napiętnowanych wyrazem dumy, jaką daje łaska pańska, łatwo się było domyśleć, że się tu czuli, jak w domu, i że do dworu królewskiego należeli.

Wiosenne słońce, na którym usiedli, w zakątku tym, od chłodnego powietrza przysłoniętym, wcale przyjemnie dogrzewało. Wiosna była młoda jeszcze i niebardzo ciepła.

Jeden z tych dworzan wyciągał się swobodnie na kamiennej ławicy i rękę pod głowę podłożywszy, podniósłszy nogi do góry, przypatrywał się lekkim, białym obłoczkom, przesuwającym się po niebiosach.

Niekiedy ręką swobodną podkreślał wąsa i poprawiał trefioną bródkę, która w brunatnych zwojach na piersi mu spadała.

Pięknej twarzy, wyrazistych rysów, brwi miał ruchliwe, usta dziwnie się wykrzywiające, fizjognomję całą, jak woda od wiatru wzburzona, falującą i zmieniającą się ciągle. Krew, która w nim grała, nie dawała mu uleżeć spokojnie, nogami tupał, wybuchał śmiechem, porywał się, kładł, przerzucał z boku na bok.

Drugi, który w końcu ławy, z nogą na nogę założoną, sparty o mur, odpoczywał, choć równie z pańska i butno wyglądał, spokojniejszej był natury, krzepki zato, silen, śmiały a dumny. Zgóry spoglądał na towarzysza swego, jak na kapryśne dziecko, nie zdając się brać do serca jego wybryków i popisów dowcipu.

Na zamku dosyć było cicho, bo król wyciągnął na łowy z niewielkim orszakiem; w bliskości czeladź się nie kręciła, młodzi dworzanie mogli rozmawiać swobodnie.

Pierwszy, wytwornie strojny, był ulubieniec króla, Kochan Rawa; drugi zwał się Dobiesławem (Dobkiem) Bończą. Oba równie dobrze byli u młodego pana położeni, Dobek nawet miał urząd doraźnego sędziego sporów między dworzany.

Nie byli oni doradcami króla w sprawach ważnych, bo tych Kaźmirz szukał gdzie indziej; ale w chwilach spoczynku, przy stole i biesiadach, któremi młody pan nie gardził, na łowach i wycieczkach przy wesółych rozmowach, do drobnych zleceń posługiwał się nimi najchętniej. Kochan sam przekonany był, i drudzy z obejścia się królewskiego wnosili, iż mu był najmiłszym.

Król mu się nieraz zwierzał w sprawach, o których nie mawiał z innymi, zdając się być pewien jego serca i wierności dla siebie. Od dzieciństwa byli razem. Kochan młodych igraszek i zabaw nieodstępnym był towarzyszem; nieraz go za królewicza karano. Nikt nad niego lepiej nie odgadywał myśli króla i do jego upodobań nie umiał się zastosować. Znał go nawylot, jak powiadał, i był tem dumny. Dawalo mu to zarozumiałość faworyta, bo nieraz poważni panowie rady jego zasięgali.

Dobiesław był także w łaskach, król na nim polegał, używał go chętnie, lecz z przenikliwością, która mu była właściwą, czuł, iż Bończą nie do wszystkiego by się nadał, a pochlebiać nie miał ani ochoty, ani umiejętności.

Poświęcenie obu równe było, miłość gorąca, charaktery wielce różne.

— Słysz, Dobek — gwarzył, śmiejąc się i na ławie rzucając, Kochan — ja sobie myślę, co by stary król nieboszczyk powiedział teraz z kamiennej trumny swej, i popatrzył, jak się tu u nas przez te lat osiem od śmierci jego zmieniło wszystko... Zamku, dworu ani poznać! no i po ziemiach inaczej. Od wojny się jakoś odpędzamy, ludzie przecie mogą sobie odetchnąć! Z krzyżakami, co nam pokoju nie dawali, rozejm za rozejmem. Wkońcu my ich, nie dobywając miecza, zmusimy siedzieć cicho, aż póki...

Odchrząknął znacząco Kochan i zamilkł.

Dobek nań popatrzył zgóry.

— Eh! eh! — rzekł trochę szydersko. — Co ty, albo ja wiedzieć możemy, jak król sobie radę daje z krzyżakami! To nie nasza sprawa! Kasztelan krakowski, ks. Suchywilk, wojewoda, biskup, ci może coś znają; król nasz ze swoich myśli przed lada jakim nierad się spowiadać!

— Jakbym ja potrzebował, ażeby mi mówiono to, czego

ja się sam domyśleć mogę! — rozśmiał się Kochan. — Albo oczów i rozumu nie mam?

Dobek niedowierzająco ramionami poruszył.

— Daj pokój, — powtórzył — nie nasze to sprawy.

— W tem z tobą zgoda, — ciągnął dalej — że się u nas wiele zmieniło. Za nieboszczyka starego zprosta było wszystko; młody pan lubi, żeby mu się świeciło i błyszczało, a niegorzej wyglądało w Krakowie, jak w Budzie i Pradze.

— Boć tak u nas powinno być — zawołał Kochan z przejęciem wielkiem. — Nasz pan, choćby obok cesarza stanął, nie powstydzi się i nie da zaćmić nikomu. Jemu mało królewskiej korony! Takiego drugiego na całym świecie niema. Czego mu brak? Uroda, tylko patrzeć nań, rozum, bystre oko, serce złote, postawa rycerska, wszystko u niego jest.

— Tylko szczęścia nie ma! — zamruczał Dobek, chmurząc się.

Brwi się Kochanowi ściągnęły, nie odpowiedział nic.

— A no — odezwał się po dumaniu przedłużonem — młody jest. Jeszcze wszystko, co zechce, może mieć. Co dla mężczyzny lat trzy dziesiątki! Przed nim świat i życie... Chybaby Bóg nie łaskaw; wiele i wielkich spraw dokaże. Ja go znam, w nim jak w kopalni, im głębiej zajrzeć, coraz skarby większe...

— Daj mu Boże wszystko dobre! — westchnął Bończa — któżby jemu źle życzył? jemu, co najbiedniejszego człeka, żebraka, chłopca, jak dziecko, do siebie przygarnia... Dla każdego ma dobre słowo i serce dobre...

Kochan spojrzął na Dobka.

— Jego nagwałt ożenić trzeba! — szepnął.

— Mnie się zda, że on o tem i sam myśli — odparł Bończa.

— O ożenieniu, jak o ożenieniu — przerwał Kochan — boć niewiast po świecie grzecznych i bez tego dosyć, ale jemu trzeba syna... On chce koniecznie potomka męskiego mieć... To jego jedyna troska, aby korona nie poszła po kądzieli, albo na Mazury lub na jakie cudze ręce... Syna, syna mu trzeba, a tu...

Kochan się zadumał.

— Wiecie, co ta czarownica-babsko mu przepowiadała? — dodał, zwracając się do Dobka.

Dobek potrząsł głową.

— Nie wiem nic — rzekł krótko.

— O! żeby nie ta Klara, — mówił dalej Rawa — żeby nie ta Klara, której cień za nim chodzi, byłby on szczęśliwy! Nie-

raz o niej przez sen gada, uchowaj Boże, niech mu który z tych Węgrów nawinie się przed oczy, jakby go podciął. Mówię wam, od tego pobytu w Wyszehradzie stał się jakby innym człowiekiem. Wprzód wesół zawsze, żyć i biesiadować lubił, pośmiać się był rad... Nie od tego on i teraz, ale rzadko i tylko, gdy się zapomni. Postarzał nagle, posmutniał...

— Troski bo ma dużo — odparł Bończa. — Zczasem, choćby mu tam coś dolegało... zapomni.

— Od początku się jemu w domowych sprawach nie wiodło — ciągnął Rawa. — Jam się na to wszystko patrzył. Ożenili go z tą Litwinką nie dla niego, ino dlatego, że starremu królowi trzeba się było z Litwą związać, a Litwie z nim przeciwko krzyżakom. Tyleśmy zyskali, że nam w posagu polskich jeńców przyniosła, co ich poosadzano na pustkach po Tatarach... Soroków też soboli i kun nie wiem ile na kożuchy nam przyszło. Na nieboszczkę panią nic nie powiem, piękna była, dobra była, ptaszę, nie kobieta. Wsadzono ją do klatki, wywieziono z jej lasów, ploszyła się coraz jak ptaszę. Królewicza gdzie indziej, ją kędy indziej ciągnęło. Jemu się chciało na szeroki świat, na takie dwory, jak francuski, włoski, węgierski, a Hannie do lasu zawsze! Prostaczkowata sobie była, jakby chłopianka, śmiała się na głos, nie zważając na ludzi, mówiła, co jej przyszło do głowy, nie pilnując dworskiego obyczaju. Księża ręce łamali, bo się ledwie przeżegnać nauczyła. Królby ją był kochał może, a no, do jej humoru zdziczeć mu trzeba było. Więc nie mógł... Żeby mu była choć syna dała, a tu córka.

Dobek przerwał odniechcenia:

— Masz mówić, no, to powiedz mi lepiej całą tę nieszczęsną węgierską sprawę. Dobrze jej nie znam.

— Starą biedę i smutek przypominać — odezwał się, pomyślawszy, Kochan — to jak zagojoną ranę rozdrapać. A no, kiedy się zmówiło o tem, powiem. Byłem ci tam z nim.

Jechaliśmy naówczas z rozkazu starego pana do Wyszehradu do Karoberta i naszej królowny Elżbiety, żony jego.

A że królowa, siostra naszego pana, bardzo zabawy, skoki, muzykę i turnieje lubiła i do dziś dnia lubi, było na co patrzeć i czem się cieszyć dzień w dzień.

Dopieroż na przyjęcie brata, którego Elżbieta kocha bardzo, gdy poczęła się zmagać, nie było chwili spoczynku. Łowy, turnieje, bankiety po bankietach, skoki, śpiewy, igraszki

różne. Kobiety na dworze — Węgierki, Włoszki, aż oczy rwały.

Ucztowaliśmy i biesiadowaliśmy tydzień zgórą, jak w raj!

Między dziewczętami, co przy królowej były, najpiękniejsza zwała się Klara, a była córką urzędnika Karobertowego, imieniem Felicjana Amadeja. Powiadano o nim, że z małego był wyrósł, służąc pierw na dworze Maćka z Tręczyna siedmiogrodzkiego, od którego do Karoberta przystał.

Dziewka była godną choć królową się zwać: twarz jak mleko biała, oczy czarne, włos kruczy, postać osobliwa, a i duma, którą, jak koronę, na głowie nosiła, piękności jej dodawała.

Zato ojciec wyglądał straszno, jak zbój i drab. Olbrzymiego rostu, niezgrabny, oczy miał szatańskie, koso patrzące, a głos chrapliwy, gdzie zagadał, mrozem przejmował. Coś w nim było dzikiego, jakby tylko co z lasu wyszedł. Dumą też obrażał, bo choć chłopisko proste było, królowi ledwie głową skłaniał.

Z nim pod wieczór na gościńcu spotykać się najmężniejszemu nie byłoby wygodnie. Ale król tego niedźwiedzia lubił, bo mu silną pięścią ład na dworze utrzymywał.

Jam zaraz spostrzegł w tańcu, że Klara naszemu królewiczowi w oko wpadła. Jednego wieczora, gdyśmy do naszych izb szli na spoczynek, zagadnałem o nią; roześmiał się tylko. Na drugi dzień sam mnie o nią zaczął i rzekł:

— Królewski kąsek!

Mnie ten drab ojciec z kosemi oczami stał na pamięci, odpowiedziałem więc:

— Niechno się miłość wasza temu staremu przypatrzy, a od tej czarownicy ochota odejdzie.

Pan to w śmiech obrócił.

Królowa Elżbieta, że rada była brata jak najlepiej przyjąć i ugościć, spostrzegłszy, iż na Klarę oczyma rzucał, poczęła go nią prześladować.

Nie zapierał się, iż mu w oko wpadła.

— Piękniejszej w życiu, nie widziałem — rzekł.

Więc mu potem Klarę i do tańca, i przy biesiadzie ciągle do boku dawano, aby sobie nią choć oczy napasł.

Mówił mi o niej ciągle, ale narzekał.

— Jak z kamienia jest, — powiadał — im ja się więcej staram w łaski wkupić, tem sroższa. Podarku żadnego przyjmować nie chce, a odezwie się zmuszona, to jak żelazem w piersi żgnię...

W kilka dni jakoś królewicz nam zachorował.

Ksiądz Włoch, doktor królewski, kazał mu dzień albo dwa w łóżku spoczywać. Królowa o brata troskliwa, choć nie chciał, zmusiła go leżeć. A żeby mu się nie nudziło, ciągle przy nim siadywała sama. Wieczorami zaś panny swoje przyprowadzała z sobą, każąc im na cytrach grać i pieśni śpiewać.

Ile razy do królewicza szła, Klara z nią razem iść musiała. Nas z przed sieni wyprawiano, jako niepotrzebnych, żebyśmy się z dworem królewskim zabawiali.

Trzeciego dnia tej choroby, gdym późno już do królewicza powracał i miałem do drzwi się zbliżyć, nagle się one otwały i Klara z rozrzuconemi włosami, blada, zapłakana, jak oszalała wypadła z izby królewicza, przemknęła się mimo mnie, nie widząc, i znikła.

Strach mnie jakiś ogarnął, ale sądząc, że królowa u brata jest, czekałem w progu.

Gdy tak siedzę, słyszę, woła mnie pan. Wchodzę i zastaję go samego, na łóżku, ręce pod głową, niespokojny był jakiś, namarszczony, gniewny.

— Jutro mi się sposobić do drogi! — zawołał, zobaczysz mnie.

Chciałem rozmowę począć, aby się czegoś dowiedzieć, — milczeć mi kazał.

Nazajutrz, choć mieliśmy bawić dłużej, mimo prośb króla i królowej, Kaźmirz, jakby stąd uciekał, co żywiej pędził w drogę...

Jużeśmy do granicy naszej się zbliżali i na nocleg mieli jednego wieczora rozkładać, gdy patrząc, znany mi dobrze dworzanin Elżbiety, młody Janusz we trzy konie, jak szalony, nas napędza. Nim usta otworzył, jużem wiedział, że coś lichego wiozł za nadrą.

Królewicz, zobaczywszy go, wybiegł, zbladł i zatrzęsł się cały.

Poszedł z nim Janusz do namiotu, a my tylko krzyki, głosy i wołania różne słyszeliśmy. Czuliśmy, że się coś stać musiało, lecz co z sobą przywiózł, niesposób się było domyśleć. Łamaliśmy głowy napróżno. Służba pytana milczała.

Dopiero, gdy Janusz wyszedł, dowiedzieliśmy się o wszystkim. Wkrótce nieszczęśliwa ta przygoda nie miała być tajemnicą dla nikogo.

Po dziś dzień nie wiem, czy królewicz, pan mój, któremu

siostra ową Klarę Felicjanównę zostawiła, aby pilnowała chorego, winien był co, czy nie.

To pewna, że dziewczyna poszła się jakoby skarżyć ojcu na królowę i na niego, a stary wpadł we wściekłość wielką.

Drudzy powiadali, iż staremu zbójowi tego tylko było potrzeba, aby znalazł pozór do pomsty nad królem i królową, bo miał oddawna przeciw nim spiskować i sam, po wymordowaniu całej rodziny królewskiej, chciał nad Madziami panować.

Więc, gdy we wtorek po przewodach, po wyjeździe naszym, król Karobert z królową i synaczkami Ludwikiem i Andrzejem w małej gromadce, prawie bez dworu, obiadowali spokojnie w domu swym pod Wyszehradem, nie obawiając się ani domysławiając niczego, nagle stary ów zbój z kilkunastu zbrojnymi przyjaciółmi wpadł do sali. Wprost z mieczykiem rzucił się na króla, którego królowa bronić chciała i chwyciła za miecz prawą ręką, a cztery palce jej odcięte padły.

Król też rękę miał skaleczoną.

Czeladź przerażona nieprędko się wzięła do obrony pana swego, dopiero gdy ów wściekły zkołoił na młodych królewiczów się rzucił, ich chcąc mordować, Jan z Potoken, młody Węgrzyn, rycerskiego rodu, dobywszy miecza, między szyję i łopatkę zbójcę trafił tak, że padł zaraz w miejscu omdlały.

Dopiero na wrzawę zbiegli się dworscy, służba, pochwytano winowajców i okrutną, straszliwą domierzono na nich karę.

Szarpano ich żywcem końmi na sztuki... Zginał tak ojciec, córka Zeba z mężem Kopy, a Klarę poobcinaną obwieszono po całym królestwie, aż ją i ścięto... Po wszystkich miastach porozsyłano ćwierci zbrodniarzy, głowę Felicjana w Budzie nad bramą przybito. Litości nie było dla nikogo, ale też i królowa Elżbieta, którą teraz *Kikutą*, to jest bez ręką, zwą, od tej pory z prawej ręki rękawiczki nie zrzuca, bo jej mało co dłoni zostało.

Opowiadający Kochan odetchnął trochę.

— Jużemy nareszcie do Krakowa jechać mieli, gdy nad ranem, patrzymy, kupa Węgrów nadbiega. Myśleliśmy, że pogoń jaka, że zemsta. W mgnieniu oka do obronyśmy się uszykowali, aż białemi chusty poczęli nam dawać znaki, wołając, że, na miłosierdzie Boże, z królewiczem chcą mówić.

Poznaliśmy w nich wtedy jednego Klary brata i kilku powinowatych nieszczęśliwej dziewczki, którzy, popadawszy

na kolana przed panem, o bezpieczny przytułek w Polsce go prosili. Poprowadziliśmy ich z sobą, i siedzą do tego czasu u nas spokojnie, tyle tylko, że się im królowi na oczy pokazywać nie wolno.

Bończa, wysłuchawszy opowiadania cierpliwie, rzekł tylko:

— Krwawe dzieje! bodaj o nich nie pamiętać.

— Posłuchajcież końca o babie — dodał Kochan. — W kilka lat jakoś potem przypadło nam znów jechać na Węgry. Pamięć się tam o Amadejach trochę zatarała. Jechaliśmy do Budy, gdzie znowu przyjęcie było wielkie, ale królewicz, pośród tych wesołości, chodził jak struty.

Królowa Kikuta znowu go zabawiać chciała, bo na niej przestachu i smutku nie pozostało ni śladu. Wesoła była jak przedtem i dwór jej znowu śpiewał a brzdąkał. Ucztowaliśmy na zamku dni z dziesiątek, nim powracać nam przyszło.

Drugiego dnia podróży trafiło się, że na nocleg do żadnej osady nie mogliśmy nadażyć... Noc nas zaskoczyła, musieliśmy w lesie rozbić podróżne namioty.

Zapalono ognie, ludzie zaczęli mięso piec i kaszę warzyć, gdy babsko jakieś stare do obozu się nam przyplątało. Już od ludzi dowiedziała się, cośmy byli za jedni, oczyma jakimiś strasznymi poczęła się w królewicza wpatrywać, drżąc cała. Naostatek puściła się wprost do niego, aż nas strach jakiegoś uroku ogarnął. On stał śmiało.

Językiem mieszanym poczęła coś mało zrozumiałego pleść, to na niebo, to na ziemię ukazując, to w piersi się bijąc, to płacząc. Potem ręki królewicza się domagała dla wróżby.

Stałem wówczas przy nim i mówię:

— Nie dawajcie, na miły Bóg, niech się ona was nie dotyka...

Uparł się i rękę wyciągnął.

Stanęła baba nad nią, brwi namarszczywszy, trzęsła się, mruzczała, głową rzucała, pokrzykiwała... naostatek pleść zaczęła...

— Co? co? — zapytał Dobek.

— Koszałki-opalki, jak w gorączce, sama pewnie nie wiedziała, co plotła — mówił Rawa. — Ci, co rozumieli, powiadają, że mu prorokowała, iż miał panować królestwu wielkiemu i mocnemu, narówni stać z cesarzami i największymi mocarzami świata, a potem, nachmurzywszy się, dodała: —

Co po tem! krew nad tobą! Amadeje! Amadeje... Ludzie przez cię szczęśliwymi będą, ziemie twoje zakwitną, nieprzyjaciele położą się pod nogi, zawładniesz ich krajami, a sam nie zaznasz szczęścia w życiu... tego, czego najgoręcej pragniesz, Bóg ci nie da! Amadeje!...

Królewicz, zrozumiawszy nieco, spytał niespokojnie:

— Czegóż ja to pragnąć mam?

A ona rzekła:

— Męskiego potomka z żadnej żony ci Bóg nie da i na tobie ród twój zginie, a korona pójdzie na obcą głowę.

Chcieliśmy babę przegnać, aby więcej mówić nie śmiała, lecz, ledwie dokończywszy, chwyciła się za włosy i z krzykiem — Amadeje — pobiegła w las...

Myśleliśmy, że łatwo zapomni to proroctwo, ale od tej pory król je ciągle przypomina.

— Mało co głupie baby wróżą — odezwał się Dobek. — Na psa urok! Niechno się on ożeni, niewiastę sobie dobrawszy, jak słyhać, i do serca, i do obyczaju swego, przyjdą synowie i babie kłam zada.

— Tak, — szepnął Kochan — ta, którą mu Czech swata, jemu bardzo do smaku, a — co po tem, powiadają, że ona się go lęka i nie chce.

Dobek się obruszył.

— Jakby tak było, niech innej poszuka, jest ich dosyć. Byle mu Niemki nie swatali znowu. Niemców, jako ta zga-ga Hans von Pforten, zagaściło się u nas na dworze i po miastach do zbytku. Jakbyśmy jeszcze królowę dostali niemiecką, a z nią napłynęło dworzan i czeladzi!... choć uciekać stąd na kraj świata.

Rozprawiając tak, nie postrzegli, że, gdy Dobek ostatnich słów domawiał, zwolna i podsłuchując, zbliżył się ku nim mężczyzna, nieco starszy od nich obu, gruby i duży.

Drgnął, posłyszawszy przez Dobka wymówione nazwisko — Hans von Pforten. On to był sam, Niemiec, w usługach króla od lat kilku zostający, do urządzania gonitw i turniejów obyczajem zachodnim używany. Zaufany wielce w swoje u króla fawory, opryskliwy, dumny, szczególnie z Dobkiem Bończą, z powodu poswarków z dworzany i jego sądów, był w ciągłych zatargach.

Usłyszawszy, co o nim i o Niemcach powiedział, Hans prychnął głośno, rzucił djabłem i za rękojesć miecza pochwycił.

— Milcz ty jakiś! — krzyknął — milcz! Niemcy wam śmierzdzą! a od nich, żaki, musicie się uczyć wszystkiego! Cobyście bez nas mieli? cobyście mieli? Skóramibyście się jeszcze odziewali!

Nie dając mu dokończyć, Dobek się porwał, ale z majestatyczną powagą bez widocznego wybuchu gniewu.

— Na naszej ziemi się spasz, nasz chleb jesz..., milcz, ty przybłędo! — krzyknął rozkazująco.

— Nie zamkniesz mi gęby! — zawołał Hans, burząc się — nie, nie?!

I nagle, krok naprzód się posuwając, miecz obnażył.

Dobek stał, nie pomyślawszy nawet dobyć żelaza, wargi tylko zakąsił.

Hans się pienieł z gniewu.

— Pójdźże precz stąd, ty szwabie, pókiś cały! — odezwał się, usiłując spokój utrzymać — ruszaj! bo źle będzie!

— Z tobą źle będzie! — krzyknął Hans, podnosząc miecz, jakby bezbronnego przez łeb ciąć zamierzał.

Lecz Dobek Bończa w mgnieniu oka przypadł do niego, rękę, w której miecz trzymał, pochwycił dłonią silną, jak w obręcz żelazną, drugą chwiejający się miecz szarpnąwszy, wyrwał i natychmiast nim okładać go począł.

Nim się ciężkie Niemczysko opatrzyło, leżał już na ziemi, a na szerokie plecy jedno po drugich spadały razy, aż żelazo rozprysło się na kawałki.

Przyduszony kolanem Hans napróżno się wyrwać usiłował.

— Fried — herr! Fried — herr! — jęczał przyciśnięty do ziemi, sądząc, że ostatnia godzina nadeszła, bo Dobek, dawno doń zęb mający, nielitościwie go okładał.

Na wrzawę tę czeladź się zbiegać zaczęła ze wszech kątów — dworzanie, służba, kobiety, powtarzając ze śmiechem niezrozumiałe wyrazy.

— Frydry! — Fredro!! Dobka Fredrą nazywał co to znaczy?...

Szczęściem dla pokonanego, Dobek nie był krwi chciwy; zbiwszy dobrze, puścił ofiarę, nie myśląc się więcej znęcać nad nią.

Podniósł się, śmiejąc, Bończa, gdy, oczy zwróciwszy na tłum ludzi, który umilkł nagle, postrzegł z przerażeniem o trzy kroki stojącego króla.

Z łowów powracający Kaźmirz wprost z konia przybył

na krzyk i groźno, ale z małą ironją na ustach spoglądał na Dobka, który stał jak winowajca...

Pięknym był Kaźmirz w tej dobie swojego życia. Słusznego wzrostu, dorodnych kształtów, w pełni sił i zdrowia, z twarzą rysów szlacheckich, której jakiś obłoczek smutku dodawał uroku — miał w sobie majestat pański bez dumy, osłodzony dobrocią wielką.

Ubrany jak na łowy, z trąbką przez ramię przewieszoną, w czapeczce aksamitnej na głowie, w sukni opiętej i płaszczyku, z mieczykiem u pasa, stał, wzięwszy się w boki, naprzemiany mierzając oczyma to Bończę, to Niemca, który się z ziemi, jęcząc, dźwigał opylony i zobaczywszy króla, zwrócił się ze skargą ku niemu...

— Kto rozpoczął? o co poszło? — zapytał Kaźmirz, zwracając się do Kochana.

— Niemiec się pierwszy do miecza porwał — odparł Rawa.

— Widzisz Hans — zawołał król — masz za swoje! — I pogroził Bończy.

— Tybyś zaraz ludzi zabijał! — rzekł i odwrócił się szybko.

Skończyło się na tem; ale tegoż wieczora król, śmiejąc się, Bończę począł przezywać Fredrą i przydomek ten tak przylgnął do niego, że i na rodzinę przeszedł.

Kochan jeden domyślał się, dlaczego król tak prędko z łowów powrócił: oczekiwano wiadomości od króla Jana z Pra-gi i syna jego, margrafa Karola.

Kaźmirz tym wszechmogącym groszem, którym z królem Janem, niespokojnego ducha, rycerskiej gorączki mężem, ciągle wyprawy jakieś znaczącym, wszystko można było uczynić, przejednał się i pogodził. Nieprzyjacielem niedawno, byli teraz sprzymierzeńcami.

Został Janowi czeskiemu na jego pieczęci na pamiątkę w tarczy małej orzeł polski, obok lwów czeskich, na chorągwi, i luksemburskiego na okryciu... do korony Kaźmirzowej nie rościł już praw żadnych. Śląsko mu ustąpiono, a kilkadziesiąt tysięcy kop groszy dał Kaźmirz odczepnego.

Przyjaźń Jana nie była dlań za drogo okupioną, bo mu za tarczę przeciw krzyżakom służyła.

Szło teraz o bliższe jeszcze połączenie się z Luksemburczykami, których rycerskiego ducha król poczęści oceniał.

Piękna Margareta, córka Jana, siostra Karola, owdowiała była po Bawarczyku. Uczyniono Kaźmirzowi nadzieję małżeństwa; chwycił się jej z tym większym zapalem, że dwudziestosiedmioletnia wdowa słynęła z wdzięków, z rozumu, a mogła mu dać tego upragnionego potomka, którego Kaźmirz tak pożądał: synaczek jej niedawno był zmarł, wkrótce po mężu.

Margareta, którą do Pragi sprowadzić miano, była mu przyrzeczona. Starali się smutną wdowę do małżeństwa tego nakłonić ojciec i brat. Chodziły wieści, że była mu przeciwną, że lękała się kraju, który, na rozterki i napaści Tatarów wystawiony, nie słynął ani bogactwy, ani przepychem, do jakiego ona była nawykłą.

Kaźmirz oczekiwał wiadomości co godzina; nie chciał się z zamku oddalać nawet, aby gońca z Pragi nie stracić, nie dać mu czekać, nie zwlec ani chwili. Wyglądano go niespokojnie.

Tymczasem, w moc ojcowskiej poręki, Kaźmirz czynił wszelkie przygotowania do wesela. Nie mówiono o niem jeszcze głośno, aby w razie zwłoki nie mieć wstydu, lecz niepokój był na Wawelu, bo się tu wszystko do wielkiej i wystawnej gotowało podróży.

Król, z łowów powróciwszy, natychmiast do siebie podskarbiego kazał przywołać.

Znoszono do komnaty pańskiej kosztowności, z których miał wybór uczynić: złocene puhary, srebrne misy, dzbany, rogi kute złotem, pasy perłami szyte, naszyjniki, naręczniki, kolce, pierścienie z oczyma błyszczącemi leżały porozrzucane po stołach. Kilka opon szkarłatnych, perłami bogato szytych, rozpostarto w pół na ławie, pół na ziemi.

W pośrodku tych bogactw, na które stary Zyndram, podskarbi, patrzył z żalością jakąś, czując, że one z Pragi pewnie nie powrócą, Kaźmirz stał roztargniony, nasłuchując, i za najmniejszym szelestem ku oknom podchodząc. Nie przybywał ów poseł z Pragi.

Chociaż o zamierzonym małżeństwie króla nie wolno było głosić zawczasu, wiedzieli o niem wszyscy. Zdania dworu były podzielone, jedni dla króla, chociaż wdowca, wdowy sobie nie życzyli, drudzy przewidywali, że u chciwego na grosz Jana drogo je przyjdzie okupić.

Kaźmirz pragnął połączyć się z tym domem, a Margaretę odmalowano tak, że zawczasu w niej był rozmiłowany. Sądząc z ojca i brata, z tego dworu, który stał ogląda i obczy-

jami narówni z francuskim, Kaźmirz widział to w Margarecie, czego mu właśnie brakło w Aldonie. Marzył o niej jako o niewieście, która go potrafi zrozumieć, podzielać myśli jego i osłodzić mu życie.

Każda chwila, przedłużająca niepewność i oczekiwanie, wiekiem mu się wydawała.

Zyndram stał, patrząc to na pana, to na kosztowności przed nim rozrzucone, czekał słowa, rozkazów.

— Stary mój — przemówił wreszcie król, jakby ocknąwszy się z zadumy, — wszystko to piękne jest... a wszystkiego tego dla córki króla Jana za mało... Radbym jej pod nogi rzucić co najpiękniejsze i najdroższe na świecie. Warta jest tego. Wybierz co najwspanialsze, nagromadź jak najwięcej. Byłeś w Pradze? — zapytał nagle.

Stary Zyndram podniósł powoli siwą głowę, zdziwiony nagle pytaniem. Chwila upłynęła, nim się zebrał na odpowiedź.

— Dawno już, dawno, miłościwy panie.

— Takimby ja, z pomocą Bożą, chciał mój Kraków uczynić — odezwał się król, ręce składając. — Wspaniałe, przepyszne, wielkie, bogate i silnie obronne miasto... Tam się nam uczyć rządzić, budować i ład zaprowadzać.

W przyległej sali, w której zwykł był przyjmować, siedzący dworzanie, marszałek i służba poruszyła się, szeptano. Kaźmirz baczno ucha nastawił.

Wtem zlekka podniosła się u drzwi opona i cichym głosem dworzanin oznajmił przybycie dostojnych gości.

Król, zostawując Zyndrama przy rozłożonych klejnotach, żywo wyszedł do sali.

W pośrodku jej stali oczekujący nań dwaj duchowni z krzyżami na piersiach, w sukniach biskupich. Wesołą twarzą witał ich król.

Pierwszy z nich był słusznego wzrostu, okazałej postawy, rozumnego oblicza, któremu tylko odbierały nieco zmrużone, zmęczone i chore oczy wyrazu. Wejrzenie z pod powiek wychodziło nateżone, niepewne, z wysiłkiem; ręką zasłaniał się od światła. Pomimo tego cierpienia twarz odznaczała się pogodą i majestatem; rysy jej pełne były energii męskiej i razem łagodności. Był to Jarosław Bogorja, arcybiskup gnieźnieński, ojciec duchowny i umiłowany królowi kapłan; najbliższy jego serca, powiernik myśli i doradca.

Stojący za nim skromnej, niepozornej postaci, chłodnego wyrazu twarzy, z rękami zsuniętymi w szerokie sukni ręką-

wy, mąż niemłody już — wiekiem nieco pochylony, był Jan Grot, biskup krakowski.

Nawiedziny te Kaźmirz przyjmował z widoczną radością, jakby ich pożądał i czekał...

Dwór otaczający usunął się natychmiast, zostali sami; arcybiskup usiadł przy królu, Jan Grot przy nim milczący.

— Są wieści jakie? — zapytał Bogorja, ze współczuciem zwracając się do króla.

— Spodziewam się! czekam! pożądam, ale dotąd nic z Pra-gi — począł Kaźmirz, wzdychając. — Obawę wielką mam — dodał ciszej nieco. — Komuż na nieprzyjaciółach zbywa? Mnie i mój kraj odmalowano pono księżnie Margarecie tak, by ją zrazić i nastraszyć... Na dworze Jana, przy margrabi Karolu, ludzie są różni i zamiary ich rozmaite. Są tacy, którzy przeszkodzićby radzi.

— Lecz miłość wasza — przerwał arcybiskup — masz za sobą ojca, masz brata. Ci najbliżsi są, od nich dziś wdowa zależy. — Małżeństwo to, da Bóg, przyjść musi do skutku... — Podniósł ręce do góry. — Da Bóg! — powtórzył.

— Najżywiej go pragnę, — począł król — lecz im dłużej się przeciąga niepewność, tem więcej się trwożę.

— Modlimy się — rzekł biskup krakowski.

— Wprawdzie — dodał Kaźmirz, zniżając głos i spuszcza-jąc oczy — zapewnilem siostrzeńcowi Ludwikowi następstwo po mnie... lecz jeszcze się nie wyrzekł nadziei, że mnie Bóg męskiem potomstwem obdarzy.

Biskupi milczeli, król posmutniał.

— Wiem, że w Budzie nieradzi będą ożenieniu mojemu, i siostra Elżbieta żal uczuje do mnie, nie mogę się jednak pogodzić z tą myślą, abym miał być ostatnim.

Arcybiskup przeżegnał mówiącego w cichości i szepnął:

— Ja mam dobre przeczucia, nie odmówię wam. Da się córka króla Jana nakłonić... nie do pogardzenia jest kró-lestwo, które Bóg coraz nowym przyrostem obdarza... zdo-byliście Ruś, odzyskacie kiedyś Pomorze. Mazowsze też musi się kiedyś połączyć...

— Myślę — dodał powoli Jan Grot, — że i owe skarby na Rusi zdobyte, o których po świecie szeroko prawią, kró-lowi Janowi ochoty dadadzą do swatania córki, bo żądny jest grosza... a rozsypuje go niebacznie...

— Sławę zdobywa — odparł Kaźmirz — a ta więcej war-ta niż złoto.

— Rycerz prawy — rzekł arcybiskup, — ale też jako ry-

cerz niepohamowany i nieunoszony w namiętnościach. Szkoda, że piękne swe przymioty kazi tem zuchwalstwem...

Król zarumienił się nieco.

— Wiele przebaczyć trzeba tym, którzy brzemiona ciężkie noszą na barkach — rzekł, zwrócony do Bogorji.

Jarosław odparł łagodnie:

— Wiele przebaczyć trzeba, ale wszystkiego nie można...

Rozmowa przerwana została... wszedł kanclerz, niesiono do wiadomości króla przygotowane zapisy dla kościołów, zamiany wiosek, nadania.

Każmirz, słuchając i potakując, oczy miał ciągle zwrócone ku podwórcom, uszy wytężone na szmer, jaki z nich tu dochodził.

Kochan Rawa, znający dobrze swego króla, czytający w oczach tę niecierpliwość i zawsze chciwy przysługi, stał w przedsięwzięciu, aby spodziewanego z Pragi gościa pierwszy pochwycił i panu przyniósł, jak się spodziewał, wesołą nowinę.

Lecz wieczór nadchodził, a posła pożądanego nie było. Coraz fraszobliwszym stawał się Kaźmirz...

Z końcem dnia uchodziła nadzieja, aby wieść nadejść mogła rychło. Niechętnie naówczas podróżowano nocami, drogi były niepewne, rozboje częste.

Kochan poszedł do pana, któremu ochmistrzyni właśnie przywiodła była córkę sierotkę. Król ze smutkiem w milczeniu ścisnął szczeniactwo, a na widok nadchodzącego powiernika żywo je odprawił.

— Kochan — zawołał, wybuchając — co ty mówisz na te zwłoki? Ja przecucia mam złe!

— Ja najlepsze — odparł wesoło ulubieniec. — Lecz, gdyby mnie ono omyliło, miłościwy panie, czyż tak trudno o księżniczki dla młodego i pięknego króla?

— Ja chcę tej, a nie innej — żywo począł król, a spostrzegłszy, że się Kochan uśmiechnął, dodał:

— Powiesz mi, żem jej nie widział? lecz odmalowali ją na dworze Karola ci, co ją znają od dzieciństwa... jakbym miał przed oczyma ją i jej piękność! Jest piękniejszą od innych i ma w sobie ten charakter szlachetny, który ja w jej rodzinie cenię. Coś ze krwi bohaterskiej Jana. Innej nie chcę nad Margarete!

Kochan, słuchając, ramionami poruszył.

— Już dla tego samego, żeście mogli, miłościwy panie, tak ją umiłowac, nie widząc, powinna być waszą.

— Musiała przybyć do Pragi — dodał król. — Margrabia Karol przyrzekł mi, iż doloży starań, by ją przekonać, że zamaż iść powinna.

— Do królewskiej korony nie tak bardzo namawiać potrzeba — odparł Kochan szydersko. — Podroży się piękna wdowa, ale ręki nie odmówi.

— Dalby to Bóg — rzekł król.

I zwrócił się, zbliżając szybko do dworzanina swego.

— Kochan — rzekł — wszak prawda, wstydu sobie uczynić nie damy w Pradze! Potrzeba wystąpić tak świetnie, jak na króla polskiego przystało, ty mi pilnuj! Ja głowę tracę z tej niecierpliwej miłości dla kobiety, której nie widziałem w życiu. Najlepsze konie, najwspanialsze opony, najkosztowniejsze suknie, zbroje...

— Cały skarbiec trzeba zabrać z sobą, bo tam łakomych nań rąk wyciągnie się siła — odparł Kochan.

— Skarbiec? — Niech idzie cały! — zawołał Kaźmirz — potrafimy go napełnić, a w Pradze musimy ich olśnić. Lud mi wybierz dorodny! — dodał — ja na ciebie wszystko zdaję. Nie żałuj nic... odpowiesz mi...

— Uczynię wedle rozkazu — rzekł Kochan, — ale czas, aby miłość wasza kazał dać wieczerzę i zapomniał przy stole o trosce... Mnie już z wieczornika dochodzi zapach mięsiwa...

Tym sposobem, jak zwykle, Kochan usiłował króla rozzerwać. Wywiódł go do jadalni, stanął za nim ze dzbanem, skinął na Szubkę, dworskiego błazna, aby pana zabawiał, zagadał sam, podbudził drugich, i nieco chmury z czoła królewskiego rozpędził.

Od brzasku na gościniec ku Pradze na najszybszym koniu Kochan wyprawił młodego Przedbora Zadotę, przyjaciela swego, w nadziei, że ten może spotka gońca, dowie się coś od niego i z dalszą wieścią go wyprzedzi.

Stało się właśnie, jak żądał. Przedbor, który do króla był wielce przywiązany, jak wszyscy, co go otaczali, ani siebie, ni konia nie oszczędzał, i w istocie o parę mil od Krakowa spotkał Mikulasa z Lipy, którego król Jan wyprawił, aby przybycie Margarety i jej zezwolenie na małżeństwo zwiastował Kaźmirzowi.

Margrabia Karol dodać kazał poufnie, aby król polski, odebrawszy wiadomość, pośpieszał na wesele, dopóki by wa-

hająca się księżna nie zmieniła postanowienia pod wpływem osób, które się o to starały.

Do pośpiechu zachęcać króla nie było pewnie potrzeba.

Przedbor, chwyciwszy języka, Czechom dając spoczywać i do wjazdu się sposobić, sam konia poparł tak, że ostatnim tchem jego dobiegł do Wawelu.

Dwa słowa zamienił z Kochanem i ulubieniec pański biegł z twarzą rozweseloną do komnaty, w której król wielkimi, niespokojnymi przechadzał się krokami.

Uśmiech jego i oczy błyszczące dały odgadnąć dobrą nowinę.

— Czechy przybywają za godzinę! — zawołał w progu Kochan — niosą zaproszenie na wesele.

Kaźmirz rzucił mu się na szyję, Kochan go całował po rękach.

— Skądże wiesz?

— Posyłałem Przedbora...

Złoty łańcuch, ze stołu chwyciwszy, król zawiesił na szyi Kochanowi.

— Zadorze nagrodę, jaką chce! — zawołał. — Rozkazy wydawać do podróży na jutro... Radbym dziś...

Kaźmirz poruszony wielce ręce łamał, śmiał się i sam miarkować się usiłował, gdyż sobie nawet śmiesznym się i zbyt młodym wydawał. Wielka radość nie dawała mu spokoju. Żywa wyobraźnia malowała piękną Margaretę, życie z nią, kolebkę syna, przyszłość jasną i wielką. Przymierze z Janem osłaniać miało Polskę, na Rusi jeszcze czekały zdobycze, krzyżacy musieli być pokonani...

Okolo południa Czesi, przeodziawszy się w mieście w gospodzie, jak na posłańców króla przystało, — zbrojno wjechali na krakowski zamek. Tu już dwór cały, okazały, liczny czekał na przyjęcie, król w posłuchalnej sali z kasztelanem i wojewodą krakowskim, w mnogich dostojników otoczeniu, gotował się na powitanie Mikulasa z Lipy.

Znaczna część polskiego dworu z pewną zazdrością spoglądała na tego wyelegantowanego posła, którego strój, uzbrojenie, koń, rynszunek były nowe, kształtów niezwykłych i form wytwornych.

Poselstwo król przyjął uprzejmie. Stoły gotowe były na ugoszczenie. Zasiadł Kaźmirz pierwszy raz oddawna z myślą wesolą, z mową swobodną, dopytując o króla, o margrabiego, o przyszłą narzeczoną.

Mikulas z Lipy nadto był zręcznym dworakiem, aby całą

prawdę miał wyznać, odpowiadał więc okólnikami i starał się wszystko w świetnych barwach malować.

Ucztowano długo; Kaźmirz wstał wreszcie, a Kochan, dodany posłowi za towarzysza, zaprowadził go do jego komnat dla spoczynku.

Nazajutrz ogromny orszak kilkuset jezdnych, wozy kryte, konie powodne, czeladź mnoga wyciągała z zamku na Wawelu. Wesele rozjaśniało twarze; spodziewano się dobrych, pięknych dni majowych nad Woltawą.

Król jechał otoczony panami, odmłodzony, szczęśliwy, i na progu kościoła wzięwszy biskupie błogosławieństwo, podniósł oczy śmiało ku niebu.

W mieście czekali nań rajcy, wójt, ławnicy, lud tłumnie zebrany. Żegnano go i błogosławiono, by żyw a zdrów z królową powracał. Śmiały się oczy i usta Kaźmirzowi i mijając, ręką pozdrawiał. Wtem pod ścianą starego domu zatrzymało się jego oko, twarz zbladła, usta zatrzęsły. Ukryty tak, jakby nie chciał być spostrzeżonym, stał w kącie mężczyzna bladej, czarnego włosa, oczu dzikich, ust zapadłych. Miał na sobie rycerską zbroję, a w ręku toporek, na którym się podpierał. Ujrzawszy króla, przycisnął się do ściany, twarz osłonił, lecz Kaźmirz spostrzegł go i jechał, jak rażony pociskiem. Nie widział już nic. Przed oczyma jego poszarpane ćwierci ciała ludzkich latały krwawe.

Świetną już i wspaniałą była owa „złota Praga“ nad Woltawą za króla Jana Luksemburczyka. Niewiele miast w Europie mogło się z nią równać.

Natura dała jej położenie uroczne, malownicze, jakby stworzone dla królewskiego grodu, a pokoleń kilka pracowało nad upiększeniem i wzrostem zamków, które panowały nad miastem, i murów, co je otaczały i zdobiły.

Zdała już mury te, najeżone wspaniałymi wieżami, wśród których wieżyca św. Szczepana i wyniosła przy św. Franciszku górowały, — dachy i dzwonnice licznych kościołów, ogromne, warowne ściany, dzielące stare miasto od nowego pod grodem, dawały wyobrażenie o potędze stolicy, która wkrótce ulubioną siedzibą cesarza Niemiec być miała.

Mury te były nie tylko ozdobą, ale rękojmią bezpieczeństwa, bo osłonięta niemi Praga w ówczesnym stanie sztuki wojennej i oblężniczej za niezdobytą uchodzić mogła. Poza temi grubemi ścianami, których wysokie wieże dzielnie bronić

dozwalały, mogły się bezpiecznie gromadzić bogactwa, jakie przemysł i handel sprowadzał.

Rycerskiego ducha królowi Janowi stolica taka przystała. Należał on do najmężniejszych, chciwych panowania, władzy, sławy i blasku monarchów współczesnych, ciągle potrzebował nowych wypraw, zdobyczy, gorączkowego zajęcia, namiętnie ściganego celu.

Praga była mu za ciasną jeszcze, nazbyt od świata odległą, ale z miłością ojcowską zdobył ją, rozszerzał i zazdrośnym był o panowanie nad nią. Gdy, zmuszony podzielić się władzą, zwierzył rządy Czech synowi Karolowi, margrabiemu morawskiemu, który wraz z małżonką swą Bianką wkrótce pozyskał wielką miłość narodu, Jan, niespokojny o współzawodnika we własnym synu, od rządów go wkrótce oddalił.

Lecz wnet znowu miał być zmuszonym do wypuszczenia z rąk tych wodzów, które tak zazdrośnie trzymał w rycerskiej dłoni. Rycerzowi nie szczęściło się. W czasie drugiego swego wesela z Beatrycą ranny silnie w turnieju, wkrótce potem cierpieć zaczął na oczy. Lekarz arabski, sprowadzony doń, pozbawił go prawego oka. *Vox populi* to nieszczęście przypisywał karze Bożej za mnogie świętokradzwa i zbytki.

Wkrótce i lewe oko cierpieć zaczęło. Nie pomogła podróż do lekarzy w Montpellier: król Jan właśnie teraz oślepl zupełnie. Nie przeszkadzało mu to prowadzonemu przez kompanów turnieju odprawiać i zabawiać się, jak dawniej, rycerskimi sprawami.

Przymierze z królem Kaźmirzem, które się teraz małżeństwem ściślej jeszcze skojarzyć miało, już od lat sześciu, od zjazdu w Wyszehradzie węgierskim trwało prawie nienaruszone. Naówczas to młody król po raz pono pierwszy odwiedzał Pragę, bawił w niej dni dziesiątek, przyjmowany wspaniale, rozmiłował się w obyczajach zachodnich, w oglądzie rycerskiego dworu, we wszystkich tych zdobyczach cywilizacji Zachodu, które w otoczeniu króla Jana go olśniewały.

Wówczas też może, widząc kwitnące miasta czeskie, wspaniałe grody, porządek i surową karność panującą tu, powziął szczęśliwą myśl zagospodarowania w podobny sposób własnego kraju.

Dwory węgierski i czeski były mu pewnie pierwszym wzorem do urządzenia polskiego. Bystry umysł jego widział,

co stąd wziąć mógł, a co odtrącić, co zastosować się dawało do Polski, a co jej nie przystało.

Lecz, jakkolwiek troiste przymierze między Węgry, Czechami a Polską pozornie istniało nienaruszone, nie było już ono tak ścisłe, jak w pierwszej chwili. Połączenie koron polskiej z węgierską, które już było osnute i ułożone staraniem siostry Kaźmirzowej, Elżbiety, nie mogło podobać się Janowi czeskiemu. Tworzyło ono siłę, która dlań niewygodną była.

Dlatego król Jan radził Kaźmirzowi, za wcześniej rozpaczającemu o płci męskiej potomka, ożenienie, a gdy własna córka jego Margareta owdowiała, starał się ją wyswatać polskiemu królowi.

Od kilku już dni księżna Margareta powróciła, ściągnięta przez ojca do Pragi. Przybyła, jakby na okazanie wstępu swego do nowego małżeństwa, w szatach żałobnych po mężu i po synu swym, którego niedawno straciła. Ojciec, który nie widział już nic, o żalobie się dowiedziawszy, zrzucić ją kazał.

On i margrabia Karol otaczali Margaretę najtroskliwszymi staraniami, pieścili, usiłując skłonić, ażeby Kaźmirzowi ślubowała, lecz wieści, jakie, w Bawarii będąc jeszcze, miała o Polsce Margareta, wcale ją do tego związku zachęcać nie mogły. Malowano jej kraj, jako dziki i pustynny, lasami zarosły, zimny i smutny, nędzny i ubogi, na ciągle wystawiony wojny i napady. Króla, jako pół poganina, który brał tyle, ile chciał i życie prowadził rozwiązłe.

Wcale inaczej mówił o Kaźmirzu król Jan i margrabia morawski. Chwalili go jak najszlachetniejszego serca, umysłu bystrego, najlepszymi chęciami ożywionego człowieka, pana wielkiego królestwa i ogromnych skarbów, na Rusi zdobytych. Samą zresztą osobę młodego pana, który rycersko i pięknie się przedstawiał, a w gonitwach i turniejach nikomu nie ustępował, król Jan wynosił i sławił.

Napróżno Margareta, ojca ściskając, zapewniała go, że zamaż iść nie chce. Despotyczny Jan żądał od córki poświęcenia dla interesu własnego i chciał ją widzieć koniecznie na królewskim tronie. Nie dawano jej prawie spocząć, odechnąć, rozmyślić się, nalegając o słowo.

Dość liczny dwór niewieści, po większej części z Niemiec złożony, ją otaczał. Pomiędzy temi paniami i pannami, rozdzielonemi na dwa obozy, jedne potakiwały wdowie, drugie,

idąc za rozkazaniem króla Jana, starały się ją do małżeństwa nakłonić.

Stara niegdyś piastunka Margaretę, pół Włoszka, pół Niemka, Agnes, przez przywiązanie do wychowanki, stawiała w jej obronie.

Co wieczora już osłabłą i złamaną wolą ojca i brata Margaretę na nowo pobudzała do uporów.

Lecz walka z ludźmi tak silnej woli i gorącego temperamentu, jakimi byli król Jan i syn jego Karol, dla słabej, znękaney kobiety za ciężką się stała, aby z niej zwycięską wyjść mogła.

Król Jan nalegał gniewnie, groził, przyszły los wdowy zależał od niego. Margrabia Karol wszystkie plotki o Kaźmierzu wyśmiewał. Żona jego Bianka niewieściami argumentami starała się Margaretę przekonać. Nie dano jej odetchnąć, zmuszono do dania słowa. Księżna w ostatku przyrzekła być ojcu posłuszną.

Natychmiast wyprawiono poselstwo do Krakowa, a król kazał czynić przygotowania do wesela.

Gdy Margaretę we łzach się rozpływała, na grodzie i w mieście już obmyślono wspaniałości, występy, z jakimi króla polskiego miano przyjmować, witać, zabawiać i obchodzić wesele.

Lecz dnia tego, gdy na niej wymozono słowo już się odwołać niedające, biedna Margaretę słabnąć zaczęła.

Ojciec osłepły nie mógł dostrzec na pięknej jej twarzy ani śladów łez, ani wewnętrznego ucisku; brat Karol brał to po męsku i wyrokował, że smutki i postrachy przejdą za przybyciem Kaźmirza.

Chwiejąc się, osłabła. Pierwszego dnia potem wyszła piękna Margaretę, milcząc, dla obiadowania z rodziną. Ojciec napróżno chciał ją do rozmowy nakłonić, odpowiadała półsłowami. Łzy chwilami wytryskały jej z oczu. Czuła się ofiarą.

Wreszcie usunąwszy się do swych komnat, księżna pozostała w nich do nocy. Agnes kazała się jej położyć, kobiety łoże otoczyły.

Nie dał się wiadomością o chorobie złamać król Jan, nie chciał zważać na nią. Dopytywał o przygotowania weselne. Margrabia Karol lekceważył też te kobiece dziwactwo.

Zdaniem ich obu, ukazanie się pięknego, młodego, szlachetnego Kaźmirza wszystkie przeciwko niemu powzięte uprzedzenia rozproszyć miało.

Zbliżył się wreszcie dzień przez jednych z taką trwogą, przez innych z taką oczekiwaną niecierpliwością.

Margareta na usilne prośby Bianki i brata podniosła się z łoża. Męczeństwo zdawało się już nieuniknione, postanowiła je znieść z rezygnacją.

Sam na sam ze starą Agnes, która swemi żałami nad nie-szczęśliwym losem zwiększała jeszcze trwogę, Margareta zapowiadała już rychłą śmierć swoją.

— Nie płacz, stara, — mówiła do niej — ja długo się męczyć nie będę. Ja się stąd nie dam wywieźć w ich straszne lasy i pustynie, na poniewierkę, na niewolę... Ja tu umrę.

Agnes za kolana ją ścisnęła, zachodząc się z płaczów i jęków.

Nie było ratunku. Król nie dawał nawet mówić sobie o zwłoce wesela dla choroby. Karol niecierpliwił się tylko dziwactwem siostry.

Jednego wieczora wreszcie goniec, wysłany naprzód przez Mikulasa z Lipy, wpadł na zamek, oznajmując królowi Janowi przyszłego zięcia przybycie.

Na uroczyste przyjęcie wszystko już gotowe było.

Oślepy król żałował, że sam naprzeciw Kaźmirza choć do miasta wyjechać nie mógł. Miał go w tem zastąpić syn, margrabia Karol, któremu towarzyszył wielki podkomorzy Jędrzych z Lipy, burgrabia Hynek i świetny orszak rycerski.

Dano znać do biskupiego dworu, aby duchowieństwo wystąpiło, aby uderzono we wszystkie po kościołach dzwony.

Gdy z wieścią tą wpadła do Margarety Bianka, biedna księżna zachwiała się i padła napół zemdlona.

Lecz rozkaz ojca był stanowczy. Dwór cały biegł jej posługiwać do ubrania. Król naglił, aby wyszła strojno ukazać się narzeczonemu.

Rozpaczliwe jakieś męstwo wstąpiło w niewiastę strwożoną i osłabłą. Porwała się z łoża i z brwią namarszczoną rozkazała podawać ubranie.

Było ono wcześniej przygotowanem, a obyczaj ówczesny wymagał, by córka królewska wystąpiła w największym przepychu i blasku. Suknia ze złotogłowiu, rąbki jak mgła przejrzyste, ciężkie klejnoty, naszyjniki z drogich kamieni, szeroki i wielki pas złoty, jakie wówczas noszono, purpurowy płaszcz szyty i bramowany wkładano z kolei na bladą ofiarę, która nic czuć, nic się zdawała nie wiedzieć, co się z nią działo.

Agnes płakała, przypadłszy w kącie, kobiety biegły, przypinając, wiążąc, nakładając na bezwładne ręce bogate kolce.

Wtem na mieście ozwały się dzwony, Margareta się zachwiała, służebne musiały ją podtrzymać, by nie padła.

Na zamku słychać było tętent koni i szczęk zbroi żelaznych. Margrabia Karol, cały odziany w błyszczącą wyłaczaną stal, z ogromnym pióropuszem skrzydlatym na hełmie, wyruszał z podwórców.

Król Kaźmirz, z promienistą, wesołą twarzą, odmłodzoną tą chwilą spodziewanego szczęścia, wjeżdżał do złotej Pragi, witany okrzykami niezliczonych ludu tłumów.

Wspaniale roztaczał się ów orszak polski, kapiący od złota, złożony z ludzi olbrzymiego wzrostu, pięknie dobranych twarzy, we wspaniałych strojach, we zbrojach wykwintnych, z tarczami na prawem ręku, na których topory, podkowy, księżyce, gryfy i lwy malowane widać było.

Kaźmirz jechał na białym koniu, oponą szkarłatną okrytym, na którym orły perłami szyte świeciły. Szyszak jego, obwiedziony koroną, miał też orła, zrywającego się do lotu, na szczycie. Otaczali go mężowie sędziwi, młodzież piękna, lud doborowy i liczny.

Trąby huczne zwiastowały przybycie. Przez ulice miasta zaledwie przecisnąć się można było, pod grodem czekał biskup Jan z Drażic, błogosławiąc i wiodąc na gród gościa.

W wielkiej dolnej sali stał zadumany król Jan, synowa jego Biana i blada, jak trup, i chwiejąca się Margareta.

Stała tak jak ofiara oczekująca kęta, gdy przed oknami sali przesunął się orszak, w dziedzińcu powstał zgłęb, Kaźmirz przybywał z Karolem.

Biana obawiała się o nią i zbliżyła, aby w potrzebie podać jej rękę pomocną. Lecz stało się, czego przewidzieć nie mogła; osłabła Margareta nagle drgnęła, odżyła, uczuła się dumną córką królewską, odzyskała siłę całą.

Stała blada, mężna, śmiała, patrząc gorączkowo otwartymi oczyma na wchodzących.

Wzrok jej padł i zatrzymał się na Kaźmirzu, który szedł szczęśliwy i rozradowany, jej szukając oczami. Odgadł ją pewnie, lecz wejrzenie, którem go powitała, raziło, jak cios w piersi wymierzony. Kaźmirz drgnął i zawahał się, idąc na powitanie króla Jana. Trwało to zaledwie oka mgnienie, żywiej jeszcze posunął się ku niej.

Margareta spuściła oczy.

Nie widziała już nic. Kazano jej podać rękę narzeczonemu. Wyciągnęła ją zimną i martwą. Mówił coś do niej, nie słyszała. Stał przy niej, nie spojrzała na niego.

Dokoła był wielki gwar i wołanie.

Na dany znak wszyscy ruszyli do zastawionych stołów i przy pierwszym z nich obok ojca posadzono nowożeńców. Margareta usiadła, ciągle oczy trzymając spuszczone. Słyszała szept jakiś, ale ust nie poruszyła.

Margrabia Karol pochylił się do ucha przybyłemu.

— Margareta była trochę chorą, — szepnął mu — nie zważajcie na jej trwogę. Obyczaj to kobiecy, drożyć się z sobą i udawać smutne, gdy są najszczęśliwsze.

Każmirz też był pełen najślıdszych nadziei; nie zawiedziono go, królowna wydawała mu się cudnie piękną...

Nazajutrz nikt już nie widział bladej Margarety. Obojętnie dosyć król Jan kazał oznajmić Kaźmirzowi, że księżna się czuła trochę niezdrową, lekarz nakazał jej spoczynek.

Dnia tego się wcale ukazać nie miała. Strwożył się król nieco. Kochana wyprawil na zwiady.

O naznaczeniu dnia wesela, które Kaźmirz chciał przyspieszyć, rozmówiono się krótko. Samowolny stary król, nie zważając na chorobę córki, chciał je koniecznie w dniu św. Małgorzaty, imiennym księżnej, odprawić. Pozostało dosyć czasu, aby się przygotować, przekonać i ozdrowić mogła.

Kaźmirz musiał przyjąć postanowienie przyszłego teścia i czekać św. Małgorzaty. Tymczasem nie szczędzono nic, aby koronowanego gościa i towarzyszków jego zabawić.

Miasto przybrało świąteczną powierzchowność. W rynku ustawiono stoły dla ludu, muzyki grały na gankach wież i bramach. Począty świetne przeciągały ulicami. Na zamku miała być uczta i turnieje, wieczorem śpiewy i tany.

Tego wymagał obyczaj dla gościa, choć choroba Małgorzaty wszystkim chmurzyła oblicza. Nie miała ona jeszcze groźnego charakteru i spodziewał się król, że wypoczynek, uspokojenie jutro pozwolą księżnie ukazać się na pokojach.

Kaźmirz, zmuszony udawać wesele, niespokojnym był mocno. Gdy się nie zmuszał do okazywania radości, nagle stawał zadumany i jak kamienny. Napróżno margrabia Karol usiłowal go rozerwać.

Plac do turnieju obwiedziony już był sznurami, sędziowie wybrani, tarcze mających się spotykać powywieszane.

Oba z margrabią obesзли go, wiodąc za sobą nieodstępny dwór, ale król polski zdawał się mało zajmować rycerską tą zabawą. Wrócili wkrótce oba do mieszkań margrabiiego, gdzie sam na sam spocząć i rozmawiać się mogli. Kaźmirz żądał tej rozmowy. Twarz jego teraz, gdy sami zostali, smutkiem się oblała.

— Margrabio mój, bracie serdeczny — rzekł z wywnętrzeniem, którego potrzebował. — Ty wiesz, jak mi drogie jest połączenie się z rodem waszym. Pragnąłem go, nie widząc Margarety; dziś, gdy ją zobaczył, mocniej jeszcze pożądam szczęścia tego... Lecz... księżna...

Karol podniósł prędko nań oczy.

— Czyż kobiet nie znasz? — odezwał się. — Mają one swe dziwactwa, mają słabostki, wiele im pobłażać należy. Margareta niedawno straciła dziecię. Miej cierpliwość.

— Pragnąłbym widzieć się, pomówić — rzekł Kaźmirz. — Mieć może uprzedzenia, ludzie są złośliwi, możebym potrafił uspokoić ją. Wszak nie jest tak chorą?

Karol podszedł ku drzwiom i marszałka swego do siostry wyprawił, oznajmując odwiedziny narzeczonego.

Tu wcale się ich nie spodziewano, księżna nie była ubrana, leżała w łóżku; siedziała przy niej stara Agnes. Gdy nadeszły nie prośby, ale rozkazy, musiano co prędzej przystroić księżnę, którą to natręctwo Kaźmirza rozgniewało; nie mówiąc nic, ale wejrzeniem piorunującym zmierzwszy posłankę, która jej wolę brata przyniosła, dozwoliła się przybrać jak chciano.

Naprawdę dobyto suknie, zawiązano włosy, przyniesiono klejnoty. Księżna ubierać się dała, nie objawiając woli żadnej, nie chcąc uczynić wyboru. Zamiast potem usiąść w krzesło dla przyjęcia króla, jak była ustrojona, położyła się na łóżku, sparła na białej ręce, niema a gniewna.

Margrabia Karol prowadził bladego Kaźmirza z sobą. Dwór Margarety, który otaczał jej łożo, odprawiono do przyległej komnaty. Kaźmirz zajął miejsce naprzeciw narzeczonej. Gotowe już były kosztowne dary, które wiozł dla Margarety. Niesiono je za nim. Sześciu młodych chłopaków, dobranych wzrostem i urodą, w kaftanach szkarłatnych, na których piastowskie białe orły były wyszyte, nieśli kute skrzynki z klejnotami, pootwierane już tak, aby wewnątrz nich leżące kosztowności widzieć było można.

Z rąk pierwszego z nich Kaźmirz wziął sam najpiękniejszą skrzynkę i z uśmiechem złożył ją u nóg księżnej. Chło-

paki, przyklękając przed nią, z kolei stawiali przyniesione dary.

Wszystko to nie wyglądało tak barbarzyńsko, tak ubogo, jak księżnie opowiadano. Z pewnem zdumieniem, drżąc, nie mówiąc nic, patrzała na klejnoty.

W istocie były one królowej godne. Z wnętrza skrzynek, wybitych jedwabnemi tkaninami, połyskiwały w ciężkich oprawach, na których wiły się emaljowane ozdoby, ogromne rubiny, szafiry, ametysty, szmaragdy, perły dziwnych kształtów, to białe, to różowo zabarwiane.

Wszystko to jednak zaledwie potrafiło zwrócić roztargnione księżnej oko. Skłoniła głowę zlekka na znak nieme-go podziękowania, lecz nie okazała radości, nie odezwała się ani słowem, nie poruszyła ku nim ręki.

Margrabia Karol, dobywszy pas ze skrzynki, rzucił go jej na kolana, żartobliwie twierdząc, iż przepasanie nim uzdrowić ją miało. Klejnot zsunął się z nich i padł z łoskotem na ziemię. Nie podniósł go nikt!

Każmirz, widząc tak jawną obojętność, rumienił się i blednął.

Margrabiemu zdało się, że najlepszym sposobem zbliżenia narzeczonych będzie zostawienie ich sam na sam z sobą. Usunął się więc w drugi koniec obszernej komnaty ku oknu, z którego ożywione świetnym dworem podwórze w świetle majowego poranka widać było.

Po odejściu brata raz pierwszy oczy Margarety podniosły się na Każmirza, trafiły właśnie na chwilę, w której król, dotknięty w swej dumie, siedział zaszepiony i groźny.

Oko księżnej, choć nie było łagodnem, zmieniło jednym wejrzeniem jego usposobienie.

Pochylił się, zapytując o zdrowie.

Księżna pomyślała nad odpowiedzią, usta się jej poruszyły i wyrazem ostrym odparła:

— Jestem chora, widzicie to sami. Będę chorą — dodała. — Sądzę, że wam potrzebaby innej żony... Ze mną smutek do domu weźmiecie...

— Mam nadzieję, że znajdą się u mnie środki rozproszenia go — rzekł Każmirz. — Wszystko, co wam może być przyjemnem.

— Mnie już nic przyjemnem nie jest — sucho przerwała księżna.

— Pozwólcie mi mieć nadzieję, że się to zmieni — rzekł król.

— To się zmienić nie może — odparła Margareta.

Słowom tym odpychające towarzyszyło wejrzenie. Kaźmirz zarumienił się, lecz pozostał panem siebie.

— Być może — odezwał się po chwili, — iż mnie i królestwo moje nieprzyjaciele źle wam odmalowali i że stąd powstał wstręt jakiś do mnie. Przekonacie się, że ludzie kłamią.

Księżna dumnie głową potrząsała, nogą, przy której leżał pas złoty, upadły na ziemię, popchnęła go niecierpliwie.

Zapatrzyła się w okno, umyślnie unikając spotkać króla oczy, które w nią były wlepione.

— Bywaliście na Węgrzech! — odezwała się z wyrazem przekąsu jakiegoś Margareta. — Mówią, że tam są niewiasty piękne bardzo. Dwór królowej Elżbiety obfitować w nie musi?

Kaźmirz zrozumiał przymówkę, ruszył ramionami pogardliwie i usiłował się uśmiechnąć.

— Jednakże — przerwał — piękniejszej nad was nie widziałem w życiu ani na węgierskim, ni na żadnym dworze.

Królewna odpowiedziała na tę grzeczność bladym, szycerczym uśmiechem.

— Miałabym wam przypomnieć kogo? — odparła złośliwie.

Kaźmirz, którego twarz za każdym takim pociskiem krew oblewała, starał się zachować spokój.

— Wasza miłość — rzekł — nie macie ani sobie podobnych, ni sobie równych.

— Od francuskich trubadurów uczyliście się grzeczności dla niewiast — odezwała się Margareta. — Wybaczcie mi, lecz sądzę, że królowi lepiejby szczerłość przystała.

Król namarszczył brwi, poruszony był mocno, żal i ból zabrzmiały w głosie jego.

— Pani moja — rzekł — jestem szczery, mówiąc wam, że w was położyłem jedyne szczęścia mego nadzieje. Litościwsza chciej być dla mnie. Mogę was zapewnić, że nawzajem o wasze szczęście starać się będę życiem całym.

To mówiąc, wstał król, a margrabia, usłyszawszy to poruszenie jego, zbliżył się do rozmawiających.

— Zostawmy Margaretę w spokoju — rzekł, spierając się na poręczy jej krzesła, — niech co prędzej stara się siły odzyskać, aby w dzień swej patronki gotową była podać wam rękę... Bo król, ojciec nasz, dzień ten naznaczył... Wola jego — dodał z naciskiem — spełnić się musi.

Margareta podniosła oczy na brata, odpowiadając mu tylko gniewnem wejrzeniem.

Król żegnał ją, żądał ręki. Zawahawszy się, podała mu księżna białą, wąską, wychudzoną, zimną, z widocznym przy-musem i wstrętem. Zaledwie pocałunek złożył na niej i odwrócił się, śpiesznie otarła ją o suknię. Margrabia Karol dostrzegł to i tylko ramionami poruszył.

Nazajutrz ponowiły się turnieje, a księżna była słabą ciążą. Królewski lekarz siedział przy niej. Nie przewidywano jednak nic złego. Zabawy były tem huczniejsze, iż król Jan chciał niemi w początku zatrzeć smutne wrażenie, jakie słabość córki wywierała.

Polski król spokój wielki udawać musiał, ale nie miał go w duszy.

Doniesienia Kochana, który w ciągu dnia umiał pod pozorami różnemi zbliżyć się do niego i szepnąć potajemnie słowa, coraz były bardziej zatrważające.

Choroba zdawała się rosnać i stawać groźniejszą. Na dworze jeszcze o tem mówić nie było wolno. Lecz na twarzy margrabiego Karola i żony jego Bianki widać było frasunek i strapienie, troskliwie tajone.

Następnego dnia Margareta była już prawie bezprzytomną, a lekarz przestraszony zwiastował drżącym głosem królowi, iż środki jego były wyczerpane, że niebezpieczeństwo groziło wielkie, wkońcu, iż należało zwrócić się tam z prośbą, gdzie jest wielka moc i siła, skąd płynie życie i przychodzi śmierć: do modlitwy, do Boga.

Król Jan, który od utraty wzroku stał się nabożniejszym, niż w ciągu życia, zadrżał i ręce załamał. Kazał się zaprowadzić do łóżka córki; nie poznała go.

Margrabia Karol z twarzą zmienioną przyszedł Kaźmirzowi zwiastować smutną nowinę.

Król, który nie przypuszczał, aby jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zagrazać mogło Margarecie, stanął oniemiały z rozpaczy i boleści. Ręce załamał i zakrył wnet twarz niemi.

— Jestem najnieszczęśliwszy z ludzi! — zawołał. — O mój Boże! jakże karzesz mnie srogo za grzechy moje!

Napróżno margrabia Karol uspokoić się go starał.

Dnia tego zabawy, igrzyska, gonitwy, wszystko zostało przerwane. Cisza głucha, złowroga, zapanowała na dworze.

Biskup Jan z Drażic przybył z Nowego Miasta do króla, ofiarując się z całym duchowieństwem czternastodniowem nabożeństwem, z procesjami, z wystawieniem relikwii błagać

Boga o odwrócenie ciosu, który królewskiej zagrażał rodzinie.

Rozkazy były już wydane, po wszystkich kościołach odzywały się dzwony; nagle wesołe wczoraj miasto okryła żałoba. Lud począł się cisnąć do krużganków, kaplic i kościołów. Duchowieństwo z chorągwiami i krzyżami, długimi sznurami, śpiewając pieśni, wyciągało już z Wyszehradu, od Św. Wita, Panny Marji, Św. Mikołaja.

Każmirz z całym dworem swoim pieszo udał się do zamkowego kościoła, wysławszy znaczną sumę dla zakupienia nabożeństwa.

Trwoga niewysłowiona ogarnęła wszystkich. Przychodziło to nagle, i z wesołości wczorajszej przejście do błagalnych modlitw było tak szybkie, iż wrażenie czyniło potężne. Ludzie widzieli w tem znowu jakiś palec Boży, karę za grzechy starego ślepcy, który tyle w żywocie swoim nabroił.

Lekarze zwołani najmniejszej już nie czynili nadziei. Gorączka, nie rzucając na chwilę chorej, rosła i wzmagala się. Nie poznawała ludzi, mówiła, płakała, krzyczała, zrywając się i żaląc, a wspomnienia przeszłości i teraźniejszości tak się mieszały w jej głowie, iż mąż umarły, narzeczony, dziecko, historia Amadejówny, obrazy męczeństwa groźnego płały się w nieskończonych wykrzykach, które służbę żeńską, zgromadzoną przy łożu, niemal też o szaleństwo przyprawiały.

Po tych wybuchach następowało osłabienie, zaniemnienie, i życie uchodzić się zdawało, by natychmiast znów powrócić odgłosem boleści.

Wypadek ten, nawet na dworze tak karnym i do ładu wdrożonym, jakim był dwór króla Jana, wywołał nieład i zamieszanie. Ślepy król naprzemiany burzył się gniewem, i wsparty na rękach, pograżał się w myślach dręczących. Sumienie wyrzucało mu, iż uporem swym spowodził chorobę, miał być może przyczyną śmierci córki.

Przy Kaźmirzu jeden teraz margrabia Karol pozostał na straży. Starał się go pocieszać. Choroba przesiłać się mogła. Modlitwy duchowieństwa, śluby, procesje, relikwie świętych, na pomoc wezwane, nie mogły być nadaremne.

W istocie rozkaz biskupa, przykład zakonów, które natychmiast rozpoczęły nieustające błagalne nabożeństwa, poruszył całą tę ludność, która zbiegła się do miasta dla oglądania wesela, a trafiła na grozę żałoby.

Napełniły się świątynie wszystkie, dzwony biły, szerząc jeszcze niepokój i trwogę.

Gdy około łoża chorej z margrabiną Bianką cały dwór niewieści się skupiał, a na stołach koło chorej rozkładano przyniesione z kościołów relikwie, Kaźmirz siedział większą część dnia sam, lub razem z milczącym ojcem, bolejąc.

Myśl ta prześladowająca go, iż straszna przepowiednia ziścić się miała, przejmowała zabobonną niemal trwogą do głębi duszy. Los prześladował go. W uszach brzmiało mściwe, straszne, niezapomniane owe Amadejów nazwisko.

Kochan, który stał na straży, nie śmiał się odzywać, patrzył tylko i czekał. Lecz napróżno. Król nie widział nikogo, tak był zatopiony w sobie. Wielka radość, nadzieje, z którymi jechał, śpiesząc tu, wszystko jedna chwila nieszczęsna jakas zgruchotała.

Niekiedy przybiegali ludzie z lepszymi i pocieszającymi wieściami. Królowna spoczywała, usypiała, choroba obiecywała się przesilić. Naówczas nadzieja wstępowała w serce. Bóg się zlitował, modlitwy były wysłuchane. Trochę spokoju przynosiło ulgę. Król Jan przysyłał od siebie, przychodził margrabia, zbiegali się posłańcy. Wszyscy zdawali się odzywać.

Lecz trwało to krótko; następnych dni wybuchy gorączki wprawdzie ustały, gwałtowność się ich zmniejszyła, osłabienie jednak wzrastało. Siły się wyczerpywały, lekarze nie wróżyli nic dobrego.

Nabożeństwa nie ustawały.

Pomimo że mu to odradzano i niebardzo dopuścić chciano odwiedzin chorej Margaretę, aby widok jej tem większego na królu nie zrobił wrażenia, Kaźmirz dopominał się o to jako narzeczony, żądał tak uparcie, tak natarczywie, iż margrabina Bianka poprowadziła go z sobą.

W ciemnej z osłoniętymi oknami, niskiej, sklepionej komnacie, którą lampki palące się przed obrazami i trochę światła przedzierającego się przez opony słabo rozjaśniały, na łożu, otoczonem przez kobiety klęczące i stojące dokoła, spoczywała blada księżna, której cierpienie wewnętrzne niekiedy gwałtownymi ruchami i zmianą twarzy się zdradzało. Oczy jej to się otwierały i nieruchomie wlepione patrzyły, nie widząc, to zamykały, jakby usypiała. Lecz sen ten nie był spoczynkiem. Rzuciła się niespokojnie, białemi rękami konwulsyjnie chwytając okrycia, które kobiety co chwila poprawiać musiały.

Błade jej oblicze było tak szlachetnie pięknem jak dawniej, lecz cierpienie nadawało mu wyraz litość obudzający.

Jeden z duchownych dworskich siedział u ołtarza, odmawiając modlitwy, może oczekując na chwilę, w której umysł chorej odzyskałby przytomność.

W cichości zbliżył się Kaźmirz, idący za Bianką, aż do samego łoża. Chora jakby uczuła przytomność jego, otworzyła oczy szeroko, z ust dobył się słaby głos i gwałtownie odwróciła się na drugą stronę łoża.

Kaźmirz zbladł.

Stali tak, oczekując jakiejś oznaki pocieszającej. Bianka rozpytywała kobiety, które za całą odpowiedź płakały.

Wkrótce potem stłumiony głos chorej dał się słyszeć. Wołała jak zdyszana przerywanemi wyrazami:

— Nie chcę — nie chcę — zdejmcie mi pierścień — dary odnieście... Tu umrę, nie powiozają mnie... kręw... kręw...

Na królu czyniło to wrażenie tak silne, iż po chwili ustać musiał... Wyszedł stąd oślepy, ogłuszony, z oczyma zamglonemi, z sercem ściśniętem.

Nie mówiąc nic do nikogo, powłókł się zamknąć w swych izbach...

Wieczorem z orszakiem całym udał się na nabożeństwo do ołtarza świętych Stanisława i Oswalda w kościele Św. Wita. Królewską ofiarę złożył dla duchownych, którzy błagalne litanje odśpiewali.

— Nastąpiła noc — noc milcząca, ale bezsenna dla wszystkich na zamku. Król Jan siedział, co chwila posyłając dowiedzieć się o zdrowie córki. Kaźmirzowi przynosił wieści Kochan. Margrabia Karol przychodził go pocieszać. Po wszystkich kościołach paliły się światła i odprawiały nabożeństwa.

Nazajutrz był dzień św. Zofji, piękny, jasny, majowy, słoneczny dzień, lecz o słońca wschodzie uderzyły wszystkie dzwony na starej i nowej Pradze, na Wyszehradzie, na Grodzie, uderzyły jękiem żalobnym.

Księżna Margareta — nie żyła.

Do ostatniej chwili przerażony ojciec i zboleły narzeczonny mieli jakąś nadzieję cudu. Gdy straszna wiadomość o śmierci księżnej rozeszła się po zamku, i płacz niewiast, całego dworu, czeladzi, zwiastował ją — król Jan padł na kolana, łkając. Syn podnieść musiał ojca...

— Prowadźcie mnie do niego — zawołał, przemagając ból — on także, jak ja, ten cios czuć musi...

Prawie razem z wiadomością o zgonie Margarety ojciec jej i brat weszli do izby, w której Kaźmirz rozpaczał.

Rzucił się on do kolan starca, łkając i rozgorączkowany...

— Ty, którego ja ojcem mym zwałem — odezwał się — i którego i teraz ojcem mieć chcę, ty jeden pojmiesz boleść moją. Niema Margarety! a z nią poszły wszystkie nadzieje, całe szczęście moje, cała przyszłość rodu mojego!

Sami zboleli i rozłzawieni, stary król, syn jego i Kaźmirz, ściskać się i obejmować zaczęli.

Margrabia ze wszystkich najwięcej zachował spokoju i pomiarkowania w rozpacz. I jemu żal było tego ślicznego kwiatu, ściętego na młodej łodydze, lecz życia wymagania powoływały go. On tu jeden miał przytomność jeszcze...

Stary Jan, ten rycerz nieulekniony, który nieraz na śmierć się narażał z heroiczną odwagą, złamany był — bezsilny.

Kaźmirz, w kwiecie wieku, ale już tyle przeżywszy i przecierpiawszy, uginał się pod tym ciosem, nie tylko stratę narzeczonej, ale wróżbę złą w tem upatrując dla siebie. Mimo-wolnie przychodziło mu to na usta...

— Ojciec mój, — wołał, obejmując jęczącego starca — ojciec mój, użał się nade mną. Niezasłużone jakieś przekleństwo wisi nad głową moją, zginąć więc muszę ostatni z rodu, a państwo moje pójść w obce ręce...

— Nie — odparł stary Jan, którego syn zmusił usiąść, bojąc się, aby mu sił po bezsenności i cierpieniach nie zabrakło — nie! Nazwałeś mnie ojcem, chciałem ci nim być, dać własną córkę; Bóg moje najlepsze chęci zniweczył, lecz nie wyrzeknę się ani tytułu tego, ani jego obowiązków.

Wtem margrabia Karol wtrącił:

— Bracie mój, bo i ja nie wyrzekam się braterstwa z tobą — daj słusznemu żalowi przeminąć... Ja i król, ojciec mój, będziemy się starać wyszukać ci żony... Ożenim cię... zadasz kłam przepowiedniom nierozsądnym i złośliwym... Nie dopuścim tego, aby królestwo twoje...

Stary Jan począł w tej chwili żywo:

— Dobrze mówi Karol... niech nas ta wspólna boleść połączy, poprzysięgnijmy sobie braterstwo... Ja i Karol wyszukamy ci małżonki.

Kaźmirz chwycił rękę Jana.

— A ja na pamięć tej drogiej zmarłej, której mi nikt nie zastąpi, przysięgam wam, że z ręki waszej przyjmę narzeczoną, jaką mi dacie... Ona będzie nowym węzłem między mną a wami...

Tak, przy zaledwie ostyglych zwłokach, już margrabia Karol rzucił myśl dla polityki swej potrzebną i mającą związek pomiędzy Polską a Luksemburczykami utrzymać.

Każmirz przyjął ją ze ślepem zaufaniem, pod ciężarem przepowiedni i trwogi zejścia bezpotomnym. Córka, pozostawiona mu przez Aldonę, nie mogła wziąć na skronie korony, której obrona męskiej potrzebowała dłoni...

Z równie wielkim żalem, jak przed chwilą radość była, pogrzebowe odbyły się obrządki. Każmirz pozostał, aby zwłoki narzeczonej odprowadzić do grobu królewskiego na Zbrasławiu.

Ponowiono jeszcze po smutnym obrzędzie zapewnienia przymierza i nierozzerwanej przyjaźni, a Jan i Karol zobowiązali się uroczyście wynaleźć dla króla nową narzeczoną, którą on z ich rąk przyjąć miał bez wyboru.

Pożegnanie było uroczyste i najczulsze, lecz orszak polski, który z triumfem, weselem i wrzawą wjeżdżał do złotej Pragi, wyciągnął z niej rankiem, pocichu, przeprowadzony przez margrabiego Karola, odziany żałobą i smutny.

Król Każmirz we wszystkich litość obudził. Wprawdzie, po przemożeniu pierwszego wybuchu rozpacz, odzyskał on męstwo i siłę ducha, lecz głęboki smutek czynił go martwym na wszystko.

Jechał, dając się prowadzić, nie okazując niczem zajęcia, zobojętniały i pogrążony w sobie.

Takim na pierwszym noclegu na czeskiej ziemi wieczorem znalazł go ulubiony mu powiernik, ksiądz Suchywilk, Grzymalita, który mu towarzyszył do Pragi.

Był to jeden z najpoważniejszych i najuczciwszych swojego czasu duchownych, mąż dobrej rady, nieskazitelnego charakteru, a wielkiego przywiązania do Każmirza, który mu miłość jego dla siebie zupełnem odpłacał zaufaniem.

Jak wuj jego, arcybiskup Bogorja, tak i on kształcił się zagranicą w Bononji, Padwie i Rzymie dokończył nauki, a oprócz suchej ich treści, przywiózł z sobą zdrowe i żywe pojęcie wszystkiego, czego własny kraj wymagał.

Wielkiej siły ducha mąż, umiejący prawdę mówić i nie zniżając się nigdy do pochlebstwa — cenionym był przez króla wysoko. Szanował go Każmirz i często mu był posłuszny. Sama postać jego wrażała uszanowanie i oznaczała męża charakteru energicznego a nieuleknionego. Król po nim miękkiej pociechy innych spodziewać się nie mógł.

Suchywilk, wszedłszy do izby, w której siedział pogrążony w sobie król, — popatrzył nań chwilę, nim się zbliżył.

Wstydząc się swojego tak jawnie słabość odkrywającego smutku, król powstał, zmuszając się do uprzejmego uśmiechu. Kochan, który stał u proga, czuł się tu już niepotrzebnym i zniknął.

Zostali sami. Czas jakiś Grzymalita milczał.

— Miłościwy panie, — odezwał się, mierząc króla swem spokojnem wejrzeniem — nie trzeba się tak poddawać boleści, choć jest ona bardzo usprawiedliwioną. Lecz taka kolej rzeczy ludzkich, są takie losy nasze; nic na ziemi niema pewnego. Bóg doświadcza i próbuje.

Po tej przemowie Suchywilk począł zwolna:

— Ludziom, co dla siebie żyją, boleć i lubować się w boleściach swych jest wolno, nie wam, nie nam. Kapłani i królowie synami są Bożymi. Mocarze w dłoni trzymają losy państw... Macie, miłość wasza, co czynić... Kraj cały odłogiem leży, czeka na was... Nie godzi się wam nad własną niedolą lzy wylewać.

Każmirzowi oczy zabłysły, począł słuchać z uwagą. Książd mówił dalej, ożywiając się:

— Miłościwy panie... pomyślcie o owczarni waszej, a ból wasz własny nie da się wam uczuć tak uciskająco i przynębiająco.

— Ojciec mój, — odezwał się Kaźmirz — macie słuszość, lecz są cierpienia nad siły...

— Siły wola wywołuje, a ta od człowieka zależy — rzekł Suchywilk.

— Wnijdźcie w położenie moje... Ta groźba straszna, iż mogę być ostatnim z rodu mojego! — szepnął Kaźmirz. — W chwili, gdy m sądził, iż przeczucia przełamie, gdy m miał nadzieję.

— Ale nadzieja straconą nie jest — rzekł energicznie duchowny. — Przeczucia i przepowiednie są to pokusy szatana. Bóg rzadko objawia przyszłość, a gdy to czyni, dzieje się objawienie jej przez usta poświęcone i wiary godne. Lecz wy, królu miłościwy, — dodał — gdyby nawet, od czego Bóg uchroni, ta jakaś przepowiednia ziścić się miała, możecie po sobie zostawić więcej niż potomka, więcej niż potomstwo, — dzieło wasze, pamięć spraw wielkich, dłużej trwającą, niż rody.

Król spojrział nań z ożywieniem i ciekawością.

— Cóż ja uczynić mogę? — zapytał smutnie.

— Tu, u nas, w tej Polsce, ledwie do kupy jako tako orę-
żem ojca waszego sklejonej? — odparł Suchywilk z mocą
wielką. — Pytacie, miłościwy królu, co czynić? Aliści żywota
ludzkiego najdłuższego nie starczy na to, co tu jest do czy-
nienia! Miłościwy królu, widzieliście to miasto Pragę tak
wspaniale się wznoszące, alboż my miast takich mieć nie mo-
żemy i nie powinniśmy? Wszystko u nas odłogiem! Cóż to
są te zamki nasze, stosy drzewa, jakby na opał przygotowa-
nego? Szkół u nas mało, kraj na pół pusty, ludu mało,
ściągnąć go trzeba...

Każmirz słuchał, ożywiając się.

— Naostatek, miłościwy panie, — dodał kapłan — gdzież
u nas prawa są? Inne kraje mają je spisane, u nas każdy
sędzia podług jakiegoś starego obyczaju inaczej sądzi... jako
sam chce. Jakież to królestwo jedno, gdy w niem zwyczaj-
ów tyle, a pisanego prawa albo niema, albo je sobie pisar-
czyki notują dla pamięci, jak się im podoba, a potem te ich
mazaniny służą za kodeksa? Alboż i to godzi się, żeby nasze
mieszczanstwo, gdy się sądzi, a wyrokom nierade, do Magde-
burga pod cudze panowanie słało z apelacją?

Suchywilk, który równie biegłym teologiem jak prawni-
kiem był, mówiąc o tym przedmiocie, mimowolnie się za-
pędził.

Zmiarkował sam prędko, że nie pora była królowi szcze-
góły te teraz stawiać przed oczy i zwrócił mowę swą inaczej.

— Ojciec wasz wojował, — rzekł — wy budować musicie
i gospodarzyć. Alboż to nie boleśnie nam słuchać, gdy obcy,
o kraju naszym rozpowiadając, dzikim go zwa, barbarzyń-
skim, zarosłym, niewytrzebionym, napół pogańskim? Albo
nie wstyd, gdy nam gościńców naszych niebezpieczeństwa
i niewygody zarzucają w oczy? Rzemiosł u nas mało,
wszystko u obcych kupować musimy...

Każmirz zdał się zapominać o swej boleści.

— Ojcie mój, — przerwał — to ty wiesz najlepiej, bom
ci się nieraz spowiadał z myśli moich, że całą żądzą mą
i staraniem było i jest, na ten cel pokój utrzymać, okupić
go, aby lud ubogi się wzmógł, bezpiecznie zasiedlił, wzboga-
cił! Pragnę tego wszystkiego, co wy, lecz jak i czem tak wiele
rzeczy razem dokonać możemy?

— Jak? — zawołał Suchywilk. — Rozpoczynając od naj-
pilniejszego! Wasza miłość daliście najeżdżanym i pustoszo-
nym ziemiom wytchnienie, to już dobrodziejstwo wielkie.
Zważmy, co czynić i bierzmy się do dzieła.

Król się zadumał.

Widocznie było, że Grzymalita zręcznie potrafił odwrócić myśl jego od tych dręczących wspomnień, co ją zajmowały. W Kaźmirzu odezwało się to, co go od młodości obchodziło najżywiej, chęć podźwignięcia kraju i postawienia go narówni z innemi królestwami w Europie.

— Cóż więc najpilniejsze? — zapytał.

Suchywilk spojrział nań.

— Chleb i zamożność da nam pokój — odezwał się — a po nich co najpierwszą wszelkiego kraju potrzebą?

Kaźmirz łatwo mógł w myśli mówiącego trafić, wiedział, co go najbliżiej obchodziło zawsze.

— Sprawiedliwość — odparł nieśmiało.

— Tak jest — odparł Suchywilk z radością. — Miłość wasza nieśmiertelną po sobie zostawić możesz spuściznę Polsce. Prawa jej daj!

Kaźmirz powstał odżywiony.

— Dobrze, — rzekł — lecz wy mi będziecie do wielkiego dzieła pomocą. Pocięgą ono dla mnie się stanie...

Zamilkł. Książd przedłużył rozmowę, znalazłszy w niej dzielne lekarstwo.

— Prawa pisanego tak jak nie mamy — rzekł. — Co gdzie jest z ust i tradycyj ludzkich pozbieranego, jedno się drugiego nie trzyma, trzeba to zebrać, zjednoczyć, zlać, aby jak król jeden jest, prawo było jedno...

Kaźmirz począł go ścisnąć.

— Pomóż mi — zawołał — pomóż! Trzeba, aby to prawo osłoniło lud biedny, kmiecie wzięło w opiekę. Na tom umierającemu ojcu słowo dał, iż bronić go będę...

— Chrystus ten lud, jak nas, Krwią Przenajświętszą odkupił — dodał kapłan.

Taką rozmowę Suchywilk zajął króla do nocy.

Nazajutrz rozpoczął ją znowu. Kaźmirz sam wznowił chętnie przedmiot ten, do którego ciągnęło go serce i pocziwa chęć zostawienia po sobie pamięci dobrej.

Tak dojechali do Krakowa. Stolica, do której spodziewał się, wyjeżdżając z niej, powracać szczęśliwy obok młodej małżonki, wznowiła bolesne wspomnienia. Zatrzymać się kazał na drodze, aby przybyć ukradkiem, nocą, wprost na Wawel pusty... do swej sierotki, której matkę obiecał.

Są nieuniknione ciosy.

W bramie miejskiej król podniósł oczy na przemykają-

cego się w przeciwnym kierunku rycerza, który uciekać się zdawał.

Mignęła przed nim blada twarz, kruczemi włosami otoczona, a przed oczyma znowu ukazały się krwawe, poszarpane ciała.

W przemykającym się król poznał — Amadeja!

Na przyjęcie króla nie wyjechał nikt, Kaźmirz zakazał, by go witano. W progu tylko spotkał wiernego swego Mikołaja Wierzynka, który nisko mu się do kolan pokłonił, nie mówiąc słowa.

Spojrzeli na siebie; wierny sługa z oczów pana wyczytał całe smutne dzieje tej podróży, która żałobnym dzwonów dźwiękiem się skończyła, jak pogrzeb!

W I A D U C H

Na Prądniku pod Krakowem siedział naówczas zdawna już tam osiadły kmieć, a było mu na imię Aleksy, ludzie zaś zwali go pospolicie Leksa i dali, jak to było naówczas zwyczajem, przezwisko Wiaducha. Oznaczało ono, że Leksa ów wiele znał, wiedział wiele i w kaszy się zjeść nie dał.

Kmieć był bardzo zamożny, lecz, jak inni, do szczytu się żadnego nie przyznawał, ziemianinem się nie zwał, owszem z rodzajem dumy powtarzał, że z pradziadów jest kmieciem.

I nosił się tak, aby nikt omylić się nie mógł, a nie wziął go za kogo innego, niż był. Więc i czapka była pospolitego kroju, i sukmana taka, jaką pospolity lud nosił, i miasto oręża kij z obuszkiem.

Choć ubożsi chłopkowie nisko mu się kłaniali, a niejednen soltys pozdrawiał go panem bratem, Wiaduch taką naturę miał, że najchętniej z małymi ludźmi przestawał, bronił ich, swoimi zwał, a kto się nad nimi znęcał, tego cierpieć nie mógł.

Nikt nad niego lepiej nie znał wszystkich starych ziem zwyczajów, podań, śpiewów i praw, które, niepisane, pokolenia podawały pokoleniom.

Zaszła-li jaka w tem wątpliwość, jak w dym się do Wiaducha udawano. On rzekł, nie było już o co pytać innych, nikt się nie sprzeczał.

W chacie było dostatnio, ale Leksa pilnie strzegł, aby nad chłopską potrzebę nic tu nie weszło. Sama też chata wyglądała tak biednie, że niktby się po niej rzeczywistego dostatku gospodarza nie domyślił.

Wiaduch powiadał chytrze, że dla pięknych skórek zwierza zabijają, i że kto mądry, ten się z tem, co ma, nie chwali.

Starej swej połatanej sukmany nie zrzucał, chyba, gdy szło o chwałę Bożą, do kościoła na wielkie święta.

Babę jego, niemłodą już niewiastę, którą sobie dobrał do pary rozumnie, choć imię jej było na chrzcie Marja, a gdy dziewczuchą chodziła, Maruchna, że się stała na starość gderliwą, opryskliwą, a bardzo zabiegłą gospodynią była, przewzano też Garusnicą.

Wiaduch ciągle się z nią o coś spierał, kłócili się do spotkania, ale kochali bardzo i żyć bez siebie nie mogli.

Starym dwojgu dał Pan Bóg naprzód syna, którego proboszcz, że się jakoś jesienią narodził, ochrzcił Marcinem. Zamłodu wabiono go Cinkiem; ludzie, że był hoży, dorodny, bo się jakoś nie wdał w ojca, nazwali go Ciarachem i przylgnęło to do niego.

O wiele młodsza córka, śliczne dziewczę, tyle tylko, że niebardzo wyrosłe i silne, nad czem matka mocno ubolewała, zwano Bogną, ale, jak to po wsiach się dzieje, bywało dawniej i po szlacheckich dworach, i jej dano imienisko przydatkowe, Gierki. Znaczyło ono coś, jak jej własne w języku ludu.

Wiaduch siedział na kilku łanach ziemi, która, jak on twierdził, od wieków do jego rodu należała, ale Toporczyk Neorża, który później sandomierskim wojewodą był, w sąsiedztwie ziemi swoje mający, utrzymywał, że łany te do niego należały, że puszczane były tylko kmieciowi, który z nich i płacić był obowiązany, coś tam dawać, i posługi pewne pełnić.

Wszystko to, razem wzięte, snać nie tak wiele stanowiło dla Wiaducha, bo choć ziemię miał za swoją, Neorży coś dawał i do sądu z nim nie szedł.

Tak się to ciągnęło.

Toporczyka samego rzadko kmieć widywał, słyszał o nim wiele, znał go dobrze, lecz unikał spotkania, a urzędników jego umiał sobie jednać.

Wogóle, choć mówił śmiało i ludziom się do zbytku nie kłaniał, zwad i sądów unikał, sędziów nie lubił.

Gospodarstwo było u niego lepsze, niż u innych, dobytku dużo, a że na targu wszystko się łatwo i prędko sprzedawało, choć trzeba było Neorżę zaspokoić, urzędników

smarować, dziesięcinę do kościoła oddać, a nieraz i podwo-
dzie obronić, Wiaduch miał się dobrze.

Jednego wieczora, gdy właśnie Wiaduch (bo to było na jesieni) powracał z plugiem do chaty, syna mając przy sobie i parobka, a Garuśnica, która była wieczerzę przygotowała, stała w progu, męża za coś strofując — na drodze się uka-
zał mężczyzna, prędzej młody niż stary, lat nad trzydzieści mieć mogący, który konia kulejącego za uzdę prowadził.

Ubrany był tak, jak się dostatni ziemianie odziewać zwy-
kli, czysto bardzo, i z przyboru widać było, że z łowów po-
wracać musiał.

Zmęczony był, a że koń ledwie na nogi stąpał, zatrzymał się we wrotach, przypatrując chacie, jakby miarkował, czy też znajdzie przytułek chwilowy. Stary Wiaduch, Ciarach, parobek Wąż i Garuśnica obrócili się wszyscy, ciekawie mie-
rząc oczyma podróżnego.

Twarz, choć pańska, podobala się Leksie, który, gdy kto w nim na wejrzenie wstręt obudzał, nie śpieszył nigdy ku niemu.

— Hej! głodny jestem i zmęczony — odezwał się stojący za płotem, — nie dalibyście mi spocząć i zjeść cokolwiek? Zapłacę dobrze...

Wiaduch przybliżył się, pozdrawiając go, jak należało, lecz swoim obyczajem bez zbytniej uniżoności. A był jakoś wesolej myśli.

— I bez zapłaty — rzekł — człek przecie człeka głodnego od progu nie odpycha. Ale, miłościwy mój, wy, jak to z sukni widać i z twarzy, ani w chacie dymnej odpoczywać, ani z glinianej misy drewnianą łyżką jeść nie zwykliście.

— Ho! — rozśmiał się dobrodusznie za płotem stojący. — Głód nie patrzy misy, a zmęczenie strzechy i posłania nie wybiera.

Wiaduch zwrócił się do starej Garuśnicy.

— No, babo — rzekł, — abyś wstydu nie miała! jest co jeść dla takiego władzyki?

O ile Wiaduch się ze swą zamożnością tail, o tyle stara Garuśnica lubiła się z nią popisywać. A przytem i naprze-
kór czasem staremu coś zrobić rada była.

— Ale, ale — rzekła — nie ogaduj własnej chaty... Ja się nie powstydzę, choćby sam Neorża na wieczerzę się wprosił.

Usłyszawszy Neorży nazwisko, podróżny spytał:

— Neorża! a skądże go znacie?

— Jak go nie mam znać — odparł Wiaduch, — przecież on uparcie chce się moim panem zwać, choć ja w to nie wierzę, bom sobie kmieć wolny; ale trudno mu wojnę wydawać.

To mówiąc, stary wrota na podwórko otworzył i podróżny wszedł, kulejącego mocno konia prowadząc za sobą. Wziął go zaraz Ciarach, bo mu żal było bardzo pięknej szkapy, jakiej podobnej w życiu w rękę nie miał i ująwszy za chorą nogę, począł się kopytu przypatrywać.

Po krótkiem badaniu zabity w nią cierń ostry zręcznie dobył bez pomocy żadnego narzędzia i zawołał wesoło:

— Nic mu nie będzie, tylko tłustością zalać potrzeba.

Z ciekawością się temu przypatrujący podróżny zawołał wesoło:

— Bóg zapłać! bo mi koń bardzo miły, a nie radem go widzieć kaleką.

Szli więc do chaty. Wiaduch go prowadził, ale podróżny ów, jakgdyby po raz pierwszy w życiu na wsi był, szedł bardzo powoli, z niezmiernem zajęciem przypatrując się wszystkiemu.

Stawał, spoglądał, a choć nie pytał, widać było, że mu się to wszystko osobliwem wydawało.

Chata Wiaducha, tak jak on sam, nie odznaczała się niczem od pospolitych chłozyn kmieciów, chyba tem, że w niej sprzęt zwykły był czysty, mocno i porządnie zrobiony, niezszarżany i cały.

Jak we dworach, ławy były dokoła, stół w jednym rogu świetlicy, ognisko w drugim. Podłogę zastępowało klepisko dobrze ubite i twarde. U drzwi, jak wszędzie, stało wiadro ze świeżą wodą i czerpakiem, na policach garncarskie naczynia, dalej łyżki, dzbanki i kubki drewniane, czerwono ozdobione, smołą wylewane. Na stole widać było bochenek chleba świeżego, dobrze nadkrojony, nóż przy nim i sól szarą w drobnych grudkach, bo tę lud naówczas za lepszą i oszczędniejszą uważał.

Wszedłszy do izby, podróżny znowu się, dokoła obracając, rozpatrywał, a Wiaduch nie spuszczał go z oka. Narreszcie, gdy obejrzawszy się, siadł na ławie, gospodarz, wprawdzie opodał, usadowił się także.

Jak podróżny chacie, tak Wiaduch jemu pilno się przyglądał; rad był wiedzieć, co za jednego miał w gościnie. Dostatek na nim widać było — ziemianina mógł się domyślać, ale i mieszczaństwo niektóre też się z pańska nosiło.

Podróżny, skinąwszy z uśmiechem głową gospodarzowi,

dosyć niezgrabnie wziął się do ukrojenia sobie kawałka chleba, posypał go solą i począł jeść chciwie.

— Nie rozkazując wam, jeżeli łaska — rzekł grzecznie gospodarz — zdaleka miłościwy pan?

Gość wskazał w stronę Krakowa.

— Od Krakowa — rzekł.

— Pewnie ziemianin tuteczny? — odparł Wiaduch.

— Nie! — głową potrząsając, rzekł zajądający.

Zdziwił się Leksa, pomyślał, że pewnie urzędnika jakiegoś ma przed sobą.

— Juści nie mieszczanin... — zamruczał — to widać.

— No, — rozśmiał się badany — nie jestemci, prawda, mieszczaninem, ale przecie od miasta jestem...

Powiedzieć jakoś nie chciał, kto był, i Wiaduch dał mu pokój. Wiedział, że ziemianinem nie był, to mu starczyło.

— A wam jak się tu dzieje? — zapytał z kolei gość. — Dużo ciężarów na sobie macie? Płacicie co Neorzy? To człek żądny grosza?

— Znacie go, miłościwy panie, — rozśmiał się Wiaduch — ale który z nich inny! Każdyby rad wziąć, czego sam nie zapracował! I nie dziw, potrzeba im dużo. A z czego by te szaty mieli piękne, i woźniki, i stroje, i klejnoty, i dobre jadlo i napitek zamorski?

— Gospodarka dobrze idzie? — badał dalej gość.

— A no, idzie i kuleje: różnie bywa — mówił poufale kmieć. — Pracować trzeba, bo człowiek i na siebie i na dzieci, na grad, na burzę, na złodzieja, na pana Neorzę i na księdza musi zarobić... Wszyscy żyją z nas... Bywają i głodne lata — westchnął Wiaduch i ciągnął dalej: — U mnie to tam jeszcze ziarna w zapasie trochę jest, a drudzy na przednówku czasem i trawę gotują, zielsko i korę tartą jedzą... a z głodu mrą; który Boga w sercu nie ma, naówczas rozbija.

Rozśmiał się słuchający i dodał butno:

— Nie dziw, bo ziemianie a rycerstwo, często i głodu nie znając, rozbijają po gościńcach.

Zdawało się to śmiało powiedzenie dziwić gospodarza; pomyślał w duchu, że juści sałn on do rycerstwa należeć nie mógł, kiedy się tak o niem odzywał.

Spojrzał bystro.

— Miłościwy mój, — odezwał się poufale — panom ziemianom się nie dziwować. Wszakci to z przeproszeniem

i bydlę, gdy się dobrze naje, bryka a dokazuje. Im ci też tu w tem naszym królestwie nieźle się dzieje.

Po namyśle poprawił się Wiaduch:

— Pono tak i wszędzie na świecie.

— Tak jest, — potwierdził gość — w innych ziemiach tak samo, albo i gorzej.

— Nie zawsze to tak bywało, — począł Leksa — ojcowie mówią, wszyscy jednacy byli, potem się to popsulo... i kmieć napół niewolnym został.

— Ależ! — zaprzeczył słuchający — kto wolen był, ten i jest!

Wiaduch głową potrząsał.

— Siłaby o tem mówić — rzekł.

— Mówcie, proszę, rad posłucham — wtrącił, do chleba powracając, siedzący na ławie. — Kmieciowi tak źle u nas nie jest...

Popatrzał mu w oczy Leksa i potrząsł głową.

— A no — rzekł — tylko, że za kmiecia zabitego lada kto, gdy zapłaci cztery grzywny winy, a za głowę bliskim sześć, nic mu nie będzie, a za ziemianina musi sześćdziesiąt dać i czasem tego nie starczy... Kmieciowi, gdy mu dokuczy Neorża taki, nawet się z ziemi jego wynieść nie może; musi czekać, wedle obyczaju, albo na pana klątwy, albo żeby dziewczynie jego krzywdę wyrządził, lub by za jego długi pokutował... a i tak...

— Przecie sędziów macie? — zarzucił gość.

— Sędziowie albo ziemianie są, lub się ich boją; sprawiedliwości u nich nie znaleźć. Osądzą źle, jakże tu sędziego naganić? Jeżeli kasztelan przy sądzie był, gronostaje lub łasicę trzeba mu dać za to. Sędzia za każdą sprawę cztery grosze żąda, bo dla niego małej niema. Woźny przyjdzie z czeladzią swą, bierze woły, suknie, siekiery, motyki... kiedy się czem opłacić nie masz.

Gdy tak Wiaduch rozprawiał, podróżny się przysłuchiwał coraz pilniej.

— A jakążby na to rada była, aby sprawiedliwość się działa każdemu? — zapytał — boć i kmieć ją powinien mieć.

Wiaduch aż z ławy wstał, tak mu się pytanie dziwnem zdało.

Popatrzył na badającego.

— Miłościwy panie, — rzekł — jam prosty człek, ale mnie się widzi, że na to rady niema. Chodzę ja do kościoła i słu-

cham, co ksiądz rozpowiada; pono na świecie tak bywało i do końca świata zostanie.

Zamyślił się gość, ale wtem Garuśnica z Bogną zaczęły się zwijać koło stołu, przynosząc jadło. A choć niewytworne ono było, chłopskie, głodny zabrał się doń, śmiejąc, jakby po raz pierwszy w życiu tych przysmaków kosztował.

Smakowało mu wyśmienicie.

Wiaduch też, miskę wzięwszy na kolana, zajaadał, spuściwszy głowę.

Jedli jakiś czas milczący, lecz młody pan wkrótce przerwana na nowo począł rozmowę.

— Mówcież mi, proszę, — rzekł — o waszym stanie i o dolegliwościach jego, dobrze to wiedzieć, aby radzić temu.

Wiaduch ruszył nieznacznie ramionami z niedowierzaniem.

— Wiedzieć, jak wiedzieć — rozśmiał się, — ale poradzić ani król nie potrafi...

— Ani król? — podchwycił zdziwiony gość, przestając jeść i wlepiając oczy w niego — a to dlaczego? przecież siłę ma, wolę ma!

— A no, jeno rycerstwo swe musi oszczędzać, ziemianów nie drażnić, bo on panuje, a oni go trzymają. Za ziemiany i rycerstwem kmiecia nie widać. On stoi na końcu, ostatni.

— Przecie król wszystkim panem jest — sprzeciwił się słuchacz — tak rycerstwu, jak kmieciami.

— Pewnie, — rzekł Leksa — on się tak zwie, ale w rzeczy tylko to prawda, że kmieć wszystkim służy, a nim się nie opiekuje nikt, krom Pana Boga.

— To się przecież na opiekuna skarżyć nie możecie — zaśmiał się słuchacz.

— Nie skarżym się — zamknął stary, którego rozmowa nie zdawała się bawić.

— Niebardzo więc królowi ufacie? — dopytywał ciekawie gość.

Pytanie to zdumiało i może nastraszyło kmiecia; zamyślił się, długo zbierał z odpowiedzią.

— Król! król! — począł. — Ma on o czem innem myśleć, nie o nas.

— I o was powinien... — rzekł podróżny.

Wiaduch dziwnie się mu począł przypatrywać, rad był już odgadnąć, z kim miał do czynienia.

— Nie lubicie go? — wtrącił gość.

Na to pytanie spoważniała twarz Wiaducha.

— Złego on nam nie zrobił nic, — rzekł — myślę, że dobrzeby chciał, a no nie może... Nieboszczyka starego Łokcia tośmy znali, młodego trudno zobaczyć... Tamten dobry był... a i z prostym kmieciem, jak z człowiekiem się nieraz rozgadał.

Lekki rumieniec wystąpił na twarz podróżnemu.

— Tamtego — mówił, zbliżając się doń, Leksa — myśmy i ratowali nieraz, gdy się opuszczony od rycerstwa po kraju błakał... ot tam wedle jaskiń i wąwozów! Kmiecie za niego broń brali i krew przelewali... pamiętamy to!

— I syn jego wam to pewnie będzie pamiętał — odparł, spierając się na rękę, zadumany gość.

Popił piwem trochę, wlepił oczy w Wiaducha, który prawil ciągle.

— W tym starym jakby ojca i brata myśmy czuli. Żył tak jako my, dla rycerstwa był surowy, dla nas dobry... Pan Bóg mu to wynagrodził, boć się korony dobył...

Podróżny z ławy wstał, poruszony dziwnie i przejęty... obejrzał się, wieczór nadchodził.

— Bóg zapłać, gospodarzu, Bóg zapłać, gosposiu, i wam — dodał, skinąwszy Bognie.

To mówiąc, powoli do kalety sięgnął i zabrzączały w niej grosze.

Wiaduch się namarszczył.

— Krzywdy mi nie czyńcie, — rzekł spokojnie — za gościnę nikt nie bierze zapłaty...

— Dlaczego? — zapytał podróżny.

— Po starym obyczaju nie godzi się to, — przerwał Leksa — chata nie gospoda... Krzywdy nie czyńcie. Kmiec jestem, i choć Neorża kłamię, żem jego, byłem i będę wolny...

Począł się uśmiechać, chcąc obrócić to w żart. Gość stał wielce zakłopotany, — myślał.

Naostatek z ręki z palca ściągnął pierścień i skinął na Bognę, która, zamiast zbliżyć się, skryła w kącie przestraszona.

— Chciałem choć dziecku waszemu pamiątkę zostawić, — odezwał się — niechajby miała na zrzękowiny, gdy zamąż iść będzie...

To mówiąc i nie chcąc dziewczęcia zmuszać, pierścień świecący dużym okiem na stole położył, pokłonił się i szedł na próg, a Wiaduch za nim.

Ciarach pobiegł po konia, który, choć nakuliwał nieco, ale napojony i wypoczęty trochę, był daleko raźniejszy. Podróżny dziękował znowu wszystkim dokoła, siadł rażno na wierzchowca i za bramę się wydostawszy, dosyć śpiesznie pojechał, a zarośla go wprędce zasłoniły.

Gdy Wiaduch do izby powrócił, zastał wszystkich zapatrzonych nad pierścieniem Bogny... Był on z czystego złota, a na przedzie miał jakby sznurem poopasywany kamień czerwony, w którym pod słońce woda się przelewać zdawała.

Garuśnica, nie chcąc go Bognie powierzyć, gdy się wszyscy przypatrzyli pierścieniowi, zawinęła go w czystą szmatę i poszła zachować do skrzyni.

Na dworze ściemniać się zaczynało.

Ciarach jeszcze około szop i dobytku chodził z Wężem, a Bogna wiaderko świeżej wody niosła do chaty, gdy na drodze zaczęło tętnieć i krzyki, głosy i hukania się ozwały.

Nocą się rzadko trafiało, aby wtedy kto przejeżdżał; dla bezpieczeństwa pobiegł Ciarach wrota wielkie drągiem założyć, gdy już około nich stanęli jacyś jezdni, których w ciemności ni twarzy, ni odzieży nie można było rozeznąć. Ciarach tylko dopatrzył się, że zbrojni byli, a rozmawiali między sobą hałaśliwie, głośno, niespokojnie, jakgdyby się kłócili.

Jeden z nich klął i nawoływał.

— Sam tu?

Ciarach się odezwał:

— A czego chcecie?

— Jechał kto tą drogą?

— Mało kto tą drogą jeździ — odparł chłopak.

— A no... dziś, teraz, niedawno! Nie widzieliście kogo? Zbliżył się Wiaduch i zwyczajem wieśniaczym na pytanie odpowiedział drugim:

— A kogoż wam potrzeba?

Rozśmiali się słuchający.

— Ciekaw, bestja, chłop!

— Pan tedy jechał jaki...?

— Był jeden.

— Na jakim koniu?

Ciarach maść im i piękność opisał, i wnet się podniosły krzyki:

— To on! on! Jedźmy, gońmy!

— E! szczęśliwyś ty, chłopie, — odezwał się jeden z za

plota — nie wiesz, kogoś w chacie przyjmował, gdy ci pany wszystkie zazdrościć będą!

— Kogoż! — przerwał Wiaduch.

— Królaś miał, król u ciebie był! — krzyknął jeden i nie czekając dłużej, jak prędko przypadli, tak prędej jeszcze dalej pobiegli.

Wiaduch i Ciarach stali w osłupieniu. Kmieć się zamyślił głęboko, ręce zacisnął, czoło namarszczył...

— To się też ode mnie nasłuchał! — powiedział sobie w duchu.

Tymczasem Ciarach i Bogna biegli do matki, wołając, parobek się za głowę trzymał — powstała wrzawa i trwoga...

Powoli zacierało się wspomnienie, a w miesiąc potem Wiaduch, żartując sobie, opowiadał, jak króla poufale, siedząc przy nim na ławie, przyjmował.

Już był uspokojony zupełnie, gdy jednego południa zawrzało przed wrotami aż strach.

Baba, wyjrzawszy ostrożnie z poza zasuw, poznała Neorzę.

Wiaducha wołano nagwałt.

Był niedaleko na swoim łanie i posłyszawszy hałas, powoli, z rękami w kieszeniach ukazał się w dziedzińcu. Zobaczywszy i poznawszy Neorzę, zdjął czapkę i pokłonił się, ale go łajanie i gniew wcale nie poruszało.

Przystąpił blisko.

Neorża rękę, w której bat trzymał, do góry podniósł.

— Tuś mi! — krzyknął — ha! zbójcu... Będziesz ty na mnie królowi skarżył?... dam ja ci... skórę zedrę z ciebie.

— Ja? — zapytał Wiaduch ze zwykłą swą spokojnością szyderską i niecierpliwą gorzej, niż zuchwalstwo. — Mówiłem ci z miłością jego, i był u mnie gościem, ale o waszą miłość nie pytał, a jam nie wiedział, kto on jest...

Neorża patrzył nań i pięści ścisnął w kulaki.

— Było ci dotąd dobrze na mojej ziemi, — zawołał — bo ziemia ta moja i jak pies, łże, kto mówi inaczej... siedziałeś spokojny... teraz dopiero poznasz, jakim ja być umiem, boś skarżył na mnie!

Wiaduch popatrzył nań.

Neorża miał widać wielką ochotę inaczej się z kmieciem rozprawić, lecz coś go wstrzymało. Podniósł rękę do góry, pogroził.

— Poznasz ty mnie! — zawołał — poznasz...

I batem z całych sił skropiwszy konia, pobiegł dalej, a dwór i ludzie za nim się puścili.

W chacie cicho było, ale w trzy dni urzędnik Neorży stóg siana z łąki Wiaducha w biały dzień zabrał do siebie. Na zapytanie odparł, że takie było przykazanie, że trzy miarki żyta miał zaraz przywieźć Leksa i pół grzywny zapłacić.

— Za co?

Włodarz powtórzył krótko, że takie było przykazanie.

Nazajutrz dwóch urzędników włodarskich wzięli gwałtem wóz i konia, niewiadomo dokąd i na jak długo. Ciarach, żeby mu chudoby nie zniszczono, siadł tam też i pojechał.

Zaczynało się prześladowanie

Wiaduch cierpiał, lecz nie syknął, Garuśnica po całych dniach klęła.

— Milczałabyś, babo, — rzekł do niej — nie pomoże to nic. Poczekamy mało, a jak się wilczyśko nie nasyci rychło, no, to pociągniemy w świat. Ziemi jest dosyć... Jam ci nie niewolnik, a człek z pradziadów swobodny...

Garuśnicy starą chatę opuścić było, jak życie stracić, płakała.

Wóz z końmi spędzonemi ledwie powrócił, aż włodarz byczka z obory wziął. Takie było przykazanie.

Na polu, w trzodzie owiec, psy jego szkodę zrzędziły umyślną, kilka owiec było pokaleczonych. Gdy Wiaduch zagadywał go o to, odpowiadał mu:

— Przykazanie mam! Czekaj — nie koniec! będzie więcej.

Baby rozpaczały; nielepiej może było i Wiaduchowi, ale on, im go co mocniej bolało, szczelniej usta zaciskał.

Wtem jednego dnia, gdy na południe do chaty przyszedł, słyszy wołanie w dziedzińcu i śmiech wesoly...

Nim się do progu dostał, ujrzał zbliżającego się do chaty króla, który, parę psów z sobą wiodąc, konia zostawiwszy u wrót, wchodził już, wołając:

— Zdrów bywaj, gospodarzu!

Wiaduch, jak panu należało, do nóg przypadł.

— Wstawajże, stary, — odezwał się król — bądź ze mną tak, jakeś był pierwszym razem. Na zamku ja królem jestem, a tu — jam prosty myśliwy...

I siadł na ławie. Psy mu na kolanach głowy ogromne pokładły.

Wiaduch stał milczący.

— Mówcie mi, cóż tam? baby zdrowe? żyto wschodzi?

Kmieć się zupełnie opaniętał i ochłonał z pierwszego niepokoju.

— Miłościwy królu, — rzekł — wyście dobrzy dla ludzi, ale co za wami chodzi, licha warto... Neorża mnie prześladowa za to, jakobym skarżył przed wami nań. Dalej nie strzymam!

Głos mu zadrżał.

Król oburzył się.

— Niepocziwy człek — zawołał, — mówcie, co wam uczynił?

Wiaduch począł skargi rozwodzić, ale, jak zawsze, chłodno, z pomiarkowaniem, z szyderstwem.

— Do sądu go pozwij — rzekł król.

— W sądzie siedzi albo brat, albo swat, do sądu bez datku nie dostąpię, nie stać mnie nań.

Królowi zapłonęła twarz.

— Spokojny bądź, — odezwał się, powstając z ławy — ja go zawezwę jutro na sąd przed się... U mnie on nie wygra sprawy.

Wiaduch podbiegł do Kaźmirza ze złożonymi rękami.

— Królu, panie! — krzyknął. — a nie czyńcież tego! Neorża mnie potem zje przez zemstę, a ja zawsze do was na skargę chodzić nie będę mógł... Trudno. Wy macie całe królestwo, o którem musicie pamiętać, nie mnie jednego. Nie zawsze czas, nie zawsze wy tutaj... Pojedziecie na Ruś... na Węgry, Bóg wie dokąd, w odwiedziny jakie do królów, na łowy. Was nie będzie, a Neorzę ja na karku zawsze będę miał.

— Cóż ja ci uczynić mogę? — zapytał smętnie król napół przekonany.

Kmieć westchnął, myślał czas jakiś, niby nie śmiejąc powiedzieć, co mu się do ust cisnęło.

— Mów! — dodał król żywo.

— Nic wy dla mnie uczynić nie możecie, — zcicha odparł Wiaduch — a nie tylko dla mnie, ale i dla nas wszystkich kmieci, ile nas jest. Panów ziemian jeden król nie upilnuje, ani strzyma... Wy widzieć i wiedzieć nie możecie, co się z nami dzieje. Spytaście, powiedzą wam, że spełnili rozkaz, a nas będą dusili, jak duszą... E! — dodał — ja z Neorżą moim powoli sobie radę dam... jam nie wieczny, ani on...

Posmutniał król.

— Werz mi, gospodarzu, — rzekł — iżbym los wasz po-

prawić chciał, ale, masz ty słuszość, — król bezsilny przeciw nim...

Zażądał król mleka.

Zasłali mu ręcznik czysty, przynieśli chleb świeży, na ławie siadł. Dwór miał rozkaz, aby na pana za wrotami czekał.

Gospodarstwo oboje, pyszni tem, że pana przyjmowali, krzatali się, aby ugościć... Garuśnica nawet psom mleka postawiła na misiu u pieca.

Król tymczasem rozpytywał starego o gospodarstwo, o życie, o zarobek, o ciężary...

Ośmielający się coraz bardziej stary Leksa tak wkońcu poufale i swobodnie odpowiadał, jakby z prostym człekiem rozmawiał. Daleko mniej strasznym mu był król od Neorzy.

Rozmowa się przeciągnęła, bo król o stan kmieci rozpytywał pilno. Gdy naostatek zabierał się do odjazdu, Wiaduch za połę sukni go ujął, całując ją, i przeprowadził króla do wrót.

Neorża ów, który miał posiadłości w sandomierskiej ziemi i w Krakowskiem, należał do Toporczyków, to jest do najmożniejszego i jednego z najstarszych rodów w Krakowskiem, który się już i po innych ziemiach rozrodził, a wszędzie możnym był.

Dwór też miał w Krakowie, w którym często przesadywał.

Królowi w początkach przypodobać się starał, marząc o wielkich dostojenstwach i łaskach, a chociaż Kaźmirz, obdarzony instynktem dobrym do ludzi, pochlebcy zabiegliwego nie lubił, zimno go przyjmował — odpychany, narzucał mu się gwałtem.

Nierychło dopiero postrzegł, że Kaźmirza ani zmusi, ni podejdzie, i choć województwo mu dawniej przyobiecano, aby się go zbyć, łask się już więcej nie spodziewał.

Przed ludźmi Neorża nie wydawał się z tym zawodem, mówił wiele o swej przyszłości, lecz do króla ząb miał i nie lubił go.

Nie było im wszystkim zbytnikom w ład, że Kaźmirz porządek chciał zaprowadzić wszędzie, wglądał we wszystko, z chłopami rozmawiał o tem, co im ciążyło, Żydów do siebie puszcząć kazał ze skargami, żupom i dochodom z nich marnować się nie dawał...

I Neorża, i inni na to szemrali mocno; nie takiego króla miećby byli chcieli.

Takich, jak ów, niechętnych z różnych powodów, Kaźmierzowi było wielu... Sarkało pocichu duchowieństwo, bo arcybiskup Bogorja zbyt, według niego, był królowi powolny, ziemianie się skarżyli, że w sądach im nie dawano przewodzić, i pilno strzeżono wymiaru sprawiedliwości.

Nie lubiono i ks. Jana Suchywilka, który był nieustanną radą przy królu, bo ani duchowni, ani rycerstwo z tego surowego prawnika nie byli radzi.

Z dniem każdym mnożyły się skargi i żale na króla.

Do niechętnych królowi liczył się i młody ksiądz, Marcin Baryczka, z rodziny, która niegdyś z Węgier przesiedliła się była na Ruś, zrodzony z Grzymalanki, a zagranicą wychowany, z wymowy, surowości obyczajów i nieustraszonego charakteru słynący.

Naówczas jeszcze ks. Baryczka wikarjuszem był tylko i przy biskupie krakowskim na dworze jego zostawał.

Przez Grzymalanek, matkę swą, spokrewniony był z Neorżą, którego wujem zwał i widywał go dosyć często.

Dwór Neorży drewniany i nieokażny stał na Okolu. Siedział w nim jeden odźwierny, baba i stary dworzanin, gdy pana nie było. Kilka izb składały mieszkanie opuszczone, zaniedbane, które przecież jedną izbę większą miało, aby było gdzie ludzi przyjmować.

Chciwy i skąpy Neorża nieczęsto ich u siebie miewał i niebardzo się doń kwapili, bo nie po pańsku przyjmował, choćby go było na to stało.

W kilka dni po bytności króla u Wiaducha, gdy dowiedział się, że król gniewny się na niego odgrażał i na oczy go do siebie nie kazał puszczać, wpadł w złość okrutną.

Nie było jej na kim spędzić, a nawet i przed kim się z nią wylać, bo sam się został. Ludzie, dowiedziawszy się o głośniejszej niełasce królewskiej, stronili od niego, jak to zwykle bywa.

Nie było nikogo przez cały dzień aż do wieczora, gdy podsędzia sandomierski, Jaśko, Grochem zwany, przywłókł się o mroku.

Jaśko Groch także do malkontentów należał.

Chytry, chciwy jak Neorża, biedny przytem, słynął z tego Jaśko Groch, że najlepiej w sądzie z win, groszy i różnych opłat korzystać umiał. Ludzie się nań skarżyli, — nie zważał na to.

Neorża, zobaczywszy w progu długiego tego i jak kij wyprostowanego Grocha, natychmiast wybuchnął:

— Wiesz! wiesz! — począł wołać, niewyraźnie belkocząc, bo język miał tłusty. — Wiesz ty, — czegośmy to doczekali? Króla chłopów! a tak! Dla nich on jak ojciec rodzony, dla nas, ziemian starych, kat, tyran... Do mojego kmiecia, tego obwiesia Wiaducha, jeździ król w gości... a mnie na zamek nie puszczają! Rozumiesz ty to?

Groch się zebrał na krótką odpowiedź.

— Tak u nas wszystko...

Neorzę gniew wewnątrz palił... klasnął i odartemu parobczakowi kazał piwa utoczyć. Przyniesiono cynowy dzban i kubki gliniane. Siedli do cienkusza. Neorża sapał, Groch stękał.

Po drugim kubku podsędzia cicho począł:

— Gorsze się zwiastują rzeczy. Kamień na kamieniu nie zostanie. Jak te ziemie długie i szerokie, oni tu wszystko poprzeraśniają...

— Kto?

— A no, Suchywilk i król — odparł cicho Groch, który i skarżyć się nie chciał, i podsłuchanym się być obawiał.

Neorża zdumiał się mocno.

— Co? co? gadaj! — wyjąknął, pochylając się ku niemu.

— Prawo! prawo, słyszę, chcą wszędy spisywać i co były różne obyczaje w ziemiach różnych od wiek wieków, chcą wszędzie nowe zaprowadzić, jak z igły nowe...

Neorży od słuchania oczy rosły, lecz niedobrze rozumiał.

— Co? co? — bąkał pocichu.

— Teraz my, sędziowie, — ciągnął, w piersi się palcem uderzając, Groch — my, widzimy, słuchamy, ważymy i sądzimy według sumienia... otóż nie! to się im nie podoba... każą nam sądzić wedle prawa pisanego!

Rozśmiał się szydersko.

— Ale to nie może być! — zawołał Neorża oburzony.

— A król tego chce, bo mu Suchywilk nagadał, że tak jest gdzie indziej. Skończenie świata! — mówił Groch, patrząc na dno kubka, w którym już nic nie było.

Wtem w progu zjawił się ksiądz Marcin Baryczka, który pono chwilę tu już stał, nim go postrzeżono.

Neorża wstał. Zrobiono miejsce. Siadł ksiądz Baryczka z twarzą chmurną i posępną.

— Słyszę, że się na króla jmcie uskarżacie — rzekł, potrząsając głową.

Neorża, rozkładając ręce obrzękle, zwrócił się ku niemu z boleściwym twarzy wyrazem.

— Posłuchajcie, co Groch prawi: włosy powstają na głowie!

Ksiądz się zwrócił ku podsędziemu.

— Strach! — rzekł Groch — prawo, słyszę, nowe piszą.

Uśmiechnął się Baryczka.

Groch zaczął narzekać długo i z coraz większym zapalem, lecz na duchownym wrażenia nie uczynił. Słuchał go obojętny.

— To jeszcze nie jest najgorszem z tego, co czyni król — odezwał się surowo.

Oba słuchacze zamilkli. Ksiądz smutne przybrał oblicze.

— Potomka mieć chciał, nie było w tem nic złego, żenił się z tą Czeszką, która mu umarła... Palec był Boży! Zaraz po niej król Jan i syn jego wyswatali mu Adelajdę heską... Długoż z nią żył? a co się teraz dzieje?

Groch głową trząsł.

— Ta Niemkini, która mu i dwu tysięcy kóp posagu nie przyniosła, a w dodatku tak szpetna...

— Nie mógł z nią żyć — rzekł Baryczka — choć po Bożemu należało się to... bo człowiek nie do rozkoszy się rozdził... oddalił ją... niechby i tak było... ale naczół sobie innych szuka... i zgorszenie ludziom daje?

Neorża i Groch spuścili oczy. Nie byli i oni bez grzechu, a w owych czasach, gdy ludzkie namiętności wybuchały gwałtowniej, mało kto czystem życiem mógł się pochlubić.

Srogi więc sąd ks. Baryczki przyjęli milczeniem.

Znajdowali, że spisywanie praw nowych było grzechem daleko większym.

— Gdybym ja na dworze był — dodał Baryczka, — gdybym ucho jego miał, nie zniósłbym tych miłośnic, o których wszyscy wiedzą, palcami je wytykają.

— W Krakowie bo ich niema! — szepnął Groch, ręką na różne strony pokazując. — Siedzą pono po królewskich dworach, w Opocznie, w Czechowie, w Krzeczowie...

— Pełno ich wszędy — burząc się ciągle, mówił Baryczka, — znajdują się i w naszym mieście... Mało tego! — krzyknął wreszcie — ludzie prawią o Żydówkach!

Groch i Neorża, dopiero tę okropność posłyszawszy, załamali ręce z przerażenia.

— Nie może to być — wtrącił Groch.

Neorża milczał...

Największe dzieło panowania swojego Kaźmirz chciał mieć dokonanem w Wiślicy, nie dla czego innego, tylko aby niem uczcić pamięć ojca, którego imię z gródkim tym związane było.

Wiślicę on podwakroć zdobywał, tu się ukrywał, tu się modlił, stąd, jeszcze ledwie się w siły wzbijając, na dalsze odzyskiwanie posiadłości wyciągał. Droga była Łokietkowi ta miejscina nad Nidą, bo mu gniazdem i przytulkiem była w ciężkich dniach życia.

Że myślą tą miłości synowskiej powodowanym był Kaźmirz, nie ulega wątpliwości. Jeden z pierwszych gród ten murami opasywać i z muru wznosić go począł. Kościół z ciosu stanął na miejscu tego, w którym Władysław modlił się czasu ucisku.

Zdawna już po wszystkich ziemiach chodziły wieści, które z przekazem i niechęcią sobie powtarzano, że król chciał ze starych praw ukuć jakieś jedno nowe prawo, dla całej Polski, że Suchywilk nad tem pracował i że do któregoś z miast zwołać miano Małopolan, potem Wielkopolan i potem prawo to królewskie, spisane, dać wszystkim, aby jego, nie innego słuchano.

Lat kilka się do tego przysposabiano. Ludzie, jak zwykle nowościom, tej sprawie nie byli chętni. Obawiali się innego prawa nad to luźne, słowne, zwyczajowe, które sobie każdy jak chciał wykladał i tłumaczył.

Sędziowie się szczególnie na to krzywili, jako i ten Groch, upatrując w pisanem prawie poniżenie dla siebie.

Nie było też w ówczesnej Polsce pojęcia tego, że zjednoczenie różnych ziem, wedle myśli króla, pod prawem jednym i monetą jedną, pożądanem i siłodajnem być mogło. Każda ziemia broniła zwyczaju swego, przy nim się opierała i odrębność swą rada była zachować.

Ruszano się na te zjazdy i na ów wielki wiec, czy sejm do Wiślicy z większą ciekawością i niepokojem, niż pociechą.

Niektórzy się odzywali z tem, że swoich prastarych swobód bronić będą, inni nie wiedzieli sami, jak postąpią. Lecz kto tylko mógł, a chciał swą powagę utrzymać, do Wiślicy się wybierał.

Kmiecie też gwarzyli o prawie nowem, niewiele się po niem spodziewając dla siebie, bo mieli przekonanie, iż ziemianie z rycerstwem nawet nad króla są silniejsi; choć wierzyli w to, że Kaźmirz o nich tam nie zapomni.

Wiaduch, po owej bytności królewskiej, której mu za-

zdroszczono, o którą go badano wielce, bo o niej wieść się rozniosła, nierad opowiadać szeroko, przycupnął i powrócił do robót w polu, do gospodarstwa, unikając spotkania z ludźmi, którzy nań patrzyli dziwnie.

Neorża, który go prześladował w początku, potem już tylko pokory żądał od niego, naostatek, nic nie zyskawszy, zostawił go w spokoju. Włodarze, mając widać inne przykazanie od niego, Wiaducha już nie zaczepiali, owszem byli nań łaskawi. Poszły w niepamięć uczynione szkody, o które kmieć się nie upominał.

Król jakoś w owych czasach do czynienia miał wiele, więc o Wiaduchu zapomniał.

Jeden rok zajęła wyprawa owa ruska, która się opłaciła zdobyczami wielkimi, zajęciami Przemyśla, Halicza, Łucka, Włodzimierza, Sanoka, Lubaczowa, Trębowli, a z niemi mnogich skarbów, wozami całemi do Krakowa ściąganych. Żenił się potem Kaźmirz z Niemką, którą zaledwie przywiózłszy na zamek, dla szpetoty i obyczaju obcego musiał od siebie oddalić.

Nieprzełamany ten wstręt, który go dzielił od niej, może przez siostrę Elżbietę rozbudzony i utrzymywany, bo tej szło o polską koronę dla syna, pozbawiał Kaźmirza znowu nadziei potomka płci męskiej.

Potem wydawał król córkę, zaledwie dorosłą, za Bogusława szczecińskiego w Poznaniu, wyposażywszy ją po monarszemu; dalej na Rusi Daszkowa i jego przyjaciół zdrada, napad tatarski powołał na granicę, i z Czechami po wielkiej owej druźbie przyszło się też ścierać, gdzie Bóg dał zwycięstwo.

Mało Kaźmirz w Krakowie siedział, na Wawelu krótko bawił, i kmieć już stracił nadzieję, aby go widział kiedy.

Kilka lat upłynęło, Bogna zamaż wydaną została. Ciarach sobie przywiódł żonę, i już synkiem się cieszył.

Wiaduch chodził za pługiem, jak dawniej, brał się do cepa, gdy była potrzeba, sił próbował i nie dawał im zastępnąć w sobie... Stał się tylko na starość trochę więcej milczącym, lecz, gdy mu się usta rozwiązały, plótl jak dawniej.

Wczesną bardzo wiosną, bo jeszcze w post jakoś 1347 r., Wiaduch właśnie sposobił się do posiewów, jak tylko z ziemi zlaźła lodowa i śniegów skorupa. Był w szopie, gdzie z parobkiem Wężem opatrywał pług, sochę i brony, motki a inne proste ówczesne gospodarskie narzędzia, gdy usłyszał z podwórza wołanie:

— Hej! gospodarzu...

A potem z proga głos Garuśnicy:

— Gdzież bo się podział mój? Tylko co tu byli. Leksa! bywaj!

Na ten pozew wydobył się z pod szopy kmieć i, spojrzawszy ku wrotom, zobaczył kogoś na koniu stojącego, twarzy dojrzeć nie mogąc.

Dopiero, gdy twarz ku kmieciowi zwrócił, Wiaduch poznał w nim króla, choć zmienionego wielce. Nie stracił on był wprawdzie ani dawnej piękności rysów, ani świeżości ich, ale oblewał je smutek jakiś, zatęsknienie za szczęściem, znużenie żywotem. Przybyło mu powagi, ubyło młodości i wesela.

Wiaduch do nóg mu przyszedł pokłonić się.

Król w małym poczcie jechał, sokoly za nim wieziono, szło psów kilka, otaczali go łowcy, u boku stał nieodstępny jego Kochan.

Zdawał się Kaźmirz niepewien, czy z konia zsiądzie, potem coś Kochanowi szepnął, u wrót konia rzucił i po ramieniu klepiąc starego, zwolna z nim kroczył do chaty.

Garuśnica z wielką pokorą i radością, a z dumą witała go znowu; serce jej rosło.

Chciała się zaraz, jako troskliwa gospodyni, około jadła zakrzętnąć, lecz Kaźmirz dał znak, iż nie będzie nic jadł. Był miód stary, zaczęła się z nim napraszać; król, uśmiechając się, przystał, choć mechy nie lubił.

Wiaduch przed nim stał, a Kaźmirz mu się przypatrywał pilno.

— Aniś ty mi nawet przez te lata postarzał — odezwał się do niego.

— Bom już starym był naówczas — odparł Wiaduch wesoło.

Po chwilce, obejrzawszy się dokoła, począł król, ręką się opierając na stole:

— A wiesz ty stary, co cię czeka?

Wiaduch głową pokręcił.

— Otom ja przybył do ciebie posługi żądać...

Kmieć się pokłonił.

— Rozkazujcie, miłościwy panie.

Pomilczawszy chwilę małą, Kaźmirz się odezwał:

— Słyszeliście może, iż do Wiślicy zwołałem ziemian na czwartą postu niedzielę. Będą im tam nowe prawa czytali, a prawo to nie dla jednych ziemian jest, ani dla duchow-

nych, ale dla wszystkiego ludu i kmieci też. Zjadą się do Wiślicy ziemianie, duchowni, rycerstwo i proste panosze... trzeba, aby i kmięć też tam był...

Wiaduch spojrział zdziwiony na króla i nie odpowiadał nic.

— A dopuszczają nas tam inni? — szepnął po namyśle.

— Powieście tym, co by was chcieli gnać, lub bronić przystępu, że moje przykazanie macie. Chcę, abyście tam byli!

Kmięć potrzeby jakoś nie widział i głową pokręcał.

— Jedź ty — rzekł król, — weźmij z sobą zamożnych a poczystnych kilku, bądźcie przy mnie, aby nie rzeczone, żem o was zapomniał, lub pogardził wami. Przecież i tak mnie królem chłopów zwą — niech wiedzą, że ja nim chcę być, jak jestem królem ziemianina i rycerstwa, i wszelkiego ludu, który w królestwie tem żywie... Rozkazuję więc wam, abyście mi kilku waszych braci do Wiślicy przywiedli. A miałyby was nie stać na to, bo paszy dla koni jeszcze nie będzie, lub ją pod Wiślicą szlacheckie szkapy zjedzą i straszą, oto macie na drogę.

Król, mówiąc to, sięgnął do kalety, w której miał przygotowany mieszek i położył go na stole...

— Do Wiślicy pojedziewa — odezwał się z dumą kmięć, — chybabym żyw nie był, ale nie o waszych pieniądzach, miłościwy... Stanie na to ubogich. My tam żyjemy zprosta, prawda, takeśmy się urodzili i do tego nawykli, złota na nas nie widać, miły panie, ale grosz jaki w garnuszkę pod sypanką w komorze się najdzie na czarną godzinę.

— Weźcie to przecie; mnie nie zubożycie — rozśmiał się król, — weźcie dla innych, abyście ich mogli wybrać nie wedle przemożności, a wedle słaćku i rozumu... i — z Bogiem ostawajcie.

Król wstał i kroczył już do drzwi, nalanego miodu ledwie dotknawszy ustami. Wiaduch wiódł go, schylając się, do drzwi. Odwrócił się ku niemu.

— Pomnijcież — dodał — przed czwartą postu niedziela trzeba tam być... jak się patrzy... bo o was pytać będę.

Gdy król wyszedł do swoich, ci się jeszcze wyniesioną im mechą pocieszali i co prędzej, wasy ocierając, do koni przypadli.

Każmirz się już z dworem dobrze od wrót odsadził, a stary kmięć stał jeszcze zadumany i jak w ziemię wrosły...

Później powzdychał trochę, przeszedł się po izbie, z kub-

ka po królu miodu dopił, pasa mocniej ściągnął, na chodaki popatrzył, ku słońcu wyjrzał i rzekł do żony:

— Na wieczерzę albo powrócę, albo nie... patrzajcie, matko, aby łyżka ciepłej strawy była. Trzeba mi w drogę.

Najlepszą szkapę wybrawszy ze stajni, stary, który się konia jeszcze nie bał, dosiadł jej rażno i pokłusował.

W sąsiedztwie kilku bogatych kmieciów siedziało.

Dopiero dnia trzeciego około południa Garuśnica głos jego usłyszała, że Węza wołał, aby konia postawił.

Spojrzała mu zaraz w oczy, aby poznać, z czym wraca; miał twarz jasną i uśmiech na ustach. Zażądał jeść, co też było dobrym znakiem.

Nie zwykł się był spowiadać przed żoną z tego, co czynił, nie pytała go, wiedząc, że się potem łącniej wygada, gdy ona ciekawości nie okaże.

Zaczęły się następnego dnia do podróży wybory.

Co było najlepszego z odzieży, powydobywano.

Musiano też wóz kowany sporządzać, konie do niego dobrać, bo choć kmiecie jechali konno wszyscy, zapasy na drogę prowadzić było potrzeba. Gdzie ludzi wiele, tam czasem i za pieniądź chleba nie dostanie, a w Wiślicy się zjazdu liczne spodziewać było można.

Czas zbiegał szybko bardzo, aż i kmiecie się dowiadywać zaczęli niektórzy i dzień wyjazdu naznaczono. Co dnia prawie przybywał który po radę jakąś, bo już Lekse jakby za głowę swoją poczytywali.

Nie całym taborem ruszyli z Prądnika, bo inni po drodze się przyłączać mieli. Milcząco Wiaduch żonę pożegnał, zasępiiony, synowi przykazując, aby mu gospodarstwa pilnował, chce-li być cały.

Gromadka kmieci, choć nie zbrojna, bez szczytów, bez szyszaków, wszakże i pokaźną dosyć była, i niebezbronną całkiem. Na dłuższą podróż miał każdy obuszek, wielu siekierki i toporki, któremi się od złych ludzi obronić było można w potrzebie.

Po gościńcach, któremi nad Nidą dążyli, nie było pusto.

Ciągnęli ziemianie zewsząd dworno, szły czeladzie biskupów, poczty wojewodów, jechało znaczniejsze rycerstwo.

Spotykający ich, nie kryjąc się z tem, głośno się zdumiewali, co kmieciów prowadziło do Wiślicy. Niedowierzano nawet, aby się oni ośmielili tam przybyć.

Zaczepiano ich, badano, lecz ostrożny Wiaduch zawczasu swoim zapowiadał, aby w rozhovory żadne się nie wda-

wali i, milcząc, pomijali tych, co ich zaczepiać mogą. Pilnowano się też porządku tego.

Leksa nawet, aby zaczepianym nie być i uniknąć badania, omijał gościńce pospolite, a prowadził bocznymi drogami.

Dojechali tak wreszcie na równinę błotnistą nad Nidą i mury zamkowe. Nowy kościół, który Kaźmirz wystawił, okolne ściany grodu, jego baszty i bramy ukazały się zdaleka na pagórku, w widłach rzeki.

Lecz w miarę, jak się zbliżali ku zamkowi i miastu, — a tu już na drogach tłok był wielki... mogli zmiarkować łatwo, iż nie tylko w Wiślicy samej, ale na przedmieściu Gorysławickiem, ani na Kucharach miejsca dla siebie znaleźć nie będą mogli.

W środek między ziemian się wcisnąć było i niebezpiecznie, i niewygodnie.

Naostatek, w końcu Gorysławickiego przedmieścia najrzał Leksa chatę ni zbyt okazałą, ni nadto biedną, i na wszelki wypadek postanowił zejść do niej. Wyglądała na kmieć. A było takich półmieszczan, półkmiaci rolników około miasteczek dosyć.

Swojego brata wszędzie czuje człowiek. Wiaduch zsiadł z konia. Chciał wnieść do chaty, lecz spostrzegł, że i tu czeladź jakaś rycerska izbę już zajmowała. Trafił jak najgorzej, bo właśnie ludzie Neorży się tu rozgospodarowywali. Jeden z nich zaraz często widywanego poznał.

— Wiaduch, he? a coś to ty także do Wiślicy zjechał w ziemiany, w gości do króla? — począł szydersko człek wojewody, bo Neorża w Sandomierskiem został, choć go król nie lubił.

Stary nie miał ochoty odpowiadać, ale go coś załaskotało od tego szyderstwa.

— Jak widzicie — rzekł — i my w gości!

W dłuższą się nie chcąc wdawać rozmowę, wysunął się.

Nie mieli więc kmiecie kąta dla siebie i szukać go musieli aż u Brzezin. Tu na pocleg się do chłopów wprosił, postanowiwszy nazajutrz pocichu na zamek iść, bo słyszeli, że tego dnia już, a była właśnie czwarta postu niedziela, po wielkiem nabożeństwie w kościele, które sam arcybiskup odprawiać miał, na dziedzińcu zamkowym, gdzie dla króla tron i przy nim też dla arcybiskupa był przysposobiony, miano nowe prawo głosić.

Nazajutrz, jak zapowiedzianem było, zadzwoniono na nabożeństwo, a że znaczniejsza część w kościele się pomieścić nie mogła, stanęło wielu w podwórzu, otaczając dokoła. Wszyscy się potem z arcybiskupem i królem na czele ruszyli ku zamkowi.

Dzień niebardzo sprzyjał uroczystości, wiatr smagał chłodny, niebo było zakryte. Lecz ani Kaźmirz, który siedł z twarzą zwycięzcy, ani inni nie zważali na to.

Cisnęła się strojna starszyczna dokoła pana, którego dwór występował też w dniu tym z przepychem prawdziwie królewskim, w całym blasku zbroi i sukni szytych, a futrami kosztownymi okładanych.

Sam Kaźmirz odziany był czarno, z łańcuchem na szyi i wspaniałym pasem rycerskim, a płaszcz na ramionach miał szkarłatny, sobolami podbity. Część dworu występowała w purpurowych sukniach, z orły polskimi na piersiach, druga w zbrojach i szyszakach wyłaczanych, na których znamiona widać było: Topory, Chusty, Sokoly, Księżyce.

Chociaż tłum się uciszył, gdy król przemówić miał, nikogo nie doszły słowa jego, gdyż gwar dolatywał zdala, wiatr szumiał.

Widziano tylko, gdy Suchywilk karty pargaminowe z pieczęcią na sznurze podnosił, gdy arcybiskup błogosławił, gdy król przemawiał znowu, a oblicze mu pokraśniało, oczy się tak śmiały, jakby najwyższą osiągnął szczęśliwość. Twarz pańska opowiadała ludowi, iż się dokonało wielkie i wiekopomne dzieło.

Gdy się to wszystko spełniało, Wiaduch ze swymi, ledwie się dostawszy na zamek cudem jakimś, innego sobie miejsca i swoim nie znalazł, jak przy murze, wysoko na blankach. A choć i tam ciasnota była wielka i niewygoda, miał tę pociechę, iż król, rzucając dokoła oczyma jasnymi, postrzegł go i uśmiechnął mu się.

Poszły zaraz innych oczy za temi i dostrzeżono kmieciów, o których zresztą Neorża już wiedział, rozповідаł a gniewał się, że tu przybyć śmieli.

Tak się wszystko odbyło dnia tego łatwo, dlatego, że kilka poprzednich poświęcił król naradom z comesami i rycerstwem, i rzecz była już postanowiona.

Zastawiono potem stoły i ludzie potrosze rozplýwać się zaczęli, a Wiaduch niebardzo wiedział, co poczynąć z sobą, gdy ze dworu królewskiego jeden, który z Kaźmirzem bywał na Prądniku i znał starego, zbliżył się doń.

— Mam przykazanie od pana, abym was ugościł. Jest dla was stół osobny na podsienu, chodźcie!

Kmiecie się wahali, obawiali się obudzić zazdrość, lecz posłuchać musieli. Prowadził ich wtedy Gosław Krojc, dworzanin, do zamku na ubocze, lecz zdala już postrzegli, że je jacyś ziemianie samowolnie zajęli.

Chcieli kmiecie odejść, Gosław nie pozwolił.

Obok stołu, zajętego bezprawnie, kazał na dwóch beczkach stare drzwi położyć, misy i dzbany podawać.

Dopieroż owi panoszewie obok, gdy zobaczyli przy sobie kmieciów, krzyczeć i wywoływać zaczęli na niepomierne zuchwalstwo... Nie zważano na to, ale, gdy przy tym stole poczęła się sprawa kmiecia, poszła zaraz po innych.

Ziemianie cierpieć ich przy sobie nie chcieli. Zaniosło się na burzę groźną...

Wiaduch skinął na swoich, że nie pora ją wywoływać było, więc zakosztowawszy ledwie chleba królewskiego i usta w kubkach umoczywszy, wyszli powoli boczną furtką, którą im Gosław ukazał.

Odejście ich nie zażegnało wielkiego poruszenia w ryerstwie. Widziało kmieci wprzód wielu, była już mowa o tem, że przybyli pewnie ze skargami do króla, i oburzenie coraz się zwiększało. Odgrażali się ziemianie, iż tym, których dosięgną i o których się dowiedzą, nie darują.

Chodziła wprawdzie wieść, iż się stawili na żądanie samego króla, lecz wierzyć w to nie chciano.

Wrócili z Wiaduchem wszyscy niezaczepiani do Brzezia...

Nad ranem przybył komornik od króla, gdy ledwie wstawali i kazał im na zamek. Dnia tego cokolwiek się było przerzedziło i po drodze, choć spotykali jadących, którzy się z nich wyśmiewali i zaczepiali, przystęp do grodu był wolny...

Kazano im stać w przedsieni. Król z kilku panami wyszedł do nich z uśmiechem na ustach. Głową skinął Wiaduchowi.

— Chciałem, — rzekł na głos — abyście i wy tu byli, gdzie w Imię Boże nowy zakon, albo raczej stare zakony ojców spisane... ogłoszone zostały... Wszystkim one — i wam też służą ku obronie i bezpieczeństwu... Idźcież w pokoju do domów, do pracy i powiedzcie ludowi wszystkiemu, iż go odtąd nie sędzia będzie karał i sądził... ale jeden zakon dla wszystkich.

Pokłonili się kmiecie, a król, spoglądając na nich, bardzo dobrotliwie się uśmiechnął, mówiąc do tych, co go otaczali:

— Ci są, którzy nas karmią, należy im opieka i bezpieczeństwo. Idźcie w pokój!

Przytomny kapelan królewski pobłogosławił ich po łacinie i odeszli nareszcie wielce uradowani, że się to przecie skończyło.

Nie było już sposobu dłużej ich tu zatrzymać. Kto żyw, konia wyprowadzał, wóz zaprzęgał, aby prędzej z Wiślicy... Nie mówili tego, ale pogrożki i szyderstwa ziemian trwożyły ich niepomału.

Wiaduch, choć był rad mieć kogo za towarzysza podróży, nim się miał czas z kim umówić, sam jeden pozostał. Nie frasowało go to wielce, bo miał parobka Węza z wozem i dobrego konia pod siebie; strachu nie czuł. Wypoczął więc dobrze i z południa w drogę wyruszył.

Na gościńcach teraz nie tak było ludno, bo wielu jeszcze pozostało w Wiślicy. Jechał więc Leksa zamysłony, w duchu sobie wszystko to przypominając, co go spotkało, co widział i słyszał.

Pomimo obietnic i nadziei wielkich na to prawo nowe, on stary, doświadczony, zachował swe przekonanie, iż z prawem tak będzie, jak i bez prawa, że się nie zmieni nic. Nie wątpił, iż dobry król chciał jak najlepiej, lecz w moc królewską nie wierzył.

— Ziemianie uczynią, co zechcą, i będzie po staremu! — mówił w duchu.

Dnia tego, niewiele ujechawszy, a gospodę i szopę znalazłszy, zawczasu Wiaduch zanocował.

Tymczasem na Prądniku stara Garuśnica i syn jej, około gospodarstwa chodząc, dnie i godziny liczyli, wyglądając Wiaducha.

Baba obrachowywała raz i drugi; wiedziała, że w niedzielę w Wiślicy musiał być, że tam nad dzień, dwa nie zabawi, i że do domu potem, dla zbliżających się świąt pośpieszy.

Tymczasem Wiaducha nie było. Wszystkie rachuby zawiodły... Z sąsiedztwa powrócił jeden z kmieci, oznajmując, że Leksa łąda chwilę powinien już być... Popowracali inni, o Wiaduchu słyhu nie było.

Jednej nocy nie mogąc zasnąć Garuśnica posłyszała skrzypiący wóz, jakby się u wrót zatrzymał... Wyszła narzuciwszy okrycie...

W mroku widać było w istocie konie i wóz pod bramą. Na zawołanie jej głosem słabym odpowiedział ktoś, jakby Wąż... Podbiegła do wrót. On to był, ale milczący, przerażony i sam jeden... Koń Wiaducha do wozu był uwiązany.

Z parobka nic się dowiedzieć nie było można, tak w początku płakał. Wskazał właśnie na wysłany i pokryty wóz, na którym trup Wiaducha z głową porąbaną leżał.

W drodze na gościńcu spotkał się z kmieciem Neorzą, który podchmielony był, więc zły i bez pamięci. Ząb miał już do kmiecia, złość do króla. Lżyć go począł, ludziom kazał zatrzymać i zarębał.

— Za głowę zapłacę! — krzyczał, chowając miecz skrwa-
wiony — kością mi w gardle stał chłopisko!

B A R Y C Z K A

Zimowego dnia 1348 roku, wieczorem, mimo srogiego mrozu i zamieci, która śniegiem miotła, we dworze Neorży wielka izba pełna była i ciągle ktoś jeszcze nowy, otulony oponczą, odziany kożuchem, zakapturzony przybywał.

Z różnych stron miasta ubocznymi drożynami ściągali się tu ludzie.

Okna w wielkiej izbie zasunięte były szczelnie i dla chłodu i dlatego może, aby przez nie światło nie zdradzało zgromadzonych.

Było ich już tu kilkudziesięciu, stojących kupą w pośrodku i półgłosem wiodących żywą rozmowę, która niekiedy w gwar niezrozumiały się zmieniała.

Gospodarz na przyjęcie tych gości nie wysilił się bardzo; stało piwo i kubki, jakie wówczas w lada kramie kupowano, kilka dzbanków glinianych napół opróżnionych, resztki chleba i misy, na których, oprócz kości okrojonych, nic nie było.

Pomiędzy zgromadzonymi — wyzółkła, chuda, pełna namiętnej surowości, odznaczała się twarz księdza, Marcina Baryczki. Z brwiami ściągniętymi groźnie, z czołem pofałdowanym, jak z kazalnicy przemawiał kapłan ognistym językiem, natchniony, przejęty, rozgorączkowany. Słuchano go z ciekawością i poszanowaniem, choć z wyrazów twarzy słuchaczy widać było, że nie wszyscy się zgadzali na to, co mówił, jawnie mu przeczyć nie śmiejąc.

— Pomsta to Boża! palec to Boży! — wołał głośnie ks. Baryczka. — Miara zgorszenia i nieprawości przepelniona została, znużyła się cierpliwość Bogu, miłosierdzie ustępuje

pomście i sprawiedliwości. Bóg, który dzieci karze za rodziców grzechy... jak w piśmie stoi, królestwo to nasze dotyka plagami okrutnymi za złość i winy tego, który mu panuje! Nie chcę być sędzią drugich, bom sam grzesznym człowiekiem, ale nie jeden król winien, który wodze wszystkiej swej namiętności puszcza, winni drudzy, bo ich karygodne milczenie współnictwem nazwać można...

To mówiąc, pierś uderzył pięścią ściśniętą ks. Baryczka.

— Winien, tak, winien arcybiskup nasz Bogorja, po-błażliwy do zbytku; winien siostrzan jego, kapłan, co duchownych swych obowiązków dla świeckich spraw zapomina, ks. Suchywilk, jurysta więcej niż kapłan, dworak raczej, niż ksiądz... a wreszcie mój najdroższy ojciec, ks. biskup Bodzanta, który obowiązek czuje, a za długo się ociąga z surowem spełnieniem jego. Lecz tego ja skłonię, na kolanach uproszę, poprowadzę przed króla, nie, to sam w imieniu jego stanę.

To rzekłszy, odstąpił nieco ks. Baryczka z koła, otarł twarz, na którą pot wystąpił, i zamilkł.

Drudzy milcząco patrzyli po sobie.

Piotr Pszonka z Babina, niewielkiego wzrostu, człek z twarzą rozgnioną i niespokojnem wejrzeniem, pierwszy się po nim odezwał.

— Sprawa księży a nasza nie jedna. Co nam tam do tego, jakie król życie prowadzi? Każdy za swoje odpowiada, z Bogiem się o nie rachować będzie. Gorsza to, że dla nas on nie jest takim, jakimbyśmy go mieć chcieli.

Na rycerstwie i na szczytach naszych stoi to królestwo, a nas, ojciców jego, spychają na dno! Prawo nam nowe narzucił, chce, aby wszystkim dobrze było, mieszczanom, kmieciom, chłopom, Żydom nawet; tylko nam swobody dawne obrzyna i niewolą grozi!

Albo my to nie pomni jesteśmy dawnych czasów, gdy z duchowieństwem królów i książąt sadzaliśmy i wysadzaliśmy? W cóż się to nasza siła i moc obróciła? Daliśmy ją sobie po kawałku odbierać, przez własną winę, pójdziemy za to w niewolę!

Nieopodal od Pszonki stał, patrząc na mówiącego, mężczyzna w sile wieku, ujawnszy się w boki, oblicza zuchwałego razem i przebiegłość chytrą znamionującego.

Choć Neorża gospodarzem był, a ksiądz Baryczka dostojenstwem duchownem przed innymi duchownymi przodował, on tu здаwał się najpierwszym być, on prawo mieć ja-

kies do kierowania drugimi; oglądano się nań ciekawie i trwożnie. On jednak więcej słuchał, niż mówił, badać chciał raczej, niż się sam spowiadać.

Gdy Pszonka dokończył, usta mu drgać poczęły.

Ścigano go tak oczyma, domagając się, by przemówił wreszcie, iż dłużej już milczeniem ich zbywać nie mógł.

— Wszystko to prawda, co mówicie, — odezwał się rubasznie i jak odniechcenia — ale jeszcze to niespełna, co potrzeba. Tego niedość! Ziemianie upadają na siłach, tak, boć i ich ziemie, z których się królestwo składa, przepadają w niem a toną. Żadna już się, jak dawniej, do tego przyznać nawet nie chce, że odrębną była, że swych własnych książąt miała. Prawo jedno, pieniądz jeden, król jeden — a nasze swobody wielkopolskie, kujawskie, krakowskie, mazowieckie, wiele ich było, zmelli nam w pańskich żarnach na jedną mąkę i będą nam teraz z niej dawali taką miarką, jaką zechcą.

Każda ziemia naprzód o sobie pamiętać powinna, każde rycerstwo z sobą się silno w kupę związać. Gdy pułki takie staną, wojsko z niego urośnie, a dziś co jest? tłum niesforny i zbieranina!

— Rozumnie mówił! — szemrali jedni. — W sedno trafił! — dodawali drudzy. — Ten głowę ma! Jego słuchać!

— Ja moich Wielkopolan — ciągnął dalej mówca, uśmiechając się, rad sobie — około siebie ściskam, wiązę ich i gromadzę, królowi się kłaniam, ani mu wypowiadam wojny, ni posłuchu odmawiam. Milczę pokorny, ale w domu chcę panem być i będę, a gdy zastęp nasz silny urośnie, nie weźmie nas nikt gołą ręką, nie damy się nikomu.

— Prawdę mówi Maciek Borkowicz — głową potrząsając, ozwał się Janina z Rogowa — o! święte to słowa... Ta nas jedność zgubiła...

Słuchał tego, lekko poruszając ramionami, ks. Baryczka, słuchał, niecierpliwiąc się, aż przerwał nagle wielkim głosem:

— Wy rozumem chcecie wszystko złe zwojować! Rozumem a bez Boga! Hej! hej! do lepszego nie tędy droga. Związując się w pułki i zastępy, nie uczynicie nic, nie podolacie niczemu, boście grzesznicy, rozpustnicy a zbytniki, jako i ten, przeciw któremu wstajecie... Naprzód żywota poprawcie, kajajcie się, a Bóg za was uczyni to, czemu wy rozumem nie podolacie. Król w grzechu, ale i wy nielepsi! Bić się naprzód w piersi i pokutować.

Nikt odpowiadać nie śmiał na ten groźny wykrzyk kapłana.

Neorża nawet spuścił głowę i trwożliwie powiódł dokoła oczyma.

Maciek Borkowicz zacisnął usta... skrzywił się, pokręcił głową, i na kilka kroków wtył odstąpiwszy, kołpak poprawił, szubę ściągnął, jakby się już odchodzić zabierał, nie mając tu co poczynąć więcej.

Lecz i ks. Baryczka, wypowiedziawszy, co na sercu miał, nie spotykając ani przeciwnieństwa, ani oznaki, by mu prawdę przyznano, gospodarza ukłonem żegnał i zadumany ku drzwiom szedł szybkim krokiem. Maciek Borkowicz, zobaczwszy to, wstrzymał się z ustąpieniem, do koła powrócił.

Wtem Pszonka znowu głośno mówić począł, a ci, co się byli już rozpięchli, powoli się ciekawie ku niemu ściągali.

— Książd po księżemu prawi, ale też słusność ma — mówił Pszonka, rozglądając się dokoła i zbierając słuchaczów oczyma. — Albo to nie wstyd i hańba, że królowa siedzi wdową na Żarnowcu, a jemu coraz nowych niewiast sługi szukają... Mało ich swoich, ściągają po wszystkich ziemiach Węgierki, Czeszki i Niemki... Jak począł od poganki Litewki, tak teraz coraz mu innego owocu trzeba... Co nadkąsi, to rzuci, a czeladź dojada!!

Zobaczycie, gdy się przebierze, jeszcze na Żydówce gotów skończyć! Tego brakło, a i to będzie... bodajbym sromoty tej nie był prorokiem!

W śmiech obrócono wykrzyknik Pszonki.

— A niechajby sobie smakował, w czym chciał — odparł Janina, — co nam do tego, to ks. Baryczki i spowiedników sprawa... Nam, byle rycerstwo i jego prawa szanował, choćby... wiedźmę wziął... nie do tego...

Gorzej, że nas ode dworu i od łask odpychają. Kilku ulubieńców swoich ma, ot takiego Kochana, co się nawet wojewodom nie kłania, a oni jemu nisko; takiego Dobka Bończę, który do góry głowę zadziera, jakby od innych był lepszy; zresztą kto przy nim? mieszczanin, pół Niemca, Wierzynek, Żyd Lewko... kat ich zna!

— Lada chłop! lada rab! — wykrzyknął, belkocząc po swojemu, Neorża, ja o tem najlepiej wiem. Byłże u mnie kmieć Leksa, co go Wiaduchem przezywali, prosty człek, gbur, co myślicie? Król do niego jeźdżał w odwiedziny, w chacie się zasiadywał, najmilej się z nim zabawiał, rozprawiał jak ze człkiem, rady mu dawał, skarg miłościwie

słuchał. Tego juche, gdy śmiał potem do Wiślicy jechać, jakby tam dla nich prawo pisano, za co mu król jeszcze po-
no dziękował, powracającego na drodze, gdy mi zuchwale
odpowiadał, schwycilem i zarąbałem... Niechaj drudzy zna-
ją, aby mi kmieć lba do góry nie podnosił. Wara im sta-
wać narówni z nami!

— A co o Żydach powiadaliście, — wtrącił żywo Otto ze
Szczekarzewic — to też prawda, że on ich broni i strzeże le-
piej, niż chrześcijan... choć Pana Boga naszego zamordowali.
Pytajcie, dlaczego?

Dlatego on Żydów lubi, bo oni mu pieniądze kowają,
no — i taka natura w nim przekorna, że co najpodlejszy
gmin, na który nikt nie spojrzy, jemu smakuje najlepiej.
Przyjdzie doń dwu na skargę, albo z prośbą, popatrzy, za-
wsze który najnędzniejszy, tego wybierze i do niego się
zwróci. A z pokłonem rycerz starego rodu zjawi się, zmie-
rzy go od stóp do głów oczami, rzadko słowo powie. Żebrak
na drodze, chłop u radła, Żyd w nędznej chalupie, to dla
niego przysmaki. Nie pominie żadnego, stanie, zaczepi, bę-
dzie z nim rozmawiał i okaże mu oblicze najlaskawsze...
O tych Żydach powiem wam, na com ja sam własnymi oczy-
ma patrzył...

Wszyscy około mówiącego Ottona ze Szczekarzewic sku-
pili się ciekawie. Neorża śmiał się uradowany, bo na jego
młyn woda płynęła, powtarzał ciągle:

— A co? a co?

To, o co obwiniano króla, szczególnie mu smakowało.

— Chłopów król, a nie nasz! — mrucał — chłopów król!
Tymczasem Otto dalej opowiadać zaczął.

— Łońskiego roku, gdy Pan Bóg nas tym strasznym mo-
rem pokarał, który wiatry skądeś przyniosły, a drudzy pra-
wią, że z kupcami do nas i kupią przywędrował, ludzie pa-
dali jak muchy. Trwoga była okrutna, tak, że niektórzy
ze strachu samego marli, choć czarnych wrzodów i krost,
i dymienicy nie mieli. Kto żyw, z Krakowa życie unosił, bo
tu powietrze, jak ks. Baryczka powiada, za Przenajświętszy
Sakrament sponiewierany mściło się bezlitośnie. Zakonnicy
tylko i księża gdzie którzy pozostawali, aby umierającym
ostatnią oddać posługę. Nie nastarczyć było grabarzy i tru-
mien... Walaly się trupy pod płotami, co je potem lada gdzie
do dołów rzucano, aby zarazy pozbyć.

Król, który w Krakowie podówczas nie był, gdy się to
począło, jakby sobie z mocy Bożej urągowisko czynił i wy-

zywał ją, choć go ten z Melsztyna i inni prosili, po rękach całowali, aby się kędy w lasy schronił, — nie, wprost na Wawel powrócił!

Było to właśnie w porę, gdy ludzie dowodnie doszli, iż pomorek był bodaj sprawą Żydów, albo za żydowskie grzechy, które u siebie cierpimy, zesłany. Postanowiono niewiernych wybić i wytopić, aby Boga przebłagać.

Com ja wówczas napatrzył się, nie zapomnę do śmierci. Z pod murów zamkowych, od Okola, kędy tylko o Żydach wiedziano, wywlekali ich albo półżywych, lub już pobitych, siekierami lby ucinając, postronkami dławiąc... Napróżno się o chrzest prosili z trwogi. Mordowali starych, młodych, niewiasty, dzieci rzezano na sztuki, aby nasienie tego plemienia nie zostało.

W mieście wycie, płacz, jęki a szalony wrzask dzwony głuszył. Jam się tem pośpieszniej do ojca, który zaniemógł i wzywał mnie do siebie, przebijał, często mieczem sobie drogę torować zmuszony, a mało mnie gwałtem też do tej roboty nie zaprzężono, bo lud wściekły na nikogo nie zważał.

Jużem się był nieopodał od zamku dostał, aż widzę, jakbym dziś jeszcze na to patrzył, naprzeciwno mnie, z mrowianego dworca, którego wrota wylupane na ziemi leżały, oprawcy wywlekli właśnie całą żydowską stadninę, która się w lochu ukrywała. Był jeden stary, z brodą siwą, z szat odarty, wychudły, nagi, z głową ogoloną, któremu sznur na szyję już i pętlicę zadzierzgnięto, było dwu młodszych, napół omdlałych, którzy ręce łamali, klękali i opierali się, że ich wlec musiano, i Żydowica stara w poszarpanych sukniach, której ze strachu mowę odjęło. Ta jeszcze córkę czy wnuczkę, dziewczę może dziesięcioletnie, obejmowała pokaleczonemi rękami tak silnie, że trzech ludzi wyrwać jej nie mogło...

Kupa ludzi, tłocząc się, gnała ich. Jeden już zabity, padł twarzą na ziemię i tam został, z drugich krew się lała, ranami byli okryci... Żydowica też porąbana, posieczona, jakby nie czuła nic, dziecko sobą okrywając, próżno ratować chciała od śmierci.

Dziecko to, choć Żydówka niewierna, takiej było cudnej piękności, że ja oczów od niej nie mógł oderwać, a wypieszczone i wątle, jakby pańska córka. Włosy jej czarne, rozpuszczone, do kolan niemal spływały, a co z pod podartej koszuli ciała było widać, jakby z kości słoniowej wyrzeźbił, tak śliczne... Oczy, gdyby dwa węgle czarne, patrzyły prze-

rażone na tych, co ją pochwycić chcieli.... Rączkami białemi trzymała się pokrwawionej matki. Choć Żydów, i mnie się żal zrobiło...

Jużby jej wnet który cios zadał, bo się coraz większa kupa zwalała, a starą siekli i cięli, która, slaniając się, jeszcze sobą okrywała dziecko, jak wilczyca, gdy jej szczenięta biorą, aż od zamku król wypadł, jako piorun, ze swoimi kilkunastu dworzany, i wprost na tę gromadę z mieczami podniesionemi.

Stałem mało, patrząc a dziwując się, myśląc, że i Kaźmirz też przyłoży rękę do dzieła, by niewiernych wytępić, a no, stało się, czegom się nie spodziewał.

Wszyscy królewscy i on sam nie na Żydów wpadli, ale na ten motłoch, co ich mordował. Sam widziałem, jak kilku ciał i okrwawił, rozpędzając precz. Z konia zsiadł i wprost do matki z dziećciem pobiegł, okrywając ją sobą... i gromiąc napastujących:

— Won... precz!

Żydowica się rękami zbrczonemi za szaty jego chwyciła, a ową dziewczyninę król objął i płaszczem otulił. Żydowie starsi popadali mu pod nogi, za kolana go chwytając. Kochan i Dobek, przy nim stojący, poczęli krzyczeć:

— Precz, zbóje — precz!

A miecze mieli obnażone, i tłum, choć był rozjadły, pierzchnął, szanując wolę pańską.

Zaraz i drudzy Żydowie, którzy wpobliżu byli, korzystając z tego, że oczy wszystkich na Kaźmirza były zwrócone, i że na nich nie baczono, poczęli się cisnąć, zbiegać z wrzaskiem i jękiem ku niemu.

Skinął, aby rozpędzono gmin, i sam na to patrzałem, jak starą Żydowicę, z której posoka się lała, wzięwszy za rękę, a dziecko wciąż płaszczem otulając i starym Żydowinom iść za sobą rozkazując, nazad na zamek pociągnął pieszo, dworowi zalecając, aby motłoch rozegnano, a niewiernym żadnej krzywdy czynić nie dano...

Tak się to morderstwo podówczas skończyło, i Żydów połowa, albo i więcej uszła. Niektórzy na zamku, inni po miastach dalszych, nocami zbiegając, poprzebierani, ukryć się potrafili.

Mówili potem, że ową starą Żydowicę własnemu lekarzowi kazał obwiązywać, smarować i leczyć, a przez dni kilka spokoju nie miał, aż matkę z córką na królewskim wozie, pod strażą do Opoczna odwieziono.

Janina, słuchający jak inni, rzucił:

— To bo Żydzi pono z tego rodu, który u króla żupy trzyma i pieniądze mu kuje. Bez nichby się nie obszedł... dlatego ich ratował!

Neorża dodał z przekleństwem:

— Jeszcze my ich kiedyś, judaszów tych, razem z tym, co ich tak kocha, wyženimy precz... dopiero lepiej będzie!

Śmiała ta pogrożka, choć może wielu była po myśli, w nim jednak wtóru nie znalazła, przeszła jakby niedosłyszana.

Niechętni byli wszyscy królowi, przecie bali się i wahali inaczej, jak szemraniem myśli objawiać.

Maciek Borkowicz, przysłuchując się z półusmiechem pogardliwym, potrząsając głową, rzekł, wodząc oczyma dookoła:

— E! e! próżny to gwar, miłościwi moi! Nałajac z kąta, to tam każdy potrafi — a do roboty się zabrać, mało kto. Ja, nie chwając się, Wielkopolan ściągam moich do kupy; — radzę, czyńcież wy to samo u siebie. Z gadaniny nie urośnie nic, chyba kwas.

I kołpaka poprawiwszy, z miną butną, Neorży się trochę skłoniwszy, szedł precz, na innych nie patrząc.

Gdy się to w wielkiej izbie działo, z której goście powoli rozchodzić się zaczęli i rozjeżdżać, pilnując, aby gromadnie na ulicę się nie wysypywali i każdy w inną rozjeżdżając stronę, dotąd milczący człek, który się tu nie wiedzieć jak wcisnął, i nie odzywając, ani mieszając się do rozmowy, słuchał tylko, niebardzo nawijając na oczy, wysłiznął się też, opończą osłoniwszy, ze dworu Neorży, pieszo pod płotami poczynając iść ku miastu i rynkowi.

Był już za drzwiami, gdy gospodarz, rozgrzany rozmową, który mało co na kogo zważał i prawie go nie postrzegł wprzód, dopiero wychodzącego zobaczył lepiej, chcąc dognać, ale już było za późno.

Stał koło niego Jaksa, co się o córkę Neorży starał i do niego chodził, choć wiadomo było, że na dworze królewskim służył i z królem trzymał. Nie obawiano się go, bo przyszłego teścia zdradzić nie mógł.

Tego porywczo spytał Neorża.

— Kto to taki?

Wskazał palcem za odchodzącym.

— Ja go nie znam — rzekł Jaksa.

— Któż go przywiódł? z kim tu przybył? — podchwycił niespokojnie Neorża, — nie wy?

— Nie ja! — odparł zapytany.

Neorża zaburczał gniewnie.

— Do kata! — zawolał — stał jak mruk, uszy nastawiwszy i niewiadomo, kto on jest. Gotów na zamek z językiem.

Włosy zaczął sobie targać Neorża, usiłując przypomnieć, kto nieznanego przywiódł tu ziemianina, przed którym, sądząc go swoim, z niczem się nie tajono.

Jaksa go nieco uspokoił tem, że przecie na podsłuchy przysłanym nie był, a samby się wnieść nie ważył, ktoś więc za niego ręczył.

— Wy też nie do nas, a do króla i do dworu należycie, to ja wiem — odezwał się gospodarz do Jaksy, ale przecie skarżyć na nas nie pójdziecie.

Spojrzał nań, — Jaksie na twarz rumieniec wystąpił.

— Jam tu przybył się wam pokłonić, miłościwy panie, a nie języka szukać — rzekł żywiej. — Boli mnie to, co przeciw królowi mówiono, bo ja go miluję, ale nie moja to rzecz rozgłaszać, co przy mnie, zaufawszy mi, mówiono... otwartem sercem.

Neorża się skrzywił, ręką poruszył, splunął, lecz że Jaksa się żegnał z nim, rozmowy nie przeciągał.

Zmęczony, ziewający, z troską poszedł do pościeli. Nie wiodło mu się, jak pragnął.

Nieznamomy ów, który się był niepostrzeżony zrazu wciśnął pomiędzy niechętnych królowi, wprost ze dworu wolnym krokiem na zamek się zawrócił.

Był to Przedbór Zadora, z bratem swym Pakosławem zostający na usługach królewskich, prawdę rzekłszy, Kochanowi więcej służący, niż panu, który go rzadko widywał.

Obaj bracia zdawna wiernie stali przy ulubieńcu, który im się wypłacał, zalecając ich Kaźmirzowi, jako najwierniejsze sługi. Z ubogiej, rozrodzonej rodziny pochodzący, Przedbór i Pakosław musieli przy dworze szczęścia szukać, a dorabiali się go, niebardzo patrząc, co im czynić kazano.

Kochan miał z nich posłów, pośredników, pomocników, a gdziekolwiek nie mógł sam, jednym lub drugim z nich się wyręczał.

Nazajutrz po dniu tym, gdy nieprzychylni królowi ziemianie u Neorży się zeszli i co który na sercu miał, głośno się z tego wypowiadali, dając się nieopatrnie podsłuchać

Przedborowi, który doniósł o nich na zamek, — Kochan, ledwie strzymawszy wieczorem przy sobie, co mu doniesiono, wszedł do królewskiej sypialni zawczasu rozpowiedzieć mu o schadzce wczorajszej.

Król dnia tego wstał z łoża znękany, i, jak mu się to często trafiało, niemal pod brzemieniem życia upadać się zdawał. Od owej tragedji na Węgrzech, od niedoszego smutnego wesela w Pradze, bardziej jeszcze od ożenienia z Adelajdą przychodziły nań często takie chwile niesmaku i zmęczenia, z których Kochanowi nawet, znającemu go najbliżej, trudno go czemś wyrwać było.

W chwilach tych Kaźmirz milczący był, obojętny na wszystko, głuchy; niczego się nie zdawał pragnąć i nic go nie obchodziło.

Często po dwakroć i trzykroć ulubieniec mu coś powtarzać musiał, nim zrozumiał, nim się tem rozbudzić dał i odpowiedział.

W takich to dniach znękania Kochan mu rozrywek szukał, niewiasty rail, aby go do życia przywrócić, wesole towarzystwo ściągał do stołu, Szupce, trefnisiowi pana, towarzyszków dobierał... a gdy to wszystko nie pomagało, naostatkiem do ks. Suchywilka się udawał, który królowi myśl jaką wielką poddawszy, najprędzej nią z tej obumarłej wyprowadzał go martwoty.

Tak po praskiem niedoszłym weselu uleczył go Suchywilk ze smutków, rzucając pierwszą myśl wiślickich statutów; teraz król zamki budował, miasta podnosił, drogi kopać kazał i tem żył znowu.

Lecz po niejakiem czasie, gdy nowa myśl ciało przybierać zaczynała, krótką go obdarzywszy pociechą, nowej już karmi szukać było potrzeba.

Wiecznie rozdartą, niezgojoną raną serca Kaźmirzowskiego była ta groźba straszna, że nie zostawi męskiego potomka po sobie, a koronę na obce dłonie zdać będzie musiał i zejść ostatnim swego rodu.

Nadzieje, które pokładał na ożenieniu z Adelajdą, spełzły były. Królowa odesłana do Żarnowca, siedziała tam samotna, a Kaźmirz, żyć z nią prawie nie począwszy, nieprzezwyyczajony wstręt powziął ku niej i widział w niej tylko zawadę, na wieki mu odejmującą wszelkie lepszej przyszłości wróżby.

Na to rozstanie tak prędkie z Adelajdą wiele się różnych przyczyn składało.

Z twarzy niepiękna, na umyśle upośledzona, rada swemu

wyniesieniu na królowę, Adelajda znosiła wygnanie prawie obojętnie. Niemka to była, której się zdało, że polskiemu królowi pustyni i lasów dzikich przyniosła wielką cześć i szczęście z sobą. Pewną się czuła, że ją kochać musi, a pozyskać tej miłości inaczej, jak rubaszną zalotnością, przy brzydocie wstrętliwą, nie umiała.

I teraz jeszcze, gdy już oddawna męża nie widywała, spodziewała się zawsze, pewną była, że do niej powrócić musi. Trefiła rudawe włosy, malowała piegowate wędniejące policzki w nadziei, że Kaźmirz kiedyś się zjawi. Czekala na niego od miesiąca do miesiąca, od roku do roku, a dwór jej baśnie plotąc, utrzymywał ją w tych złudzeniach.

Może Kaźmirz byłby przemógł odrazę do kobiety dla miłości rodu swego, lecz królowa Elżbieta stała na straży, aby synowi jej obiecana już korona wyrwaną nie była. Ona i jej przyjaciele w otoczeniu króla znajdujący się, do których najznakomitszych liczono dostojników, — starali się co mogli donosić o Adelajdzie i wstręt do niej pielęgnować i powiększać. Królowa Elżbieta rachowała na tę koronę dla syna, drżała na samą myśl utracenia jej. Rycerstwo miało już obietnice wielkich swobód, duchowieństwo wielkich łask, jeśliby Ludwik został królem. A do tego właśnie potrzeba było, aby król nie żył z tą żoną ani z żadną inną, aby miał bodaj kochanki i potomstwo pokątne, ale nie korony dzieci.

Z Węgier, jak mówiono, szły na to do Polski pieniądze, aby króla pilnowano...

Kilka razy ci, co się lękali połączenia z Węgrami, starali się nakłonić Kaźmirza do przezwyciężenia odrazy... Przybywał król z mocnem postanowieniem zbliżenia się do Adelajdy, ale wnet zrażała go pewnością zwycięstwa, pychą, zalotnością niezgrabną, samą swą powierzchownością śmieszną i dziecinnie pyszniącą się jakimś kobiecym urokiem, którego nie miała. Nie była to ani prosta chłopka, dziecko lasów i pól dobroduszne, ani kobieta, jak Margareta, na rycerskich dworach w obcowaniu z ludźmi oglądzonego obyczaju wykształcona... ale coś mieszczańsko, dziwacznie nadymającego się sobą, a odrażającego... nicością. Król po każdym takim spotkaniu ze zwiększoną obrzydliwością od niej uciekał.

Królowa Adelajda, słysząc, że niewiast wiele mężowi jej za miłośnice dawano, sądząc go namiętym, w taki sposób tę namiętność wywoływać się starała, iż pogardę i srom obu-

działa. Nie umiała sobie potem inaczej wytłumaczyć wstrętu i ucieczki, tylko czarami i podszeptami zauszników królowej Elżbiety, o której zabiegach była uwiadomiona.

Strutego pana swojego wioził potem Kochan co prędzej do jednego z tych dworów, w których dlań młodością, świeżością, wdziękiem nęcące trzymał niewiasty, i smętnemu panu niemal gwałtem je narzucał.

Król ulegał pokusom... lecz nie na długo; życie to przykrzyło mu się wprędce... Żona, niewiasta, któraby sercu jego odpowiadała, w jego przekonaniu już się nie znajdowała na świecie. Umarła może w męczarniach z Klarą, może we wdowim smutku z Margaretą.

Wkrótce odwiedziny w Żarnowcu zupełnie ustały. Kochan po każdym widząc pana więcej zbolałym, jak mógł od nich odwodził.

Królowej nie działo się nic złego, miała dwór znaczny, cześć należną, pańskie otoczenie, zabawy, jakie chciała; śpiewaków a bazarzy i błaznów z Niemiec sobie sprowadzała, stroiła się w szaty bogate, duchowieństwo opuszczoną starało się pocieszać. Obiecywano jej ciągle lepsze losy.

Lecz dla nieprzyjaciół króla ten rozbrat z ukoronowaną małżonką prawą bronią był skuteczną dla zohydzenia go u ludzi. Posługiwali się nim i powieściami o jednodniowych kochankach królewskich, aby wystawić Kaźmirza jako rozpustnika, wiarołomcę, rozpasanego na wszystko zbytnika.

— Miłościwy panie mój, — począł nazajutrz Kochan, spoglądając na znużonego króla, który patrzył, nie widząc nic, wprost przed siebie — miłościwy panie, czasby ludziom złym gęby zamalować.

Kaźmirz rzucił nań okiem roztargnionem i ruszeniem ramion odpowiedział.

— Znowu się u tego Neorzy zbierają — dodał Rawa, — liczba ich się mnoży, wygadywać im wolno bezkarnie, więc języki na dziadowski bicz rozpuszczają.

— I cóż mówią? — zapytał król obojętnie, zbywając się go.

— A cóż? zawsze jedno! Mnich ten zuchwały, Baryczka, niedarmo Amadejów pokrewny... Węgier też, choć ojciec z Polką się ożenił, Baryczka się odgraża, że gotów z kazalnicy piorunować na króla... Nawet arcybiskupa i biskupa nie oszczędzi za to, że oni was nie zmuszają z żoną żyć, a... inne niewiasty porzucić. Jakby kochanek i księża nie mieli? — dodał Rawa.

— Kochanki? miłośnice? — powtórzył król z uśmiechem chłodnym — gdzież one są? na dworze ich nie chowam! Kochan zamilkł.

— Ani arcybiskup, ani biskup — dołożył król — nie pozwolę temu szaleńcowi rzucić się na mnie.

— Biskup? — kto wie? — odparł Kochan. — Ks. Bodzanta to nie Jangrot spokojny, temu potrzeba koniecznie z kimś koty drzeć, mało mu może będzie mniszek sądeckich, porwie się na króla.

— A inni, jacy tam u Neorży byli? — spytał król po chwili. — Neorża człowiek zły, to prawda, ale głupi jest, obawiać się go niema powodu. Nie szanuje go nikt i nikt nie pójdzie za nim.

— Przecież tacy ludzie do niego się garną, jak Maciek Borkowicz, — rzekł Kochan — który tam wczoraj był; ten nieobrany z rozumu, a w Wielkiej Polsce dużo swoich ma.

Kaźmirz bystro spojrzął, tknęło go to.

— Borkowicz? — powtórzył. — Jam go nadaniami i łaskami obsypał, miałżeby niewdzięcznym być? Cóż przeciwko mnie mieć może?

— Nie wiem, — odparł Kochan — ale to pewna, że z tymi trzymam, co jawnie przeciwko nam są.

Król zdawał się niedowierzać.

— Człek to przebiegły i śmiały — rzekł, — może tylko języka szuka.

— A jabym mu nie wierzył — przerwał Kochan, — niepomierne wielkości jest chciwy.

— Któż był więcej? — zagadnął król.

— Było ich pono dosyć, — krótko zamknął ulubieniec królewski — Pszonka, Janina, Otto ze Szczekarzewic.

Milczeli chwilę, a król dumiał.

— Otto im gadkę prawił, jak wasza miłość Żydów ratowaliście łońskiego roku, osobliwie ową niedoroslą dziewczkę, której matkę tak okrutnie posieczono.

Kaźmirzowi twarz się rozjaśniła.

— Co to za śliczna była ta przestraszona! — zawołał — w życiu nie widziałem piękniejszej twarzyczki, ani oczu podobnych! Co z niej będzie, gdy urośnie. — Westchnął.

— I zmarnuje się ta piękność przedziwna pomiędzy żydostwem brudnym — dodał ciszej.

Kochan bacznie się w króla wpatrywał, jakby chciał sobie zapamiętać jego słowa.

Rozmowa się przerwała.

— Miłościwy mój, — dorzucił po przestanku Kochan — Neorzę-by gdzie na Rusi na zamku posadzić, aby tu kłokółu nie siał, drudzyby zamilkli.

Rozśmiał się król głośno.

— Aby się miał za takiego człowieka, którego ja, pan i król, lękać się muszę? Cześćby mu się wyrządziła za wielka. Głupców niema się co obawiać. — Ruszył ramionami wzgardliwie.

Aż wtem do drzwi już pukano.

Kochan wnet, pokorniejszą przybrawszy postawę, cofnął się ku progowi. Po chodzie i kolataniu on i król poznali nadchodzącego Suchywilka.

Wszedł z powagą, bez zbytniej poufałości, ani nadto się korząc, jak człowiek, co królewską i swą godność oszacować umiał, a stanowiska był pewnym.

Każmirz go witał uprzejmie.

Wejrzenie, które duchowny na Kochana stojącego w progu rzucił, znakiem było, ażeby się oddalił.

Rawa wyszedł natychmiast — wyszedł, ale za progiem pozostał i ucho do drzwi przyłożył.

O łaski, jakie u króla miał zdawna siostrzeniec arcybiskupi, nie był faworyt zazdrośnym:

Zastąpićby go mógł, walczyćby się z nim nie ośmielił, znał wielką wyższość człowieka, który się szanować kazał, lecz o wszystkim wiedzieć potrzebował.

Król doradcy swemu wskazał siedzenie. Skłonił się posępnego oblicza kapłan, — ale nie usiadł. Obie ręce na stole oparłszy, przy którym król spoczywał, zadumał się nieco, przygotowywał do rozmowy.

— Przychodzę z przestrogą — rzekł po namyśle. — Czy z rozkazu króla dobra Złockie biskupowi krakowskiemu zajęchano?

Spojrzał. Nastąpiła chwila milczenia, król milczał, gotując odpowiedź rozważną.

— Dobra Złockie? — odparł, zacinając usta — tak jest. Układałem się ze ś. p. biskupem Jangrotem; godził się na to, bym mu inne w miejsce ich wyznaczył. Złockie mi do moich lasów i majątności są konieczne potrzebne.

— Umowy nie było spisanej? — zapytał Suchywilk.

— Byli świadkowie.

— Ks. Bodzanta o układzie tym nic wiedzieć nie chce — mówił dalej duchowny, — na żadną zamianę przyzwolić.

— Krzywdaby mu się nie stała — dodał król. — Z wu-

jem waszym niejednąśmy podobną przeprowadzili zamianę. Kościelnego dobra nie pożądam, duchowieństwa krzywdy nie chcę...

Nie dokończywszy, król głowę spuścił.

— Bodzanta rozżalony, zburzony mocno... — dodał Suchywilk.

— Przecież da się uchodzić — rzekł król, — potrzeba tego.

— Wątpię, żeby z nieco upartym a sierzdystym starcem już się co dało uczynić — odezwał się, głos zniżając, Suchywilk. — Być może, iż go podbudzono i oliwy do ognia dolano, ale już się pali jasno i trzeba mu dać wygorzeć. Złockie dobra bodaj zwrócić, a później zrobić się coś może.

Król wstał, jakby go co ubodło nagle.

— Powągębym królewską naruszył — rzekł głosem drżącym — ulegając biskupowi. Nie mogę! Nagrodzę go sowicie, nadam więcej, niż warta ziemia ta, ale ją dziś puścić nazad sromby był dla mnie.

Suchywilk, na stole sparty, stał zadumany, brwi ściągając.

— Zajątrzy się ten spór mocno — odezwał się zwolna, poglądając na króla. — Ks. Bodzanta gwałtowny jest, trzeba mu dać czas ostygnąć, nie jątrzyć go więcej oporem. Dobra Złockie wojny z nim niewarte.

— To pewna; — żywo odparł król — dobra Złockie nie, ale cześć moja królewska warta, bym stał przy niej. Com uczynił, cofnąć nie mogę. Król sobie kłamu zadawać nie powinien!

Tak — dodał, pomilczawszy chwilę. — Wrogów mam dosyć, potwarzy na sobie noszę немало. Wyśmialiby mnie ludzie, że nie wiem, co czynię, gdy nazajutrz odrabiać muszę.

Wy — obrócił się do Suchywilka — idźcie do biskupa, wyłóżcie mu, jak sprawa stoi: umowem miał, wynagrodzenie obiecuję! Żalować powolności nie będzie, lecz król się upokorzyć nie da. Uchodźcie go, proszę...

— Radbym — rzekł uważnie słuchający Suchywilk, — ale czy zdolam, nie wiem. On też swą cześć na tem zasadza, aby odzyskać dobra te, a nie inne. Woła i narzeka, że władza duchowna słabnie i coraz bardziej świeckiej ulegać musi, gdy narówni z nią stać ma prawo.

Król coraz się gorzej marszczył.

— Nie mogę! — zawołał — niestety, nie mogę! Biskupem on jest, ale ja królem. Com uczynił, musi być dobrem, choćym za to w dziesięcioro miał zapłacić. Zaprawdę, źle się stało, żem zaraz umowy z Jangrotem spisać nie kazał.

Zwlekało się to od dnia do dnia, aż śmierć go niespodzianie zaskoczyła. Niech Bodzanta żąda, czego chce, dóbr zajętych nie powrócę.

Z twarzy słuchającego widać było, iż niemal przekonanie królewskie podzielać musiał, a przynajmniej sprawy biskupa bronić wielkiej nie miał ochoty.

Zarzucono mu naówczas powszechnie, iż za mało się czuł duchownym, a sprawy stanu swojego zbyt sobie nie ważył i słabo za niemi obstawiał.

— Ciężkie to będzie! — westchnął.

— Któż biskupa podżęł do tego? bo on sam zrazu milczał — zapytał król.

Suchywilk się uśmiechnął.

— Być może, iż go namówiono! — odezwał się ciszej.

— Ks. Baryczka za biskupem stoi? — rzekł król.

Głowy skinieniem potwierdził słuchający.

— Z tym się porozumieć i przejednać nie będzie łatwo — dodał Kaźmirz, — znam go zdawna. Niechętnym mi jest może, jako Amadejom pokrewny. Szuka tylko powodu, aby walkę rozpoczął. Duch w nim niespokojny. Walceby nie rad był, bo duchowny stan szanuję, bo niepożytecznej walki unikam zawsze i wszędzie. Królewska godność kapłaństwem jest także! Nie będą mnie szanować poddani, gdy ja się sam nie poszanuję. — A wy... co mówicie o Baryczce? — spytał, oczy wlepiając w Suchywilka, który się zadumał głęboko.

— Kapłan jest nieposzlakowany — odparł po małym namyśle, — ale człowiek namiętny, natura niespokojna... jak Salamandra w ogniuby żył... Do pogan go ślać nawracać, na niewiernych z krzyżem... bo mu słowa nie brak gorącego, a odwagę ma nieustraszoną.

Myślał chwilę jeszcze i dorzucił:

— I rozgłosu tego jest żądny, choć sam się nie poczuwa do tego.

Król stał chmurny.

— Uczynię, co mogę, by walki uniknąć — rzekł, — radźcie mi!

— Powiedziałbym, że ustąpić trzeba, gdybyś miłość wasza nie wyrzekł wprzód, że ustępować się nie godzi.

— Nie mogę! — powtórzył Kaźmirz stanowczo i dobitnie. — Kaźmirz oddałby dobra Złockie — król nie może.

Uśmiechnął się.

— Radźcie inaczej.

Ksiądz milczał długo.

— Nie będę tał przed wami, miłościwy królu — rzekł, — żem z biskupem Bodzantą mówił już o tem. Znalazłem go w zburzeniu wielkiem i próżnom go uchodzić się starał. Starzec się kłatwą odgraża...

— Kłatwą? — podchwycił król, niebardzo zastraszony. — Wiecie najlepiej, jak krzyżacy, jak inni też mało sobie dziś kłatwy kościelne ważą. Nadużyto tej broni, aż się wyszczerbiła.

— Przecież nie godzi się jej lekceważyć — z powagą przerwał Suchywilk. — Kościół innej broni nie miał i nie ma. Używać jej musiał, straszna ona zawsze.

— Ależ... wy sami, wy, duchowni, nie wszyscy jej posłuszni jesteście — przerwał Kaźmirz, — księża przecie msze odprawiają i grzebią...

— Żli księża, — przerwał Suchywilk, marszcząc się — źli to księża, miłościwy królu, bo się przeciw władzy swej buntują, a zachwieje się ona — padną i duchowni z nią.

Po małym przestanku ksiądz dodał:

— Juściż, Bóg da, do ostateczności tej nie dopuścimy.

Król nic nie odpowiedział.

Na twarzy jego zaszła zmiana, jaką często dostrzegali obcujący z nim. Ostygle oblicze znużonego człowieka nagle się przeistoczyło na poważne, na królewskie. Poczucie jakiejś dumy obwiodło je aureolą.

— O innem mówmy — rzekł. — Spodziewam się z pomocą waszą przewieść to, ażeby mi od sądów z prawa magdeburskiego nie chodzono z powołaniem i naganą zagranicę, do niemieckiego miasta i niemieckich rozmów. Wstyd to dla nas!... jakbyśmy własnych sądów nie mieli, a sprawiedliwości sami nie mogli znaleźć u siebie. Na krakowskim zamku postanowimy sąd najwyższy.

Suchywilk, słuchając tak nagle zwróconej ku czemu innemu mowy, widocznie się zadumał i nie ukrył zdumienia. Lecz zrozumiał to, że król o sprawie z biskupem krakowskim już więcej mówić nie chciał.

Zamilkł więc posłuszny.

Po chwilce, ledwie coś o tem prawie niemieckim przebaknąwszy, wyszedł Suchywilk do drzwi, przeprowadzony przez króla.

Za progiem drugich podwoi Kochan dotrwał do końca i wysłuchał rozmowę całą. Rumienił się, gniewnie wstrząsał, pięści zaciskał, to radował, gdy król stałość okazywał.

— A! — mówił sam do siebie — Baryczka nam tu grozić myśli i królowi spokój mąci. Nauczę ja klechę rozumu. Z tem pocichu odszedł od progu.

W pół godziny potem Kochana już na zamku nie było. Przystroił się jak był zwykł do wyjścia, mieczyk przypasał mały, łańcuch od króla dany na piersi zawiesił, pacholę ze sobą wziął, aby mu większy miecz niosło, który był rycerstwa oznaką, i — na miasto się udał.

Kamienica Wierzyńska, jedna z tych wielu, których on już naówczas był właścicielem, a nabywał, mieniał i sprzedawał je często, znajdowała się w samym rynku. W niej całe ówczesne życie miejskie, a przynajmniej część jego najgłośniejsza się skupiała.

Mikołaj był jednym z najczynniejszych ludzi swojego czasu i stanu. Chociaż, zaprawdę, stanu jego już oznaczyć było trudno. Mieszczanin do ziemian miał się liczyć prawem i szczyt miał, Łagodę, jako inne rycerstwo; do dworskich urzędników wyższych także go wmieścić było można, bo choć tytułów nie nosił, obowiązki pełnił nie jednego, ale kilku. Podskarbinem się nie zowiąc, skarbem króla rozporządzał, miał na oku mennicę, w mieście stał za wójta i za radę.

Handel też prowadził rozległy a różny na wsze strony... Kupcy w nim głowę swą widzieli.

Ziemianie potrzebowali go dla grosza, duchowieństwo szanowało dla szczodrości. Król naostatek, jakby z niemieckiego Viersinga przerobione na polskiego Wierzyńska chciał usprawiedliwić imię, zwierzał mu wszystko, we wszystkim wierzył i do wiernych rąk, co miał, bez liczby oddawał.

A miał też w nim sługę, który życie, mienie, wszystko był gotów dlań poświęcić.

Niewielkiego wzrostu, lat średnich, lecz krzepki, zręczny i ruchliwy Miklasz, choć czoło marszczył często, bo miał myśleć o czem, na ustach uśmiech łagodny nosił ciągle.

Twarz niepiękna, rozumna była i dobra, życiem uspokojona, bo gdyby wielkie jego zawody i troski wszystkie odbijać chciała, a sam człowiek brał je do serca, nie zniósłby ich i padł pod niemi.

Krzętał się Wierzynek nieustannie, wstając o brzasku, pracując część nocy, chodząc a jeżdżąc to do Wieliczki, to do Olkusza, to do Nowego Sącza, to poza granicę z poselstwem

królewskiem i sprawami własnymi. Miał ich więcej, niż inni na głowie, a pospolity człek tyłu podolaćby nie mógł, — on pamięcią, rozumem, czasem na wszystko starczył, choć nie śpieszył się nigdy. Król się go radził i w tem, co do niego nie zdawało się należeć; mieszczaństwo nic nie poczyniło bez niego, kupcy nie stąpili kroku, nie spytawszy go o radę, lub nie wezwawszy na pomoc.

W domu nie dzielił się z nikim robotą, posługiwał się tylko obcymi, bo z rodziny synów dwóch dorosłych Bóg obu zabrał, a po nich zostały tylko wnuki, nad którymi czuwać potrzeba. Żonę tęsknota po dzieciach dobiła, sam był więc jeden... i na wszystko oko mieć musiał Wierzynek.

Sług i czeladzi kręciło się koło niego mnogo, bo mu młodzież swą dla nauki życia chętnie oddawali mieszczenie; ta spełniała rozkazy, które wszystkie wprost od niego szły.

Gdy pana nie stało w domu, a zabawił dłużej, niż zamierzał, zatrzymywało się wszystko, bo go nikt zastąpić nie śmiał i nie mógł. Dworzec możnego mieszczanina murami i wspaniałością zewnętrzną oczów nie ściągał; rozległy był jednak, ogromny, i choć się co roku rozszerzał śpichrzami, składami, szopami, ledwie ściągającej się zewsząd kupi mógł starczyć. Dzień w dzień wjeżdżały we wrota jego ogromne wozy ładowne, karawany całe, zbrojnymi ludźmi otoczone, bo kosztownego towaru naówczas przez puste gościńce prowadzić inaczej nie było bezpiecznie. Łotrzyków się włoczyło wielu, polujących na zdobycze.

Młodzieży żwawej kręciły się roje w podwórcach. Jedni ważyli i liczyli, co wyładowano, drudzy zapisywali, dozorowali inni. W sieniach, po izbach czckających na posłuchanie zawsze pełno było; w dziedzińcach, póki dnia, nieustanny ruch i targowica. Inni tu tracili głowy, on jednym oka wejrzeniem mierzył, poznawał rzecz każdą, a często, nim go zapytano, odpowiadał. Dość mu było na człowieka wejrzeć, aby wiedzieć, z czem przychodził.

Mówił krótko, jak wódz w czasie boju, a co rzekł, to się spełnić musiało zaraz, bo zwłoki nie cierpiał, a nieposłuszeństwa nie rozumiał.

Często widywano pana tego, który z królem poufale przedstawiał, a bogactwem niejedno książątko przechodził, gdy zniecierpliwiony powolnością lub niezgrabstwem, przypomniawszy sobie dawne czasy, sam chwycił za ciężar, albo rozwijał przywiezioną w skrzyniach kupię, młodzież ucząc, jak się brać do tego, nie tracąc czasu.

Spotkawszy go w podróży lub na ulicy, nieznajomy człek nie poznałby w nim może głośnego już podówczas Wierzyńka, bo odziewał się skromnie i nie bijąco w oczy. Dopiero sukni się przypatrzywszy, temu, co na nim i około niego było, dostrzec mógł, iż tkaniny a przybór do nich wszelki, przedziwny był i doborny, jakiego pospolici ludzie nie noszą.

Lubił bowiem Wierzynek wszelkie rzeczy osobliwe, piękne i drogie, te się z całego świata do niego ściągały.

Izby, w których swoich towarzyszków, kupców, mieszczan, ziemian i mnogich codziennych gości pospolitych przyjmował, nie świeciły tak bardzo sprzętami; dopiero głębiej wszedłszy do tych komnat, w których odpoczywał, poufałych swych i rodzinę gromadząc, bogacza poznać było można, napatrzeć się zamorskich drogich tkanin, rzeźby z kości i drzewa, szkła, gliny polewanej, kruszców, kamieni i kobierców kosztownych...

Flamskie opony okrywały tu ściany, a wschodnie miękkie tkaniny podłogę; skrzynie piękne, wyrzezywane, okryte poduszkami, za siedzenia służyły pod ścianami, a po szafach i na nich napatrzeć się było można naczyń różnego, puharów, kubków, flasz, dzbanów misternie barwionych i pozłocistych. Przywożono mu je z Włoch, Francji, z Hiszpanji, ze Wschodu, ze wszystkich tych ziem, z którymi różne handle prowadził.

Co mu się najpiękniuszem zdawało, to dla siebie zostawiał. A że i król miłował piękne dzieła rąk i przemysłu ludzkiego, dla niego i dla siebie, do kościołów, ich skarbców zwozić kazał Wierzynek, o czemkolwiek zasłyszał, gdzie co najlepiej robiono. Kochał się też w klejnotach, choć nigdy ich nie nosił, na wielkie tylko uroczystości łańcuch kładąc lub pierścień jaki, a pilnując tego, aby swych mieszczan nie raził przepychem, którego im zażywać nie było wolno.

Przepisy ówczesne, surowe dosyć, wzbraniały im zbytku wszelkiego w sukniach, u stołu, przy weselach, stypach, obchodach chrzcin i zabawach.

Tak on, jak nieboszczka żona jego, dzieci i wnuki, gdy do kościoła szły, albo się w ulicy pokazywały, starali się do innych mieszczan podobnie odziewać, choć żaden z nich, ani Awileje, ni Wigandy, Bochnery, Kempowie, ani Keczerowie z Wierzyńkami się mierzyć nie mogli. Miklasz ich przecież panami bracią nazywał, choć ziemianie jego też swoim bratem mieć chcieli.

Gdy Kochan Rawa przybył do dworu pana Wierzyńka,

właśnie ów w kożuszku i kołpaku futrzanym stał w podwór-
cu, spoglądając na sanie, które ze skrzyniami wielkimi,
kupi pełnemi, dnia tego nadażyły z Niemiec do Krakowa.

Zobaczywszy Rawę, którego król często posyłał z ustne-
mi poleceniami, pośpieszył doń Wierzynek z dobrodusznym
swym uśmiechem na ustach.

— Bóg z wami! z zamku? cóż mi niesiecie? — zapytał
go uprzejmie.

Kochan stał, nie dobrego nie pozwalając się domyślać.
Piękna jego twarz chmurną była.

— Macie-li czas? do izby z tem iść musimy — odparł
gość, — aby wiatr słów naszych nie poniósł, gdzie nie trzeba.

Wierzynek pod rękę ujawszy Kochana, do izby swej go
poprowadził.

— Cóż mi to dziś tak chmurno patrzycie? — odezwał
się gospodarz, spoglądając na gościa, który zwolna za nim
wchodził do izby.

— Bom zły! — wybuchnął Kochan, a twarz jego jeszcze
się mocniej zasępiła. — A gdy mówię, że zły jestem, odgad-
nać łatwo, że nie za siebie, ani o siebie, ale o naszego pana.

Bystro i niespokojnie spojrzał nań Wierzynek.

— Mówcie! cóż znowu przyszło, aby mu pokoju nie dać?
co dolega? — zawołał.

— Gorsza daleko sprawa, niż te, któreśmy przebyli —
odparł Kochan, siadając. — Wiecie, że król dobra Złockie,
o które się był z Jangrotem ułożył na zamianę, a biskupowi
krakowskiemu tak jak nic z nich nie przychodziło, zając
kazał. Mieniali się przecie niejednym raz... Bodzanta warchoł
sam, a tu jeszcze i Baryczka, gorszy od niego, do wojny
podżega... Klecha ten pierwszy zaczął krzyczeć na pogwał-
cenie praw, na świętokradztwo, i domagają się dóbr po-
wrotu... szkód wynagrodzenia. Król inne majątności gotów
dać, ale co raz wziął, tego oddawać nie może. Przyznałby,
że zajął bezprawnie... Co wy mówicie? już się z groźbami
kłąt w i interdyktów noszą zuchwałe klechy!

Wierzynek ręce małe i pulchne zacisnął, słuchając; twarz
spokojna poblądła nieco i jakby dreszcz przebiegł po niej.

— Złego słowa nie mówcie w złą godzinę — odezwał się
zafrasowany. — Niech Bóg od tego uchowa! Bodzanta od-
grażać się może, ależ — nie rzuci kłąt wy... nie!

— Baryczka sam się na to gotów ważyć, męczeństwa mu
się gwałtem zachciało... a może też pewien, że bezkarnie

mu ujdzie i sławę sobie zyszcze, iż króla zmógł. To sprawa Baryczki...

Wierzynek przerwał mówiącemu lekkim uderzeniem po rękach.

— Nie przypuszczajcie, nie domyślajcie się takich złych rzeczy — zawołał. — Dość i bez nich król ma na głowie, wszystko to się rozproszy i rozwieje...

— Niech mi się pana mojego tknąć waży — nie zważając na wyrazy uspokajające, rzekł Kochan, mocno zburzony, — a ja mu to pożądane, czy nie, męczeństwo sprawię. Tylko może nie takie, jakieby pragnął, żeby o nim po całym świecie głoszone! pocichu klechę sprzątnąć każe i przepadnie bez wieści... kamieniem w wodę!

Wierzynek go powtórnie po rękach uderzył.

— Milczcie, — rzekł — nie do rzeczy prawicie. Postrachy groźne tylko sięją, aby więcej na królu wymogli. Wykupimy się im pieniędzmi, bo tych tylko pewno chcą.

— Chyba nie znacie Baryczki — podchwycił Kochan. — Nie o pieniądze mu idzie, ale o to, aby duchownej władzy moc okazał, króla ustraszył i upokorzył! Król zaś, jak dobry jest, tak powagi swojej i korony swej zazdrośny. Nie ustąpi on — nie cofnie się i klecha.

Tu, bębniąc palcami po stole, aż sprzęt na nim brzęczeć zaczął, Kochan zamilkł... Twarz zła reszty dopowiadała.

— Baryczka! Baryczka! — odezwał się Wierzynek, dumając — z tym w istocie ciężko będzie trafić do końca, jeżeli sobie osnuł co i wbił w głowę. Twardy klecha...

— Ale ja też nie miękki — odparł Kochan, — a ze mną się mu przyjdzie rozprawić. Znajdę nań sposób, aby się go więcej obawiać nie było potrzeby!

Wierzynek potrącił go znowu.

— Gniew złym doradcą — rzekł niechętnie.

— Nie o mnie mi idzie, ale o pana — zawołał Kochan. — Żal mi go wielki. Dość ma z krzyżakami, z Mazury, z własnymi ziemianami, z Rusią, z żoną, jeszcze tego brak, aby duchowieństwo wystąpiło przeciwko niemu? I bez tego on męczennikiem. Nie ścierpię, aby dla jednego mizernego klechy miał resztę spokoju postradać.

— Z miłości waszej dla pana rośnie to — rzekł Wierzynek, — że zawczasu czarniej widzicie, niż jest. Unosicie się... drżącymi rękami mało co dobrego zrobić można.

Kochan spuścił głowę, nie chciał się sprzeczać, ale przy

swem pozostał. Czuł Wierzynek, że go nie przekonał. Siedzieli tak czas jakiś niemi przeciw siebie.

— Zabiję klechę!! — zamruczał wreszcie niepohamowany Kochan, poruszywszy się, jakby do wstania.

Udał, że tej pogroźki nie słyszy Wierzynek.

— Choć niewiele w to ufam, — odczuwał się Rawa, zabierając do wyjścia — pójdźcie i wy do biskupa. Ostrzeżcie go, zważy może, posłucha... Niech Baryczce milczeć każe... Król za dobra w dwójnasób nagrodzi, a Złockich — nie puści...

Wierzynek dał mu znak, że będzie wiedział, jak postąpić.

Kochan, wyszedłszy ze dworca, stał we wrotach chwilę i po namyśle zawrócił ku gospodzie starosty sandomierskiego Ottona z Pilcy, który, choć Neorży pokrewny, jednego z nim szczytu... nie był mu przyjacielem, przy królu wier nie stał i z Kochanem poufale żył.

Tego na wypadek wszelki chciał mieć Rawa sprzymierzeńcem i poszedł doń, aby zawczasu opowiedzieć sprawę, a do wspólnego działania przygotować. Nie wątpił, że łatwo zyszcze go sobie.

— Niech mi się tylko klecha ruszy, a króla zaczepi, — mówił, na próg wstępując — ze świata go sprzątnę!

Mieszczanin był dostatni, tylko się brzydko nazywał: wolano go Świniaglów!

Świniagiowy dziad, pono rzeźnik z powołania, napiętnowany został tym przydomkiem, a do niego syn i wnuk wzięli je, i już się go nie wstydzili.

Teraźniejszy właściciel imienia, Kuba Świniaglów, rzemieślnik był porzucił, kupował i sprzedawał bydło, frymarczył żywym mięsem, ale w jatkach go już nie sprzedawał.

Żona jego, Agata, słynęła z piękności, ale Kuba jej nie ustępował i można go było, gdy podróżował konno, a bez trzód, które kupował, wziąć łatwo za ziemianina, taką miał postawę rycerską, wzrost piękny, ramiona szerokie, głowę do góry podniesioną, wąs zawieszisty, oko jasne, — no i strój, który, mimo praw i zwyczajów, trochę się do rycerskiego zbliżał.

W mieście Kuba miał domów i dworzyszcz dużo, nabywał je, mieniał, budował, frymarczył niemi i na tem zarabiał... Dla większej powagi raz się dał obrać rajcą miejskim i sprawiał urząd ten do nowych wyborów, lecz że mu z nim niedogodnie było, bo musiał na Śląsk jeździć, na

Węgry i handlem się zabawiać, nadal się wyrzekł dostojęstwa, z którego mu tytuł tylko pozostał.

Byłby to najszczęśliwszy z ludzi, gdyby mu Pan Bóg dał płci męskiej potomka. Z dzieci, które na świat przyszły, a pozamierały wszystkie, rajcy Kubie została jedna tylko córka Basia.

Tę jedynaczkę oboje rodzice pieścili, chuchali nad nią, czuwali jakby nad dzieckiem królewskim, tak ją kochali, że największa niedorzeczność, gdy Basi się na nią zebrało, wydawała się im niewinną i usprawiedliwioną.

Dzieckiem była napół dziką, a dziewczęcą dorosłą, wydawała się szaloną.

A była tak śliczną, może piękniejszą, niż matka swojego czasu. Cudo dziewczyna, ale szatan, nie kobieta. Rodzice się nią zachwycali; lecz każdy, co ją zobaczył, musiał też zdumiewać się wesołej, śmiałej, rześkiego słowa, a nadzwyczajnego wdzięku Baśce... Starych i młodych, i takich, co bywali uprzedzeni źle o niej, gdy tylko chciała, zyskiwała sobie jednym uśmiechem...

Muzyka, skoki, pieśni i rozmowy bardzo śmiałe i dwuznaczne lubiła niezmiernie, smutku znać nie chciała, a posępnych twarzy — ani patrzeć.

Różne o niej historie opowiadano, lecz nie wszystkiemu wierzyć można. To pewna, iż kilku bardzo znacznych ludzi kręciło się koło niej, i nie jeden rycerz wielkiego imienia, u Świniagłowy gospodą stając w Krakowie, po kilka tygodni tu przemieszkiwał, po całych dniach dziewczę bałamucił, a ona jego.

Potem nagle oczy miała zapłakane, a Szreniawita wpadł jak w wodę.

Pochodziła Baśka czas jakiś smutniejsza, ale długo nie mogła; piosnka wróciła na usta, rumieniec na twarz, i oczy zapłakane znów, jak dwie gwiazdy, świeciły. Tego to czasu jakoś, piękny i zawsze strojny jak królewicz, Kochan Rawa, zobaczył ją idącą ulicą do kościoła... Spojrzał na nią, ona na niego, i co miał iść za sprawą pilną, powlókł się za nią do Panny Marji. Jak się tam modlili oboje, nie wiemy, ale oczy latały żywo.

Za powracającą do domu Baśką, której ochmistrzyni stara towarzyszyła, bo matka była trochę chora, Kochan poszedł wśląd, po drodze rozpoczął śmiało rozmowę, okazało się, że ona знаła go, kto był... Zaprowadziła go z sobą do kamienicy Kuby, którego w domu nie było.

Dziewczęciu zalotnemu, lubiącemu, co świetnie i błyszcząco a dostojnie wyglądało, piękny Kochan, choć nie młodzieniaszek, bardzo się podobał. Uparła się go oczarować, nie było trudno.

Zapraszano królewskiego ulubieńca, Baśka nawet marzyła, że się z nią ożeni.

Trwało to dosyć długo, zdawali się kochać wielce, lecz Rawa o zrękowinach nie bąknął ani słowa. Jednego ranka, ni z tego, ni z owego, gdy pani Agaty w izbie nie było, żywa rozmowa skończyła się kłótnią i krzykiem.

Gdy matka nadeszła pytać o przyczynę, Baśka nic powiedzieć nie chciała, lży gniewu na oczach miała, dumę na czole. Kochan wyszedł, niewiele tem wzruszony. Kilka dni go nie było, Baśka gniewała się ciągle, nareszcie jednego dnia, strojna bardzo, poszła rano do zamkowego kościoła. Chodziła przez dni kilka na jakieś przechadzki ze starą Wawrową, chwaliła się, że króla na nich spotykała, że raz do niej nawet przemówił bardzo łaskawie. Ulękła się matka, Baśka ją wyśmiała.

Wkrótce potem Kochan powrócił. Byli z sobą teraz inaczej, szeptali cicho, matka, pode drzwiami wypatrując, uradowała się zgodzie i najlepszemu porozumieniu obojga...

Niewiele upłynęło czasu, i Świniagłowy szeptali z sobą o weselu, gdy jednego dnia Baśka poszła rano na nabożeństwo z Wawrową, a w godzinę potem ochmistrzyni wróciła, pędząc jak oszalała, ręce łamiąc i narzekając, że dziewczę jej w ścisiku kościelnym przepadło.

Pobiegł zaraz ojciec, lecz nabożeństwo się skończyło, kościół pusty, a Baśki ani śladu, ani o niej słyhu...

Ojciec, nie czyniąc wrzawy, aby dziecka sławie nie szkodzić, począł ostrożnie czynić poszukiwania na wszystkie strony. Posądzanie było na Kochana, lecz ten na zamku się nie znajdował, pokazywał na mieście, i o Baśce jakby nie wiedział nic.

Matka przed ludźmi powiadała, iż córka leżała chora. Ruszano ramionami, szeptano różnie. Skończyło się na tem, iż Kuba doszedł, że Baśka była w Krzeszowie...

Przez kilka miesięcy opowiadano ją chorą; gdy dnia jednego zjawiała się w Krakowie znowu, ciekawi goście popłynęli do domu. Choroby na niej najmniejszego śladu widać nie było. Owszem, jakby jej ta słabość na dobre wyszła, piękniejszą się wydawał, świeższą, i tylko poważniejszą a dumniejszą może. Trochę smutku miała na czole, trochę

jakiejs w oczach tęsknoty... Przybył znowu Kochan, zjawili się inni znajomi i przyjaciele, Baśka królowała jak przedtem, a ludzie dla niej szaleli.

Znikła im królewną, powróciła królową, a nie zdawało się to ją wiele kłopotać, gdy dopytywano o słabość, żartowano z tego, że tak długo jej nikt nie widział. Złośliwi utrzymywali, że ilekroć króla w ulicy spotkała, Kaźmirz stawał, dobrotliwie się do niej uśmiechał, pozdrawiał, a ona pół gniewnie, pół zalotnie odpowiadała mu wzrokiem i słowem.

W sukniach i klejnotach teraz jeszcze większy okazywał się koło niej dostatek. Czółko jedno kładła całe perłami szyte, tak drogie, a tak osobliwe, że je na kilkaset grzywien ceniono.

Czas był nareszcie Baškę zamaż wydać. Ojciec naprzód spróbował, nikomu nie mówiąc o tem, rozmówić się z Kochanem. Spodziewał się go ująć nadzieją posagu, ale z niczem powrócił.

Kochan przyjacielem się być ofiarował na wiek wieków, lecz powiadał, że czasu nie ma do ożenku, królewskim będąc sługą.

Tak tedy, przebierając pomiędzy różnymi, Świniagłowa trafił w ostatku na młodego mieszczanina Materterę.

Fryc Matertera pochodził z dobrej rodziny, ojciec jego majątnym był i ławkę miał swoją, a żelazem kupczył. Szło mu nawet długo niezgorzej, gdy nagle tak jak Świniagłowie się wiodło, jemu poczęło się nieszczęście. Spalił mu się dom, obdarli go zbójce w powrocie z Węgier, nieład wkradł się do domu; stary pieć zaczął, w ratuszowej piwnicy po całych dniach siedział, zbiedniał, i gdy zmarł, synowi tylko sprawy kosztawne pozostawił i długi.

Szczęściem dla siebie, chłopak był roztropny, pilny, głowa otwarta, i, co nigdy nie szkodzi, piękny bardzo.

Choć się nie miał w co ubrać dostatnio i musiał lada-jako odziewać, gdy się pokazywał w ulicy, wszystkie dziewczęta za nim oknami i drzwiami wyglądały. Szkoły trochę u Panny Marji liźnął, z początku chcąc do stanu duchownego się sposobić, potem mu ochota odeszła. Handlu już swojego nie miał, bo, mu i ławkę zajęto, i żelaza nie było kupować za co; więc u Keczera, któremu był krewnym, niby służył, niby się wprawiał.

Baśka, która pięknych chłopców lubiła, kilka go razy pochwalała przed matką, ubolewając nad tem, że nic nie miał. Kuba go do siebie zaprosił. Począł przychodzić na wieczorne

pląsy, a zbliża się Baśce podobał jeszcze lepiej, bo śmiałym był, wesolym, pieśni poddostatkiem umiał, a że odwagi nie miał się starać o bogate dziewczę, i ani mu to w głowie powstało, był z nią za pan brat, nic nie mając do stracenia.

Do zabawy był jedyny...

W czasie, gdy nagle Świniągłowianki zabrakło, a mówili, że chora leży, Fryc się do nich nie dowiadywał, lecz, gdy się ukazała, powrócił.

Śmiali się do siebie, jak dawniej, a Wawrowa powiedziała, iż na oczy swe widziała, jak we drzwiach raz o mroku całowali się z sobą. Może ta plotka skłoniła Kubę, że do Keczera, opiekuna Matertery, poszedł, długo się z nim naradzał na cztery oczy, potem Fryca przywołano, i rozmowa przeciągnęła się godzin parę, a nikt jej nie słyszał. Tegoż wieczora Fryc zjawił się u bogatego handlarza, wesół, śmielszy, niż bywał, przysiadł się do Baśki, powracał potem codzień, i w tydzień zaczęto mówić na mieście, że Baśka za niego wychodzi.

Spytał o to ktoś Matertery, czy prawdą było, że się żeni.

— A co komu do tego? — odparł zuchwale — albo to ja się żenię dla kogo, nie dla siebie?

Rodzina matki i niektórzy Keczerowie poczęli Frycowi ożenienie odradzać, dowodząc, iż statku dziewczynie brakło, że różnie na nią wygadywano, na co Fryc, ramionami ruszając, nawet odpowiadać nie chciał.

W mieście już bębniiono o weselu... Mówiono, że zaraz po godach je wyprawi Świniągłowa, i już się ku temu u niego sposobia. A miało być weselisko tak huczne i wspaniałe, jakiego Kraków nie widział dawno.

Były naówczas prawa, które zbyt ków mieszczanom nie dozwalały; więcej nad trzydzieści mis, po trzy osoby na jedną, nie wolno było dawać przy weselu, nie licząc w to księży i panien, a potraw na weselu więcej pięciu zakazywano, trefnisiów weselnych nad ośmiu nie mógł ojciec sprowadzić i t. p., lecz Świniągłowa wcale się tych surowych przepisów trzymać nie myślał. Wiedział dobrze, iż nikt go skarżyć nie będzie, a ci, co z uczty skorzystają, łatwo go rozgrzeszą.

Całe dostojniejsze mieszczaństwo z rodzinami i powinowatymi, krewni Materterów, Keczerów, Świniągłowy, rajcy, ławnicy, a ze dworu Dobek i Kochan, i dwóch Zadorów zaproszonych było.

Z duchownych trafiło się tak, że ks. Marcin Baryczka

musiał być na weselu, bo on pono Baškę chrzcił, czy też inne jakieś łączyło go z tym domem duchowne powinowactwo.

Kto tam tego wielkiego zbytku, na który się zanosilo, był sprawcą, trudno dojść było, chciała go Agata, domagała się Baška, żądał i sam ojciec, aby ludziom okazać, iż jedy-naczka jego niegorzej od innych zamaż wychodzi.

Dziewczę pono najwięcej wymagało i pysniło się tem, że weselom pańskim ludziom złym usta zamknie.

Trzeba było, gdy dzień się zbliżał, cały niemal dom na nowo urządzić tak, aby półtorasta głów zasiąść mogło wygodnie do stołu, aby było gdzie płasać, innych ciekawych gości, nadchodzących z podarunkami, zwykłymi dla nowo-żeńców, umieścić.

Świniaglowa chciał się też z dostatkiem popisać i dostoj-niejszym srebrne postawić naczynia, innym cynowe, a pić i jeść dać w bród.

Nie trzydzieści, ale pięćdziesiąt mis ledwie mogło starczyć... Wino gotowano słodko i korzenno, a do potraw nie żałowano przypraw zamorskich... Wielu było w mieście tref-nisiów weselnych, wszystkich zawczasu zamówiono, obie-cując im dobrą zapłatę, jedzenia i napitku, ile zechcą. Ko-chan przyrzekał, że nawet królewskiego Szupkę sprowadzi.

Nie obchodziły się wówczas zamożniejszych wesela bez wierszowanych powinszowań i życzeń, często trochę swa-wolnych, zawsze tłustych i dwuznacznych. Tych rymarzy, wierszokletów (rimaryj), którzy pięknie zastosować umieli stare koncepty do młodego stadła, drogo opłacać było po-trzeba, więcej, niż najslawniejszych trefnisiów. Mieszcza-nom więc ich uchwały tego zbytku nie dozwalały, ale Świ-niaglowa nie myślał się i do tego prawa stosować.

Zamówił więc klechę, Wyrwantem zwanego, który sły-nął z tego, że ludzie się za boki trzymać musieli, gdy oracją prawił nowożeńcom. Wyrwant obiecał coś przedziwnego i w najlepszym gatunku. Imię jego za towar ręczyło.

Jeszcze do wesela kilka dni było, a w mieście całem mó-wiono już o niem, z przekąsem jedni, z podziwieniem dru-dzy, z zazdrością wszyscy prawie. Prorokowano Kubie, że majątek na ten zbytek nadweręży...

Baška tymczasem o jednym myślała, aby nietylko wystą-pić piękną, lecz tak strojną bogato, żeby się wszystkie dziew-częta, które koso na nią patrzyły, powściekały ze złości.

Na dostatkach i klejnotach jej nie zbywało, a oprócz

tych, które zdawna u Świniagłowów znano, jawiły się i nowe jakieś, drogie, osobliwe, o których pochodzeniu zle języki dziwne szeptają...

Gdy przyszedł uroczysty pochód do kościoła z muzyką, z trefniasiami, z gromadą ludzi postrojonych przepysznie, a potem powrót od ślubu, który dawał ks. Baryczka, wysypało się patrzeć na to, co żyło, tak, że weselni ledwie się przez tłumy mogli przecisnąć. Na panią młodą patrząc, ludzie słupieli, tak była klejnotami okryta, a suknię miała z takich tkanin i szycia osobliwego, że istna z niej była królowa. Szła dumna, śliczna, wyzywająca oczyma, zwycięska, prowadząc się za ręce z Frycem, także wystrojonym przepysznie, jakgdyby chudy pachol możliwym był panem. Powiadano, że Keczrowie mu to wszystko sprawili, aby się nie wstydził za niego. Jedna szubka, aksamitem okryta, futrem pięknym podbita, którą na ramionach miał, na kilkanaście grzywien była cenioną.

Gdy cały orszak weselny z muzyką począł do dworu wchodzić, zdawało się, że się w nim nie pomieści — przecież nikt w ulicy nie został.

Stoły zastawione były po izbach, po sieniach, a tak miśernie, że nikomu miejsca nie zabrakło. Pierwsze zajęli młodzi małżonkowie, dalej rodzina, rajcy, ławnicy, duchowni i przyjaciele domu.

Trafiło się przytem niespodzianie, że ks. Baryczkę, jako ojca duchownego, posadzono między pierwszymi, a Kochanowi wprost naprzeciw niego siedzenie się dostało. Zaledwie go tak blisko ujrzał, wnet pobladł i o mało mu z rąk nóż, który trzymał, nie wypadł, lecz się pohamował. Szepnął tylko Dobkowi, którzy przy nim siedział:

— Sam Pan Bóg zrządził, że mi się tu nawinał ten klecha, ale poczekawszy, nie wypuszczę ja go stąd, aż mu powiem, co mi serce gniecie. Popamięta on to wesele.

Dobek go wstrzymać chciał, lecz bardziej jeszcze rozjątrzył. Ks. Baryczka, który biesiad takich nie lubił, a zmuszonym był choć czas jakiś u stołu pozostać, siedział, gdyby posąg kamienny, z twarzą swą żółtą, smutną, wychudłą i oczyma straszными, mało co jedząc, kubka ledwie chcąc dotknąć, zadumany i gniewny. Tymczasem już i Wyrwant nadszedł z wierszami, do których wypowiedzenia dobrym się kubkiem wina przygotował, przez co odwagi nabrawszy, na nikogo nie zważał, dosadnie a głośno prawiąc takie rze-

czy, przed którymi niewiasty, śmiejąc się, oczy zakrywać musiały.

Śmiechami rozlegały się izby, bo dla słuchania Wyrwan-ta od drugich stołów powstawali goście i ciasnem kołem go otaczali. Zaledwie ten dokończył, kilkunastu trefnisiów, po-przybieranych pocieszenie, pstro, w różne jaskrawe strzępki, w kapturki dziwacznie postrojone, dokoła stołów zaczęli wyprawiać skoki, figle, nucić piosenki i pobudzać do weso-łości.

Wrzawa ochocza napelniła izby wszystkie, a im ona ro-sła, tem oblicze duchownego straszniej się zasępiało. Widać było, iż rad chciał stąd ustąpić, tak mu to rozpasanie języ-ków i szal ludzki przykre były. Wstać jednak od stołu nie mógł, bo gospodarz Kuba pilnował go, kłaniał się, prosił, wstrzymywał, po rękach całując.

Kochan, z twarzy mu to wyczytawszy, iż ksiądz się wy-rwać stąd pragnie, czatował nań niespokojny, nie chcąc go wypuścić na sucho. Baryczka, naprzeciw siedzący, parę ra-zy okiem go zmierzył pogardliwym i unikał potem spojrze-nia na królewskiego ulubieńca.

Misy się wypróżniały, na stół przychodziły nowe, a dzba-ny pełne ciągle, muzyka grała zapalczywie, podchmieleni śpiewali pieśni coraz tłustciejsze polskie i niemieckie, a tref-nisie, szczególnie w pobliżu państwa młodych, od których się spodziewali podarku, popisywali z wyuczonym dowci-pem.

Ci weselni wesółkowie mieli na wszelkie wypadki goto-we przycinki, zapas obfity zagadek, piosenek i gadek, któ-remi gości zabawiali, parami chodząc i jedni drugim do-pomagając. Swoboda słowa była naówczas większą, a leni-we umysły potrzebowały dosadnych wyrażen, aby się niemi poruszyły. Zamężne mieszcзки odpowiadały na zaczepki, wcale się nie sromając i nie drożąc; a rumieniec dziewcząt zdradzał, że i one rozumiały skierowane ku nim przytyki.

To rozpasanie, które nic nie miało w sobie nadzwyczajne-go, surowemu Baryczce wkońcu tak się przykrem stało, że, trefnisia jednego zbesztawszy, siłą prawie od stołu się wy-rwał i Kubę naganiwszy za zbyt wrzawliwe wesele, chciał precz iść.

Ułakł się Kochan, że gdy mu tu ujdzie, już niełatwo spo-sobność mieć będzie zbliżyć się do niego; ruszył więc z ławy natychmiast, i nie spuszczaając go z oka, szedł aż ku drugiej izbie, która do wyjścia prowadziła.

Niebardzo na to zważano, bo goście wszyscy podchmiele-
ni już byli. Świniagłowę, który szedł za księdzem, wstrzy-
mano po drodze, i ks. Baryczka wymykał się już ku drzwiom,
gdy Kochan, pośpieszwszy, od nich mu zastąpił.

W boki się ująwszy, stanął wyzywająco. Ks. Baryczka
wzrokiem go zmierzył ostro i pominąć chciał. Wrzawa bie-
siadnicza dozwalała się rozprawić niesłuchanym, bo mie-
szczanie czem innem byli zajęci.

— Wasza miłość — odezwał się Kochan — nie racycie
dłużej z nami... Czyśmy niegodni?

Uśmiechnął się Baryczka, nie odpowiedział, spróbował
go wyminąć — nie było można.

— Jam dawno na to czekał, aby się rozmówić — ode-
zwał się Kochan, — poczekajcie mało.

— A ja z wami ani rozmowy, ani spółki żadnej nie chcę—
odparł ksiądz gniewnie. — Puszczajcież mnie...

— Słówko tylko, — rzekł, nie ustępując, Rawa — cóżem
to ja wam tak krzyw, że mnie nawet posłuchać nie racycie?

Baryczka zmierzył go oczyma, twarz jego coraz stawiała
się groźniejszą.

— Puszczaj mnie — odezwał się nakazująco.

— Nie macie się tu przecie czego obawiać ode mnie —
począł Kochan szydersko. — Wolno wam choćby i na króla
głośno bluźnić, czemu by mnie z wami rozprawić się nie
było wolno?

— Czego chcecie? — gwałtownie spytał Baryczka.

Rawa począł od wejrzenia, które już mówiło naprzód,
że od niego nic nie posłyszysz dobrego.

— Wiecie o tem, żem ja od dzieciństwa sługą królew-
skim, a miłuję pana mojego nad życie własne. Co jego do-
tyka, mnie boli więcej, niż jego... Choć was wygolona głó-
wa i suknia bronią od innych, ode mnie one nie zasłonią,
jeśli przeciw królowi, jakeście poczęli, będziecie sarkać, a lu-
dzi jątrzyć...

Zuchwalstwo tych wyrazów oniemiało zrazu ks. Baryczkę.
Stał, bledniejąc i czerwieniejąc naprzemiany, ręce mu drżały.

— Coś ty za jeden, żebyś śmiał duchownemu dawać nau-
ki! — wykrzyknął w uniesieniu — precz mi z drogi, zu-
chwalcze!...

— Z drogi nie ustąpię, aż się rozmówimy — odparł Ko-
chan, — a cóm ja za jeden, wiecie. Jestem króla sługą, a wy
jego nieprzyjacielem... Strzeżcie się, księżę, a nie myślcie,
żeby wam to uszło bezkarnie!

Pogardliwie uśmiechnął się Baryczka; hamował się widocznie, nie chcąc wdawać z człowiekiem, dla którego czuł pogardę, ale krew się w nim burzyła, gniew poczynął kiepieć; buchnął wreszcie, ręce podnosząc:

— Ani króla, ani was nie lęka się sługa Boży... Tyś królewski, jam Tego, który nad królami jest... a moc Jego mnie obroni... Tyś sługą nieprawości, jam stróżem prawa... precz z drogi... z tobą ja nic do czynienia nie mam...

Kochan wytrzymał ten raz, jak policzek mu w twarz rzucony...

— Nie zbędziesz się mnie tak łatwo — rzekł, — ani ja się złękę ciebie. O Panu Bogu prawisz, a z szatańską złością na najlepszego z panów następujesz, drugim serce psowasz i do buntu ich podbudzasz... Król może ci przebaczyć, ale my, co koło niego stoimy na straży... nie darujemy... choćby żywotem płacić przyszło.

— Ja też, choćby żywotem płacić, prawdy nie zamilczę, — zawołał Baryczka — precz!

Chciał iść przebojem, silny Kochan za ręce go porwał i jak żelazem przykutego trzymając, wołał:

— Klecho zuchwały, jeśli ci życie mile... strzeż się a milcz... Ostrzegam cię, abys wiedział, co cię czeka. Zginiesz... Mało ci tego, że po kątach króla bezcześcisz, jeszcze biskupa nam nasadził... jeszcze nam klątwami nad głową machacie... Nim owa klątwa na nasze głowy przyjdzie, twoja gęba umilknie...

Ksiądz poczuł wyższość swą i, zapominając o miejscu, w którym się znajdowali, podniósł głos:

— Precz... Myślisz, że cię się ulękę, albo pogróżek twych? Wyście to nad króla winniejsi, posługacze namiętności, czeladź rozpusty, stręczyciele swawoli... ty, ty pierwszy... kara cię nie minie... bezwstydnym... Nie pohamujesz mnie strachem, ale mnie do nowej pobudzisz gorliwości... Gniew twój sprawia mi rozkosz... Łajanie jest mi czią... Precz, synu Baljała!

Pomimo zgiełku i wrzawy w izbie, rozmowa księdza z Kochanem nie mogła przejść niepostrzeżona. Świniągłowa domyślił się zajścia i usiłował ku nim precisnąć, pochwycił za rękę Kochana, który go odepchnął.

— Klecho! — wrzasnął Kochan, któremu na twarz wystąpił rumieniec, — przysięgam, nie zginiesz, tylko z mej ręki... a zginię cię tak, że nawet śladu i pamięci nie zostawisz po sobie, warchole, który szukasz sławy, rzucając błotem na namaszczonego! Pamiętaj te słowa — zginiesz...

Pogróżka, która przeraziła Kubę, bynajmniej nie ustraszyła Baryczki, ruszył ramionami. Podnosił się teraz duchem coraz wyżej i stał spokojny.

— Szatan potężniejszy od ciebie jest — rzekł, — przecie się go nie lękam... Zginąć za prawdę i za Kościół mogę, Bóg mnie pomści... ty zginiesz w błocie i w plugastwie!...

Kochan byłby się może rzucił na mówiącego i wesele zakrwawił, lecz w tej chwili nadbiegł Dobek, pochwycił go gospodarz, odciągnęli go na stronę szamoczącego się, i ks. Baryczka, korzystając z odkrytych mu drzwi, zwolna, mierząc Kochana wzrokiem spokojnym, wyszedł z izby.

Pogoniłby może za nim Rawa, lecz mu nie dano. Dobek silny przyparł do ściany i wołać począł, aby się opamiętał.

Kuba zaklinał i prosił, przypadali inni; Kochan, choć się miotał i wykrzykiwał, dał się wreszcie do ławy doprowadzić, posadzić na niej i powoli trochę przytomności odzyskał.

Czuł, że przegrał sprawę, i walka, do której wyzywał, źle się dlań skończyła... bolało go to nad wyraz... Zamilkł, w duszy sobie odwet obiecując.

Pomiędzy biskupim dworem a Wawelem rozbrat już był zupełny...

Im Kaźmirz zachowywał się obojętniej, chłodniej, tem oburzenie na biskupstwie wzrastało, a ks. Baryczka je żywił coraz nowemi doniesieniami.

Z wesela u Świniągłowy powrócił w największym gniewie i wprost pobiegł do biskupa na skargę, zuchwały postępek Kochana kładąc też na karb królewski.

Nie ośmieliłby się taki dworzanin napaść na kanonika i wikariusza, gdyby nie był pewien poparcia...

Biskup Bodzanta, wciąż jeszcze spodziewając się, że samemi groźbami zmusi Kaźmirza do ustąpienia i upokorzenia — czekał... ale na zamku wcale już nie bywał. Król widywał go tylko w kościele, do rady nie był wzywany... Spotykali się zdala, unikając nawzajem.

Tymczasem niecierpliwy Baryczka naglił na Bodzantę. Według niego zgorszenie było straszliwe, wystąpienie stanowcze — konieczne.

Biskup naostatek, dnia jednego, przyciśnięty, zagniony, postanowił nazajutrz jechać na zamek. Król właśnie był z polowania w Niepołomicach powrócił, a mówiono, że do Pragi się wybierał.

Na zamku dowiedziano się wieczorem, że nazajutrz z kościoła Bodzanta ma być u króla.

Każmirz czekał.

Po skończonem nabożeństwie, zaledwie król miał czas przejść do zamku, oznajmiono mu Bodzantę. Wyszedł według zwyczaju na powitanie, nie okazując względem niego najmniejszej w postępowaniu zmiany.

Miał tę wyższość nad biskupem, iż najzupełniejszą krew zimną zachował, gdy Bodzanta, który długo się na ten krok zbierał, długo wewnątrz gryzł się i niepokoił, szedł zawczasu poruszony, przedwcześnie już gniewny.

Po przywitaniu, gdy zasiedli oba, a kilku urzędników stało opodal, niepewnym głosem, rzucając oczyma zapalonemi, biskup zażądał rozmowy na osobności; Każmirz skinął, usunęli się wszyscy.

Wielki chłód i nieporuszona powaga króla Bodzantę coraz mocniej rozjątrzały...

— Miłościwy królu... pocznę od sprawy kościelnej... krzywda się stała nie tylko mieniu, ale powadze Kościoła i mojej. Zabrano mi dobra...

— Wiem o tem — przerwał Każmirz spokojnie. — Posyłałem z tem do was ks. Jana, aby sprawę wytłumaczył. Nikt tylko przodkowie moi majątności te Kościołowi nadali, odbierać mu ich nie myślę. Stał układ pomiędzy mną a s. p. poprzednikiem waszym, Jangrotem, o zamianę; z mocy umowy tej zabrałem Złockie. Dam inne dobra...

Biskup natychmiast wpadł w gorączkę wielką, którą już był z sobą przyniósł, i krzyknął:

— O żadnych układach nie wiem, żadnej zamiany nie chcę.. własności kościelnej się upominam!! Idzie mi o powagę moją, o nienaruszalność mienia naszego, którego ja stróżem jestem! Co Kościół raz dostał, to mu odebranem, zamienionem być nie może — jest nietykalnem!

Spojrzał na króla, na którego twarz rumieniec nawet nie wystąpił.

— Szanuję ja Kościół, wiernem jestem dzieckiem Rzymu, lecz w sumieniu będąc, spokojnym, opierając się na umowie, gotowem z tem i do Rzymu; — a dóbr oddać nie mogę, bo bym się na pośmiewisko wystawił.

Biskupa chłód Każmirza drażnił i do gniewu pobudzał.

Król więc nawet uniewinniać się, nawet łagodzić go nie chciał!!

— Nie z jednym tem przyszedłem do was, miłościwy królu — czekałem długo, milczałem nadto, sumienie obciążone mam... któż wam powie prawdę, jeżeli nie ojciec duchowny, nie ja?? Żle żyjesz, królu... toż samo, co niegdyś Stanisław wyrzucał Szczodremu, ja muszę wam powtórzyć — żyjesz źle... królowa odsunięta, odepchnięta, miłośnice wasze palcami wskazują. Królestwo wasze pójdzie w niewolę i pod panowanie obcych za grzechy wasze.

Jako ojciec duchowny, wzywam was, królu, po chrześcijańsku, żywot rozpocznijcie na nowo. Precz z nierządnicami, precz z zuchwalstwem i ulubieńcami, królowa powinna powrócić... Domagam się tego!

Głos drżący coraz mocniej biskup podnosił, tak, że go z drugiej izby słyszeć było można, Kaźmirz pobladł nieco, surowszym wyrazem twarz się oblokła.

— Znam grzechy moje i przed Bogiem za nie odpowiem. Z żoną żyć nie mogę!... Nierozważne było małżeństwo, ale znoszę je; królowej się krzywda nie dzieje. Miłośnic moich nie widzi nikt, a więcejbym ich mógł ukazać przy opatach i pralatach Kościoła, którzy mu głową jesteście, niż przy mnie. Oczyszcście naprzód co bliżej was jest i większe zgrzeszenie czyni!

Biskup rzucił się z siedzenia, podnosząc rękę.

— Królem jesteś — krzyknął, — ale twa władza nie sięga nas! Kościelne sługi do was nie należą. Raz jeszcze wzywam o poprawę żywota, abym nie był zmuszony użyć tego oręża, jaki mi jest powierzony.

Jeżeli Kościół cię odepchnie, zachwieje się korona twa, pójdiesz, jak ojciec, wygnańcem, ale, jak on, nie powrócisz!...

Wspomnienie ojca poruszyło króla do żywego, zalała się twarz błądą krwią.

— Czyńcie ze mną, co chcecie — zawołał groźnie, — lecz świętej pamięci rodzica nie tykajcie! Nie macie do tego prawa...

Wstał i z dumą odezwał się:

— Żegnam was.

Biskup stał jeszcze, mając gwałtowniej napaść na króla, gdy ten, powolnym krokiem ku drzwiom podszedłszy, zasłoną szkarłatną podniósł i zniknął.

Bodzanta padł na krzesło, potrzebował ochłonać...

Tak się skończyło owo posłuchanie, na którem ks. Bodzanta daleko większe pokładał nadzieje.

Powrócił na dworzec swój smutny.

Na dworcu czekał nań z wielką niecierpliwością ks. Baryczka.

Nieprędko ochłonawszy, Bodzanta w krótkich słowach opowiedział mu, że uporu króla przełamać nie mógł, że rzucił może tylko nasienie, które rozwaga rozwinie... Potrzeba było czekać, dać czas do niej.

Ks. Baryczka był całkiem przeciwnego zdania. Pocałował w rękę Bodzantę, ale sprzeciwił się stanowczo.

— Nie trzeba im dawać czasu do rozmysłu! nie! Bić żelazo, póki gorące, nie dać odetchnąć, piorunować, klątwę zawiesić nad głową!

Uniósł się.

— Nie chcecie wy sami z bezbożnikiem mieć do czynienia, macie-li nadto litości w sercu i dobroci — ślijcie mniei! Nie ulękne się, pójdę, wziąwszy krzyż w rękę, wobec ludu karcić go będę, po kościołach obwołam... Dla mnie on nie królem, ale niepoprawnym, zatwardziałym grzesznikiem, wiarołomcą...

Wpadł w szal wielki ks. Baryczka, aż Bodzanta, którego zawstydział tem bohaterstwem, musiał pod posłuszeństwem kazać mu się pohamować i zamilczeć. Ledwie to na chwilę usta mu zamknęło.

Na Wawelu, gdzie znaczniejsza część dworu króla część rozmowy mimowolnie słyszała, gdyż Bodzanta głos podnosił — zburzenie było niemniejsze.

Otto z Pilcy, przywiązany do króla, uspokoić się nie mógł. Kochan go nie spuszczał z oka. Wnet po obiedzie zeszli się z nim w kątku izby, z której inni się rozchodzili.

— Panie wojewodo, — rzekł Kochan, uśmiechając się pocichu — króla znam; darowałby on biskupowi wszystko, ale nieposzanowania pamięci ojca nie przebaczy. Wiem to, że choć sam mścić się nie będzie, gdyby kto się zań ujął, przyjmie wdzięcznie. Macie tam dobra biskupie pod bokiem... Hę? Każcie urzędnikom swym, aby klesze dokuczali. Będzie musiał do króla na skargę, naówczas wszystko się złagodzi.

Otto z Pilcy nie był od tego.

— Zrobię tak — rzekł, — są spory o granicę... łatwo mi przyjdzie dokuczyć Bodzancie...

Kochan w ramię go pocałował.

— Jedyne to sposób — odezwał się. — Sam sobie sprawiedliwości nie wymierzy, musi po nią udać się do króla,

wówczas my się dopiero i o Złockie dobra z nim rozprawimy, wymożemy zamianę i jaką taką zrobimy zgodę.

Otto z Pilcy, który Kochanowi ufał, nie wspominając o tem królowi, nazajutrz pojechał do Sandomierza i natychmiast się wziął do dzieła.

W dni kilka dziekan przybiegł na dwór biskupi z lamentem wielkim... Królewscy urzędnicy w lasach gospodarzyli, osadników brano z ziemi biskupiej i przesadzano, wojsk oddział jakiś zajął część majątności biskupich.

Gwałt ten, który od czasów wojen Łokietkowych był bezprzykładny, nie mógł być przypadkowym; czuć w nim było rozkaz zgóry, skazówkę, wydaną wojnę.

Biskup, słuchając przybyłego ze skargami, na zamek chciał iść natychmiast z groźbą wyraźną klątwy. Ledwie go wstrzymano.

Posłano po Baryczkę...

Ten triumfował.

— Stało się, jak przepowiadałem — zawołał; — bezkarne uszło jedno, próbują więcej, cierpliwość pasterska wynagrodzona! Tu piorunów potrzeba! piorunów, piorunów!!

Po długiej naradzie Bodzanta uznał, iż mu powtórnie iść, raz odprawionemu, nie przystało. Baryczka ofiarował się w imieniu jego uroczyscie udać się na zamek z przestrogą do króla i ostatnią groźbą.

O ile on pragnął tego, biskup się wahał jeszcze. Radby był mniej gwałtownego wybrał posła... lecz Baryczka nastawał, prosił, błagał...

To, o czem marzył, spełnić się miało nareszcie! Bodzanta dzień postanowił.

Gdyby o takim stanie ducha, w jakim się znajdował, powiedzieć można, iż upojeniem jest, możeby to najlepiej go malowało. W upojeniu posłannictwem tem, odziany w komżę i stulę, z krzyżem w ręku, sam jeden, blady stanął ks. Baryczka w sali wielkiej, poprzedzającej izby króla.

Wiedział, że tu miał nieprzyjaciół, że mu może nawet przystępu do króla bronić będą. Od progu spotkały go wejścia urągliwe, dumne, złośliwe.

Nic go to nie obeszło.

Odwracano się od niego, nie chcąc widzieć.

Śmiało postąpił ku Dobkowi Bończy, który był najbliżej, i na głos się odezwał:

— Oznajmnijcie o mnie królowi. Przychodzę przysłany przez biskupa w poselstwie od niego.

Dobek, ani żaden ze stojących wpobliżu nie odpowiedział mu zrazu... Zbyto go milczeniem. Powtórzył dobitniej i głośniejsze toż samo.

Odniesienia Przedbór Zadora zdala rzucił za całą odpowiedź:

— Z królem się widzieć nie można.

— Zatem czekać tu będę i nie poruszę się stąd, aż godzina przejdzie... — odparł Baryczka.

Nastąpiło milczenie.

Ludzie wchodzili i wychodzili z komnat królewskich: dworzanie mieniali się, przesuwali postacie obok, którym posłuchanie dawano: — Baryczka czekał.

Kochan wyglądał razy kilka i znikał.

Po kilku innych wskazano, nie nie mówiąc, drzwi ks. Baryczce...

Wszedł do komnaty króla, a wchodząc, umyślnie za sobą zostawił otwarte podwoje, poza któremi ciekawy dwór natychmiast się zebrał i nacisnął.

Każmirz siedział u stołu, królewskie swe przybrawszy oblicze.

Ks. Baryczka ledwie głowę przed nim skłonił.

Usta otworzył, chciał przemówić i uczuł teraz dopiero, że gorączka oczekiwania, męczarnia, jaką znosił od wczora, wysuszyła mu język i usta. Musiał czekać chwilę, nim zdołał się odezwać.

— Jestem przysłany do miłości waszej — rzekł ponuro — przez pasterza naszego i w jego imieniu tu stawam, jego wolę głoszę.

Raz już pasterz napominał was, królu, o życia poprawę, o poszanowanie Kościoła... słowa jego próżno przeszły... Owszem, mścić się jeszcze za nie ważono...

Nie przystało ojcu drugi raz dziecięcia napominać. Jam tu za niego, nie z upomnieniem już, ale z groźbą... Spojrzyjcie na życie swe... Godne-li ono króla? Wszystkie prawa Boże pokruszyliście dla dogodzenia namiętności, Kościołowi zabieracie mienie, biskup napomina, — zemstę wywieracie na nim... Królowa wygnana...

Każmirz zmarszczył brwi groźnie i znak dał ręką.

— Dosyc — zawołał, — com od biskupa mógł cierpliwie wysłuchać, od ciebie...

— Kapłan jestem — odparł dumnie Baryczka... poseł jestem... sługa Boży... musicie słuchać głosu mojego, a wzgardzicie nim, klątwę rzuci Kościół...

— O klątwie słyszałem — odparł król obojętnie, — widzicie, że się jej nie uląłem...

Spojrzał na Baryczkę.

— Wy macie klątwy, z których Rzym rozwiązuje i rozgrzesza — rzekł, — ale ja też mam siłę i moc królewską. Jesteście ziemianinem tej korony, ja sędzią.

— Nie nade mną — wykrzyknął Baryczka, — nie jestem królestwa tego podsądnym, pan mój w Rzymie, sąd mój przed biskupem... nie należę do was, królu...

Blady, wstał król z siedzenia, udając obojętność, lecz ręce mu drżały i usta, oczy biegały po komnacie, jakby szukały kogo, coby go uwolnił od natręta.

Baryczka stał, czując, że nie przeszły wyrazy jego bez wrażenia...

— Mór i głód, i straszne klęski padały na to królestwo — począł znowu, — padną większe jeszcze, bo grzesznemu ludowi, którego pan jawno grzesznikiem jest — nie przebaczy Bóg i miłosierdzia mieć nad nim nie będzie...

Potomka ci nie da On, szczerze na tobie ród, rozsypie się państwo twoje... mury, które wznosisz, pójdą w gruzy, bogactwa, które gromadzisz, rozszarpią nieprzyjaciele, kamień na kamieniu nie pozostanie z Sodomy i Gomory... bo wkrótce jednego sprawiedliwego nie będzie tu, gdy ten, co najsprawiedliwszym być winien, w grzechu się tarza. Królu a panie, wołam do ciebie głosem Bożym, popraw się...zywam cię do upamiętania.

Każmirz stał u okna i patrzył w nie oczyma nieruchomymi. Widać tylko było niecierpliwe drganie, które tamował. Postanowił nie odpowiadać więcej i, raz odwróciwszy się od Baryczki, nawet już nań nie spojrzał.

Było w tem coś tak wzgardliwego, tak groźnego, że ks. Marcinowi słowo na ustach zamarło...

Zmieszał się — umilkł.

Poza nim w otwartych drzwiach zgromadzony dwór szeptał, burząc się, a tknąć go nie śmiał.

Nastąpiła chwila milczenia.

Kochan do drzwi przyparty, z pięściami zaciśniętymi, rozjadły, wstrzymywał się całą siłą od zuchwałego kroku wobec króla. Kilka razy chwycił za mieczyk i rzucił go.

Tuż za nim Przedbór i Pakosław Zadorowie, jakby na rozkazy jego oczekujący, z tem samem, co on, uczuciem spoglądali na nieustraszonego księdza...

Starszyzna dworska, widząc ich tak oszalałych, szeptała, wstrzymując i nie dopuszczając, aby się na Baryczkę porwali. On stał chwilę jeszcze.

— Spełnilem, co mi kazano, — odczuwał się wkońcu — pomnijcie, że klątwa wisi nad głową waszą.

Nie odwrócił się król, Baryczka zatrzymał się, oczekując słowa, gdy Kaźmirz bliżej się jeszcze ku oknu przysunął, i jakby coś w podwórzu widział, co go najmocniej zaprzętało, cały się tam pochylił.

Ks. Marcin zawahał się nieco, potem krokiem śmiałym zawrócił się do drzwi i pomiędzy rozstępującymi dworzany nazad do pierwszej izby wszedł...

Otarł się prawie o stojącego przy progu Kochana, który go za rękaw komży pochwycił.

— Com ci przyrzekł, to dotrzymam! — rzucił mu w ucho. — Zginiesz, klecho!

Baryczka się zdawał nie słyszeć groźby.

Z niecierpliwością i niepokojem oczekiwał powrotu jego biskup.

Spojrzeni na siebie; Bodzanta czytał w jego twarzy... Gniewnym był, oburzał się.

— Nie lęka się klątwy król, — zawołał — więc mnie do rzucenia jej zmusi! Nie ulękne się i ja jej skutków... Stanie się, co Bóg przeznaczył — Imię Jego niech będzie błogosławione...

Smutnie głowę zwiesił na piersi.

Pozostawała ta jedna, ostateczna broń... Wojna była wypowiedzianą, zgoda bez upokorzenia niepodobną. A jednak, choć gotowym się opowiadał do użycia oręża tego, Bodzanta wahał się jeszcze...

Stał pasterz na skraju, nad ostatecznością doniosłości największej, przed którą się cofnąć nie mógł. Przerazała go ona...

Kaźmirz miał u stolicy apostolskiej, jeśli nie takie zachowanie, co ojciec, to poszanowanie pewne i obrońców. Sam arcybiskup gnieźnieński był z nim i musiał stanąć w jego obronie.

Gotowała się więc dla biskupa Bodzanty ciężka do spełnienia ostateczność, brzemienna nieobrachowanemi następstwami. On sam, Kościół, wierni cierpieć mieli, królestwo narażone być mogło, nieprzyjaciele korzystać z osłabienia władzy króla.

Lecz cofnąć się nie czas było...

Król nie odwrócił głowy ku wychodzącemu Baryczce, nie spojrzał nań, nie odpowiedział nic, lecz gdy po chodzie i ruchach domyślił się zbliżającego Kochana, będąc pewien, że ksiądz odejść musiał, — spojrzał nań.

Rawa widokiem twarzy, nagle zwróconej ku sobie, przeraził się i zadrżał. Rzadko Kaźmirza szlachetne rysy, którym wiek dał już marmurowy spokój i majestat, tak silnie odbijały, co się w duszy jego działo. Królewski kunszt zamykania uczuć we wnętrzu, aby świat im ani się dziwić, ni cieszyć, ani mógł urągać, posiadał Kaźmirz w wysokim stopniu.

W tej chwili poruszonym był tak silnie, obrażonym tak boleśnie, iż zapomniał o godności swej, a wiedział może, iż nikt obcy go nie zobaczy i nie zdradzi.

Kochan, którego postawa i oblicze kipiały jeszcze uniesieniem gniewu, zamienił z nim wejrzenie tylko: król mniej niż zwykle pewnym krokiem poszedł ku siedzeniu swemu przy stole, padł na nie i sparł się na rękę.

Zwolna przychodził do siebie.

Kochan stał przed nim, jakby na rozkazy oczekiwał, nie śmiał się odzywać; król oczyma błędnymi długo wodził po komnacie, drgnął, jakby ciężar z ramion chciał zrzucić, ruszył się, jakby wstać miał, siadł znowu i zapytał o Suchywilka głosem cichym.

Nie było go na Wawelu. Kochan spytał, czy po niego ma posłać, Kaźmirz zaprzeczył ruchem głowy. Po chwili rzucił pytanie, czy nań kto czekał, powiedziano mu o kilku przybyłych. Kazał podać wody i wina; otarł twarz i począł się po izbie przechadzać.

Ulubieniec nie śmiał mówić o tem, co się stało, a czego z innymi razem był widzem i słuchaczem. Wyszedł.

Rawa od pierwszej chwili miał najmocniejsze postanowienie pomszczenia się za króla. To, co powiedział Baryczce na weselu, co mu powtórzył u drzwi, poprzysiągł spełnić.

Rady w tem niczyjej zasięgać nie myślał, słuchał wewnętrzznego oburzenia tylko.

— Klecha musi zginąć, — powtarzał sobie — ażeby drudzy króla się szanować nauczyli.

Milość dla króla zaślepiała go tak, że następstw tego kroku, który zamierzał, nie rachował.

Wyszedłszy z komnaty, do której natychmiast wpuszczono oczekujących, bo król już był odzyskał krew zimną i ze zwykłą łagodnością i uśmiechem przyjmował, poczynając

od najbiedniejszych, co było we zwyczaju przy posłuchaniach, Kochan pobiegł do siebie.

Przedbór i Pakosław Zadorowie, powolni słudzy jego, bez których on obejść się nie mógł, pośpieszyli za nim. Szedł i zadumany Dobek Bończa, już powszechnie znany pod przydomkiem świeżo zdobytym Fredro.

Gdy wszyscy znaleźli się w małej izbie sklepionej, a Kochan się ku nim zwrócił, usiłując wyczytać z twarzy, jakie na nich zuchwalstwo Baryczki uczyniło wrażenie, znalazł ich wszystkich w takim, jak sam był usposobieniu.

Tylko Dobek Fredro, który się nigdy nazbyt nie wydawał z tem, co czuł i miał począć, stał napozór chłodny. Lecz wiadzano, co ten jego chłód oznaczał. Zadorowie, nienawykli pierwsi głosu zabierać, drżeli, oczekując, co Kochan powie.

— Klecha na siebie wydał wyrok — ozwał się po chwili Rawa. — Gdyby mu to uszło bezkarnie, dalej król bezpiecznymby już nie był. Będą go po kościołach bezcześcić i na ulicach wytykać palcami.

Zamilkł nieco Rawa.

— Kto mi dotrzymać słowa pomoże i klechę sprzątnąć, — dodał — pewnym być może królewskiej łaski, a mojej wdzięczności. Napaść go i zabić dla niego byłoby może pożądanem, nie dla nas; powinien zginąć bez rozgłosu i nikczemnie...

Dobek słuchał, w boki się wzięwszy, patrząc zgóry na Kochana; Zadorowie spoglądali na siebie, jakby naradzając się z sobą. Mówili zazwyczaj mało.

Wtem Fredro, wytrzymawszy chwilę, mruknął:

— Zła rada twoja, Kochanie. Ty wiesz, że ja nie pochlebiam nikomu, ani królowi, ani tobie. Powiem ci wręcz, zła rada. Księżda sprzątnąć, łatwa rzecz, ale co z tego? Oni tego pożądata, na króla to zrzucą, zbójem go uczynią i wyklną. Kto wie! on się może na to poświęcił.

Ja króla bardzo miłuję, niemniej od ciebie; gdyby mu co groziło, życiebym zań dał i ubić się pozwoili, ale takiej zemsty na mizernym klesze nie radzę i do niej ręki nie przyłożę. Oni tego chcą, on poto szedł, aby go męczennikiem uczyniono; król nim pogardził — masz skazówkę. Obrócił się do okna, zmilczał, nie rzekł słowa.

— Ja króla lepiej znam, nikt go tak, jak ja, nie zna! — zawołał Kochan obrażony, — jemu nie przystało nic innego nad wzgardę, nasza powinność inna!! Ja wiem, co wiem. Nie chcecie wy być z nami, obejdziemy się bez was.

Dobek kołpaczka na głowie poprawił, usta ściągnął.

— Właściem chciał ci to powiedzieć, ażebyś się beze mnie obszedł, — rzekł — ale dokończę dobrą radą: daj klesze żyć i nie porywaj się na niego... Zdrów bywaj.

I Dobek z tą swą dumą spokojną, jaką mu dawała pięść i dusza silna, obejrzawszy się po izbie, zaświstał coś i wyszedł.

Zadorowie, pozostawszy z Kochanem, zbliżyli się do niego. Tych on tak był pewnym, iż spełnią, co każe i poleci, jak samego siebie. Gniew też jego podzieliali.

Zaczęła się cicha we trzech narada, która dosyć długo trwała.

W ciemnościach i tajemnicy miała się dokonać zbrodnia.

Gdy po więcej niż godzinnej naradzie Zadorowie wyszli od Kochana z pomarszczonemi twarzami i zagryzionemi wargami, poznać było można, iż ich nielada brzemię gniotło. Pobrali zaraz kożuchy i szli oba na miasto każdy w swoją stronę.

Ze dworu wiadomość o rannem wystąpieniu Baryczki wkrótce się na miasto przeniosła. Wierzynek zawsze najprędzej bywał uwiadomiony o tem, co się działo na Wawelu. Chciał natychmiast do króla pośpieszyć z prośbą i radą, ażeby cierpliwym był, lecz nim się wybrał, doniesiono mu, iż Kaźmirz wyjechał na łowy.

Przez dni kilka mówiono wiele o poselstwie Bodzanty do Kaźmirza, domyślając się różnie jego skutków. Ode dworu nic, a nic słyhać nie było.

Kłątwa, zawieszona nad głową króla, zdała się do czasu odwleczoną... Biskup Bodzanta w postanowieniu trwał, ale z wykonaniem go nie śpieszył.

Ks. Baryczka, jak przed spełnieniem swojego poselstwa niespokojnym był, wyzywającym, niecierpliwym, tak po niem stał się dziwnie pokornym i milczącym.

Życie jego szło trybem dawnym, niezmienione, ustały tylko zbyt częste wprzód odwiedziny biskupiego dworu. Siedział w kościele, modlił się, spełniał swe obowiązki duchowne.

Ubogie chłopię, sierotka, posługujący mu, z ulicy wzięty Janczyk, który jak psiak w oczy mu patrzył i z oczów wypatrywał wszystko instynktem przywiązanych zwierzątek, powiadał często, iż ksiądz jego smutny był, że się biczował dłużej, klęczał w nocy na podłodze zimnej i na modlitwie płakał.

Nadchodziła wigilja św. Łucji. Ks. Baryczka ze mszą świętą zapraszany był do franciszkanów, a że modlitwy zawsze długie poprzedzały świętą Ofiarę, którą rano bardzo miał odprawiać, wybrał się z domu o mroku jeszcze, a chłopcu za sobą iść nie kazał.

Zazwyczaj powracał na obiad wspólny z innymi kapłanami, na wikarji z nim mieszkającymi; czekano go napróżno dnia tego i, domyślając się, że mógł u franciszkanów pozostać, siedli inni do stołu, Janczykowi tylko kazawszy z kuchni jego porcję wydzielić. Po południu nie było ks. Baryczki.

Gdy wieczór miał nadchodzić, Janczyk wszystko, co było potrzeba, przygotował, spodziewając się pana zpowrotem lada chwilę. Nigdy się ks. Marcin nie spóźnił zbyt, bo codziennie mszę św. odprawiając, wedle przepisów przed północą zasypiał, a długie wprzód odmawiał modlitwy.

Spóźnił się tego dnia bardzo, ogarek się dopalił. Janczyk coraz niespokojniejszym być zaczynał. Miarkował, jak inni, nawykli obchodzić się bez zegarów, iż godzina była północy bliska, a opóźnienie bezprzykładne.

Na lada szelest w domu wybiegał z ogarkiem do sieni, przysłuchiwał się. Wszyscy księża zdawna już byli popowracali, ks. Baryczki nie było. Janczyk modlił się już ze strachu. Wypadek był tak nadzwyczajny, iż chłopiec ku północy, nie mogąc wytrzymać, zapukał do ks. kanonika Andrasza, który zazwyczaj do późna się nad księgami zasiadywał i opowiadał mu o przyczynie swej trwogi.

Chłopaka uspokoił ks. Andrasz, ale sam zadumał się głęboko. Trwało to tylko chwilę, póki natura i obyczaj góry nie wzięły. Spokojny i na wszystko zawsze zrezygnowany, ks. Andrasz powiedział sobie, iż złego nic nie było, a jutro wszystko wyjaśni.

Z tem począł krótką modlitwę i spać się położył.

Janczyk dopiero zasnął nadedniem. Ks. Baryczki ani od niego wieści i o świcie nie było.

Przebudziwszy się, ks. Andrasz przypominał sobie, co wczoraj zaszło, zajrzał do Janczyka, dowiedział się, iż ks. Marcin nie wrócił dotąd i wybrał się z ciekawością wielką śledzić, co się też z Baryczką stało.

Zaszedł naprzód do franciszkanów. Tu na zapytanie o wczorajszą mszę ks. Baryczki gwardjan mu odpowiedział z wielką żywością, że go ze mszą czekano wczoraj napróżno, ornat i ampułki w zakrystji były gotowe... ale niewiedomo, dlaczego zawód im uczynił, a nie trafiło się mu to nigdy,

i choćby chorym się czuł, przecieżyby chłopca mógł przysłać o tem dać wiedzieć zawczasu...

— Ale on chory nie jest, bo go od wczoraj rana w domu niema. Ot co! — zawołał, zaczynając brać do serca sprawę tę ks. Andrasz.

Strach ogarnął obu księży.

Kanonik przyspieszonym krokiem pobiegł do biskupa. Sądził, że tu może, jeśli nie ks. Baryczkę, to języka o nim dostanie.

Kapelan, którego w progu spotkał, na zapytanie odparł, że biskup właśnie posłał po ks. Marcina, bo przez cały dzień przeszły nie widziano go tu...

Oba poszli do ks. Bodzanty.

Wypadek się wydawał już zagadkowym i groźnym. Biskup ręce załamał.

— Jezu! Maryjo! — zawołał — miałżeby on paść ofiarą? ale nie, to być nie może!

Popłoch wielki stał się na biskupstwie, rozesłano natychmiast na wszystkie strony... Ks. Andrasz powrócił na wikaryę. Tu Janczyk tylko sam modlił się a płakał.

Niektórzy księża wpadli już na myśl, iż zbrodnia mściwą ręką popelnioną być mogła.

Po całym mieście rozniosła się wkrótce wieść o zniknięciu ks. Baryczki.

Chociaż od wystąpienia jego do króla czas jakiś upłynął i nie było najmniejszej poszlaki, aby dwór chciał się mścić na pośle biskupim, jednakże domysły różne i przypuszczenia rosły jak grzyby.

Cały dzień upłynął w oczekiwaniu, w nadziei, że ks. Baryczka mógł w drodze być pochwycony do chorego. Znano jego gorliwość, że w razie, gdy o duszę, o nawracanie, o ocalenie człowieka chodziło, chętną z siebie robił ofiarę. Spodziewano się więc jeszcze, że się zjawić może.

Biskup Bodzanta szczególniejszy okazywał niepokój wielki i on pierwszy począł posądzać dwór o zemstę wywartą na ks. Baryczce...

Trzeciego dnia zaszła okoliczność, dająca wiele do myślenia. Chłop z Łagiewnik, jadący bardzo rano na targ z drobiem do Krakowa, rozpowiadać miał, jakoby w wigilję św. Łucji, przybywając Wisłą po łodzie, świadkiem był wypadku, który go wielkim nabawił strachem.

Niepostrzeżony widział, jakoby kilku ludzi, których ani twarzy, ani ubioru we mroku rozpoznać dobrze nie mógł,

wlokących człowieka nieopierającego się im ku Wiśle... Tego oni w przygotowany już wór ogromny wzięwszy, w oczach jego w przerębel pod lód wrzucić musieli i sami natychmiast uciekli.

Posłano po włościanina do Łagiewnik i sprowadzono go na dworzec biskupi. Pod przysięgą zeznawał przed pastorem, iż w istocie patrzył na to własnymi oczyma. Mówił, że utopiony złożone miał ręce jak do modlitwy, nie krzyczał ani się wyrwał i że ubrany był czarno.

Godzina i dzień dozwalały przypuszczać, iż mógł to być ks. Baryczka, lecz pewności nie było. Rzeka zamarzłą była jeszcze i ciała poszukiwać niepodobieństwo, a do wiosny wody by je daleko uniosły.

Pomimo iż przypuszczenie tylko kazało wnosić, że morderstwo popełnione zostało, po mieście mówiono już z pewnością, że ks. Baryczka został utopiony.

Po mrozie na św. Łucję nastąpiła nagle odwilż gwałtowna, spadł deszcz, powietrze się nadzwyczaj ocieplilo i przedwcześnie, nadspodziewanie, lody puszczać, łamać się, kra płynąć poczęła.

Prawdziwym cudem ludzie, około brzegu rzeki mający coś do czynienia, postrzegli wór spływający po wodzie. Spodziewali się w nim zdobyć jakiejs, bo go z niebezpieczeństwem życia, drągami i hakami pochwycili i na brzeg wyciągnęli.

W worze tym, ze złożonemi jeszcze do modlitwy rękami, z twarzą spokojną i wyrazem ubłogosławionym jaśniejącą, leżały zwłoki ks. Baryczki.

Poznał je zaraz ktoś z gromady ciekawych, stojących u brzegu, a że trup wcale nie był w wodzie nadwreżony i zachował postać swą dziwnie poważną a piękną, krzyknęto na cud, poklękali ludzie, dano znać do biskupa.

Niewysłowne poruszenie umysłów objawiło się w mieście. Biegli wszyscy oglądać zwłoki męczennika, cisnęli się, płakali, klękali, okrzyki zgrozy i oburzenia dawały się słyszeć w tłumach.

Okolo zwłok znaleziono sznur i pasek, który jeden mógł na ślady jakieś naprowadzić. Był on rzemienny z klamrą żelazną, a podobnych właśnie czeladź zamkowa używała.

Nie ona jednak sama nosiła je; posądzenie tylko urosło.

Lecz dowodu, kto i z czyjego rozkazu popełnił zbrodnię, nie było... *Vox populi*, prawnicze argumenty jurystów *is fecit*

cui prodest i t. p. nie starczyły na potępienie prostego winowajcy, cóż dopiero króla.

W domu Świniagłowy, w którym Baryczka bywał często, stary Kuba, mimowolny świadek rozmowy Kochana czasu wesela z ks. Marcinem, głośno zaczął opowiadać, iż na uszy swe słyszał, jak mu Rawa śmiercią groził.

Nie mógł więc tego dokonać nikt inny, tylko on.

Tak obok imienia króla stanęło zaraz ulubieńca jego imię, jako posłusznego narzędzia.

U ludu tworzyła się z domysłów legenda, mająca wszystkie prawdopodobieństwa cechy, przyjęte za prawdę, lecz nie dowiedzione niczem.

Ks. Suchywilk, widząc, jaką ona królowi krzywdę czyniła i jaką plamę nań rzucała, przekonany, iż Kaźmirz ani mógł, ani myślał podobnego wydawać rozkazu, zapytał króla i zaklął o wyjaśnienie prawdy.

Uroczyście mu król zapewnił, że w zbrodni tej żadnego nie miał udziału.

Ks. Jan poszedł z tem poprzysiężonem zapewnieniem do biskupa, lecz ten ani chciał słuchać nawet, a krok uczyniony wziął jako oznakę niepokoju i zakłóconego sumienia. Dla niego był to owszem dowód jeden więcej, iż do winy zbrodni tej dwór się poczuwał.

Gdy dnia ostatniego ciało męczennika w kościele było wystawione jeszcze, a matka, która przyszła z chorem dziećciem, przez dotknięcie zwłok cudownej doznała pomocy, powszechny już głos obwołał świętym Baryczkę.

W tej samej chwili człek obdarty dość, z włosem rozczochranym, z twarzą przerażoną, oczyma obląkanemi wpadł do zakrystji i żądał gwałtownie spowiedzi. Chciano go do jutra odłożyć i zbyć się, lecz począł na kolanach błagać, bić się w piersi, wołać, że jest grzesznikiem wielkim, i jeden z duchownych, ulitowawszy się, wziął stulę i siadł z nim do konfesjonału.

Chwila zaledwie upłynęła, gdy i on powstał i spowiadając się z nim, we łzach cały, szedł do dworca biskupiego.

Był to stajenny parobek zamkowy, Wargą zwany, z powodu, iż miał rozciętą wargę spodnią od dzieciństwa. Ten, do skruchy pobudzony, na kolana przed biskupem padłszy, zeznał, iż topiącym ks. Baryczkę był pomocą, nazwał po imionach dwóch Zadorów i dodał, że wprzód ich widział z Kochanem się naradzających.

Zeznanie to spisano zaraz przy świadkach, a że nieostrożnie w pierwszej chwili mnóstwo się osób nacisnęło za księdzem i za Wargą, w jednej chwili miasto całe wiedziało, że sprawcy zbrodni odkryci byli.

Głoszono tedy z pewnością już największą, iż król sam wydał rozkaz Kochanowi, aby utopiono Baryczkę, że Zadorowie spełnili jego polecenie.

Na zamku przez te wszystkie dni niepokój był wielki.

Król domyślał się sam i posądzał, że Kochan przez przywiązanie do niego mógł się ważyć na tę pomstę, nie pytał go jednak, nie chciał wiedzieć o tem.

Rawa chodził zmieniony i niespokojny, tak, że po nim poznać było można obawę i niepewność o przyszłość. Królowi jednak nie mówił nic, unikając nawet doniesień wszelkich o ks. Baryczce.

W dniu, gdy chowano zwłoki, oba Zadorowie znikli, jakby przeczuwając, że Warga ich zdradzi. Było to poszlaką wielką.

Wieczorem ks. Suchywilk pośpieszył z miasta, i, mimo późnej godziny, domagał się widzenia z królem. Kochan niespokojny, poprowadził go i sam przy drzwiach pozostał.

— Miłościwy panie, — odezwał się ks. Jan, wchodząc — ze złą wieścią i sercem zranionem przychodzę. Jeden z tych, którzy się morderstwa dopuścili, skruczą tknięty, wyznał wszystko.

Spojrzał na Kochana.

Ten stał blady, ale mężny, podniósł głowę, czekał.

— Przedbór i Pakosław Zadorowie są obwinieni, — dodał ks. Suchywilk — a parobek Warga, który im miał pomagać, oskarża i Rawę, że go z nimi przedtem na naradzie widział. Stąd posądzenie na was, miłościwy panie... Biskup gotuje się rzucić kłatwę, nic go już od niej nie strzyma.

Król słuchał dosyć spokojnie, przy stole stojąc nawpół już rozdzielany, bo miał iść na spoczynek. Rzucił okiem na Rawę, który milczał.

— Lepiejby było, ażeby kłatwa biskupia was tu, miłościwy panie, w Krakowie nie zastała. Jedźcie do Poznania lub Gniezna do wuja mojego tymczasem.

Król skinął głową i przerwał krótko:

— Dziś? jutro?

— Z rana jedźcie — rzekł Suchywilk.

— Wy ze mną? — dodał król, pytając i prosząc razem.

— Jadę — odparł ks. Jan.

Kochan milczał nie ustępując. Kaźmirz zwrócił się ku niemu.

— Rozkaż natychmiast, aby się gotowano do podróży... Była to odprawa dana ulubieńcowi, który wyjść musiał. Gdy się oddalił, królowi jakby ciężar spadł z serca.

— Niedarmo przysłowie powiada, że Boga prosić trzeba, by nas od przyjaciół bronił, a od wrogów człowiek sam łatwiej się uchroni. Kochan uczynił to z miłości ku mnie, pewien jestem, innej nie miał pobudki, i oto ja... brzemię tego występku dźwigać będę musiał.

Westchnął.

— Wiecie, — dodał łagodnie — iż krwi chciwym nie byłem i nie jestem i pogardą zbywam tych, co mi szkodzić chcą... Nie dałem ani półsłowem żadnem pobudki do tego... nie winien jestem. Mamże dla popełnionej zbrodni wyrzec się jednego człowieka, któremu zaufać mogę, w którego wierzę z serca?

— A zatrzymacie go przy sobie, — odparł Suchywilk — to was o współnictwo czynu obwinia.

Król zmilczał dumnie.

Wkrótce potem ks. Jan odszedł, a Kaźmirz pozostał sam, oczekując na Kochana, którego powrotu się spodziewał.

Nadszedł winowajca, z pokorą rzucając się do nóg królewskich, objął je wzruszony.

— Przebacz mi, panie najdroższy... złem usłużył, złym jestem sługą! Przyznaję się... tak, jam sprawcą. Zadorowie spełnili, com im polecił... Nie odpędzajcie mnie od siebie, panie, bo bez was życie dla mnie niewarte nic... Nie odpędzajcie!

Król mu rękę, milcząc, na ramieniu położył.

— Będę pokutował, zmażę tę winę, — wołał Kochan — odprawię pokutę, jaką włożą na mnie. Mężobójcą zostałem... tak, lecz ten człowiek ostrzeżonym był, na was się rzucił, poniósł karę, na jaką zasłużył.

Drżący głos Kochana ucichł.

— Jutro do Poznania w drogę — odezwał się król, swym zwyczajem nie chcąc odpowiedzieć ani rozprawiać o tem, co dolegało.

Kochan wiedział już, iż odpędzonym nie będzie, podniósł się z ziemi uradowany, pocałował kolana królewskie, twarz mu się wyjaśniła...

Nie było mowy ani o Baryczce, ni o kłatwie...

Wybierało się, nie śpiąc noc całą, w podróż, król zabierał znaczniejszą część dworu swojego, łowiectwo całe, choć miał drugie w Poznaniu, mnogich komorników, konie, wozy i oddział znaczny rycerstwa.

Na biskupstwie tymczasem gotowano się uroczyscie, z całym ceremonjałem kościelnym, w katedrze na Wawelu wyrzec to anathema na króla, które w rozumieniu biskupa od narodu go miało oddzielić, zmusić do pokuty i pokory...

Bodzanta, pod świeżem wrażeniem męczeństwa swojego ulubieńca, nie chciał ani zwlekać z tem, co za konieczne uważał, ani sobie dawał odradzać...

Niektórzy kanonicy pokornie mu przedstawiali skutki tego kroku wątpliwe, a dla Kościoła mogące być uciążliwemi. Biskup słuchać ich nie chciał. Sam on, otoczony duchowieństwem, miał wyrzec to straszne anathema na pomazańca Bożego.

Dzień trzeci po tym był wyznaczony, jakgdyby królowi dano jeszcze jedną dobę do opamiętania.

Bodzanta gotów był miłosiernym być, lecz warunki zakreślał ciężkie i upokarzające...

Wiedział, iż na Wawelu nie jest tajem, co się u niego uchwała, bo nawet najskrytsze rady natychmiast tam jakimiś nieodgadnionemi drogami przechodziły. Tak samo on miał sługi swe na dworze i nazajutrz rano, gdy cały zastęp rycerstwa, dworzan, wozów, czeladzi, komorników ciągnął jeszcze napół uśpionemi ulicami Krakowa, kapelan przybył oznajmić ks. Bodzancie, iż Kaźmirz do Poznania wyjechał.

Dodawano, że Kochan, który się nawet nie schronił i od dworu nie został odepchnięty, jechał z królem razem... Było to jeszcze jedno wyzwanie, jeszcze jedno więcej lekceważenie. Gniew się wzmógł...

— Chciał sam tego! — zawołał biskup, podnosząc się z łóża — niech się spełni wola Boża i jego żądanie. Zobaczymy, kto w Rzymie mocniejszym jest, król i ks. arcybiskup, czy pasterz krakowski...

Nazajutrz znowu tłumy ludu, zwabione rozpuszczoną wieścią zawczasu, że biskup króla kląć będzie za utopienie Baryczki, cisnęły się do kościoła, zalegały ulice i podwórza.

Z okazałością wielką, z krucyferem, z dostojnikami kapituły, poważny starzec wyjechał z dworca swego do katedry na Wawelu...

Kościół był przepelniony, lecz ani jeden z wyższych urzędników królestwa, ani jeden ze dworu Kaźmirza nie

ukazał się w nim. Czeladź nawet, na zamku pozostała, schroniła się do swoich szop i komór... Drzwi zamkowe pozamykane na klody, żywej duszy przy nich.

Neorża tylko, Otto ze Szczekarzewic, Pszonka, Janina i ludzie tego obozu przyszedli słuchać okrutnej klątwy kościelnej i patrzeć na rzucane i łamane świece, na ten obrzęd straszny, jak spełnienie śmierci wyroku, groźny jak katowanie zbrodniarza.

Rozległo się — anathema... zaparto drzwi kościelne, biskup powrócił do dworca swojego.

Zdawało mu się, że wszelkie życie ustać powinno było w Krakowie, że płacz i jęki rozleć się po nim miały, że kirem i popiołem ludzie się pokryją... Tymczasem powszedni żywot bez żadnej zmiany widocznej płynął trybem swoim dalej, a Wierzynek, zagadywany przez ciekawych, odpowiadał, głowę spuszczaając, że sprawa między królem i biskupem w Rzymie się rozsądzi i zagodzi.

Dziś więc nie była to już walka między Kościołem i władzą świecką, lecz prosty spór Kaźmirza z ks. Bodzantą.

Za taką ją uważano. Czasy się wielce zmieniły...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXIX

J. I. KRASZEWSKI

KRÓL CHŁOPÓW

CZASY KAŻMIRZA WIELKIEGO

CZEŚĆ II



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

B I C Z O W N I C Y

Lat trzy upływało od opisywanych wypadków.

W domu niegdyś Kuby Świniagłowy, a dziś, po zgonie jego i niegdyś pięknej Agaty z Opola, należącym do piękniejszej od niej Baški, żony Fryca Matertery, wiele się rzeczy zmieniło na lepsze.

Była to niegdyś gospoda wesela, gniazdo dostatków, miejsce ulubione tych, co się zabawiać lubili i ochoczo spędzać wieczory przy dźwięku muzyki, w płasach, a często zabawnej paplaninie miejskich trefnisiów, dla których tu drzwi stały otworem.

Żywot już obfity w wypadki pięknej Baški od ożenienia, po którym ona sobie obiecywała królowanie nad mężem i domem, a używanie świata po swej myśli, uległ niespodzianej przemianie, równie jak ona sama.

Dziewczęciem była trochę szaloną i lekkomyślną, zdało się, że zamężna niewiasta spoważnieć mogła i uspokoić się. Lecz zamążpójście za Fryca zupełnie nadzieje jej zawiodły. Za życia rodziców jeszcze jakkolwiek godziło się i porozumiewało małżeństwo młode, chociaż między niem miłości nie było. Fryc żenił się dla pieniędzy, Baška szła zamąż, aby światu okazać, że piękny, młody chłopak mógł się z nią ożenić, choć ją ludzkie nielitościwe szarpały języki.

Okazało się wkrótce, że Fryc ów, którego przeznaczeniem było ulegać i słuchać, wcale nie ma ochoty pani swej zachcianek spełniać, że miał swoją wolę a przebiegłość niezmierną. Nim wybuchnął z buntem otwartym przeciwko Bašce, zaplatał tak naprzód jej majątek, domy, dworzyszczą i sumy, które miał Świniagłowa u różnych ludzi, tak mienie żony umiał zręcznie na swoje poprzerabiać, iż co on miał

przez nie być jej niewolnikiem, ona w jego zależności się znalazła.

Oprócz tego piękny Fryc, sam bałamut, mający miłośnice z dawnych czasów, żonie ani się bawić tak swobodnie, ani białych ząbków wyszczerzać nie dawał. Gdy wkrótce jakoś po śmierci jej rodziców obojga dawny domu i Baški przyjaciel, Szreniawita, zajechał do nich i gospodą chciał stanąć, Fryc, który o przeszłości żony swojej dobrze znać był uwiadomiony, okoniem stanął.

Rozparł się, w boki wzięwszy, we wrotach, i wręcz pięknemu panu powiedział, że go w domu swoim znać nie chce.

Baška u okna wołała na przekorę, że dom do niej należy i ona gospodę w nim ofiaruje, on, śmiejąc się, przeczył i chciał sam panem w domu być.

Szreniawita, wpadłszy w ten spór małżeński, z początku śmiać się chciał, potem splunął, Baške całusa od ust posłał, zawrócił od wrót i gdzie indziej na miasto pojechał. Miał tam przyjaciół dosyć.

Miedzy małżeństwem rozpoczęły się kłótnie i spory niustające. Fryc zawsze wesół, dobrej myśli, żonie prawil niemiłe prawdy, ona go od ostatnich słów łajała i płakała. Więcej daleko brała do serca to wszystko, niż małżonek.

Ten zdawna mieć musiał osnute plany i szedł z obrachowaniem do celu.

— Babę — powiadał — krótko trzymać trzeba, — ona zaś wcale być trzymaną nie chciała.

Powstała wojna otwarta, z której piękna Baška wyszła zwyciężoną. Świat jej zbrzydził, ale i ona nagle jakoś brzydnąć zaczęła i długa jej młodość odrazu, jakby cięciem jednym się zawarła. Włosy naprzód wypadać zaczęły, potem zęby, poółkła biała twarzyczka, a im ją mocniej malowała, tem okrutniej ciemniała i marszczyć się zaczęła brzydko.

Oczy gasły, schudła... Świat, jak zawsze rachujący się tylko z terażniejszością, zobaczywszy ją tak zbiedzoną, odsuwać się począł.

Nic też dziwnego, że napróżno szukając sobie pociechy, piękna Baška znalazła ją dopiero w nabożeństwie i modlitwie. Jak we wszystkim i życiu całem namiętą była zawsze, tak i pobożność jej, gdy raz się na nią zaniosło, stała się niepohamowaną a gorączkową. Dawniej ludzi brała przebojem, teraz tak samo cisnęła się do Boga.

Rozpocząwszy pokutę, nie miała w niej miary. Zmienili

się zaraz suknie owe szyte i bramowane na długie czarne, szare i brunatne prawie mniszego kroju.

Miała klejnotów dosyć, które jej własne były, a Fryc na nie zęby ostrzył; na złość jemu, jedno pooddawała do kościołów, drugie posprzedawała na ofiary, a perłami najśliczniejsze ornaty szyla do dominikanów. Może też naprzekór mężowi, mnichów zaczęła zapraszać gromadnie do domu, a że tych mąż jej, bez narażenia się całemu duchowieństwu, pozbywać się, ani źle przyjmować nie mógł, było ich zawsze kilku przy obiedzie i wieczorem. Resztę dnia sama Baśka spędzała po kościołach.

Było to jej jedyne nad Frycem odniesione zwycięstwo, i przyznać trzeba, że plac boju wybrała tak, iż mąż na nią całą swą siłę stracił.

Przodowała też gorliwością swoją innym kobietom, a pobożność jej była dla drugich przykładem, którego doścignąć nie mogli. Codziennie leżała krzyżem w kościele przynajmniej w czasie jednej mszy, w czasie innych klęczała... W czasie procesji wypraszała sobie na ramiona najcięższy krzyż, pod którym się ugiwała. Wdziewała różne suknie tercjarskie, pielgrzymowała od kościoła do kościoła w zimie boso; stacje w post odbywała na kolanach...

Wszystko to jeszcze jej nie starczyło; raz wszedłszy na tę drogę, znajdowała, że ciało swe jeszcze powinna była srożej kaźnić, że ludzie wszyscy nadto światowemi sprawami byli zajęci, a Bogu służyli chłodno i opieszale.

Nawet żywot ascetyczny i surowy mniszek, które odwiedzała w Nowym Sączu i po innych klasztorach, wpraszaając się do nich na dni czasem kilka, jeszcze jej nie zaspokajał.

Wymyślała osobliwe męczarnie, biczowała się krwawo codziennie, ścisłała paskiem wpijającym w ciało, nie zrzuciła włosiennicy.

Te religijne praktyki wprowadzały ją w stan odurzenia, upojenia jakiegoś, zapалу, który czasem łzami, niekiedy śmiechem dziwnym, serdecznym wybuchał.

Nigdy pokuta za grzechy nie była jawniejszą i przykładniejszą... Sama ona spowiadała się z przeszłości swej, opowiadała, bijąc się w piersi, sprawy, o których nikt nie wiedział, a że to przy mężu czyniła, nieraz boleśnie go temi spowiedziami publicznymi raniła i upokarzała.

Dom przybrał wcale nową postać. Znikły z niego powoli kosztowniejsze i piękniejsze sprzęty, rozdarrowane kościołom, posprzedawane, wyrzucone, jako grzeszny zbytek, nato-

miast ściany się przybrały w rozmaite godła, obrazki i wyobrażenia religijne. U każdych drzwi wisiała kropielnica, w każdej izbie stał krucyfiks; w sypialni jawnie rozłożone były narzędzia do poskramiania i trapienia grzesznego ciała, rozmaite dyscypliny, pasy i t. p., a klęcznik był umyślnie tak urządzony, ażeby kolana ranił.

Fryc na to wszystko patrzeć nie mógł i życie mu coraz bardziej brzydło, tak, że z domu uciekał. Nie mógł jednak żonie zabronić starać się w ten sposób o zbawienie duszy i odpokutowanie za grzechy.

W tem wszystkim więcej było pewnie fantazji, niż skruchy i ta sama chęć popisu z pobożnością, jaka dawniej piękność Baški głośną czyniła.

Zwolna jednak te namiętne praktyki wpłynęły na ducha i, co było zrazu dziwactwem może, stało się potrzebą dla nieszczęśliwej, która znajdowała pociechę i uspokojenie w tej pokucie.

W końcu trzechlecia tego nie tylko piękna Baśka uległa wpływowi ducha czasu, który powoływał do tak surowego kajania się za grzechy. W krajach sąsiednich i w Polsce prąd ten, religijna egzaltacja dawała się czuć ogólnie.

Wielkie klęski, które tysiącami trupów zasypały cmentarze, głód, mór straszliwy, wylewy wód, dziwaczne zmiany w powietrzu, zdające się kolej pór roku zmieniać i grozić ludzkości zagładą, — duchowieństwo wszędzie ukazywało jako karę za grzechy, jako przestrogę i napomnienie ku poprawie i pokucie.

Ziarna religijnego zapалу, egzaltacji, w przeszłych wiekach zasiane, na nowo bujnie kielkować zaczęły.

Nadzwyczajne klęski wymagały nadzwyczajnych środków prześlągnięcia zagniewanego bóstwa. Trwoga niemal obłąkiwała umysły. Niektóre z nich miały widzenia, objawienia, natchnienia jakiegoś, które zdawały się odpowiadać powszechnej ducha potrzebie.

Kościelne procesje błagalne, z pokutnikami w kapach i kapturach, biczującymi się publicznie, zrodziły wkrótce dobrowolne gromady biczowników, które znalazły wodzów i, wyrzekając się życia, rodzin, wszystkich węzłów łączących je ze społeczeństwem, poszły, krwią się oblewając, wołać świat do nowych apostołów jakichś, mających go odrodzić.

W Polsce klątwa rzucona na króla, chociaż nie sprawiła może tak piorunującego wrażenia, jakiego się spodziewano,

bo nie rozciągnęła się pono dalej nad krakowską diecezję, także umysły zaniepokoiła.

Kościoły stały pozamykane, obrzędy uroczyste umilkły, ludzie się trwożyli, obawiając za ten brak chwały Bożej — kary Boga.

Obwiniano króla, oskarżając go o morderstwo, duchowni nie oszczędzali go, przepowiadając nowy mór, głody, szarańczę, która już była nawiedziła Czechy, najście pogan i t. p.

Król czynił wprawdzie kroki do pojednania z pomocą arcybiskupa gnieźnieńskiego, lecz Bodzanta więcej się domagał, niż powaga majestatu mogła ofiarować, przedłużał spór między Kościołem a Kaźmirzem, nie hamując całkowicie życia, ale je łamiąc i utrudniając.

Wierni i pobożni za grzech króla codzień pokutować musieli, nabożeństwa odprawiały się wyjątkowo, cicho, na każdą posługę duchowną wyjednywać było potrzeba osobne pozwolenie, jako łaskę.

Trwało to zbyt długo, a sprawa w Rzymie, popierana ze stron obu, dotąd rozwiązana być nie mogła. Sam król był nią znużony i rad był ofiarą znaczną przejednanie zyskać; lecz spór się zajątrzył, a ludzie korzystali z niego dla siebie i zgodę utrudniali.

Znaczna część duchownych z innych diecezyj nie opuściła wprawdzie Kaźmirza, kapelani odprawiali nabożeństwo na zamku, lecz gdziekolwiek krót zetknąć się musiał z władzą biskupią, odpychano go, znać nie chciano, jako wyłączonego i wyklętego.

Arcybiskup i siostrzan jego pracowali gorliwie nad przejednaniem, król znużony był, a Bodzanta, czując, że stał się potrzebnym, coraz bardziej był wymagającym.

Łatwo pojąć, iż stan ten kraju przyczynić się musiał wielce do religijnej egzaltacji.

Te milczące dzwony, te zaryglowane wielkie drzwi kościelne, pogrzeby bez śpiewów, chorągwi, obrzędów wszelkich, ciche msze, odprawiane po ustronnych kaplicach, utrudnienie chrztów i wesel trwogę siało w sercach.

Ostyglejsi ludzie mogli się wprawdzie nauczyć obchodzić bez tego, czego im odmawiano, lecz gorętsze duchy tęskniły, niepokoiły się, trwożyły o zbawienie.

Niedawno przeżyty w Krakowie mór, który, jak miecz mściwego anioła, przeszedł, tysiące zabierając ofiar, stał jeszcze na myśli i w pamięci, jakby znowu miał powrócić. Rozsiewano wieści, iż się wznowił w niektórych miastach.

Jednego wieczora w domu Fryca Matertery gospodyni sama przyjmowała zwykłych swych gości. Siedział za stołem tylko co przybyły przeor ks. dominikanów, Tomasz, pobożny tegoż zakonu kapłan, Ireneusz, a tuż obok jeden z wikariuszów kościoła Panny Marji, młodszy od nich, lecz wielkiej pobożności i nauki, ks. Paweł z Brzezia.

Gospodyni, która siebie karmiła najsroźszemi postami, dla ojców duchownych nie tylko była pobłażającą, lecz starała się ich jak najlepiej ugościć. Przynoszono więc misy i flaszę, a Baśka, nie siadając do stołu, posługiwała ojcom, podając im w miejsce sługi wodę do umycia rąk i ręczniki, gdy ks. Paweł, mężczyzna suchy, wysokiego wzrostu, twarzy pociągłej i długiej, wyciągnął dużą, białą, z kościstemi palcami rękę i odezwał się do przeora Tomasza:

— Słyszeliście, ojcze, o biczownikach?

Ks. Tomasz, siwy, otyły, ciężki, z twarzą okrągłą, dosyć wesołego wyrazu, ocierał właśnie pot z czoła, bo się to działo na początku lata i dnie były gorące.

Spojrzał na mówiącego zdziwiony nieco i zapytał:

— O jakich?

— Głośno już o nich po całym świecie, — odparł ks. Paweł — a mówią, że i u nas już od granic się pojawili i w niektórych miastach gmin za sobą wielki ciągną. Tylko co ich nie widać w Krakowie.

Ks. Ireneusz, blady i chudy, pokaszlujący mnich, którego oczy żywo biegające bystry umysł zdradzały, pokręcił głową, jakby wątpliwość pewną okazać chciał i niewiarę.

Baśka, trzymająca jeszcze nalewkę i ręcznik, mając już odejść, zatrzymała się ciekawie. Wejrzenie jej skierowało się ku ks. Pawłowi z prośbą gorącą.

— Biczownicy? — zapytała.

— Tak, pokutnicy biczujący się... i przebiegający świat o żebranym chlebie, a wołający grzesznych do pokuty...

Wszyscy umilkli, ks. Paweł zamilkł też na chwilę.

— Zjawisko to wielkiego znaczenia — dodał zadumany. — Przebrała się grzechu miara, czują wszyscy, że życie zmienić potrzeba. Bóg zsyła natchnienie na małych, ubogich, biednych tak, jak apostołów swych z gminu wybierał... Cuda o nich opowiadają...

Baśka postawiła dzban, rzuciła ręcznik i ze złożonemi rękami zbliżyła się do ks. Pawła.

— A! mówcie! mówcie! — zawołała. — Serce mi ude-

rzyło. To palec Boży... Pokuta publiczna, chłosta dobro-
wolna... nędza i głód... nowy zakon... nowi apostołowie!!

Ks. Paweł się zmarszczył.

— Nowego zakonu być nie może, ani nowych apostołów
potrzeba — zawołał kwaśno, — całą prawdę i wszelką nau-
kę przyniósł Chrystus... ale myśmy jej do serc nie wzięli
ani cząstki, spełniamy z niej tylko to, co najłżejsze.

Przeor i ks. Ireneusz milczeniem to potwierdzali.

— Gdzież są? skąd idą? będę szukać tych świętych po-
kutników! — zawołała gospodyni, żywo następując na ks.
Pawła.

Wtem ks. Ireneusz odezwał się cichym głosem prędko
płynącemi z ust słowy:

— Powoli, powoli! Niechno Kościół się w tem rozpatrzy,
przekona, czy w tej pobożności nie tkwi herezja jaka.

Baśka stanęła zdumiona.

— Ojciec mój! — poczęła — a jakaż może być herezja, co
grzesznego w pokucie? Im ona sroższa, tem Bogu milsza!

Ks. Ireneusz ręką przebierał po stoliku.

— Ciemno w tem, ciemno, — rzekł — a póki się to nie
zbadą, nie rozpatrzy, ostrożnym trzeba być, aby zamiast Bogu
służyć, nie poszło się w więzy szatańskie.

Groźnie podniósł palce i gospodyni zamilkła, lecz widać
było, że gorączkowa ciekawość paliła ją.

Ks. Paweł z Brzezia usiadł tymczasem przy stole... Miał
widać litość nad niewiastą.

— Gdzie się to zrodziła ta pokutnicza...

— Sekta — poddał ks. Ireneusz.

— Sekta, czy towarzystwo, Bóg to wie — ciągnął dalej ks.
Paweł, — lecz razem gruchnęło o niej i z nad Renu, i z Wę-
gier, i od Włoch... Gromady ich przebiegają sąsiednie kraje,
weszły i do nas. Niektórzy duchowni otwierają im kościoły,
inni podejrzenia mają.

— O co? — spytała gospodyni.

— O to, com rzekł — wtrącił ks. Ireneusz, — że sektą są.
Nasz zakon właśnie powierzone ma sobie badanie herezji
wszelkiej, tej zjadliwej rdzy, która się czepia łatwo umy-
słów słabych a żywych... Inkwizytorowie o tem wyrzeką.

Przeor, który zmęczony nie dotąd nie mówił, rzekł gło-
sem cichym, przerywanym oddechem ciężkim:

— Tak... tak... wszystko trzeba bacznie roztrząsać...
Djabł nie śpi.

Gospodyni słuchała z uwagą wielką.

— Przebaczcie mi, ubogiej na duchu — odezwała się, — ale jakież błęd być może w surowej pokucie?

Ks. Ireneusz z uśmiechem odparł:

— Wieleby o tem mówić trzeba... a ja, duszyczko pobożna, jedno tylko powiem. Gdzie kapłana niema, jako przewodnika, tam się ludzie łatwo obłąkać mogą. Tu zaś, pomiędzy tymi biczownikami o kapłanach nie słychać. Jacyś nieznajomi, nieświęceni, samozwańcy wodzowie prowadzą te gromady. Niewiasty i mężczyźni różnego wieku idą pospołu, żyją pospołu... hm! hm! nie zdaje mi się, by to czysta sprawa była...

Gospodyni zadumała się nieco.

— Grzesznicą jestem — rzekła — wielką i niegodną łaski Pana... nieświadomą rzeczy wielu, ale mi się ta pokuta publiczna, to życie jej oddane całe, ta krew, brocząca gościńce nieprawości, wydaje tak piękną! tak piękną!

Przeor się zmarszczył.

— O! o! — przerwał — gotowaś sama pójść z nimi.

Baśka chwyciła się z siedzenia i krzyknęła:

— A! tak... niech się zjawia tylko! rzucę wszystko... nie wytrzymam, pójdę!!

Księża spojrzeli po sobie, ks. Paweł zamilkł i chcąc rozmowę odwrócić, wtrącił, iż wieść chodziła, że wkrótce król miał ulec i kłatwa zdjęta będzie, a kościoły otwarte i dzwony zabrzmia znowu.

Gospodyni słuchała dosyć obojętnie.

— Król? — rzekła, bynajmniej nie okazując sromu — znam go dobrze! wszak ci szatan mnie był zawiódł ku niemu, a raczej ten człek zbójca, który tyle dusz niewinnych pogubił, zausznik jego, Kochan... Znam ich obu. Król w duszy dobry jest, litościwy, ludzki, ale do Bożych rzeczy chłodny... Nawróciłby go można, gdyby się dał poruszyć... Jemu życie i wszystko obojętne...

— Bo nadto używał — rzekł ks. Ireneusz.

— Wszystko z tego popłynęło, — dodała Baśka — że syna nie ma i nie spodziewa się; to mu życie strulo i odebrało do niego ochotę.

— Właśnie tą bezpotomnością karze go Bóg — rzekł ks. Paweł — za to, iż sromotny żywot prowadził...

Gospodyni ze spuszczoną głową słuchała tych wyroków, leciuchny rumieniec przesunął się po twarzy zwiędłej, jak jakieś przeszłości wspomnienie.

— Winien on, tak, tak, — począł otyły przeor — ale zausznik winniejszy. Ten jest kamieniem obrażenia, ten wszego złego sprawcą... ten...

Baśka już myśla być musiała gdzie indziej i spytała:

— Są już u nas gdzie ci biczownicy?

Ireneusz się uśmiechnął.

— Bądź spokojna, duszyczko moja — rzekł trochę szydersko, — nie miną oni Krakowa...

— Bogdajby — westchnęła Baśka.

Gdy to mówili, półmiski stygły i ks. przeor okazał ruchem ręki, że radby zacząć wieczerzę. Gospodyni przybliżyła mu mięsiwo i wychudłemi rączkami poczęła kubki nalewać.

Ks. Paweł, oczyma się porozumiewając z towarzyszami, zagaił inny przedmiot. Z poszanowaniem go słuchając, gospodyni widocznie o czem innem myślała. Zatopiona w sobie, roztargniona, machinalnie posługując gościom, dumiała, nie odzywając się prawie; — biczownicy ci z myśli jej nie schodzili.

Wśród tego milczącego Krakowa, który klątwa, przez biskupa rzucona, okryła żałobą, jednego dnia letniego powstał ruch nadzwyczajny.

W rozmaitych miasta dzielnicach, z niewiadomej przyczyny, ludność, rzuconem słowem jakimś poruszona, wybiegła z domostwa, wyglądała z wrót, szła ku czemuś niewiadomemu i pierzchła strwożona.

Niektórzy palcami ukazywali wdal, inni, bojaźliwie poszeptawszy z przechodniami, do domów zbiegali, zamykali wrota. Ciekawość i trwoga malowały się na twarzach wszystkich.

Ulice pełne były ciekawego ludu, lecz nie sama ciekawość tylko malowała się na twarzach; trwoga, niepokój, nieokreślone to uczucie, które opanowuje na widok spraw niezwykłych i niewytłumaczonych.

W naturze ludzkiej jest coś, co ją czyni podległą wpływowi szczególniej uczuć gorących i wielkiego zapału. Są one w całym słowa znaczeniu zaraźliwe. Człowiek od nich częstokroć broni się zrazu szyderstwem, zasłania niewiarą, ale wkońcu siła, dla niego niezrozumiała, opór ten łamie, zwycięża, i gdy tłumy przejmie ten ogień, a porwie i pochłonie, jednostki ulec muszą i dać się porwać prądowi.

Zapowiedź tego widowiska, o którym już dziwy głosili ci, co się z niem spotkali, a większe jeszcze ci, co tylko sły-

szeli o niem, słabszych napełniała bojaźnią, zwiastującą, że ono ich pociągnie i pokona, że mogą, nieświadomi tego, co czynią, rzucić domy i iść z tymi pokutnikami.

Chronili się więc i zwykli, lecz ciekawość górę brała.

Wszystek ten tłum, który umyślnie około Panny Marji i na rynku się gromadził, miał pozór wystraszonego i milczał. Ściskano się i kupiono, jakby wzajem w sobie szukając obrony. Trwożliwie oczy zwracały się w stronę, z której się biczowników spodziewano, i zamykały z trwogą. Ciśsza grobowa panowała w ścisku, ledwie szeptami i mrużeniem przerywana.

Nietylko wiodące do rynku ulice i chodniki pod ścianami były przepelnione, ale okna wszystkie głów naciśniętych w nich pełne.

Niewiasty i dzieci przeważały.

Dzień był skwarny, powietrze duszne; chmury ciemne, ciężkie przeciągały po niebiosach zamglonych, jakby oparem, a słońce, choć się rzadko przebijało przez obłoki, piekło okrutnie.

Gawiedź, która w ulicy się nie mogła pomieścić, gdzie nigdzie powdrapywała się na drabiny, przyległa do komi-nów na dachach.

Szeptali z ulicy patrzący, iż pono sam król się tyłami przesunął tu, aby też widzieć tych pokutników, o których tyle rozpowiadano.

W istocie pilnie się przypatrując oknom izb przednich mieszkania rajcy, poza zasloną, nawpół spuszczoną, dostrzec było można strojów, twarzy, jakie w otoczeniu Kaźmirza znano. Ale król, jeśli tam był, widzianym być nie chciał pewnie, stał zakryty, chociaż oczy ludzi, wznoszące się ku oknu temu, czuły go i odgadywały. Niekiedy zasłona drgała, ręka biała wysuwała się z za niej i nikła. Szeptano, potrącając się:

— Król!

W tłumie dwojako panowało usposobienie i względem króla, i dla spodziewanych pokutników. Wszystko, co trzymało z biskupem i ocierało się o niego, szemrało i niechętnie spoglądało ku Kaźmirzowi. Wyrzucano mu wszystko złe, wszelkie klęski. Gorzej jeszcze, niż przeciwko niemu, mrużano przeciw dworakom i Kochanowi, piętnując go mordercą.

— Tam, tam... — szemrali biskupi sludzy — przyszli patrzeć... zbóje, jak za ich grzechy musi lud pokutować... A co im?

Biskup wszakże, choć nie uczynił jeszcze żadnego kroku ze swej strony przeciwko biczownikom, wiadomo było, iż zamierzał co rychlej się ich pozbyć z Krakowa.

Z tego, co tu przyszło już na biskupstwo o pokutujących z Niemiec i z Węgier, źle ich sądzono, i duchowieństwo wogóle potępiało, mając za sobą bullę papieża Klemensa.

Ze Szwabji, ze Spiry, ze Strassburga ich powyganiano, starano się ustraszyć, lecz tłumy, mimo wyroków Kościoła, chciwie się łączyły z tymi, których dobrowolne męczeństwo urok miało dla nich nieprzezwyyczajny. W każdym zadrgało coś na widok tych krwią obluźganych, bezdomnych, nędznych pokutników nie za swe, ale za grzechy świata całego.

Obawiano się, ociągano z gwałtownem wystąpieniem. Snuli się oni już po Polsce, a nigdzie nie ścigano ich inaczej, tylko słowem z ambony i to dopiero naówczas, gdy już ich nie było.

Nieopodał od kamienicy, w której król się miał znajdować i księża do niej wniknąć się kusili, na chodniku, stała w pierwszym rzędzie z twarzą rozognioną, poruszona, niespokojna, nie mogąc chwili w miejscu wytrwać, znana miastu całemu Baśka Świniagłowy.

Na ten dzień odziała się stosownie w brunatną suknię, krojem zakonnym, podpasaną prostym sznurem, z pacierzami wielkimi, drewnianymi u pasa, zakończonemi trupią głową i krzyżem. Na głowie, krótko postrzyżonej, miała zarzuconą zaslonę, niegdyś białą, lecz długiem użytkowaniem zbrukaną i pożółkłą. Nogi bose, zapylone, poranione wystawały z pod kraju sukni. W rękach miała dyscyplinę i krzyż. Stała już, jakby w gotowości połączenia się z tymi, o których od dni wielu marzyła dniami i nocami.

Nie samą była, bo zdawna miała swój dwór, który chętnie wszędzie jej towarzyszył. Były to babki żebraczki z pod kościołów, ubodzy, kalecy i kilka kumoszek tak pobożnych jak ona, które karmiła i obdarzała, wymagając od nich nawrócenia i pokuty.

Poruszenie w tłumie od strony ulicy Grodzkiej w całym tem się zbiegowisku odbiło. Zaledwie zadrgał ścisk ten z jednej strony, jakby prąd przebiegł po wszystkich... Jedni wtył się cofali, drudzy naprzód parli, przypierano do ścian, do wrót, kilka wykrzyków się wyrwało z różnych miejsc, głowy i ręce falować zaczęły, jak woda, wiatrem rozkołysana.

— Idą, idą! patrzajcie, idą!

Na palce podnieśli się ciekawi, inni naprzód powyrywali.

Zdala, jakby śpiewy i jęki, słyszeć się dały głosy przeciągle, stłumione, których boleściwy wyraz przejmował skargą i płaczem. Lecz nie widać było nic jeszcze, nic, oprócz ponad głowami tłumów tych gwarnych, na wysokim drągu powiewającej krwawo chorągwi. Nie miała ona kształtu rydwanu kościelnego; była to płachta spłowiała już, na której tle trudno było rozpoznać znaków jakichś malowanych.

Wdali za nią mniejsze szły kościelne chorągwie żałobne z trupiami głowy i narzędziami męki Chrystusowej.

Zwolna musiał się posuwać pokutniczy ten orszak, gdyż nierychło tłum się rozdarł na dwoje i szeregami idący ukazali się biczownicy. Przodem postępował mężczyzna atletycznej postawy, obnażony do pasa, z głową i twarzą kapturem brunatnym okrytą.

Szedł wolnymi krokami i biczem, który w rękę trzymał, o czterech sznurach i żelaznych haczykach, smagał się niełitościwie po plecach, już krwią zaschlą i świeżo rozlaną spływających.

Ta postać beztwarza, straszna, katowska, krocząca powoli i w takt pieśni chłoszcząca się niełitościwie, była zjawiskiem tak przerażającym, iż ludzie, bliżej stojący, cofnęli się, krzycząc, jakby się lękali, ażeby ich nie pochwyciła...

Tuż za tym wodzem szedł drugi mężczyzna, równie zakapturzony, obnażony do pasa, bosy, z biczem w rękę jednym, w drugim niosący zwitek pergaminu. Ciało jego, jak pierwszego, było smaganiem pokrajane...

Za nimi dwoma rzędami postępowali z sobą mężczyźni i niewiasty, wszyscy prawie z nakrytymi głowy, niektórzy z twarzami nawpół odsłoniętymi, wpół nadzy i biczujący się przy śpiewie jakiejs pieśni.

Brzmiała ona jak kościelna, jak psalm wielkopiątkowy, jak żale gorzkie u Chrystusowego grobu, lecz niesforne głosy, jakimi ją nucono, ze śpiewem zmieszany płacz i jęki, chrzest dyscyplin, szelest chorągwi, powiewających nad głowami, zmieniały ją w jakąś wrzawę dziką i odrażającą.

Nie było też powagi w tym pochodzie pokutniczym, ani pokory, jakaby ludziom skruszonym przystała. Niektórzy z nich rzucali się jak opętani, rękami wywijali w powietrzu, nogami podrygiwali, wykrzywiali się i całym ciałem jak z bólu miotali.

Z pod zasłon i kapturów gdzie niegdzie poodkrywane twarze miały wyraz osobliwego rozpasania, zuchwałości,

szyderstwa, upojenia; kobiety, przechodząc, groziły ścisniętymi pięściami, mężczyźni, dla uczynienia popłochu, zataczali się ku gminowi, który z krzykiem od nich się cofał...

Razem jednak wzięty ten tłum w lachmanach brudnych, katujący się, pijany jakimś szaleńcem, jęczący jakimś bólem, czynił wrażenie, któremu oprzeć się trudno było.

Nie byli to pospolici ludzie, w stanie powszednim, ale coś wyższego nad nich, a przynajmniej wyrzuconego z kolei spraw i uczuć, wszystkim wspólnych. Z lekceważeniem jego obyczajów szli, nie lękając się męczarni, śmierci, niepomi na nic, wyżsi nad to, co drugim drogiem było i niezbędnem.

Pokrwawione ciała, poszarpane nogi, ręce zbroczone, same ich twarze zdziczałe, ziejące ogniem, ryczące pieśnią, strach obudzały i podziwienie.

Z tłumów kilka krzyków się słyszeć dało... kilku obdartych żebraków zaczęło się rwać ku nim, zdzierając z siebie odzież i łącząc z zastępem, który zwolna zmierzał ku środkowi rynku, ciągle śpiewając i chłoscząc się ciągle.

Naówczas można było się lepiej rozpatrzeć w zbiorowisku tem, liczącem paręset głów, a składającym się z najróżnorodniejszego żywiołu ludzkiego.

Chociaż twarze w większej części były pozasłaniane, na ciałach nagich czytać było można wiek, płeć i pochodzenie. Począwszy od zgarbionych starców, których barki kościste, z pomarszczoną skórą i żyłami nabrzmiałymi oplątane, zdawały się, gdyby nie krew, wykopanemi z dołów cmentarnych, do białych pleców niewiast młodych, do chudych i szczupłych ramion wyrostków, wszystko się tam razem mieszało w nieładzie jakimś, upojeniu i rozognieniu, które nikomu nie dawało trzymać wyznaczonego miejsca, — pchali się, wywijali, smagali wzajemnie, cisnęli, rozszarpywali... Niektóre z niewiast, obnażone zbyt i jakby umyślnie odarte z odzieży, chlubiły się zarówno krwią na plecach, jak młodem kształty ciała.

Wśród pochodu z pieśnią do środka rynku działały się rzeczy niespodziane a gorszące. Idący na końcu szeregów chwyтали ze straganów żywność, porywali, co napadli; inni rykiem straszili dzieci, inni za suknie ciągnęli stojących bliżej, chcąc ich zabrać z sobą.

Pierwszy tylko rząd idących zachowywał się z pewną powagą... reszta rozpasana była i swawolna...

Zakapturzony wódz stanął wreszcie w rynku, około niego poczęły ustawiać się chorągwie. Człek, który zwitek trzymał

w rękę, odrzucił kaptur zupełnie, i z pod niego ukazała się głowa ogolona, z oczyma wypukłemi, z twarzą żółtą, usty niepomiarńie szerokiemi. Gdyby nie strój i nie miejsce, jakie zajmował, najłatwiejby go wziąć było można za jednego z tych wierszokletów weselnych, lub trefnisiów, do których był podobny. Zarazem jednak przypominał klechę i baka-larza.

Na policzkach, koloru żółcią zaprawnego, dwie ceglaste plamy odbijały jak malowane.

Na dany znak podniósł on rękę do góry, w której papier trzymał, potrząsł nią i zakrzyczał:

— Słuchajcie! słuchaj, ludu pobożny!

Ze wszystkich stron ciekawi zaczęli się zbliżać i naciskać ku niemu, popychając i wyprzedzając. Szmer i wrzawa ustały, pokutnicza pieśń powoli ucichła, skonał jęk ostatni, a wielu z tłumu poczęło padać na ziemię, jedni na kolana, drudzy twarzami w proch, inni jakby do snu się układając, a nagiemi, poranionemi plecami uderzając o kamienie. Bólu nikt z nich czuć się nie zdawał.

Gdy cisza się stała dokoła, ten, który zwitek trzymał w ręku, rozsunął go, przybrał postawę naśladowującą księdza na kazalnicy, i głosem to jęczącym, to krzykliwym, to podniesionym bezmiernie mówił, patrząc po stojących dokoła.

— Słuchaj, ludu pobożny! Słuchajcie, wierni Chrystusowi! Oto do was przychodzimy, jak niegdyś apostołowie, z nowiną dobrą, z ewangelją nową. Albowiem świat miał być ogniem zniszczony, morem wytępiony za grzechy straszne, za winy mnogie, aż oto, widząc Chrystusa zagniewanego i pomstę zawieszoną nad ziemią, przypadła doń Matka Jego, przyszli z błaganiem Święci Pańscy i prosili o miłosierdzie...

I jęczeli a lży leli trzy dni i trzy noce całe, aż ulitował się Chrystus i przez anioła, posła swojego, zanieść kazał list do kościoła św. Piotra w Jeruzalem...

To mówiąc, kartę nad głową rozwinął, podniósł i potrząsł nią.

Wziął ją potem przed się do oczów i znowu mówił, jak-gdyby z niej czytał:

— Ja, który jestem żywotem i śmiercią, panem i sędzią, stworzycielem i odkupicielem waszym, prawem i słowem prawdy, mówię do was, abyście się kajali, a krwią waszą, która z moją połączoną zostanie na zagładę grzechów, zma-zali przewinienia.

Rzućcie domy i rodziny wasze, dzieci swe i rodziców, małżonków i żony, wyrzeczcie się mienia wszelkiego, weźmijcie bicz w dłonie wasze i idźcie głosić pokutę i wyzwolenie świata po gościach, po osadach, po wsiach i gdziekolwiek ludzie w grzechu leżą...

Będziecie się bez litości i bez przestanku biczowali przez dni trzydzieści i cztery, tak, jakom ja lat tyle w mizernem ciele ludzkim żył dla was... A nie będziecie mieszkać pod dachami, ani spoczywać, ani dłużej trwać nad jeden dzień na każdym miejscu.

I stanie się, że ktokolwiek z was przed drugim z grzechów się swych wypowiada, temu odpuszczone będą, albowiem wszyscy krwią swą namaszczeni będziecie na kapłaństwo, i co rozwiążecie, rozwiązaniem zostanieie.

Gdy tych słów doczytywał, czy domawiał pokutnik, pomiędzy słuchaczami, wśród których byli duchowni i klerycy, powstał cichy, ale wyraźny okrzyk zgrozy i podziwu...

Szmer nie dał mu czytać dłużej i wkrótce potem zakapturzony wódz zanucił pieśń, a za nim, porwawszy się z ziemi, inni zaczęli śpiewać, cisnąć się znów i iść, chociaż prowadzący nie wiedział jeszcze, dokąd się skieruje.

Zakapturzony rychło zrozumiał, iż miał do czynienia z tłumem ostyglym, ostrzeżonym, mało wiernym. Niewielu prostaczków dało się uwieść listem tym, przyniesionym przez anioła...

Ten, który czytał z karty, i ten, co szedł przodem, narażili się wejrzeniami z sobą, dali znaki tym, co szli za nimi.

W tłumie tym przewódcy, pomieszani z nim, natychmiast, biczami smagając, zmusili powstawać tych, którzy legli i odpoczywali; na skinienie ich ustawiono się w szeregi, bicze się podniosły do góry, padli wszyscy na kolana i zanucili pieśń żalosną głosem boleściwym.

Smaganie to i śpiew ze snu i odrętwienia obudziło biczowników. Stali się jakby innymi; z chłostą razem, coraz zapamiętałą, coraz nielitościwszą, coraz szybszą, śpiew się podnosił, głosy stawały wyrazistsze, szal święty ich upajał, zdawali się doznawać rozkoszy jakiejś, w szmaty drąc ciało, dobywając z niego krwi, która ściekała strugami.

Czego nie uczynił list anioła i opowiadanie ewangelji nowej, sprawił na ciżbie widok biczowania.

Zapał biczowników przechodził do tłumu... wyrywali się ludzie ku nim... jęki i płacz dał się słyszeć... Ci, co przyszli

tu z niedowiarstwem, ze zgrozą, zaniepokojeni w sumieniu, żegnali się, modlili, płakali, serce ich biło.

Cóż dawało im tę siłę do zniesienia razów, które sobie zadawali z rozkoszą? Kto sprawiał ten cud, że dla nich boleść była pożądaną i błogosławioną?... Duchowni nawet doznawali tego wrażenia i kilku z nich odwracało się od biczowników, jak od pokusy, której się ulec lękali.

Śpiew, schrypleni i znużonemi w początku nucony głosami, rósł, potęgował się, podnosił, płynął coraz zgodniejszy, a miał w sobie jakąś siłę straszną, która przeszywała serca.

Kobiety zachodziły się od płaczu spazmatycznie.

Tłum, w rynku stojący cały, uląkł się tej pokuty... wahając, czy nie ma pójść z nim także i nowej ewangelji stać się wyznawcą.

W chwili takiego podniesienia na duchu naprzód kleryk jeden, chłopak młody, wybiegł z pomiędzy patrzących, szarpiąc na sobie odzież, jak szalony pobiegł do zakapturzonego i padł przed nim na kolana...

Ten, który kartę niósł, wnet począł zdzierać z niego suknię, która kawałami zwisała i podał mu własny bicz... Z wściekłością uderzył się nim kleryk po białych ramionach i krew trysnęła.

Na widok jej ciżba dokoła odezwała się głuchym wykrzykiem.

Za tym razem pierwszym posypały się inne, plecy całe spłynęły krwią, a nowy pokutnik, podniósłszy głowę do góry zwycięsko, z wyrazem ubłogosławienia na twarzy, z uśmiechem na ustach pieśń nucić począł...

Widok ten był jakby hasłem i przykładem. Ze wszystkich stron wybiegali ludzie. Jednych rodzina wstrzymywała, inni sami wahali się niepewni, niektórzy stawali wpół drogi.. lecz wielu dobiegło do miejsca, gdzie stał przewodnik i biczować się zaczęło.

Baśka, która drżąca patrzyła na to i płakała, zrywała się kilka razy; naostatek, jakby pchnięta siłą jakąś przeważną, skoczyła, w rękę niosąc gotowy bicz, a drugą obnażając się z sukni, która, jak wór uszyta, rozerwana u szyi, opadła z niej.

Białe ramiona, na których widać było zaschłe blizny dawniejszej dobrowolnej chłosty, krwią się świeżą zarumieniły.

— Baśka! — zaczęto wołać w tłumie.

Fryc Matertera, mąż, który dotąd mało dbał o nią, poruszony wstydem jakimś i trwogą, rzucił się za późno, aby ją nazad odciągnąć... Tłum go zatrzymał w miejscu.

Gdy się to działo w rynku, w oknach kamienicy Wierzyńska stał, tajemnie przybywszy, król, otoczony kilkunastu osobami swojego dworu. Odradzano mu to widowisko, które na posępnem i tak usposobieniu mogło przykre uczynić wrażenie. Kochan osobliwie sprzeciwiał się wycieczce, więcej się starając o roztargnienie dla niego, niż o to, co mogło spowodować smutek i rozdrażnienie. Łatwo było przewidzieć, że król stąd przyniesie na zamek gorycz i zadumę.

Nie mogąc przelamać woli Kaźmirza, Kochan sam mu towarzyszył i powołał innego jeszcze, w łaskach znajdującego się od niejakiego czasu ulubieńca, człowieka wcale niepospolitego, który, pomimo sukni duchownej, w godzinach czarnych był najlepszem na nie lekarstwem.

Był nim ks. Jan, opat benedyktynów z Tyńca. Pomimo godności, jaką piastował w zakonie, mimo reguły, do której należał, więcej dworak i człowiek światowy, niż mnich i kapłan.

Rumiany, z uśmiechem na ustach, postawą zręczną, w stroju wykwinnym zawsze, doskonały jeździec, niezmordowany łowiec, opat dowcipny był i w towarzystwie zupełnie zapominał, że duchowne miał obowiązki.

Dwór trzymał książęcy, przyjęcia na Tyńcu sływały z wystawnej gościnności. Działo się tam dobrze wszystkim, a ogromne bogactwa zakonu nie dawały mu uczuć rozrzutności, z jaką szafowano niemi.

Kaźmirz, któremu najmilszym było towarzystwo europejsko ogladzonych i z życiem zachodniem oswojonych ludzi, przy pierwszym spotkaniu z opatem polubił go bardzo. Przyjaźń niemal związała ich z sobą; ks. Jan mu towarzyszył na łowy, dosiadywał z nim dopóżna u stołu, opowiadając o Włochach, Rzymie, Francji i Niemczech, w których przebywał. Król słuchał go, ożywiał się rozmową i ściągał do Krakowa, lub do Tyńca zjeżdżał często.

Wielkie pobłażanie, wszystkim króla słabościom, a nadzwyczajne uwielbienie do wielkich pomysłów monarchy, który kraj swój chciał narówni z innemi europejskiemi postawić, czyniły Kaźmirzowi opata najmilszym.

On jeden nie naganiał go nigdy, tłumaczył wszystko, usprawiedliwiał, pocieszał i bawił rozumnie, zręcznie, trafnie dobierając środki.

Król nie miał tajemnic dla niego. Nikt nadeń więcej nie bolał nad nieszczęśliwym małżeństwem z Adelajdą heską, a nawet opat gotów je był, z pewnych kanonicznych pobudek, uważać na nieważne.

Gdy król ubolewał przed nim nad bezpotomnością swą, opat głosował za nowem małżeństwem, pomimo życia żony, utrzymując, że w Rzymie da się wyrobić rozwiązanie węzła, źle skojarzonego. Przywodził przykłady... król jednak wstrzymywał się, obawiając się nowej walki z duchowieństwem, gdy pierwsza jeszcze nie była skończoną.

W sprawie ks. Baryczki opat utrzymywał, że on sam winien był swej śmierci porwaniem się na majestat królewski, uniewinniał zabójców i t. p.

Słowem, powolniejszym nikt być nie mógł dla Kaźmierz, ani wymowniej i zręczniejszym przekonywać, iż nieprzyjaciele jego wcale po sobie słuszności nie mieli.

Mówiono, że na opata Bodzanta kilkakroć słał skargi do Rzymu, lecz ks. Jan ostrzeżony, posyłał podarki i umiał się zawsze uniewinnić.

Dnia tego, gdy król uparł się iść przypatrywać biczownikom, Kochan ściągnął umyślnie ks. Jana, rachując, iż przykre wrażenie, jakie oni na umyśle króla wyrzucić mogą, zręczność i dowcip opata rozproszą.

Ks. Jan wiedział o biczownikach w Perugji, we Włoszech i odzywał się o nich z szyderstwem, utrzymując, że dlatego we dnie się biczowali, aby po nocach najrozpasańsze orgje odprawiać...

Oprócz ks. Jana, w orszaku króla był Kochan i, znowu na dwór z chwilowego ukrycia wróceniu, Przedbór i Pakosław Zadorowie.

Dwa te giętkie i posłuszne narzędzia w ręku Kochana pokutowały za swą bezwstydną powolność dla ulubieńca. Rawa umiał w oczach króla znaczniejszą część winy na nich spędzić; dobroci tylko Kaźmirza zawdzięczali, iż im przy dworze zostać dozwolono. Biedni młodzieńcy, którzy nierozmyślnie, pod silnem naleganiem Kochana dopuścili się zbrodni, teraz i przez ludzi za nią prześladowani, i w sumieniach byli niespokojni. Pobożni, jak wszyscy owego czasu, chodzili wszędzie, domagając się rozgrzeszenia, ofiarując na pokutę; żaden duchowny nie ośmielił się im dać absolucji. Radzono do Rzymu... chciano, aby oba przyoblekli suknie zakonne. Zadorowie byli najnieszczęśliwsi. Oprócz tego

musieli pilno baczyć, aby ich biskup nie pochwycił i do więzienia nie wtrącił, z czem się odgrażał.

W takim razie i ukaranie śmiercią przy gwałtownym charakterze ks. Bodzanty możliwem było. W Polsce samej przykłady się znajdowały takiego wymiaru sprawiedliwości przez władzę duchowną.

Stał w otoczeniu króla i sługa jego a gospodarz, Wierzynek...

Widok pokutników na każdym tu inne wywoływał sądy. Król patrzył na nich ze zdumieniem, z podziwieniem, niepokojny, nieumiejący może wytłumaczyć sobie tego stanu ducha, który takie objawy rodził.

Czoło jego powlekało się chmurami, brwi ściągały — wzdychał...

Ks. Jan ramionami ruszał i oburzał się, wyrzekając, że takiej zgrai dzikiej pozwalano po świecie błdzić bezkarnie.

Wierzynek nie mówił nic, lecz widać było, że spokojnemu kupcowi, a przemysłnemu gospodarzowi to naruszenie powszedniego porządku i spokoju nie smakowało.

Drgnął król i rzucił się ku oknu, gdy zobaczył Baškę, wybiegającą z pod domów, i z krzykiem a szaleem przypadającą do pokutników. Spojrzał na opata, ruszającego ramionami, a Rawa zbliżył się do królewskiego ucha.

— Zawsze była szaloną — rzekł — co dziwnego!

Inni z pospólstwa, którzy poszli za przykładem Baški, wywołali szyderską uwagę opata.

— Juźciż lepiej im będzie u biczowników za trochę podrapanych pleców mieć wszystkiego dowoli, bo ich głupstwo ludzkie obficie karmi i poi, a młodych dziewcząt dosyć jest w tej kupie, — niż od drzwi do drzwi chodzić po żebraniu.

Król jednak nie zdawał się podzielać tego zdania opata; milczał coraz smutniej zamyślony.

Wtem ruch mały zwrócił uwagę Kaźmirza, pomiędzy bliżej stojących za nim. Dwaj Zadorowie bledzi, drżący patrzali na siebie, jakby wzrokiem się naradzali. Pakosław chwycił za rękę Przedbora i poruszyli się z miejsca nagle. Nim Kochan i inni mogli zapobiec i powstrzymać ich, oba pośpieszyli ku drzwiom...

Kaźmirz niespokojnie spoglądał za nimi. Znikli mu z oczów.

Po chwili ruch zrobił się przed kamienicą Wierzyńska, ukazali się bracia Zadorowie, pośpiesznie zrzucając z siebie odzież dworską, obnażający się nawzajem.

Kochan pośpieszył, domyślając się, co zamierzali, aby wstrzymać ich gwałtem, bo przewidywał, jakie to wrażenie na królu uczyni, lecz już było po czasie.

Obaj bracia szli, za ręce się pobrawszy, wprost do kapturzonego, przed którym uklękli. Dano im bicze... poczęli się chłostać.

Król wstał od okna, aby przykrego uniknąć widoku, a nieopuszczający go opat rzekł głośno:

— Lepiejby uczynił ks. biskup, ażeby się tu wdał z władzą swoją i ludzi opętywać nie dopuścił, niż w inne wdawał się sprawy.

Król powracał na zamek.

Wśród wrzawy i wielkiego poruszenia w rynku, gdzie lud się zbliżać począł do biczowników i, przemógłszy trwogę, mieszał z nieszczęśliwymi, — wieczór nadszedł. Słońce skryło się za budowy miejskie, mrok wieczora zalegał ulice.

Biczownicy pozostali na rynku, który zwolna wyludniać się zaczął. Pieśni i biczowanie ustały, zgraja włóczęgów wysilona, znużona, padła na ziemię i zabierała się do spoczynku w miejscu, które zajmowała.

Co przyległo do nich z miasta, pozostało wśród przybyśzów, usiłując pobratać z nimi. Lecz tu spotykały ich dzikie wejrzenia, niezrozumiałe szyderstwa i przekleństwa. Oprócz wodzów nikt ich znać nie chciał — odwracano się od nowych braci.

Po wrzawie i miotaniu się nastąpiło głuche milczenie i spoczynek. Litościwi mieszczanie do czuwających jeszcze i głodnych śpieszyli, przynosząc strawę, chleby i napoje w dzbanach.

Usiłowano, zbliżając się, dojrzeć twarzy, których część większa umyślnie kapturami była zakryta. Niektóre z nich miały rysy jakieś obce, nie swoje, inne widocznie pochodziły gdzieś z okolicy, a odarta odzież różnego też pochodzenia być musiała.

Król odszedł stąd pogrążony w myślach, smutny, a Kochan skłonił opata łatwo, aby go nie odstępował i rozerwać się starał. Stan ten ducha u króla, powracający często, wymagał albo rozrywki, któraby go mogła zająć silnie, lub jednej z tych spraw, kraju tyjących, dla których o wszyst-

kiem zapominał. Ks. Suchywilka nie było, aby niemi z pograżenia tego wyprowadził, cała nadzieja zostawała w ks. opacie Janie.

Ten też, poznawszy usposobienie Kaźmirza, nie ustawał z wesołą i lekką rozmową, choć sam prawie prowadzić ją musiał, bo król mu zaledwie spojrzeniami roztargnionemi odpowiadał.

Widok tej niegdyś tak pięknej Baški, dziś pokutnicy, dwóch Zadorów, którzy nagle opuścili dwór, skruchą do tknięci, całe wystąpienie biczowników zachmurzyło więcej, niż zwykle, twarz królewską. Kochan, który każdy jej ruch śledził, widział także, iż król drgnął cały, zobaczywszy występującego zakapturzonego wodza biczowników, którego postawa i głos kogoś mu przypominać musiały. Kochan sam, nie mogąc wyszukać w pamięci, do kogo był ten człowiek podobnym, pewien był, iż go gdzieś spotykał i że nie był mu obcym.

Przewidywanie ulubieńca, który chciał króla wstrzymać od wyjścia dla widzenia biczowników, ziściło się: Kaźmirz wracał przerażony i znękany.

Na biskupstwie z początku lekceważono sobie tych biczowników i ks. Bodzanta mówił tylko o tem, że gdy się ważą do miasta, rozkaże ich czeladzi swej rozegnać, a przewódców pochwytą i do kuny na pokutę posadzi.

W ostatnich chwilach, gdy się już biczownicy zbliżali, zaczęły do biskupa przychodzić wiadomości, dające do myślenia o liczbie pokutników i ogromnem wrażeniu, jakie czynili na tłumach wszędzie, gdzie się ukazali.

W kilku miasteczkach, gdy ich rozpędzać chciano, lud się ujął za nimi, przyszło do bójki i krwi rozlewu.

Z zebranego duchowieństwa jedni szli za biskupem, drudzy też trochę cierpliwości radzili... inni przynosili rozmaite wiadomości o przeciąganiu biczowników, ich rozbojach, kradzieżach zuchwałych, nieposzanowaniu własności przez włóczęgów, którzy do chat samotnych wpadali, zabierali, co znaleźli, gwałtów się dopuszczali, gdzie im się opierano.

Rozpowiadano, że w drodze, gdy ich na polu noc zachwyliła, legali pospołu, bez różnicy płci, jak bydłeta, i po szale pokutnym rozpasywali się na rozpustę wszelką, sami się potem z niej spowiadając przed sobą i rozgrzeszając.

Oburzenie było powszechne.

W powieściach część prawdy była, coś zmyślnego może, ale we wszystkim herezja widoczna i biskup ścierpieć sze-

rzenia się jej nie mógł; był to bunt przeciw władzy kościelnej, której biczownicy podlegać nie chcieli.

Nie mógł więc biskup słuchać umiarkowańszych doradców, ponowił rozkaz stanowczy, aby się czeladź jego zbierała, na rynek ciągnęła i przywódców koniecznie schwyciła.

Noc tymczasem nadeszła.

W rynku spoczywała dzika gromada na ziemi. White w ziemię chorągwie powiewały nad legowiskiem starszyny. Tłum zmniejszył się był wprawdzie, lecz gdy jedni odchodzili, ścigali drudzy, kupki ciekawych krążyły ciągle i i otaczały biczowników.

Wśród ciszy, jaka tu teraz panowała, oddział biskupiej czeladzi przybliżył się do rynku właśnie w chwili, gdy do zamku powracała garść żołnierzy królewskich, dobrze uzbrojonych. Od czasu, jak Bodzanta wyklął był Kaźmirza, pomiędzy ludźmi jego a królewskimi stosunek był nieprzyjacielski. Nie przychodziło do bitew krwawych, bo ich zakazywano, ale bójki trafiały się codziennie.

Zamkowe żołnierstwo, spostrzegłszy skradających się ku rynkowi biskupich ciurów, stanęło, sotnik starszy znajdował zręczność bardzo pożądaną poturbowania kleszych rycerzy.

Biczownicy obudzili litość.

— Patrzcie oto — rzekł do swoich, — co im to biedactwo winno? Biskup pewnie każe pobrać i będzie męczył po lochach... a toż przecie pobożni pokutnicy, co się modlą lepiej, niż on, i, gdy stary w puchach się wylega... krwią zbroczeni, na ziemi się walają.

Spojrzeli po sobie ludzie królewscy. Rozkazu żadnego nie mieli, lecz pewni byli, że ich za to nikt nie skarci, gdy kleszych przetrzepią. Stanęli więc, zajmując w cichości takie stanowisko, z którego najłatwiej im było wypaść w potrzebie.

Biskupi pułkownik okrażał już powoli biczowników.

Ci, po dosyć gorącym przyjęciu w mieście, nie spodziewali się pewnie napadu żadnego i spokojnie do snu się układali. Ludzi biskupich trudno było rozeznąć wśród ciekawych, którzy się jeszcze snuli.

Gdy nagle głos starszego dał się słyszeć niedaleko chorągwi, porwał się na nogi zakapturzony dowódca i krzyknął na swoich. Chwycili za chorągwie, dyscypliny swe i kije, stając, jakby bronić się chcieli.

Wśród ciemności krzyki powstały i zamieszanie wielkie... Lud, nie widząc, kto napastował pokutników, rzucił się na ich obronę. Zgiełk, wrzawa, ścisk w rynku stał się straszny.

Z kamienie ludzie powybiegali z pochodniami. Wołanie na ratunek, na gwałt rozlegało się po mieście... królewskim ludziom tego było potrzeba, puścili się na biskupich z dobytymi mieczami, płazując i siekąc. Znali się dobrze i w tłumie wybrać umieli. Lud, poparty przez zamkowych, padł też na czelaść biskupią.

Biczownicy tymczasem, z ziemi się pozrywawszy, a lękając nadewszystko, aby ich nie pochwymano, rozpierzchać się zaczęli na wszystkie strony, wbiegając do kamienie, pod parkany, do ogrodów, gdzie się komu schować udało... kupka jedna puściła się ku zamkowi, inne po kątach i małych uliczkach.

Dowódca biskupi tyle dokazał tylko, że w pierwszej chwili, pomimo dzielnego oporu, zdołał opanować i związać zakapturzonego i jego towarzysza. A że królewscy nacierali mocno, zdobyczą tą się ograniczając, biskupi pierzchnęli na dworzec pański.

Oczekiwano ich tu z ciekawością wielką. Biskup sam nie chciał spocząć, póki by nie wiedział o skutku wyprawy. Poprzedził zwrot pachołków pędem wbiegający kupką małą dowódca, który ciągnął z sobą dwu jeńców i, zaledwie wpadłszy na podwórzec, obawiając się, by go i tu nie ściągano, wrota kazał drągami zakładać i straż stawić u nich.

Gniewu, jakim biskup się uniósł, gdy mu doniesiono o napaści królewskich na wysłańców jego, odmalować niepodobna.

Zsinił starzec, załamał ręce... słowa przemówić nie mógł.

Dowódca straży, niejaki Żuber, dla uniewinnienia siebie, malował starcie w rynku daleko straszniejszym, niż było w istocie — porwanie się ludu, straszliwe pastwienie się nad jego ludźmi bezbożnych zamkowych...

W takich warunkach cudem było prawdziwym, że potrafił hersztów schwycić, naraziwszy życie... Ks. Bodzancie już nietyle teraz szło o biczowników, jak o niesłychane zuchwalstwo królewskich żołnierzy, którzy się przeciw jego czela-dzi porwali...

To wołało znowu o pomstę do Boga! Niepoprawni więc byli, a duch pana w sługach się jego odbijał.

Zgrozą przejęte duchowieństwo potakiwało pasterzowi; już nieco złagodzony spór na nowo rozjątrzył się okrutnie.

Było to wyzwanie, była to umyślna zasadzka, król brał stronę herezji.

Zakapturzonego dowódcę rozkazując zaraz wrzucić do

więzienia biskupiego i strzec pilnie, ks. Bodzanta rozmyślił się po chwili i dał go sobie związanego przyprowadzić wraz z jego spółnikiem...

Cały dwór, służba, czeladź pasterza zbiegła się oglądać tych ludzi.

Olbrzymiej postawy i siły, zakapturzony szedł ze związanymi wtył rękami, nie okazując najmniejszej obawy ni poruszenia. Zerwano mu kaptur, który twarz okrywał i wyszła z pod niego głowa, czarnym włosem, krótko postrzyżonym, okryta, z rysy jakby krzaczastemi, czarnemi sówkami oczyma, które prawie całe pod powiekami zajmowały miejsce. Wyraz był dumny; boleść, zaduma, coś dzikiego razem i skamieniałego, jak w zwierzu pochwyconym i obezwładnionym, patrzących nań przerażało.

Ani pasterz, ani duchowieństwo nie odjęły mu śmiałości, nie schylił głowy, nie ugiął karku. Popchnięto go, — stał.

Obok idący ten, który głosił w rynku list u św. Piotra w Jerozolimie znaleziony, drżał i szedł, chwiejąc się, obłąkany... Pot mu czoło oblewał, usta się krzywiły jak do płaczu.

Ks. Bodzanta, przystąpiwszy, począł od gwałtownego wybuchu pogrozek.

Czarny wódz, oczy spuściwszy na ziemię, ani patrzył nań, ani chciał słuchać. Towarzysz jego klęczał, ręce na piersiach złożył i zachodził się od szlochania.

Bodzanta, usiadłszy, jednego ze swych sędziów duchownych wyznaczył do natychmiastowego przesłuchania winowajców.

W milczeniu odpowiedzi słuchano.

— Kto jesteś? — rzekł, przystępując doń, badający.

Musiano potrącić czarnego, który zdał się pytania nie słyszeć, lub nie chce wiedzieć, że do niego było wystosowane.

Uderzony przez pacholka, grobowym odparł głosem:

— Grzesznik.

Mówił po polsku, lecz z akcentem jakimś obcym.

— Skąd jesteś, jak się zowiesz?

Dłgie było milczenie.

— Nazwiska się wyrzekłem — rzekł pokutnik, — gdzie się urodził, zapomniałem...

— Kto cię nauczył tego, co glosisz zuchwale ludowi?

— Człowiek boży stworzył mi oczy, pokutnik jako ja — począł, oczów nie podnosząc, pytany. — Z nieba miał objawienie... Pokuty tak srogiej, jak grzechy, którei ziemia skalana, żąda Bóg...

Księża spoglądali na siebie.

— Ażali ci niewiadomo — zawołał niecierpliwie inny duchowny, — że Bóg ustanowił kapłaństwo, że przez jego usta tylko idzie czysta nauka, że kto sobie przyznaje moc duchownych, winnym jest świętokradztwa?

— Bóg mówi wprost do dusz ludzkich, nie pośredników — zawołał czarny, — a kto głosu Jego nie słucha, winnym jest...

Szmer oburzenia dał się słyszeć. Biskup Bodzanta ręką wskazał, aby zawieszono pytanie zuchwałego herezjarchy i na klęczącego przy nim w postawie skruszonej, we łzach, z ogoloną głową, zwrócił badanie.

Ten drżał ze strachu.

— Ktoś ty? — spytał go ksiądz.

Nim odpowiedź nastąpiła, czarny groźnie się obejrzał ku niemu: klęczący, który się obawiał równie władzy, co go w rękę miała, i strasznego wodza swego, niezrozumiale belkotać zaczął.

Naostatek wybąknął, że był klerykiem z Wrocławia, że się zwał Adam Siwek, i że nie był winien, bo był opanowany, obłąkany, zagrożony i musiał być posłuszny.

Spytany o kartę, z której czytał, dobył ją z za pazuchy i co prędzej oddał księdzu. Pismo było świeże, niezgrabne i nedorzeczne. Podano je biskupowi, który spojrzawszy na nie, rzucił pod nogi z pogardą.

Zwrócono się znowu do czarnego, zatwardziałego wodza biczowników, lecz z niego nic wyciągnąć nie było można. Czuć w nim było upojonego jakąś fantazją, zbłąkanego człowieka, który męczeństwa się nie lękał i wierzył, że to, co czynił, dobrem było.

Półgłosem, pogardliwie niemal, ledwie raczył coś odpowiadać, zupełnie zobojętniały na los, jaki go spotka...

Zato Siwek, chcąc się skruczyć wykupić, mówił aż nadto, na ziemię twarzą padając, obiecywał poprawę, drżał jak liść.

Obu ich biskup kazał odprowadzić do więzienia swojego.

Królewscy żołnierze, z wielkim triumfem powróciwszy na zamek, zanieśli tam wiadomość wesolą, jak się rozumnie znaleźli w rynku i skorzystali z okoliczności, aby czeladź biskupią przetrzepać.

Doniesiono o tem Kochanowi, a ten, korzystający chętnie z każdej okoliczności, która króla z biskupem różnić mogła, pobiegł do Kaźmirza, który z opatem Janem i kilku ze starszyzny swej śledził jeszcze u wieczornego stołu, z wiado-

mością, że biskup się chciał znęcać nad biczownikami, że się na nich czeladź jego porwała, a zamkowi ją rozpędzili i przetrzepali.

Opat był wprawdzie niedawno sam tego zdania, iż ks. Bodzanta przeciwko publicznemu zgorszeniu wystąpić był powinien, ale — trzymał z królem, a król okazał dla pokutników współczucie — zmieniło się więc zdanie opata.

W istocie, na pierwszą wiadomość o tem zajściu Kaźmirz żywo wyraził swe oburzenie i litość nad biczownikami.

— Jeżeli się jacy na zamek schronić przyjdą — zawołał z rozdrażnieniem, — dać im bezpieczny przytułek. Obłąkani są, ale biedni... należy im litość tem większą!

Opat milcząco skłonił głowę.

Ulubieniec króla rad był, że choć rozdrażnienie zastąpiło ten smutek odrętwiający, tępy, którego się najwięcej obawiał. Wolał widzieć pana gniewnym, niż obumarłym.

Za odchodzącym opatem, który na zamku miał nocować, poszedł Kochan na radę..

— Widzieliście go — rzekł Rawa — odprowadziwszy do izb, dlań przeznaczonych. — Litość bierze nań patrzeć! To najnieszczęśliwszy a najlepszy z ludzi. Kraj przez niego zabuduje się, zmuruje, urośnie, pobogacieje, będzie prawa miał, bogactwa, ład, wszystko — ale on, on... szczęścia nie zazna... Co warto życie takie!

Ks. Jan słuchał milczący.

— Czuwać powinniście nad tem — rzekł po namyśle, — aby mu rozrywkami osładzać ten żywot smutny... Widzicie, że i ja czynię, co mogę. Łowy lubi, ale te go na krótko rozruszają, znużony wraca do czarnych myśli.

— Czarnych myśli, — podchwycił Rawa — jedną on tylko ma, i ta mu życie truje... Potomstwa płci męskiej odmawia Bóg, korona przejdzie na Węgry!

Opat ramionami ruszył, jakby chciał powiedzieć: — rady na to nie znam...

— W Krakowie — dodał Kochan — każda zabawa królewska zaraz za zbrodnię jest gloszoną. Podoba mu się gładka twarz, — wypominają mu opuszczoną królowę; zabawi się rozmową z kmieciem — krzyczą, że to król dla chłopów...

Bolał jeszcze dłużej Kochan i zapewniwszy się, że opat dłużej zabawi, odszedł nareszcie.

Jemu nie dosyć było na tem, że królewscy żołnierze rozpędzili czeladź biskupią; wiedział od nich, że dowód-

ców uprowadzono. Nazajutrz usłyszano, że ich do więzienia wtrącono... Wyrwać ich z rąk Bodzanty było dlań zadaniem, od którego nie chciał ustąpić. Wyszedł na miasto.

Tu wszystko jeszcze było wczorajszymi wypadkami rozkołysane, zaniepokojone, a lud, jak zawsze lud, pognębionych i biednych brał w obronę.

O popłochu nocnym opowiadano osobliwe rzeczy. Przerażona napaścią Baśka Matertery, która już była postanowiła iść w świat z biczownikami, zawstydzona, splakana, pokrwawiona, odarta, wróciła do domu i leżała chora.

Fryc, lękający się, aby mu nie uszła, nim resztę jej mienia prawnie opanuje, pilnował ją zamkniętą. Biedna niewiasta w gorączce rwała się ciągle do dyscypliny, śpiewała pieśni pobożne, śmiała się, szalała jeszcze...

Pokutnicy, z różnych stron świata pozbierani, którzy wczoraj tak uroczyście do Krakowa wchodzili, nocą prawie się wszyscy rozproszyli małemi po okolicach kupkami. Bez chorągwi, bez wodza nie wiedzieli już, co począć z sobą.

Duchowieństwo wiejskie, mające przepisy surowe, zamykało im kościoły, — nie dozwalało, jak w początkach, pobożnym wychodzić na powitanie z procesjami, krzyżami i śpiewem.

Dwaj Zadorowie, którzy się wczoraj dobrowolnie złączyli z pochodem biczowników, po rozproszeniu ich potajemnie na zamek powrócili. Lecz oba oni już do świata i życia pierwszego powrócić nie chcieli.

Poszli razem do franciszkanów prosić, aby ich do zakonu przyjęto.

Po wczorajszym szale stygło miasto powoli, lecz w umysłach zostało wspomnienie chwili, która do pokuty była wyzwaniem. Z rana kościoły, które biskup otworzyć pozwoił, były pełniejsze, niż kiedy, — spowiadali się ludzie, oblegali ołtarze, płakali.

Krwawa procesja nie schodziła im z oczów i ta pieśń z jękiem pomieszana, w takt chłosty, którą wczoraj się rynek rozlegał...

Kochan myślał nie o pokucie, lecz o wyrządzeniu ks. Bodzancie przykrości, o wyrwaniu z rąk jego schwyconych biczowników. Mówiono właśnie, iż biskup chciał surowym kary przykładem odjąć innym ochotę do herezji nowych. Nie było niepodobieństwem, by śmiercią nawet ich nie karał. Władza duchowna w przeszłych wiekach po kilkakroć

sama się nią posługiwała przeciw winowajcom, przez sądy jej skazanym...

Nie mogło to jednak stać się bez badania i spełnienia form pewnych, które choć kilka dni czasu wymagały.

Kochan miał swoich na biskupstwie, tak jak ks. Bodzanta na zamku. Śledzono się wzajemnie, donoszono na obie strony, walkę podsycając.

Rozżarzyła się już nieco uśpiona na nowo, a Rawa chciał ją jak najdłużej utrzymywać...

Więzienie biskupie, nieopodal od dworu, było dosyć pilno strzeżone, lecz rzadko mieściło w sobie takich winowajców, na którychby zbytnią zwracano bacność. Budynek drewniany stał jedną ścianą do ulicy; podkopać się doń nie było trudno...

Król z ks. opatem wyruszył na polowanie, Kochan pozostał... Brakło mu teraz ludzi tak zręcznych i tak oddanych, jak byli dwaj Zadorowie, lecz grosza królewskiego nie chciał żałować na to. Miejskich pacholków miał w rękę przez Wierzynka...

Dzień jeden po pierwszym badaniu biczowników zostawiono ich w zamknięciu, nimby sąd się zebrał. Tylko klecha Ślázak wyprosił i wymodlił, obiecując zeznania, iż go z więziennej izby przeprowadzono i pisarzowi sądowemu na ręce oddano.

Czarny pozostał sam jeden.

Trzeciego dnia po rannej mszy biskupiej wszedł do biskupa zafrasowany kapelan.

Spojrzał nań ks. Bodzanta.

— Z biczownikami skończyć raz potrzeba, póki to nie wystygło — odezwał się biskup. — O herezję przekonać ich łatwo, wyrok trzeba ogłosić publicznie...

— Ale spełnić nie będzie na kim — przerwał kapelan, potrząsając głową.

— Jakto? — zakrzyczał Bodzanta — dwaj główni przewodcy w rękach naszych.

— Byli — dokończył kapelan.

Zdumiał się biskup.

— Dzisiejszej nocy herszt się wykopał z więzienia i uszedł — mówił ksiądz, — a kleryk, którego pisarzowi oddano, poszedłszy wody się napić, wpadł jak w wodę...

Rozgniewał się biskup strasznie, powołano tych, co mieli obowiązek strzeżenia więźniów, indagowano. Jawnem było,

że jakaś niewidzialna ręka w pomoc przyszła biczownikom. Wykopana jama nie mogła być dziełem jednej nocy i jednego człowieka. Wyrzucanie ziemi ukazywało, że z zewnątrz się podkopywało.

Byliż to bracia biczownicy, skryci w Krakowie, czy kto inny? Kto klerykowi, zbiegłemu w biały dzień, dał przytułek?

Chciał biskup rzucić klątwę na współników i posiłkujących herezjarchom...

Kochan tymczasem wcale z tego nie czynił tajemnicy, iż zbiegom dwom z biskupiego więzienia dał na zamku przytułek...

Gdy król z łowów powrócił, stawił się przed nim ze śmiałą twarzą i wesołym obliczem. Nie przyznawał się do pomocy danej zbiegłym więźniom, oznajmił tylko wprost Kaźmierzowi, iż proszącym o przytułek dał go na zamku.

Król pochwalił to głowy poruszeniem.

Zaledwie się wieść o tem po mieście rozbiegła, gdy ją usłudni biskupowi przynieśli.

Można sobie wyobrazić, z jakim gniewem przyjął ją ks. Bodzanta. Pocieszał się tem tylko, iż nowy i ciężki zarzut przeciw królowi przesłać będzie mógł papieżowi, jako przeciw opiekunowi sekciarzy.

Pozostawało teraz Kochanowi pozbyć się tak tych gości niepotrzebnych, ażeby znowu w ręce biskupa nie wpadli i bezpiecznie się gdzieś schronić mogli.

Sam on nie widział ich jeszcze. Czarny wódz izbę miał w zamku przy czeladzi, a klecha ślżak, bojąc się z nim siedzieć, gdzie indziej się wyprosił. Wszedłszy, zastał zbiega już odzianego w suknie, które mu na zamku dano, i kaptur na głowie, twarz zakrywający. Podobieństwo, jakie, zdala go widząc, znalazł między nim a jakimś we wspomnieniach swych dawniej znanym człowiekiem, uderzyło go na widok tej postaci, chociaż rysów twarzy widzieć nie mógł.

Nieznamy tak tu, jak wprzód w więzieniu i na badaniu, zupełnie zdał się na los obojętnym...

Kochan zapytał go, co z sobą myśli poczynać. Ruszenie ramion było całą odpowiedzią.

Niecierpliwiło to ulubieńca króla, iż nawet podziękowania za wyświadczoną pomoc nie otrzymał. Siedzący nie wstał na widok jego... Kaptur zwieszony nad czołem zwiększał ciekawość Rawy.

— Pomogliśmy wam do wyswobodzenia się z rąk biskupich, — rzekł — któryby litości nad wami nie miał. Kto wie, życiem moglibyście przyplacić.

— Życiem? — zamruczał pokutnik, a życie co? Umrzeć przecie potrzeba...

Mówił to szyderskim tonem, powoli, głos był jakiś znajomy.

— Kto ty jesteś? — zapytał Kochan, przystępując.

— Człowiek; dlatego, jak ty, umrzeć muszę — rzekł pokutnik obojętnie.

— Lecz, jeśliś pokutować chciał za grzechy — odezwał się Kochan — to ci coś przecie życie warto... Będziesz miał czas pokutę twą odprawić...

Czarny nie odpowiadał. Kochan coraz się bardziej zżył i niecierpliwił.

— Dokądże stąd iść myślisz? — zapytał.

— W świat, szukać takich, jak ja, i iść dalej wołać grzesznych do pokuty.

— Schwycą was...

Ruszył ramionami pokutnik.

Nie mogąc słowa z niego dobyć, zniecierpliwiony tym oporem, Kochan, zamruczawszy coś, stuknął drzwiami i wyszedł.

Wieczorem, gdy Kaźmirz się kładł do snu, Kochan mu począł opowiadać swoje spotkanie i rozmowę z wodzem biczowników. Słuchał jej król z żywym zajęciem.

— Cóż to za człek? — zapytał.

— Ani twarzy okazać, ani mówić nic o sobie nie chce — rzekł Kochan — a przysiągłbym, że go gdzieś widział i głos ten słyszałem...

Zadumany Kaźmirz, już się kładnąc, zawołał nazad odchodzącego faworyta.

— Kochan — ja tego człowieka widzieć muszę...

Rawa z okrzykiem się temu sprzeciwił.

— Miłościwy panie, to widowisko nie dla was — rzekł. — Nie rozweseli ono, a smutku mamy i tak dosyć... Z niego nic nie wydobydziecie!

— Ja? — zapytał król — ja?

— Dziki jest...

— Chcę widzieć dzikiego! — powtórzył Kaźmirz.

Rawa, nie przedłużając rozmowy, wyszedł. Sądził, że fan-

tazji tej król zabędzie, a on tymczasem pokutnika z zamku wyprowadzi. Lecz nazajutrz król po dwakroć mu przypominał z naciskiem, iż człowieka tego widzieć musi.

Sprzeciwiać się mu, gdy w ten sposób wolę swą objawiał, nie śmiał Kochan.

Ku wieczorowi kazał się prowadzić Kaźmirz.

Zapobiegając temu, ażeby dziki człek nie przyjął króla, nie znając, w ten sposób, jak jego, Kochan pobiegł mu oznajmić przodem, iż król, pan miłosierny i dobroczynny, widzieć go chciał. Usłyszawszy to, poruszył się nieco pokutnik, lecz z miejsca nie powstał.

— Poco? — rzekł — król mnie, a jam jemu niepotrzebny; król mój teraz na niebiesiech, jego jednego znam... Ten, który był niegdyś moim, wymordował mi rodzinę, znieważył siostrę, zabił ojca, skazał na wygnanie ród mój...

Wstał, mówiąc to, odsłonił kaptur, i Kochan z przerażeniem poznał w nim tego Amadeja, brata Klary, którego widok dawniej król za wróżbę nieszczęśliwą, za przypomnienie życia chwili najpełniejszej goryczy uważał.

Kochan przeraził się, chciał biec natychmiast, aby Kaźmirzowi nie dopuścić z nim spotkania. W sieni już kroki słychać było. Drżący Kochan zastąpił drogę panu.

— Miłościwy królu mój — wy tego człowieka widzieć nie możecie!

Wyraz twarzy ulubieńca, zamiast ustraszyć Kaźmirza, więcej jego ciekawość obudził. Zmarszczył się.

— Puszczaj mnie — zawołał groźnie, — puszczaj!

Kochan ukląkł przed nim.

— Nie puszczę was! — rzekł — chwytając za suknię.

Wtem król wyrwał się z rąk jego i śmiałym krokiem postąpiwszy ku drzwiom, otworzył je... Czarny człek siedział zakapturzony, oparty na rękę, nie podniósł głowy...

Kaźmirz go po ramieniu uderzył.

— Wstań, mów, kto jesteś? chcę widzieć cię...

Westchnienie wyrwało się z ust siedzącemu, wyprostował się, ręką chudą i czarną odrzucił kaptur i stanął, nie mówiąc nic; — król, poznawszy go, pobladł i na krok się cofnął.

— Tyś jest? — zapytał zdumiony.

Chwila milczenia nastąpiła długa.

— Za jaki grzech pokutujesz? — dodał po chwili.

Amadej wlepił w niego oczy.

— Za jaki? Za twój może, królu! — rzekł szydersko. — Pokutą moją błagam Boga, aby krew naszą toczyć przestał, aby reszta rodu mojego wolną była od pomsty Jego... aby nie wszyscy Amadejowie ćwiartowani i darci końmi, mizerny żywot kończyli... Pokutuję i za was, aby wam, coście ostatnim z rodu naszego przytułek dali, zapłacił przebaczeniem miłosierdzie wasze...

Król słuchał milczący i poruszony...

— Odpokutowałeś już — rzekł głosem złamanym po krótkim przestanku... — wracaj...

— Dokąd? — zapytał z szyderstwem Amadej. — Tam, gdziebym wrócić chciał, na ojcowiznę moją, czekają mnie tylko: wspomnienie zbrodni, srom i groby... a tu? obcy kraj... Chciałem przyrosnąć do niego... nie mogłem... Rwie się dusza gdzie indziej... — zaparto! Tu domu nie mam, nie chcę mieć domu...

— Żadasz czego ode mnie? — odezwał się król cicho.

— Aby mnie puszczono wolno... pójdę — rzekł, — nie potrzebuję nic...

Stał jeszcze chwilę król, zwrócił się powoli i wyszedł milczący. Na progu zachwiał się, odwrócił, spojrzał, i nie mówiąc słowa, wrócił do swej komnaty.

Chociaż ks. Jan był jeszcze na dworze, król dnia tego ani jego, ani nikogo widzieć nie chciał. Zamknął się, zakazując wpuszczać. Kochan tylko posługiwał mu milczący...

Trzeba było dłuższego czasu, nimby smutek i gorycz dnia tego przetrawiły się w nim i osłabły.

Kochan posłał po Suchywilka, bo ten jeden sprawami kraju mógł go tak zająć i opanować umysł jego, że nawet największe strapienie ustępowało temu, co król za obowiązek i zadanie główne życia liczył.

Ks. Suchywilk przybył, niosąc przygotowane prawo o sądach wyższych dla osadników na niemieckim zakonie. Wierzynek przyniósł wiadomości i plany, jak żupy wielkie urządzić na nowo. Dwie te ważne sprawy wyrwały Kaźmierz z odrętwienia i pogrążenia w sobie...

Trzymano go niemi, jak najdłużej je przeciągając. Wierzynek potrzebował ściągać urzędników od soli, ks. Suchywilk naradzić się z tymi, co na prawie magdeburgskim osadzeni byli, a tych mnogo już w kraju się znajdowało.

Nie dawano królowi spoczynku, lecz znużenie było zbawieniem, prowadziło z sobą zapomnienie... nie dawało się zatapiać w przeszłości.

Tymczasem spór z biskupem ciągnął się bez końca i spokoju nie dawał.. król musiał wyprawić posłów do papieża.

Kochanowi zabrakło wreszcie pomysłów do rozrywania ukochanego pańa, który pracy miał zawsze pod dostatkiem i troski, a nad łowy i rzadkie odwiedziny książąt mazowieckich, posłów krzyżackich, którego ze śląskich Piastów, żadnej zręczności pokazania się i zobaczenia świata.

Od czasu nieszczęśliwego pobytu w Pradze, zakończonego pogrzebem, nawet to miasto, ulubione Kaźmirzowi, zrażało go wspomnieniami smutnemi. Zapraszał go cesarz, pamiętny dawnej przyjaźni i pragnący dobre utrzymać stosunki z Polską. Kaźmirz się wahał i ociągał.

Dnia jednego ks. Jan, opat z Tyńca, przybył do Krakowa: było to wiosną w roku następnym. Zawsze wesół i dobrej myśli, tym razem jeszcze był więcej ożywiony i rozmowny.

Powracał on z Pragi, dokąd się był udał w interesie zakonu, lecz korzystał z tego, aby się rozpatrzeć w mieście; dostał na dwór cesarski Karola i z uniesieniem mówił o życiu i świetności, które otaczały monarchę. Praga była niejako chwilowo stolicą cesarstwa, nieustannie napływali tam książęta z Niemiec całych; odbywały się turnieje, dwór zabawiał się, a około cesarza gromadzili ludzie uczeni, artyści, co Europa miała najslawniejszego i najgodniejszego widzenia.

Z wielkim zapałem opisywał opat wszystko i wychwalał cesarza, który, jak wiedział, pamiętnym był dawnych stosunków z Kaźmirzem i mocno go widzieć pragnął.

Ks. Jan nie wahał się też mówić o piękności dam na cesarskim dworze, o wielkiej oglądzie ich obyczajów i przyjemności obcowania z niemi.

— Miłościwy panie — dodał — czas jest, abyście dla Polski nawet zbliżyli się do cesarza. Związek z nim da nową siłę, zagrozi nieprzyjaciółom, w sprawie z krzyżakami będzie pomocnym, u papieża też dać może poparcie; waszej miłości też przyniosą odwiedziny w Pradze nowe życie, potrzebną rozrywkę. Któż wie... może jaki widok o połączeniu w przyszłości, gdy związek z księżną Adelajdą rozerwany zostanie, co niechybnie nastąpić powinno...

Król słuchał z ciekawością natężoną, widać było, iż dusznie pragnął udać się do Pragi, wspomnienia tylko Margarety wstrzymywały go.

Opat nalegał. Cesarz właśnie bawił w czeskiej stolicy, otoczony gośćmi dostojnymi.

Nie chciał król najechać sąsiada niespodzianie i po krótkim wahaniu wyprawił z listami podkomorzego Szczedryka, dodając mu do boku Kochana.

Szczedryk był urzędowym posłem, Rawa poufnym. On miał rozpatrzyć się tam między ludźmi, zbadać humor i usposobienie, przynieść królowi wskazówki, przed podróżą potrzebne.

W ciągu kilku dni wrócili posłani z zaproszeniem życliwym i gorącym od cesarza, a Kochan z większem uniesieniem jeszcze począł mówić o dworze Karola.

Licząc się do najprzedniejszych dworzan Kaźmirza, Kochan razem ze Szczedrykiem miał zaszczyt znajdować się na wieczornej zabawie w pałacu cesarskim. Piękny mężczyzna, wielki strojniś, miłujący ubiory wykwintne, Kochan wystąpił tam tak, aby panu swojemu nie uczynił wstydu i był bardzo dobrze przyjętym.

A że do niewiast miał słabość, wiele prawił o nadzwyczajnych wdziękach tych, które tam oglądał.

— Było ich tam dość i książęcych rodów, i rycerskich, różnej krwi, bo i Włoszek, i Francuzek, i Niemek — powiadał Kochan, — lecz, nie do wiary prawie, jedna mieszczan-ka, Czeszka z Pragi, niedawno owdowiała po Rokiczanie, Krystyna, przed wszystkimi prym trzymała. Piękność jej przystalaby i królowej, ale też królewską ma dumę. Wszyscy tam ku niej mieli tylko zwrócone oczy, a inne się z zazdrości wściekać musiały. Oprócz wdzięków i młodości, bo mało co rok dwudziesty przeszła, ubiór jej i klejnoty, które na sobie miała, jeszcze ją czyniły piękniejszą. Choć mieszc-ka, strojem się równała z żonami komtesów, baronów i książąt, a umiała go dobrać do twarzy swej i do płci, i do po-stawy!

Począł się król z ciekawością wielką dopytywać o tę Kry-styne, a Kochan, który to może przewidywał, dobrze był bardzo uwiadomiony i szczegółów mógł dostarczyć.

Wiedział, że wdowa była bardzo bogatą, że o rękę jej starali się możni, nawet czescy panowie, że wcale nie była przystępną, a więcej może miała dumy, niż piękności, i przepowiadano też jej świetną przyszłość, bo na dworze cesarza głowy pozawracała.

Kochan, jakby naumyślnie ciągle do Krystyny tej powra-cając, króla ciekawość obudził do najwyższego stopnia.

— Miałżebyś w niej być rozmiłowany, że tak ci stoi cią-gle na myśli? — zapytał król żartobliwie Kochana.

— Niech Bóg mnie od tego uchroni — odparł Rawa, — boby się moja miłość wcale na nic nie zdała. Wyżej ona patrzy, i na mnieby ona się obejrzeć nawet nie raczyła. Ani pochlebstwy, ani podarkami ująć jej nie można — doświadczenia ma dość, a jeśli prawda, wyżej ceni dostojęństwa i tytuły, niż wszystko... Ktoś ze dworu cesarskiego pewnie piękną jej rączkę pochwyci...

Z licznym poczem i okazałością królewską, w orszaku znacznym rycerstwa Kaźmirz ostatnich dni marca wyruszył do Pragi w odwiedzinach do cesarza.

R O K I C Z A N A

Kochan Rawa stworzonym był na pańskiego ulubieńca. Dobrze mu z tem zapewne było, gdyż nie życzył sobie więcej zostać niczem i do swojego rzemiosła szczególne miał talenta, a w niem upodobanie.

Żył on w panu swym i więcej pewnie się nim troszczył, niż on sam o siebie.

W czasie bytności swej w Pradze ze Szczedrykiem, zobaczywszy na dworze cesarskim piękną Rokiczanę, której majestatyczna postać wpadła mu w oko, pomyślał zaraz o Kaźmirzu.

— Taka niewiasta mogłaby go uczynić szczęśliwym! — powiedział sobie w duchu.

Zaledwie mu to przebiegło przez głowę, gdy natychmiast posłał na zwiady, kto była, od kogo zależała, jak ją tam sądzono i co mówiono o niej.

Piękna Krystyna miała swoich wielbicieli. Rodzina bogata, do której należała, szczyciła się nią jak perłą, na dworze cesarza należała do najsłynniejszych piękności. Wychowanie, które odebrała, nadzwyczajna piękność, którą się od dziecka odznaczała, otwierały jej nawet cesarskie podwoje. Nie było też młodej niewiasty, któraby w tańcu wydawała się zręczniejszą, grała lepiej na cytrze i śpiewała głosem wdzięczniejszym.

Oprócz języka czeskiego i niemieckiego, mówiła po włosku, rozumiała francuski, a co do obyczajów nic jej zarzucić nie było można. Nie była wcale zalotną, prędzej odstręczającą i do zbytku przez dumę surową.

Znaczny majątek, nieposzlakowane imię, które nosiła, za wczesne uwielbienia tych, co się do niej zbliżali, uczyniły ją tak mało przystępną.

Wydana zamaż zamlodu za starszego znacznie od siebie człowieka, w krótkim z nim pożyciu zachowała się z god-

nością, lecz serce jej, które w małżeństwie nie miało udziału, nie rozbudziło się niem i pozostało zamkniętem, ostyglę.

Po śmierci męża, zostawszy młodziuchną wdową, — piękna, bogata, bezdzietna, po rzuceniu żałoby rozpoczęła życie na nowo, okazując mnogim dworującym około siebie, iż nie będzie łatwą w wyborze.

Slusznego wzrostu, śnieżnej białości, brunatnych włosów i oczu, rysów dziwnie pięknych i dostojnych, miała w istocie w sobie coś królewskiego, pańskiego, ale też i ten poważny chłód i ten majestat obojętny życiu, którym się przystrajają królowie.

Rzadko kiedy uśmiech, jakby wymuszony, otwierał jej koralowe usta, rzadko wejrzenie powiedziało o wzruszeniu wewnętrznem. Natura czy życie nauczyło ją nie okazywać nigdy, co się działo w duszy. Można było sądzić, patrząc na nią wśród ożywionej zabawy, że jej była zupełnie obojętną. Przyjmowała słodycze, nie okazując w nich smaku, przykrych rzeczy nie chcąc słyszeć. Nie mógł się nikt dotąd pochłubić, by go nad innych choć chwilowo przenosiła. Czasem tylko, gdy na dworze cesarza, zwabieni jej pięknnością, dostojniejsi panowie, książęta i hrabiowie zbliżali się do uroczej mieszczałki, rumieniec twarzy jej okraszał, oczy ciemne miały iskierkę życia i pierś prędszym poruszyła oddechem. Pospolitą gawieź ledwie przelotnem wejrzeniem zaszczęcała.

Życie jej od młodości spływało wśród dostatków i bez zajęcia. W domu miała liczne sługi, poddostatkiem strojów i klejnotów, dużo czasu, niczem niezaprzątniętego, trawiła go więc, ubierając się wykwintnie po kilka razy na dzień, brzdąkając na cytrze, śpiewając piosnki, odwiedzając kościoły, słuchając rozmów przybywających gości.

Mówiła zwykle mało, a nie można było zaręczyć, czy ją obchodziły wielce rozmowy, których się zdawała słuchać z roztargnieniem.

Uczty i zgromadzenia, na których mogła ukazać się, triumfować, zabłysnąć, może dla niej najmilszymi były. Przed każdą z nich kilka sług musiało ją stroić, trefić, upiększać i godziny całe upływały, nim nareszcie sama sobą była zaspokojoną.

Więcej ją obchodziło to, by wszędzie była pierwszą i zagasiła inne, niż wszystko w świecie. Opowiadanie o tem, jak ludzie się nią zachwycali, czyniło ją szczęśliwą.

Zdawała się marzyć tylko o świetnej przyszłości. Z rzadkich jej słówek odgadywała rodzina, iż nadzieje jej sięgały tak wysoko, że z trudnością ziścić się mogły. Miała jakby przecucie jakiegoś losu nadzwyczajnego, na który czekała.

W istocie ze dworu cesarskiego wielu znacznych panów żywo się nią zajmowało, lecz żaden z nich nie występował jako pretendent do ręki. Odprawiała też ich, przekonawszy się o tem, z dumą pogardliwą, nie chcąc nawet patrzeć, gdy jako prości wielbiciele powracali.

Niewiasty jej stanu, rodzina, pokrewni niezupełnie byli z niej radzi, lecz uwagi ich i przestrogi wcale na nią nie działały. Słuchała, ramionami poruszając, i zbywała ich uśmiechem dwuznacznym.

Młoda wdowa miała w domu przy sobie daleką ubogą krewną, staruszkę skromną i cichą, bez której nigdy nie wychodziła i nie przyjmowała nikogo.

Była to powolna towarzyszka, coś naksztalt służki, której obowiązkiem było strzec tego skarbu i być świadkiem życia...

Od czasu, jak Rokiczana dosiadała się na dwór cesarski i na wieczornych zabawach występowała, duma jej dawna wzrosła jeszcze.

Wszyscy też byli pewni, że potrafi rozmiłować jednego ze znakomitszych panów i celu swojego dopnie. Lecz nie była zalotną wcale, miłą być nie chciała, nie okazywała nikomu, by się jej podobał, niemal odstręczała chłodem. Ci, co się z początku cisnęli, wkrótce odchodzili od niej zrażeni.

Jeden tylko był, jeden, który, dziewczętką ją pokochawszy, gdy zamaż jeszcze nie wyszła, nie mogąc sięgnąć po jej rękę, bo był tylko stosunkowo mniej możnym, choć dostatnim mieszczaninem... miłował ją dotychczas wiernie.

Krystyna wiedziała o tem dobrze, ale patrzeć nań nie chciała, aby sobie próżnych nie czynił nadziei.

Jędrzyk z Podbrzeża, któremu rodzice zostawili piękny dom na Starej Pradze i ławkę towarów jedwabnych a tkanin, był mało co starszym od Rokiczany, urodziwym młodzieńcem, z głową otwartą, lecz nie miał za sobą żadnej z tych zalet, których ona od przysłego męża wymagała.

Tyle tylko, że ją kochał mocno i stale. Nie chciał się nawet żenić, nie mogąc wyrzec nadziei, że może mu jakim cudem szczęście zaświeci.

Patrzył na nią zdala, czasem zbliżyć się starał, — nigdy nawet dobrego słowa nie zyskał; cierpiał to, nie skarżąc się i milczał.

Lecz z oczów jej nie tracił. Wiedział najlepiej o każdym jej kroku, o każdym żądaniu i śpieszył zawsze ze spełnieniem go, nie myśląc nawet o podziękowaniu.

Miłość jego była niewymagająca, i gdy swą królowę zobaczył idącą zdala, gdy przeszła koło niego, a spojrzała choć dumnie, Jędrzyk miał wesela i szczęścia na długo!

Jej o nim ani mówić nie było można, bo ją oburzało, że jakiś kupczyk śmiał kochać się w Krystynie, wdowie po Rokiczanie, i na nią oczy podnosić.

Wszystkie te opowiadania o piękności, która go tak zachwyciła, Kochan łatwo pozbierał, mnogie mając w Pradze stosunki; właśnie taka kobieta zdawała mu się zrodzona na to, by zastąpiła królowę.

Miłości dotychczasowe Kaźmirza, o których tyle mówiono i na oczy mu je wyrzucano, nie mogły się nazwać tem imieniem.

Największa piękność, najświeższa młodość nie zdołała Kaźmirza stale przywiązać. Zrażał się nieokrzesaniem, prostotą obyczajów, brakiem myśli i wprędce te kilkodniowe kochanki porzucał.

Z rozmów z królem Kochan miarkował, że Kaźmirz marzył o niewieście jak Margareta i więcej pragnął ducha, niż krasy.

Rokiczana temu ideałowi najlepiej odpowiadała; nawet jej zimna powaga i obejście się dumne mogło być dla króla pociągającym.

— Tak! ta nam zastąpi królowę!! — powtarzał Kochan, przybывая do Pragi.

Przyjęcie króla polskiego równie było świetne i uprzejme, jak za ślepego króla Jana...

Cesarz niemiecki, który braterstwo Kaźmirzowi przysiągł, witał go jak brata.

Na cały czas kilkodniowego pobytu pierwszych dni kwietniowych przygotowane były zabawy, turnieje, łowy, uczty, tak, że gość nie miał prawie chwili spoczynku.

Pierwszego zaraz wieczora Kochan, będący w orszaku króla, postarał się zwrócić jego uwagę na piękną Rokiczanę. Kaźmirz już ją był wyróżnił, nie wiedząc jeszcze imienia, takim blaskiem promieniła jej piękność dnia tego. Nie miał jednak zręczności zbliżyć się, ani przemówić do niej.

Oczy jej zwracały się ciekawie na polskiego króla, który powierzchownością, pełną godności i dobroci, mógł się podobać, choćby nie był monarchą panującym.

Nie pierwszej młodości, Kaźmirz zachował w postaci, w ruchach, na twarzy ożywionej, w wejrzeniu bystrem i rozumnem nieprzeżyty zasób życia. Był młodym jeszcze duszą i ciału zestarzeć się nie dawał.

Innych też niewiast oczy zwracały się nań z przyjemnością, z zajęciem, a bogaty bardzo strój, klejnoty, którymi był okryty, smakowny ubiór piękniejszym go jeszcze czyniły dnia tego.

Przyczyniła się do rozjaśnienia twarzy i radość, którą nader gościnne obudziło przyjęcie.

Bardzo prostego a odwiecznie znanego chwycił się środka Kochan, usiłując zbliżyć do siebie tę parę, którą chciał skojarzyć...

Nazajutrz rano postarał się o to, aby go do jej domu wprowadzono... Jeden z komorników cesarskich, mając wstęp i znajomość z całą Rokiczanów rodziną, podjął się go wziąć z sobą.

Piękna Krystyna, zrazu dworzanina królewskiego posadzając o jakieś zuchwale marzenia, dosyć zimno przyjęła.

Wprędce jednak rozbroił ją, śpiesząc z tem, iż pan jego od wczorajszego wieczora nie miał spokoju, wciąż myśląc o niej, a wielce w niej będąc rozmiłowany.

Cicho wyszeptana wiadomość ta wywołała rumieniec i widocznie dumę polechtała. Po chwili jednak odparła, sznurując usteczka:

— Wszakże król polski ma żonę?

Tego pytania nie spodziewał się wcale Kochan i nie był na odpowiedź przygotowany.

— Król, pan mój — rzekł — od lat wielu ani żyje z żoną, ani jej widzi... Małżeństwo to zapewne przez papieża rozwiązane zostanie...

Z tą swobodą, jaką ówczesny obyczaj usprawiedliwiał, Krystyna po namyśle rzekła:

— Ale mówią o panu waszym, że miłośnic ma wiele i płochym jest.

— Kłamstwo to zmyślili księża, którzy go do pożycia z kobietą brzydką i dla niego nieznośną zmusić chcieli — odezwał się Kochan. — Kaźmirz w lada pierwszej niewieście się nie rozmiłuje... Lepszego pana i lepszego serca nad jego niema na świecie — dodał Kochan. — Żał mi go, że tu przyjechał, aby spokój utracił i potem tęsknił tylko za wami.

Uśmiechnęła się Krystyna, nic nie odpowiadając. Pochlebiali jej to wielce.

— Wiem — począł dalej Kochan, — jakby się pragnął zbliżyć do was... Nie pozwolicieź mu, aby dom wasz odwiedził kiedy?

Jakkolwiek może w sercu rada tej prośbie, wdowa nie mogła odrazu się do niej przychylić. Zarumieniła się mocno, potrząsała głową i odparła:

— Nadto by ludzie o tem mówili, bo, choć nasz dom bardzo dostojnych nieraz przyjmował gości, królowie w nim nie bywali... a ja ci czci mojej strzec powinienam...

Zaprzeczył Kochan żywo, by odwiedziny króla mogły szkodzić sławie jej, lecz Krystyna na ten raz słuchać już więcej nie chciała. Potrząsała głową, nie mogła zezwolić na to.

Kochan nie nalegał.

Krótko zabawiwszy i dla siebie wyrobiwszy zezwolenie, ażeby mógł nawiedzić wdowę, oddalił się. Powrócił co najspieszniej do króla na zamek i, znalazłszy chwilę sposobną, począł mu opowiadać, jako wszystkich to uderzyło, że piękna Krystyna ciągle za nim oczami gonila, a z własnych jej ust słyszał, jak wychwalała postać i twarz króla polskiego...

Tak z obu stron przygotowywawszy rolę, Kochan pewien był już, iż lada zbliżenie stosunki ściślejsze zawiąże i, zacierając ręce, powtarzał swoje:

— Ta nam zastąpi królowę...

Przez wszystkie dni pobytu Kaźmirza w Pradze, po turniejach i rozdaniu zwycięzcom nagród przez panie, następował zwykły taniec i zabawa wesola.

Kochan, który miał mnogich przyjaciół na dworze, podszepnął urzędnikom cesarskim, którzy przy tańcach i rozsadzaniu niewiast porządek utrzymywali, aby Krystynę Rokiczanę starali się zbliżyć do króla, nie okazując, iż to czynili z umysłu.

Z uśmiechem przyjęto wniosek, gdyż wszyscy starali się być dla dostojnego gościa, jak sam cesarz, uprzejmi. Nie dziwilo nikogo, iż wdowa podobać mu się mogła.

I złożyło się zaraz tak, iż po turnieju, wchodząc do sali, Kaźmirz się znalazł wpobliżu Krystyny.

Oczy jej śmiało go zmierzyły... a choć była panią siebie, twarz, po której przebiegła żywiej krew, lekkie ust drgnięcie zdradziło wewnętrzne uczucie. Była to gra miłości własnej, polechtanej przyjemnie, lecz trudno ją od innego wrażenia rozróżnić było.

Z łatwością przyszło Kaźmirzowi przybliżyć się do pięk-

nej mieszczki, która dnia tego z nadzwyczajnym smakiem i bogato była strojną. Pas jej szczególnie, sadzony drogiemi kamieniami, strumienie perel na szyi, czołko świejące rubinami zwracały zazdrosne kobiet oczy.

Król, znalazłszy się tak blisko, iż rozmowę mógł rozpocząć, wprost zagaił ją wielkiem uwielbieniem nadzwyczajnej piękności.

— Miłość wasza — odpowiedziała śmiało Rokiczana — musiałeś wiele w życiu widzieć pięknych, a nie powinienes sądzić, że przesadzoną pochwałą potrafisz z ubogiej mieszczki praskiej zażartować.

— Wziąłbym was za królowę! — odparł Kaźmirz, — gdybym już wczoraj, tą pięknością uderzony, nie spytał o nazwisko.

Było to potwierdzeniem tego, co Kochan mówił jej rano. Rokiczana się uśmiechnęła.

— Wielka to cześć dla mnie, — odpowiedziała, spuszczając oczy — lecz łatwoby się też ona w smutek mogła zamienić, gdyby nie to, że prędko przeminie pamięć...

Nie dał król dokończyć.

— Piękna Krystyna — rzekł — pewną być może, iż póki żyw, o niej nie zapomnę.

— Wasza miłość znać od francuskich trubadurów uczyłeś się słów pięknych, któremi biedne zwodzą niewiasty, lecz my też wiemy, co one wążą — odezwiała się Krystyna.

Kaźmirz, wpatrzywszy się w nią bardzo śmiało, a lubując się wielkiej piękności, nie znalazł na to wprędce odpowiedzi. Wzrok ten badawczy i przeszywający, który zdawał się przebijać zasłony, poczuła dumna Krystyna, wyprostowała się, spojrzała zgóry i odezwiała cicho:

— Królewskie względy dla nas, niewiast niezrodzonych do tronu, często wielkiem bywają nieszczęściem...

Ruch, który zdawał się oznajmywać, że odejść chciała, zmusił króla do śpiesznej odpowiedzi.

— Przecież i królom wolno jest i piękność w niewieście uczcić... i czuć dla niej miłość, jak innym ludziom.

— A! miłość — z szyderskim uśmieszkiem przerwała Krystyna — nie przychodzi tak prędko... królowie nawykli, aby im służyło wszystko, a uczciwa niewiasta o takiej miłości słuchać nie powinna.

— Nie gniewajcie się, piękna Krystyno — zawołał król, śmiejąc się. — Obraziłbym was nie chciał, raczej zjednać sobie...

— Nie czuję się godną tego — odparła wdowa. — Może być, żeś wasza królewska mość spotykał w życiu takie, które się dały wziąć na jeden uśmiech i słowo... ja do nich nie należę...

— Nie żądam nic więcej nad trochę życzliwości — rzekł Kaźmirz — i, choć piękna Krystyna bardzo jest srogą, nie wyrzekam się nadziei, że bliżej poznawszy mnie, łaskawszą będzie.

Rozmowa króla z Rokieczaną powszechną już zwróciła była uwagę: pokazywano ich sobie palcami. Wdowa była i radą i dumną, ale musiała okazać przed ludźmi, jakby drożyła się z sobą i natychmiast wymknęła, szukając niewieściego towarzystwa. Odchodząc jednak, wbrew temu, co usta rzekły, spojrzała na króla wielkimi oczyma tak wyraziście, uśmiechnęła się tak uprzejmie, iż serce mu żywiej uderzyło...

Zabawy na dworze przeciągnęły się dopóźna. Nazajutrz jeszcze Kaźmirz miał w Pradze pozostać, lecz ważne sprawy powoływały go nazad do Krakowa.

Rozpoczęte miłości, którym Rawa tak dzielnie dopomagał, nie obiecywały nic więcej nad miłe po sobie wspomnienie. Z powziętych wiadomości Kochan się mógł przekonać, że piękna Czeszka żadnymi obietnicami ani ofiarami ująć się nie da. Król, dla pozyskania jej, dłużej zabawić nie mógł, do Krakowa ją ściągnąć nie było podobieństwa. Ulubieniec łamał głowę nad tem, jak ją pozyskać dla pana.

Ostatniego dnia pobytu były łowy w Zwierzyńcu, potem uczta, która się zakończyła tańcami; Rokieczana nie pokazała się dnia tego. Kaźmirz powrócił do swojego mieszkania wcześniej, bardzo niespokojny i zajęty tą pięknością, tak do pozyskania trudną.

— Nie było jej, — odezwał się do Kochana niespokojny — nie mogę odjechać bez jakiejś nadziei... Co począć?

— Waszej miłości teraz iść do niej niepodobna — odparł Kochan. — Głośnoby o tem mówiono, a toby u niej więcej zaszkodziło, niż pomogło. Dba wielce o sławę swoją.

— Idź ty w poselstwie ode mnie — zawołał Kaźmirz, zdejmując pierścień z palca z kosztownym szafirem. — Zanieś jej ten mały podarek, jako pamiątkę ode mnie, i powiedz, że ją do Krakowa zapraszam, że ją przyjmę, jak królowę.

Rawa ramionami ruszył.

— Z tego, co wiem, wnoszę, że ją chyba istotnie królową

czyniąc, dostać można — odparł ulubieniec. — Pójdę jednak szczęścia próbować.

— Największe ofiary dla niej nie będą mnie kosztowały — rzekł rozmiłowany król. — Wyrozumiej ją, mów otwarcie i powracaj mi z dobrą wieścią.

Kochan poszedł na miasto, nie biorąc nikogo z sobą, gdyż chciał się sam na sam z piękną wdową rozmówić.

Rokiczana dnia tego miała zaproszenie na zamek na dwór cesarski tak, jak dni innych, lecz przebiegła i po kobiecemu obrachowując, postanowiła się uczynić chorą trochę i okazać tem, że pięknemi słowy króla ująć się nie daje.

Była pewną, że Kaźmirz nie wyjedzie, nie zgłosiwszy się do niej, nie dając życia znaku. Czekala. Przez cały ten dzień siedziała wystrojona, chodziła do okna, spodziewała się jakiegoś poselstwa i dotrwała tak w próżnem oczekiwaniu do wieczora.

Nie było u niej nikogo, oprócz starej towarzyszki, lecz światła stały zapalone w komnatach i wieczorne nawet przyjęcie, złożone z wina, ciasta i słodczy, stało na stole w pięknych naczyniach. Tymczasem godzina coraz późniejsza mało już dawała nadziei odwiedzin, gdy Kochan zjawił się u drzwi, dopraszając posłuchania.

Uczyniono mu dla formy trochę trudności, ale go wpuszczono do wdowy.

Krystyna przyjęła go chłodno, z powagą wielką i zdziwieniem. Rawa począł od tego, iż pan jego, nie widząc jej na zamku, troszczył się o jej zdrowie i przysłał umyślnie się o nie dowiedzieć.

Wdowa odpowiedziała, że istotnie czuła się zmęczoną i niebardzo zdrową i dlatego została w domu.

— Tem bardziej to króla pana mojego obeszło, — rzekł Kochan — iż zmuszeni jesteśmy powracać do Krakowa i smutnym bardzo odjedzie, nie widząc jej, gdyż srodze jest rozmiłowany.

Rokiczana się uśmiechnęła.

— O, mężczyźni! — zawołała — a szczególnie królowie łatwo się kochają, a zapominają łatwiej jeszcze. Szkoda, że pan wasz innej sobie gładkiej twarzyczki na tych dni kilka nie znalazł, któraby się łatwiej dała ująć. Nie jestem niedoświadczoną dziewczką! — Wiercie mi, nie mam ochoty być igraszką na dni kilka choćby największego monarchy!

Rawa tym obrotem rozmowy zmieszał się trochę.

— Pan też mój — rzekł po namyśle — nie chwilową po-

wziął dla niej miłość, ale taką, która trwać będzie pewnie, byle znalazła wzajemność. Najlepszym dowodem tego, iż wysłał mnie tu umyślnie do niej, sam nie mogąc przyjsć, aby się na jej gniew nie naraził, i prosi, aby mu dobrą pamięć zachowała, gdy na ten mały podarek wejrzysz czasami.

Podał jej pierścień piękny z szafirem, którego cenę Rokiczana łatwo mogła odgadnąć. Zarumieniła się, zmieszała i ręką naprzód odsunęła pierścień, — okazując się jakby obrażoną.

Kochan nalegał, przedstawiając, że królom przecie przystało i było we zwyczaju podarki dawać tym, którzy się im podobać umieli.

— A nie chce go piękna Krystyna wziąć, tak — rzekł — bez wywzajemnienia, to proszę wzamian o lada jaki pierścionek, lub obrączkę, a najprostszy z rąk jej królowi będzie najmiłszym.

Wdowa wahała się, spoglądała na szafir, na podłogę, na ręce swe... i, nagle podnosząc główkę, śmiało patrząc na Kochana, poczęła:

— Miły pośle królewski, który umiesz tak dobrze sprawy pana swojego popierać, jakbyś nie po raz pierwszy miał z niemi do czynienia, mówmy lepiej otwarcie...

— Tak, bądź szczerą, piękna Krystyno, a powiedz, pan mój nie jest ci wstrętliwym? — zawołał Kochan.

— Choćby mi najmiłszym był — odpowiedziała wdowa żywo — i choćby jeszcze jedno miał tak wielkie królestwo, jak to, które posiada... cóż z takiej miłości? Ja na miłośnicę nie jestem stworzona i płocho nie pójdę ze spokojnego mojego domu na jakiś dwór, z którego bym ze sromem powróciła. Wy to sobie powiedzcie zawczasu. Podarki, namowy, podejścia, obietnice... wszystko to się na nic nie przyda. Moja cześć nad wszelką miłość więcej warta; tej nie oddam za nic. Zatem próżne zabiegi wasze!...

Kochan, zbity tak stanowczo, nie uważał się jednak za zwyciężonego. Naprzód wiedział dobrze, iż kobiety zwykły drogo się cenić, aby więcej były cenione, gdy wkońcu ulegną... niebardzo wierzył tej tak rzadkiej odprawie, potem zyskać chciał na czasie, bo czas zmienia najstalsze postanowienia.

— Piękna Krystyno — rzekł ze śmiechem, wiele znaczącym. — Tam, gdzie jest wielka miłość, jak w sercu pana mojego dla was, znajdują się i środki do zaspokojenia jej... któż wie? Małżeństwo nie jest niepodobieństwem, korona mo-

głaby spocząć na pięknem jej czole... To coś warto przecie, ale trzeba za to cokolwiek życzliwości okazać, nie odtrącać tak, nie zrażać.

Krystyna słuchała z uwagą.

— Wy mówicie, — przerwała — jak szatan do Ewy w raju. Tamten jej obiecywał świadomość wszystkiego; wy mnie, jak dziecku cacko, ukazujecie koronę zdaleka, ale — ja, ja nie wierzę... nie, nie!

To mówiąc, machinalnie jakoś wzięła ze stolika leżący pierścień z szafirem, włożyła go na palec, zwróciła rękę przeciw światłu i uśmiechała się pięknej wodzie kamyka. Był to znak dobry!

— Macie słuszność, — dodała — za podarek należy się królowi wywdziękzyć podarkiem także, ale ja, biedna wdowa, nie znajdę nic godnego tak wielkiego pana...

Zwolna ściągnęła rubin z ręki, niewielki, lecz przedziwnego blasku, z zalotnością, niby dla pożegnania z nim, do ust go przyłożyła i rzuciła na stół przed Kochana.

Ten pochwycił go łapczywie.

— Nabrał on wysokiej ceny, gdy usta wasze na nim spoczęły... — odezwał się, chowając go starannie. — Powiem królowi, żeście mu z nim całus przesłali.

— Nie powinniście mówić tego, — śmiejąc się zalotnie, rzekła Rokiczana — było to pożegnanie z miłym mi pierścieniem... Nic więcej!

Rawa szyderską zrobił minkę.

— Wszystko jedno! — zawołał — wy sobie mówcie pożegnanie pierścienia, ja powiem całus dla króla!! Niech się biedny choć tem pocieszy. A jutro, piękna Krystyno, gdy z Pragi wyciągać będziemy ranną godziną, pan mój pod oknem waszem przejeżdżać będzie... wyjrzyjcie ku niemu, skłońcie mu głowę — proszę!

Na to nie odpowiedziała nic wdowa, zajęta nalewaniem wina słodzonego i zaprawnego dla Kochana i przysuwaniem mu przygotowanych słodczy.

Jakgdyby, wypowiedziawszy na początku, co jej ciążyło najwięcej i co za konieczne uważała, teraz swobodniejszą się czuła, twarz nawet przybrała weselszą i z większą uprzejmością przyjmowała posła.

Ten, sprawiwszy, co mu zlecono, rozpoczął opowiadanie o panu swym, mocy jego, potędze i bogactwach.

— Mogą sobie ludzie po świecie pleść o nas, co chcą, — odezwał się do niej — że kraj nasz jedną jest puszcza dziką,

że miast nie mamy i grodów kamiennych, że żyjemy, w skórach chodząc zwierzęcych, a żywimy się kaszą i mąką... lecz gdybyście skarb królewski zobaczyli, stopy srebra i złota, całe korce pereł, opon szkarłatnych seciny, futer kosztownych tysiącami, naczyń pięknych choć na przyjęcie gromad całych, dopierobyście wiedzieli, co jest ów król polski!... A na dworze też naszym, równie jak siostry jego, królowej Elżbiety, nie zbywa ani na rycerstwie pięknem, ani na śpiewakach, muzykach i ludziach mądrych, bo w tych się oni Kochają. I życie u nas nie tak smutnie płynie, jak się zdaleka zdawać może.

— Wszystkiemu temu wierzę, — odezwała się Rokiczana — ale cóż mi po tem? ja tego widzieć nie będę.

— Dlaczego? — przerwał Kochan — ja nie tracę nadziei, że was na dworze naszym widzieć będziemy.

Spojrzeli na siebie. Rokiczana spoważniała znowu.

— Na toby potrzeba, — rzekła — żeby król był wolnym, ja małżonką jego została, — inaczej nie zobaczycie mnie tam! Kochan zamilkł i odwrócił rozmowę znowu.

— Na świecie dzieją się rzeczy wielkie i niespodziewane przez miłość, — dodał — ale na to potrzeba, aby ona była wzajemną.

Wdowa znaczącem odpowiedziała wejrzeniem.

— Myślicie być znowu kiedy w Pradze z panem waszym? — zapytała.

— Bywaliśmy tu często i, da Bóg, nie jeden raz jeszcze zjedziemy; piękne oczy wasze nas tu przyprowadzą pewnie!

Zatem kielich ze szkła weneckiego, który w rękę trzymał, wypiwszy za zdrowie wdowy, rękawiczki założone za pas wziął Kochan i zabierał się do odwrotu.

— Dajcie mi jeszcze — rzekł naostatek — dobre jakieś słowo dla pana mojego, lżej nam będzie jechać precz...

— Wszystkoście już słyszeli, com do powiedzenia miała — odezwała się, nie wstając, Rokiczana. — Powiedzcie mi wdzięczność moją i to, że lepiej, aby zapomniał o mnie, niżby miał o tem marzyć; iż czci się mojej dla niego wyrzeknę. Droga do mnie przez kościół tylko!

Mówiła tak, lecz wyraz twarzy nie był ani odstraszący, ani surowy i kazał się, więcej spodziewać, niż obiecywała.

Rawa skłonił się z poszanowaniem, choć na ustach miał szyderski nieco wyraz, zapewnił wdowę, że wiernie poselstwo jej sprawi — i powoli wysunął się z domu, na zamek powracając.

Nie zdawało mu się jednak koniecznem królowi zdać zbyt szczegółową sprawę z rozmowy; przyniósł mu pierścień, zapewnił, że Krystyna dlań bardzo jest życzliwą, zaprasza go zpowrotem do Pragi i kazała mieć najlepszą nadzieję.

— Droży się piękna wdowa, — dokończył — mówi o ślubie i kościele, wysoko się ze czcią nosi, ale to są znane piosenki, które one wszystkie nucą... Żal jej będzie króla stracić, bo ich na świecie równych naszemu niewielu i, gdy się jej piękny zamek, dwór i skarbczyk przygotowuje, pójdzie do złoconego gniazodka ptaszyna...

Tak sądził Kochan, ale w przewidywaniach swych się mylił. Rokiczanów rodzina liczyła się do najbogatszych i najznaczniejszych w Pradze. Zmarły w roku 1346 mąż Krystyny, Miklasz, sam kosztem swym założył był kościół św. Ducha na Starem Mieście, niejeden raz pieniędzmi przychodził w pomoc królowi Janowi, cesarzowi i miastu. Wbijało to w dumę i wdowę, a rodzina liczna stała też na straży jej czci.

Głośno mówiono w Pradze o rozmiłowaniu się króla polskiego w Krystynie, ale poruszano ramionami na to, utrzymując, że z miłości tej nic być nie może. Na kochankę Krystyna była zbyt dumną i o dobrą swą sławę troskliwą, a żonaty król za małżonkę jej wziąć nie mógł.

Jędrzyk, który z zazdrością kochanka szpiegował, co się działo około dworu wdowy, wiedział, że wkrótce po bytności króla jeździli jacyś posłańcy, przynoszono podarunki, lecz ramionami ruszał na to i śmiał się. Nadto znał dobrze Krystynę, aby się obawiał o nią.

Król, do Krakowa powróciwszy, Kochanowi nie dawał spoczynku... zajęty był piękną wdową, jakby mu młodsze wróciły lata. Nietyle może wdzięki jej, jak powaga i oglada miały urok dla niego. Skazany na miłostki, które w nim wstręt i odrazę budziły, pragnął jakiegoś stałego przywiązania dla serca, domowego szczęścia spokojnego, którego nie miał.

Rawa, widząc ten zapal i niecierpliwość Kaźmirza, lał sobie głowę, czemuby wdowę mógł skłonić do powolności.

Dwa razy potajemnie jeździł do Pragi i wrócił z jedną zawsze odpowiedzią, że droga do niej przez kościół prowadzi.

Adelajda heska stała na zawadzie, bo choć zerwanie tego związku obiecywano królowi, nikt się go wyrobić nie podejmował u papieża.

Pomimo wszystkich spraw ważnych, które w tych czasach zajmowały króla, miłość owa nie wychodziła mu z myśli.

Doprowadziwszy do skutku związanie holdem Mazowsza z Koroną, ustanowiwszy ów upragniony trybunał wyższy dla sądów niemieckich w Krakowie, Kaźmirz, nękany przez siostrę i Ludwika, siostrzeńca swego, o przekazanie mu korony, o co już umowa stanęła ponowiona, tem więcej gryzł się brakiem potomka płci męskiej.

Małżeństwo z Adelajdą odejmowało mu nadzieję wszelką.

W jednej z tych chwil rozdrażnienia i niecierpliwości, jakie to położenie często wywoływało, przybywający z Tyńca ks. opat Jan zastał go tak smutnym i przybitym, iż własną gotowość i gadatliwość musiał podwoić, aby króla wywieść ze stanu tego.

Król przed nim nie ukrywał przyczyn goryczy.

— Przekłeta wróżka miała słuszość, — mówił doń — wszystko mi w życiu się powiedzie... dla kraju uczynić zdołam, co zamierzałem, sobie szczęścia znaleźć nie potrafię! Nie posądzam nieboszczyka króla Jana i cesarza Karola, aby ze złą wolą i świadomością skutków narzucili mi te kajdany, lecz gdyby nie to nieszczęsne ożenienie moje, ten kamień, uwiązany u szyi, miałbym synów, Ludwikby mi nie wyrwał korony, nie byłbym ostatnim!...

Opat, jakeśmy mówili, był jednym z ludzi najlekkomyślniejszych; gdy szło o wygodne tłumaczenie niewygodnych praw kościelnych, miał na wszystko łatwą radę.

— Lecz ja waszej miłości mówiłem i powtarzam, — odezwał się — że to małżeństwo bez pożytku z żoną, blisko lat piętnaście trwające, nie ma żadnej wagi, nawet wedle praw kanonicznych. Wasza królewska mość jesteś wolnym, ale potrzeba mieć odwagę w sobie powiedzieć i działać do tego stosownie.

Król zdumiony nań patrzył.

— Tak jest, tak jest, — powtórzył opat — małżeństwem tego nazwać nie można...

— Któryżby z duchownych ślub mi się dać ważył, nim to papież rozwiąże? — odezwał się król — a czekać na rozwiązanie jakiegokolwiek sprawy w Awinjonie... to i życie upłynie. Nikt mi ślubu nie da!

Opat skłonił się królowi i z uśmiechem a fantazją rzekł:

— Ja dam, miłościwy panie! Wprawdzie do małżeństwa królewskiego co najmniej potrzebaby biskupa, ale z ks. Boddzantą dojść sprawy trudno, a ja, choć biskupem nie jestem, infule noszę i gdy się przystroję, wcale poważnie wyglądam.

Każmirzowi wydawało się to tak nieprawdopodobnem, iż w śmiech obrócił obietnicę.

Ks. opat powtórzył ją.

— Znajdź tylko miłość wasza oblubienicę, wedle serca swojego, ja nie cofam, com rzekł. Ślub dam.

Król zarumieniał się i rękę doń wyciągnął.

— Czekajcie mało, księże opacie, — rzekł — któż wie? wezmę was może za słowo...

Ks. Jan ochoczo i natarczywie znowu się ze swą posługą ofiarował.

Tegoż wieczora Kochana król od warcab z Dobkiem ode-rwał, pozywając go do siebie.

— Słuchaj, — odezwał się do wchodzącego, zbliżając się z niecierpliwością, jaką zwykł był okazywać, gdy myśl wziął gorąco do serca — słuchaj, potrzeba mi — tu się zatrzymał i namyślał trochę.

— Potrzeba mi do Pragi zbiec, lecz nie chcę, aby ktokol-wiek bądź wiedział o tem, iż tam będę.

Dla Rawy nie było w tem nic nad miarę trudnego.

— Pojedziemy wrzekomo na łowy — odezwał się, — któż nas śledzić będzie? W podróży sposobów jest dość, by się nie dać poznać.

— A w Pradze? — rzucił król i sam zaraz dodał: — Przodem kogoś ślać trzeba do Pragi.

Kochan celu podróży dorozumiał się łatwo.

— Jeśli do Rokiczany w poselstwie jechać, jam gotów! — rzekł.

— Na nic się nie zdały posły i poselstwa, — odezwał się król — ja się sam z nią rozmówić muszę. Chwila przyszła stanowcza... ks. Jan ofiaruje się ślub mi dać. Na wszystko się ważę, byłem miał nadzieję, że krwi mej Ludwik korony nie wydrze! Rokiczana mieszcza jest, ale królową być godna.

Rawa bynajmniej się nie sprzeciwiał temu. Dobek Bończa, przewany Fredrą, mógł dla bezpieczeństwa towarzyszyć Kaźmirzowi, bo na jego przytomność, odwagę i olbrzymią siłę śmiało rachować było można; Rawa sam chciał przodem do Pragi, aby gospodę pewną przygotować i wdowę uprzedzić.

W krótkich słowach wszystko tak postanowionem zostało, jak król życzył, a Kochan doradzał. Dniem jednym miał on uprzedzić Kaźmirza, który z małym pocztem nazajutrz po nim puścić się chciał do Pragi.

O świcie w kilka godzin zakapturzony Kochan wyruszył najkrótszą drogą, przesmykami i manowcami dobrze znajomymi do czeskiej stolicy.

Gospodę na Starem Mieście miał już u mieszczanina Wujka, u którego parę razy stawał; szło tylko o obmyślenie jej dla króla i rozmowę z Rokiczaną.

Obrachował i tak się złożyło, aby o mroku, a przed zamknięciem bram wjechać do miasta i do Wujka prosto pociągnąć. Pewien był tu dobrego przyjęcia, bo się szczerze opłacał, a Wujkowa córka, piękna Zonia, zalotne, wesołe dziewczę, którą sobie pozyskał, bardzo mu była rada.

Wiedzieli lub domyślali się wszyscy, z czem tak często przybywał i nie czynili z tego tajemnicy.

Zoni też, szczebioczącej chętnie, trudno było cokolwiek utrzymać w sobie; wypaplałaby była własny grzech, tak ją język świerzbiał. Sama do zbytku zalotna, rada była drugich służyć zalotom, bo się jej zdawało, że to ją uniewinniało.

Właśnie był zajechał Kochan i w danej mu izbie się przebiegał, gdy stojąca w progu Zonia postrzegła przechodzącego Jędrzyka. Znała go dobrze i o jego miłości dla Rokiczany wiedziała. Litowała się nad nim i podżartowywała sobie z niego. Szedł z głową spuszczoną mimo jej, gdy swawolne dziewczę nachyliło mu się do ucha i zawołało:

— Powieś się, Jędrzyk! powieś. Taki oni ci Krystynę wezmą. Znowu od króla polskiego przyjechał ten, co jej klejnoty wozi; żeby kamienną była, musi wreszcie zmieknąć... Ha! szczęśliwa niewiasta!

Stał Jędrzyk i namarszczył się mocno; tego mu właśnie potrzeba było, bo już zdawna na Kochana czatował. Miał zamiar ostro natrzeć nań i spróbować odpędzić zabiegających około wdowy. Miał na sercu jej cześć i zazdrość go piekła.

Zonia, splatawszy figla tego, pierzchnęła, śmiejąc się, na górę. Jędrzyk się przyczaił w rogu kamienicy.

— Nic nie wskóraj, — mówił w duchu — niechże darmo nie włóczą się i sławy jej dobrej nie ujmują. Raz temu koniec musi być!

Zmierzchało już, gdy przebrany Kochan wybiegł od Wuj-

ka, śpiesząc do wdowy: lecz zaledwie w ulicy się znalazł, Jędrzyk mu zastąpił drogę.

Sądząc, że go omyłką za innego wzięto, Rawa zamruczał i usiłował wyminąć natręta, lecz Jędrzyk go za płaszcz przytrzymał.

— Nie bójcie się, rozbójnikiem nie jestem, — rzekł — wiem, kto wy i z czem przybywacie, rozmówić się musimy!

— Ale ja nie wiem, kto wy jesteście — odparł Rawa niecierpliwie, chwytając za mieczyk — i nie mam czasu, ani ochoty mówić z wami.

— Jestem Jędrzyk, kupiec tutejszy, znają mnie wszyscy, — zawołał Czech, nie dając mu ujść — musicie mówić ze mną.

Rawa się żymał.

— Musu nie znam! — zakrzyczał.

W tej chwili Jędrzyk mu coś na ucho szepnął. Kochan złagodniał i o kilka domów dalej weszli do mieszkania Jędrzyka.

Zapaliwszy światło, kupiec kazał podać wieczorny napój, chcąc prawu gościnnemu zadość uczynić, siadł na ławie naprzeciw Rawy i począł:

— Przyjechaliście znowu? he? Ale to wszystko daremnie! król, czy nie król, Rokiczany nie weźmie bez ślubu. Ja ją znam od dzieciństwa. Gdyby chciała nawet (a nie zechce pewnie i sama), rodzina i przyjaciele jej nie dopuszczą. Pocóż nadaremnie ludzkim złym językom karm dawać!

I chwilkę pomyślawszy, Jędrzyk oczyma rozpalonemi spojrzał na Rawę, dodając z odwagą, która go widocznie dosyć kosztowała:

— Prawdę wam powiem całą. Jam jej ni brat, ni swat, pokrewieństwo z nimi bardzo dalekie, alem ją od dzieciństwa miłował i choć z tego miłowania tylko zgryzotę mam, a więcej nic mieć nie będę, — przecie nie przestanę. Dla mnie ona za wysoko, ale nie dopuszczę, aby drudzy jej krzywdę czynili.

Powinniście wiedzieć, że z wielkiego miłowania człowiek na szalone się rzeczy porywa... Otóż, zważajcie... ja wam to tylko powiem, że kto jej sławę i cześć naruszy, jam na wszystko gotów...

Męża nie ma; krewni, Bóg ich wie święty, czy się ruszą w obronę, a no... ja, jak Bóg Bogiem! Człek jestem mały, kupiec sobie... ale to nic, ręce mam i grosz ostatni w to włożę...

Nie dokończył, pięścią tylko uderzywszy w stół, zagryzł usta i na przeciwnika spojrzał, czekając odpowiedzi.

Kochan, człek doświadczony, wedle potrzeby umiał być zimny i mógł być gorący, a trzymał się tego prawidła, że przeciw gorącym stawał się zimnym, dla zimnych zaś był sierzysty i gorący. Tu, mając przeciw sobie roznamietnionego i złego już, acz na wodzy trzymającego się Jędrzyka, — ostrygl umyślnie.

— Posłuchajcie, — rzekł — ja bo dobrze nie rozumiem, czego chcecie. Kłamać nie będę; no, tak, król mnie do Roki-czany posyła, ona mnie wypędza za drzwi. Wdową jest, panią siebie...

— E! e! — ofuknął Jędrzyk — kobieta zawsze potrzebuje dozoru... to darmo.

— Opiekunów też ma w braciach nieboszczyka Miklasza! — odparł Rawa.

— A tak — rzekł Jędrzyk — ale oni się mogą nie dopilnować, a ja...

I rześko zagadnął.

— Mówcie, czego chcecie od niej? Cóż? żeby do was do Krakowa jechała? Obiecujecie jej bogactwa? ziemie? co?

Kochan ramionami ruszył.

— Spowiadać się wam nie mogę, — odparł — powiem tylko, że wy sobie nadaremnie krów psujecie. Ona sama na plewę się nie da wziąć; kobieta rozumna.

— A tak! — podchwycił Jędrzyk — ale kobieta, a to — król!

— Nie dość, że król, lecz człowiek taki, który niczyjej krzywdy nie chce — rzekł Kochan i zamilkł.

Spojrzeli na się, mierzając oczyma. Gra nie była równa; Kochan, człek przebiegły, dworak; Jędrzyk — poczciwy, prosty i nadto gorący.

— Ja wam to powiem — odezwał się, pomilczawszy, — że, uchowaj Boże, pokrzywdzicie ją, ja nie daruję...

Sparł się na rękę.

— Przypomnijcie sobie głośną tę historję z Amadejami na Węgrzech. Tu o niej wszyscy wiedzą. Stary ojciec, prawda, życie stracił, nie pomścił dziecka, ale się porwał — cześć mu była miłą! Ona dla mnie więcej, niż córka dla ojca, ja ani rodziców, ani rodziny nie mam. Jedno słońce na niebie, jeden ja na świecie...

Kręcił głową Kochan.

— Dalejże, co? — rzekł. — Powiedzieliście, coście chcieli;

jam wysłuchał, na tem koniec. Teraz zaś ja wam tyle tylko odpowiem, że ostrzeżeni przez was jesteście, zatem wy dla nas mniej straszni. I — po wszystkim.

Jędrzyk, widząc powstającego z ławy Kochana, jego zimną krwią więcej jeszcze zniecierpliwiony, chwycił się też z siedzenia.

— Ostrzegłem was przez poczciwość, bo nie chcę, nie chciałem napaść niespodziewających się.

— I sądźcie, że się ulękniemy? — spytał Kochan.

Jędrzyk rękę w długie włosy zatopił i, rwąc je, zawołał:

— Wasza sprawa w tem. Mnie, gdyby ostatni grosz przyszło stracić, pięćdziesiąt i sto ludzi najać... gotówem!

— Amy możemy postawić ich trzystu! — zaśmiał się Kochan. — Lecz poco się to zdało mówić, wodę warzym...

Chciał wstać znowu.

Jędrzyk postradał cierpliwość.

— Dajcie pokój temu daremnemu jeżdżeniu, — zawołał — z tego nie będzie nic, ja wam mówię, nie! kobiecie głowę psujecie. Ożeniłby się który z bogatszych naszych mieszczan, albo panów...

— Lub wy — rozśmiał się Kochan.

— Nie! — zawołał Jędrzyk — ja dla niej za mały, ja o tem nie myślę, ale jej losu psować nie dam. Dajcie pokój temu jeżdżeniu — powtórzył.

— Wiecież przecie, iż jestem sługą króla, — odparł Rawa — nie mogę rozkazowi się sprzeciwić.

— Mów królowi!

Rawa ręką rzucił obojętnie.

— Darujcie — rzekł, wstając raz jeszcze. — Chcieliście rozmowy, dalem się wciągnąć, wysłuchałem, coście mieli do powiedzenia, a teraz czasu nie mam... Więc — czołem.

Jędrzyk mruczał, dąsał się, zły był, że nic nie sprawił, lecz wstrzymywać go już nie mógł. Powtórzył pogroźkę, za wychodzącym spojrzał i ręce załamał...

Kochan, ramionami ruszywszy, do Rokiczany szedł wprost, lecz w domu jej nie zastał, ani starej ochmistrzyni, którą już był sobie, równie jak sługi, podarkami kupił.

Dano mu więc w pierwszej izbie na ławie siąść i czekać na jej przybycie, zapewniając, że z wesela na Nowem Mieście wkrótce będzie zpowrotem.

Na przekorę mu się to stało, bo powinien był jeszcze gdzieś dla króla szukać bezpiecznego ukrycia, a potem naprzeciw niego wyjechać, aby go tam zaprowadzić.

Późno już, strojna jak wielka pani, klejnotami okryta, tańcem prawie całodziennym zmęczona, zjawiała się wdowa, którą bardzo piękny, rycerskiej postawy mężczyzna odpro-
wadzał. Był to, jak łatwo poznał Rawa, nowy zalotnik ja-
kiś, ubogi baron niemiecki, urzędnik z cesarskiego dworu,
który pono więcej dla pieniędzy, niż dla piękności zalecał
się Rokiczanie. Zmierzył oczyma podejrzliwemi oczekujące-
go Kochana, namarszczył się groźnie i odszedł.

Drugie to już niemiłe spotkanie.

Wdowa tym razem Kochanowi niezbyt rada była. Przy-
jęła go kwaśno, brwi ściągnęła.

Niedługo czekając, Rawa jej szepnął, że pan jego sam ma
nazajutrz przybyć potajemnie.

Usłyszawszy to, Rokiczana aż ręce załamała.

— Poco? — zawołała — aby z ust moich to posłyszał, co
mu przez was tyle razy mówiłam? Daremna to rzecz, bo
mnie za żadne skarby świata nie kupi. Z czymże jedzie?

Rawa nie chciał odkryć się z tem.

— Nie wiem, — rzekł — lecz choćby tylko, aby wam
w oczy popatrzeć, co za dziw?

— Tak! jemu to nie zaszkodzi pewnie — odparła wdowa
z goryczą. — Zabawi się, a co mnie potem spotka od
swoich i obcych wymówek i szyderstwa, co ja będę musiała
odplakać za to i odboleć, wy tego nie liczycie! wam to
wszystko jedno! Myślicie, że gdybyście go w Pradze najle-
piej ukryli, ludzie o nim wiedzieć nie będą? A co o mnie po-
wiedzą, do której król potajemnie w odwiedziny przyjeżdża?

Zagniewała się i płakać zaczęła, a chustkę niosąc do oczów
i na Kochana spojrzeć nie chcąc, szła do drugiej komnaty; on
za nią.

— Z czym król przybywa, nie moja rzecz — rzekł, po-
cieszając ją. — Ale ja wam to tylko powiedzieć mogę, że
jeśli ten raz darmo przyjedzie... więcej go nie zobaczycie.
Wiedzie wam... ważne słowo!

Rokiczana podniosła oczy na niego.

— Jakież słowo?

Rawa zamilkł.

— Posłyszycie sami — odparł. — Bądźcie dobrej myśli,
mnie się widzi, że was większe szczęście spotka, niż się
spodziewacie!

Uśmiechnął się i odszedł, zostawując ją w rozmyślach,
co król za słowo ważne mógł jej przywieźć.

Dnia tego już nie było co począć dla spóźnionej pory, wrócił więc do Wujka i jego Zoni, z którą cały wieczór na wesołych żartach i swawoli przepędził, bo dziewczyna była śmieszek niezmordowany, zalotna bez miłosierdzia i świeża jak jagódka. Przyszło do tego wśród żartów i dwuznacznych słówek, że Zonia Kochanowi szepnęła:

— Jeżeli Rokiczanę stąd weźmiecie do Polski, dla króla, wiecie co? mnie jej dajcie za starszą służkę. Będziemy tam wieczorami tak się we dwojgu zabawiali, jak tutaj.

— Albo i lepiej! — zawołał Kochan, śmiejąc się. — Dobrze! byleście chcieli...

— Pojadę, ale z Rokiczaną... Będę wam jej pilnowała... Poszeptala coś Kochanowi na ucho.

— Juści tak, czy owak, a panien do boku jej potrzeba — dodała.

Rawa pół żartem, pół naprawdę przyrzekł, za co otrzymał całusa, niby ukradzionego, niby zdobytego, lecz w istocie obiecującego wiele.

Zoni się marzyło na dworze bogato i sławnie zamąż wyjść!

Po cichej rozmowie z Wujkiem, którego wtajemniczyć musiał Kochan, okazało się, że najlepiej było króla w jednym z klasztorów na Starem Mieście ukryć, gdzieby go oczy ludzkie nie tak łatwo wyszpiewowały. A że zakony wszystkie prawie, które w Krakowie miały domy i tu się znajdowały, stosunkami były połączone z polskimi klasztorami — nie zdawało się to rzeczą trudną. Udał się więc poseł do przeora dominikanów i po krótkiej w cztery oczy rozmowie z nim, z wielką łatwością otrzymał zapewnienie, iż króla przyjmą, nikomu nie wyjawiając tajemnicy.

Ułożywszy to, Rawa na konia siadł i sam jeden wyjechał na spotkanie króla.

Lecz przeznaczeniem jego było, by go rozmaite przeszkody niecierpliwiły i czas mu zabierały.

W ulicy zaledwie kroków kilkanaście od domu Wujka odjechawszy, spotkał stojącego na koniu tego samego zalotnika, cesarskiego komornika, barona Ilascha, który go wczoraj u Krystyny widział.

Poznawszy go, starał się uniknąć i wyminąć, lecz Hasch, który na niego czekał, dogonił go, i obok stanąwszy, dość niegrzecznie począł rozmowę.

Rawa nie nawykł był od nikogo znosić nawet lekceważenia.

— Nie ujdziecie mi! — wołał, doganiając go, Hasch. — Wiem, kto wy jesteście i coście u pięknej Krystyny porabiali. Czy posłem przybyliście, czy dla siebie, trzeba się ze mną wprzód rozprawić, nim do mojej wdowy się dostaniecie.

— Jakto do waszej? — zapytał Rawa, stając i gniewny już.

— Do mojej, bo ja się zalecam do niej, a nie zwykłem cierpieć drugich obok siebie!

Kochan rozśmiał się pogardliwie.

— Jeżeli wiecie, kto jestem, — rzekł — musicie wiedzieć, że ja tu nie dla siebie przybyłem.

— Hm! — zawołał Hasch — ludzie mówią różnie. Jesteście sługą króla... są tacy, co utrzymują, żeście się dla niego ożenić gotowi...

Rawie krew uderzyła do głowy.

— Jestem takiego pochodzenia, jak i wy, pasowanym też rycerzem, — rzekł zimno — po tem, coście powiedzieli, nie pozostało nic, tylko na rękę wyzwąć i... bić się. Dziś na to czasu nie mam, jutro gotowym.

Hasch wyduł usta.

— Dobrze, — rzekł — do jutra...

Kochanowi szło o to, aby mu się wyrwał i mógł zawczasu przeciw króla wyjechać; rękawicę mu zręcznie na siodło rzucił, jako znak, konia spiął i poleciał.

Niemiec nie pogonił za nim. Chwilę stał, namyślając się, potem za późno już było.

Wykupiwszy się od niego wyzwaniem, Rawa wybiegł z miasta na gościniec ku Krakowu, i dopiero dobry kawał drogi zrobiwszy, koniowi pofolgował.

Miejsce wybrawszy pod laskiem, w którym na króla miał czekać, zsiadł z konia, ukrył się w zarośla na przypadek pogoni i patrzył, rychło-li Kaźmirz nadąży.

Już dobry zmierzch padał, gdy się ukazał orszak królewski, który Kochan poznał łatwo, chociaż nie pańsko wyglądał. W kilkanaście koni tylko wybrał się Kaźmirz, dwór swój przyodziewszy szaro i niepozornie. Oręż też, choć najlepszy, tak był dobrany, żeby w oczy nie wpadał. Król sam, aby na siebie nie zwracać uwagi, jechał dalej w orszaku, a przodem, jako pan, pysznił się dorodny i wesół Dobek Bończa, którego to udawanie zabawiać się zdawało. Dwór mu oddawał cześć, jakby on tu był najprzedniejszą osobą. Kochan, zobaczywszy zdala poczet, konia dosiadł i podjechał do króla, aby ze wszystkiego sprawę zdać.

Zatrzymali się jezdni, lecz niewiele na rozmowę czasu

było, gdyż zamknięcie bram Starego Miasta potrzeba było uprzędzić.

O Jędrzyku i jego groźbach nie miał potrzeby wspominać Kochan, lecz Hascha i wyzwania jego zatrzeć nie mógł. Kaźmirz się zachmurzył i nierad mu był, przypisując nieostrożności ulubieńca, że się tam bytność jego wydała, a przez nią i królewska zdradzić mogła.

Posepnie więc wcisnęli się do miasta, u bram oznajmując, jako ziemianie z Polski za sprawami swemi przybywający. Nie zwrócili zbytnej uwagi, gdyż między dwoma krajami stosunki były żywe i nawzajem Polaków do Czech, Czechów do Polski przybywało wielu.

Małemi uliczkami Rawa poprowadził króla do dominikańskiego klasztoru, nikogo szczęściem nie spotykając po drodze.

Wieczora tego oznajmił Krystynie przyjazd królewski, a do jutrzejszej walki z Haschem musiał sobie szukać towarzyszków i świadków.

Każdego dnia, chociażby ani się gości spodziewała u siebie, ani sama wybierała w gościnę, piękna Rokiczana poświęcała czasu dosyć na strój i starania o pleć, o twarz i o wszystkie przybrania niewieściego szczegóły.

Utrzymywano, że dla zachowania piękności swej w całym jej blasku miała jakieś środki tajemne, jakieś drogo kupione wody, eliksiry, barwiczki, lekarstwa, które świeżość zachowywały i podwajały ją jeszcze.

Osobna komnata, do której nigdy nikomu wchodzić nie pozwalała, była na to przeznaczona. Klucz od niej zawsze miała przy sobie. Slugom też towarzyszyć jej tam z rana, gdy wprost z łóżka udawała się, nie było wolno. Jedna tylko stara krewna i ochmistrzyni szła tam z nią; zamykały się na klucz ze środka i często czekać długo było potrzeba, nim wdowa wyszła już napoły ubrana.

Oddawna bardzo budziło to niezmierną sług wdowy ciekawość; podglądały, gdy wchodziła, czatowały, gdy wracała, próbowały zajrzeć przez otwór klucza, ale ten tak bywał w zamku umieszczony, że oko wcisnąć się nie mogło do wnętrza.

Ze szczególnem staraniem wdowa strzegła klucza tego, nie rzucała go nigdy, zawieszała pod suknią, u pasa nawet przy najwykwintniejszym stroju.

Kobiety, które nań czatowały, wreszcie zrozpaczywszy, aby się im mógł kiedy dostać w ręce, wyrzekły się nadziei zdobycia tajemnicy.

Rosły stąd mnogie przypuszczenia, które czarów się jakichś domysłać kazaly. Starą ochmistrzynię, jedyną powiernicę, zwano i miano za czarownicę... Udawały się do niej i inne chciwe odmłodzenia i wypięknienia niewiasty, lecz nic zyskać nie mogły. Śmiała się starucha, spluwała, zżyła, zaklinała, że nic nie zna i o niczem nic nie wie.

Wiedzano, że czasem wieczorem stara grzanego wina wypijała trochę więcej, niż na sen było potrzeba; dziewczęta myślały korzystać z tego i jakie nieostrożne słówko pochwycić, lecz nie dowiedziały się nic.

Piękność wdowy, pełną blasku, tajemnym rannym tym staraniom około niej przypisywano... Napróżno było sprzeciwiać się; rzecz stała się czasem przyjętą powszechnie i nieulegającą już wątpliwości.

Dnia tego, gdy król przybyć miał, dłużej może, niż kiedy, siedziała wdowa w tej komnatce zamknięta, a potem, co się bardzo rzadko trafiało, po raz drugi z ochmistrzynią do niej weszła i ukazała się tak utrefioną pięknie, tak majestatyczną, tak nadewszystko świeżą i młodą, że jej o lat dziesiątek młodszemu zazdrościły dziewczęta.

Kaźmirz, nie czekając południa, bardzo skromnie ubrany, pieszko, z nakryciem głowy aksamitnem, które na oczy było napuszczone, w towarzystwie Dobka jednego udał się do wdowy.

Czekano nań tam, a Rokieczana strojna, wonnościami obłana, chodziła niespokojna od okna do okna, wyglądając, aby króla przyjąć u progu. Na twarzy jej tego dnia nie widać było wcale rozradowania i triumfu, a raczej dumę, podrażnienie i troskę. Zbyt łagodną, miłą nie była prawie nigdy; przypisywano to owdowieniu, iż zawsze chodziła z twarzą zasępioną, a wśród najweselszych zabaw, biorąc w nich udział, nie rozśmiała się nigdy z serca. Uśmiech jej był proszonym gościem na ustach.

Gdy król wszedł i tego nawet wymuszonego na nich nie znalazł; głębokim pokłonem, z wielką powagą przyjęła go i, milcząc, zaprowadziła do wielkiej izby gościnnej, przybraanej na ten dzień we wszystkie najbogatsze sprzęty domu.

Kaźmirz, który szedł szybko i niespokojny, nie zwrócił nawet oczu na to, co go otaczało, patrzył na wdowę, ujął rękę i zmusiwszy usiąść przy sobie, rozpoczął rycerską rozmowę

od oświadczenia, że z wielkiej tęsknoty dla niej, wytrzymać nie mogąc, tu przybywał.

Rokiczana z brwiami ściągniętymi słuchała.

Pokazał jej Kaźmirz pierścień na palcu i rzuciwszy okiem na rękę, spotkał się też ze swym szafirem.

— Miłościwy królu, — po krótkim milczeniu odezwała się Rokiczana z przygotowanym już przemówieniem — bardzo jestem wdzięczną miłości waszej za łaskę tę, jaką masz dla mnie. Umiem ja ją cenić, lecz... ludzie mi ją drogo opłacać każą...

Spojrzał Kaźmirz.

— Ludzie? a to jak? — zapytał.

— Zazdrośni są i złośliwi, więc szarpia sławę bezbronnej wdowy — rzekła Rokiczana. — Już sami posłańcy twoi, królu, w oczy im kołają, a cóż dopiero teraz będzie, gdy się o tobie dowiedzą?

Załamala ręce białe.

— Zaklinam miłość waszą, — ciągnęła dalej — nie gubcie mnie!

Król dotknął jej ręki.

— Dość! dość! — odparł — ja tu do was z czem innym przybyłem. Posłuchajcie mnie, bo to godzina będzie dla mnie i dla was stanowcza. Tak mi cześć wasza miła, jak wam... uszczerbku jej czynić nie chcę... Powiedzieliście, że do was droga przez kościół wiedzie... nie wzdrygam się jej: ślubować wam będę.

Rumieniec wystąpił na twarz wdowie, zadrżała, pomilczała trochę, ręką przesunęła po twarzy.

— Jakże to być może? — rzekła. — Całemu światu wiadomo, iż żonę macie?

— I świat cały wie, że lat piętnaście z nią nie żyję, nie widuję jej — rzekł król. — Dalem znać ojcu, aby ją nazad zabrał do siebie i stanie się to. Małżeństwo zostało rozerwane, papież mnie rozwiąże, a biskup ślub jest dać gotów.

Mowa królewska tak była dziwną, a tak ją znalazła nieprzygotowaną, iż Rokiczana czas jakiś siedziała niema, słowa przemówić nie mogąc. Czuli na skroni swej zimne dotknięcie korony królewskiej, na ramionach płaszcz szkarłatny, widziała się na złocistym tronie, górą ponad tłumami zazdrosnymi, królową!

Lecz ten sen błyskawiczny przeleciał prędko.

— Panie! — zawołała — nie uwódźcie mnie... to być nie może.

— Słowo moje królewskie za to wam ręczy — odparł

król z wielką powagą. — Nie obiecywałem tego, nie mówiłem przecież o tem, dopóki nie przekonałem się, że to, co przyrzekam, możliwem jest. Ślub nam dadzą, mam pewność.

Wdowa spuściła główkę, zacięła usta, nie miała już odpowiedzi na to... Rzecz nieprawdopodobna więc ziścić się miała — Rokiczana królową!

Spojrzała na tego, który chciał być jej mężem, po raz pierwszy tak blisko, w blasku dnia go widząc przed sobą.

Szlachetne rysy jego nosiły na sobie ślady lat przeżytych i cierpień wielu, czoło było zorane, świeżość młodości znikła z twarzy tej męskiej, lecz jeszcze pięknej, wrażliwej poszanowanie, a nadewszystko dobrocią namaszczonej, której smutek dodawał wdzięku. Piękny jeszcze, w sile wieku męczyzna, z włosiem brunatnym, spadającym na ramiona, w którym zaledwie rzadką siwiznę dojrzeć było można, patrzył na nią z zachwyceniem, z upragnieniem czekając słowa...

Nie mogąc się go doczekać, bo wdowie całej drżącej myśli w głowie poplątanych zebrać nie było łatwo, Kaźmirz mówił dalej:

— Nie mam potomka; wiecie, że w razie, gdyby mi go Bóg odmówił, korona jest już siostrzanowi memu przyrzeczona... Lecz nie zwątpilem jeszcze, wy może będziecie matką tego upragnionego...

— Panie, — przerwała Rokiczana niespokojnie — zaklinam was! mówcie, jestże to pewnem? Miałoby to prawdą być? Nie jest to sen i złudzenie?

— Mówilem wam, ślub nam dać przyrzeczono... wyciągam do was rękę... ofiarując przysięgę...

Tu król zatrzymał się nieco.

— Tak jest, jak powiadam, — dodał — lecz, ponieważ z biskupem krakowskim jestem od lat kilku w wojnie, błogosławić nam będzie inny... Aż do tego czasu zachowaną być musi tajemnica, aby nam przeszkód nie stawiono. Książę ojciec zabiera Adelajdę, ja was na zamek wprowadzam...

Rokiczana milczała, wszystko to tak się jej nieprawdopodobnem zdawało, iż przyjść jeszcze do siebie nie mogła. Obiema rączkami ujęła się za skronie.

— A! panie! — zawołała — wy to wiecie sami, jakżeby mogła odrzucić koronę i cześć taką dla mnie i dla rodu mojego? Lecz... lecz, wszystko to jeszcze brzmi mi, jak dziwny sen. Dajcie zebrać myśli i sercu niespokojnemu się ukołysać. Nie wiem, co myśleć, co mówić, nie wiem, co czynić!

Kaźmirz skorzystał z tej chwili niepewności i na białem jej czole złożył pocałunek; ręce jej bez oporu wziął w dłonie, pochyliła się ku niemu. Widział, że była zwyciężoną, że się poddawała, lecz wydawało się to jej jeszcze dziwaczem, niemożliwem, pomimo zapewnień króla.

— Mów, piękna Krystyno, — nalegał Kaźmirz — wszak mam słowo twoje?

— A rodzina? — spytała wdowa.

— Na Boga! dość będzie miała czasu się tem uradować, gdy ją po ślubie o nim uwiadomimy — rzekł król z pewną dumą. — Sprzeciwiać się przecież nie mogą?

— Dajcież mi choć chwilę namysłu! — szepnęła Krystyna, głowę cisnąc rękami.

— Naco ci rozmyślanie potrzebne? — odparł król, trochę zniecierpliwiony. — Ja się tu przekradając, dostałem; na dworze cesarskim nie wiedzą o mnie i wiedzieć nie powinni; powracać muszę jak najrychlej, czekać nie mogę, odkładać nie chcę... Wszystko natychmiast potrzeba ułożyć i zapewnić... Nie potrzebujesz głosić o tem przedwcześnie, aby nowych jakich przeszkód nie wywołać. Nim dojedziesz do Krakowa, ślub nasz odbędzie się w Tyńcu. Wszystko już do niego przygotowane.

Piękna Krystyna zmieszana to ręce załamywała, to skroń uciskała niemi; nadzwyczajne to szczęście budziło w niej przestrah, obawę czegoś równie niespodziewanego, jak ona.

— Panie mój! — zawołała, zwracając się do króla. — Przynosisz mi, zaprawdę, wielką cześć... nadzieje losu, jakiegom się nigdy spodziewać nie mogła, lecz... pozwól, daj mi odetchnąć, myśl zebrać... westchnąć do Boga! Drzę cała!

Król spojrział na nią z powagą i litością razem; wstał zwolna, przyłożył usta do jej czoła i rzekł zcichą:

— Odchodzę więc — wrócę za godzin kilka. Uspokój się, piękna Krystyno, wierz słowu królewskiemu... nie obawiaj się nic... Uczynisz mnie szczęśliwym, a ja o szczęście twe starać się będę.

To mówiąc, ujął jeszcze rękę jej drżącą, spojrział w oczy, uśmiechnął się i zwolna wyszedł z komnaty.

Rokieczana, odprowadzić go nie mając siły, padła na siedzenie i płakać zaczęła, sama nie wiedząc, dlaczego.

Jakaś trwoga niewysłowiona, bezprzyczynna, ogarniała ją: mrowie przechodziło po ciele, serce biło. Królową, miała zostać królową, lecz... w istocie ona nią była tu pomiędzy swoimi pięknością, dostatkiem, znaczeniem, a tam — kró-

lową się zwać, miała się czuć podniesioną, dźwigniętą — wziętą z tych poziomów na wyżyny.

Rozumiała to, iż królową zostając, straci; król był dla niej miłym mężczyzną, ale miłości dlań nie czuła, tak, jak jej do-
tąd nie miała dla nikogo...

Nowe życie, świetne, blasku pełne, miałoż jej przynieść szczęście?... Tu otaczał ją cały krąg wielbicieli — a tam? tam!!

Łamała ręce. Nie wiedziała, kogo wezwać na radę, co po-
stanowić. Odrzucić, duma nie pozwalała, przyjąć, strach
bronili...

Siedziała jeszcze, ocierając łzy i dumając, gdy wszedł, pra-
wie przebojem, Jędrzyk.

Krystyna od dzieciństwa nawykła była do tej miłości i opieki, jaką nad nią rozciągał. Gniewał ją czasami, od-
pędzała go, gdy nadto widocznie i natrętnie do spraw się jej
mieszał; wierzyła mu jednakże i ufała, że najlepiej jej życzy.

W tem usposobieniu, w jakim się znajdowała, Jędrzyk
zdał się jej jakby zesłanym po to, aby przyniósł dobrą radę.

Kupiec skłonił się i, jak zawsze, od przepraszania roz-
począł.

— Gniewajcie się na mnie, jeśli chcecie, — rzekł — alem
się tu wdarł gwałtem. Posłuchajcie mnie, piękna Krystyno,
Bóg świadek, nikt lepiej wam nie życzy.

— Wierzę, — odparła wdowa, zbliżając się zwolna ku
niemu — wierzę i dam tego dowód... Nie zdradzicie mnie?

— Ja? — odparł Jędrzyk, kładąc rękę na piersi.

— Powiem wam pierwszemu, wam może jednemu, co
mnie spotkało. Król polski...

Kupiec rękami strzepnął i przerwał:

— Któż nie wie, że się on w was rozmiłował. Całe mia-
sto o tem trąbi, a ja przychodzę, żebyście im dali odprawę,
tym...

Ruszając ramionami, spojrzała na niego groźnie Kry-
styna.

— Król polski żeni się ze mną — odezwiała się, patrząc,
jakie na nim robi wrażenie.

Jędrzyk się szydersko uśmiechnął.

— Zwodzą was niegodziwie! okłamują! — krzyknął. —
Jak on się ożenić może? od piętnastu lat ma żonę? Żyje prze-
cież ta Adelajda.

— Słuchaj, — przerwała wdowa kwaśno — król, król sam

mi to mówił, z jego ust słyszałam; małżeństwo to rozerwane, ona odjeżdża do ojca, a on... żeni się ze mną.

Jędrzyk uszom nie wierzył.

— Tak jest! — potwierdziła Krystyna — tak jest. Biskup się zobowiązał ślub nam dać.

Zamyślony kupiec nie odpowiedział nic. W głowie mu się to nie mogło pomieścić.

— Ja ani praw tych tam dobrze nie znam, ani wiem, co można, a co się nie godzi i czy królom to wolno, co drugim zakazano... ale to mi się zdaje oszukaństwem, kłamstwem... Pamiętam, żem słyszał kiedyś o jednym francuskim królu, co się z jakąś hrabianką merańską ożenił, żonę pierwszą odprawivszy. A co potem było? Papież mu ją precz kazał odprawić!

Ruszył ramionami.

Rokiczana się zadumała, splotły się jej ręce, zaczęła przechodzić się po pokoju. Jędrzyk stał i głową pokręcał dziwnie, a patrzył za nią.

— Nie! — odezwała się nagle — nie! — słowu królewskiemu wierzyć można. Z oczów mu patrzy szlachetność, ten człowiek kłamać nie może...

Jędrzyk drgnął i podszedł ku niej żywo.

— I wy myślicie, nikomu o tem nie mówiąc, zawierzyć i oddać się?

— Mówić o tem nie mogę nikomu. Wam powiedziałam, boście przyszli w taką godzinę, żem w sobie tej tajemnicy utrzymać nie mogła... a wierzę, iż mnie nie zdradzicie...

Odepchnąć koronę? nie chceć być królową? — dodała. — Byłabym szaloną, ludzieby mną wzgardzili!

Chodziła po komnacie.

— O Boże! — zawołała jakby sama do siebie. — O Boże! Co pocznę? co odpowiem? Głowa pęka...

Jędrzyk westchnął, litość czuł dla niej.

— Wiecie co? dam wam radę dobrą — odezwał się cicho. — Nikt was lepiej nie oświeci nad naszego pocziwego biskupa, Jana z Drażic. Duchowny jest, tajemnicy nie wyda, a on to lepiej, niż wy, zrozumie...

Krystyna się namyslała.

— Nie... nie mogę głosić tego! nie mogę za radą biegać! czasu nie mam! Żlem uczyniła, żem wam to powiedziała... ale stało się... Za godzinę muszę rzec — tak, lub nie...

Kupiec długo nie odzywał się; dumał...

— Kiedyż wam to król mówił? król sam? — spytał. — Jegoż tu nie było temi czasy?

Zarumieniła się wdowa, postrzegłszy, że mogła zdradzić przyjaźń Kaźmirza i zawołała żywo:

— Jak się do mnie słowo królewskie dostało, to moja rzecz... dosyć, że je mam! żem go pewna...

— A ja mu nie wierzę, — rzekł kupiec — nie rozumiem... Wiele dla was uczynić można, ja to wiem, wiele ucierpieć... ale są takie sprawy, którym i królowie nie podoleją... Żony porzucić nie godzi się, a ta, co wasze szczęście oblewać będzie łzami, u Pana Boga wam nie pomoże... Naco wam jakieś tam korony żądać? alboście między swoimi nie królowa? na czym wam zbywa? także tego króla miłujecie?

Krystyna nie zdawała go się już słuchać, chodziła zadumana.

— Jędrzyk, — przemówiła wkońcu — nie zdradź mnie, nie darowałabym ci tego... Co Bóg nazначzył mi — stanie się. Niech będzie, co chce... /

I powiedziawszy te słowa, rozplakała się. Płacz był dziwny, mimowolny; padła na siedzenie, zakryła oczy, Jędrzyk szepnął kilka słów uspokajających, powstał, nie mogąc się doczekać słowa, naostatek, widząc, że darmo by ją już chciał przekonywać, wyszedł tak zafrasowany, tak pogrążony w siebie, iż sam nie wiedział, jak znalazł się u siebie w domu.

— Krystyna jest zgubioną! — powtarzał sobie — niema na to już ratunku!

W kilka godzin potem król znowu wszedł do dworu Rokiczany, zabawił w nim z godzinę i wymknął się z niego uradowany, wesół, Dobkowi, który z nim był, zapowiedziałwszy tylko, że do podróży zpowrotem jak najprędzej wybierać się mają. Brakło do niej Kochana, który, tego dnia z rana wyszedłszy z domu, nie obiecał się, aż sprawę z Haschem załatwi. Rawa bił się dzielnie, ani na męstwie, ni na zręczności mu nie zbywało. Król chciał go mieć przy sobie, lecz dnia dłużej tu pozostać nie myślał.

— Nagoni nas, — odezwał się do Dobka — czekać tu niebezpieczna dla mnie rzecz. Nużby się na dworze dowiedziano? Będą później mówić o tem, złoży się na puste pogłoski...

Zaczęto się już przysposabiać do drogi, gdy pacholę, od Wujka wysłane do klasztoru, przybiegło z wiadomością, że

Kochan dosyć ciężko cięty mieczem w rękę leżał i potrzebowwał dni kilkunastu, aby się rana przygoiła.

Król zżymał się na to, lecz orszakowi kazał stawać do podróży, mnichom szczodry zostawił datek i Dobkowi kazał prowadzić się do kamienicy Wujka, bo chciał Kochana widzieć i pomówić z nim na osobności.

Ponieważ dzień jeszcze był jasny, ważył Kaźmirz wiele, lecz tak był na duchu swobodnym i śmiałym, że go to prawie bawiło, iż miał niepostrzeżony w tłum się wmieszać i niepoznany się przemykać po mieście.

Kochan leżał tylko co obwiązany i rozprawiał z gospodarzem o swoim spotkaniu, gdy na progu ukazał się król.

Jakiś czas Rawa, zobaczywszy go, nie mógł oprzytomnieć i nie wiedział, co począć. Kaźmirz dał mu znak, aby odprawił świadków niepotrzebnych.

Zostali sami.

— Musisz w Pradze siedzieć — rzekł Kaźmirz prędko. — Ja jadę w tej chwili. Pilnuj mi że Rokiczany. Słowo mi dała. Trzeba, abys ją wyprawił do Krakowa, a naprzód do Tyńca, gdzie opat ślub nam da... Niech jedzie, niech co najprędzej jedzie, a ty, kiedy się tak złożyło, razem z nią. Wierzynek ci przyśle pieniądze. Zwlekać nie dawaj.

Kochan nie miał czasu odpowiedzieć słowa, król, już się otuliwszy płaszczem, z wesołą twarzą nazad zawracał.

— Rana ci się wynagrodzi, boś ją dla mnie dostał — dodał, — nie frasuj się zbytnio. Przybywaj skoro... zdrów bywaj...

O ile mógł dla ręki, pochylił się Rawa do kolan króla, który raz mu się jeszcze dobrotliwie uśmiechnąwszy, wnet wyszedł i już na koń siadał.

Rannemu przez kilka dni z domu się ruszyć nie było podobna, lecz pielęgnowany był dobrze przez troskliwą Zonę i przez lekarza Izraelitę, który naówczas tam szczególnie z leczenia ran był sławnym.

W Pradze bytność króla nie została rozgłoszoną; Jędrzyk milczał, Rokiczana, chociaż czyniła przygotowania do podróży, kryła się z niemi. Kaźmirz zalecił jej na odjezdnem, ażeby o małżeństwie zawczasu nie głosiła.

Niepewność i obawa pierwszych chwil ustąpiła zupełnie; nadzieja zostania królową wzięła górę i rosła z dniem każdym, świecniej malując jej przyszłość. Jędrzyk, który próbował jeszcze zachwiać jej postanowieniem, odprawiony został tak stanowczo, że wracać już nie śmiał. I on zachwiał

się też... Rozumiał to dobrze, że nadziei tak wielkiego szczęścia, takiego losu bogata mieszcza odrzucić nie mogła.

Wdowa z rodziną swą, z bratem męża nie mówiła o tem wcale; można w niej było poznać jakąś zmianę wewnętrzną, rosnącą coraz dumę i samowolę.

W domu i ze wszystkimi stała się już zawczasu królową. Nie cierpiała sprzeciwiania się najmniejszego... Ludzi widywała mniej, niż zwykle. Hascha odprawiła zupełnie, zamknęła się w domu.

Powiernicą przygotowań była tylko ochmistrzyni i Zonia, którą, dotrzymując słowa, nastroczył Kochan, poręczając, iż tajemnicy nie wyda. Pięknej dziewczeczce szło nadto o to, aby się na dwór królowej dostała, by tajemnicy nie dochowała.

Rana goiła się dosyć szybko.

Żyd miał jakiś balsam cudowny, który przyspieszał zabliznienie, plaster, którym okładał i tajemnicze środki, z pomocą których prędkie uleczenie obiecywał. Rawa, choćby już może z podwiązaną ręką mógł się wybrać do Krakowa, umyślnie pozostawał, aby towarzyszyć Rokiczanie.

Trudnością było największą tak z Pragi ująć, aby przedwcześnie nie zdradzić się i nie zwrócić na siebie oczów rodziny, któraby, nie wiedząc o celu podróży, stanęła jej na przeszkodzie. Rokiczanowie z pewnem podejrzeniem spoglądali od niejakiego czasu na bratową, śledzili ją, zdawali się czegoś domyślać. Dopuścić jej zostać miłośnicą, choćby królewską, nie mogli. Byliby siłą zatrzymali.

Kochan więc doradzał, aby wdowa chorą się uczyniła i zamknęła w domu. On orszak, mający towarzyszyć jej, zebrać, trzymać wpogotowiu na zawołanie się zobowiązał. Stara ochmistrzyni miała dla niespodzianki pozostać i opowiadać o chorobie, a Zonia towarzyszyć w podróży.

Naglił ulubieniec królewski, sam ciąglemi posłańcami przynaglany i wkońcu jednego wieczora Rokiczana, której skrzynie, stroje i klejnoty już były wpierw wyprawione, wysunęła się tylną furta, przeszła, gdzie na nią czekały konie, wymknęła się za Starą Pragę i ruszyła z bijącym sercem do tego marzonego szczęścia i korony, dla której poświęciła wszystko.

Na dzień naznaczony król Kaźmirz przybył do Tyńca w niewielkim orszaku dworzan, z kilku znaczniejszymi państwa urzędnikami, lecz ani na jego twarzy, ani na obecnych przy nim świadkach przyszłego wesela nie było widać tej

radości, tego spokoju, jaki przynosi spełnienie upragnionego i dawno postanowionego czynu wielkiego znaczenia.

Wszyscy ci, którym król zwierzył się i objawił, iż opat Jan ślub z Rokiczaną dać mu przyrzekł, przyjęli to milcząco, smutnie, nieśmiało objawiając wątpliwość, czy małżeństwo to ważnem będzie, a potomstwo uznanem.

Ludwik, naznaczony przyszłym spadkobiercą korony, w razie, gdyby potomka płci męskiej zabrakło, miał przyjąć w najbliższem kole króla, w rodzie jego. Złe języki mówiły o przekupieniu, o ujęciu darami i obietnicami; łączyły się z tem u rycerstwa inne może pobudki: król Ludwik zapewniał ziemianom i temu właśnie stanowi, który najmniej był od Kaźmirza w ciągu panowania jego otrzymał, a czuł się upośledzonym, przywileje nowe, swobody, na przyszłość dać mu mające wielkie znaczenie.

Ziemianie z tego powodu, ujęci przyrzeczeniami królowej Elżbiety i jej syna, a mniej mogąc się spodziewać od pana młodego, któryby większe miał do tronu prawa, skłaniali się ku Ludwikowi, spoglądali więc na małżeństwo nowe okiem niechętnem. Duchowni, nawet najbardziej królowi oddani, zgodnie mówili, że ślub, gdyby go opat dać się ważył, w oczach kościoła nie będzie mieć żadnego znaczenia.

Sam ks. Jan, który w chwili jakiegoś uniesienia lekko-myślnie się zobowiązał, niespokojny, poszedłszy po radę do uczonych w kanonicznem prawie, przekonał się, iż miał popelnąć czyn zuchwały, a nieobowiązujący w przyszłości króla do niczego, oprócz pokuty.

Wątpiono też, czy opatowi może to ująć bezkarnie.

Niewielu się zwierzywszy, ks. Jan został przez nich oświecony, i gdyby nie dane królowi słowo, cofnąłby się był może.

Lecz był to człowiek, w którym więcej rycerskiego tła ducha, niż było. kapłańskiej surowości; powiedział sobie, iż spełni, do czego się zobowiązał i wszystkie następstwa czynu zniesie. Nie wątpił, iż król go bronić będzie i nie da mu zginać...

Rokiczany w Tyńcu nie było jeszcze, gdy w bramach starego opactwa ks. Jan uroczyście przyszedł przyjąć Kaźmirza i poprowadził go do obszernych komnat na przyjęcie przygotowanych, poza obrębem klauzury wzniesionych.

Król i opat, gdy spojrzeli po sobie, wyczytali w twarzach swoich nie to, czego się spodziewali. Kaźmirz niespokojny był i podrażniony, ks. Jan źle ukrywał wątpliwość, która go dręczyła. Nie umiając i nie chcąc się taić przed Kaźmirzem,

zaledwie zostali w bocznej malej komorze, na spoczynek przeznaczonej, gdy opat, skłopotany widocznie, pośpieszył z wyznaniem, które mu ciążyło.

— Miłościwy panie, — rzekł — jestem zmuszony przyznać się do grzechu. Miłość moja dla was to sprawiła, że to, czego pragnąłem, wyobraziłem sobie możliwem.

Tu westchnął ks. Jan.

— Niestety! — rzekł — Niestety! widzę, że się omylił. Ślub dać mogę i muszę, lecz żelazne te prawa nasze duchowne, z których się wyłamać niepodobna, przeciwią się temu związkowi. Wszyscy prawnicy nasi twierdzą, iż małżeństwo nie będzie miało wagi. Nie mogę tego zataić miłości waszej. Tem bardziej, iż idzie o dziedzica korony; gdyby Bóg nas nim pobłogosławił, u papieża się łatwo postarają, by ślubu mojego nie uznał. Bądź co bądź, królowa, choć ją ojciec do Niemiec zabiera — żyje... ślub z nią był prawny... Gdybyś miłość wasza ani dnia z nią nie żył... dałby się związek unieważnić... Lat piętnaście nie protestowaliście...

Król spuścił głowę smutnie z rodzajem rezygnacji obojętnej.

— Toż samo słyszałem od innych — rzekł zcicha. — Lecz, na słowie waszem polegając, ja też dałem słowo tej kobiecie, która tu ma wkrótce przybyć; ja mojego cofnąć nie mogę! Nie byłoby rycerskiem uczynić zawód, a za grzech, jeżeli go popełnim, odpokutujemy... Stało się — dokończył król smutnie... — Walka z losem, który mi odmawia syna, zapędziła mnie za daleko... Wyjdę z niej zwyciężonym, bo los i wola Boża silniejsze są od nas, ale chcę walczyć do ostatka... któż wie?... Pan Bóg się ulitować może.

Opat nie odpowiedział nic.

Ten sam smutek jakiś i zakłopotanie, które widać było na królu i opacie, malowały się w twarzach wszystkich przybyłych. Niemilem okiem patrzano i na to, że król tak wielkiego państwa zaślubia niewiastę nierównego mu pochodzenia. Patrzano na to, jak na krzywdę wyrządzoną koronie, którą nosił na skroni. Kaźmirz spotykał dokoła wejrzenia jakieś dziwne, chłodne, niemal nadąsane. Sam on też nie mógł się zdobyć na wypogodzenie twarzy, na usposobienie weselsze.

Miłość dla Rokiczany zrodziła się jakoś w tak dziwnych warunkach, przyszła tak szybko, rozwinęła się tak kunsztownie, pod naciskiem gorących pragnień i nadziei, że teraz, gdy piękna Krystyna miała mu oddać rękę, król się niemal

dziwił w duchu sam sobie, iż tak nierozważnie, pośpiesznie sobie postąpił.

Właśnie, gdy miał jechać do Tyńca, doniesiono mu, że Adelajda, którą ojciec do Niemiec zabierał, od niejakiego czasu chora, czuła się źle bardzo, a lekarz przyboczny niedługo jej obiecywał życie.

Mógł więc król owdowiały stosowniejszy, jawny wybór uczynić i zawrzeć śluby, któreby nie miały na sobie tej cechy nieprawości, jakie zapowiadano małżeństwu temu.

Nie chciał się już cofnąć; wysłany naprzeciw Rokiczany orszak tegoż wieczora przywiódł ją do Tyńca. Kaźmirz, siłąc się na okazanie radości, wyszedł naprzeciw niej.

W kościele wszystko już przygotowanem było do ślubu. Ks. Jan, w infule swej, z pastorałem, otoczony licznym orszakiem duchownych, wyszedł przed ołtarz...

Małżonkowie stali przed nim... Z pośpiechem i z obawą jakąś, niezrozumiałą dla pani młodej, opat dopełnił obrzędu, związał ręce, pobłogosławił, i król z młodą żoną natychmiast puścił się w podróż do Krakowa.

Oznajmił zaraz Krystynie, iż małżeństwo, z przyczyny trwającego sporu z biskupem krakowskim, pozostać musi do czasu jeśli nie tajemnicą, to przynajmniej rzeczą dla świata nieogłaszaną.

Piękna Krystyna przyjęła ten wyrok w milczeniu posępnem. Rękę, którą król trzymał, wyrwała, twarz obróciła w drugą stronę. Było to pierwsze nieporozumienie dwojga ludzi, nieznających się prawie... zapowiadające nie większą miłość, mającą rozkwitnąć z pączka, lecz podrażnienie, nieufność i spory.

— Dla mnie — rzekł król — jesteś żoną, — nim zostaniesz królową, czekać potrzeba.

Rokiczana nie odpowiedziała nic, dumnem milczeniem przyjęła to i zamknęła się zaraz w swoich izbach, czyniąc chorą. Kaźmirz próbował ją ulagodzić i został odtrącony. Królewska дума rozbudziła się w nim. W kilka dni po ślubie wyjechał na łowy, zostawując ją samą. Rokiczana płakała nie z żalu po nim, lecz z gniewu i obrazy miłości własnej.

W Krakowie, oprócz Kochana, który zdawał się jej być życzliwym, nie miała jednego człowieka, jednej twarzy przyjaznej. Wszyscy patrzali na nią nie jak na królowę, lecz jak na zawadę niemiłą i upokarzającą. Nie zbliżał się nikt do niej, nie starał się o laski, jakgdyby przeczuwano, że żąd-

nego mieć tu nie będzie znaczenia. Śmiało pokuszenie się króla o żonę drugą ganiono głośno i powszechnie.

Znajdując ją gniewną, nachmurzoną, zapłakaną, rozpaczającą z powodu obojętności męża, Kochan doradzał, aby łagodnością, pokorą starała się go przejednać i zbliżyć do siebie.

Na to się ona zdobyć nie mogła. Domagała się praw swoich, czyniła wyrzuty i wymówki, a król za każdą bytnością u niej wychodził więcej zrażony i chłodniejszy...

Kochan widział już, że małżeństwo będzie nieszczęśliwem, mieszało go to, iż poczynawszy od opata, wszyscy zgodnie mieli je za nieważne.

Rokiczanie wątpliwość nawet żadna nie przychodziła na myśl: była pewną, iż ślub dany przez biskupa (bo ją z błędu nie wywiedziono) nie może być ani naruszonym, ani złamanym.

Każmirz obojętniał i stygl.

Wśród tego życia, które zaledwie rzadkie jaśniejsze chwile znośnem czyniły, ludzie już przygotowywali plany na przyszłość. Mówiono otwarcie o pozbyciu się dumnej Czeszki, o wyszukaniu królowi młodszej, większego rodu i słodsze go charakteru towarzyszki.

Rokiczana nie dała się złamać przeciwnościami; zamiast zyskiwać serca, jątrzyła wszystkich skargami, obejściem się szorstkiem, wymaganiami coraz większemi. Ludzie od niej uciekali...

Króla odrywały sprawy ważniejsze, w których szukał pociechy, jakiej w domowem nie miał pożytku. Po spisaniu praw, ustanowieniu trybunału na Wawelu, po uporządkowaniu żup solnych budowanie miast i zamków pochłonęło go całkowicie.

Dotychczas wszystkie one niemal były drewniane, wałami ziemnymi i ostrokołami a rowami otoczone, słabe tak, że lada napaści oprzeć się nie mogły.

Z końca w koniec tych ogromnych przestrzeni, któremi władał Kaźmirz, potrzeba było dla obrony, dla bezpieczeństwa, wznosić mury, które jedne nowym środkiem oblężniczym, podrzucaniu ognia, łatwemu obaleniu ścian taranami mogły się dłużej opierać.

Stała już w murach droga Łoktkowi Wiślica, obmurowywano Płock, trzeba było stroić zamki na zdobytej Rusi i wszędzie, gdzie tylko nieprzyjaciół mógł się dostać, a gdzież na tych szerokich płaszczyznach, które jedne tylko słabsze

rzeki broniły, w zimie mrozem ścinane, wróg nie mógł bez przeszkody się zapędzić?

Każmirz miał na sercu dźwignienie miast i zamków, wstydził się starych lepiarek, owych gródków z chróstu i gliny, owych szop i bierwion sosnowych, stosów, które lada ogień obracał w perzynę. Każda podróż jego po kraju, każda wycieczka wywoływała nowe rozkazy, gdzie gród miał stanąć i ściany potężne.

Myśl ta zostawienia po sobie kamiennych grodów, któreby wiekom jego imię powtarzały, tak go teraz zajmowała żywo, tak gorąco, jak wprzód wiślickie ustawy.

Jednym z ulubieńców, narówni z księdzem Suchywilkiem, stał się Wacław z Tęczyna. Zazdrościli mu wszyscy.

Człowiek był wielkiego rodu, małego już mienia, a osobliwego wyposażenia na owe wieki, gdy Toporczyk, dziedzic jednego z najstarszych szczytów rycerskich w Polsce, nie mógł mieć innego powołania nad wdzianie zbroi i władanie orężem.

Toporczykowie rozrodzeni już byli i wiele gałęzi ich, szczupło wyposażonych, czekało na otkwitnienie lepszego losu, spadku, małżeństwa, lub nadań królewskich.

Wacław zamłodu rycersko się począł kształcić; potem do stanu duchownego namawiano go, prorokując mu najwyższe dostojeństwa. Zwrócił się do szkoły, do ksiąg i udał zagranicę, do tych Włoch, które były jeszcze zawsze bogatą skarbnicą; — wszystkie z niej narody czerpały.

Tu Wacław z Tęczyna, patrząc na wspaniałe szczątki starożytności rzymskich, na nowe gmachy, grody, miasta wznoszące się na wierzchołkach gór, na ruinach odwiecznych, rozmiłował się w budownictwie, w kamieniach, które myśl ludzką zmuszone było opowiadać i ubezpieczać wojnami, pożąga zagrożone ludzkie życie.

Ziemiańin, rycerz stał się dobrowolnie kunsztmistrzem. Nie mogło go nic odwieść od przypatrywania się sztuce, z jaką tu ludzie kamienne hymny śpiewali na cześć Bożą, otaczali głazami swe ogniska domowe, zabezpieczali swe skarby i pracy owoce. W Polsce nic podobnego nie było, a być mogło.

Upojony tą myślą, powrócił młody Wacław do kraju i wprowadzony na dwór królewski, z taką żywością począł przed Kaźmirzem rozpowiadać o widzianych cudach, o tem, co się z ich tajemnic nauczył, iż król przejęty powołał go jako swą rękę prawą do wznoszenia grodów.

Ludzi, pieniędzy, kamieni, wszystkiego mu obiecywał dostarczyć. Wielka myśl obwarowania kraju, uczynienia go podobnym do tych, które go wyprzedziły, ogarnęła zarówno obu.

Z zazdrością spoglądano na tego nowego ulubieńca, do którego król się z każdym dniem przywiązywał więcej. Gdy rodzina i powinowaci Toporczyka koso patrzyli na tego rycerza, który kamieniarzem i murarzem być się ważył, król go zwał przyjacielem, pomocnikiem, sadzał do swojego stołu, całe godziny z nim spędzał na rozmowach, miłował go tak, jak on kochał ten kunszt, który z sobą zdobyczą przywiózł od obcych.

W godzinach tych, gdy z królem rozprawiali o wszystkim, czego Polsce ówczesnej brakło, co chcieli jej dać we dwu, Kaźmirz zapominał o wszystkim, o Rokiczanie, o dawnych smutkach i nowych zawodach, cieszył się tem, że kraj po sobie zostawi obdarzony prawem silnem, uporządkowany, zagospodarowany, zbogacony, powiększony, mocniejszy, niż był, a w nim miasta, jakby serca bijące, z których życie się rozpywać miało, w nim kmieci pod opieką sprawiedliwości, osadników obcych, mnogich przybyszów bezpiecznych, szczęśliwych, mających się stać synami tej ziemi, którą uprawiali.

Pociecha wielka spływała mu na serce i mówił sobie w duchu:

— Nie zostawię potomka, lecz potomstwem mem będą grody, sądy, ludność, rozrodzona pokojem i te gmachy moje, które wieki przetrwają.

Często po rozmowie takiej z Waławem z Tęczyna, gdy ten i ów gród wspomnieli, zrywał się król natychmiast jechać, oglądać i obmyślać, jak być miał obwarowany.

I nic go wstrzymać naówczas nie mogło: zapominał trosk, nie pragnął innych rozrywek, siadał na koń z małą garstką ludzi, z Waławem swym u boku, biegł oglądać położenie, szukać środków prędkiego wykonania swej myśli, z żup wielickich najczęściej naznaczając znaczne sumy dla przyspieszenia budowli, które pod okiem ulubieńca z dziwnym pośpiechem się wznosiły.

Budował król, naśladowali go inni. Bodzanta wznosił ów bajeczny pałac, na który ciągle pieniądze dawał bratu, a nie miał go ujrzyć nigdy; murowali po miastach kupcy, ziemianie po swych wioskach...

Jak słońce wiosenne wywodzi z ziemi ziarna w niej

uśpione, tak Kaźmirza opieka tworzyła naówczas ludzi: ks. Suchywilka, Wierzynka, Waclawa z Tęczyna: były to jego ducha dzieci...

Miał tę gorączkę czynu Kaźmirz, która myśli powziętej nie dawała usnąć w powiciu. Raz ją powziąwszy, król z równą niecierpliwością doprowadzał do skutku, jak ożenienie z Rokiczaną, jak wszystkie inne swe sprawy. Lecz gdzie o szczęście szło własne, spotykał prędko przesyt i rozczarowanie; gdzie szło o sprawę kraju, tam go nic zrazić nie mogło. Tak długo przygotowywanego statutu wiślickiego nie dozwolił oporowi ziemian, niechęci duchowieństwa wydrzeć sobie, nie zważając na szemranie, głosił go i położył na nim kamień węgielny prawodawstwa przyszłego Polski.

Kochan z zazdrością pewną spoglądał na tych ludzi, co, jak Suchywilk, Wierzynek, Waclaw z Tęczyna, umieli królowi służyć, nie czyniąc zawodu, nie ściągając wymówek; on nie umiał nic więcej nad dogadzanie fantazjom jednoliniowym, które zawsze potem niesmak i zgryzoty obudzały.

Nie czynił mu wymówek Kaźmirz za ów związek z Rokiczaną, już ciężący mu, chociaż w istocie Kochan był jego sprawcą, a chwilowy jakiś popęd i obietnica opata Jana dokonały reszty.

Rawa, jak tylko dostrzegł, że Kaźmirz dumą, uporem i chłodem pięknej Krystyny zrażony był, począł już przemyślać nad pozbyciem się jej. Dla niego najpierwszem było panu usłużyć, a ofiary, jakie usługa miała kosztować, wcale go nie obchodziły.

Niemile pożycie z dumną Czeszką, która się natarczywie i nieustannie upominała korony i tytułu królewskiego, więcej niż kiedy króla wypędzały z domu.

Dosyć było wzmianki Waclawa o nowym zamku, który miał, lub mógł zbudować, aby król rozkazał zaraz gotować się do drogi i ruszył oglądać miejsce, obmyślać robotnika i pieniądze, jakie budowa miała kosztować.

Z jednej z takich wycieczek Kaźmirz powracając, miał noc przepędzić w Opocznie; królewscy stanownicy wyprzedzili go kilku dniami wprzód, aby mu obmyśleć wygodny spoczynek.

Na łowach, w podróżach pośpiesznych czasu wojny Kaźmirz się umiał, jak ojciec, lada namiotem, lub szalasem obchodzić; gdy kraj objeżdżał, jako gospodarz, zatrzymywał się wszędzie, chętnie rozmawiał ze wszystkimi, począwszy od sołtysów i kmieci; musiano szukać dlań izby czystej i po-

mieszczenia dla dworu. W takich wycieczkach często, gdy albo miejsce lub ludność uderzyła króla, zamiast jednej nocy, spędzał dni kilka.

Tam, gdzie głód, nieurodzaj, wylew wód dotknęły lud wiejski, król, posłyszawszy skargi, natychmiast szukał środków zaradzenia klęsce. Najczęściej trafiało się, że ci, co nie mieli chleba, powoływani byli do kopania kanałów, do znośzenia budulcu, kamieni, cegły i wznoszenia murów, których Kaźmirz był tak łakomy. Klęska opłacała się krajowi, dając mu grody nowe, gościńce i spławy.

Gdy stanowniczy, zwany Greczynem, a przez innych Hreczyną, przybył do Opoczna obejrzeć się za domem dla króla w miasteczku, w początku zafrasował się wielce, nie znaleźć nie mogąc takiego, co by dla pana i orszaku jego starczyło. Jedyny obszerniejszy i wygodniejszy dom w mieście był własnością Żyda, a Hreczyna, stary człek, przesądny, choć wiedział, że król Żydami, jak innymi mieszkańcami królestwa, opiekował się chętnie, miał wstręt do szukania gospody u niewiernego.

Aaron, żydowin zresztą, nie był jednym z pospolitego gminu izraelskiego, który już wówczas znaczną część mieszkańców małych i wielkich miast stanowił. Pokrewny dzierżawcy żup wielickich, Lewka, kupiec słynący z bogactw, prowadził on handle znaczne, a głównie trudnił się sprzedażą wyrobów złotniczych i drogich kamieni, których dostarczał możliwym i skarbcem kościelnym. Oprócz tego Aaron, który wiele sam widział świata i przepodróżował niemal całą Europę, był człowiekiem, jak mówiono, nauki i rozumu wielkiego, wiadomości rozlicznych i, gdy go nie zajmował handel, siedział nad księgami. Miano go niemal za czarownika i obawiano się, ale szanowano razem, bo wielu dobrze, a nikomu nic nie czynił złego.

W chwili, gdy Hreczyna po miasteczku się kręcił i, nie wiedząc, jak sobie da rady, kłął ciężkie obowiązki stanowniczych, z obwarowanego, jak twierdza, domu Aaronowego wyszedł mąż bardzo poważny, czarno w jedwabie ubrany, z wysoką laską, okowaną srebrem, w ręku, w kołpaku sobolim i rozpytawszy się, wprost zbliżył do stanowniczego.

Chociaż Izraelity się w domu domyślał Hreczyna, a wstręt miał do nich wszystkich, ten, który się doń zbliżał, tak miał poważną postawę, niemal pańską, tak sam jego strój skromny, ale kosztowny, zapowiadał zamożność, iż stary sługa królewski na ukłon jego odpowiedział niemal grzecznie.

Aaron, gdyż on to był sam, nie szedł bez posługi i towarzyszów. Tuż za nim kroczyło dwóch młodszych Izraelitów, odzianych przystojnie, którzy na służbie u niego być musieli.

Hreczyna nie mógł się domysleć, czego Żyd chciał od niego.

— Mówiono mi — odezwał się stary, lecz bardzo jeszcze krzepki Izraelita, ręką witając Hreczynę, — że wasza miłość szukacie dla króla naszego gospody...

— Tak jest, tak — odparł Hreczyna.

Aaron brodę pogładził i, ręką wskazując na dom, z którego wychodził, dodał:

— Mój skromny dom na usługi wasze. Nie będzie on może godnym tak wielkiego pana a monarchy, ale w Opocznie nie znajdziecie lepszego, a w podróży król niewiele wymaga. Będę bardzo szczęśliwym...

Hreczyna byłby może ofiarę odrzucił, lecz nie miał wyboru, domu nie znalazł, a czas upływał.

— Proszę was przestąpić próg mój i spojrzeć — rzekł Aaron. — Ja się z rodziną wyniosę, choćbym na podwórzcu, lub w szopie obozować miał, byle mnie to wielkie szczęście spotkało...

Mówiąc to, Aaron prowadził już stanowniczego. Weszli przez warowne wrota w obszerny podwórzec, na którym stało kilka wozów ładownych, zaledwie wyprężonych. Dookoła otaczały go szopy i składy, stajnia dla koni i różne proste, ale kształtne dosyć budowy. Z jednej strony był dwór duży, powierzchnością niezbyt uderzający, w części murywany, częścią po staroświecku z drzewa wzniesiony.

Aaron wskazał naprzód szopy, obiecując, że je dla orszaku króla opróżnić każe, potem wiódł do wnętrza dworu. Mało kto go znał, jakim był wówczas, bo oprócz jednej większej komnaty, w której Aaron przyjmował, inne były dla odwiedzających go nieprzystępnymi.

Izba ta pierwsza niczem się nie odznaczała, oprócz czystości wielkiej, rzadkiej owego czasu, nawet po dworach ziemian i duchowieństwa. Okna tylko, zamiast błon pospolitych, miały szklane szyby, w ołów oprawione, co jeszcze wielki stanowiło zbytek.

Prędko przeszedłszy tę komnatę, którą ręką wskazał tylko Aaron, otworzył drzwi do drugiej, a tu widok niespodziany wcale zdumione oczy Hreczyny uderzył.

Izba była takiej wielkości, jak pierwsza, lecz niemal z przepychem urządzona i przyozdobiona. Pułap drewnia-

ny rzeźbionemi kwadratami był okryty, ściany miały obicia tkane, podłoga kobiercami była usłana. Dokoła ławy, siedzenia, szafy z dębowego drzewa misternej roboty pochodzić musiały z obcych krajów, gdyż podobnych im jeszcze nie robiono w Polsce. Kosztowne i piękne naczynia cynowe, srebrne, szklane, kamienne widać było na policach.

Dostatek wielki, pański zdumiał Hreczynę, który głową potrzasał.

Niedosyć na tych dwóch, Aaron wskazał jeszcze trzecią komorę, najmniejszą, gdzie i łoże piękne, z namiotem, i wszystek sprzęt był potrzebny w sypialni.

— Starczy to dla pana naszego — rzekł Żyd, obracając się do Hreczyny, — szczęśliwym będę służyć panu mojemu, któremu wielką winienem wdzięczność. Komu innemu — dorzucił ciszej — nietylkobym nie otworzył domu, alebym się od gospody wykupił, bo wiem, że Żydowi z dostatkiem się odkryć nie jest rzeczą bezpieczną. Ale nasz król!!

I gospodarz ręce białe, niespracowane, chude, lecz pięknych kształtów, podniósł do góry.

Hreczyna ofiary odrzucić ani mógł, ani myślał; skłonił głowę. Oglądał się ciekawie, oczom prawie nie wierząc, aby u prostego kupca, w skromnym dworze taki zbytek i takie się mogły znajdować dostatki.

Twarz Aarona rozjaśniła się i natychmiast, odprowadzając do pierwszej komnaty Hreczynę, dał znak jednemu ze sług, aby podróżnemu napój powitalny podano.

Zmęczony stanowniczy rad był i temu, a zwłaszcza, że wino, które mu przyniesiono, doskonałem było, a łakocie zagraniczne smakowały po podróży.

Natychmiast Aaron wydał rozkazy, aby podwórze i szopy opróżnić, sam zajął się usuwaniem ksiąg, zwitków i sprzętów, któreby mogły razić gościa, jako nadto Izraelitę przypominające. Liczna dosyć służba, choć znaczna jej część lichy była odziana i odarta, zaczęła się krzątać, zamiatać, kadzić wonnościami wschodniemi, znosić zewsząd jeszcze sprzęt, jaki się wydawał potrzebny.

Aaron bardzo pragnął wiedzieć, kiedy król przybędzie, gdyż wymawiał sobie tę cześć, aby sam mógł Kaźmirza w swoich progach powitać.

Do wieczora ze stanowniczym byli już w najlepszych stosunkach; Hreczyna, obdarzony, nakarmiony, napojony, rad, że panu wygodny, a mało służbę kosztujący pracy, zgotował

odpoczynek, niemal z poszanowaniem obchodził się z Aarorem.

Tegoż dnia pod noc króla się spodziewano.

Była to znowu wiosna, ciepła już, wczesna i piękna bardzo... We dworze, którego część przeznaczona na królewską gospodę, była oddzieloną od mieszkań, pozostałych rodzinie Aarona, ruch panował wielki. Goniec wysłany zapowiadał przybycie pana. W rynku przyległym, w ulicach cała ludność okoliczna stała, czekając na przyjazd królewski. Miał już Kaźmirz tę wielką miłość u swego ludu, szczególnie biedniejszego, której pamięć dany mu przydomek przechował. Co tylko żyło, wyglądało go... Duchowieństwo stało u drzwi kościoła, ziemianie, którzy się dowiedzieli o przejeździe, osobną stali gromadą na koniach.

Słońce zachodziło, gdy orszak królewski się ukazał.

Król w podróży i wszędzie lubił dosyć występować ze wspaniałością monarszą: niezbyt liczny poczet króla odznaczał się tem, że europejską miał więcej, niż dawnego obyczaju, postawę. Zbroje, suknie, rzędy na konie, wozy, wszystko było z francuska, z niemiecka, z włoska, ale zastosowane do miejscowej potrzeby.

Sam król jechał konno, a że mu się powiodło nowych kilka zamków kazać zakładać, a w Rusi szczególnie był dbałym wielce o nie, aby mu do utrzymania jej dopomagały, twarz miał wesolą, uśmiech na niej dobrotliwy.

Zsiadł naprzód u drzwi kościelnych, aby przyjąć błogosławieństwo kapłańskie, wszedł na chwilę do malej świątynki i nie dosiadając już konia, bo mu Hreczyna bliską wskazał gospodę, pieszo poszedł ku dworowi Aarona.

Stanowniczy wiedział, iż gospodarz sam miał przyjmować króla u progu. W istocie w bramie już czarny jego płaszcz długi widać było, lecz obok biegał jakiś strój i jakaś postać, której Hreczyna wytłumaczyć sobie nie umiał.

Gdy się zbliżyli, obok Aarona ukazała się kobieta, a piękność jej tak nadzwyczajnie była uderzająca, że na widok jej Kaźmirz stanął zdumiony i cały orszak towarzyszących osłupiał niemal.

Było to dziewczę kilkunastoletnie, takiego oblicza, takiej świeżości płci, takich rysów pańskich, szlachtetnych, wdzięcznych, iż królownąby ją nazwać prędzej było można, niż dzieckiem izraelskiem.

Strój też od pereł, jedwabów, klejnotów, wykwinny, bogaty, przyczyniał się do podniesienia wschodniej tej pięk-

ności, która, choć wcześniej przekwita, w pierwszych latach młodości niezrównanego jest blasku.

Ogromne oczy czarne, rzęsami długimi napół przykryte, śmiało i z uczuciem wielkiem wlepiła zdala już w króla. W białych rękach, trochę drżących, trzymała złocistą misę, pokrytą jedwabnym ręcznikiem, złotem szytym. Pomimo wzruszenia, jakie się na jej cudnej malowało twarzyczce, widać w niej było odwagę, którą daje młodość i królewska potęga piękności.

Król oczów nie mógł oderwać od tego zachwycającego zjawiska.

Za zbliżeniem się jego Aaron ręką wskazał na nią i pochyłając się nisko, odezwał:

— Miłościwy panie! Niech będzie błogosławiony dzień i godzina, w której raczyłeś przestąpić próg domu mojego. To jest jedyne dziecko moje, które tobie życie winno — i nie zapomniało o tem... Przyjmijcie od niej upominek.

Na wzmiankę o tem, że piękna owa Żydówka królowi życie miała być winną, wszyscy spojrzeli po sobie zdziwieni; Kaźmirz zaś natychmiast przypomniał owo dziecko, które wraz z pokrwawioną matką w czasie wzburzenia przeciw Żydom w Krakowie wyrwał z rąk oprawców...

Teraz nawet w tej rozkwitłej piękności mógł poznać ową dziewczkę, cudnie już wówczas piękną, gdy przerażona, półomdląła, pod płaszczem jego się tuląc, na zamek z nim biegła.

Aaronowa córka przyklękła przed królem, podnosząc ku niemu misę, którą w rękach drżących trzymała. Ręce jej drżały, lecz oczy, te cudne oczy czarne, z niewymownym wyrazem czci i miłości na Kaźmirza śmiało były zwrócone i mówiły mu, zastępując usta, jak żywą wdzięcznością biło serce.

Schylił się nieco król, dar z rąk jej przyjmując i bardziej jeszcze został przejęty, gdy srebrnym głosem, a czystym językiem polskim młode dziewczę odezwało się do niego:

— Chciałam tylko dnia tego dożyć, aby widzieć mojego pana i dobroczyńcę. Uczyłam się języka, aby nim podziękować.

Z uśmiechem pochyliła się do stóp króla, który podniósł ją prędko i wesoło się odezwał:

— Cóż za śliczny kwiatek z tego pięknego pączka się rozwinął. Jak jej imię?

— Moje imię Esthera — odpowiedziała zarumieniona, lecz odważna dziewczyna.

Idący tuż za królem kapelan szepnął, krzywiąc się:

— *Nomen omen!* bogdajby się nie wywróżyło i to jeszcze.

Aaron z córką wiedli króla do izb mu przeznaczonych. Dwór siedł za nim, zdziwiony trochę, uśmiechając się, ramionami ruszając, niektórzy wielką łaskawością i uprzejmością, jaką król okazywał dla Żydóweczki, zgorszeni, inni szydersko na nią spoglądając, kapelan obruszony i gniewny.

Aaron, wwiódłszy Kaźmirza do izb, których wschodnia woń była upajająca, wskazał stół bogatym obrusem nakryty, naczyniem srebrnem pozłocistem zastawiony i prosił, by posilek przyjąć raczył.

Najdroższe wina, przyprawy, najwytworniejsze ówczesne łakocie, półmiski ryb i zwierzyny czekały na króla.

Z wielką śmiałością, z uśmiechem uroczym Esthera prosiła, aby król pozwolił jej usługiwać sobie. Sama podała mu misę, nalewkę i ręcznik do umycia i gdy Kaźmirz pierścienie zrzucił do umywania, trzymała je, póki nie otarł rąk. W czasie posługi tej uśmiech z jej ust nie schodził, wejrzenie czarnych oczów ścigało króla i upajało.

Zasiadł do stołu sam, a Esthera zastąpiła podczaszego, nalewając mu pierwszy kubek wina.

— Niechże go wychylę za wasze zdrowie — rzekł wesoło Kaźmirz, zwracając się ku niej i stojącemu tuż Aaronowi.

Kaźmirz lubił stół dobry, a że podróż i ruch głód obudziły, wziął się do zastawionych potraw ochoczo, chwając je i dziękując pięknej gospodyni, która, rumieniąc się, ciągle na posłudze trwała.

Parę razy król ją zagadnął o coś; — odpowiadała śmiało, nie trwając się i tak dobrym językiem polskim, iż Kaźmirz musiał jej to pochwalić.

Aaron dumny swą córką, głaszcząc ją pod brodę, począł chwalić w żywe oczy, choć zawstydzona, mowę mu przerwać chciała.

— Perła to moja — mówił — i perła całego rodu naszego. Mała rzecz, że Pan Bóg ją pięknością obdarzył, lecz jej dał to, czego wielu niewiastom poskapił — rozum i miłość nauki, zdolności do wszystkiego!! Czego ona nie umie! czego by się ona nie uczyła! Nie jeden ten język, zna ich ona kilka i mówi niemi doskonale. KobiECE roboty! w tych jej nie przejdzie żadna...

— To mnie dziwi, — przerwał król — że gdy u was mał-

żeństwa się młodo kojarzą, perły waszej dotąd już wam ktoś nie porwał.

Esthera spojrzała na króla i zlekka poruszyły się jej ramiona.

— Chciałem ja ją dać synowi Lewka, dzierżawcy żup, — rzekł Aaron — umówiliśmy się z nim o to, ale ten umarł młodo, a Esthera teraz chce mieć wolę swoją i nie śpieszy a wyprasza mi się, abym jej z domu nie dawał... Prawda, — dodał Aaron — że męża dla niej znaleźć, któryby był jej godnym, nie będzie łatwo...

W ciągu całej wieczery Aaron i jego córka nie ustąpili, król rozmawiał z nimi. Stary i córka jego odpowiadali na zapytania z wielkim rozsądkiem i szczerością. Zdumiewała szczególnie Esthera przytomnością, odwagą, swobodą, z jaką rozmawiała z królem, który z niej nie spuszczał oczów i słuchał z uwagą wielką.

Esthera podała mu wreszcie misę i kubek do umycia rąk po jedzeniu i pożegnawszy niskim do kolan ukłonem, razem z ojcem odeszła.

Dwór, który w czasie wieczery stał we drzwiach, patrzył i przysłuchiwał się, gdy Kaźmirz sam pozostał, przystąpił dopiero, a pierwszym słowem króla było podziwienie nad piękną dziewczeczką i jej rozumem.

— Cóż wy mówicie na to dziwo? — odezwał się do nadchodzących. — Widział kto z was księżniczkę piękniejszą i śmielszą, a mądrzejszą nad tę córkę Izraela? Prawdziwy cud!

Nie przeczył nikt, lecz milczeli wszyscy, bo im ta poufałość z Żydóweczką więcej, niż dziwną się wydawała. Kapełan szczególnie był nachmurzony i kwaśny; inni też znajdowali, że się król nadto pospolitował, dozwalając takiego spoufalenia.

— Nie zapominajcie, — rzekł król, czytając w twarzach dworu — że ja jej życie ocalilem, i że mi ojciec i córka wdzięczność swą wyrazić chcieli. Nie mogłem odrzucić jej, gdy najczęściej ci, którym świadczym najwięcej, inaczej się nam wypłacają.

Wedle zapowiedzi, król noc miał tylko przepędzić w Opocznie, oświadczył jednak zaraz, że czując się zmęczonym, następny dzień radby tu spocząć nieco. Złośliwi ludzie zrozumieli to wcale inaczej, uśmiechano się i żartowano, lecz Kaźmirz nie zwykł był nigdy zważać na to, jak ludzie jego czynności sobie tłumaczyli.

Następnego dnia przy obiedzie piękna gospodyni przyszła znowu z wdzięcznym uśmiechem usługiwać panu swojemu wraz z ojcem. Mowa była o niedawnych prześladowaniach Żydów w tych krajach, które morowe nawiedziło powietrze, o potwarzach na nich rzucanych, o losie ich nieszczęśliwym. Esthera umiała go wymownie malować. Przypomniał Aaron stary Bolesławowski, Żydom dany przywilej, prawne ich położenie w Polsce zabezpieczający, a Kaźmirz po namyśle obiecał go rozpatrzyć i, gdyby potrzeba było, odnowić.

Dzień też upłynął i dla dworu króla wesoło, gdyż Aaron podejmował wszystkich po pańsku, dostarczając co tylko potrzebować mogli ludzie, służba i konie.

Dziwiono się hojności Izraelity i dostatkom jego. Uważano i to, że Esthera, która pierwszego dnia wystąpiła w stroju kosztownym, nazajutrz zupełnie go zmieniła, przybrała klejnoty nowe, suknie piękniejsze jeszcze i dnia tego wydawała się znowu w inny sposób zdumiewającą wdziękami. W czasie stołu król ze stojącą przed nim rozmawiał ciągle, a Aaron nie śpieszył z odpowiedziami na pytania, które ona daleko piękniej i jaśniej rozwiązywała.

W istocie dziwić się było potrzeba w młodem dziewczęciu takiej umysłu przytomności, pamięci i rozmowie. Niewiele niewiast naówczas, nawet na dworach królewskich, znaleźć było można równie usposobionych; szczególny dar trzeba było przyznać kobiecie, która prześcigała płeć swą, stan i wiek.

Nic dziwnego, że gdy król trzeciego dnia, po pożegnaniu gospodarzy swych, z Opoczna wyjechał, przez całą drogę nie mówił i nie myślał tylko o pięknej Estherze, ubolewając, że się takie cudo narodziło w plemienu wzgardzonym i przeznaczone było na los wcale niezazdrosny...

Kochan, będąc w orszaku królewskim, przysłuchiwał się temu z uwagą wielką. Snuł on już na przyszłość plany.

Zapał, z jakim się Kaźmirz odzywał o Estherze, zapowiadać się zdawał, iż niełatwo o niej zapomni.

— Rokiczenie ostatnia godzina wybiję niezadługo — mówił w duchu. — Zbrzydnie mu ona teraz bardziej jeszcze!

W istocie, powróciwszy do Krakowa, król nie śpieszył do Czeszki, chociaż wiedział, że mu obiecywała potomka, którego narodzin się wkrótce spodziewano.

Uradowałoby go to było, gdyby małżeństwo jeszcze za ważne w jakikolwiek sposób uznanem być mogło. Dziś

zgodnie wszystkiemi głasy postępek opata Jana potępiano i nikt ślubu tego za prawowity nie uważał.

Posłano w sekrecie zapytanie do papieża, czyliby w jakikolwiek sposób nie dał się związek uprawnić, odpowiedź przyszła stanowczo zaprzeczająca.

Być bardzo może, iż starania królowej Elżbiety i syna jej przyczyniły się do tego. Obawa, aby Ludwik tronu polskiego nie stracił, była wielką.

Siostra, która starała się widzieć z bratem, ciągle posyłała wyprawiała, wystawiała mu mniemane małżeństwo jako postępek, którego nawet różgłaszać się nie godziło.

Zobojętnienie króla dla Rokiczany ze wszystkiego jednak najwięcej wpłynęło na zapomnienie i lekceważenie ślubu danego w Tyńcu... Król nie mówił z nią nigdy o nim, a teraz coraz ją rzadziej widywał i spotkania unikał.

Dumna Czeszka, zamiast chcieć go przebłagać i przedjednać łagodnością i dobrocią, stawiała się coraz gniewniejszą, opryskliwszą, groźniejszą.

Bliską będąc słabości, wezwała do siebie Kaźmirza i, gdy zmuszony przyjść, ukazał się w progu, wstała, wyrzutami go obarczając.

— Nie napraszałam się wam, — zawołała — nie pragnęłam tej korony... Byłam szczęśliwą, szanowaną, miałam dostatki, mogłam wybierać między rycerstwem cesarskiego dworu... Uwiedliście mnie królewskim słowem, uwiedli ślubem fałszywym — Bóg was skarze za mnie!

Napróżno Kaźmirz starał się ją uspokoić: odpychała go, domagając się praw swoich.

— Miłośnicą twoją, ani niczyją nie mogłam być, — wołała — nie byłam, jestem żoną... Pójdę ze skargą do papieża, rozgłoszę światu podstęp niegodny...

Ścigany temi i podobnemi wyrzutami, Kaźmirz uszedł od niej, zmieszany, strapiony, czując swą winę.

Opat, który go na tę drogę wprowadził, aby uniknąć wymówek, udał się był zagranicę... Nie było go na Tyńcu. Biskup krakowski, z którym zgoda opłacona drogo, przychodziła do skutku, o ślubie tym ani słyszeć nie chciał.

Zamyślano Rokiczańę z zamku krakowskiego oddalić, gdzie nazbyt wielu oczu i uszu było świadkami królewskiego upokorzenia. Lecz chorą, nieszczęśliwą, chyba siłą było można stąd przenieść, oświadczyła bowiem, iż się nie ruszy i praw swoich do zgonu choćby bronić będzie.

Rodzina można, powołana przez nią, mając na dworze

cesarskim stosunki, aż do pośrednictwa Karola się udała, aby uwiedzionej uzyskać zadośćuczynienie.

Cesarz jednak mieszać się nie chciał w tę sprawę i swym zwyczajem, ostrem a niełitościwem, szyderskim słowem Rokiczanów odprawił.

Narodzenie syna, któreby króla szczęśliwym uczyniło, jakby szyderstwem losu przyszło wśród tych zgryzot i zartarów. Nie zmieniło ono losu kobiety, którą Kaźmirz właśnie dlatego znienawidził, że czuł względem niej winę swoją.

Szło już tylko o znalezienie środka jakiegoś, mogącego rozłączenie ułatwić.

Kochan chodził zadumany, próbując namowy, obietnic, grózb nawet, a nie mogąc złamać oporu mężnej niewiasty, która gotową się opowiadała choćby ginąć, a nie ustąpić nic...

— Jestem żoną królewską, — powtarzała — ktokolwiek bądź ślub nam dawał, błogosławiono nam w kościele... Niech winowajca zostanie ukarany, — jam była niewinna. Zgrzeszyłam tem tylko, że wierzyłam słowu króla i zapragnęła tej korony, która dla mnie cierniową być miała...

Kaźmirz nie miał nic do wyrzucenia Rokiczanie, brakło mu nawet pozoru do rozstania się z tą, którą na chwilę taką namiętną miłością pokochał.

W orszaku nieszczęśliwej Czeszki przybyła z nią z Pragi i znajdowała się dotąd Zonia, która tak bardzo pragnęła do Krakowa się dostać i równie pono, jak jej pani, była w nadziejach zawiedziona.

Kochan, na którego naprzód rachowała, przyjacielem jej był zawsze, lecz o małżeństwie mówić sobie nie dawał.

Śmiejąc się, odpowiadał na przymówki, iż coraz większe czuł powołanie do stanu duchownego i drogi do niego sobie zawiązywać nie chce. Groził, że wkrótce przywdzieje habit mniszy, ale ze spełnieniem tego postanowienia nie śpieszył.

Inni też przyjaciele Zoni do załotów szli ochoczo, lecz o małżeństwie nie wspominali.

Zonia chwilami wraz ze swą panią na całą Polskę, na dwór, na króla, na wszystko, co tu znalazła, wykrzykiwała, żale rozwodząc; potem przychodziły na nią chwile, gdy ją Rokiczana obejściem się ostrem zrażała, że przeciw niej powstawała gwałtownie.

Wiedziała ona, że pozbyć się Czeszki chciano, że szukano, coby jej zadać i czem królewskie zniechęcenie wytłumaczyć.

Raz, gdy Kochan otwarcie się przed nią wygadał, dowcipne dziewczę, z minką tajemniczą, odezwalo się dwuznacznie:

— Może, gdybym ja chciała, znalazłoby się coś do powiedzenia przeciw tej słomianej królowej, ale mi jej żal! Takżeście ją zwiedli, jak wszystkie nas zwodzicie!

Utkwiło to w pamięci Kochanowi, zaczął dopytywać usilnie, dziewczę się śmiało.

— Wicie o jakim kochanku jej? — pytał.

— Co to, to nie! — śmiała się Zonia. — Coś wiem może od tego gorszego, ale jej kochankowie nie w głowie. Ona nigdy nie kochała nikogo...

— Co? Może królowi co zadać chciała, przez zemstę? — próbował Kochan.

Zonia śmiała się coraz mocniej.

— Gdybyście trzy dni i trzy noce sobie głowę łamali, nie zgadniecie; to próżno! A że ja coś wiem... to jak Bóg Bogiem prawda, i że wam zdrajcom, kobiet zwodzicielom, nie powiem, to też prawda!

W nadziei wydobycia z niej tajemnicy, Rawa stał się czulszym, nadskakującym, rozmiłowanym na nowo; dziewczę zrozumiało dobrze cel jego i wyśmiało niezręczność.

— Jeśli myślicie, że się wygadał za darmo, ho! ho! to mylicie się srodze...

— Myślicie sprzedać tajemnicę? no to mówcie, co chcecie za nią?

— Za pieniądze jej nie dam! — odparło dziewczę. — A wreszcie kobiety mi żal...

— Balamucicie mnie tylko — zawołał Rawa. — Nie wiecie nic, dlatego i powiedzieć nie możecie.

Zonia uderzyła się w piersi.

— Że wiem, na tom przysiąc gotowa...

Łamał głowę Kochan, sposobu z nią nie było.

Po kilku dniach naparł znowu.

— Mówiłaś, że tajemnicy twej nie dasz darmo i że jej za pieniądze nie sprzedasz, cóż za nią chcesz?

Zonia popatrzała mu w oczy.

— Ożenisz się ze mną? — zapytała. — Ale nie żaden opat z Tyńca ślub nam będzie dawał, tylko na zamku wobec wszystkich, albo biskup, lub kto tu z nich najstarszy, w biały dzień...

Rawa wziął to za żarty i obrócił w śmiech.

Jednakże tajemnica Rokiczany nie wychodziła mu z my-

śli. Sądził, że może która ze służebnych wie coś także, począł śledzić i tego tylko doszedł i dopytał, iż królowa, jak dawniej w Pradze, ze starą ochmistrzynią codziennie zwykła była zamykać się w osobnym pokoju, do którego wszystkim przystęp był wzbroniony, tak i na Wawelu z Zonią z rana, a czasem i parę razy w ciągu doby do osobnej komórki chodziła i w niej się z nią na klucz zamykała.

Żadna z niewiast służebnych podpatrzeć nie mogła, co one tam robiły. Wychodziła stamtąd odświeżona i odmłodzona z włosami utrefionemi...

W istocie więc Zonia mogła jakąś wiedzieć tajemnicę.

Za drugim spotkaniem Rawa ponowił Zoni ofiarę, jakiejby zapragnęła za sekret swój, z wyjątkiem tylko małżeństwa, do którego wstręt miał nieprzezwyyczajony.

— A jam sobie słowo dała, — odparła filutka — że w Polsce zamąż wyjść muszę.

— No to ja ci innego wyszukam męża na moje miejsce — rzekł, śmiejąc się, Kochan.

— Zgoda, — odpowiedziała Zonia — ale potrzeba, żebym ja go sobie wybrała sama. Chcę go mieć bogatym, młodym, przystojnym, a za mieszczanina nie pójdę, — rycerz być musi!...

— Za wiele żądasz! — zaśmiał się Kochan.

— Bo wiem, że to, co dam wzamian, wiele warto — mówiła Zonia półzartem. — Chcecie się jej pozbyć, a nie macie jej co zarzucić, prawda? cięży wam? Otóż sposób w moim ręku. Zdradzę biedne kobiecisko, — westchnęła — żeby było przynajmniej za co pokutować. Dajcie mi męża, jakiego chcę!

Kochan brał to znowu za żarty, lecz przekonał się po dniach kilku, że Zonia w istocie na taki frymark rachowała.

— Jaby to tego nie uczyniła — dodała, uspokajając sumienie — za żadne skarby świata, nawet dla czepeca na głowę, ale cóż? wy, czy tak, czy owak Rokiczany się pozbędziecie, nie dziś, to jutro... niechże wasza niepoczciwość choć się komu na co przyda...

Zabiegi Kochana, który jednego dnia wierzył Czeszce, drugiego nie dowierzał i posądzał ją o podstęp, ciągnęły się długo. Zonia nie ustępowała, starając się rozbudzić żywą ciekawość w Rawie i drażnić go coraz więcej.

Lubił ją za wesołość i szczebiotliwość Kochan, chętnie z nią przestawał, ale zalotności się obawiając, żenić nie chciał. Napytał więc ubogiego wprawdzie, lecz z nadziejami

spadku po stryju i łask królewskich młodego i przystojnego Doliwę Janka i poczał go swatać Zoni... Oświadczyła, że z biedy go wziąć gotowa...

Kochan mu od króla (choć bez jego wiedzy) obiecywał złote góry. Chłopak krwi gorącej, gdy go zalotne dziewczę w obroty wzięło, głowę stracił. Gotów był i do ślubu.

Lecz z Zonią przebiegłą i nieufną do końca trafić było trudno. Zgadzała się na wszystko, tajemnicę objawić obiecywała, nie inaczej jednak, jak po swym ślubie.

Kochan tak już był zniecierpliwiony oczekiwaniem, że i na to się zgodził...

Za królewską zgodą, bo Doliwa był pod opieką jego, Janek miał się żenić. Wesele na zamku kosztem pańskim się odbyło.

Przy wyjściu z kościoła czatował Kochan na pannę młodą i szedł przy niej do izby, w której ucztą weselną zastawioną była. Zonia się uśmiechała żartobliwie.

— A coby było, — szeptała — gdybym ja teraz, jak dzieci, co grają w cetno, czy lichu, otwarła dłoń i pokazała, że w niej niema nic?

Kochan pogroził.

Wytrzymawszy go, pani młoda rzekła mu w ostatku:

— Jutro rano przyjdiesz do mnie, a dowiesz się, co potrzeba...

Rawa stawil się do państwa młodych, Zonia przyjęła go z minką napół figlarną, pół kwaśną. Stała zamyślona długo, nim mówić poczęła.

— Codzień rano — rzekła pocichu i jakby zmuszona — królowa idzie ze mną do komory i zamyka się... Jutro... ja drzwi na klucz spuścić zapomnę; niech król przyjdzie, a to, co zobaczy... wystarczy mu...

Nie dokończyła i odbiegła prędko, więcej już nie chcąc powiedzieć.

Kochan został już z tą niepewnością, z jaką przyszedł. Udał się do Kaźmirza i musiał mu się szeroko wytłumaczyć z tego, co przedsięwziął. Zakończył tem, co mu Zonia powiedziała.

Oddawna król Rokiczany unikał i nie bywał u niej: wymówki i przekleństwa go nużyły. Zmarszczył się, pomyślał.

— Pójdę więc — rzekł. — O niej i o synu jej pamiętać będę, nie opuszczę ich, ale kobiety złej i nieznośnej pozbyć się muszę.

Następującego dnia wszystko było tak osnute, ażeby Ka-

źmirz, wchodząc do Rokiczany, nie zastał nikogo i by przyjsie jego do owej komory, w której się zwykła była przystrajać, wydawało się przypadkowem.

Kochan doprowadził go do mieszkania. W rannej godzinie służba niewieścia i męska była rozpiezchła, w komnatach nikogo. Kaźmirz przeszedł je wolnym krokiem i do wskazanych mu drzwi dostawszy się, za klamkę ujął.

Nie były one zaparte... wszedł, lecz na głos jego kroków Zonia, niby przelekła, za późno, aby go wstrzymać, rzuciła się do drzwi.

Rokiczana siedziała na wezgłowiu przed zwierciadłem, z głową obnażoną... Zwykle okrywał ją piękny, ciemny bujny włos, w trefionych misternie splotach otaczający owal twarzy...

W tej chwili ujrzał król głowę tę całkiem prawie włosów pozbawioną, wyłysiałą i skutkiem zapewne leków, których używała, okrytą plamami i bliznami czerwonemi.

Rokiczana, widząc nadchodzącego króla, przed którym tajemnicę tę tak długo i zręcznie ukrywać się starała, krzyknęła straszliwie, rękami twarz zakryła, pochyliła się na stół. Chwilę krótką zdawało się, że omdleje, lecz zamiast mdłości, gniew ją ogarnął.

Z rozpuszczoną włosów swych resztą, z oczyma zaognionemi, porwała się przeciw Kaźmirzowi.

— Patrz! — zawołała — chciałeś tego zapewne, abyś mnie podejrział i wiedział, jaką jestem... Zdradzono mnie, wydano... Al wstydu tego nie zniosę!

Blisko stojącą Zonię silną ręką popchnęła od siebie ze złością.

— Precz mi z oczów, ty źmijo! — krzyknęła.

Król stał niemy; wstręt go większy jeszcze ogarnął na widok kalectwa kobiety i wzruszenia, jakiego doznała, ale i litość zarazem.

— Nie możecie się skarżyć na to, abyście byli oszukana, — odezwał się — bo i wy mnie oszukiwaliście długo... Żyćbyśmy dłużej z sobą nie mogli; wiecznie się wzajem gryźć i kasać obojgu nam nie przystało. Lepiej uczynicie, opuszczając Kraków; o synaczku ja nie zapomnę i wychowam go jak królewskie dziecię.

Rokiczana, padłszy na siedzenie, już nic nie słuchała, zachodząc się od płaczu i jęków.

Kaźmirz, nie mówiąc więcej, wyszedł, zostawując ją sa-

mą, a Kochan, z rozkazu jego, wysłał natychmiast służebne, aby miały o niej staranie.

Tegoż dnia sędziwy kapłan, który był spowiednikiem słomianej królowej, przyszedł do niej z poleceniem od króla dla układów...

Rokiczana, która dotąd niewzruszenie się opierała wyjazdowi i powrotowi do Pragi, nie obstawała już więcej, by zostać w Krakowie. Z dumą, która jej nie opuszczała nigdy, zabezpieczając przyszłość dziecięcia swego, dla siebie nie chciała nic — odmówiła darów i wyposażenia. Wszystkie klejnoty, któremi ją król obdarzył, zebrane razem, kazała odnieść do skarbcza, nic sobie nie chcąc pozostawić, nawet pierścienia z szafirem, który był pierwszym łańcucha dziś skruszonego ogniwnem.

Jak dawniej z uporem, opuszczona od wszystkich, umiała wytrwać na stanowisku, tak teraz z pośpiechem nadzwyczajnym czyniła przygotowania do podróży. Nie chciała ani godziny dłużej pozostać tutaj; — odmówiła rozmowy wszystkim, co się do niej zgłaszali, dziecięcia, aż do wzrostu, oddać i od siebie odłączyć nie dała.

Jednego poranka, nim się na brzask zebrało, potajemnie, unikając ludzkich oczu, w małym orszaku, wozem zakrytym, wyruszyła cicho z zamku krakowskiego, osłoniwszy się tak dokoła, aby jej nikt widzieć i poznać nie mógł w drodze.

W niewielkiem od miasta oddaleniu czekał na nią brat z pocztą dostatecznym, aby ją bezpiecznie przeprowadzić do Pragi...

Gdy rano Kochan królowi dał znać, iż Czeszki na zamku już nie było, odetchnął swobodniej Kaźmirz, lecz chmura nie zeszła z czoła jego. Ciężki wyrzut zachował w głębi serca przeciwko samemu sobie. Teraz, gdy jej już nie było, żałował jej... bolał, litował się, a drugiego dnia wyprawił Kochana za nią do Pragi, aby się dowiedział o podróży, przybyciu i dalszych jej zamiarach, zapewniając, że zawsze na opiekę jego może rachować.

Posłuszny ulubieniec pojechał, chociaż przeczuwał, jakie go tam spotka przyjęcie. Nie śpieszył z podróżą wcale, umieszcił się u Wujków, gdzie po śmierci ojca Zoni brat gospodarzył, i niechętnie powlókł się do znanej sobie kamienicy, w której Krystyna znowu mieszkanie zajęła.

Chociaż przybyła niedawno, miała już czas swój dwór i czeladź tak zebrać, przystroić i rozmieścić, iż Kochan zna-

laż tu niemal królewskie otoczenie i porządek, obyczajem pańskim ustanowiony.

Marszałek dworu, któremu się oznajmić musiał, poszedł o nim i o poselstwie jego oznajmić swej pani.

Kochan w przedsieni czekać musiał na posłuchanie i zrazu mu go odmówiono. Nalegał na marszałka z tem, że nie odjedzie do Krakowa tak pogardliwie zbyty. Poczęły się więc układy i upór posła zwyciężył.

Piękna Krystyna jeszcze po długich sporach naznaczyła przyjęcia godzinę.

Gdy Kochan nadszedł, znalazł cały dwór jej wspaniale ustrojony, w przedsieniach i bocznych izbach stojący jak na pokaz, a ją samą w głównej komnacie, na zlocistem siedzeniu, przepysznie ubraną, przystrojoną klejnotami, z małym, naumyślnie włożonym diademem na głowie, dumną i majestatyczną, jak królowę.

Nie zrzekała się ona dostojności i tytułu, do którego wierzyla, iż miała prawo.

Skinęła zaledwie głową posłowi, bez najmniejszego wzruszenia wysłuchiwała przemówienia jego i odparła obojętnie:

— Możesz donieść panu swojemu, że Rokiczana nic od niego nie potrzebuje; żadnej nie przyjąwszy łaski, godność swą zachować potrafi i wstydu mu nie uczyni!

Nie było się więc co w dłuższą wdawać rozmowę, a Krystyna, kilka słów tych rzuciwszy ulubieńcowi królewskiemu, wstała natychmiast z siedzenia, dwóm przybranym w barwę szkarłatną paziom dawszy znak, aby ogon sukni jej nieśli za nią. Niewieści orszak w porządku i milczeniu parami wysunął się za odchodzącą w głąb dworca.

Marszałek dworu Rokiczany zapraszał potem Kochana na przygotowaną wieczerzę, lecz po przyjęciu, jakiego doznał, ulubieniec króla chleba w tym domu przełamać z nikim nie chciał i z dumą też, pożegnawszy go, odszedł.

Nie było królowi przyjemnem to, że Rokiczana, zawsze się królową mianując, chciała nią pozostać do żywota, wolałby był pewnie wydać ją za mąż i widzieć zatartą pamięć błędu; lecz charakter niewiasty spodziewać się tego nie dozwalał.

Tak uwolniony od krępującego go związku, król najmocniejsze powziął postanowienie nie zawierać już żadnych ślubów nowych, nie dać się uwieść nowej szczęścia domowego nadziei.

Poddawał się losowi swemu i wyrokowi temu, który od-

dawna brzmiał mu złowieszczą przepowiednią: — nie zostawisz po sobie potomka...

W sile wieku jeszcze, z sercem młodem, zobojętniały przez tę próżną z losem walkę, w której tylekroć był zwyciężonym, znużony, smutny, cały się znowu oddał spełnieniu tego, co po nim miało zostać wiekiustą pamiątką.

Na tem polu król widział jakby czarodziejską różdżką spełniające się wszystkie życzenia swe, wcielające myśli.

Rosły w oczach zamki i grody, mnożyły się w skarbcach zbiory, kraj wśród pokoju zaludniał, przybysze z Niemiec i innych ziem sąsiednich płynęli doń; rosła i sława wielkiego króla i potęga jego, i siły wewnętrzne państwa.

Gdy wśród tych dostatków i pomyślności przyjaciele królewscy, Wierzynek, Kochan, sługa wierny, ks. Suchywilk, Bogorja, Wacław z Tęczyna widzieli zasępione czoło, błędnie czasem chodzące oczy, jakby szukały po świecie czegoś marzonego, — litowali się nad panem wszyscy.

— Co mu po tem wszystkim, — mówili — gdy szczęścia nie ma i mieć go nie może!

Kochan ramionami ruszał niecierpliwie.

— Dlaczego nie może? — odpowiadał. — Los go, prawda, prześladował długo, ale w jego wieku rozpaczać się nie godzi. Wolny jest, ożenić się może; wolny jest, niewiaстę sobie wedle serca wyszuka.

Lecz król, ilekroć Kochan dał mu zręcznie do zrozumienia, iżby mógł towarzyszkę znaleźć, ramionami wzgardliwie odpowiadał i wnet rozmowę na inny przedmiot odwracał.

Unikał nawet wszelkiej zręczności, w którejby z niewiastami mógł się spotykać.

ESTHERA

Król miał jechać na łowy. Nie był on zapalonym ich miłośnikiem, nie tęsknił za niemi, jak inni jego poprzednicy, jak wszyscy niemal współcześni książęta i rycerstwo, dla których one, czasu pokoju, były jakby wprawą do wojny i jedyną męską zabawą, lecz gdy raz wyjechał z ogary, z oszczepy, z ptaki i łucznikami swoimi, gdy w lasy się zapuścił, gdy mu psy zagrały, zwierzył się pomknął, odzywała się gorąca krew w nim i zapędzał się za jeleniem, za żubrem lub łosiem tak zapalczywie, jak inni.

Niemniej też od drugih był wprawny w ciskaniu strzały lub oszczepu, niemniej wytrwały na niewczasy i znużenie, lecz miłszem mu było poufale towarzystwo mądrych ludzi, długie u stołu biesiady i rozmowy, a nawet prosta z kmieciem pogadanka.

W polu, gdy chłopą przy robocie zobaczył, a ci go wszyscy znali w tych okolicach, w których częściej przebywał, mało kiedy się nie zatrzymał, na pozdrowienie nie odpowiedział, nie pożartował poufale, nie pocieszył lub nie obdarzył.

Zazdrosne rycerstwo za złe mu to miało; pokątnie a kwaśno szydzono z tego upodobania. Byli i tacy, co przypominali, że chłopci i kmiecie Łoktkowi ojcu pierwsi w pomoc przyszli, gdy się państwa dobijał na nowo i przypisywano to wdzięczności.

Kaźmirz wiedział o tem, że go chłopskim królem zwano, uśmiechał się i wcale nie gniewał, choć naówczas obelżywe to było nazwanie.

— Chłopskim i mieszczańskim chcę być — mawiał — równie jak ziemian i rycerzy. Wszyscy u mnie dobrzy, co na tej ziemi mieszkają, pracują i potem ją swym oblewają.

A im panosze i rycerstwo więcej na to sarkano, tem król jawniej się ze swą miłością dla ludu okazywał na przekorę.

Miał nie tylko serce dlań, ale i tę fantazję pańską, by nie po cudzej myśli iść, ale wedle własnej i jak sobie raz zamierzał.

Laskawym będąc, surowym być umiał też, zwłaszcza dla tych, co mu się ostro stawiali. Nie gniewał się i nie burzył, często uśmierzał, opór spotykając, a szedł tem mocniej i dzielniej przeciwko niemu.

Rycerskie to było usposobienie, szlachetne, pańskie a ufne w siebie. Mnogie powodzenia dały mu tę pewność i wiarę, jedną tylko zachwiałszy nadzieję, by kiedykolwiek potomka miał po sobie zostawić.

Przekleństwo Amadejów, sprawiedliwe, czy nie, ciążyło na nim.

Swatano go ciągle; obawiał się próby nowej, lękał samego siebie, znając swe serce, które łatwo umiłować mogło, bo miłować pragnęło, lecz zrażało się rychło, gdy piękna istota zmieniała się wprędce w brzemię nieznośne.

W chwili, gdy już na koń miał siadać, odziewszy się w kaftan, przypasawszy miecz myśliwski, oglądając się za trąbką myśliwską, którą miał na ramionach zawiesić, Kochan wszedł z dziwnie wyjaśnioną twarzą.

Król go tak znał, że z jego uśmiechu łatwo myśl i humor czytał.

— Cóż ci to? — spytał. — Widzę, żeś rad czemuś?

— Ja? nie — odparł Rawa, ramionami poruszywszy zlekka — ale, tylko co mi Gozdawa Zbysz opowiadał coś...

Król, trąbkę trzymając w ręku, nie wkładał jej, patrzył na Kochana i powieści czekał. Był pewien, że ona wkrótce nastąpi.

— Cóż ci to przyniósł Gozdawa?

— Powiadał mi, że w Krakowie widział piękną Estherę z Opoczna...

Spojrzał na króla, który, nie chcąc się może wydać z żywą ciekawością, na trąbkę spoglądał.

— Mówi, że... — począł.

— Wydano ją pewnie za mąż do Krakowa? — zapytał król.

— Za mąż nie wyszła, straciła ojca... — ciągnął Kochan dalej — i co dziwniej na Żydówkę, bo u nich niewiasty mało, albo i nic nie znaczą, sama pono się rządzi... Przeniosła się tu na mieszkanie.

— Rodzina czuwać nad nią musi — rzekł król, zwolna sznur od trąbki nakładając na ramię, w czem mu Kochan dopomógł.

— Ona opieki nie potrzebuje, bo rozumniejsza jest od nich wszystkich — mówił Rawa. — Właśnie to osobliwe, że oni przez pamięć na Aarona i poszanowanie w niej wielkiego rozumu, z którego słynie, dają się jej rządzić samej...

Każmirz spojrział, nic nie mówiąc.

— Cóż? zamąż się wydaje? — powtórzył.

— Nie słyhać o tem — dodał Kochan. — Gozdawa tyle tylko wie, że jak była piękną, kiedyśmy ją widzieli w Opocznie, tak jeszcze jest teraz piękniejszą. Żydzi, nie Żydzi, kto ją zobaczy, powiada, że takiej niewiasty, jako żyw, nie widział!!

Wtem na podwórcu trąbić zaczęto na łowców, król ruszył się wychodzić.

Spytał o psy swoje i tem Kochanowi dał do myślenia, że piękną Estherą wcale się nie zajmuje.

Zwrot ten króla dla tak dobrze, jak Rawa, znającego go człowieka miał zawsze inne znaczenie, niżby mógł mieć dla kogoś obcego.

Nie przedłużył Kochan rozmowy, Każmirz wyszedł konia dosiąść i ruszył na łowy.

Trzeciego czy czwartego dnia, gdy Kochan sądził, iż król zapomniał o tej rozmowie, nagle spytał go przy końcu obiadu:

— Cóż tam, Kochan, masz nowe wiadomości o tej Estherze, która cię tak żywo obchodzi?

Był to znak, że król sam o niej myślał.

— Nowego nie mam nic, — odparł dworzanin — lecz gdyby potrzeba było, gotowem się dowiedzieć!

Zmarszczył się Każmirz i rzekł sucho:

— Jeśli tobie potrzeba...

Na tem się wszystko skończyło, lecz Rawa zachował przekonanie, iż piękność Esthery nie została zapomniana.

Po smutnem doświadczeniu z Rokiczaną, którą potrosze miał na sumieniu, nie śmiał już uczynić kroku żadnego.

Dzierżawca żup wielickich, Lewko, przyszedł w tych dniach do króla za sprawami żupnemi.

Był to jeden z tych ludzi, którym Każmirz, doświadczywszy ich, ufał całkowicie, czego dowodem było, że Lewkowi, wspólnie z Janem Jelitkiem, do wiernych rąk oddał monetę swą i mennicę.

Lewko, chociaż nie dzierżawił żup solnych, bo z nim Drukla, Henzel Burg, Arnold Welker i Bartko, należący do

mennicy, wspólnie ją trzymali, wielkie miał u króla zaufanie. Człek był słateczny, rozumny i dobrej rady.

Przeszłych czasów skarb ten, jakim były kopalnie soli, szarpali potrosze wszyscy, nieład w nich panował wielki. Szlachta, roszcząc sobie jakieś prawa do soli, mieszała się do gospodarstwa, narzucała żupnikom ciężary rozmaite, gospodarzyła tu, napadala każdego czasu. Król właśnie teraz chciał porządek surowy wprowadzić i pod gardłem zabronić nawet zwiedzania żup bez pozwolenia; a sobie i podkomorzemu, od siebie wyznaczonemu, pozostawić wyłączne prawo rozporządzania dochodami.

Ciężary terażniejszych dzierżawców ograniczały się tylko do utrzymywania królewskich koni, sześciu ubogich żywno w Wieliczce, a sześciu w Bochni, którzy za duszę rodzi-ców króla modlić się byli obowiązani.

O ustanowieniu rady zwierzchniej nad żupami król miał z Lewkiem się naradzać.

Izraelita ten był innego kroju i postawy niż Aaron. Równie jak on, majątny, mniej chciał się wydawać z pochodzeniem swoim; nosił się bogato, a strojem niewiele różnił od chrześcijan.

Przestawał też więcej z chrześcijanami, nie unikał ich, a umiał się z ludźmi wszelkiego stanu tak obchodzić, iż i powagę swą utrzymywał, i niczyjej nie uczynił ujmy.

Już podżyły Lewko, wyglądał młodo i zdrowo. Rysy twarzy wybitnie wschodniego typu, czarne biegające oczy, usta uśmiechnięte, czoło wysokie czyniło go pięknym jeszcze. W wejrzeniu widać było przebiegłość, której ówczesne położenie Izraelitów wszystkich uczyło.

Król go mile widział i mawiał z nim poufale o sprawach soli i monety. I tym razem przeciągnęły się pytania, odpowiedzi i objaśnienia. Lewko miał odejść, jak zwykle wielce uspokojony królewskimi słowy, gdy Kaźmirz zwrócił się do już cofającego się ku drzwiom.

— Słuchaj, Lewko, — rzekł — odpoczywając w Opocznie, stałem w domu krewnego waszego, Aarona. Widziałem tam naówczas córkę jego, Estherę. Mówiono mi niedawno, że staremu się zmarło i pozostała sierotą. Wydajecie ją za mąż zapewne?

Lewko, zdziwiony pytaniem, przybrał zakłopotany wyraz twarzy, głową poruszył, pomilczał, jakby namyślając się, i nierychło począł, zbliżając się znowu do króla:

— Mamy dosyć frasunku z tą jedyną córką Aarona —

rzekł. — Zostawił jej majątek piękny, ale postąpił źle przez wielką miłość dla jedynaczki; dozwolił jej wychowania takiego, które się na nic kobiecie nie zdało. Dziewczynie ta jej mądrość głowę przewróciła. Do czego jest kobieta? — dodał Lewek poważnie. — Ażeby była matką naszych dzieci, aby domu, kuchni i gospodarstwa pilnowała... Uczyć się nie jej rzecz! To też, która z nich cokolwiek nauki dostanie, zaraz jej ona idzie do głowy, tak i z Estherą się stało. Nasi Żydowie jej nie smakuja, za lada kogo wyjść nie chce i mamy z nią wiele frasunku! — powtórzył, wzdychając. — Przybyła do Krakowa sama ze swą ciotką, wdową bezdzietną i coby miała jak najprędzej męża z naszych rąk wziąć, sama nie wie, kogo i czego chce, na co czeka. Nie chcieliśmy jej gwałtu czynić, a szkoda, bo i piękna jest i, na biedę swą — rozumna!

Król trochę przeciągłego narzekania Lewka słuchał z uwagą, patrząc nań i nie przerywając mu.

— Cóż z nią czynić myślicie? — zapytał.

— Nic jeszcze familja nie postanowiła, — rzekł Lewko — ale wkońcu i nasi duchowni, i my musimy dziewczynę komuś dać, — prawo nasze nakazuje. Szkoda niewiasty pięknej. Całe nieszczęście, że nadto rozumna.

Król się uśmiechnął.

— Prawda, — dodał — rozumna, śmiała jest, ale i piękna...

Lewko na wspomnienie piękności popatrzył z pewną obawą na króla, nic nie odpowiedział, skłonił się i chciał odejść, gdy Kaźmirz dorzucił:

— Wicie, żem ja temu dziewczęciu szczęśliwie życie ocalił. Dlatego los jego mnie obchodzi.

Lewko skłonił się bardzo nisko, ręce podniósł dziękczynnie do góry, westchnął i skinieniem głowy łaskawem odprawiony, wyszedł naręszcie.

Znowu czas jakiś upłynął, a o Estherze mowy, ani słyhu, ani dychu na zamku nie było.

Dom, do którego się przeniosła, stał właśnie na drodze, którą król zwykł był przejeżdżać, jadąc na łowy lub w okolice. Wiedział o tem Kochan, lecz panu mówić nie śmiał.

Dnia jednego, gdy król się do Tyńca wybierał, bo go tam zaproszono w lasy na łowy, przejeżdżając rano, na progu kamienicy zobaczył niespodzianie, jakby nań oczekującą Estherę. Mogła przez kogoś być uwiadomioną o tym przejeździe króla, gdyż zwykle dniem wprzódzy rozkazy były

wydawane, poznać to łącno było można po starannym stroju i zejściu ze wschodów aż w ulicę.

Zdała już oczy króla zatrzymały się na niej z zajęciem wielkiem; wstrzymał konia i domyślając się, że wyszła umyślnie na spotkanie, pozdrowił ją ręką i uśmiechem.

Koń stanął.

Esthera szła wolnym krokiem śmiało ku Kaźmirzowi, w całym majestacie swych wdzięków, których potęgę znać musiała. Skłoniła głowę przed panem i pozdrawiając go, odezwała się, oczy zaraz podnosząc:

— Na drodze miłość waszą musiałam jak żebraczka napastować. W istocie też jestem nią; przychodzę prosić o opiekę tego, który raz już mnie ocalił. Smutna to rzecz być zmuszoną skarżyć się na tych, których kochać i szanować się powinno. Nie mają oni złej woli przeciwko mnie, ale i dobrze chcąc czynić, trzeba wiedzieć, co dobrem komu!

Uśmiechnęła się, rumieniąc trochę.

— Chcą mnie koniecznie swatać i zamaż dać... — dodała — a ja proszę, aby mnie nie zmuszano.

— Przecież — rzekł dobrotliwie król — los kobiet jest taki, i muszą ślubować komuś, aby opiekę miały!...

Esthera westchnęła.

— Niechże mnie, której ojciec rodzony wolę nad sobą dawał, i oni ją zostawią. Miłość wasza raczycie się wstawić za mną do Lewka...

Oczy jej czarne nie opuszczały ani na chwilę króla, który patrzył w nie zachwycony...

— Bądź spokojną, — rzekł — z Lewkiem o tem mówić będę...

— W ciągu krótkiej tej rozmowy więcej nad usta mówił król z nią oczami. Wejrzenie pięknego dziewczęcia z dziwną śmiałością, którą nieświadomością dziecinną i wielką czcią dla króla tłumaczyć było można, nie unikało spojrzenia pana, owszem, wyzywać się go zdawało.

— Jam miłości waszej życie winna — zakończyła, rękę białą kładąc na piersiach — chcę jej winną być i szczęście moje...

Kaźmirz, którego ciekawe oczy i uszy zbierających się w ulicy przechodniów wprawiały w zakłopotanie, prędzej może, niżby był chciał, pożegnał ją, koniowi dał ostrogę i odjechał.

Esthera, patrząc za nim, wcale nie onieśmielona tem, że się jej przyglądano, ustąpiła z drogi zwolna i znikła we

drzwiach kamienicy, w których na nią starsze towarzysзки oczekiwały.

Spotkanie to głośnem się stało po mieście. Różnie je sobie tłumaczono, a że nikt prawie rozmowy całej nie słyszał, przypuszczenia były najdziwaczniejsze i sarkano powszechnie na zuchwalstwo pięknej Żydóweczki, iż się królowi narzucała.

Owczesne wyobrażenia, świeże jeszcze prześladowania Izraelitów, obwinionych o zatrutowanie wód i pokarmów, o zabijanie dzieci i używanie krwi ich do zabobonnych obrzędów, pogarda, z jaką się od społeczeństwa z nimi odłączało, odcechowując ich zewnętrznymi znakami dla uniknięcia mieszania się ich z chrześcijanami; wszystko to razem poufalsze obcowanie z nimi, zwłaszcza króla samego, czyniło czemś nadzwyczajnem, a dla duchowieństwa szczególnie oburzającym.

I tak już wyrzucano Kaźmirzowi miłość jego dla ludu, szczególną nad miastami i obcymi przybyszami opiekę; teraz oddanie żup i mennicy Izraelitom, ocalenie kilku ich od napaści tłumu, naostatek łaskawość, z jaką wdał się w rozmowę z piękną Żydóweczką, do najwyższego stopnia podniosły przeciw królowi niechęć tych, którzy do niej tylko pozoru szukali.

Duchowni zawczasu przepowiadali, iż dojdzie do tego, że jeszcze sobie ulubienicę weźmie z krwi Izraela, na ostatnie upokorzenie chrześcijan... na poniżenie korony, którą nosił.

Nie było wprawdzie drugiego Baryczki, któryby przyszedł to publicznie królowi wyrzucać na oczy, lecz pokątnie tem więcej wykrzykiwano, a Kaźmirza głosy te dochodziły, bo mu je usłudźni przynosili ludzie.

Ile razy Kaźmirz spotykał się z taką naganą swojego postępowania, czyniła ona na nim zawsze to wrażenie, iż w nim wywoływała opór stanowczy, — chłodne, ale niezłomne postępowanie wbrew sądów ludzi.

Poruszeniem ramion wzgardliwem i uśmiechem przyjąwszy doniesienia, Kaźmirz, któryby był może unikał widzenia Esthery, z pańską fantazją człowieka, który wolę swą czyni, jadąc wkrótce potem rano bardzo na łowy, kazał się zatrzymać przed domem Esthery, wywołać ją, i gdy niespodziewająca się tego szczęścia wyszła, zaledwie zasłonę na wpół utrefione narzuciwszy włosy, rzekł głośno:

— Mówilem z Lewkiem, spodziewam się, że wolę moja

spełnić był powinien. Lecz nie chcę was tem w ulicy zatrzymywać, — dodał — wieczorem, powracając, wstąpię do waszego domu. Czekajcie na mnie!

Rumienieć wystąpił na białą twarzyczkę Esthery, radością zabłysły oczy, złożyła ręce na piersiach, skłoniła się i odparła głosem drżącym, ale pełnym szczęścia:

— Sługa wasza i niewolnica czekać będzie na tę łaskę, której wszyscy jej muszą zazdrościć. Błogosławieństwo jedynego Boga niech będzie z wami!

Król odjechał.

Tuż za nim postępujący Kochan i Dobek spojrzeli po sobie. Dla pierwszego z nich nie ulegało już wątpliwości, że z tego stosunku coś się wywiązać musi; piękność Esthery, śmiałość jej, znana króla pochopność do rozmiłowania się przepowiadały to niechybnie.

— Lecz Żydówka! — myślał Kochan, — Żydówka! Co ludzie, co duchowni zwłaszcza powiedzą? Co nieprzyjaciele króla wysuną z tego?!

W ciągu dnia Kaźmirz był najlepszej myśli i choć wcale nie myślał o Estherze, domyślano się łatwo, iż sobie obiecywał przyjemność wielką ze zbliżenia do niej. Dawno go tak odmłodzonym i rześkim Kochan nie widywał.

Łowy nie potrwały zbyt długo. Król tak obrachował czas, iż gdy dał znak do odwrotu i konia puścił kłusem, widocznem było, że przed mrokiem stanie w mieście u kamienicy Esthery. Kochan i Dobek znowu po sobie spojrzeli, nie mówiąc nic.

O mroku w istocie zaledwie zapadającym Kaźmirz zsiadł z konia u drzwi, w których czekała nań piękna i wystrojona Esthera; dworowi swojemu nakazał wracać na zamek, a Kochanowi jednemu pozostać przy sobie dozwolił.

Ten nadto był dobrym i starym dworakiem, ażeby miał iść za panem do izby, w której go przyjmować miano, siadł w przedsieniu.

Komnata gościnna, przestronna, przybrana tak, jak w Opocznie, odświeżona tylko, pełna kwiatów, czekała na króla przyjęcie. W pośrodku jej, pod wielkim świecznikiem mosiężnym, kilkuramiennym, stół był nakryty i zastawiony błyszczącym naczyniem złocistem.

Wielkie krzesło, okryte złotogłowie, stało przy nim; Esthera cała w klejnotach, jedwabiu, rąbkach drogich, woniejąca wschodnimi jakimiś eliksirami, cudniej piękna, niż kiedykolwiek, wiodła króla, dumna, szczęśliwa, wcale nie

zdając się ani myśleć o tem, ni ważyć, co sobie ludzie powiedzą o odwiedzinach tych wieczornych.

Królowi ta przygoda też zdawała się wielce miłą; najmniejsza troska nie zasępiała pięknego jego męskiego oblicza.

Obejrzał się po izbie i spostrzegł ze zdumieniem, że w niej, oprócz starej Żydówki, zdala u drzwi w głębi pokornie stojącej, nikogo nie było.

— Jestem o trzy kroki od zamku — odezwał się, siadając i przypatrując pięknie zastawionemu stołowi, — nie potrzeba było dla mnie przyborów tyłu.

Esthera śliczną białą rączką już mu nalewała wino, patrzyła w oczy i, śmiejąc się białemi ząbkami, poczęła z załotnością dziecinną.

— Jakżebym ja z tego szczęścia mojego nie miała korzystać — odezwała się — i mojego pana nie ugościć w tym domu, który na wieki pamięć dnia tego zachowa?

Król podniósł kubek.

— Chcecież, bym pił i jadł? — zawołał. — Siadajcież do stołu ze mną...

— Ja? ja? — składając ręce i cofając się nieco, z wyrazem zdumienia i radości razem poczęła Esthera — ja? najmniejsza z niewolnic twych, o panie! Ja śmiałabym? a! nie, moje miejsce u nóg twoich...!

Mówiła z tak szczerem, wielkiem przejęciem, z takim głosu drżeniem, z takim oczu wyrazem, iż król spoważniał nagle. Na chwilę krótką ogarnęła go bojaźń jakaś.

Ułękł się samego siebie i niebezpieczeństwa, które mu groziło. Lecz pokuszenie było zbyt silne, wdziękowi dziewczęcia oprzeć się nie mógł.

Starał się w żart obrócić, co powiedział.

— Nadto bo mnie przyjmujesz gościnnie, piękna Esthero... — szepnął, do ust niosąc kubek. — Nawet na zamku takiejbym nie zastał wieczerzy, a nadewszystko takich przyświecających oczów diamentowych... Pamiętaj o tem, że gdy mi tu dobrze będzie, zapragnę powrócić, zatęsknię może... cóż wówczas?!

Esthera słuchała z uwagą, ale na twarzy jej nie widać było ani pomieszanania, ani zawstydzienia od tej groźby.

— Miłość wasza — odpowiedziała po namyśle — jesteś u każdego ze swych poddanych, w państwie całem, jak w domu, cóż u mnie, której życie do was należy?...

— A gdyby królowi często się u was gościć zażądało, —

odparł Kaźmirz — cóż naówczas powiedzieliby ludzie na was i na niego?

Esthera słuchała znowu z natężeniem...

— Na króla nie śmiałyby nikt mówić nic, bo król wyższym jest nad wszelką mowę, — rzekła — a na mnie cokolwiekby rzekli, jabym się tem pyszniła...!

— A gdyby źli ludzie nazwali cię jego... ulubienicą? — zapytał król, rumieniąc się i ścigając ją oczyma.

— Nie spuściła ich Esthera, owszem, zatrzymała długo na królu, jakby niemi mu naprzód odpowiedź dać chciała.

— Albożby to nie było szczęściem i dumą dla mnie? — odezwała się cichszym głosem. — Dać temu chwilkę choćby zapomnienia o świecie, komu się winno życie na nim? Ale — nie może to być, miłościwy panie. Nigdy chrześcijański pan nie zniży się do córki tego narodu, który skazany jest na pogardę i poniżenie.

Król poruszony, zapomniawszy się, rękę jej pochwycił.

— Esthero! — zawołał — gdybyś chciała?

Nie dopowiedział reszty.

— Mogłabym nie chcieć takiego szczęścia? — odparła śmiało córka Aarona. — Ja, ja musiałabym z radością uczynić, co byś rozkazał, bom twoja, lecz ty, panie, nie zażadasz tego, co by ciebie poniżyło, a mnie uczyniło nieszczęśliwą. Tak jest, królu i panie mój, byłabym razem szczęśliwą i najnieśczęśliwszą, bo musiałabym wprędce twą łaskę utracić. W rękach twych byłabym igraszką i zabawką, którąbyś cisnął potem na ziemię, a ludziedy ją nogami zdeptali.

Król spuścił oczy, jakby zawstydzony.

— Esthero, — rzekł zwolna i smutnie — prawdą jest, żem bywał w życiu płochym, żem miłował i rzucał... alem nie trafił nigdy ani na taką piękność, jak twoja, ani na taki rozum, ani takie serce... Tyś stworzona do wielkich losów... Gdybyś raz chciała być moją, zostałabyś nią na zawsze... Nie wiązałbym się, ani ciebie żadną przysięgą, lecz słowem królewskim... Możesz-że ty zresztą obawiać się być opuszczoną, ty?

Esthery powieki po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy opadły na oczy czarne i osłoniły je, drżenie w twarzy widać było. Usta poruszyły się bez głosu, jakby jej siły zabrakło.

Zwolna potem podniosły się zasłony, wzrok jakiś omdlony i łzawy zwróciła mileżąca na króla...

— Panie mój, — rzekła cicho — ze służebnicy swej nie

czyń sobie igraszki bolesnej. Szydziłeś ze mnie — nie może to być!

Król powstał z siedzenia i coraz mocniej rozgrzewając się rozmową, zawołał:

— Na koronę moją, — nie żart to był, Esthero!!

Zbliżył się ku niej, pocałował w czoło i rzekł gorąco:

— Esthero! oczekuj na mnie jutro — przybędę sam. Nikt widzieć i wiedzieć nie powinien...

Dziewczyna spojrzała nań oczyma wielkimi.

— Dla mnie — odezwała się spokojnie — niech świat cały widzi, niech wiedzą wszyscy; ja mojego szczęścia się nie wstydzę, będę nim dumną. Król i pan mój nie zechce mnie, odpychając, dać na wzgardę ludzi!

Kaźmirz pomyślał chwilę; upojony, wzruszony, rękę jej podał...

— Bądź mi wierną — zostanę ci na zawsze takim, jakim mnie widzisz dzisiaj... Ozłocisz mi dni moje...

To mówiąc, jakby go wspomnienia przeszłości przygniotły, poruszył się do wyjścia milczący.

Esthera odprowadziła go do drzwi... pocałowała w rękę i cofnęła się, widząc oczekującego nań Kochana, który udawał rozespanego, choć pode drzwiami słyszał całą rozmowę.

Rawa wiedział, że tu już pośrednictwo jego nie było potrzebnem; kaprys ten królewski zdał mu się jednym z tych, jakich już wiele widywał, a doświadczenie uczyło go, że wszystkie one nie trwały długo.

Pochodzenie Esthery mało czyniło prawdopodobnem, aby ona mogła mocniejszym węzłem przywiązać do siebie Kaźmirza. Pięknością i młodością wprawdzie przechodziła wszystkie swe poprzedniczki, lecz urok ten łatwo i prędko znika, a Rawa na charakter, rozum i takt dziewczyny nie rachował wcale.

Kaźmirz przeciwko swojemu zwyczajowi nie zwierzył mu się z niczem, Kochan nie śmiał go pytać.

Dni kilka upłynęło. Po mieście zaczęły już chodzić pogłoski, że król miał nową kochankę i że nią była... Zydówka.

Łatwo przewidzieć, z jaką zgrozą mówić o tem zaczęto, z jakim oburzeniem duchowieństwo przeciw królowi występowało.

Rzecz zdawała się dowiedziona, niewątpliwą, rozpowiadali o niej wszyscy; jednakże były to tylko pogłoski, posłuchy, plotki miejskie, którym wielu wiary nie dawało.

Król we dnie nigdy do domu Esthery nie zajeżdżał... nie widywano jej nigdzie.

Z każdym dniem, jednak rosły rozsiane o tem wiadomości, bogacąc się i prawdziwemi i zmyślonemi szczegółami.

Starszyzna dworu, stojąca u boku króla, zaniepokojoną była. Nalegano na nią, aby nastąpiła na Kaźmirza i zagnęła go do zerwania godności jego uwłaczającego stosunku. Lecz ci, co bliżej go znali, wzruszali ramionami, i nikt nie chciał się podjąć mówić o tem, wiedząc, iż w życiu prywatnem Kaźmirz niczyją się radą powodować nie dawał. Napadano na Kochana, wiedząc, że on mógł być sprawcą, czego się najuroczyściej zapierał.

Ks. Suchywilk, dowiedziawszy się o pogłoskach, poszedł do Wierzyńka. Najbliżej króla stojący, jego osobisty podskarbi, płatnik, doradca, także nic o tem nie wiedział. On zresztą był tak pobłażającym dla pana, iż wszelką fantazję pańską uznawał za usprawiedliwioną, nic za złe mu mieć nie mógł.

— Mówcie o tem z nim, — odezwał się Suchywilk — ma nieprzyjaciół dosyć, przyczynia ich sobie... Duchowieństwo zamykało oczy na wiele zbrodni i słabości, — ta jest upokarzająca!

Wierzynek, który znał Kaźmirza nadto dobrze, by w skutek czyjegokolwiek pośrednictwa wierzył, potrząsł głową.

— Ojciec mój, — rzekł zcicha do Suchywilka — nie wiem nic, niebardzo wierzę pogadankom, bo na króla wymyślają wiele, lecz, gdyby to prawdą być miało, my pewnie nie odciągniemy go, ani zrazim; dla ludzkich języków nic nie uczyni. Jeśli jest droga, to inna...

— Jaka? — zapytał Suchywilk surowo.

— Znam tych Żydów; — odparł Wierzynek — choćby mogli dumni być z tego, że król sobie kochankę wybrał z ich krwi, wiem, że oni więcej się na to oburzają może, niż ci, co na króla krzyczą. Dosyć będzie pomówić z Lewkiem, aby i prawdy się dowiedzieć, i... może zapobiec temu. Pojadę do Wieliczki...

Tegoż dnia wieczorem Wierzynek był u Lewka.

Znalazł go, jak zwykle, rachunkami i żupami zajęтым i rozpoczynającym rozmowę od sprawy składu solnego, który był w Krakowie. Na twarzy jego, w obejściu się, nie spostrzegł nic, coby niepokój jaki lub zmartwienie zdradziło.

Lewko ochotczy przyjmował krakowskiego gościa i starał się pozyskać sobie jego względy, bo choć sam u króla dobrze

był położony, wpływ Wierzyńka przechodził łaski, jakimi się chlubił.

Późnym wieczorem, gdy sami pozostali, Wierzynek poufale go zagadnął:

— Nie doszło was nic nowego o Aaronowej córce, Estherze?

Lewko wpatrzył się pilno w mówiącego.

— O Estherze? — zapytał — drugiej takiej zuchwalej niewiasty niema w Izraelu i, dałby Bóg, aby takich i jej podobnych nie było! Nie wspominajcie mi o niej, bo ona jest utrapieniem dni naszych, smutkiem rodu swojego całego...

Wierzynek, pomilczawszy trochę, rzekł powoli:

— W mieście rozpowiadają, jakoby królewską kochanką była.

Rzucił się Lewko, jak rażony, wiadomością i ręce zalał. Stał czas jakiś, nie mogąc ust otworzyć, oczyma rzucał przerażony; zadumał się.

— Nie może to być! — wykrzyknął. — Dla króla naszego życiebym dał, ale... ani onby mógł tego zażądać, ani ona zgodzić się na to. Szalona jest, ale dumna... Wszystko na nią powiedzieć można — płochą nigdy nie była...

— Tak mówią, ja nie daję wiary — odezwał się gość. — Coś jednak musiało dać pochop do tej plotki.

— Wiecie, że król jej życie ocalił i że pamiętał o niej — dodał Lewek zamyślony; — tak, i gdym z nim mówił niedawno... pytał mnie o nią...

To przypomnienie słów królewskich Lewkowi brwi ściągnęło; zasępił się.

— Wspomniał mi o niej! — dodał ciszej.

Począł chodzić po izbie niespokojny.

— Nie wierzę, — dodał — ale potrzeba wiedzieć prawdę; jadę jutro. Dziewczyna kłamać nie umie...

— A gdyby w tem coś prawdy było, — odezwał się Wierzynek — co czynić myślicie?

Żyd, ręce założywszy na piersiach, stanął przed Wierzyńkiem, nie odpowiadając nic.

— Gdyby to prawdą być miało? — powtórzył i urwał nagle.

Widać w nim było walkę wewnętrzną, rumieniec występował na twarz bladą i niknął, z piersi wyrywały się westchnienia.

Wierzynek napróżno czekał odpowiedzi. Żyd nie śpieszył z nią i dumał. Stanął wreszcie znowu przed gościem.

— Odpowiedź trudna na pytanie wasze! — począł z bolesnym uśmiechem. — Wiecie wy, co to jest być Żydem na wygnaniu? Pamiętacie te rzezie i prześladowania, jakie nas tu i po całym świecie niedawno jeszcze ścigały? Łzamibyśmy może wstyd nasz oblewali, ale...

Tu się zatrzymał i spojrzał nań bystro.

— Jaby'm przeklął tę dziewczynę, — rzekł — ale jeżeli ona, jak nowa Esthera, ma króla łaskawym dla całego ple-mienia uczynić, myślicie, że wahałbym się dać ją na ofiarę za lud nasz?

Zmilkzał Wierzynek.

— Byłoby to nieszczęście wielkie i szczęście wielkie... Ko-bieta rozumu ma więcej, niż potrzeba dla niej. Zdałby się on może... Piękna jest, młoda, król przywiązałby się do niej...

Coraz ciszej mówiąc, nie dokończył Lewko i lży otarł...

— Tak, kobieta wszystko może, — dodał nawpół do sie-bie — któż wie? Bolałoby nas, mnie, lecz wiecie, bo pismo znacie, ludzie dla narodu umierali, czemu by niewiasta nie miała dlań tego poświęcić, co nad życie droższe?

Jeśli się to nie stało, — zawołał — niech się nie stanie! Ja ją sam wywiozę, zamknę... lecz jeżeli stało się, ja jej powiem — bądź dla narodu Estherą, a my ci przebaczym hańbę twoją!

Wierzynek nie miał słowa odpowiedzi.

Nazajutrz razem pojechali do Krakowa. Lewko kazał się wozowi swojemu u drzwi Esthery zatrzymać. Nie chciał mówić naprzód z nikim, nikogo wzywać, z nikim radzić, póki by sam z nią nie mówił. Przybrał postawę uroczystą opiekuna i sędziego. Esthera, która go zajeżdżającego wi-dzieć musiała, wyszła naprzeciw do progu.

Nic w niej nie zdradzało upokorzenia, obawy, wzrusze-nia na widok człowieka, który szedł ku niej milczący i groźny.

Znalazł ją przybraną bogato i starannie, z twarzą roz-jaśnioną i dumną. Przywitała go chłodno, jakby przygoto-waną była na niemiłe badanie.

— Esther — odezwał się Lewko głosem, jakby przybra-nym, nieswoim, chociaż znał ją od dzieciństwa i zwykł był do niej przemawiać inaczej. — Esthero! ja tu przybywam nie jako Lewko, krewny twój i opiekun, ale jako sędzia, jako jeden ze starszyzny narodu naszego. Prawdę mi mów.

— Nigdy'm nie skalala ust moich fałszem, — odparła Esthera spokojnie — pytaj...

— Król!... — pocał Lewko, wpatrując się w nią. — Co mówią o tobie i o królu w mieście? Możeż to być?

— Co mówią? — spytała zimno.

— Zowią cię kochanką jego...

Wpatrzył się jeszcze silniej w nią, nie spuściła oczów...

Milczeli oboje, chociaż Esthery nie zdawała się odpowiedzieć szukać i być jej niepewną.

— Król ocalił mi życie, — rzekła zwolna — ja i ono do niego należało...

Lewko jęknął.

— Przyznajesz się więc? — zawołał.

— Król pokochał mnie, — rzekła — a król może wiele dla narodu naszego... Miałam dla niego cześć i miłość...

Spuściła głowę i ręce rozpostarła.

— Nie zapieram nic! chlubię się tem...

Lewko pluwał przed nią na podłogę i kroków kilka odstąpił. Hamował się, aby nie rzucić przekleństwa. Esthery patrzyła nań z dumą i spokojem.

Odszedłszy od niej, Żyd padł na siedzenie i zakrył sobie oczy... Oplakiwał wstyd krwi swej... lecz nie rzekł słowa... Esthery zbliżyła się ku niemu...

— Lewi, bądź spokojny, — odezwiała się — hańba, jeżeli jest, spada na mnie, a ja nie przestałam być córką Izraela; odciągnąć mnie od niego nie potraficie, musielibyście zemsty się jego obawiać. Nie plujcie na niewiastę, która pod płaszcz swój weźmie plemię całe!

Lewko milczał, białemi, suchemi, kościstemi palcami twarz ciągle zasłaniając...

Przemógł się wreszcie, odsłonił ją i powstał.

— Nie przeklinam cię; — rzekł — Bóg nasz niech sędzi. Trzymasz serce królewskie w dłoni — nie rzucajże go... Żadna dotąd niewiasta przywiązać go nie mogła do siebie — przykuj go, nie puszczaj. Tem tylko uzyskasz od nas przebaczenie.

— Przebaczenie? — powtórzyła dumnie Esthery — dziękować mi powinniście, nie przebaczać.

Lewko spuścił głowę upokorzony... Surowy twarzy wyraz, z jakim wszedł, zwolna z niej schodził.

Był coraz bardziej Izraelitą, obrachowującym korzyści uczynionej ofiary...

Esthery śledziła w nim tę zmianę, jakgdyby naprzód pewną jej była.

— Kocha cię król, — pocał Lewko — stało się to... któż

wie, co to zrządziło? Każde mu się kochać gorąco, bądź dlań wszystkim, niech w tobie znajdzie to, czego szukał życie całe... Jeśli porzuci cię...

— Nie porzuci mnie — odparła Esthera. — Tamte, które brał i ciskał, nie kochały go, jak ja... on czuje, że ma całe serce moje... Tamte miłowały go dla królestwa jego, dla skarbów, dla wielkości; — ja kocham człowieka, nie króla, ale król i pan dla rodu mojego pozyskany zostanie!...

Lewko słuchał, skłonił głowę; czuł, że kobieta, którą miał przed sobą, nie samą pięknością musiała wziąć serce pana, ale i rozumem tym, który z każdego jej słowa wytryskał...

Cóż więc mówić miał? naciągnął płaszcz na ramiona i chciał odchodzić; wstrzymała go Esthera.

— Lewi! — rzekła — dobijali się nasi do drzwi moich, zamykałam je przed wszystkimi — tobem je otworzyła tylko. Jesteś człowiekiem rozumnym. Mów im za mną, aby nie przeklinali mnie i nie odpychali, mów, aby napróżno nie starali się mnie oderwać od niego... Nie zmuszajcie mnie zerwać tego, co wiąże z wami; — nie każcie mi iść precz od siebie.

Ze spuszczoną głową stał Lewko, skinął tylko, jakby mu słowo rzec było trudno. Wyszedł milczący... W progu wahał się chwilę, dokąd pójdzie — do swoich, czy do Wierzyńka. Skierował się naprzód do tego, który był rabbim w Krakowie...

Wierzynek, już czynnie zajęty codziennymi swemi sprawami handlu i miasta, czekał nań do wieczora. Gdy Lewko nadszedł, nie potrzebował pytać; twarz Żyda zmieniona, sfaldowana, ściągnięta, mówiła o tem, że wieść musiała być prawdziwa.

Nie pytając go, czekał.

Lewkowi trudno było wyrzec słowo to, którego jeszcze się sromił. Siedzieli długo, urywanemi wyrazy o rzeczach obcych rozmawiając; jeden czekał, aby go pytano, drugi spodziewał się wiadomości, badać nie śmiejąc.

Patrzyli sobie w oczy... Lewko wyciągnął rękę i z góry spuścił ją na dłoń drugą... Westchnął.

— Prawda więc? — szepnęła Wierzynek.

Żyd głową tylko potwierdził.

— Jeżeli tak jest, — dodał gospodarz domu — strzeżcież się króla narazić sobie próżnym już oporem. Nie czyńcie nic — nie sarkajcie... zyszczecie łaskę jego...

— Nie zmuszajcie mnie tylko ani dziś, ani jutro iść

przed oblicze jego — odezwał się Lewko; — wyczytałby mi w oczach ranę, którą w sercu uczynił. Możemyż my mu się sprzeciwić? Możemyż sarkać? My? Rąbek jego szaty za uczyniony srom powinniśmy całować!

Uśmiechnął się Lewko...

— Stało się.

Nazajutrz zjawił się ks. Suchywilk, który miał czas przekonać się z tego, co słyszał na królewskim dworze, iż pogłoska nie była fałszywą. Smutny przychodził tu po jej potwierdzenie.

Wierzynek był już przysposobionym.

— Prawdę więc jest, co powiadają? — zapytał ks. Jan.

— Gdyby nie było, — odparł — nam wiernym sługom pańskim nie godzi się wiedzieć o tem, co on sam zataił przed nami. Dopóki król nie powie mi: wypłać Estherze z żupratę, dopóki nie przyzna ją za swoją, ja oczy zamykam.

— Ale ja ich na to zawartych trzymać nie mogę! — odparł ks. Suchywilk. — Zarzucają mi ludzie, żem mu w wielu sprawach pobłażał... cóż powiedzą, jeżeli teraz zmilczę?

— Powiecie, że wy badać króla w prawie się nie czujecie — rzekł Wierzynek.

— Nie! — zawołał Suchywilk — niech będzie, co chce, zagniewa się na mnie, a co mam w sercu, wyleję z niego!

— I nie pomoże to nic; — rozśmiał się rajca krakowski — prędzej go upornym uczyni. Najgorszem jest brać za wielkie, co małem w istocie...

— Małem to zwiecie? — wykrzyknął z oburzeniem Suchywilk. — Któż wie, jaki wpływ ta niewiasta wywierać może na niego. Ludzie nad pleć rozumną ją głoszą.

— Złą ją nikt nie powiada — szepnął Wierzynek.

— Bronicie go? — zapytał ksiądz.

— Sądzić nie będę! — zakończył rajca.

Nie mówili więcej. Wierzynek jak najuprzejmiejsem przyjęciem starał się nachmurzonego rozbroić pralata, lecz Suchywilk pożegnał go z widocznym strapieniem i frasunkiem.

Wieczorem król zasiadł do stołu w najpoufalszych swych kole. Miejsce obok siebie wskazał ks. Janowi, miał tuż Wacława z Tęczyna, miał młodego pana z Melsztyna i grono przyjaciół codzienne.

Rzadko go widywano tak rozjaśnionym i wesołym, tak zachęcającym drugich, aby z nim dzielili radość, którą twarz jego promieniała. Uderzył go wyraz Suchywilka ry-

sów, nad miarę w tej godzinie surowych i zasępiionych. Po kilkakroć zwracał się ku niemu.

Wieczera się przeciągała. Gdy Kaźmirz wstał i dwór jego przyboczny do sypialni go przeprowadzał, Suchywilk poszedł za nim.

Było to znakiem dla drugich, aby się oddalili od progu.

— Godzina może stosowną nie jest, — odezwał się Suchywilk, wchodząc za królem — lecz moje przywiązanie do miłości waszej milczeć mi dłużej nie pozwala.

Kaźmirz odwrócił się doń i oczekiwał dalszego ciągu.

— Nie zarzucicie mi, abym się mieszał do spraw, do których miłość wasza mnie nie powołuje... ale dziś...

— Mówcie, proszę — przerwał król.

— Uwłaczające waszej miłości pogłoski rozsiewają, — począł ksiądz — a zdają się one mieć pewną podstawę. Miłościwy królu, być to może? Ta Esthera?

— Cóż Esthera? — podchwycił król. — Czy mieszka na zamku? czy ją królową chcę uczynić? czy mi człowiekiem być nie wolno...

— Nieprzyjaciele twoi, miłościwy panie...

Król się rozśmiał.

— Sądzę, — rzekł żywo — iż większej łaski nad tę uczynić im nie mogłem, dając taki oręż na siebie!!

Poruszył ramionami.

— Pochodzenie jej — przerwał Suchywilk.

— Nie przeszkodziło — podchwycił król — być najpiękniejszą w świecie niewiastą. Słaby jestem i nie taję grzechu mojego... Ludzie mogą kamieniem rzucać na mnie, nawykłem do pocisków...

Ks. Suchywilk stał, nic nie mówiąc i błagając go oczyma. Król zbliżył się i uściśnął go.

— Ojcze, — rzekł — zostawcie to spowiednikowi mojemu, proszę...

Z westchnieniem, nie mówiąc już więcej, ks. Suchywilk pokój królewski opuścił.

Kaźmirz powołał Kochana, kazał podać płaszcz, iść za sobą i nie mówiąc, dokąd się wybrał, zamek opuścił.

Godzina była późna, pomimo to przez zasunięte okiennice w domu Esthery światło widać było. Piękna gospodyni, strojna z całym przepychem, który lubiła, a było jej z nim do twarzy, oddawna oczekiwała na króla. Jak zawsze, napój mu najulubieńszy, przysmaki, o których wiedziała, że mu były najmilsze, woń nawet w komnacie dla niego dobrana,

starannie przygotowane były. Esthera z tym instynktem serca, które odgaduje, co ukochanemu milem być może, w najmniejszych drobnostkach chwile, które u niej przepędzał, starała mu się uczynić wytchnieniem rozkosznem. Jej ubiór nawet zastosował się do smaku pana, do wyrzeczonego czasem słówka pochwały lub rady.

Dla Kaźmirza była ona zawsze piękna, lecz rad ją przystrajał jeszcze, lubując się wdziękiem, coraz inaczej mu się przedstawiającym.

Równie jak zastawa stołu, przygotowaną była rozmowa, aby nie nużyła króla, aby dlań była rozrywką i zabawą. Esthera z ksiąg wschodnich, które czytywała rada, czerpała poetyczne legendy i opowiadała je naiwnie. W niektórych z nich tkwiły myśli, może bez celu rzucane.

Choć czasem serce jej smutne było i uciśnięte, układała twarz wesołą, zmuszała się dlań do uśmiechu; nie okazywała zachmurzonego czoła, a nadewszystko nie zażądała nigdy dla siebie nic, co było najlepszym sposobem pozyskania wszystkiego, co chciała.

Kaźmirz, jak wielu podobnego charakteru ludzi, zrażał się żebranią, a milczenie pobudzało w nim chęć odgadnięcia życzeń i myśli.

W ten sposób Esthera, która dziękowała pokornie za najmniejszy dar, więcej otrzymała od króla w przeciągu niewielu dni, niż inne latami całemi.

Klejnoty, kosztowne tkaniny, perły, szkarłat, naczynia srebrne wędrowały potajemnie do jej domu... Esthera przywdziewała dary, ustawiała je, ze czcią je zachowywała, za każdym razem uradowana rzucając się do kolan i dziękując mu za nie.

Czarodziejka miała dar przywiązywania do siebie, rozkazywania posłuszeństwem, jednania dowodami miłości i nigdy król dla żadnej w życiu niewiasty nie czuł tak gwałtownej miłości. Wstydził się jej, wyrzucał ją sobie, lecz zawładnywała nim coraz mocniej i nawet Kochan dostrzegł wkrótce, że rachując na nietrwałość tego związku, omylił się pono.

Dnia tego, witając Kaźmirza w progu ze zwykłą czułością i pokorą, Esthera z za wesołości, jaką mu zawsze przynosiła, dała się przebić jakby ukrytemu niepokojowi...

Król postrzegł to, gdy usiadła przy nim i spojrzała nań jakiemiś zamglonemi troską oczyma.

— Cóż ci to dziś jest? — zapytał.

— Jestem tak szczęśliwą, jak zawsze — odpowiedziała żywo, nalewając mu kubek i podając go rączką białą. — Nie troszcz się, panie mój, używaj wczasu, odpoczywaj u mnie, zapomnij trochę o ciężkiej twojej koronie. Na to ja jestem sługą twą, aby ci choć godzina w słodkiem upłyneła oderwaniu od pracy.

— Nigdy też w życiu nie miałem chwil tak szczęśliwych, jak spędzone przy tobie, — rzekł Kaźmirz — i choć mi je ludzie zazdrośni zatruć pragną...

Król nie dokończył, wziął kubek i podającą w twarz pocałował.

— Aleś ty dziś smutna? — zapytał.

— Ja nie mam żadnej przyczyny się smucić, — odparła Esthery — radabym o niczem smutnem nigdy nie mówić panu memu, ale dziś muszę.

To mówiąc, wstała. Kaźmirz patrzył niespokojny na nią, twarz jej stała się poważną, brwi trochę ściągnęły...

— Czyżby ludzie ci śmieli jaką przykrość wyrządzić? — spytał król.

— Nie... — odparła z uśmiechem — na tobym ja nie skarżyła się nawet. Przy takim szczęściu, jakie mnie spotkało, cóż znaczy mały ból, jaki mi ktoś zechce uczynić? niesprawiedliwością byłoby się skarżyć.

— Cóż więc? — natarczywie nalegał Kaźmirz.

Esthery usiadła i powoli, z rozważą mówić zaczęła, z każdym licząc się słowem, a oczyma badając, jakie uczyni wrażenie.

— Nasz naród, miłościwy panie mój, — rzekła — rozsypa-ny jest wszędzie. W królestwie twojem niema mieściny, gdzieby moich biednych braci nie było. Tacy, jak my, ażeby się oprzeć i obronić tym, co ich nękają i prześladują, a ścigają ich wszyscy, muszą się trzymać za ręce. My wiemy, przez swoich, co się gdzie dzieje, my czasem prędzej i pewniej dostajemy wiadomości od urzędników waszych i was, coście o wszystkim wiedzieć powinni.

Król słuchał z uwagą.

— Panie mój — dodała, zbliżając się ku niemu. — Wyście obdarzyli i wynieśli Maćka Borkowicza wysoko. Czy wierzycie mu? czy pewni jesteście, że zdrady przeciwko wam nie ma w sercu?

To pierwsze wmieszanie się Esthery do sprawy publicznej zmieszało króla i zasępiło go.

— Albożbyście wiedzieli co o nim? — zapytał.

— Nasi... powiadają, że człowiek ten, choć napozór uległy i posłuszny, przeciwko wam coś knuje — mówiła dalej Esthera. — Wszyscy prawie ziemianie wielkopolscy, zwołani przez niego, związali się z nim przysięgą i pismami pod pieczęcią, że z nim pójdą razem...

— Tak — odparł król — i ja wiem o tem, ale ten związek przeciwko mnie wymierzony nie jest: stoł w piśmie, które ułożyli, iż wierni mi pozostaną.

Esthera uśmiechnęła się.

— A potrzebażby pisać było o tem, gdyby inną myśl nie chcieli zakryć tym fałszem? — odezwiała się, patrząc na króla. — Ludzie, co uszy mają dobre, mówią, iż właśnie ten związek kryje najniebezpieczniejszą zdradę. Ja jestem głupią niewiastą tylko, ja nie rozumiem tego, ale są u nas ludzie rozumni i przebiegli, a ci powiadają, iż Maciek Borkowicz jest zdrajcą przeciwko tobie, tem niebezpieczniejszym, że się płaszczy i okrywa...

Każmirz zamyślił się chwilę. Esthera mówiła ciągle powoli:

— Ja nie swoje mówię słowa, ale mądrych ludzi radę powtarzam wam: strzeżcie się tego człowieka. Wy żądacie ze wszystkich tych ziemi jedno uczynić państwo. Maciek chce wam Wielkopolskę oderwać i tak na niej panować, holdownikiem tylko, jak Ziemowit na Mazowszu.

Widząc zdziwienie na twarzy słuchającego, Esthera wzięła rękę jego i do ust ją poniosła.

— Panie mój, — rzekła — ja tym sprawom obca... mój rozum takich tajemnic nie sięga, lecz mądrych ludzi siła w naszym narodzie, co widzą bystro... kryją się oni i milczą, bo dla nich i rozum niebezpieczny. Mądrzy mówią przez usta moje do ciebie. Strzeż się, królu, Maćka Borkowicza!...

W milczeniu Każmirz wysłuchał cierpliwie Esthery; podumał, uśmiechnął się smutnie i począł:

— Rada dobra być może... zawsze ostrożnym powinien być, kto ma panowanie i straż nad krajem... Rada dobra, ale, Esthero moja, byłbym ją chętniej z innych ust posłyszał; twoje stworzone są na to, aby słodkimi upajały słowami...

— Tak, panie, — szepnęła Esthera — a! tak, ja to czuję sama, ale drży serce moje, gdy panu umiłowanemu grozić może niebezpieczeństwo... Mogę ja milczeć? I ja, i moi bracia w Izraelu, którym dawałeś i dajesz opiekę w państwie twem, kochają cię, oni mówią ustami memi...

— Maciek Borkowicz! — zawołał król. — Tak, możny jest przez siebie i przeze mnie, mocen jest, bom ja mu dał siłę tam, gdzie jej dla utrzymania ładu było potrzeba, lecz jakem go podniósł, tak zgnieść potrafię. Tak, — dodał król spokojnie — ale na to potrzeba więcej, niż podejrzenia, więcej, niż słów luźnych... czekać muszę...

— A patrzcie pilno! — przerwała Esthera.

Przestroga nie pozostała bez skutku. Mniej wesół powrócił Kaźmirz dnia tego na zamek, lecz nazajutrz posłał Dobka do Wierzbięty, do Poznania, aby doń przybył, nie głoścąc, dokąd jedzie, ani że go powołano.

Zajechał był pod ten czas wielce miły królowi i oddany mu całkowicie Bogorja, arcybiskup gnieźnieński, do Krakowa. Ludzie, co wszystko wiedzieć chcieli, powiadali pocichu, że go ks. Suchywilk, siostrzeniec jego, potajemnem sprowadził wezwaniem.

Dla króla gość to był wielki i zawsze pożądany. Nigdy jeszcze żadną chmurką najłżejszego nieporozumienia nie zamglily się stosunki ich z sobą.

Bogorja powolnym był, król wdzięcznym i ów niegdyś tak srogi i energiczny pasterz, gdy o ukochanego króla chodziło, był mu prawdziwym ojcem, bo z rodzicielską łagodnością w najcięższych sprawach tak doń przemawiać umiał, iż się one zawsze zgodą i wzajemnemi ustępstwami kończyły.

Bogorja, przybywszy tu, naprzód się udał na zamek do króla, oświadczył, iż go sprowadziły kościelne trudności i z biskupem krakowskim układy o dobra i dziesięciny do obu należące diecezyj, a w granicach im niepodległych położone. Chociaż król się spodziewał a lękał, aby mu pasterz nie wspominał Esthery, w kilku poufnych z nim rozmowach Bogorja najmniejszym słowem nie dał mu uczuć by wiedział o niej. Tem wdzięczniejszym był mu król za ^{śm}

— Dziesięć miłośniczym mu przebaczył — wołał oburzony Bodzanta — ale takiego zgorszenia ścieć nie mogę. Synody nasze sług chrześcijan Żydom za ^{iają} iają, a oto król nasz sam poszedł do Żydów na służbę! (^{za} za dziw będzie, gdy niewiernym nada nowe prawa, im, co je już od Bolesława Kaliskiego wymodlili, dalej my ich, nie oni nas, obawiać się będą!!

Bez wiedzy króla, pod różnemi pozorami, zwołano

przedniejszych panów a ziemian ze stron różnych. Zbyszek, proboszcz krakowski, Spytek, kasztelan, Jan Nałęcz, podkanclerzy krakowski, jeden z Ligęzów, Piotr Odrowąż Szydłowiecki, Przeclaw z Gołuchowa, Poznańczyk, wieczorem na trzeci dzień po przybyciu arcybiskupa zgromadzeni byli u niego. Ks. Suchywilk wuja zastępował, pełniąc gospodarza obowiązków.

Wszyscy oni z życzliwości dla króla znani byli; jeden Bodzanta od sprawy Baryczki, choć dziś już przejednany, z królem był zawsze chłodno i niezbyt dlań chętny.

Wnosić wszystkim wiadomej sprawy nie było potrzeba. arcybiskup zagaił westchnieniem. Podniósł do góry dłonie.

— Bóg nas pokarał tem — rzekł. — Krewki jest pan nasz, jak wszyscy byli Piastowie, wiele mu przebaczyć trzeba...

Powstał natychmiast, gwałtownie przerywając Bodzanta:

— Dosyćśmy folgowali — rzekł. — Padł ofiarą mój zacy a nieustraszony ks. Marcin! Zamiast poprawy, widzicie, co przyszło... Wziął bezwstydnie miłośnicę z plugawego plemienia, którego dotknięcie kala... W cóż się obróci cześć korony tej naszej? Kłatwą mu zagrozić — dodał żywo — kłatwą. Tak, surowości potrzeba... pobłażaniem przywiedliśmy go do tego.

Suchywilk powstał.

— Niech mi wolno będzie się odezwać, — rzekł — znam króla nie od dziś dnia, charakter jego, cnoty i wady. Jak w tej nieszczęsnej historii ś. p. Baryczki, tak teraz kłatwami i groźbami na królu nic nie wymožemy... nic. Pobudzim go do oporu.

— Więc cóż — wybuchnął Bodzanta, ręce złożywszy — oślepnąć, milczeć, cierpieć?

Śmiechem szyderskim dokończył, oglądając się dokoła.

Bogorja, słuchający cierpliwie, począł zwolna:

— Inny środek widzi mi się tu właściwym. Król boleje oddawna, z potomka męskiego nie zostawi po sobie. Niestary jest, ^zdo, nie ma. Żonę mu dać potrzeba młodą, piękną, do którejby ^{pan} mógł przywiązać, porzuci owo kochanie...

Spytek, kasztelan krakowski, Ligęza i Przeclaw z Gołuchowa odwrócili się wszyscy, jako do stronnictwa węgierskiego nie należący, z pochwałą i w myśl arcybiskupa.

— Nieinaczej uczynić trzeba, tylko wedle myśli ojca naszego — odezwał się, występując nieco, Spytek, który tu ze świeckich był najstarszy dostojęństwem. — Inaczej się nie poskromi krew gorąca...

Bodzanta, przy arcybiskupie siedzący, poruszył się, słysząc to, i wnet począł:

— Gdybyśmy to chcieli przyprowadzić do skutku — nie zdołamy. Szanuję pomazańca Bożego, lecz powiedzieć muszę, co prawda, że osławionym jest... Żaden ojciec córki mu nie da, aby jej los Adelajdy nie spotkał, która przed Rokiczaną ustępować musiała... Żadna księżniczka zań nie pójdzie, a na królowę nie tylko młodości i piękności, ale i krwi potrzeba, żeby nam wstydu nie uczyniła.

— Przeczę — odezwał się Bogorja — i zaręczam, że księżniczkę znajdziemy. Za Kaźmirza stało się to królestwo, czem od wieków nie było, państwem wielkiem i mocnem. Koronę jego na skroń włożyć, warto coś ważyć za to!

— Księżniczkę znajdziemy — dodał Spytek, — byle on na to nowe zgodził się ożenienie.

— A ono mu naco? — odparł Bodzanta. — Nadziei potomka pozbył się dawno. Bóg sprawiedliwy karze go za śmierć mojego świątobliwego Baryczki. Wie sam, że z nałożnic synów mieć będzie, ale z żony mu nie da ich Bóg...

— Miłosiernym jest Bóg — przerwał poważnie arcybiskup. — Ja lepiej tuszę... Modlić się o to będziemy wszyscy i wy, bracie mój — rzekł, zwracając się do Bodzanty, który brwi ściągał i szeptał:

— Niech na to zasłuży... z Żydówką żyjąc, ekskomunice podlega.

Zmilczeli wszyscy.

— Ja sędzę, — odezwał się Spytek — iż gdybyśmy króla prosili o to wszyscy, na nowe śluby się zgodzi...

— Wprzód mu księżniczki poszukajcie, któraby pójść zań chciała — wtrącił Bodzanta z niechęcią. — Na świcie takiej nie znajdziecie.

— Mnie się widzi, — odparł arcybiskup — iż nam jej szukać i narzucać mu ją, nie naszą rzeczą. Prośmy go, ażeby się żenił, a wedle serca żony szukał.

— Kiedy serce wzięła Żydówka! — rozśmiał się Bodzanta.

— Sądzę, że nie serce, ale namiętność i chuć cielesna go w te więzy okowała — przerwał Suchywilk.

— Powiadają, że niegłupia jest — żartobliwie a złośliwie mówił Bodzanta. — Gdy przy piękności rozum się znajduje, trudna sprawa...

Znowu chwila milczenia naradę przerwała. Bogorja wcale niezafrasowany słuchał i do swego powrócił.

— Chodźmy doń wszyscy, — rzekł — nie ażeby go karcić i grozić, lecz, by go prosić. Chcemy mieć króla z krwi naszych Piastów, niech się żeni... nakażemy modły, Bóg dla nas czynił już cuda...

— Lecz nie dla tych, co prawami Jego pomiatali — dodał Bodzanta.

— Mili moi panowie (zwrócił mowę do Spytki i świec-
kich), czyńcie, jak się wam podoba. Idźcie prosić, ja nie pójdę... Modlić się o nawrócenie mogę; dopóki w grzechu jest, odwracam od niego twarz moją tak, jak Bóg i święci patronowie królestwa tego oblicze swe zasłaniają. Karze nas Bóg a chłoszcze od śmierci Baryczki nieustannie, morem, głodem i powodziami daje znaki, a zatwardziałości w grzechu nie przelamał — cóż my na to możemy? Chyba jak Bóg i w Imię Jego chłostać też i surowością gnać do pokuty...

— Spróbujcież chociaż wprzód łagodniejszego środka — odezwał się Suchywilk. — Gdy wyczerpie się pobażanie...

— Dawno się ono wyczerpać było powinno — rzekł Bodzanta.

Bogorja, jakby nie słyszał, co mówiono, począł w myśl swoją:

— Pójdziemy do króla...

Wtem Suchywilk, dając znak wujowi, podniósł głos:

— Ażeby krok ten był skutecznym — rzekł, — należy i to rozważyć, czy mamy wszyscy razem do niego iść, czy pojedynczo o to nalegać przy każdej zręczności? Wszelkiego nacisku król nie znosi, owszem, skutek on przeciwny na nim wywiera. Każdy z nas, powodowany miłością dla krwi tej, dla króla naszego, może i powinien błagać go o to. Gdy się zejda te pojedyncze głosy, skutek przyniosą.

Bodzanta ramionami poruszył.

— Miłościwi moi — rzekł szydersko, — za to wam ręczyć mogę, iż czy pójdziecie gromadą, czy pojedynczo, on jutro wiedzieć będzie, iż z narady to wspólnej wypadło!!

Ks. Suchywilk wziął te słowa jako wymierzone do siebie, zarumienił się i rzekł:

— Ani ja, ani ks. Zbyszek, ani kasztelan nasz pan krawkowski z tem do niego nie pójdziemy, a pasterz nasz — wskazał na Bodzantę — nie pośle na zamek zawiadomienia.

Bodzanta się rozśmiał.

— Nie wiem, kto doniesie i kto donosi, lecz wiem to, że król zawiadomiony zawsze i o tem, co powinien i czego wiedzieć nie powinien.

— A o czemże król w królestwie swem zawiadomionym być nie powinien? — odparł ks. Suchywilk.

Biskup groźnem zmierzył go wejrzeniem.

— Zgubną naukę szerzycie! — zawołał — chcielibyście, ażeby król w państwie sam był panem tylko, a my, duchowni, jego służebnikami... O tem, co my czynimy i przedsięwzięmy, wiedzieć mu nie potrzeba, ani się mieszać do tego...

Bogorja milczący, który wielki swój pierścień na palcu obracał i wpatrywał się weń zadumany, wtrącił:

— Król duchowną i Kościoła władzę szanuje.

— A Baryczkę utopić kazał! — rzekł Bodzanta.

— Nie godzi się tego kłaść na karb jego...

— Jakże nie, gdy zabójców osłaniał! — wołał nieprzeblągany Bodzanta.

— Sprawa ta nieszczęśliwa przecież skończona — rzekł Suchywilk.

— Ale niezapomniana! — odparł żywo Bodzanta — i póki narodu, póty pamięci o niej. Plama z krwi się nie zmywa...

— Chrystus nam przebaczać każe — rzekł arcybiskup.

Bodzanta nadąsany zamilkł. Po malej chwili uczynił ruch, jakby wychodzić chciał, lecz arcybiskup go powstrzymał.

— Waszego zgodzenia się potrzebujemy, ojcze — rzekł, — skłońcie się do myśli naszej!

— Wyście tu u nas głową — odparł Bodzanta dumnie, — chociaż ja w mej diecezji pasterzem... Postanowicie, nie sprzeciwię się, lecz przekonany nie mogę być, bom innej myśli..

To mówiąc, począł żegnać Bogorję, który go, pod rękę ująwszy, do drzwi ze czcią odprowadził.

Wszyscy inni pozostali, czas jakiś nie odzywając się. Odejście Bodzanty jakby brzemię zdjęło im z serca...

Głos zabrał Suchywilk.

— Ksiądz pasterz nasz, chociaż inaczej się zapatruje na położenie, jestem pewny, gdy, da Bóg, dokona się to, cośmy tu postanowili, nie sprzeciwi się i sam się z nami połączy. Ma żal jeszcze do pana naszego, ale... ustąpi on.

— I ja tak tuszę — potwierdził arcybiskup, który chętnie szedł za zdaniem siostrzana swego.

Spytek, Ligeza, Odrowąż i Przeclaw z Gołuchowa nie mieli nic do dodania, zgadzali się na małżeństwo i na środki dla przyspieszenia go. A że Suchywilk, najlepiej znający króla, radził pojedynczo występować, i tę myśl trafną, a zastosowaną do charakteru króla, przyjęto.

Bogorja miał najpierwszy wystąpić, a że długo w Krakowie bawić nie mógł, zaraz nazajutrz na zamek z tem zjechał.

Budowano tam właśnie i nowe wznoszono mury: król tak się zajmował robotami około zamku, iż sam codzień przypatrywał im się, rozpytywać o nie chodził.

Zamek, już za ojca dźwignięty i nieco rozszerzony, chciał Kaźmirz uczynić, jeśli nie takim, jakiby przystał wielkiemu państwu jego, to przynajmniej odpowiedniejszym swym upodobaniom.

Brakło i dogodniejszego mieszkania dla niego samego, i obszerniejszych izb dla przyjęcia dostojnych gości. Kaźmirz marzył o takim pałacu, jaki widywał w Pradze, na Wyszehradzie węgierskim i w Budzie, o jakich mu Waclaw z Tęczyna opowiadał w innych europejskich stolicach. Lecz zbywało na kamieniarzach, budowniczych, rzeźbiarzach, i wszystkich tych rękodzielników sprowadzać było potrzeba. Przychodnie ci, mając dosyć zajęcia i w Krakowie, i po innych miastach, w większej części osiedlali się w kraju, a przy nich młodzież tutejsza uczyła się kunsztu i król miał tę pociechę, że już nie sami cudzoziemcy przy zamku zajęci byli.

Tak samo jak z kmieciami w podróżach swych i wycieczkach, Kaźmirz chętnie rozmawiał z rękodzielnikami. Oskarżano go z tego powodu, że cudzoziemców, Niemców zwłaszcza, zanadto lubił, zbyt wielu ich ściągał, lecz nie z miłości dla nich czynił to, ale przez miłość dla kraju, do którego oni przynosili z sobą naukę tego, na czem mu dotąd zbywało.

Gdy Bogorja zajechał przed zamek, Dobek Bończa oznajmił mu, że król opatruje mury, które wznoszono, i ofiarował się pójść mu opowiedzieć o gościu.

Lecz, nim arcybiskup wysiadł, a Dobek ruszył, król stał już w przedsieni, uprzejmie witając ulubionego pasterza. Tem może serdeczniej zbliżał się teraz ku niemu, że on jeden, choćby był mógł wymówki mu czynić za Estherę, nie powiedział ani słowa. Wdzięczen mu był za to. Z wypogodzoną twarzą weszli oba do zamku.

— Dzięki Bogu — odezwał się arcybiskup, — gniazdo to nasze stare... coraz wspanialej się uściela... Daj Bóg, aby urosło i ozłociło się... na pociechę naszą... ale samemu na nim siedzieć królowi nie przystało...

— Nie winienem ja osamotnieniu mojemu — westchnął Kaźmirz; — znacie żywot cały... smutki jego i zawody... Dziś, za późno!!

— Za późno? — spytał Bogorja, siadając. — Jesteś miłością wasza w sile wieku!

— Przepowiedziano mi, że zejde bez potomka! — dodał król smutnie.

— Niedorzeczne proroctwa! — podchwycił arcybiskup. — Któż siedział w Pańskiej Radzie i zna wyroki Boże?

Król spuścił głowę zadumany.

— My wszyscy, którzy naszych królów krew nauczyliśmy się miłować — mówił Bogorja, — modlimy się i pragniemy, aby te omina fałszem się stały. We wdowim stanie wam pozostać, potomka nie mając... nie godzi się. Jest to dobrowolnem wyrzeczeniem się wszelkiej nadziei! Są w królestwie naszym tacy, którzyby Ludwika, siostrzana waszego, radzi widzieli na Piastów tronie... Wszakże i w nim kropla tej drogiej krwi płynie, lecz my, my nie wyrzekliśmy się tej słodszej nadziei, że synowi waszemu zostawicie należną mu koronę!

Mówiąc to, Bogorja patrzył na króla, który siedział z oczyma spuszczonemi, zachmurzony, milczący, jakby rozmowa ta struny, smutnie w duszy jego brzmiące, poruszyła. Kilkakroć arcybiskup zatrzymywał się i czekał odpowiedzi, która nie przychodziła.

Każmirz zrozumiał dobrze, dlaczego do małżeństwa zachęcał go arcybiskup. Było to niewyraźne napomknienie, iż rodzaj życia, który prowadził, w oczach jego niewłaściwym się zdał dla króla.

Jakkolwiek lekkie dotknięcie tego stosunku, który jeszcze pochłaniał całego Kaźmirza, ubodło go przykro. Sromił się...

— Po próbach, jakie przeszedłem — rzekł nareszcie król, — nową czynić trudno mi, ojcie kochany.

— Lecz dla przyszłości królestwa tego powinniście się poświęcić — odparł Bogorja.

Po długim milczeniu Kaźmirz odezwał się obojętnie:

— Nielatwo mi o żonę, jakiejbym pragnął, a pierwszej lepszej wziąć nie mogę. Śluby są wiekuiste i omyłkę całem życiem płaciłby przyszło.

— Lecz Bóg łaskaw i omyłki nie będzie! — zawołał arcybiskup. — Szukajcie a znajdziecie! powiada Pismo.

Rozmowa ciągnęła się jeszcze, gdy nadszedł kasztelan Spytek, na zamku gość codzienny. Arcybiskup umyślnie się do niego zwrócił.

— Jestem pewien, że i wy mnie zawtórujecie — rzekł, zwracając się do niego. — Namawiam króla do ożenienia...

— A! i mybyśmy wszyscy, choćby na klęczkach, o nie prosić gotowi! — rzekł Spytek, zniżając głowę przed królem. — Wasza pasterska mość wyrwaliście z serc naszych życzenie, któregośmy objawić nie śmieli, choć je oddawna nosimy... Cale królestwo ono czeka na to...

— Wszak wiecie najlepiej — odparł król, tem nalega-
niem zakłopotany, — żeśmy na wszelki wypadek nie zo-
stawili korony bezpańskiej. Przeznaczona jest Ludwikowi...

— I ten miłym nam będzie, jeżeli, uchowaj Boże, spadnie
na niego — rzekł Spytek, — lecz inna to rzecz swój pan z na-
mi wychowany, u nas zrosły, a obcy, choćby najlepszy. Oby-
czaj cudzy, prawo inne mimowoli z sobą przyniesie...

Z udaną wesołością, jakby chciał tok rozmowy odmie-
nić, król przerwał:

— Jam nieskory do nowego wyboru, a i księżniczka
żadna nie będzie pochopną iść za wdowca... Stary jestem...
Bogorja się uśmiechnął.

— Byle ochota do ożenienia była... swatać wszyscy bę-
dziemy...

— Tak — zakończył król, — w moim wieku już trzeba,
aby ktoś żenił, bo sam człowiek nie potrafi.

Arcybiskup przez czas jakiś jeszcze o tym samym mówił
przedmiocie, chociaż widział, że królowi nie był miłym.

Spytek mu dopomagał.

Kochan, który o naradzie już wiedział i czekał, jaki sku-
tek uczyni przemówienie arcybiskupa i kasztelana, dostrzegł
tylko tę w królu zmianę, że go wesołość opuściła. Wieczo-
rem poszedł do Esthery.

Dni następnych wszyscy, co się do króla zbliżyć mieli
zręczność, popierali Bogorję. Ten i ów niedosyć zręcznie
objawił Kaźmirzowi życzenie powszechne... i chmurę na
czoło wywołał... Wreszcie ciągle zewsząd powtarzające się
nalegania dozwoliły się domyślać, iż one wskutek zmywy
jakiejs i za zgodą powszechną oblegały tak króla.

Jednego wieczora zasępiony Kaźmirz spytał Kochana,
który zawsze najlepiej był uwiadomiony.

— Skąd to poszło, że mnie wszyscy tak napastliwie oże-
nić pragną?

— Nie potrzebuję tego tłumaczyć — odparł Rawa. —
Wasza miłość dobrze rozumiecie znaczenie tych próśb po-
wszechnych... Od Żydówki by oderwać radzi...

Król mruknął tylko.

— Takiej, jak ona, królowej mi nie dadzą. Zabiegi próżne, ja się do tej niewiasty codzień przywiązuję więcej!

Ulubieniec ostrożny zachował milczenie.

Trwał już od kilku miesięcy serdeczny ów związek z Estherą, a szemranie nań coraz wzrastało, gdy zamiast pojedynczych próśb, ziemianie i rycerstwo krakowskie, przybrawszy sobie z innych ziem ludzi znacznych, przyszli uroczyście na zamek do króla, przynosząc żądanie ogólne, aby żony szukał sobie.

Król zmuszony do odpowiedzi, znużony ciągłemi temi nastawianiami, w chwili podrażnienia odpowiedział posłom publicznie, iż gotów jest uczynić zadość woli ich i całego rycerstwa, byle znalazł po myśli swej księżniczkę.

Było to niejako zobowiązanie się i obietnica.

Kasztelan Spytek i kilku innych pierwsi wystąpili z tą myślą, by księżniczki szukać w rodzie śląskich Piastów.

Zaczęto się rozpatrywać w rozrodzonych książęcych dworach; ten i ów napomykali już imiona...

Król z wielką niechęcią, w milczeniu obojętnem słuchał, co mu donoszono, i, ramionami ruszając, odpowiadać nawet nie raczył. Wiedział już, że od tego nowego związku obronić się nie potrafi. Wieczory, jak zawsze, spędzał u Esthery, a często, nie zważając na oczy i na złośliwe szepoty, we dnie stawał przed domem Esthery, zsiadał z konia i dwór na zamek odprowadzał.

Tak się stało i dnia jednego, w którym Kaźmirz więcej od innych od nalegań ucierpiał.

Swatano mu najnatarczywiej księżniczkę Jadwigę z Głogowa, o której wieści chodziły, że była młodą, piękną i wychowaną tak, że i na tronie królewskim usiąść była godną.

O przebiegu całej tej sprawy małżeństwa Esthery od początku była uwiadomiona. Miała ona już naówczas usługnych dworzan, a co się działo i mówiło na królewskim zamku, natychmiast ją dochodziło.

Nigdy jednak nie dała poznać królowi, iż wiedziała o upornem swataniu, nie okazała obawy; — witała go wesóło, zabawiała szczebiotaniem, starała się, aby u niej o troskach powszednich zapomniał.

Król też zmuszał się, przestępując próg jej domu, okazać wesółym, a przymus ten wkrótce sprowadzał roztargnienie i myśl dobrą.

Dnia tego wszedł Kaźmirz, nie zdoławszy czoła wyjaśnić, posępny, padł na siedzenie znużony.

Po całodziennych łowach czekała go tu wieczerza... Siadł do niej, prawie słowa nie rzekłszy. Esther też milczała, patrząc mu w oczy.

Przybywał z brzemieniem ciężkiem, postanowił był bowiem otwarcie się o tem z nią rozmówić. W oczy jej spojrział, kończąc wieczerzę... Siedziała przed nim, zawsze piękna, trochę bledsza tylko.

— Esthero — odezwał się król, rękę ku niej przez stół wyciągając, — cobys ty rzekła, gdyby mnie zmuszono do ożenienia? Duchowni, rycerstwo, wszyscy nalegają na mnie;... bronilem się... nie wiem, czy potrafię oprzeć! Nie pragnę żony, Bóg widzi — lecz...

Esther nie spuszczała oczów z niego, słuchała spokojna.

— Królu mój — odezwała się, gdy zamilkł, — jesteś ich królem też... Chcą mieć potomka z krwi twojej następcą po tobie... Cóż ja mam na to powiedzieć? Chcesz opuścić Estherę twoją?

— Nigdy! nigdy! — zawołał król z żywością wielką — tyś mi była jedyną, żadna cię nie zastąpi!

— Młodość, wdziek, nowość nie odciągną cię mimo-woli? — spytała z wyrazem powagi i spokoju Żydówka.

— Jestem pewien tego, że drugiej pokochać nie potrafię tak, jak ciebie! — rzekł król. — Miłość moja wielką być musiała, gdy mnie zmusiła z tronu zstąpić do Esthery, — nie płocze to uczucie, ani je zgasić potrafi lada twarzyczka księżniczki.

Estherze po twarzy popłynęły dwie łzy i stoczyły się po policzkach, jak dwie perły na białą dłoń.

— Tyś pan mój, jam niewolnica — rzekła, — czyń, co chcesz.... Esthera posłuszną będzie... a co w jej sercu utkwii, to zamknie, abyś rany nie widział.

Wzruszony Kaźmirz wstał z siedzenia, aby ją utulić i upewnić, że zmienić się nie może.

Gwałtowny ból, który łzy wycisnął, był jakby przezwy-ciężony, uśmiech powracał, zdawała się zaufaną w nim, szczęśliwą. Król począł rozwodzić żale swe przed nią.

— Nie panami my jesteśmy na tronach, ale niewolnikami! — zawołał. — Odjąć życie człowiekowi prawo mam, lecz własnem zarządzić nie mogę. Duchowieństwo z jednej, rycerstwo z drugiej strony oblega i wkońcu najniezłomniejszą wolę zwycięży... Dobrym im jestem, powiadają, żem

miękki — surowym, żem okrutny. Sędzia ma godziny, w których, zstąpiwszy z ławy, człowiekiem wolnym się staje, żołnierz odpoczywa, kmięć wychnąć może, tylko nie król, na którego dniem i nocą tysiące oczu patrzy i każdy ruch jego śledzi. Żenić się musi dla przymierza, podawać rękę nieprzyjacielowi dla uzyskania spokoju, wojować dla ich korzyści, dla siebie nic mu uczynić nie wolno.

— Panie mój — przerwała Esthera, — Bóg was przeto postawił wyżej i przez was rządzi ludami... Skarżyć się może człowiek, król dumnym być powinien...

Każmirz, który się lękał lez, wymówek i zatrucia tego szczęścia, którego odniedawna przy niej zażywał, wdzięcznym jej był nad miarę, iż tak mężnie i ufnie przyjęła bolesną nowinę.

Wdzięczność ta powiększyła jeszcze przywiązanie; ze łzami wzruszenia w oczach powtarzał dnia tego, iż nigdy nie opuści jej i, gdyby nań najsilniej nalegano, pozostanie jej wiernym.

Kochan, którego się król nie wystrzegał, podsłuchujący pode drzwiami, odszedł od nich z przekonaniem, że Kaźmirz z Estherą rychło zerwać nie może. Zmieniło to jego postępowanie z nią. Zapisał się od dnia tego w poczet jej wiernych.

On się nazajutrz sam nastręczył królowi dla odniesienia darów, jakie dla Esthery przeznaczał. Były one wyrazem tego, co doznał wczoraj: wdzięczności i powiększonego przywiązania. Przechodziły też wszystko, co dotąd przelało się ze skarbca na Wawelu do skrzyń Esthery...

Kochan z dwójgiem czeladzi zawiózł ze słowem Kaźmirza dary, których Esthera nie zdawała się spodziewać. Przy tej zręczności starał się ją zapewnić, iż gotów jest zawsze w każdym razie popierać jej żądania i u króla być jej orędownikiem.

Spodziewał się może wdzięczności i poufalszego zbliżenia, lecz Esthera na te nadskakiwania próżne odpowiedziała tylko bardzo obojętnem głowy skinieniem.

Tak, jak ulubienca królewskiego, przyjmowała wszystkich, którzy się do niej wciskać usiłowali, starając przez nią cokolwiek wyjednać u króla. Odpowiadała na prośby tem, iż ani dla siebie, ani dla drugich nie śmiała nigdy nic żądać od króla.

Nigdy też z ust jej Kaźmirz nie posłyszał żadnego na-

pomknienia nawet o czem innem, oprócz tego, co się ich obojga tyczyło.

Lewko i inni pokrewni nalegali o wiele drobnych przysług, ale i tych Esthera odprawiała odmową.

— Dla narodu naszego prosić go będę — mówiła, — dla ludzi nie mogę! On u mnie szuka spokoju, a ja mu go żebranią zatruwać nie chcę.

Lewko się gniewał, lecz wprędce zrozumiałwszy ją lepiej, poszanował jej postanowienie i nie nalegał więcej.

Spodziewano się może, iż chciwością i nadużyciem władzy, jaką miała nad królem, sama się mu narazi i od siebie odstręczy. Rozum znalazł się niespodziany w dziewczynie, i ta, którą za chwilową fantazję pańską z początku uważano, wkrótce urosła do potęgi, jakiej nikt nie przewidywał.

Kochan milcząco głową potrzasał. Panowanie jego się kończyło...

Od tego wieczora, gdy poddała się konieczności królewskiego małżeństwa, urosła niezmiernie.

Wkrótce przyszedł na świat pierwszy syn jej, którego król, Pełki dawszy mu imię i w szczycie pól orla, a w drugiej tarczy dzielnicy dwie róże białe — ochrzcić kazał, przyznając swoim.

Narodzenie jego wrzawę przeciwko królowi podniosło jeszcze straszniejszą... a równie nadaremna, jak dawne narzekania i krzyki.

Tymczasem swaty o księżniczkę Jadwigę wyprawione zostały, a na zamku śpieszono z przygotowaniami do uroczystego wesela.

Każmirz nie opierał się już i z obojętnością największą dawał sobą rozrządzać tym, co go otaczali. Jadwiga śląska, czy inna, była mu równie nieznaczącą, narzuconą i przymusem daną towarzyszką...

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom XXX

J. I. KRASZEWSKI

KRÓL CHŁOPÓW

CZASY KAŻMIRZA WIELKIEGO

CZĘŚĆ III



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE,
CZERNIAKOWSKA 225

MACIEK BORKOWICZ

Możnym panem był ten ruchliwy, gorący, niespokojny, gwałtowny Maciek Borkowicz, któremu niegdy dla zasług ojca, Przybysława, poznańskiego wojewody, król ogromne nadał ziemie: Koźmin, Orłę, Bożęcin, Golinę i wiele innych posiadłości.

Możnym panem był w Wielkiej Polsce nie dlatego, że ziemi w niej miał sporo, lecz, że tu się urodziwszy, przez całe życie pracował na to, aby sobie jednać ludzi wszelkimi sposoby. Jak jemu podobni, niezbyt surowi w ich wyborze, Maciek wiedział dobrze, iż najłatwiej pozyskać sobie serca, dogadzając słabościom. Bano się go, bo gwałtownym był, ale wiązano z nim też chętnie, bo myśliwym las dawał, ochotnym do biesiady stoły zastawiał, chciwych godności popychał, łakomych na grosz jednał datkami.

Zdawna już patrzyli nieklórczy na Maćka okiem nieufnem. Zanadto się krzątał, zbyt chciał przeprowadzić w Wielkiej Polsce, a kto mu zawadzał, uprzętał go z drogi, często nieznanemi jakiemis i zagadkowemi środkami. Wielu z tych, co się na niego porwało, a dokuczyło mu, poginęło w lasach, w podróży, w zwadzie jakiejś na gospodzie lub niewiadomo jak...

Naprzemiany serdecznym być umiał i strasznym. Miał też nieprzyjaciół skrytych wielu, ale i druhów takich, którzy z nim naóselep iść byli gotowi.

Syna wychował, aby takim był, jak on sam, ale w tym, że młodsza krew grała, był jeszcze od ojca zapamiętałym i śmielszym. Niewiele też odstał od niego i brat Jan, któremu z dóbr sobie nadanych przez króla Maciek Czacz odstąpił.

On, brat Jaśko z Czacza i syn chodzili zawsze razem, jak sprzężeni. Dwu jeszcze miał pomocników, wyręczycieli,

zauszników i druhów, na których przedewszystkiem rachował; Sędziwoja Nałęcz i Skórę, obu ziemian możnych.

Królowi Maciek niby to służył wiernie, kłaniał się nisko, a że rubasznym był i na oko zdawał się szczerym, Kaźmirz go się nie lękał. Lepiej uwiadomieni utrzymywali, iż zręcznie pocichu podstępnie przeciwko niemu knował. Podejrzane były jego ściśle stosunki z księżętą brandenburskimi, nieprzyjacioły Polski, i ze śląskimi, którzy od niej odpadli. Jawnego jednak nie było, coby zadać było można.

Król mu dał wielką władzę, starostą swym w Wielkiej Polsce uczyniwszy; on większą jeszcze przywłaszczał sobie, garnąc wszystkich do siebie tem, że obrońcą praw i odrębności tej ziemi się czynił.

Garnęli się do niego ludzie w dobrej wierze i do tego przyszło, że stanął na czele związku ziemian wielkopolskich, o jakim dotąd jeszcze nigdy słyhać nie było. Długo się to przygotowywało, aż wreszcie na zwołanym do Poznania zjeździe wszyscy najcelniejsi ziemianie z Przeclawem, kasztelanem, i Mikołajem, sędzią, na czele, uczynili na piśmie mocną rękę jedną, aby razem iść, wzajem się bronić i w jedności trzymać. Wprawdzie stało tam, że przeciw króla nikt nie był obowiązany, i zapewnioną była wierność jemu, ale słowo to nic nie znaczyło przeciwko czynowi, który Wielkopolan, Grzymałów, Nałęczów, Doliwów, Szaszorów, Leszczyców, Habdanków sprzągl i dał w garść ambitnemu staroście.

Przypominano już pocichu zdradę Wincza z Szamotuł, który też około siebie uzbierawszy ludzi, do krzyżaków ich poprowadził. Lecz szli i tacy, którzy pomnąc, jak król Maćka obdarował, wierzyć nie chcieli, przypuścić nie mogli, aby on wystąpić miał przeciwko swemu dobroczyńcy...

Na czele tych, co lepiej znając Maćka, obawiali się go i ostrzegali, aby się z nim nie wiązać, był rodzimym wujem jego, wojewoda Benjamin, którego drudzy starym Beńkiem zwali. Z tym już Maciek zadarł się śmiertelnie i oba się na siebie odgrążali.

Działo się to właśnie wtedy, gdy poszła po ziemiach wszystkich pogłoska, iż królowi zaswatano Jadwigę głogowską. Doszła ta wiadomość i do Poznania, a stamtąd do Koźmina.

Dworzec w Koźminie, za miastem, w którym Borkowicz często przebywał, gdy tak bardzo jak w Poznaniu widzianym i śledzonym być nie chciał, dosyć obronny był, wałem

osypany, ostrokołem opasany, ale, jak wszystkie Borkowicza dwory, służył mu tylko za obozowisko.

Człek to był, który, choć možny, w życiu nie potrzebował błyskotek i wygod. Żołnierz, nieustannie na koniu, w przejazdach, w podróżach, miejsca rzadko gdzie zagrzewając, gdziekolwiek przybył, rozkładał się żywo, jako tako urządził, byle mu wszystkiego w bród było, bo zawsze z sobą liczną gawieź ciągnął, ale o okazanie bogactwa przepychem nie dbał.

Z bratem Janem z Czacza, z synem Przemkiem, z nieodstępnymi swymi Sędziwojem Nałęczem i Skórą, od dni już kilku siedział Maciek w Koźminie.

Na koźmińskim dworze życie i ruch był niezmierny. Ziemianie ciągle przybywali i odjeżdżali, stoły musiały zastawne być od rana do nocy, piwa beczki wypróżniały się w okamgnieniu, miód wysychał, mięsiwa i chleba nastarczyć było trudno.

A kto by do izb zajrzał, w których ciągle tłumno było, wrzawliwie, gęsto, nie posądziłby pewnie, żeby się tam coś knować mogło, bo krzyczeli wszyscy głośno, śmiali się, pili, kłócili, a prawili o takich rzeczach, które chyba dla nich niebezpieczne być nie mogły.

Niekiedy tylko Maciek którego z ziemian, za szyję ująwszy, odwiódł do komory, powstał tam z nim, poszeptał, a potem, śmiejąc się, do stołu powracał. Potem zwykle ziemianin, najadłszy się i napiwszy, usta ledwie otarłszy, na koń siadał i precz jechał z gęstą miną.

On, brat Jan i Przemko gospodarzyli u stołów po całych dniach gościnnie bardzo.

Osobliwszy był dom wdowca, bo w nim, oprócz służby męskiej i czeladzi, młodych dziewcząt postrojonych w wianuszki, wesółych, chichoczących mnóstwo do stołu i po izbach posługiwało. Goście sobie z tej służby stroili żarty swawolne, ale u Borkowicza wszystko było wolno tym, co z nim trzymali.

Wieczorami ta czeladź niewieścia musiała śpiewać pieśni, a czasem i w tany pójść, gdy goście byli podchmieleni.

Dnia tego, w którym Maćka we dworze koźmińskim znajdujemy, po dłuższym nieco pobycie ziemian się jakoś przebrało... Jeden tylko z Krakowa świeżo przybyły za stołem siedział, jadł, bo był drogą wygłodzony, popijał, a razem plótl coś ciągle, bo mu się, acz pełna chleba i mięsa, gęba nie zamykała.

Maciek siedział na ławie rozwalony, w sukni rozpuszczonej i rozpiętej, ręką niespokojną brodę krótką targając i twarz jego, dumą i siłą napiętnowana, wyrażała wielkie z siebie zadowolenie.

Krakowski gość, imieniem a raczej przezwiskiem Groszek, był ubogim panoszą ze szczytu Półkoziców; czepiał się on różnych klamek, jadł chleb nie z jednego pieca, a teraz Maćkowi służył. On mu zwykle języka przynosił, co się na dworze działo, co po drodze słyszał, co u innych druhów starosty dostał.

Mówił cicho a prędko, potrosze szeplenił, a równie mu było pilno jeść, pić i rozpowiadać, aż się krztusił.

Słuchano go pilnie; starosta z ławy badał.

— Wierzbięta pojechał tam — mówił, — albo z siebie sam, aby co utargować, lub zawołany... hę?

Groszek brwi podniósł do góry.

— Kat go wie? — rzekł — dopytać nie było można, ale na dworze go przyjmowali i u króla jadł.

— A z kim król nie je? — odparł Maciek — u niego wszyscy dobrzy, byle mu pochlebiali, a na życie jego nie mówili nic...

— Mało, że Wierzbięta był, — dodał szlachcic — było ich tam temi czasy dosyć. Naposiedli się króla żenić.

Maciek prychnął.

— Ma on ich dosyć! — zawołał — jeszcze mu jednej trzeba. A cóż z Żydówką będzie, bo tę, słyszę, tak miłuje, jakby mu Mesjasza narodzić miała.

— A no, toż i przyszedł na świat! — zawołał Groszek — ochrzcili go w kościele, i szczyt mu król dał... a zowią go Pelką. Nie mogli snąć inaczej oderwać go od Żydówki, więc mu żonę zaswatali.

— Niemkę znowu pewno, bo Litwinki drugiej ani Rusinki dla grubego obyczaju nie weźmie... — rzekł, śmiejąc się, Borkowicz, — anom ciekawy, jaką?...

— Niemkę nie Niemkę — począł Groszek, — ale tak, jak Niemki, gładko wychowaną i młodą. Mówią na pewno o głogowskiej Jadwidze...

Maciek, który na ławie leżał, usłyszawszy imię to, zerwał się nagle, aż ława pod nim zatrzęszczała, podniósł i poskoczył do mówiącego z brwiami groźnie zmarszczonymi.

— Niedoczekanie jego! — krzyknął, wodząc oczyma za iskrzonemi.

Brat i syn spojrzeli nań tak, jakby go hamować chcieli, lecz w tej chwili powstrzymywając go już było ciężko. Krwią całe zabiegło oblicze...

— Nie może to być? — powtórzył.

— Com słyszał, to prawie — odparł, bijąc się w piersi Groszek, trochę przestraszony, jakby na dzikiego zwierza znienacka nastąpił. — Arcybiskup Bogorja z Suchywilkiem... pierwsi go przyciskać zaczęli, aby się żenił koniecznie. Za nimi poszli i kasztelan Spytek, Ligeża, Odrowąż i nasz Przedko z Gołuchowa. Jak go modlić i nalegać zaczęli, rzekł im, słyszę: — No, to dajcież mi żonę! — Poszukali mu więc i księżniczkę Jadwigę znaleźli... Już ci prawie o godach...

Maciek z twarzą zmienioną słuchał. Brat jeden, Jan i syn może wiedzieli, co gniew jego znaczył. Wysoko sięgał starosta, wysoko!... Na Wielkiej Polsce, oderwanej z pomocą swych związkowych, zasiąść udziałnym panem, przy pomocy Brandenburgów i krzyżaków, a z Jadwigą chciał się on sam żenić!

Na dworze w Głogowie niezgorzej go przyjmowano. Księżniczka nie miała dotąd bohdana, a zamaż wyjść chciała i wydać ją życzone. Młoda, piękna, żywa, śmiała, wesółą do zbytku, podczas i na łowy jeździła, a samotnej w kącie siedzieć nie w smak jej było. Krosien też, jak inne, niezbyt była rada pilnować...

Maćkowi, już dojrzałem, śniło się ją wziąć do boku. Zdało mu się, że krzywą dłoń nie była. Chociaż po sobie nie mógł pokazać jeszcze, ażeby się starał o jej rękę, starosta zajeżdżał często, siadywał długo, podarki woził potajemnie i te przez panią starszą przesyłał. Mówiono, że je przyjmowała, choć trudno było mu dojść, czy ona je brała, czy chciwa Niemka, która przy niej ochmistrzyni obowiązki sprawiała.

Wszystkie te piękne nadzieje wiadomość, przez Groszka przywieziona, wniwecz obracała. Złość porwała wielką gwałtownego człowieka, stał, burząc się, i słuchał milczący...

— Służacy za niego jej nie dadzą! — zawołał, wybuchając. — Albo to oni go nie znają? kto go nie zna, tego pogannina, który żon i pół-żon co roku mienia, ile mu Kochan nastreczy... Nie dadzą!

— Na dworze bo powiadają — przerwał Groszek, — iż już się arcybiskup wprzód upewnił o tem, że ją dać zechcą, nim swatem się uczynił! Prawią, jak jeden wszyscy...

— A z Żydówką tą kochaną co uczyni? — zapytał gniewnie Maciek — bo i z synkiem półjudą, pół-Piaściukiem?..

— Żydówka bodaj, aby w zapasie nie została — począł Groszek. — Mówią, że się do niej przywiązał, iż bez niej dnia nie wybędzie..

— Mów, nocy! — wtrącił zły Maciek, pięścią silną o stół tłukąc. — Jeszcze mu jednej było potrzeba! jeszcze! Wszak ci już królestwo i nas sprzedał w węgierską niewolę... a poco mu syn?

Stojący obok Jan z Czacza mruknął, wtórując:

— Węgry nie dopuszczają ożenienia... Potrafią oni. Elżbieta bezręka, choć palców nie ma, zdoła wszystko powikłać i popsuć...

Maciek zwolna, burcząc, ku ławie powrócił. Groszek, dobrze podjadłszy i podpiwszy, wasy sobie połą zabrukanego kaftana ocierał. Milczenie krótkie dało czasu do namysłu. Starosta się zdradzać nie chciał.

— Cóż — rzekł — mówisz, że o godach prawią?

— A juści! — potwierdził Groszek — i chcą je uczynić głośniami a świetniami, aby zatrzeć pamięć tych z Rokiczaną, których ich wstyd...

— O nas tam co mówią? nie słyszałeś? — zapytał Bor-kowicz. — Co o piśmie, któreśmy sobie dali? Ja sam królowi doniosłem...

— Wie też o niem, ale sobie z niego nic nie czyni... We dworze słyszałem, jakoby mu to wytłumaczyli, że w tem niema nic, jeno bezpieczeństwo od warcholów...

Nic nie rzekł Maciek.

Badalby był może posłańca dłużej, gdyby do izby nie wpadł Skóra, do ucha coś szepnął staroście i nim dokończył, na progu się ukazał Wierzbięta, o którym mowa była właśnie, iż w Krakowie się miał znajdować.

Z tym Maciek nigdy dobrze nie był, bo się go obawiał, a ująć go nie mógł. Wierzbięta miał ucho i łaskę królewską, mąż był stateczny, poważny a twardy. Spojrzeć nań było dosyć, by poszanowanie uczuć, bo się sam on szanował, górą chodził i do tych należał, których nawet na słodkie pochlebstwo nikt nie weźmie.

Maciek z dumną swą miną naprzeciw gościa wystąpił, chcąc dlań uprzejmym być.

Wierzbięta zwolna, niebardzo się oglądając, zbliżał się do starosty.

— Przebaczycie mi, miłość wasza, — rubasznie rzekł Borkowicz — bom ja tu, choć w domu, a jak w gospodzie, więc — nie wónno u mnie i nie wytwornie. Jam żołnierzem bywał, a prostych obyczajów nie pozbył się.

— Ano, wszystko dobrze, — odparł obojętnie Wierzbęta — byłem was znalazł, reszty mi nie trzeba.

Uczył starosta miejsce na ławie dla przybyłego, sam się przy nim sadowiąc, gdy brat i syn oddalili się, aby wydać służbie rozkazy.

— Z Krakowa wprost jadę, — odezwał się Wierzbęta zwolna — kazał mi was król pozdrowić.

Skłonił głowę Maciek.

— Bodaj nam zdrów jak najdłużej panował — rzekł zcicha.

— Rad się o Wielkopolskę wypytywał, — ciągnął dalej przybyły — alem ja niewiele powiedzieć mógł, bo wiem szczupło. Rychlejbyście wy, albo wuj wasz Beńko mogli mu o tem donieść.

— Jam się też po piśmie naszym do miłości jego wybierał — rzekł Borkowicz, postępując. — Chciałem sam królowi z tego sprawę czynić, ale u nas tyle do czynienia jest, że się pański starosta oddalić nie może. Beńko stary i powolny; na mnie ciężar wszystek, a po lasach, po gościńcach rozboje ciągle, warcholów dużo i żelazną ich ręką karcieć trzeba.

Śluchał z uwagą Wierzbęta.

— Juściż będziecie się mieli kim wyręczyć, — rzekł — choć na królewskie gody przybędziecie.

Wspomnienie to poruszyło znowu starostę, tak, że ledwie się mógł utrzymać, nie zdradzając.

— Jakie gody? — zapytał, zdziwienie grając.

— Wiedzieć musicie, iż król się nareszcie prośbami wszystkich dał skłonić do ożenienia.

— Jeszcze raz? — przerwał Maciek.

— Nie stary jest — mówił Wierzbęta.

— A przyrzeczona Ludwikowi korona?

— Wiecie, że stoi w opisie warunek, gdyby potomka nie miał...

— Daj Boże szczęście! — odparł Borkowicz — ano, król niebardzo młody, jeśli parę dobierze do wieku, potomstwa się nie doczeka, jeśli mu młodą dadzą...

Nie dokończył, głową potrząsłszy.

— Swatają mu śląską Jadwigę — rzekł Wierzbęta.

Maciek ramionami poruszył.

— Co mam rzec? daj Boże szczęście, choć ja się go spodziewać nie umiem.

— Boże uchowaj złego! — rzekł Wierzbięta. — Ja mam lepsze nadzieje.

Tu chwilę pomilczawszy, dodał:

— Do Krakowa jedźcie, królowi się stawcie, taka rada moja. Różni tam ludzie mogli wasz zapis tłumaczyć mu krzywo: opowiecie sami, że go potrzeba było, a królowi on strasznym nie będzie...

— Stoi przecież w nim, iż panu wierność ślubujemy — zawołał Borkowicz; — ale ja wiem to dobrze, — nieprzyjacioly mam! Niepoczciwe języki wszystko obłudzać są zdolne. Z najczystszeo człowieka poczwarę uczynią.

Wierzbięta, milcząc, słuchał.

— Król niepochozny jest do uwierzenia lada komu, — rzekł — więc też i pisma złe nie wziął, tylko niemilem mu może, gdy się jedna ziemia osobno wiąże i oddziela, a onby je właśnie rad wszystkie z sobą połączyć.

Borkowicz brodę potarł.

— Odrywać się nikt nie chce, ale ziemianie nawykli zdawna w każdym kraju swe prawo i obyczaj trzymać. Taką Polskę Krzywousty mieć chciał, w której choćby wielu panów było, jeden stał nad wszystkimi najwyższy.

Maciek ożywił się, mówiąc, i niby z całą otwartością dalej ciągnął:

— Z krajem tak jest, jak z majątnościami; gdybym ja chciał sam gospodarzyć przez się i tu w Koźminie, i w Orli, i w Bożęcinie, i w Golinie, niczegobym nie dopatrył, jak należy. Przeto włodarzy trzymam, władzę im moją zdaję i liczbę z nich odbieram. Tak i w królestwie: im ono większem jest, udzielnych włodarzy, którzyby moc mieli rozporządzać się, jako zechcą, musi być wielu.

Wierzbięta słuchał.

— Nieinaczej też jest, — odparł — wielkorządców król stanowi w każdej ze swych dzielnic, a Ziemowit mazowiecki...

— Takich jak mazowiecki więcejby być powinno, — przerwał Maciek żywo — a wielkorządców mniej. Ci władzy całej nie mają, a przez to niewiele uczynić mogą.

— Nie zapominajcie, że przez takich, jak Ziemowit, Pomorze się nam oderwało — rzekł, marszcząc się, Wierzbięta.

Borkowicz, jakby się już za wiele rozgadał, umilkł nagle. Tarł ręce i patrzył w stronę.

Począł więc znówu przybyły gość.

— Nie nasza to rzecz tem rozporządzać. Król władzę ma i co uczyni, dobrem będzie; na rozumie i na radcach mu nie zbywa. Ojciec jego życie całe strawił na składaniu z kawałków wielkiego państwa, dzieła jego syn psuć nie będzie. Z tem do was przybyłem, — dodał — abyście do Krakowa jechali i królowi się jasno wytłumaczyli. Mówicie sami, że nieprzyjaciół macie; ja o nich nie wiem, ale temci pilniej powinniście około tego chodzić, aby wam złe języki nie szkodziły.

Namarszczył się Borkowicz i pogardliwie twarz skrzywił.

Choć niewiele ładu w domu jego było, przecież jakiegokolwiek gościa z domu odpuścić, chleba z nim nie rozłamawszy, nie godziło się; zastawiono co było dla Wierzbięty, a ten odmówić nie mógł. Lecz i jedzenie i napój nie zdawały mu się smakować, a Borkowicz, zwykle przynaglający innych, na niego nie nastawał. Przepili za swe zdrowie pocichu, kubkami uderzywszy... Gość, którego konie stały w podwórku, wstał wprędce i choć go zapraszano po obyczaju, dla pilnych spraw, powiedział, że jechać musi.

Borkowicz go wyprowadził aż do przedsieni i natychmiast wracając do dworca, padł zamyślony na siedzenie, brodę targając i okazując, że się w nim burzyło wszystko.

Nie powołanie do Krakowa, ani przyjazd Wierzbięty tak go poruszył, ale wiadomość potwierdzająca się, że księżniczka Jadwiga wychodzić miała za króla polskiego. Oprócz innych zamysłów, dźwignięcia się przez ten związek i pozyskania sojuszu książąt śląskich, tak jak już Brandenburgów miał po sobie, Maciek rozmiłowanym był, a w jego wieku najniebezpieczniejszem to bywa.

Młoda księżniczka łaskawą dlań była, pochlebiał sobie, iż pozyskał jej serce; myślał już więc nad tem, jak królowi narzeczoną wprost porwać i uprowadzić, bo pewien był, że ona się zgodzi na to.

Niespokojny, gdy wszedł brat, Jaśko z Czacza, zawołał doń zdala:

— Muszę jechać, dziewczynę gotowi gwałtem wydać; trzeba zobaczyć, jak tam rzeczy stoją. Była dla mnie życzliwą; jeżeli się uda, gotowem ją uwieść i zaślubić!

Jaśko coś głową powątpiewająco potrząsał.

— Dobrze rozważcie, abyście się dla podwiki daremnie nie uwiklali. Sprawa gardłowa: narieczona królewska! — rzekł powolnie.

— Niewiadomo, czy już narieczona, czy tylko zmówiona! Zrękowin czasu nie mieli uczynić — począł Borkowicz. — Mnie natychmiast potrzeba do Głogowa, lub gdzie ona jest i przez starą ochmistrzynię posłuchanie sobie tajemne wyrobić...

Brat, który się starszemu nigdy nie sprzeciwił, zmilczał i teraz, lecz niebardzo pochwalił. Borkowicz, gdy raz co postanowił, nie było już sposobu ani go przekonać, ni odciągnąć. Nie słuchał nikogo, a co mu się zamarzyło, natychmiast musiał dokonać.

Kazał konie sposobić. Na wieczór, noc, porę nigdy nie ważył. Zamyślił co o północy, nie czekał do dnia.

Ruszyło się wszystko we dworze, bo myślano, iż pan z całym swym orszakiem z Koźmina wyjedzie. Wieść poszła na miasteczko, ucieszyli się mieszczanie, ale napróżno, bo Borkowicz w kilka koni z bratem tylko na parę dni chciał uczynić wycieczkę, nie mówiąc dokąd.

W oka mgnieniu zwykli byli ludzie spełniać jego rozkazy i nim się on przedział do podróży, konie i wybrany dwór stali gotowi; syn pozostawał, mając nań oczekiwać w Koźminie.

Po drodze już dowiedzieli się, że Jadwiga była istotnie w Głogowie, gdzie posłów z Krakowa nowych oczekiwano. Głoszono powszechnie, iż rzecz była postanowiona. Maciek, burząc się, pośpieszał. Nie pojechał na zamek, ani się tu pokazał, znalazł gospodę, a do starej ochmistrzyni pacholę posłał, aby się z nim widziała.

Oplacana sownie za każdą posługę, starsza pani odpowiedziała posłańcowi, iż do gospody wieczorem nadejdzie...

Borkowicz, nie mogąc się i spocząć na chwilę, oczekiwał na nią.

Mrok padł, gdy, otulona płaszczem dla niepoznania, zjawiała się w progu niemłoda już niewiasta. Była ona niegdyś piękną, lecz oddawna nie mogąc na wdzięki rachować, na zręczność swą, pochlebstwo, przewrotność i niewieście wybiegi liczyła tylko. Zwali ją we dworze od imienia męża Konradową. Umiała sobie na nim wszystkich pozyskać: księżniczkę, którą wychowywała i której nadskakiwała, na wszystko jej pozwalając, czego tylko zażądała, rodzinę i dwór. Z każdym mówiła inaczej, potakiwała zkolei wszyst-

kim, służyła na prawo i lewo. Borkowicz ją sobie był pozyskał podarkami, a że księżniczce się, w niedostatku innych, dosyć podobać umiał, i o sobie prawil wiele rzeczy, a obiecywał udzielnym panem Wielkopolski z pomocą Brandenburgów się uczynić, zawrócił głowę dziewczęciu. Zjawienie się Konradowej nic dobrego nie zwiastowało, — przychodziła z twarzą usznurowaną, pochmurna, skłopotana.

Sam na sam z Maćkiem zostawszy, złożyła chude ręce.

— Wiecie już wszystko! — zawołała głosem zniżonym a pośpiesznie. — Co księżniczka łez wylała! Ale naco się to wszystko zdało! korony odmówić nie pozwolą, choćby się dla was zrzec jej chciała.

— Ma-li ona serca dla mnie, — przerwał Borkowicz gwałtownie — niechże ma i odwagę! Porwę ją i uwiozę, nie dogonią nas... Gotówem stu i dwóchset ludzi zebrać. Siłą, mocą na zamek wpaść gotów jestem! Załogi wielkiej nie ma... Zechce-li, zgodzi się, niech skinie...

Konradowa, wielce zmieszana, milczała czas jakiś, głowę tylko przechylając.

— O porywaniu gwałtownem ani myślcie; — rzekła — onaby was na takie niebezpieczeństwo nie chciała wystawić. Woli sama ginąć...

Zamyślona, Borkowicza z wolna rękę dotknęła, pochyliła się ku niemu prawie do ucha, i z tajemniczym wyrazem szeptać poczęła:

— Przeciwn takiej mocy się nie zrywać! a naco wam to? Ona króla kochać nigdy nie będzie. Każą jej, pójdzie, to co? albo dla was nielepiej u królowej ulubieńcem być, niż głowę darmo nałożyć? Zważcież. Ona wam sprzyja, pojedziecie na dwór... zyskacie u niej, co zechcecie, a przez nią u króla!!

Kto wie, jakie myśli wysnuł starosta, lecz nagle zamilkłszy, nie naglił już o wykradanie. Stara, widząc go pośępnym, pocieszyć się starała, opisując, jak księżniczka płakała, jak ręce łamała, jaki po nim tam żal był.

Borkowicz naocznie chciał się o tem przekonać i począł naglić o to, aby potajemnie mógł widzieć Jadwigę.

Konradowa właśnie podtenczas, gdy się sposobiono na przyjęcie posłów ostatnich z Krakowa, znajdowała to bardzo trudnem i niebezpiecznem. Oczu tyle stało otwartych...

Podarek znaczny, który jej wcisnął w ręce, nakoniec Konradową zmęczył, lecz potrzeba było, w mięcie o sobie nie dając znać, czekać dzień i dwa może. Naówczas ona

miała wyszukać sposobu, aby wieczorem na zamku Borkowicz był przyjęty... ale musiała skłonić do tego wprzód księżniczkę, oddalić oczy natrętne, obmyślić miejsce i sposób.

— Dla miłości waszej i dla mojej wychowanki tylko mogę się na to ważyć — rzekła, okazując rękami i wejrzeniem, jak strasznej się sprawy podejmowała. — Lecz kto wie, czy ja tego dokażę? czy ona się nie ulęknie?!

Starosta po tej rozmowie został w gospodzie na dzień następny. Okiennice pozasuowano, wrota pozamykano, kazał sobie posłać w izbie i cały dzień strawił, jedząc i pijąc z bratem. Wieczorem nie nadszedł nikt z zamku. Czekali dzień drugi.

Jak się to skończyło — nie wiedział nikt. Borkowicz dnia następnego nadedniem odjechał, nim się rozwidniło, nie zły, nie nadąsany, lecz dobrej myśli, z uśmiechem na twarzy, wesoło z bratem gwarząc i na palcu pierścień okazując, którego nie miał wprzód. Na króla przez całą drogę wymyślał i odgrażał się.

W Koźminie stanawszy, zaraz począł mówić o wyborze do Krakowa i choć na Kaźmirza się sierdził strasznie, pojechać doń musiał. Ani zbyt dworno, ni zbyt pokorno się przybrał do tej podróży.

Bystry człek wiedział, iż mu należało nie popisywać się z siłą, którejby się obawiano i nie ufano jej, ani kłamać biedotę, w którąby nie uwierzono.

— Mała rzecz jechać; — mówił do brata — mniejsza o to, że głowę trzeba pochylić przed nim, najgorsza, że kłamać muszę i fałszem się dławić! Przecież inaczej nie wypłynę. Z królem muszę do czasu dobrze być, aby mnie na te go-dy prosił, na których czy on, czy ja będę pierwszym... niewiadomo. Dopóki się z niewoli nie wyrwę, dobrze za sobą mieć panią. Zawsze i ona coś może; a ja z nią wiele potrafiemy, byle rozum miała.

Brat Jaśko tak wierzył w rozum jego, że mu się nigdy nie śmiał sprzeciwiać.

W poczcie więc, do którego się Wielkopolan kilku możliwych, podpisanych w związku, przyłączyło, ruszył Maciek rad nierad do Krakowa, takim się czyniąc, jak mu było potrzeba.

Sędziwój Nałęcz, Skóra, kasztelan Przeclaw, Mikołaj sędzia jechali z nim.

Szły za starostą wozy i skrzynie kute, okryte suknem i skórą, w których pieniądze wiozł, bo sam ich chciwy, sądził, że niemi wszystko i wszędzie robić można. Dotąd

mu się jego najzuchwalsze pomysły tak wiodły, a śmiałość i bezczelność tak popłacały, że w siebie coraz więcej ufał, a drugich lichy cenił.

Ani Beniamin wojewoda, wuj jego, ani Wierzbęta straszni mi się nie wydawali. Siłę w sobie okrutną czuł...

Zbliżając się do Krakowa, jakoś go trochę śmiałość opuściła, trochę niepokój ogarnął, lecz otrząsł się wprędce i do stolicy wjechał butno, najlepiej sobie tusząc, a szepcząc bratu:

— Głupi są, wszyscy u mnie będą w sakui

Gdy wesele postanowionem zostało, w Łobzowie królewskim pod Krakowem, wśród najpiękniejszych drzew starych, w zielonej gęstwinie, z rozkazu pańskiego kawał ziemi spory oddzielono i wyciąwszy wpośrodku zarośla i lipy, dom stawić z muru poczęto.

Nikt nie wiedział, na co i dla kogo był przeznaczony, lecz robotnika najlepszego oderwano od zamku, ludzi siłą spędzono do pomocy; Kaźmirz grzywny na kosztą kazał dać Lewkowi z żupy w Wieliczce i domostwo, jakby czarodziejską laską z ziemi wywołane, coraz to do góry wyrastało.

Wacław z Tęczyna musiał na tę muirowankę dać naukę kamieniarzom, jak ją stawić mieli. Pytał króla, na co służyć miała i dla kogo.

— Tak mi ją wystawcie, — rzekł mu Kaźmirz — aby w potrzebie, choćby z kilku osób złożoną rodzinę pomieścić mogła i czeladź jej potrzebną... a niech na żadnej wygodzie nie zbywa.

Więcej nad to nie wiedziano, lecz domostwo wedle tej wskazówki założono obszerne i nie żałowano niczego, coby je wygodnem a pięknem uczynić mogło.

Król sam dojeżdżał je oglądać. Dokoła ogród mieć chciał obwiedziony murem, stajnię dla koni, szopy i skarbczyk krągły w rogu...

Ludzie sobie głowy łamali, co za dom być miał, a to jeszcze tak nagle stawiany, jakby na jutro był potrzebny.

Przed weselem miał być gotowy. Tajemnicę odgadł podobno Kochan jeden, który umiał nietylko się domyslać, ale i podsłuchać.

Gdy król przyszedł raz smutny do Esthery, skarżąc się, że go do wesela napędzano i że wkrótce to musi nastąpić, piękna Żydówka, która na ręku miała małego Pelkę, chorowite i słabe dziecko, z główką na ramieniu jej opartą, przystąpiła z nim do Kaźmirza.

— Mamże ja tu w Krakowie pozostać? — zapytała go. — Oddaliłbym się nie chciała, a siedzieć tak na oczach złośliwym ludziom mnie i dziecięciu niemiło. Ciasno nam w mieście, duszno nam w murach, a i tobie, panie, z nami nie będzie tu dobrze... Żonie doniosą, któż wie? ludzi złych na mnie zasadzą. Do okna wyjść, na próg wystąpić nie będę mogła.

Król przerwał jej żywo:

— Ale nie masz czego uciekać, ani mnie opuszczać! Żonę biorę dla nich, a dla siebie innej mieć nie chcę nad ciebie. Dokądżebyś myślała?

Esthera na dziecię usypiające spojrzała.

— Nie wiem; — rzekła — gdzieśby nam niedaleko od ciebie, panie mój, od miasta niedaleko... gdzie każesz, dokąd pošlesz, ale nie tu...

Król myślał trochę.

— W Łobzowie tuż, zielonych drzew dużo, miejsca dosyć, ale domu dla ciebie nie mam... Z Krakowa tam łatwo dostać mi się będzie, a w zielonych drzewach nikt cię tam nie dojrzy. Usiądziesz jak w gnieździe...

Esthera się uśmiechnęła.

— Uczyńcie tak! — rzekła. — Nigdy was o nic nie prosiłam... ale o to gotowam... Lepiej mi będzie w Łobzowie...

Król wziął tę prośbę do serca. Nazajutrz jechał zaraz miejsce oglądać i wyznaczać, z Wacławem z Tęczyna rozmówił się i śpieszyć kazał z murowaniem, choćby przyszło roboty około zamku zawiesić. W istocie tylko je podzielono i część ludzi poszła do Łobzowa.

Pora sprzyjała, mury prędko osychały, spodziewano się, że przed weselem domostwo gotowem będzie, ale budowniczcy nie radził się wnosić, dopóki by czas jakiś nie powstało otwarte na słońcu. Nietylko dom ten cały król swym kosztem wystawił, lecz gdy skończonym był, kazał się starać o sprzęt do niego, aby swojego Esthera przenosić nie potrzebowała. Opony do komnaty jednej flamskiego dziania dano ze skarbca, wyznaczono i kobierców dość i naczynia dość różnego.

Zawsze jeszcze niby tajemnicą było, komu ta kamieniczka przeznaczoną będzie, lecz ludzie już szeptali o Estherze, a niektórzy widzieli w tem przepowiednię, że król pozbyć się jej nie chciał i zupełnie z nią zerwać.

Nie była ona ulubioną tym, co króla otaczali, dlatego, że przez nią, z jej pomocą, nic zrobić nikt nie mógł. Nie przyj-

mowała podarków, nie podejmowała się pośrednictwa, po-
chlebstwem się ująć nie dawała.

Tak samo chrześcijan, jak swoją bracię Żydów odpra-
wiała zawsze tem, że do królewskich spraw i do niczego
się mieszać nie chce. Gdzie o naród jej chodziło, przema-
wiała gorąco, zniżała się i prosiła, — dla pojedynczych lu-
dzi nie robiła nic.

Jedno u niej król znalazł zawsze, czy żądał, czy nie; —
to wiadomości z różnych stron kraju, które się osoby kró-
lewskiej tyczyły, bezpieczeństwa, lub jego dobra... Z temi
występowała śmiało, lecz doniósłszy, co się jej ważnem
zdało, wprędce zwracała się do potocznych przedmiotów
w rozmowie.

Przez nią król naprzód uwiadomiony został, o co Borko-
wicza podejrzewano, a choć zawsze prawie to, co ona do-
niosła, sprawdzało się, tym razem jego samego do tłuma-
czenia powołał. Zdawało mu się, że ze zbytnej gorliwości
podejrzewano go niesłusznie.

Borkowicz, przybywszy do Krakowa, gdzie liczne miał
związki i stosunki, dowiedział się, niewiadomo z jakiego
źródła, iż od Esthery pierwsze wypłynęło oskarżenie.

Stawił się Kaźmirzowi śmiało, jakby człowiek, na któ-
rego potwarz rzucono, bił się przed nim w piersi i z taką
napozór otwartością, z takim oburzeniem przemawiał, że
króla, nie lubiącego posądzać, przekonał o swej niewinności.

Dobrze też był przyjętym na dworze, a że chętnie sypał
pieniędzmi, u stołu przyjmował, podarkami rzucał na wsze
strony, służono mu chętnie.

— Już samo prędkie jego stawienie się do Krakowa
kłam zdawało się zadawać rozsiewanym wieściom. Głowyby
swej tak pochopnie przecie nie przyniósł, gdyby miał powód
obawiać się czego.

Dowiedziawszy się, iż od Esthery król pierwszą wieść
dostał o jego knowaniach, Borkowicz postanowił trafić do
niej i ująć ją sobie. Nie znał on jej, ani wierzyć chciał
temu, co o niej mówiono; wyobrażał sobie niewiastę próżną,
dumną i chciwą, a łatwo przystępną. Gdy mu ją malowano
inaczej, ramionami ruszał, ani się dał odwieść od zamiaru
dostania się do niej.

Kobiety, które widywał i z którymi przestawał, nie wy-
mując wesołej i dziecinnej księżniczki Jadwigi, inne mu
wogóle o płci niewieściej wyobrażenie dawały. Ludziom,
co go od niej odstręczali, w oczy się śmiejąc, gdy mu nikt

pomocą być nie chciał w tem, postanowił sam przebojem docisnąć się do tej, jak ją nazywał, pięknej Żydóweczki.

Śmiały, możny, nawykły co zamyslał dokonać, Maciek dnia jednego, kazawszy się zaprowadzić do kamienicy Esthery, wybrał się do niej rano, niosąc piękny naszyjnik, na podarek przeznaczony.

Drzwi tam niebardzo strzeżono, gdyż Estherę znali wszyscy, iż darmo się jej kłaniać było i nikt już nie próbował się tam dobijać.

Borkowicz z jednym dworzaninem przybył, a nie zastawszy pani domu w komnacie, posługującej dziewczynie kazał powiedzieć o sobie, mianując się, kto był. Spodziewał się, iż Esthera wyjdzie go zaraz powitać, lecz poczekać musiał i nierychło zobaczył ją, wysuwającą się z zasłony u drzwi zawieszanej.

Piękność nie tyle go uderzyła, co powaga postawy i godność, z jaką wystąpić umiała. Nastrojony był do żartobliwego tonu, lecz z tem jakoś nie śmiał potem, ujrawszy ją, poczynąć.

— Jestem Maciek Borkowicz — odezwał się, z lekkim ukłonem przystępując do niej. — Królowi się przybyłem pokłonić, więc i pięknej Estherze polecić się chciałem.

Zmarszczyła brwi, słuchając.

— Kto pana swego miłuje, — rzekł — ten wszystko, co mu lube, ceni... Bądźcie na mnie łaskawą, — dodał, dobywając naszyjnik z za sukni — a nie gardźcie małym podarkiem.

Zarumieniona Esthera odstąpiła kroków parę.

— Dziękuję wam, — odezwała się, mierząc go oczyma śmiało — nie zwykłam od nikogo, krom pana mojego, darów przyjmować. Poświadczą wam ludzie, kogokolwiek zapytacie, iż nie waszym podarkiem gardzę, ale żadnego nigdy nie wzięłam. Łacnoby było mnie po tem ocenić... a ja chcę nieposądzaną i wierną panu pozostać.

Borkowicz nalegać chciał, lecz tak stanowczą otrzymał odpawę, że się zmieszał zupełnie.

Miał przed sobą nie tę, jakiej się spodziewał, niewiastę płochą, ale surowego oblicza kobietę, do której przystąpić było trudno; mówić nie umiał nawet.

Podarek nazad musiał zatknąć za suknię i stał trochę zakłopotany. Dopiero, namysliwszy się, począł:

— Przed panem mnie źli ludzie podali w podejrzenie niesłuszne. Prosić was chciałem za obrońcę.

— Ja w sprawy się żadne nie mieszam — rzekła Esthery — i o tem możecie się dowiedzieć łatwo...

— Przecież mówią, że o wszystkim wiecie! — odezwał się nieco złośliwie Borkowicz.

— Widzicie, żem źle uwiadomiona, — przerwała mu Esthery — bo u nas pogłoski chodziły, jakobyście w wielkiej byli przyjaźni z Brandenburgami, a fałsz to wierutny musi być, gdyście do króla potem przybyć śmieli.

Borkowicza to niespodzianie śmiało odezwanie się jej oniemilo. Stał zarumieniony i gniewny.

— Obrońcy już więc wam nie potrzeba, miłościwy panie — dodała Esthery.

Maciek w bok się ujął i brodę swą targał. Ona patrzała nań, jakby go poznać i wnikać w niego ciekawą była.

— I to też fałsz być musi, — rzekła, wyczekawszy na odpowiedź, którą uśmiech złośliwy zastąpił — jakobyście na dworze śląskim z narzeczoną królewską mieli dobrą znajomość.

Rzecz ta, która się Maćkowi tajemnicą wydawała, wypowiedziana mu w oczy przez Estherę, w zdumienie go wprawiła.

Ciche przekleństwo z ust mu się wyrwało.

— Juźci, żem na dworze w Głogowie bywał; — zawołał gorąco i opryskliwie — zapierać się nie mam czego. Na turniejach kilka razy dobrze mi się powiodło, z księżniczką też potem do tańca rycerskiego stawałem...

Esthery słuchała z uwagą.

— Ludzie i z tego co na mnie upleść gotowi — mówił dalej, obruszając się. — Więc słusznie was o obronę prosiłem.

— Sami się potraficie oczyścić — rzekła zimno.

Borkowicz z wolna swe zuchwalstwo odzyskiwał.

— Wam też nowa królowa niebardzo do smaku pewnie; — rozśmiał się — królem się przyjdzie dzielić z nią, a dalibóg piękną i młodą jest, urodziwą i urokliwą.

Zarumieniła się Esthery.

— Ja też — rzekła — precz z Krakowa pójdę.

Borkowicz rozśmiał się.

— A do króla gniewu nie będziecie mieli?

— Ani żalu, ani gniewu! — odparła Esthery swobodnie — królowi syna potrzeba, daj Boże, by go z niej miał...

Maciek słuchał i uszom nie dowierzał.

Nie było już co mówić więcej, nie powiodło mu sięcale, brwi namarszczył i dokończył tylko:

— Bądźcie na mnie łaskawą.

Esthera nic nie odpowiedziała.

Wyszedł starosta zaszępioty i pełen podziwu... a że tego dnia z przyjaciół u Neorzy się spotkał, zaniósł tam zdumienie swoje.

— Widział z was który tę Żydówicę? — zawołał. — Mała rzecz, że piękna, choć już na twarzy przewiedła, ale ta baba na cztery nogi kuta! Jam u niej był dzisiaj. Zaniósłem jej naszyjnik, który mi sprzedano drogo i choć narzeczony byłbym go mógł dać... nie wzięła. Mówiła ze mną tak, jakby w istocie królową była a nie miłośnicą i dziewczką Judasza z Opoczna... Powiada, że z Krakowa idzie precz...

Drudzy, głośno zaprzeczając, zakrzyczeli go.

— Ale... ale, — wołali — królby się jej miał pozbyć! a tożby nie wyżył bez niej? Dnia niema, żeby tam nie przekradł się i nie spoczywał. Zadała mu jakieś ziele, jak to one wszystkie czarować umieją. Nie wyśliźnie się z jej szpon.

Borkowicz dumiał i rzekł pocichu:

— Tem lepiej!

Nie mógł się jednak uspokoić dnia tego, wszystkim prawiąc o Żydówce i, choć zły na nią był, sławiąc ją jako przebiegłą i rozumną, grożąc nią i Żydami.

Wielkie owo oburzenie, jakie w początkach przeciwko Estherze panowało, znacznie teraz było się uśmierzyło. Duchowieństwo miało nadzieję, że przed królową młodą ustąpić będzie musiała. Czekano na to... a jak zawsze, pierwsze wrażenie najsilniejsze zwolna się zaciera, tak i do tego związku ludzie, nawykłszy o nim słuchać, wielkiej już wagi nie przywiązywali. Wielu też Esthera rozbroiła tem, że się szczęściem swem nie chwaliła i nie nadużywała go.

Nim do wesela królewskiego przyszło, dom w Łobzowie stanął gotowym. Esthera krytym wozem pojechała go obejrzeć, a znalazłszy w nim pełno tych królewskich darów, których się nie spodziewała, radości swej ukryć nie mogła.

Domostwo było i obszerniejsze i wygodniejsze, niż jej własne, a rozporządzenie jego i urządzenie samo dowodziły, że król jej opuścić nie myślał, gdyż izby miał dla siebie przeznaczone osobne, i te, które dla Esthery zostawały, godne były przyjmować gościa takiego...

Poszły zatem naprzód wozy ładowne, skrzynie, służba jej, potem ona sama, wioząc na rękę chorego Pelkę, przeniosła się na nową siedzibę.

W mieście się nic nie utai; w parę dni ludzie wiedzieli

o Estherze w Łobzowie i różnie sobie tłumaczyli te przenosiny.

Zaledwie rozłożyć się tam czas miała, gdy król jednego wieczora z łowów, około Tęczyna powracając, u bramy za-trąbić kazał...

Przyjęła go w progu Esthera, do nóg mu się kłaniając, a dziękując za taki dwór, którego się nie spodziewała.

— Anim ja godna go, — rzekła — ani mnie ubogą pieścić tak przystało. Jak w raju tu siedzieć będę, byle czasem się ta trąbka, co dziś, u wrót odzywała.

Król śmiał się, a rad był, znowu znane sobie oglądając izby i komory, tłumacząc, dlaczego je tak kazał uczynić i na co, wedle myśli jego, służyć miały. Ogród też wkoło zielony radował go, a mur, co się rozłaczał, zasłaniając od ciekawych, jako z własnego rozkazania wzniesiony, ukazywał.

Tu już dwór swój i czeladź Esthera musiała powiększyć, bo Kaźmirz nalegał na to, aby dla bezpieczeństwa zbrojnych nawet kilku pacholków do usług miała. A choć inne królewskie zabudowania niedaleko stały i nienadto było pusto, około stolicy zawsze uwijało się tylu włóczęgów i zbójów, że się ich strzec musiano.

Inne życie poczuła tu Esthera, swobodniejszą się czując, mimowolnie większą panią, niż była w Krakowie. Tu jej natręci i ciekawi w oczy już zaglądać nie mogli, ani każdy krok jej śledzić...

Zbliżał się czas wesela królewskiego, do którego wielkie czyniono przygotowania. Napróżno królowa Elżbieta słała do brata, odradzając mu je i wróżąc pożycie niemiłe. Całe stronnictwo jej na dworze polskim przeciwne było ożenieniu. Wynajdywano napróżno środki rozerwania zapowiedzianego małżeństwa. Duchowieństwo, arcybiskup na czele jego, nawet Bodzanta byli za niem, a z rycerstwa część znaczna, która wielkimi obietnicami swobód przez Ludwika węgierskiego zjednaną nie była.

Na zamku wszystko już było gotowem i dzień wyznaczony, gdy powiernik Elżbiety, Węgrzyn Almazy, przybył do króla z poselstwem tajemniczem, którego ona pismu powierzać nie chciała.

Wszystkie te zabiegi Kaźmirza niecierpliwiły i prędzej może skłaniały do związku, niż odciągnąć mogły od niego. Z niechęcią więc prawie przyjął król Almazego.

Z postawy jego i wstępnych, przygotowawczych, zawiakłanych frazesów poznać mógł król, że o coś nader drażli-

wego chodziło. Przebiegły i zręczny Węgrzyn począł od najuroczystsze go zaręczenia, że królowa Elżbieta tylko dobrem króla, brata swego, troskliwością o szczęście jego była powodowana. To ją skłoniło najpilniej badać wszystko, co się tyczyło księżnej Jadwigi. Almazy z przykrością i smutkiem w jej imieniu oświadczyć musiał, że wiadomości, z najlepszych czerpane źródeł, w dość niekorzystnem świetle przyszłą wystawiały królowę. Dziewczę być miało płocze, zabawy nad wszystko lubiące, z młodymi i starszymi mężczyznami w obojętności się zbyt śmiało. Królowa Elżbieta zaręczała za to, iż między innymi, którzy na dworze śląskim bliższe z narzeczoną królewską mieli stosunki, znajdował się i osławiony Borkowicz, który zuchwale oczy na nią śmiał podnieść, i przez starą ochmistrzynię podarki posyłał, potajemnie z nią miewał schadзки i t. p.

Śluchając tego doniesienia, król się niezmiernie oburzył, porwał z siedzenia i oświadczył Almazemu, iż wszystko to jest wierutną bajką. Dalej już nawet mówić mu nie dał.

— Powiedzcie siostrze mej, — zawołał wzruszony — że umiem cenić troskliwość tę jej o mnie, lecz... i sam ślepy nie jestem. Nim do umowy przyszło, zasięgaliśmy wieści u ludzi; księżniczka młoda jest, żywa, jak każda w jej wieku, lubi zabawy i śmiechy. Na dworze śląskim bywało wielu, bywał pewnie i starosta wielkopolski, lecz bajką jest, aby z nią bliższe miał stosunki. Dozór jest pilny i rzecz wprost niemożliwa, aby jeden ziemianin, chociaż możny, do księżniczki takiego rodu śmiał się zbliżyć ze złą myślą. Wszystko to wcale odstręczyć mnie nie może, a dowodzi tylko, że są źli ludzie, którzy radziby mojemu małżeństwu przeszkodzić. Królowa zna mnie i wie, że ja, gdy ludzie się przeciwko mnie stawia, z placu nie uchodzę; owszem, naprzekór im czynić jestem gotowy.

Almazy mówić już nie śmiał, widząc króla zagniewanym niemal. Pożegnał go, odebrawszy ustną odprawę i odjechał. Tylko pomiędzy stronnictwem węgierskiem pocichu szepnął i rozsiał, z czem go tu przysłano i jak przyjęto.

Przez cały dzień ten Kaźmirz chodził poruszony wielce i zagniewany, lecz, jak zakazał Almazemu mówić o tej potwarzy, tak sam przed nikim się z tem nie wynurzył. Wieczorem udał się do Łobzowa.

Im bliższem było wesele, tem częściej przybywał do Esthery i dłużej przesiadywał u niej. W zamku, gdy króla

nie było, opowiadano zawsze, że jest na łowach. Takie dwór miał przykazanie.

Kochan czasem mu tam towarzyszył, aby Kaźmirz pod ręką miał kogoś do wysłania z poufnem słowem, w razie potrzeby; niekiedy Dobek jechał, a dla towarzyszy tych królewskich izba na dole przeznaczoną była osobna i na nich im tam nie zbywało.

Jechał tym razem Rawa, który, im go teraz mniej używano, tem chętniej się nastrecał, ucho mając pilne na wszystko... Nie szło mu o własne dobro, ani o łaskę, któraby się wypłaciła, lecz o to serce króla, które miał niegdyś, a które od sprawy Baryczki ostygło dla niego. Szukał wszędzie sposobności usłużenia i odzyskania straconej króla przyjaźni.

Zazdrosnym był nawet o Estherę, która, jak mówił, odebrała mu część serca pańskiego.

Wieczoru tego król więcej się, niż zwykle, wynurzał przed kochanką; mówił z goryczą, narzekał na ludzi. Esthera pocieszać się go starała, ukazując mu, ile dobrego i wielkiego dokonał za panowania swojego.

— Ludwikowi, siostrzanemu mojemu, zanadto się pragnie królestwa tego — rzekł smutnie. — Prawda, że dwa państwa, połączone z sobą, wielką mieć będą potęgę i łatwiej się od nieprzyjaciół obronić potrafią, lecz i Polska sama, z odzyskanem Pomorzem, z wcielonym Mazowszem i zawojowaną Rusią, ostoi się o własnej sile... Chcą, bym zszedł bez dziedzica!! Dziś mi poselstwo sprawiał Almazy, wioząc bajkę głupią, jakoby Jadwiga płochą była, a nawet z prostymi ludźmi, jak Maciek Borkowicz, zbyt bliskie zawierała stosunki.

Król rozśmiał się, ramionami poruszając.

— Na Borkowicza zwalają wszystko... chcą go widzieć uczynić kozłem ofiarnym. Ma związki czynić przeciw mnie, ma mi narzeczoną moją potajemnie zyskiwać, czyhać na spokój mój i korony tej. Lecz cóż znowu za człek jest, aby się na to wszystko porywał?

Mówiąc to, spoglądał na Estherę, która stała, milcząc, z założonemi rękami, z piękną główką, czarnemi okoloną włosami, zwieszoną smutnie na białe ramię. Twarz jej nie okazywała ani oburzenia, ani niewiary zbytnej. Uderzyło to Kaźmirza.

— Panie mój, — odezwiała się po przestanku małym Esthera — Borkowicz zuchwałym jest, porywczym, ambit-

nym, a tacy ludzie, jak on, tam czasem sięgają, gdzie niktby się inny nie ważył nawet myśla. Plotka czy potwarz, o której wam wspominał Węgrzyn, chodzi po świecie i ja o niej słyszałam. Nie daję ja jej wiary, ale ludzie ją powtarzają...

Potrząsnęła głową, król się zmarszczył.

— Marne paplaniny, — zawołał — zmyślane przez tych, którzyby małżeństwu przeszkodzić i rozerwać je chcieli. Borkowicz, jako wiesz, był tu w Krakowie, tłumaczył się i poprzysięgał mi wierność. Nie może być, aby knuł... niepodobna, by do tego stopnia oszalał i Brandenburgów a Ślązaków sobie zyskiwał, sądząc, że mnie na tronie mym poruścić może! Za mały jest. Zgniotłbym go jednym uderzeniem...

Esthera nie mówiła nic długo.

— Panie mój, — dodała wkońcu — choć nie wierzycie w wieści te, zawsze z człowiekiem, choć małym, potrzeba być ostrożnym... Mały człek na wielkie się porywając, nie ma dużo do stracenia. O starości gloszą, że w Wielkiej Polsce mnogich ludzi sobie pozyskał, że gwałty popelnia, postrach szerzy, a ziemianie się go lękając, wiele cierpieć od niego muszą. Dlaczegoż rodzony wuj, Beńko, czemu Wierzbięta nie ufają mu i ostrzegają?

Królowi już dosyć było i przestroóg i rozmowy o Borkowiczu. Nie lubił go, lecz za tak niebezpiecznego nie miał.

— Kazałem mieć nań pilne oko; — odezwał się — są, co go strzec i na każdy krok jego oczy będą zwracali, lecz co za śmieszny wymysł, dla zohydzenia go w mych oczach, czynić jeszcze przyjacielem księżniczki? Toć jawna baśń.

Oczyma zdawał się wyzywać Estherę do potwierdzającej odpowiedzi.

— Obyczajów dworskich nie znam — rzekła po chwili zawsze z namysłem, który jej był zwyczajnym; — możliwe to, czy nie... nie wiem, lecz, że na dworze śląskim częstym gościem bywał, to pewna.

— Przecie nie do księżniczki tam jeździł — odparł król. — Aniby śmiał oczy podnieść na nią. Piastowie ślascy, choć się od nas oderwali, choć z Niemcami związali i woleli im hołdować, zanadto się wysoko cenią, by im wielkopolski panek dla córki smakował.

Rozśmiał się król pogardliwie.

Esthera już go jątrzyć więcej nie śmiała i zamilkła...

Kaźmirzowi ta baśń, jak ją zwał, tak na sercu leżała i tak

go zaprzętała niedorzecznością swą, iż się z nią zwierzył w ostatku i Kochanowi.

Rawa odparł, że i on słyszał o niej, lecz, choć śmieszna była, Borkowicza znając, nie widział ją tak bałamutną, jak się na oko zdawać mogła.

— Miłościwy panie, — rzekł — są ludzie zuchwali, co jakośmy świeżo przykład mieli, na sakrament w kościele porwać się nie obawiają. Wszakci to historia kościoła twego, Bożego Ciała, który na pamięć popełnionego świętokradztwa wznosić kazałeś. — Otóż Maciek Borkowicz do tych ludzi należy, dla których nic świętego niema, a w ich mniemaniu nic dla nich za wysokiego.

Śmiał się król.

— Stracha jakiegoś chcecie mi uczynić z tego Maćka — odezwał się pogardliwie. — Nie dziwiłbym się innym; tobie, co ludzi znasz i wagę masz w głowie, dziwię.

— Miłościwy panie — rzekł obrażony nieco Rawa. — Nie boję się go dla was, lecz właśnie, iż znam człeka, wierzę we wszystko szalone, o co go posądzają. Niech sto razy przysięga i zapiera się, a do stóp skłania, powiadam, iż jeśli zdrajcą nie jest, to chyba, że nie zdoła, a że w sercu zdradę ma, z oczów mu patrzy.

Król wysłuchał słów Kochana z uwagą.

— Jeżeli zdradę knuje, — rzekł — przykład na nim uczynię, jak zdradę ukarać potrafię. Nie o mnie idzie, ale o koronę tę, której ktokolwiek tknąłby śmiał — zginie!

Ostatnie słowo tak głośno i dobitnie rzekł król, iż Rawa milczący, nie wznowiając już rozmowy, wysunął się po cichu.

Trzeci już dzień trwały gody na królewskim zamku z temi wszystkimi obrzędami i przepychem, jaki weselom zwykł był towarzyszyć w owych czasach. Wysilali się na nie zamożni ziemianie, — król musiał karmić i obdarzać tłumy. Wszelkiego rodzaju rozrywki, zabawy, igrzyska następowały jedne po drugich; rycerstwo codzień miało gonitwy i turnieje, za niemi szły rozdawania nagród zwycięzcom, uroczyste tany, muzyka i uczta.

Właściwie przez cały ciąg wesela uczta nie ustawała ani na chwilę; zmieniano tylko opróżnione misy i wysuszone dzbany, a coraz nowi goście zasiadali przy zastawionych ciągle stołach, u których marszałek, podkomorzowie i inni urzędnicy dworu gospodarzyli.

Codzień prawie przybywał ktoś nowy z życzeniami i winowaniem panu, z małym jakimś podarkiem, za który znaczniejszy ze skarbca otrzymywał.

Rozdawano kożuchy kosztowne, jedwabiem i suknem okryte, postawy tkanin różnych, futra, naczynia srebrne, wedle godności osób i łaski pańskiej. Zapas, wcześniej przygotowany, dozwalał starczyć na wszystko. Król zdał się z tem na swojego Wierzyńka, a ten miał ludzi, którym ufał i rozdawnictwo szło razem hojnie, a skrzętnie.

Na zamku wszędzie pełno było i gwarno i, prawdę rzekłszy, od rana do wieczora chmielno. Mało kto miał głowę całą i niezaproszoną; znużenie wymagało posiłku, lada kubek szumiał w mózgu po bezsenności i trudzie.

Wśród pospolitej gawiedzi wesele w istocie wesołem się zdało: twarze były uśmiechnięte, policzki zarumienione, oczy błyszczące, postawy gęste; lecz uważny widz, w górę idąc ku starszyźnie, mógłby był dostrzec łąco oblicza coraz mniej rozpromienione, poważne, niemal smutne...

Nie było to dziwnem, gdyż królewskie gody budziły uczucia bardzo różne; znaczna część możnych i otoczenia pańskiego krzywem na nie patrzyła okiem. Wszyscy, co trzymali z królową Elżbietą i Ludwikiem węgierskim, przeciwni im byli, a tych znajdowała się liczba wielka. Jedni ujęci podarkami, drudzy obietnicami swobód wielkich dla ziemian, nieradzi byli małżeństwu, które obiecywało potomka, i, — stary porządek rzeczy wzmocniony tylko, a ukrzepiony prawodawstwem Kaźmirza.

Król chłopów był w sile wieku i miał jeszcze czas nowemi prawami ziemian i rycerstwo ukrócić, a innym mieszkańcom swojego królestwa nadać swobody, mogące równoważyć przewagę dawną stanu szlacheckiego, rycerzy, panoszków, ziemian, mających szczyty swe i zawołania. Ludwik natomiast przyrzekał rycerstwu większy udział w radzie swej, oswobodzenie od opłat, wyjątkowe przywileje...

Rycerstwo też niezbyt mile patrzyło na to królewskie wesele — i potrosze na nie ramionami zżymało... Ci, co króla namówili, sami tylko rozgłośnie prorokowali nową Piastów zieloną gałązkę i cieszyli się tem, że króla młoda małżonka zająć, a przy sobie utrzymać potrafi.

Spoglądano ze wszech stron ciekawemi oczyma na Kaźmirza, usiłując odgadnąć go i wyczytać z postawy, jakim sercem związek ten, jawnie mu narzucony, przyjmował. To było trudnem!

Królewska twarz, z wiekiem coraz bardziej poważniejsza, zastygająca, nie zdradzała uczuć łatwo, gdy występował publicznie. Nawet ci, co go znali dobrze, nie zawsze odgadali. Wydawał się chłodnym, obojętnym, nieczułym wtenczas może, gdy najwięcej doznawał. W naturze jego było, z wyjątkiem niewielu istot mu sympatycznych, dla reszty się zamykać i być tajemnicą.

I czasu tych zaślubin, kto mu na twarz patrzył pilno, nic z niej wynioskować nie mógł. Był to król, który się żenił; — człowiek się nie zdradzał.

W niczem nie uchybiono ceremonjałowi i Kaźmirz go nie nadwerężył. Uśmiechał się, gdy było potrzeba, uprzejmym był, gdzie należało okazać życzliwość, nieznudzony; wszystko, co od niego wymagały obrzędy, spełniał jak najściślej, lecz nadto nic więcej.

Żenił się król polski dla otrzymania potomka; Kaźmirz zdawał się to tylko spełniać, czego od niego wymagano.

Księżniczka była młoda, świeża, rumiana, piękna swojemi latami i rozkwitnieniem, onieśmielona razem i szczęśliwa z tego, co ją spotkało. W dumę wbijała ją korona, lecz i trwogą napelniała.

Usłudni ludzie różne jej historie podszeptywali. Piętnaście lat osamotnienia Adelajdy, krótkie słomiane małżeństwo z Rokiczaną, kochanka Żydówka, samo oblicze Kaźmirza musiało chwilami wesołą i swobodną dość w ojcowskim domu księżniczkę Jadwigę zatrząwać.

Dotąd... zabawiała się dobrze, śmiała, gdy chciała, obcowała na dworze swobodnie z panami, z rycerstwem, z mnóstwem gości z Niemiec przybywających, lubiła tany, śmiechy i rozmowy wesołe... teraz królowa, okryta płaszczem purpurowym, przewidywała dla siebie dni smutne, więzienne.

Pierwsze spojrzenie na małżonka, który z wyszukaną grzecznością, lecz z niezmiernym majestatycznym chłodem ją powitał, zwiększyło obawę.

Potrzeba było najsilniej przekonywających dowodzeń, ciągle kładzionych w ucho przez starą ochmistrzynię Konradową, aby ułękłe nicco dziewczę uspokoić.

Konradowa, przebiegła i znająca swą księżniczkę od dzieciństwa, знаła też środki, jakimi na nią podziałać mogła. Tłumaczyła jej, że żywot królowej nie mógł nigdy być nazbyt dokuczliwą niewolą, że były środki wyłamania się z niej potajemnie, że król zresztą sam zabawy lubił i żonie bronić ich nie mógł...

Ta chwila, co rozstrzyga o przyszłości, co pierwsze niezatarte wrażenie przynosi, na młodej królowej tylko trwogą się oznaczyła, na królu — niewzruszonym chłodem...

Po tych dniach ani jedno, ani drugie z nich nie okazywało najmniejszej po sobie zmiany.

Konradowa pilnie patrzyła na swoją panią, ale zapytywać jej nie chciała o nic, obawiając się wywołać jakieś zeznania niemiłe. Woląla czekać na to, by się jej Jadwiga zwierzyła sama.

Oprócz starej ochmistrzyni, niemal cały dwór pański z oka nie spuszczał nowego stadła, szukając jakiejs oznaki, któraby przyszłe jego stosunki mogła przepowiadać.

Nie zmieniło się nic — i nic odgadnąć nie było można. Dworzanie szeptali, iż właśnie to złą było wróżbą dla młodego stadła.

Lecz wszystko się mogło później odmienić, bo czas wesela, nieustannych występów, nużących zabaw, uroczystych obrzędów opamiętać się nie dozwalał. Królowa musiała ciągle przebierać się, wchodzić, wychodzić, zasiadać około małżonka, kłaniać i dziękować, uczestniczyć jako królowa w turniejach... jako królowa przy uczcie, jako pani przy wielkim tańcu, który gonitwy dopełniał.

Ci, co najciekawszy byli przyszłości, a sami jej nie śmieli i nie mogli wywróżyć, zwracali się ku Kochanowi, o którym wiadano, że swojego pana znał jak samego siebie i że w nim czytał lepiej, niż inni.

Rawa, dziś już podkomorzy króla, spoważniały, ale zawsze strojny i pięknego oblicza, w ciągu wesela ani chciał ust otworzyć na mnogie zadawane mu pytania. Słuchał innych, nie mówił nic, przypatrywał się zdala.

Przy turniejach kilka razy Kaźmirz się nieco ożywił, zdawał się zajmować losem walki, potem wracał do swej zimnej pańskiej obojętności. Królowa spełniała wszystko, co jej wskazano, z widoczną nieśmiałością, jakby się lękała objawić z tem, co ją zajmowało. Podnosiła oczy nagle, rzucała niemi trwożnie i spuszczała je wprędce, tak, że ją otaczające panie z zadumy i roztargnienia wyrывać musiały, podszeptując, co czynić miała.

Nienawykła do strojów, jakie na nią teraz wdziewano, do ciężkich i licznych klejnotów, któremi ją okrywano, wydawała się ofiarą, uwieczoną na jakiś obrzęd, który siły jej wyczerpywał. Czasem tylko oczy jej zbiegły ku dawniej zna-

jomym twarzom, policzki okrywały się nagłym rumieńcem i wnet bledość wracała na nie.

Wśród gości, ze wszystkich ziem polskich przybyłych, znajdował się i — Maciek Borkowicz, który ze świetnym poczem uczcić królewskie wesele przyciągnął z Wielkopolany.

Zapobiegając temu, by go nie podejrzewano o jakieś złe myśli względem pana, wyrывał się chętnie naprzód, ukazywał wszędzie, odzywał głośno i czynny brał udział w zabawach weselnych.

On i brat Jaśko z Czacza występowali z niezwykle przepychem. Niepospolitej siły, w rycerskich sprawach zręczni i wprawni, stawali oba do wszystkich igrzysk, odziani w wykwintne stroje, odznaczając się końmi, siadzeniami i rzędami.

Maciek nastrecał się ciągle na oczy królowi, nadbiegał, gdziekolwiek go dostępnym postrzegł, śpieszył tam, kędy mu się zdawało, że woli i życzeniu pańskiemu będzie mógł dogodzić.

Niebardzo mu się z tem wiodło: król, choć nie okazywał mu wstrętu, nie dał też najmniejszej oznaki przychylności. Spoglądał nań ciekawie zdala.

Pierwszych tych dni, czasu igrzysk w szrankach, w których młoda królowa była przytomną, Maciek ubrany i zbrojny z wielką wykwintnością i blaskiem, widocznie szukał miejsca, aby się jej pokazać i zwrócić na siebie oczy...

Królowa też nie mogła go nie poznać i nie widzieć, lecz im mocniej się narzucał, tem uporeczywiej zdawała unikać nawet pobieżnego nań spojrzenia. Drgała, ilekroć głos jego dał się słyszeć, odwracała głowę z trwogą i niepokojem.

Borkowicz wśród gości zamkowych był jednym z najruchliwszych, przy stole jednym z najgłośniej wesółych i najłepiej udających wielkie uszczęśliwienie...

Dziwili mu się ci, co go w poufałem obejściu innym znali. Neorża, który tu też, otrzymawszy przebaczenie królewskie, dla oka ludzkiego się znajdował, spoglądał na Borkowicza, jakby oczom i uszom nie dowierzał. Zdawało mu się, że człowiek ten kłam zadawał dawnym swym sprawom i na nową wejść musiał drogę, chociaż ukośne, szyderskie spojrzenia Borkowicza inaczejby go nauczyć mogły.

Trzeciego tego wieczora na zamku rozpasanie zabawą i ucztowaniem, mimo pilnego dozoru podkomorzych, mar-

szalka i mnogich nadzorców wzmogło się do najwyższego stopnia.

Radość z wypadku tak pożądanego usprawiedliwiała swobodę, jakiej sobie dozwolano. Trudno było młodzieży i dworzan utrzymać w karności i gdy w wielkich izbach zamkowych brzmiała muzyka, a co było najprzedniejszych gości, ucztowało lub szło w tany — gawiedź, czeladzie, po-mniejsza dwornia po różnych kątach, a nawet w podwórzu u okien zamkowych, w takt muzyce obracała się wesoło, porywając służebne do skoków...

Konradowa, ochmistrzyni, z królową przybyła, rozpacziała, nie mogąc swych dziewcząt utrzymać, ani drzwi od napaści młodzieży obronić.

Wpadali do niej znajomi i nieznajomi, niepokojąc podzyla, skwaszoną i znużoną jejmość, która strojna w to, co miała najdroższego, opuszczona, sama jedna czekać musiała na zawołanie królowej, mogącej co chwila jej zażądać.

Wiedziała dobrze, iż młoda pani nie obejdzie się bez niej. Prawie sama jedna pozostawszy, rozmyślała nad czemś, oparta na rękach chudych, okrytych pierścieniami, gdy drzwi uchylono ostrożnie...

Skrzypnięcie zwróciło jej uwagę; podniosła się nieco, chcąc dojrzeć, kto jej spokój zakłócił, lecz przez mało co roztwarte podwoje nic dojrzeć nie mogła, oprócz błyszczącego w nich oka...

Nadchodzący zdawał się rozpatrywać bacznie, nimby się wniść odważył. Z namarszczoną brwią i coraz bardziei nadąsana ochmistrzyni już miała zawołać groźnie, aby drzwi zamykał, gdy właśnie się one szerzej otwały zwolna i — Maciek Borkowicz, dobrze jej znany, ukazał się na progu.

Konradowa, poznawszy go, nie mogła pokryć przestachu i zakłopotania, jaki ją na widok natrętnego pana, z którym ją wiązały dawne, dziś niewygodne stosunki, ogarnął.

Borkowicz miał twarz rozweseloną, można było powiedzieć, rozzuchwaloną; szedł, śmiejąc się, ku babie, która drżała, ręce złożywszy.

Widząc jej trwogę, Mciek przybliżył się do stołu i, opierając się oń, odezwał:

— A co? — jam tu jest. Widzicie, żem za waszą poszedł radą; królową została nasza księżniczka... alem ja starszy u niej, niż mąż i król... i moich praw wyrzekać się nie myślę, tylko z nich korzystać.

Starej mowa na ustach zamarła.

— Co z wami? co z wami? — odezwała się głosem zadławionym i drżącym — opamiętaj się, człeczko! Pociąg tu przyszedł?... Jakże masz prawa?!...

— Jakże? he? — odparł Maciek zuchwale, — ja i wy zarówno wiecie! Alboście mi z księżniczką tajemnych schadzek nie ułatwiali?

— Cicho... — krzyknęła stara, uszy sobie zatulając... — Jakże schadзки? jakie? Ona z wami sam na sam i na jeden pacierz nie pozostała... — oburzała się coraz więcej Konradowa.

— Mało ją kto po rękach całował, jak i ty — zawołała, — a co z tego za prawo komu rośnie?

Borkowicz uśmiechnął się i naprzeciw lampki rękę podnosząc, błysnął starej pierścieniem.

— A to co? — zapytał jej. — Niby nie znasz tej obrączki z oczkiem i nie wiesz, czyja ona była, kto mnie ją dał i kiedy? Któż do tego pomagał? Słuchaj, stara, albo ty mi dalej służyć musisz, albo cię zgubię i wszystko wygadam. Maćka Borkowicza ludzie znają i zowią go — zuchwałym, bo jest zuchwały!!! Ze mną żartów niema...

Stara, oczy zakrywszy, płakać zaczęła.

— Darmo nie szlochaj, — odezwał się Maciek — ja, com raz sobie osnuł, tego nie odstąpię i nie porzucę... Królową ona jest, zgodziłem się na to, niechaj sobie nią będzie, ale ze mną zrywać nie może! Mam słowo...

Konradowa nie zdawała się słuchać. Jedną ręką oczy zasłoniwszy, drugą mu dawała znaki, by milczał.

Podniecony napojem może i krwią gorącą, Borkowicz ani myślał ustępować.

— Czegoś chcesz? czego? — odezwała się rozpaczliwie stara... — chyba, jak mówisz, zgubić mnie...

— Gubić nie chcę, — rzekł Maciek — a no, służyć musisz...

— A jak ja tobie służyć mogę? Oszalałeś! — zawołała coraz bardziej trwożąca się, oglądając na wszystkie strony, ochmistrzyni, obawiając się być podsłuchaną.

Borkowicz zrozumiał to zapewne i pochylił się ku niej.

— Ja z królową widzieć się muszę, rozumiesz ty to! — zawołał pośpiesznie, za rękę ją targając. — Nic nie pomoże.

Konradowa nie słuchała go...

— Król dziś w nocy, albo jutro... z zamku potajemnie

wyjedzie. — Jadwiga zostanie samą. Żebyś mnie mogła do niej na chwilę rozmowy wprowadzić.

Stara krzyknęła i oburącz trzepać zaczęła.

Zmilczał Maciek, dając się jej wyburzyć.

— Nic nie pomoże, — odparł — ja z nią widzieć się muszę... Jak Bóg Bogiem — widzieć się będę, i to na cztery oczy, a ty musisz drzwi pilnować... Szyję swą stawię, ja to wiem, ale się to stanie, lub ciebie zgubię...

Wśród łkania starej niewzruszony Maciek stał, czekając i rozpatrując się po izbie.

— A znajdą mnie tu, — dodał, śmiejąc się — no to powiem, że dla was tu przyszedłem. Nie robi wam to niesławy, że takiego, jak ja, kochanka macie...

Żart ten więcej jeszcze oburzył starą; pokazała mu na drzwi, — Borkowicz stał nieporuszony.

— Ależ szalony — poczęła po chwili Konradowa. — Toż tu na nas, na młodą królowę, tysiąc oczów patrzy.

— To co? — odrzekł Maciek. — Teraz nikomu nie postanie nawet w głowie, aby się śmiał kto do królowej przekradać? Właśnie to pora — lub nigdy. Wszyscy oszołomieni, nikt oczów nie ma, a podejrzenia nie poweźmie nikt. Prędzej uwierzą, że podpiwszy, Borkowicz, młodej nie znalazłszy, do starej poszedł na zabawę.

Odpychała go od siebie napróżno Konradowa; — stał uparty.

— Nie odejdę stąd, aż mi słowo dasz — rzekł. — Niedarmom przyszedł. Chcesz, nie chcesz, a musisz, albo o pierścieniu historję powiem — niech ci choć szyję ukróć!

Wyczekał chwilę, nie otrzymując odpowiedzi, tylko przeciągłe stękanie i jęki.

— Powiadam ci, — powtórzył — król dziś, lub najdalej jutro się do Esthery swojej wykradnie, chorym uczyniwszy Królowa będzie sama. Wpuścić do niej mnie musisz... Nic nie pomoże, — dodał — ja się nie dam odegnać. Złęknie się pewnie i ona, nie zechce może, tak jak i ty, — powiedz jej to samo.

— A to z was dobry przyjaciel! — krzyknęła Konradowa, — poto wymodliliście pierścień, aby nim straszyć?

— Nacóżby się mi inaczej zdał? — rozśmiał się bezwstydnie Maciek. — Albow to ja jak te Niemcy lub Francuzi, co lada kawałek wstążki noszą lata całe na piersi dla miłości niewiasty!?

Rozśmiał się dziko.

— U mnie niewiasta niewiastą, choćby dziesięć razy królową była!! A nie zechce mnie znać...

Konradowa, gdy to mówił, oczy nań podniosła, zobaczyła twarz z wyrazem dzikim i rozpasanym, drgnęła ze strachu i, opamiętywając się powoli, rzekła zająkliwie:

— Idźcie stąd... idźcie... Zrobię, co mogę. Królowej powiem... Niech na waszą głowę spadnie nieszczęście...

Zamruczała coś niewyraźnie.

— Mówcie z nią, a rychło — dodał Maciek śmiało i natarczywie. — Powiedzcie jej, com wam oznajmil... Nie będzie inaczej, musi mówić ze mną. Króla nocą dziś lub jutro na zamku nie stanie... Wpuściecie mnie...

Konradowa płakać znowu zaczęła, głowę zanurzywszy w dłoń. Popatrzał na nią Borkowicz chwilę, targnął za rękaw i dodał jeszcze:

— Najdalej jutro... słyszysz — bo ja czekać nie będę, o stąd nie odjadę, aż się z nią rozmówię... Rób, co chcesz! Nagrodzę po królewsku, ale zgubię po katowsku, gdy mnie oszukasz. Maćka Borkowicza znają ludzie, co on pocznie, to do końca doprowadzi. Pamiętaj.

Jeszcze raz ją napróżno za rękaw targnąwszy, Borkowicz zwolna z izby się wytoczył, niebardzo nawet strzegąc, by postrzeżonym był.

Wyszedł tak pewien siebie, jakby ani wątpił, że zuchwały krok, który zamierzył, musi się spełnić wedle jego postanowienia.

Zamknęły się za nim drzwi, gdy Konradowa, jak rzucona siłą jakąś obcą, z siedzenia się porwała i ręce załamawszy, poczęła po izbie chodzić, coraz to za głowę się chwytając, to palce zaciskając rozpaczliwie.

Szukała w głowie sposobu, jakimby się zbyć mogła niebezpiecznego człowieka i rozmyślała jeszcze, znaleźć go nie mogąc, gdy śmiało ktoś we drzwi zastukał i natychmiast wszedł na próg.

Był to podkomorzy i ulubieniec pański, Kochan Rawa, którego Konradowa już знаła z twarzy i rozgłosu, bo wcześniej o tem mówiono, że on u pana swego był najulubieńszym i najmożniejszym.

Ze śmiałością człowieka, który prosić o nic nie potrzebuje a rozkazy przynosi, stawil się Kochan, ledwie starej głową skinąwszy.

— Mam do was zlecenie od pana — rzekł krótko, wpa-

trując się w nią bacznie, bo załzawione jej oczy i twarz trwogą napiętnowana uderzyć go musiały.

Przerwał sobie i wtrącił:

— Coście to tak zakłopotana, moja jejmość? Jużciż źle u nas na dworze ci nie jest, ani na czem zbywać może?

— Nic mi, nic — prędko przerwała Konradowa.

— U nas płakać nie powinniście — mówił Kochan. — Pan dobry, nagroda hojna, ale panu też służyć dobrze potrzeba i wiernie. Otóż posłuchajcie.

Tu obrócił się dokoła, oczyma szukając po izbie, czy jakiego niepotrzebnego świadka nie było.

— Posłuchajcie — powtórzył. — Król, pan nasz, nie tak młody jest, aby go to wesele i występowanie nie znużyło. Jemu trzeba odpocząć; — ale ludzie o tem wiedzieć nie powinni, że królowę samą zostawi. Niechby i ona też trochę sobie wypoczęła.

Spojrzał na Konradową, która pobladła.

— Cóż, dziwu w tem niema! — dodał — ale na ludzkie języki nie potrzeba tego dawać, bo ludzie wnet to wyszpecą. Rozumiecie?

Drżąc, stara głową skinęła.

— Dziś? — zapytała.

— Dziś — albo jutro, nie wiem, jak pan postanowi — rzekł Kochan; — a no, panią uprzedźcie, że nie z niechęci ku niej to czyni, ale z dobrej woli...

Konradowa powtórnie dała głową znak, iż rozumiała. Kochan jednak stał przed nią, jakby coś jeszcze miał do powiedzenia.

Badał ją oczyma, chcąc odgadnąć nieznaną prawie jeszcze kobietę, którą milczący ten wzrok, wlepiony w nią, niepokoić zaczynał. Powtórzyła mu, że postąpi, jak jej polecono.

— Król, pan nasz — dołożył Kochan — miłościwy jest wielce i szczodry; trzeba, abyście łaskę jego pozyskali sobie, a z nią dobrze wam będzie.

Konradowa, której na myśl przychodził tylko co odprawiony Borkowicz, pod wrażeniem strachu, jakim ją nabawił, co prędej się chcąc zbyć Rawy, skłoniła głowę, ręce rozpostarła, postawę przybrała uległą i pokorną. Kochan popatrzył na nią i wyszedł.

Gdy się to działo w komorze ochmistrzyni, królowa była jeszcze w sali, w której się tańcom przypatrywała, odmówiwszy w nich udziału.

W komnatach panowało życie i gwar wielki, jak zwykle ku końcowi długiej zabawy, gdy i najchłodniejsi się rozchodzą, i starzy nawet powracającą resztkę młodości poczują w sobie.

Król, który się kilka razy w ciągu dnia tego zbliżał do żony i starał się ją ośmielić, widząc ją znękaną jakąś i zbyt bojaźliwą, wkońcu uznał najlepszem pozostawić ją samą z paniami dworu i gośćmi, którzy ją otaczali. Rozmawiał z kolei z kilku starszymi o sprawach różnych, przypatrywał się zabawie, czynił, co mógł, aby się okazać wesółym, lecz widać w nim było roztargnienie jakieś i źle skrywaną niecierpliwość.

Trwające już dni trzy ucztowanie, nie dziw, że go znużyć mogło. Goście mieniali się, wypoczywali, on i królowa ciągle starczyć im wszystkim musieli sami.

Nie zdziwił się więc nikt, gdy wkrótce potem królowa pierwsza niepostrzeżenie się wysunęła z sali i znikła, a król, skinąwszy na Kochana, zwolna zbliżył się ku drzwiom, wiodącym do komnat swych i opuścił zabawę.

Marszałkowie jednak, podkomorzowie i urzędnicy dworu mieli snać rozkazy przyjmowania gości, dopóki bawić chcieli, gdyż taniec i ucztowanie u stołów nie ustało.

Odejście obojga królestwa nie zdziwiło nikogo.

— Jak na nowożeńca, miłościwy pan nasz — szepnął do siedzącego przy sobie Spytką Ligęzy młody panicz z Melsztyna — trochę ma za posępne oblicze.

— Bo zmęczony — odparł Ligęza — a może i wesele to, narzucone, do którego ludzie go zmusili, niebardzo mu do smaku.

Melsztyński się rozśmiał.

— Co mówisz? — odparł. — Królowa jak kwiat świeżo rozwinięty, hoża, a nasz pan kobiety lubi, czemu by nie miał być rad, że mu ją dano?

Ligęza ramionami ruszył.

— A przypatrywaliście się dobrze królowej? — zapytał. — Że hoża jest, nie przeczę, ale czegoś smutna.

— Toć wiadomo, — rzekł drugi — iż niewiasty nie okazują nigdy, jakby z małżeństwa rade były, bo się sromają... To u nich prawo i obyczaj...

— Przytem królowa Jadwiga — szepnął Ligęza — może sobie przypomina swe poprzedniczki, nie licząc Aldony...

Spojrzeli na się, lecz żaden z nich dłużej rozmowy tej prowadzić nie chciał i byliby o czem innem rozpoczęli, gdyby

do nich nie przystąpił Maciek Borkowicz, wszędzie się wciśkający, rubasznie rozochocony.

Zdawało się, że musiał coś zachwycić z tego, co mówili, bo wtrącił, spoglądając na Ligęzę:

— Za wdowców zamaż iść i z wdowcem się żenić, choćby królami byli... niedobra sprawa... Uważaliście, jaki król posępny, choć się śmieje? Bo mu też biskupi gwałtem dali tę białą gołębicę śląską, kiedy on pono jeszcze swojej Żydówki nie porzucił.

Swobodna ta mowa, na zamku trochę dziwna, nie wywołała odpowiedzi; młodzi spojrzeli na się. Borkowicz rozparty przed nimi, siadłszy, ciągnął dalej:

— Nie dałbym złamanego grosza za to, że jednego z tych dni król od godów ucieczel!

— Nie mówcież tak — wtrącił młody z Melsztyna. — Ktoś posłyszysz i ogadają was znowu...

— Ogadany już jestem, — rozśmiał się Borkowicz — a o tem, co prawię, wróble na dachach śpiewają. Właśnie dlatego, iż mi króla żal i że go miłuję, — z litości nad biednym panem stękam nad jego dolą. Czasem, gdy się człowiekowi jeść nie chce, a dadzą mu misę przed się, choćby z najlepszą strawą... kością mu ona w gardle staje; co dopiero ożenienie!!! Biedne panisko nasze, no i biedna królowa...

Spojrzał na siedzących przy sobie, a Ligęza, który go nie lubił, burknął:

— Hej! hej! panie starosto! mnie się zda, że niejeden, co niby pana żałuje, prędeż mu chyba zazdrości... Szczególnie wy, coście podobno na dworze śląskim bywali, a gadki chodziły o was, żeście do księżniczki przysuwali się bardzo... nie powinniście się z tem odzywać.

Borkowicz rzucił się z ławy.

Upomnienie o tem, czego on jeszcze rozglaszać teraz nie życzył sobie, ubodło go. Surowo wzrokiem się odciął Ligęzie, zgóry nań spojrzawszy, brwi ściągnął i oddalił się, nie mówiąc nic.

Gdy królowa, przeprowadzona przez kasztelanową krakowską i panią z Tęczyna, weszła do swej komnaty, żegnając je w progu, z drugich drzwi czatująca już na powrót jej ochmistrzyni śpieszyła na przyjęcie.

Uśmiech na twarzy księżniczki trwał póty, póki dwie matrony, co ją odprowadzały, nie pożegnały jej; — zaledwie

się znalazła sama, padła na siedzenie, chwytając się za głowę.

Konradowa, łaszcząc się, z czułością starej piastunki, okazując litość nad nią, zbliżyła się ku swej pani.

— Królowo ty moja, — poczęła słodkim głosem — zameczyli cię temi gody! Prawda?

Jadwiga, zadumana cała w sobie, nic nie odpowiadała.

Pochyliła się nad nią stara ochmistrzyni, szepcząc głosem, który się starała uczynić wesołym i swobodnym, choć w nim drgało nieukożone jeszcze rozdrażnienie.

— Dawniej gołąbka moja lubiła zabawę! lubiła! Ale teraz już jej ma do przesytu... Tobieby, królowko moja, spocząć, spocząć! Zdejmę szaty, zawołamy służebne... Możebyś sobie tu odetchnęła dziś, zasnęła? prawda?

Królowa jeszcze nic nie odrzekła.

W czasie, gdy się to działo, w komnacie Jadwigi, w tuż przytykającej komorze, w której siadywała stara ochmistrzyni, słychać było chód, jakby męski. Przechadzał się tam ktoś tak, jakby chciał, aby kroki jego głośnie były i uwagę zwróciły.

Przełęcznionej Konradowej zabrakło nagle głosu; nastawiła ucha, dała znak swej pani, i o ile jej wiek dozwalał, pobiegła do swego mieszkania. Lękała się tu ujrzyć niegodziwego Borkowicza, którego zuchwalstwo miary nie miało.

Odetchnęła, gdy, drzwi otwierając, spostrzegła Kochana Rawę. Cekał on na nią, zbliżył się żywo do jej ucha i rzekł:

— Król bardzo znużony, no i królowej mu żal, bo i ta spoczynku potrzebuje... Dziś... będzie u siebie w komnacie spał...

To rzekłszy i patrząc na starą, aby wyrozumieć, co jej oznajmił, Kochan dodał:

— Trzymajcie to przy sobie...

I wyszedł prędko.

Stara, która oczy miała dobre i nic jej uwagi nie uchodziło, dostrzegła, iż Kochan, który niedawno wszedł do niej w ubiorze bardzo wykwinłym, jak występował na zamku, teraz miał na sobie suknie i płaszcz, jakby do podróży narzucony.

Zdziwiło ją to trochę.

Z obawy, aby kto inny z drzwi niezaryglowanych nie skorzystał, Konradowa poszła za Rawą i zasunęła je mocno.

Wróciwszy do królowej, zastała ją jeszcze siedzącą

w krześle, dumającą, z oczyma w podłogę wlepionemi i zwolna zdejmującą z siebie ciężkie klejnoty.

— Stało się, jak ja chciałam, — dla gołąbki mojej — poczęła, przybliżając się i sama zdejmując strój z głowy Jadwigi; — będziesz miała spoczynek, bo i król znużony wielce. Dali mi znać, że ja tu mojej pani posłać mogę...

Na twarz Jadwigi nieodgadniony wystąpił rumieniec. Konradowa, nawykła do tych częstych płomieni na licu wychowanki, często bardzo blednącej i zaczerwienionej, bez żadnej napozór przyczyny, — nie zważała nań.

Usta się jej nie zamykały, a oczy badały panią niespokojnie.

Jadwiga mało się przysłuchiwała paplaniu starej, cała była w sobie długo; — potem, gdy ozdoby jej z głowy i szyi zdjęła, gdy suknie ciężkie rozpięła, jakby czując się swobodniejszą, zwróciła się do niej.

Miała ściągnięte brwi i wyraz surowy a zagniewany.

— Słuchaj, Konradowa — rzekła — tybyś powinna... dopytać tego Borkowicza...

Zatrzymała się chwilę.

— Tak... powinnaś mu powiedzieć, żeby mi się nie ośmiał ani tak patrzeć na mnie, ani tak poufale cisnąć! Niegodziwy człek... niegodziwy! Nie śmiałam dziś oczów podnieść, żeby natrętnych jego zerkań na mnie, mrugań i uśmiechów nie widzieć!

Stara, trzymając naszyjnik, rzuciła go na stół i załamała ręce, do twarzy przysuwając.

— Patrzcie, co za zuchwalec! — wybąknęła — miłosierny Jezu, co z nim począć! co począć!

Królowa milczała chwilę.

— Poczynajcie sobie z nim, co chcecie, — rzekła powoli — wyście mnie go naprowadzali w Głogowie, wy podarki nosili, wy jego sprawę popierali, teraz go sobie weźcie... niech go nie znam... Zły człowiek i głupi!

Z wielką uwagą stara przysłuchiwała się słowom tym, niespodzianym dla niej, głową potrzasała i oczy wywracała.

— Boże miłosierny! — szeptała — Boże! co za człek! co za człek!

— Ja go już znać nie chcę! — powtórzyła królowa — rób z nim co chcesz... a... precz go odegnąć...

Namyślała się chwilę stara, przyklękła przed siedzącą panią, podniosła oczy ku niej i szeptała:

— To mało jeszcze, że on na moją królowę patrzeć śmiał i że się cisnął do niej. Na toby nikt nie zważał... ludzi dożyć, nikomu na piękną panią swą patrzeć nie wzbroniono... Mało tego! Ale co ja powiem gołąbce mojej... włosy stają na głowie! Nie powiedziałabym może nic, aby darmo nie trwożyć, ale co ja z nim poradzę?

Królowa podniosła wzrok na nią i oczy wlepiła w wyłękłą.

— Mało tego, że tam się cisnął, — kończyła Konradowa — ale kiedy ja tu siedziałam sama, sama jedna, bo tu teraz do mnie i stróż nawet nie zajrzał... naraz... kto wchodzi... Maciek Borkowicz...

— Gdzie? tu? — zapytała królowa

— Tu, do mojej izby — dodała, wskazując na drzwi palcem stara. — Tu... tak mi Boże dopomóż! A z czym przyszedł?... Trzeba go było posłuchać! Powiada... pierścień od niej mam... Pierwej mnie się ona uśmiechnęła, niż królowi, chcę mówić z nią, chcę się widzieć sam na sam...

Królowa drgnęła i rzuciła się na krzesło niespokojna. Nowy rumieniec oblał jej nie tylko twarz, ale białe obnażone ramiona. Oburzenie wyryło się na twarzyczce...

— Tak! tak — mówiła dalej, tajemniczo się przysuwając, Konradowa. — A nie zechcesz mnie wprowadzić do niej i nie zrobisz, co każe... to cię zgubię, wydam, oskarżę. A nie zechce królowa mówić ze mną, pochwałę się pierścieniem, gotówem na wszystko!!

Łzy popłynęły z oczów Jadwigi...

— Patrz, stara... coś ty mnie uczyniła? — szepnęła z wymówką.

— Ja? ja? — zapytała, zegnając się, Konradowa. — Królowo moja, gołąbko ty moja... przypomnij tylko dobrze? Gdybyś mu się w tańcu po turnieju nie uśmiechnęła, gdy cię za rączkę prowadził, gdybyś z nim nie szeptała i nie śmiała się ochotnie, albowy on ważył się do ciebie przysuwać? albowy mnie prosił, abym ja go do ciebie potajemnie wprowadzała?

Królowa usta jej białą, silną ręką zamknęła.

— Milczże, — zawołała — milcz już! Gdyby nie ty, nie byłoby tego wszystkiego... Czy ja młoda wiedziałam, czy źle, czy dobrze czynię? A toć się chwalił, że on księciem wielkopolskim zostanie, że go ksiązę brandenburski prowadzi, że panować będzie i żenić się ze mną! Com ja winna?

Stara głową kiwała tylko.

— Królowo ty moja, — rzekła — kto tu ma być winien? Ani ty, ani ja, tylko ten zuchwalec... Nielatwo się babom od takiego czleka wyzwolić... nielatwo! Boże miłosierny... zna on wszystkie sposoby! zna... Zły człowiek! ale co ja z nim teraz pocznę sama...

— Rób, co chcesz! — powtórzyła królowa.

— Było mu to pierścień dawać przy ostatniem widzeniu — szepnęła stara — albo i ja też to sprawiła! Ja nie wiedziałam o niczem, aż mi go, wychodząc, na palcu ukazał...

— Gwałtem mi go z ręki ściągnął — przerwała przełękła i płacząca Jadwiga. — Nie mogłam krzyczeć... siłą wziął! Wiedział zbój, naco to czynił!

Obie kobiety zamilkły; królowa płakała, stara, czoło trąc, przemyśliwała i stękała.

— Zbój! zbój prawy jest — rzekła. — Teraz z pierścieniem tym na palcu... grozi nam i co zechce, uczyni...

— Już — mówiła z przestankami — zapowiedział mi, że król albo tej nocy, lub następnej z zamku zjedzie.

— Dokąd? — spytała Jadwiga.

— Któż to wie? do swej Żydówki może! — dodała Konradowa. — Ale jak on to naprzód mógł wybadać? Widzicie... Co ja mu powiem, gdy przyjdzie napastować mnie? Mnie na to rozumu nie stało... Gdybym co chciała mówiła, ani mnie nie posłucha, ni ustąpi. — Pierścień ten trzeba wykupić, choćby, nie wiem, jaką ceną... Ty, królowo moja, ty go musisz przyjąć i mówić z nim!!

— Ja! nigdy! — zawołała królowa, z krzesła powstając.

— Zgubi nas, — szepnęła stara — nie ulituje się...

Pomilczała trochę i dodała:

— Królowej on nic odmówić nie będzie śmiały, — pierścień odda. A póki go ma... dla nas pokoju nie będzie... Tak! tak, królowo moja...

Jadwiga, nie mówiąc nic, rzuciła głowę.

— Widzieć go nie chcę, znać nie chcę, czynić, co wiesz i jak umiesz... Pierścień mi on gwałtem zdarł... a wiesz, jaki on był? wiesz, że ten jest, co mi go król pierwszy na zręko-winy przysłał?

Konradowa krzyknęła.

— Zgubi nas... moja głowa na karku niepewna... Tobie, królowej, nie stanie się nic, sromać się będą obwinić, głosić nie będą śmieli, a mnie... stryczek na szyję...

To mówiąc, Konradowa rzuciła się twarzą na podłogę i szlochała.

Królowa, padłszy na siedzenie znowu, siedziała w niem jak martwa.

Długi dość czas upłynął, nim stara do siebie przyszła i ocuciła się nieco. Wspierając się na rękach, podniosła zwolna z ziemi i z twarzą zmienioną przybliżyła się do swej pani.

— Posłuchajcie mnie, — zaczęła — posłuchajcie... My się go nie pozbędziemy inaczej. Niech już przyjdzie, wyjdziecie doń do izby mojej na chwilę, każecie pierścień oddać, będzie musiał... Ja od progu nie odejdę... Obawiać się go nie masz czego... Przyrzeczesz mu łaskę swoją... a więcej go potem na oczy nie puścim... Ale pierścień zdarty z ręki oddać musi... Mnie on go nie da... Zły człek jest! Kto wie, co sobie myśli, i jaką cenę na niego nałoży...

Ostatnie słowa cicho szepnęła Konradowa i spojrzała na królowę, która się wzdygała oburzona. Nie odpowiadała nic z początku, potem z zaciśniętych ust dobyło się:

— Nie chcę go widzieć! Czyń, co chcesz! nie mogę. Zgubiłaś mnie ty... ty...

I zaczęła płakać królowa.

Służebne jej, w trzeciej izbie napróżno oczekujące, aby je ochmistrzyni zawołała, szeptaniem półgłośnem i śmieszkami zwróciły na siebie uwagę królowej; dała znać starej, aby je zawołała.

Konradowa ręce załamała przed nią.

— Co mu powiem? — chwytając ręce, które całować chciała, rzekła cicho. — Ja się go nie zbędę jutro. Czatować będzie na mnie...

— Ani mi się waż go tu puścić! — odparła Jadwiga. — Rychlejby mnie to zgubiło, niż ten pierścień nieszczęsny... Widzieć go nie mogę i nie chcę!

Stara, niespodziany opór znalazłszy w swej wychowawcy, której poznać nie mogła teraz, wstrzymała się już od nalegania. Rachowała na to, iż co się jej pierwszego dnia nie powiodło, później naleganiami i namowami na dość posłusznej dotąd pani wyrobi.

Zmienioną ją znajdowała — i to tylko przestraszało. Spoważniało młode dziewczę; siła się w niej znalazła, której nie było wprzód.

Nazajutrz rano, choć nie tak wcześnie, jak dni pierwszych, gody się rozpoczęły na nowo.

Do dziesięciu dni najmniej ciągnąć się one musiały i ugaszczanie tych, którzy dłużej pozostali. Król rano się

ukazał, jakgdyby z zamku nie oddalał wcale, a na twarzy jego wszyscy spostrzegli zmianę, jakby odpoczął i orzeźwiał.

Gotowano się dnia tego do nowego turnieju. Rycerzy było kilku, którzy radzi się popisywać chcieli ze zręcznością swoją. Król zdawał się zajmować tem wielce — i szczyty ich wystawione oglądał. Królowa później, niż zwykle, wyjść chciała; — posłano z oznajmieniem, zgodził się na to Kaźmirz.

Jak dni poprzedzających, Borkowicz w szrankach do gonitw przygotowanych krzątał się, kręcił, gospodarzyć usiłował i starał zwracać na siebie wszystkich oczy.

Król tylko pomijał go i nie dawał się niczem ze swej obojętności dla starosty wyprowadzić. Zły to był znak dla niego, lecz zuchwały człek wcale się nie zdawał czuć, iż zagrożonym był niełaską.

Nie odejmowało mu to pewności i śmiałości, z jaką występował.

Ku południowi już wszyscy byli u zastawionych stołów, a stara Konradowa w swej izbie, postępując, przechadzała się, gdy wcale niespodzianie, wypatrzywszy porę i rachując, iż ją samą zastanie, wpadł do niej znowu zuchwały Borkowicz.

W biały dzień przychodził, nie kryjąc się wcale z sobą.

Konradowa z początku osłupiała, lecz strach zaraz prze-mogła.

— Mówiliście z królową? — zagadnął wprost Borkowicz.

— Kiedy? jak mówić miałam? — kwaśno odpowiedziała stara.

— Jak? kiedy? Przecie królowa w swej komnacie noco-wała, a wy byliście przy niej? — rzekł Borkowicz.

Kłamstwem zbyć się go nie było sposobu.

— Nie mówiłam z nią, bo mi na pierwsze słowa usta zamknęła i słuchać nie chciała... — zamruczała Konradowa, w którą starosta wpatrywał się pilno, badając oczyma poszlaki kłamstwa. W istocie była, mówiąc, tak zmieszana, że ją o nie mógł posądzić Borkowicz.

— Słuchać nie chciała! — powtórzył — a! a! królowa słuchać już nie chciała!! Chybaście jej nie powiedzieli, że ja... widzieć się z nią muszę!

Ochmistrzyni, nie odpowiadając mu, nadasana, składała na stole rozrzucone niewieście przybory. Starosta czas krótki stał, czekając na to, co mu powie, aż zmęczony milczeniem pogardliwym, wybuchnął:

— Myślicie mnie odprawić, jak natrętnego żebraka? co?...
Alem ja tu nie prosić przyszedł, a domagać się...

W Konradowej resztką strachu walczyła z gniewem, który rozpaczliwe położenie wzbudziło. Co miała począć?

Maciek każdy ruch jej śledził, patrzył i burczał coś cicho.

— Słyszeliście? — zawołał.

— A wy? słyszeliście? — odparła, zwracając się ku niemu z twarzą zaognioną.

— Myślicie, że na tem koniec? — rozśmiał się Borkowicz.

— Sądzicie, że was się kto boi? — poczęła ochmistrzyni. — Królowa powiada, żeście jej ten wasz sławny pierścień gwałtem z palca zdarli.

— Gwałtem? a gdyby i tak było? — krzyknął Borkowicz — toć przecie nie wołała, gdym gwałt jej czynił, i była ze mną tam, gdzie jej nikt na pomoc przyjść nie mógł? He? Rozumiecie, co to znaczy?... Samaby się potępiła, przyznając do tego. A pociście mnie puszczała tam, gdzie ja mogłem pierścienie z palca zdejmować?...

I śmiać się począł głosem dzikim.

Stara ochmistrzyni zdrętwiała. To, co mówił, w istocie strachem nabawić mogło. Konradowa nierychło znalazła w głowie odpowiedź.

— Cóż myślicie? — zawołała — królowę oskarżyć, aby ją zniesławić? — Jej się nie stanie nic, bo ją obraniać muszą, a wy głowę dacie...

Borkowicz, groźnie zmarszczony, zawołał, pięść podnosząc:

— Ja swojej głowy wiem, jak bronić, o to się wy nie frasujcie. Patrzcie na siebie.

Ochmistrzyni, pozbyć się go chcąc, znowu składać zaczęła rąbki i zwijać wstęgi. Chwilę powstał starosta, oczekując.

— Jeszcze raz powiadam wam, — ozwał się wreszcie — królowę namówcie, aby mi tu do siebie dozwoliła przyjść na rozmowę, inaczej źle będzie... Na czyją to głowę spadnie — zobaczycie!!

Zatrzasnął drzwiami i wyszedł. Konradowa pozostała zdrętwiała z rękami na stole, ruszyć się nie mogąc.

Do rozmyślania reszta dnia do wieczora jej pozostawała.

Tymczasem starosta do izb powrócił, w których po turnieju goście się zabawiali.

Młoda królowa rozdawała dnia tego nagrody, lecz żadna z nich Borkowiczowi nie przypadła, bo go dwa razy z konia

obalono. Tem zuchwalszym był i gniewniejszym jeszcze. Szukał tylko środka, jakby się do królowej mógł zbliżyć.

Nielatwem to było. U stołu oboje państwo razem siedzieli. Dopiero gdy się tańce rozpoczęły, od których się młoda pani wymówiła znużeniem, starosta krążyć począł, wypatrując chwili sposobnej, aby za jej siedzeniem mógł stanąć. Król znajdował się daleko, zajęty rozmową. Przy Jadwidze kręciły się tylko starsze panie, dworując jej. Zabawiały ją opowiadaniem różnemi, na które ona ledwie się uważać zdawała, siedząc ze spuszczonej oczyma.

Starosta wkradł się zręcznie poza krzesło i w chwili, gdy muzyka głuszyła szczebiotanie pań starszych, które przerwać je musiały, do ucha prawie młodej pani szepnął:

— Pomnijcie pierścień, a tego, który go wziął od was, nie odprawiajcie tak sromotnie — bo się on odegnać nie da!!

Ledwie słów tych dokończywszy, nie czekając odpowiedzi, Borkowicz posunął się dalej. Królowa drgnęła, podniosła głowę, oburzona zuchwalstwem, lecz poza siedzeniem jej już nikogo nie było. Nikt też pono nie dostrzegł starosty, gdy się w tłumie przesunął.

Wprędce potem stanął już zdala naprzeciw królowej, zuchwale w nią oczy wlepił, i naumyślnie dumną swą postawą nastroczał się jej, aby okazać, jak mało się obawiał.

Jak dnia poprzedzającego, król dał znać żonie, iż u siebie pozostanie, tak tego dnia ona posłała jedną ze swych pań do Kochana, aby oznajmił panu, iż prosi go, by mogła spocząć w swej komnacie.

Dał zaraz pocichu odpowiedź Kochan, iż król się zgodził na to.

Zawczasu się każąc prowadzić, królowa Jadwiga przeszła do sypialni i odprawiwszy sługi, Konradową zawołać kazała.

Ze związaną głową, stękając, przywlokła się stara.

Nie było już nikogo w komnacie. Na twarzy młodej pani gniew był łatwy do poznania.

— Mówiłaś ze starostą? — zapytała porywczo. — Chce li, abym się ja pierwsza poskarżyła nań królowi!!

Konradowa, rękami naprzód machając w powietrzu, odpowiadać zaczęła.

— Co z tym nicponiem mówić! — jęknęła — czy do ściany, czy do tego czleka, wszystko jedno... On się nikogo nie boi, a wszystkim grozi, pies nie czlek...

Z natężoną uwagą słuchała Jadwiga — a gdy stara do-kończyła, zakryła sobie oczy chustką — płakała.

— Gołąbko ty moja, królowko ty moja! — przymilając się, zaczęła Konradowa pocichu. — Ja cały dzień myślałam tylko nad tem, aż mi głowa pęka od bólu. Z tym człowiekiem inaczej nie można, tylko trzeba go ugłaskać. Dziaki zwierz jest, gotów na wszystko...

Po krótkiem milczeniu dodała ciszej jeszcze.

— Pozwólcie, żeby do mojej izby przyszedł na oka mgnie-nie, przetworzywszy tylko drzwi, pokażecie mu się... zgromicie... Pójdzie potem precz.

Spojrzała na królowę i szepnęła:

— Albo mu dacie dobre słówko... Takich ludzi można czasem słówkiem ugłaskać. Ugłaskacie go... Obiecać można wszystko, albo to człek dotrzymać w sile, co przyrzecze?

Kiwnęła głową.

Królowa milczała i płakała. Nastąpiła cisza przerywana łkaniem tylko.

Konradowa z wolna zdejmowała z królowej ubranie. Wiedziała już, nie odbierając odpowiedzi, że pani była nawpół złamaną i przekonaną.

Szeptala ciągle jedno, kręcąc się koło niej i słuchając, co z ust jej wyjdzie.

— Rób, co chcesz, — zamruczała płacząca — ja o niczem wiedzieć nie mogę... Rób, co chcesz... Nie mogę...

Starej tego tylko było potrzeba. Żywiej teraz układała do snu wychowanicę i śpieszno się jej było oddalić. Miała czem, jak się jej zdawało, pozbyć się Borkowicza.

Była pewną, że dla królowej powolnym być musi.

Wieczór spóźniony już dnia tego nie dozwalał się spodziewać starosty, lecz nazajutrz przeczuwała go Konradowa.

W istocie Borkowicz krążył ciągle po podwórcach, spoglądając, kiedy się wsunąć może. Czasu uczył, gdy u stołu byli wszyscy, wszedł do komnaty. Konradowa siedziała za stołem spokojna.

— A co? — odezwiała się pierwsza do niego — znowu wy na mnie przychodzicie z gniewami, ze strachem i prośbami. Nie bądźcieńo takim srogim, a może lepiej na tem wyjdziecie!

Borkowicz do stołu się przysunął.

— Chcesz podarku? — dam! — rzekł, bystro patrząc.

Na ofiarę Konradowa nie odparła nic, co znaczyło, że przyjąć była gotową, rzekła tylko:

— Możebym wyprosiła co u królowej... ale ani ona, ani ja dla strachu nie zrobi nic.

Potrząsała głową.

Borkowicz, mrucząc, do sakwy pod suknią sięgnął i garść dobytých pieniędzy, milcząc, starej podsunął, która je żywo chustą nakryła.

Siadł przy niej na ławie; cicho rozpoczęła się umowa, jak za dobrych czasów.

Borkowiczowi ta nagła zmiana dawała do myślenia, że go oszukują może, zyskać chcąc na czasie i knując zdradę jakąś, lecz Konradowa zdawała się z dobrą wiarą i wielką troską obmyślać spotkanie z królową.

Postanowione tedy zostało, iż Borkowicz, nie budząc podejrzeń i nie kręcąc się nadaremnie, miał tylko wyglądać dnia, gdy mu w oknie Konradowa czerwoną chustę na znak wywiesi. Tego wieczora miał przyjść do niej. Obiecywała mu, że królowę zobaczy. Dzień ten nie miał być dalekim, i nimby się wesele dokończyło, Maciek obietnicę spotkania otrzymał, bo później trudno było oczów ludzi uniknąć.

Z tem odszedł.

Następnych dni próżno do okien zaglądał; czerwonej chusty w nich nie było. Aż czwartego, gdy już gniewny chciał iść do starej, ową zasłonkę zobaczył.

Na wieczór król z łowów z gośćmi swymi, książęty, nie miał powrócić.

Borkowicz od myślistwa tego wymówił się koniem chorym, został w mieście i na zamku. Zaledwie zmierzchno, gdy już czatował w podwórzu.

Pachole, które miał z sobą, postawione na straży w sali, dało mu znać, gdy królowa z niej wyszła do swych komnat. Mało co poczekawszy, Borkowicz wbiegł do Konradowej.

Czekać się na niego zdawała i położyła palec na ustach, zobaczywszy.

— Cicho tu stój! — rzekła, wstając i podchodząc ku drzwiom królowej.

Przyłożyła do nich ucho, zapukała ostrożnie. Borkowicz tymczasem, cicho stąpając za nią, przysunął się ku drzwiom.

Otarły się one powoli. Błada i pomieszana stała w nich królowa Jadwiga, nie mogąc wymówić słowa. — Borkowicz śmiał się do niej.

Pomiędzy niemi skurczona w pośrodku trzymała się Konradowa. Starosta ujął ją wpół i odepchnął, a sam, nie zważając na przestrach królowej, zuchwale się wdarł na próg

ku niej i za cofającą się wkroczył do sypialni, drzwi zamykając za sobą.

Konradowa padła zrazu na ziemię, lecz natychmiast się podniosła, oburącz porwała drzwi i gwałtem je rozwarła.

Królowa w głębi izby, uchodząc od napastnika, stała oparta o ścianę. Borkowicz wpół komnaty się strzymał i mówił coś żywo.

Rozmowa ta, której Konradowa dosłyszeć nie mogła, trwała bardzo krótko: na dany jakiś znak starosta krokiem wolnym, parę razy jeszcze się zwracając i mruczając coś, wyszedł.

W pierwszej izbie nie zatrzymał się nawet, kołpak na głowę nacisnął i wysłiznął się pocichu.

Z czem i jak odchodził, z gniewem czy ułagodzony, nie mogła ani zgadnąć, ani dopytać stara, gdyż królowa rzuciła się z twarzą zakrytą na łoże swe i mówić nie chciała.

Zdawało się przecież ochmistrzyni, że wszystko musiało być skończone; oddychała swobodniej.

Borkowicz ani następnego dnia, ani później się już tu nie pokazał, chociaż stara wiedziała, że jeszcze był na zamku.

Nowy gość zato nazajutrz po bytności starosty przyszedł wieczorem. Był to Kochan podkomorzy, który nic dnia tego do rozkazania ani oznajmienia nie miał, lecz jakby dla bliższego poznajomienia się przybywał.

Stara musiała go przyjąć z poszanowaniem, lecz drżąc ze strachu, gdyż czuła, iż podglądać musiał, rozpytywać chciał. A kto był i jak swemu panu służył — wiedziała.

Stawił się on bardzo przyjacielsko, przynosząc rady różne, nauczając starą obyczajów królewskich, rozpytując o młodą królowę, ostrzegając, co czynić i jak postępować miała.

Niedowierzająca mu Konradowa znajdowała się bardzo ostrożnie, milcząco.

Kochan miał tu rachubę, której ona odgadnąć nie mogła.

Chciał króla od Esthery dumnej a nieprzystępnej odebrać, do młodej królowej przybliżyć.

Służąc jej, spodziewał się może pewien wpływ pozyskać, a przynajmniej lepiej być widzianym, niż u Żydówki, która go milczeniem zbywała, zbliżać się do siebie nie dając poufałe.

W rozmowie z Konradową Kochan wspomniał i Borkowicza, opowiadając o nim, iż próżno się o łaskę starał u kró-

la... Spytał, czy prawdą było, co mówiono, że na dworze śląskim księżniczką znał Jadwigę i miał u niej łaskę.

Słyszac to pytanie, stara ze strachu pobladła i nieprędko wyjąknęła odpowiedź.

Z gorącością wielką zaczęła się zaklinać, iż wszystko, co mówiono, kłamstwem było tylko i potwarzą, — że Borkowicz, jak inni, na turnieje i zabawy do Głogowa i Żegania jeździł, — ale przystępu do księżniczki nie mógł mieć nigdy.

Śmiał się z tych baśni Kochan z nią razem, i tak rozstali się ze starą w dobrej zgodzie, obiecując sobie trwać w niej i nadal.

Wielkopolska naówczas, wskutek zabiegów Maćka Borkowicza, na dwa się obozy dzieliła; z tych jeden trzymał z panem na Koźminie, drugi się skupiał przy jego starym wuju, wojewodzie Beńku. Łączyło ich pokrewieństwo, lecz zdawna dzieliły różnice usposobień i charakterów.

Maciek był zarazem zuchwały i przebiegły, chciwy władzy i majątności, a na środki, jakimi szedł do celu, nie zważał i nie patrzył. Zbroiwszy co, popelniwszy gwałt jawny, opłacał się fundacjami i pieniędzmi, aby się nie narażać duchowieństwu, w sumieniu nie miał zgryzot żadnych. Namiętność panowała nad nim.

Raz sobie nabiwszy tem głowę, że w Wielkopolsce rządzić będzie i oderwie ją od Korony, a podda Brandenburgom lub cesarstwu, sam holdownikiem jego zostając, dążył ku temu nieustannie, przysposabiał się do buntu. Rachował może na bezdzietność Kaźmirza, na chwilę bezkrólewia, nimby Ludwik przyszedł do korony.

Rachuby jego były niezbyt opatrne, nadto male; wiele przeciwnych okoliczności lekcewazył sobie i pomijał, lecz miał taką ufność w sobie, iż na chwilę nie zwątpił, że celu dopnie.

Gra ta, która zdaleka tłumaczyć się zdawała, nie była ani tak widoczną, ani tak zrozumiałą, by go oskarżyć można i dowieść zdrady, chociaż zbliża w samej Wielkopolsce dla bystrych oczów stawała się dotykálną.

Znaczna część szlachty skupiała się przy Maćku, wiązała z nim, słuchała i ślepo mu wierzyła. Ujmował ją różnymi sposobami, a że nie przed wszystkimi tał, iż mu o utrzymanie odrębności ziem wielkopolskich chodziło, tu i owdzie wygadywano się z tem, co było zamierzone.

Beńko, mąż już w latach, lecz jeszcze silen umysłem i ciałem, wierny królowi, zamilowany w pokoju, nieprzyjaciół wszystkiego, co go zakłócić mogło, wręcz był przeciwnym całemu temu ruchowi.

Widział on jasno, co się przysposabiało. Maciek w samych początkach, niezupełnie się zdradzając przed nim, starał się ująć go sobie przez ciotkę swą, a żonę Beńka, niewiastę rozmiłowaną w siostrzeńcu i popierającą jego sprawę! Beńko, który się nie dawał złudzić, mimo przywiązania i powolności dla żony, słuchać jej nie chciał i wręcz odpowiedział, że zdrady nie dopuści i wszelkimi siłami sprzeciwić się jej będzie.

Maciek, który dawniej częstym bywał gościem u wuja, po kilkakrotnem żywym z nim starciu przestał jeździć do niego i zerwał wszelkie stosunki.

Beńko w głos i jawnie mówił, iż Maćkowi nie dozwoli knuć na szkodę Wielkopolski spisków z Brandenburgami i rozpasywać się w kraju. Donoszono o tem Borkowiczowi, który szydersko słuchał, głową kręcił, brodę tarł i cmoakał. Stosunki coraz się pogarszały. Nieprzyjaciele Maćka otaczali wojewodę, — ci, którym Beńko nie był miłym, szli z Borkowiczem. Doniesienia do Krakowa o zamiarach jego płynęły od wojewody — wiedział on o tem. Pocichu odgraczać się na siebie wzajem poczęto. Porwać się jednak na Beńka nie było tak łatwo. Pokrewieństwo hamowało potrozsze, a więcej obawa siły, jaką miał wojewoda.

Co było ludzi poważnych, statecznych, niewiedzionych obietnicami Borkowicza, stało u jego boku. Beńko, pan ziem rozległych, które trzymał między Poznaniem a Gnieznem, miał też dobra w Kaliskiem; mieszkał jednak zwykle w dworcu swoim w Poznaniu. Tu, w mieście wpływ jego przeważał, gdy na prowincji Borkowicz liczbą swych sprzymierzeńców był groźniejszy. Beńki przyjaciele należeli do najznacznějších właścicieli ziemi; — Maćka do ziemian najuboższych, ale do najruchliwszych, najzuchwalszych i rozrodných a skoligaconych szeroko. Wojewoda rachował na siłę swoich, — Maciek na zuchwalstwo drobnych panoszków i ryceństwa ubogiego.

Do tego podziału na obozy przyczyniały się i dawne zająścia pomiędzy rodzinami, które z sobą walczyły o wpływ w różnych częściach Wielkopolski. Jedni więc garnęli się do Borkowicza, a to starczyło, by drudzy przechodzili do wojewody.

Widzieliśmy sposób życia Borkowicza, który obozował ciągle, z miejsca się na miejsce przenosił, siadywał to w jednym, to w drugim z licznych swoich dworów. Pomagało mu to do zyskiwania nowych stronników, a gdzie ich miał zyskać jeszcze, tam ciągnął, rozsiadał się, otwierał wrota, zapraszał i jednal czem i jak się udało.

Cale inaczej nawykł był życie wieść wojewoda Beńko. Nie ruszał się on chętnie z miejsca, nietyle może dla wieku, co z nawyknienia.

Dwór wojewodziński w Poznaniu, nader gościnny, roił się prawie ciągle przybyłymi, obyczaj to był staropolski; nie wykuintne przyjęcie, lecz obfite i pańskie. Stoły u niego zastawione były po dniach całych, wielu ziemian z końmi i dworami zajeżdżali do niego, stawali, tygodniami siadywali.

Stary, obszerny dworzec Beńka był niepozorny, lecz wygodny i we wszystko zasposobiony. Śpichrze przy nim, do których zapasy ze wsi zwożono, stały pełne zboża, siana i mąki, zwierzyny i wszystkiego, czego życie potrzebowało. Osobny browar piwo warzył na potrzebę wojewody, wielkie łaźnie dla panów i czeladzi, stajnie na paręset koni mieściły się w podwórcach, do głównego przylegających. Dwór Beńka był liczny i niemal po książęcemu urządzony, miał komorników, podkomorzych, podłowczego, łowczego, a gawieź, której sam nie znał, była mnogą, i często się jeszcze pomnażającą.

Ksiądz kapelan, który zarazem pełnił obowiązki lektora i kanclerza, towarzyszył zawsze i wszędzie wojewodzie.

Beńko bezdzietnym był, bo syna już dorosłego stracił przed kilku latami na łowach, niewiadomo jak i przez kogo przestrzelonego. Poszlaki pewne były, że Maciek Borkowicz śmierci tej nie był obcym i że z jego namowy zbrodnia ta popełnioną została. Nie miano dosyć dowodów, aby go obwinić, było ich jednak tyle, że go podejrzewać o to miał prawo. Rachować się zdawał Maciek na to, iż ciotka, a żona wojewody, niewiasta zaślepiona i krótkowidząca, nakłoni go do przekazania mu spadku po sobie. W tem się omylił Borkowicz, gdyż wojewoda, powziąwszy podejrzenia i znienawidziwszy siostrzana, ani chciał o tem słuchać. Miał sobie przysposobić dalekiego krewniaka, na co od króla zyskał pozwolenie.

Borkowicza przeciwko wujowi rozdrażniło to więcej jeszcze.

Beńko liczył już lat pod siedmdziesiąt, starym się mógł zwać liczbą ich, ale postawą tego nie zdradzał. Słusznego wzrostu, dobrze zbudowany, zahartowany zawczasu, ciągle czynny, choć nieco ostatniemi czasy zleniwił, gdy potrzeba było i konia dosiadał, i w gołem polu nocować był gotów, i żadnego się nie uląkł trudu. Ociężał tylko trochę dlatego, iż do czynienia nie miał wiele. Zato około niego ruch zawsze był znaczny.

Rozporządzenie ówczesnego żywota, obyczaje wieku inne były, niż dzisiejsze. Wstawali wszyscy rano ze dniem lub przed świtem nawet. Wojewoda, że pobożnym był i dwór chciał mieć sobie podobnym, rozpoczynał dzień od mszy świętej w pobliskim kościele, lub w kapliczce przy dworze wystawionej, która, choć małą była, wychodziła drzwiami na podsienia, a w tych służba się cała czasu nabożeństwa ustawić mogła.

Po mszy zaraz następował w wielkiej izbie obiad, do którego wojewoda i żona jego zasiadali, goście i służba co przedniejsza.

Poczynano już naówczas kuchnię prostą, dawniejszą drogami korzennymi przyprawami osmaczać; wojewoda mało o to dbał, lecz zato nikomu nigdy u niego nie zabrakło obfitej i pożywnej strawy: kaszy, mleczywa, ryb i mięsa. Misy na tyłu wydzielane były, aby dosyta najeść się mógł każdy i czeladź jeszcze pożywiła. Piwa dawano, ile kto chciał, wino tylko w świętki i to przedniejszym. Zastępowały je miody stare i młodsze.

Przy obiedzie wojewoda gwarzyć lubił, więc mu kto mógł, przynosił nowiny, aby przedmiotu do rozprawiania i pobudzenia wesołej myśli nie zabrakło.

Zasiadała do stołu też sama pani, a często i niewiast kilka. Kapelan rozpoczynał błogosławieństwem, kończył dzięczynną modlitwą.

Pomimo powagi swej i dostojęstwa, wojewoda poufałym z ludźmi być lubił, w rozmowie swobodę im dawał i do niej zachęcał, a pośmiać się nie zdragał. Wiek w nim, jak u wielu innych ludzi, tem się znamionował, iż go wielomówniejszym uczynił.

Rad słuchał, rad rozprawiał, a często i do zbytku rzeczy na wszystkie strony obracał, nie będąc skorym do czynu. Puszczał się w długie wywody, a że go słuchano chętnie, mówić lubił. Miano go też za wymownego, ludzie mu się dziwili i on sam wiedział o tem dobrze.

Obiad zwykle rozmową się przeciągał, a wojewoda, choć nie pijał wiele, że jadł dosyć i pragnienie miewał, cienkiego piwa po jedzeniu zażywał dużo. Nie zamacało mu to głowy, a czasu zabierało wiele. Po dziękczynnej modlitwie kto chciał, wstawał i szedł, inni, otaczając wojewodę, z nim dosiadywali i godzin kilka u stołu trawili.

Była to godzina też, w której po obiedzie stary Beńko psy pozostałemi kośćmi i ułamkami chleba zwykł był karmić. Wpuszczano je do izby; — obsiadały stół i ławy, a Beńko głaskał je, gadał do nich i różne historie myśliwskie opowiadać lubił.

Trafiało się, że ktoś ze wsi nadjechał, lub nadszedł z miasta, siadał więc też za stół, częstowano go miodem i nierychło się wojewoda z siedzenia ruszył.

Byli jakie sprawy do załatwienia w cztery oczy, naówczas szedł do swej komory; — nie, zostawał w wielkiej izbie, lub przechadzał się, do stajen zaglądając, konie kładąc sobie wyprowadzić, przypatrując się młodzieży dworskiej, która do celów z łuku, z kuszy strzelała i oszczepami ciskała.

Często do wieczora i wieczery tak przetrwał w podwórcach, gdy z duchownych kto nie nadszedł, lub ze znaczniejszych ziemian nie przyjechał.

Niekiedy wyjeżdżał na łowy, do biskupa, w odwiedzinę w sąsiedztwo. Lubiał naówczas Beńko, choć bez wielkiego przepychu, występować gromadnie i nie obeszło się bez orszaku, dworu, bez towarzyszków.

Wieczorem jadano po raz wtóry, tak samo, jak rano i zasiadywano u stołów często do późna.

W święta i niedziele liczba przybywających zwiększała się jeszcze, a że gwar około siebie wojewoda lubił, rad im był bardzo.

Z różnych stron nie tylko Wielkopolski, ale z Kaliskiego, ze Śląska, z Mazowsza napływali tu ziemianie ze sprawami i bez spraw.

Do Beńka dla jego dobroci, sprawiedliwości i miłościwego obchodzenia się z ludźmi przywiązywać się łatwo było. Jedną sobie, a kto raz doń przystał, ten trwał pewnie do końca. We dworze więc jego skupiały się z różnych stron raz wraz przynoszone wieści. Wiedział Beńko, co się gdzie działo, i choć do wypatrywania cudzych czynności osobnych ludzi nie trzymał, przyjaciele mu nowin wszystkich dostarczali.

Od czasu, gdy z Borkowiczem zerwał, szczególnie o nim i jego krokach wojewodzie pilno donoszono, wiedząc, że się na siostrzeńca odgrażał. Nie ruszył się krokiem Maciek, by Beńko nie został uwiadomiony. Co czynił, co mówił, z czem się wygadał nieostrożnie, natychmiast się odbiło we dworze wojewody.

Sama jejmość, która zawsze jeszcze słabość pewną zachowała dla siostrzana, często, choć nieśmiało, bronić się go starała, ale to wcale nie pomagało. Wojewoda miał już to przekonanie, na pewnych oparte dowodach, iż Maciek zamierzał zdradę. Czekał tylko nierozważnego kroku, aby przeciw niemu wystąpić.

— Patrzyć nie będę, — mówił — aż mi rozkaz dadzą z Krakowa. Byle poszłak pewny, pochwycić go każę i zamknę... Nicch się sprawa wytoczy.

Miał swoich zauszników Borkowicz, a ci mu też zaraz donosili, co wojewoda mówił i co zamierzał.

Maciek zły był, ale śmiał się pogardliwie.

— Nim stary zbierze się na mnie, ja sobie z nim dam rady. Trzy dni potrzebuje gadać, nim za kord chwyci, a ja milczkiem go wezmę...

Na wesele królewskie Beńko, choć i chciał, i powinien był jechać do Krakowa, nie mógł. Prawa noga, którą miał niedgdyś zranioną, jątrzyć się na nowo zaczęła, blizny pootwierały i leczyć się musiał. Okładano mu je i goić się zaczynały znowu, lecz na koń sięść było trudno, a na wozie jeździć nie lubiał wojewoda, powiadając, że tylko babom z dziećmi to przystało i siano niemi wozić godziło się.

Został więc w Poznaniu, a gdy powracać zaczęli ci, co na gody jeździli, przynoszono mu codzień prawie opowiadania szczegółowe o tem, co i jak się działo.

Szczególniej ciekawym był Beńko, co tam porabiać będzie Maciek, który na przekorę mu jechał i umyślnie starał się wszystkich oczy obrócić na siebie.

Zuchwalstwo to, gdy zdrada, jaką knuł, dla Beńka oczywistą się zdawała, oburzało go i podniecało. Sam brzydząc się fałszem, znieść tego nie mógł, iż siostrzan króla oszukiwać się starał. Wiedział o jego dawnych z księżniczką Jadwigą, a terażniejszą królową, stosunkach, więc i to budziło w nim niepokój, a podniecało ciekawość.

Jednym z pierwszych, którzy powrócili z długiego wesela, był Wierzbięta, a z tym wojewoda dawną trzymał przy-

jażn i był go pewnym. Wnet też posłał do niego z prośbą, aby kalekę, jak się wyrażał, nawiedził.

Przybył Wierzbięta, który na dworze pańskim miał stosunki, oko bystre i słuch czujny: wiele się od niego spodziewał dowiedzieć wojewoda. Zamknęli się we dwu w komorze, bo pan domu jeszcze nogę musiał trzymać wyciągniętą na ławie.

Wierzbięta, który do czasu starał się bronić Maćka i nie dowierzał, by miał być tak niebezpiecznym, wracał z Krakowa zakłopotany i niespokojny.

Nie tał się z tem przed Beńkiem, iż i on teraz w podejrzeniu miał go, z powodu obojścia się na weselu, różnych nieostrożnych jego wygadywań i zabiegów, jakie czynić miał dla odnowienia bliskich z królową stosunków.

Skąd o tem Wierzbięta był uwiadomiony, nie mówił, ale zaręczał, iż Borkowicz czasu wesela nie stracił dnia jednego i bardzo podejrzane przedsiębrał kroki.

Wojewoda uwierzył święcie doniesieniu.

— Łotr ten na wszystko gotów! — zawołał. — Pilne okonań mieć potrzeba... Wsłiznie się, gdy będzie mógł, jak żmija i do komnat królewskich i do łóżnicy, byle na tem co zyskał.

Zafrasował się Beńko tem więcej wieścią tą, iż Wierzbięta mu wyznał, że ona tajemnicą była dla wszystkich, a on sam tylko wypadkiem osobliwym wpadł na tropy.

Natychmiast z rozmowy tej wojewoda wyciągnął wniosek, do którego dawno szukał tylko powodu, że Maćka należało wziąć i sprawę mu o zdradę wytoczyć.

Stosunków jego z Brandenburgami dowody były niezbite. Zbliżania się do młodej królowej, zdaniem jego, nie należało dopuścić i co rychlej mu zapobiec.

Wierzbięta nie radził pośpiechu, ale był za pilnym nadzorem. Poczęli tedy rozprawiać o tem.

Beńko, mówiąc o siostrzeńcu, rozgorączkowanywał się straszliwie i stał przy swoim.

— Gotówem na moją szyję wziąć tę sprawę — zawołał. — Przekonanie mam, dowody dla mnie starczą, że ten warchoł licha nam nawarzy; poco czekać? Zobaczycie, że gdy go wezmę i zamknę, ludzie, co się go dziś boją i milczą, ockną się i dopiero opowiedzą, co knuł, aby się ocalili sami.

Mówiąc to, wojewoda w piersi się bił i miotał, aż chorą nogę uraził i z bólu syknął.

Wierzbęta, widząc, że go nie potrafi ułagodzić, a nawet zwlec postanowienia, nie sprzeciwiał się już, wolę mu zostawując, dodał tylko:

— Chociażbyście niezmiennie postanowili z Borkowiczem w ten sposób skończyć, nie przyjdzie to łatwo... Człek przebiegły, ostrożny, otoczony zawsze zuchwałymi, jak sam, wziąć się tak gołą ręką nie da; potrzeba więc dobrze pomyśleć, aby zamiast ująć i zabezpieczyć się, nie pchnąć go do szaleństwa, gdy się dowie, że na niego już czyhają.

Wojewoda wszystkich tych przestroż słuchać nie chciał; trwał przy swoim.

— Jeżeli dłużej swobodnie chodzić będzie, a ubezpieczy się, kto wie, co czynić gotów! — wołał zasapany i gniewny. — Wszystkoby było niczem, ale powiadacie, że na królowę go dzi; gotów naszemu panu srom jaki uczynić. Śmiałość jest, kłamca jest i nie poszanuje niczego.

— Zresztą, miły mój! — dodał Beńko — biorąc go, widzi mi się, łaskę mu uczynię: łeb może ocale. Inaczej popełniłby w zaciętości takiego coś, za co na gardle karać przyjdzie...

— Wojewodo kochany! — odparł Wierzbęta — czyń jako chcesz; masz doświadczenie, masz moc, ale, na miłego Boga, ostrożnie potrzeba, bo ten człek i szpiegów swych wszędzie ma... i, uchowaj Boże, wiatr go o tem zawczasu doleci, to się bez krwi rozlewu nie obejdzie.

I to nie potrafiło ostudzić Beńka, który, łamiąc ręce, powtarzał:

— O królowę i króla idzie; daj mu czas, — nie uśmierzy się, nie upamięta, ale gotów niepokoju w całym kraju przy czynić, aby w mętnej wodzie ryby łapał...

Rozprawiali jeszcze dość długo, lecz Beńko nie ustąpił... Wierzbęta odszedł, umiarkowanie doradzając i ostrożność.

Pozostawszy sam, stary wojewoda nie uspokoił się rychło; pilno mu było, co raz postanowił dokonać.

Jak wszyscy podżyli ludzie, którzy już sami przez się niewiele mogą, a umysłem są czynni, Beńko miał od lat kilku prawą rękę w Rusinie, którego niegdy w Krakowie spotkawszy, do usług swych przyjął, i wypróbował, co raz go więcej miłował, coraz mu ufał i zawierzał śmieiej.

Imię mu było Panas, z czego po polsku Panoszę zrobiono i zwano go tem imieniem. Bojarzyn to miał być znaczny z tego kraju, który król Kaźmirz zawojował i do korony przyłączył; krwawa jakaś przygoda zmusiła go schronić się

do Polski, a tu wojewoda z królewskiego dworu go sobie namówił.

Człek był bardzo postawny, rozrosły, siłacz, jak mało, ponurego wejrzenia i twarzy, zimny napozór i milczący, już dlatego, że nieczysto mówił po polsku, już że wogóle wolał coś czynić, niż słowami rzucać próżnemi.

Nabożny był wielce i pół roku prawie pościł albo na oleju, lub z suchotami; wesółych towarzystw unikał, zamknięty w izbie swej siedział, lecz do dozoru i do spełniania rozkazów nie było nad niego. Nigdy nie odpowiedział na dane polecenie uwagą żadną, nie składał się ani trudnością, ni niepodobieństwem, starał się dobrze wyrozumieć, czego od niego chciano — a potem, choćby swoje i ludzi z nim będących życie przyszło ważyć, nie patrzył.

— Takie przykazanie — mówił krótko.

Wojewoda mu znaczne soltystwo wyrobił, obdarzał go i obchodził się z nim dobrze, — a Panosza kochał go i w ogień a w wodę był gotów na skinienie.

To też zazdrościli wszyscy ulubieńcowi, a nikt z nim o lepsze iść nie mógł. Człek był żelazny, na głód i chłód niepamiętny, śmiały do zapamiętałości — a na oko niby bryła jakaś bezładna, niepozorny i nieobrotny.

Śmiali się z niego popsuci dworacy, ale zdala i pocichu, bo Panoszy zaczepić się nikt nie ważył i dla wojewody i dla niego samego.

Nie skarżył się on nigdy, sam sobie sprawiedliwość wymierzał — ale okrutną; kilku już kalectwa nabawił.

Z Panoszą rozmowa wojewody dziwną bywała. Stawał on zawołany u drzwi, czasem ręce na piersi skrzyżowawszy, pokłonił się i czekał. Wojewoda mówił, on głową tylko dawał znaki, że słuchał. Gdy niedobrze wyrozumiał, prosił ojca (bo tak zwykł był zwać wojewodę), aby mu rzecz raz jeszcze zwolna powtórzył.

Gdy powiedział pojmuje, a potrząsł łbem, już Beńko mógł być spokojnym, że, co polecił, spełni.

Kilka razy używany był Panosza do rozwiadywania się o Maćka Borkowicza obrotach, — był więc wtajemniczony we wszystko i miał go już z własnej woli na oku. Oko zaś to, jak się zdawało, umiało szukać i widzieć, tak bystre było i przenikające...

W sobie cały zamknięty człowiek ten, który z nikim się nigdy nie rozgadywał, — co mu do duszy wpadło, umiał rozsnuć na najcieńsze pasemka.

Łatwo mu się było wcisnąć wszędzie, bo niepozorną miał prostego chłopą powierzchowność i odziewał się zprosta; nikt go o przebiegłość nie posądzał, a twarzą się nigdy nie zdradził.

Wojewoda go używał wszędzie, gdzie tylko zaufanego potrzeba było człowieka. Dawał mu pulki wodzić, bo w ryckiej sprawie był biegły, niekiedy mu zwierzchność zalecał nad dworem, to go posyłał gdzie było potrzeba, nawet i do majątności swoich, gdy ład było potrzeba zaprowadzić.

Wiedziano we dworze, że gdy Panoszę wojewoda do siebie wołał, a z nim się zamknął, pewno się już coś ważnego przygotowywało.

Zaledwie Wierzbęta odjechał, gdy niecierpliwy starzec posłał po ulubieńca.

Był on podtenczas nadzorcą nad dworem i wiele do czynienia nie miał, bo samym postrachem ład utrzymywał.

Stawił się natychmiast w swej długiej sukni i kołpaku, które nawykł był nosić, gdy mu na konia siadać nie było potrzeba. Odziany w tę zwierzchnią opończę, pod którą miał krótszy podpasany kaftan, w wysokiej czapce istnym się wydawał olbrzymem.

Swoim zwyczajem w progu stanął, zgiął się, rękę aż do ziemi wyciągnął z pozdrowieniem — i czekał pańskiego słowa.

Kazał mu się przybliżyć wojewoda.

— Sprawę mam ważną, którą ci chcę polecić — rzekł. — Pośpiechu nie wymagam, rozważyć musisz wprzódę dobrze, jak począć, aby chyby nie było... Daję ci czas, rozpatrzysz się: a no i bardzo z tem przeciągać nie można.

Panosza głową dał znak, że rozumie.

— Z Borkowiczem nam raz skończyć potrzeba — mówił Beńko, głos zniżając. — Żywa dusza o tem wiedzieć nie powinna.

Powtórnie głowa Panoszy się schyliła.

— Musimy go ująć — dokończył, patrząc mu w oczy, Beńko.

Panosza stał nieruchomy.

— Nabroił on już dosyć — ciągnął po chwili. — To, co wiemy, starczy, aby go karać, a o czem nie wiemy, tego więcej jest jeszcze. Postanowiłem go do więzienia dać... a reszta to już moja sprawa.

Panosza słuchał z uwagą wielką, zadumany. Trochę za-

niepokojony tem wojewoda, nie widząc żadnego znaku, — poczekawszy chwilę, mówił dalej:

— Ja to wiem, że sprawa z nim niełatwa.

Ulubieniec potwierdził głową.

— Ale od czegoż rozum? — rzekł, uśmiechając się. — Człek możny, koło niego tałajstwa różnego dosyć, zbóje wszyscy, jego nie wyjmując, ale dla Panoszy wszystko to lekkie, byle chciał, będzie wiedział, jak go osaczyć i napędzić do jamy.

Panosza nie dał na to żadnego znaku; zmarszczył się trochę wojewoda.

— Gadaż bo, — odezwał — cóż ty myślisz?...

Ruszył ramionami spytany i nierychło bąknął:

— Co trzeba... to trzeba, a sprawa...

Nie dokończywszy, głową poczał rzucać i oczy w podłogę wlepił.

Nastąpiła chwila milczenia.

Panosza zdawał się szukać w sobie tego, co mu czynić wypadało.

— Ojcie, — rzekł po namyśle krótko — dajcie mi się rozwiedzieć. Hm?

— Idź, jedź, bierz kogo chcesz, — odparł wojewoda — a powracaj mi prędko z językiem...

Posłyszawszy to, sługa pokłonił się, mruknął: — Pojmuję! — i odszedł.

Wojewoda, zwierzywszy mu sprawę, trochę się uspokoił. Wieczorem, choć noga dolegała, dawszy ją sobie obwiązać, o kiju wyszedł do jadalni, bo mu się w komnacie ciasnej i bez ludzi nudziło.

Strzegł się wydać słówkiem z tem, co go zajmowało, ale dwór już wiedział, że Panoszę u siebie miał i różnie odgadywano.

Beńko wesołość udawał, choć jej nie miał. Usta się śmiały, czoło było zasępione.

Po wieczery żona mu rękę podała, odprowadzając do sypialni. Tu znowu nogę opatrywano, baba przysła z ziołami, kurzono ją i wojewoda, położywszy się, żonie przy łóżku miejsce wskazał, aby posiedziała przy nim, póki by go sen nie wziął.

Przed nią, chociaż dobrze wiedział, że Borkowicza lubiła i broniła, jak w innych sprawach, tak i z tą tać się nie myślał.

Rozpoczął jej pocichu opowiadać, co od Wierzbiety słyszał — i co wskutek tego postanowił.

Drgnęła pani-wojewodzina (imię jej było Marussa, z Marji zamłodu przerobione) i nie dając po sobie znać, jak ją to obeszło, ciekawie słuchała.

Beńko, który milczeć postanowił i powinien był, rozgadał się i zwierzył jejmości wszystko. Nie śmiała mu się sprzeciwić, chociaż złożone jej ręce zacisnęły się z bólu i strachu.

Siostrzan nie przestał jej być miłym, swoich dzieci nie miała, kochała go jak własnego syna. Wszystko, co dokażywał i broił, tłumaczyła sobie to potwarzą, to ludzką słabością, to krwią gorącą.

Przekonana, że męża, którego zmiękczyć nieraz już usiłowała, nie rozbroi, nie otwierała ust, lecz dwie lzy milczące z pod powiek jej się stoczyły.

W stosunku z księżniczką Jadwigą widziała staruszka miłość, i serce jej miało tem większe politowanie nad siostrzanem...

Gdy wojewoda, ugadawszy się i mocno ożywiwszy, dokończył, wojewodzina szepnęła słów kilka nieśmiałych, prosząc o miłosierdzie dla Maćka, i, aby ukryć poruszenie, zabrała się do wyjścia. Wojewoda odchodzącej rzucił jeszcze to samo, co mówił Wierzbiecie.

— Dziękować mi bestja ta powinna, gdy go ująć każę, bo mu łeb ocalę i nie dam popełnić, za coby gardłem musiał zapłacić.

Rozstali się tak, a wojewodzina, do swej komnaty odszedłszy, rzewnie płakać poczęła, długo się nie mogąc ukoić. Walczyła z sobą, nie wiedząc, co czynić ma, lecz serce dyktowało, iż Maćka bronić powinna dla pamięci siostry. A miała to przekonanie, iż winy tak wielkiej na nim nie było, że go nieprzyjaciele ogadywali.

Uklękła się modlić wojewodzina, a na modlitwie zdało jej się, że powinna była nieszczęśliwego, choćby obłąkanego, ratować.

Jak? nie wiedziała.

Noc upłynęła we łzach i niepewności. Nazajutrz po mszy, ulubiony jej doradca wierny, kapelan, którego Michnem zwano, powołany został do rady.

Księżyna był pobożny, pokorny i niedaleko widzący; wojewodzina, nie przyznając mu się, o kogo jej szło, nie zwierżając wcale, poddała mu tylko pytanie — coby w takim wypadku czynić wypadało?

Wypadek zaś opisała tak ogólnemi wyrazami, iż Michno tyle tylko mógł odgadnąć, że człowiekowi dać trzeba było czas do skruchy, opamiętania się i pokuty. Jako duchowny, nie mógł innej rady dać, tylko wedle prawa ewangelicznego.

Głosował żarliwie za ocaleniem człowieka.

Serce wojewodziny dawno toż samo mówiło, obawiała się tylko męża zdradzić. Lecz można było nazywać to zdradą?

Postanowiwszy ratować Maćka, po odejściu kapelana, wojewodzina zaczęła nad środkami przemyślać, jakby ostrzec siostrzana, a nie ściągnąć na siebie gniewu męża.

Stosunki z Borkowiczem były zerwane, zakaz najsurowszy wzbraniał jej i wszystkim, do dworu należącym, zbliżać się do niego. Nie mogła więc Marussa tak łatwo wymyśleć sposobu oznajmienia Borkowiczowi, aby głowy swej i osoby strzegł pilno. Zwierzyć się nie chciała nikomu. Sama go szukać nie mogła, a i znaleźć nie było łatwo, bo Maciek nigdy długo na jednym miejscu nie postał.

Dzień upłynął na rozmyślaniach.

Listów posyłać owego czasu nie było zwyczaju. Obawiano się zdrady pisma, niewiasty wcale pisać nie umiały, potrzebowała więc wojewodzina pośrednika, a tego się lękała.

Pozostawało jedno — zwierzenie się komuś zaufanemu, któryby do Borkowicza pojechał z przestrogą. Na takim człowieku właśnie wojewodzinie zbywało. Dwór cały przywiązany był do niej i do posług gotowy — ale wojewody obawiali się wszyscy...

W niepewności tej wojewodzina uciec się musiała do biskupa, o którym wiedziała, że mąż był chrześcijańskiego ducha, nieskory do potępiania i miłosierny.

W chwili, gdy Panosza z Poznania wyjeżdżał w małym poczcie pocichu... inną drogą przesłana przestroga... gonila za Maćkiem po dworach, które objeżdżał.

Maciek Borkowicz po powrocie z Krakowa, nagradzając sobie czas stracony, nie pojechał ani do Koźmina, ani do żadnego ze swych licznych dworów, w których zwykł był obozować. Od granicy Wielkopolski gromadząc koło siebie przyjaciół, rozpoczął wędrówkę od komina do komina, biesiadując ze swoimi, rozповідаjąc szydersko o królewskim weselu, o przyszłych nadziejach, sposobiąc się do wypowiedzenia posłuszeństwa wraz z rycerstwem, które sobie jednał.

W ten sposób dojechał do brata do Czacza, u którego był jak w domu i tu niemal wiec się do niego zbiegł, aby z ust wodza usłyszeć, co czynić dalej i jakie on miał nadzieje.

Maciek Borkowicz nie wszystkim się może spowiadał otwarcie, ale w ciśniejszem kółku nie tał się z tem, że stanowcza chwila wkrótce nadejść mogła. Dodawał, przechwalając się, że z królową dawne stosunki odnowił i że będzie u niej w łaskach, spodziewa się króla zniewieściałego uwodzić do ostatka, tak, że on w zdradę jego wierzyć nie będzie, aż gdy już zapobiec jej okaże się za późno.

Zausznicy Borkowicza nie robili z tych zwierzeń tajemnicy przed drugimi. Wieści uwłaczające czci młodej królowej rozchodziły się po kraju, a zrzęcnosć Maćka, który zuchwałstwem swoim oczy zaproszał, podnosiła jego znaczenie.

Nie wątpiono, że pod takim wodzem uda się Wielkopolanom oderwać i swobody dawne odzyskać...

Borkowicz, jak wszyscy tego rodzaju ludzie, wazący się na wywrót i zaburzenie, aby z nich korzystali — więcej mówił i obiecywał, niż sam trzymał o tem, co czynił, sądząc, że kłamstwem podniesie w swoich męstwo i ochotę do buntu.

Zaręczał im, że umowę miał z Brandenburgami, że ślascy książęta mu pomoc przyrzekli, że krzyżacy popierać go będą. Ponieważ wiodło mu się dotąd szczęśliwie, nikt o prawdzie słów jego nie wątpił.

W Czaczu nietylko dwór dosyć liche był pełen, ale podwórze i szopy. Ziemianie ciekawi, nieustannie przyjeżdżali się dowiadywać i mieniali. Borkowicz coraz głośnie i śmielej przemawiał.

Trwało to już dni kilka, gdy jednego wieczora proboszcz miejscowy, człek spokojny, który się rzadko we dworze ukazywał, przyszedł pieszo w godzinie niezwyklej.

Ksiądz był onieśmielony i znając obu Borkowiczów, stosunków z nimi unikał. Krzywdzono go w dziesięcinach, nie nie mówił, ani się skarżył, dla świętego spokoju.

Zjawienie się jego we dworze i to jeszcze czasu pobytu Maćka uderzyło wszystkich. Nie mógł przyjść darmo. Brat starosty, sądząc, że szło o jaką sprawę sporną z probostwem, księdza, jako niepotrzebnego świadka chcąc się pozbyć, wyszedł przeciwko niemu, lecz na zapytanie o to, czyby miał co do niego, proboszcz cicho odpowiedział, że chciał się tylko pokłonić panu staroście.

Chociaż Maćiek z duchownymi nie żył w wielkiej druž-

bie, wszystkich sobie chcąc jednać, nie pogardził i proboszczem.

Ściągnął go do siebie na ławę, na której wyciągnięty leżał, kubek mu podać kazał i począł od żartów ze starego, do których oklepane potwarze, na stan duchowny rzucane, za watek służyły.

Stary ksiądz zbył go milczeniem, znosząc je cierpliwie. Osób było w izbie nadto, aby się wdawać przy nich w poufalszą rozmowę.

— Panie starosto, — rzekł zcicha — przychodzę do was nie w mojej sprawie, ale w waszej własnej, nie po mej woli, ale z wyższego rozkazania... przejdźmy do komory osobnej, tak, aby tego nie spostrzeżono.

Borkowicz zdumiał się wielce. Spojrzał na ubogo odzianego klechę pogardliwie, pomyślał trochę i rzekł, wstając:

— Idźcie za mną, kiedy zechcecie... ciekawym, co mi powiedzieć możecie... Znajdziecie mnie obok...

Proboszcz, chwilkę zabawiwszy w wielkiej izbie, nieznacznie za Borkowiczem się wysunął.

Czekał on nań w ciasnej izdebce, która wysłanemi na podłodze łóżami gości była zapelnioną. Na jednym z nich, ręce pod głowę założywszy, leżał starosta.

Dał znak księdzu, aby w głowach na ławie przysiadł.

— Co mi masz do powiedzenia?

Proboszcz zbierał się długo, nim odezwał. Szyderski ton starosty drażnił go.

— Mam polecenie do miłości waszej, — rzekł — bo inaczejbym mu pokoju nie mącił. Posłem jestem, a że do tego nie nawykłem, źle się może sprawię, lecz spełnię powinność.

— Mów, co masz, a w płachty nie zawijaj, — rozśmiał się Borkowicz, domyślając się, że duchowieństwo mogło życie jego jawnie rozwiązać naganiać, i sposobiąc się ostro klechę odprawić.

Wtem ksiądz mówić zaczął spokojnie, powoli i od pierwszych słów Maciek z lekceważącego i urągającego zmienił się, przybierając twarz surową i zaszępiłą.

— Posłano mnie do was, panie starosto, chociaż prawa nie mam powiedzieć, kto mi dał rozkaz i czyją spełniam w tem wolę. Pewnie dobrze wam życzyć musi i stać wysoko ten, kto wam śle przeze mnie ostrzeżenie. Nowe na was zaskarżenia poszły do majestatu... jesteście obwiniani; wojewoda, wuj wasz, zmuszony zostanie ująć was i dać do więzienia.

Borkowicz równemi nogami z łoża się zerwał.

— Mnie ująć? mnie do więzienia wtrącić? — krzyknął na cały głos. — Stary dziad oszalał chyba! On mnie!...

Ksiądz dał mu się wyburzyć.

Borkowicz zbliżył się doń, żądając wyjaśnienia natarczywie:

— Możecie ze mną począć, co się wam żywnie podoba, — odparł proboszcz spokojnie — więcej nad to, co mi polecono, nie powiem wam.

— Kto polecił? — domagał się Maciek.

Ksiądz, milcząc, głową potrząsł.

— Nie może być, aby niedołędze temu takiej się rzeczy zachciało, która jest nad jego siły! — zawołał Maciek. — Chcą mnie tylko nastraszyć, ludzi mi rozpędzić, zmusić może do głupiej ucieczki, abym to stracił, na co lat kilka pracowałem; to zdrada! to podstęp!

— Trzymajcie, jak zechcecie, — rzekł ksiądz — ja tyle wiem, co mi powiedzieć kazano, i to wam mówię. Postanowił wojewoda was uwięzić... podobno rozkazy są wydane. Macie się strzec i na baczności mieć; w malej kupce nie jeździć, a co najrychlej się oczyścić przed samym wujem i w Krakowie.

— Do tego starego gnoja nie pojedę! — zawołał Borkowicz. — Między nami rozrzezany obrus, nie siądziemy do jednego stołu, a w Krakowie dwa razy byłem, dopiero co stamtąd powracam. I tam nie pojedę... Baśnie są, strachy są próżne, a ty klecho, którego narzędziem uczyniono, gadaj mi zaraz, kto cię posłał...

I dodał gniewnie:

— Gadaj mi, chceszli być cały...

Nie uląkł się duchowny, pomilczał trochę, westchnął i odparł spokojnie:

— Choćbyście mnie ubili, mówić więcej nie mogę.

Zimna krew, z jaką to rzekł, zburzyła Borkowicza; rzucił się do drzwi, wołając brata. Ten nadbiegł natychmiast. W kilku słowach drżący z gniewu Maciek objaśnił mu, o co chodziło. Oba razem wpadli na księdza, który, z ławy powstawszy, ręce na piersi złożył i stał z głową spuszczoną, milczący.

Jaśko z Czacza był tak śmiałym, że na suknię duchowną nie zważając, chwycił go za ramię i pocałował starym, który się chwiał na nogach, potrząsać, grożąc mu.

Nic i to nie pomogło. Owszem, proboszcz, oburzony ta-

kiem obejściem się, już więcej nic mówić nie chcąc, zbył go tylko słowem:

— Nie mogę.

Obaj bracia, równie gwałtownych charakterów, poczęli wolać, kłać i na księdza napadać w sposób najzuchwalszy, szarpiąc go za suknię i chwytając za barki.

Nie pomogło to nic, a wkońcu Maciek pierwszy się pozornie opamiętał.

— Dać mu pokój! — zawołał — gdyby plechy wygolonej nie miał na łbie, postąpiłbym z nim inaczej, ale z biskupami zadzierać teraz nie chcę...

Ksiądz, który się spodziewał, że go suknia obroni, stał nieporuszony i po chwili milczenia dodał tylko:

— Chcecie słuchać przestrogi, dobrze... nie... czyńcie, jak wam lepiej. Podejrzewacie zdradę... ja się obraniać nie myślę. Żaden kapłan nie podjąłby się służyć za narzędzie...

Maciek wybuchnął znowu:

— Jeśliś nie ty zdrajca, to ten, co cię posłał... wojewoda się mnie powinien obawiać, nie ja jego... Ja się dziada, półtrupa tego nie zleknię.

— Tem dla was lepiej, jeżeli się nie boicie — odparł proboszcz, zabierając się do wyjścia.

Zaparto mu drogę. Jaśko począł teraz inaczej, bróg sia-
na i kilkanaście korcy owsa obiecując księdzu, jeśliby wydał, kto go posłał.

Proboszcz się uśmiechnął.

Borkowicz kopę groszy chciał dać na kościół — ale i to nie poskutkowało.

Robiło się późno, goście z izby pierwszej rozchodzić się zaczęli, a drudzy na ławach i ziemi do spoczynku układać; niesposób było proboszcza gwałtem dłużej trzymać, a dwaj bracia i syn Maćka pozostali, radząc, co czynić...

Borkowicz upierał się przy tem, iż oznajmienie było podstępem dla onieśmienia go.

Jaśko wpadł na myśl inną.

— Wojewoda gniewny na ciebie — rzekł — a zaufany w siebie. Siły twej nie zna, ślepym był zawsze, dziś do reszty rozum stracił. Kto go wie? mógł pomyśleć o tem, czego nie dokaże, a Marussa, ulitowawszy się, ostrzec kała.

Zamyślił się Borkowicz.

Trafne przypuszczenie brata zachwiało jego przekonanie.

Ponieważ ludzi sobie oddanych miał w Poznaniu, a na-

wet na dworze Beńka, tej samej nocy wyprawił dwóch zaufanych ziemian po język do miasta...

We dworze, pomimo że Borkowicz zaklinał się, iż nikt go obawiać się nie ma przyczyny, Jaśko środki ostrożności nakazał. Postawiono strażę, wysłano ludzi, aby zbrojnych więcej zgromadzić.

Nie przyznawano się do obawy, aby popłochu nie siać między ziemianami, lecz przestroga w las nie poszła. Udawano przed przybywającymi dawną śmiałość, — oglądano się jednak bacznie.

Borkowicz, który miał już do Koźmina jechać, bo tam mu dogodniej było, zatrzymał się w Czaczu, ażby z Poznania nadeszły wiadomości.

Nie wątpiono, że wysłane szpiegi przyniosą jakąś skazówkę.

Dwa dni upłynęło, nim jeden z nich powrócił. Nie dowiedział się on nic więcej nad to, że wojewoda zaufanego swego Panoszę gdzieś tajemniczo wysłał... Budziło to podejrzenie i — wiadomość, że Beńko ściągął zbrojnych co najlepszych do siebie.

Borkowicz sposepniał.

Drugi poseł przybiegł z potwierdzeniem nowin tych i drobnymi różnemi ze dworu wojewody plotkami, które dowodziły, że się tam do jakiegoś kroku stanowczego gotowano, że Beńko często i potajemnie się zamykał z Wierzbietą i t. p.

Przestroga więc proboszcza, który się już więcej nie pokazał i wyprawiony doń przez Jaśka posłom drzwi zamknął, zaczynała nabierać innego znaczenia.

Maciek przychylił się na stronę brata. Nim wyruszył do Koźmina, kazał swoim koniecznie dośledzić, dokąd posłano Panoszę, bo go się obawiał.

Nielatwo było drogę jego wytropić. Upłynął tydzień, a o Panoszy nikt języka dostać nie mógł, co Borkowicza do wściekłości na sługi pobudziło.

Groził im chłostą i więzieniem, bo nie pytając, czy który ziemianinem był i do szczytu należał, czy prostym człekiem, tych, co mu służyli, jak niewolników karał, nawet na gardle. Za głowę gotów był zawsze płacić grzywny, a poszanować nikogo nie umiał.

Już się Borkowicz wybierał nareszcie z licznym pocztem zbrojnym do Koźmina, gdy jeden z tych ludzi, na których najmniej rachował, głupi Dyś (bo go tak zwano) dał znać,

że Panosza do poznania trudny, w prostej siermiedze, niedaleko Czacza, od tygodnia w gospodzie na gościńcu mieszkał i z niej jakieś czynił wycieczki, a zdawało się nawet, że i do Czacza samego mógł dotrzeć.

Wiadomość ta wieczorem nadeszła do dworu, a przed północą Maciek sam, Jaśko i kilkudziesięciu ludzi ruszyli gospodę otoczyć.

Borkowicz ledwie z niecierpliwością konia na podsieniu doczekał, tak mu pilno było... Rwał się i kłął, miecza targając i wołając:

— Żeby mi nie uszedł Rusin, bo wam lby porozkwaszam...

Gospoda na gościńcu pod lasem stała w miejscu, kędy przejazd był znaczny do Poznania. Krzyżowały się tu dwie wielkie drogi. Ludzi w niej zawsze, szczególnie pod noc, gromady były, ale tych przejezdnych wcale się nie obawiali Borkowicze...

Ogień już ugaszony był w izbie i wszystko w niej spać się zdawało, gdy obstawiony ludźmi swymi szopy, Borkowicz kazał się do wrót głównych dobijać.

Wozów stało w gospodzie i pod nią dosyć, a że rozboje i napaści, szczególnie na kupców, pod te czasy częste bywały — zerwali się wszyscy podróżni, sposobiąc do obrony.

Borkowicz kazał przygotowane pochodnie smołne zażec, nikogo nie wypuszczać, i gospodę a szopy trząść pilno.

Pierwszy, który wpadł w ręce Borkowicza gawiedzi, był kupiec, rodem Niemiec, zwany też Niemczyn, który miał swoją ławę w Krakowie na Sukiennicach, a po kraju rozwził towary różne.

Obyczaj ten mieli Maćka słudzy i on sam, że dobrego obłowu z rąk nie puszczali nigdy. Niemczyn ukazywał list pod pieczęcią, że mu jeździć i kupczyć wolno było, ale ten zdarto i nogami zdeptano, wozy rozdrapano w mgnieniu oka i ledwie on sam z życiem się wyprosił, pozostawszy przy jednym biczysku, bo i konie dobre a zażywne pochwycono mu...

Inni podróżni, którzy Borkowicza znali z rozgłosu, wykupywali się...

Panoszy nie znaleziono, chociaż gospodę całą trzęśli wprawni do tego ciury Borkowicza, niebardzo zważając, iż ją zapalonemi luczywami i pochodniami w perzynę obrócić mogli.

Już odciągać mieli, gdy jeden z Borkowicza zbójów na wyżki wlaźł i tam się oko w oko z Panoszą spotkał, który

go mieczem tak ciał, iż trupem padł. Padając, krzyknął; rzu-
cili się tedy i inni i Rusina chwyciwszy, choć ich szpetnie
porąbał, ścignęli z wyżek, a tu jedno Zdrowaś nie trwało,
gdy dwaj Borkowicze śmierć mu sami zadali.

Panosza, słowa z ust nie puściwszy, bronił się jak lew,
ranił Jaska, dwa razy we zbroję uderzył Maćka, lecz naostat-
tek w szyję śmiertelnie ugodzony — poległ.

Trupa obejrzano przy pochodniach, odzierając go do
naga; wątpliwości nie ulegało, iż ten był, którego szukali.

Borkowicz uradował się niezmiernie; z gospody ludziom,
co było napitku, wytoczyć kazał, a sam z bratem do Czacza
powrócił.

Znalezienie ukrytego Panoszy za dowód służyło niezbity,
iż wojewoda istotnie coś zamierzał, a przestroga zdradą
i podstępem nie była.

Gdy nadedniem do dworu zjechali, wołając o dobrze za-
służone jadlo i napój — bo Maciek żarłoczny był i pił wiele,
pierwsze słowo, które mu się za stołem wyrwało, było:

— Niechże pan wojewoda na siebie baczysz a z nory nie
wylazisz, bo nim on mnie będzie w dybach miał, trupem go
położę na postrach drugim. Tak mi Panie Boże dopomóż!

Nie wahał się Pana Boga wzywać na pomoc, bo choć
krew przelewał i ludzkim życiem szafował, po swojemu
jednak modlił się i na kościoły dawał za grzechy...

— Ja z tego tajemnicy czynić nie myślę, — dodał —
owszem, głosić będę i wołać choćby z dachu, że wojewoda
mi nie ujdzie! Chciał on mnie do więzienia dać, ja go do ta-
kiego zamknę, z którego nie wyjdzie, aż na sąd ostateczny...
Kto mi wojnę wypowiada, choćby mi nie wujem, a ojcem
rodzonym był, temu gębę na wieki stulę.

Mówiąc to, walił pięścią w stół Maciek aż się na nim
naczynie wszystko trzęsło i brzęczało, a potem zamilkł i pił.

Brat ani syn nie bronili Beńka: wiedzieli, że z nim roz-
prawiać, odwozić go, chcieć upamiętać — daremnem było.

W Poznaniu tymczasem wojewoda, zaufany w Panoszy
rozum i zręczność, czekał niecierpliwie na powrót jego.

Przeciągał się on; Beńko codzień rano zapytywał, czy nie
wrócił, a wieści o nim żadnej nie miał, aż nagle ktoś przy-
niósł gadkę o najeździe na gospodę, o ograbieniu Niemczy-
na, który pieszo się przywlokł do Poznania, i o prawdopo-
dobnem zabójstwie Panoszy.

Beńko wierzyć temu nie chciał.

Posłał Wrocisza, drugiego swego ulubieńca, na miejsce.

Ten, przybywszy do gospody, naprzód usłyszał o napadzie, potem o zabiciu czleka, którego już pochowano pod lasem w mogile, gałęźmi narzuconej.

Nie było innego sposobu przekonania się, czyli w istocie Panosza zabity był, jak mogiłę rozkopać. Choćby ciało porabane było i zepsute, Wrocisz mógł poznać zamordowanego po tem, że kąpiąc się z nim, u lewej nogi widział sześć palców.

Jakoż w mogile, gdy posieczonego do niepoznania odkryto, Wrocisz nogę lewą znalazł nietkniętą. Nie ulegało wątpliwości, iż on był, a nie kto inny.

Ze smutną tą wiadomością powrócił do wojewody, któremu, znając jego przywiązanie do Panoszy, ostrożnie i nierychło opowiedziano o wszystkim.

Stary Beńko zaczął od tego, że się po wiernym słudze rozplakał, ale natychmiast, ochłonawszy z żalu, poprzysiągł, że go pomści.

Z wielką gorącością zaczęto się z rozkazu jego sposobić do oblawy na Borkowicza. Wojewoda, którego noga się zabiłnła, nikomu dowództwa jej powierzyć nie chciał, ale sam z ludźmi postanowił jechać. A że tajemnicy nie czynił z tego przed żoną, przestraszona o męża Marussa na klęczkach go prosić zaczęła, aby się wstrzymał od tego kroku, w jego wieku już niebezpiecznego.

Wojewoda mówić sobie o tem nie dawał, troskliwość o siebie przypisując przywiązaniu żony do siostrzeńca. Tem usta jej zamykał.

Zaczęto się wybierać skwapliwie bardzo, lecz, choć Beńko się śpieszył, po staremu naglił, gderał, a z dnia na dzień odkładał, możeby tak, przeciągając, ochłonął z gniewu i żalu, gdyby usłużny ziemianin Zglicz, do Nałęczów się liczący, nie przybył doń z ostrzeżeniem, iż Borkowicz się na życie jego zaprzysiągł.

Zglicz ten w obu obozach bywał, pił z jednymi i drugimi, jadał u Borkowicza, ale więcej się na stronę Beńka przechylał. Napadały go różne usposobienia to dla jednego, to dla drugiego, wahał się — przecież wojewody mu więcej żal było.

Beńko, posłyszawszy to, odmłodniał z gniewu... Wysłał zaraz dowiedzieć się, gdzie się Maciek znajdował, i postanowił wprost na Koźmin ciągnąć.

Żadna siła ludzka od tego odwieść go już nie mogła.

Strwożona przedtem o siostrzana, biedna wojewodzina lękać się teraz musiała zarówno o obu, może nawet więcej o męża, który ani siłą, ani przebiegłością nie mógł się równać z Borkowiczem... Straciła głowę, płakała, modliła się, naostatek niebezpiecznie zachorowała.

Beńko, który do towarzyszki życia długiego był przywiązany, musiał wyprawę na siostrzana odłożyć, gdyż Marussa wkrótce nie lekarza, ale księdza wezwała do siebie, zgon swój przeczuwając.

Na łożu śmiertelnem ostatkiem głosu zaklinała jeszcze męża, ażeby dla pokrewieństwa do sprawy z siostrzanem się nie mieszał i zdał ją na Wierzbietę.

Stary mruczał, uspokajając ją, coś niewyraźnego, nic jednak nie przyrzekł, i co raz postanowił, to dotrzymać miał za obowiązek.

Wiedzano już o zajściu i o wzajemnych pogrózkach; ustąpienie byłoby starego o niesławę przyprowadziło.

Wojewodzina zmarła.

Beńko wyprawił pogrzeb wspaniały i stypę, zamknął się na dni kilka, oplakując ją; potem, przywoławszy kapelana i kanclerza poznańskiego, sporządził testament, majątności przekazując stryjecznym, a wieś jedną na nabożeństwo pośmiertne i msze za duszę żony i swoją wikarjuszom tumu poznańskiego. Dopelnivszy tego, na nowo się do wyprawy na Borkowicza gotować zaczął.

Czasu dosyć upłynęło, o starości słyhać było, że swoim zwyczajem po Wielkopolsce się przejeżdżał i żalów nań a skarg przybywało codziennie.

Chodziły wieści, że nieprzyjaciół dawnym zwyczajem pozbywał się, po gościńcach ich napadając, lub ludzi nasadzając, że i na dwory najeżdżał, a gwałty ciągle popelniał bezkarnie.

Nim wyprawa i oblawa na Maćka obmyślona została, wojewodzie przypadła potrzeba jechania do majątności w Kaliskiem. Wybrał się z pocztem niezbyt licznym, odłożywszy rozprawę z siostrzanem, a pogróżki jego lekceważąc. Nie wierzył w to, żeby się nań mógł porwać.

Koni miał ze sobą wojewoda ze dwadzieścia, a że sam długiej podróży dla nogi konno jeszcze odbywać nie mógł, jechał na wozie krytym.

O Borkowiczu w okolicy słyhać nawet jakoś nie było.

Podróż Beńka, zapowiedziana wcześniej, bo i z niej ta-

jemnicy nie czyniono, na kilka dni, nim wyruszył z Poznania, wszystkim była wiadomą.

Na wsiadanem przybył doń z pożegnaniem Wierzbięta, a zobaczywszy orszak mały i nieosobliwie uzbrojony, miał sobie za obowiązek przypomnieć Beńkowi, że z Borkowiczem się mógł gdzie spotkać.

Rozśmiał się ufny w swą powagę wojewoda.

— Ja go szukać teraz nie będę — rzekł — a on, ręczę wam, gdyby o mnie zasłyszał, rychlej się gdzieś skryje, niżby mnie miał zaczepić. Wie on, że ja z sobą żartów stroić nie daję!

Wierzbięta chciał mówić coś jeszcze, nie dał mu wojewoda. Rozstali się tak i Beńko w swą podróż małemi dniami wyruszył.

Pierwszego dnia nic się nie trafiło, coby zaniepokoić mogło... Zawczasu przygotowany nocleg czekał na Beńka o mil pięć od Poznania. Za dnia przybyli do wsi, w której kmięć najzamożniejszy chatę swą odstąpił staremu.

Wioska leżała na skraju lasu, a chata w oddaleniu pewnem od wioski. Beńko położył się zawczasu, aby wypocząć i nazajutrz rano w dalszą wyruszyć drogę. Czeladź jego i żołnierz nie spał jeszcze, i przy ognisku nieopodal warzono kaszę ze słoniną dla nich, gdy naraz jak burza przypadła gromada konnych, z krzykiem i wrzaskiem wprost na chatę biegnąc.

Rozbrojono orszak wojewody, a nim się porwał, aby biec po miecze i oszczepy, już Maciek Borkowicz drzwi chaty łamał i z mieczem dobytym wpadł do izby, krzycząc:

— Gdzie ten stary dziad? gdzie ten, co mnie chciał wziąć...?

Beńko, który nigdy się nie położył, żeby przy sobie tuż nie miał korda obnażonego, bo od młodych lat nawykł był do tego, z łoża się porwawszy, z młodzieńczą śmiałością stanął do obrony w pośrodku ciasnej izby...

Walka była nierówna, bo Borkowicz nietylko młodość za sobą miał, siłę, ale i uzbrojenie, gdy Beńko w jednej koszuli z pościeli się zerwał.

Poczęli się rąbać, lecz każde cięcie Maćka raniło i po każdym krew z starego tryskała, gdy miecz Beńka szczybił się próżno na żelaznej zbroi przeciwnika.

Zmuszony raz wtył się cofnąć wojewoda, ośliznął się na krwi własnej i padł nawznak na łożo, a nielitościwy Borkowicz leżącemu i bezbronnemu miecz w piersi wraził tak, iż z jednym krzykiem — Jezus! Marja! duszę wyzionął.

Ludzie wojewody w części rozproszeni, pochwylani, choć się bronić w kilku chcieli do ostatka, zobaczywszy pana zabitego, strwożeni, głowy potraciwszy, rzucili broń, uciekając.

Gawiedź Borkowicza natychmiast rozerwała, co było na wozach i koniach, trupa nawet nie poszanowawszy, odarto do naga, i Borkowicz, upojony, triumfujący, szydząc a odgrazając się, że wszystkim nieprzyjaciolom swym taki los zgotuje, odjechał zaraz do Koźmina.

Napaść i zabójstwo były tak jawne, wobec tylu świadków spełnione, iż Borkowicz, który inne swe sprawy umiał zacierać, tej wcale taić nie myślał.

Przybywszy do swoich, głośno oświadczył, iż wyzwany przez wojewodę, który się nań odgrazał śmiercią, w walce z nim, broniąc się, ubił go.

Wiedzieli wszyscy, co to w ustach Borkowicza znaczyć miało, nikt nie śmiał jednak obwiniać go, bo przez to zabójstwo silniejszym się stał jeszcze i popłoch poszedł po nieprzyjaciolach jego.

W Poznaniu strwożyli się niemało ci, co z nim nie trzymali; zdawano się obawiać, aby nie opanował miasta.

Wierzbęta, dowiedziawszy się o śmierci przyjaciela, sam po ciału jego pojechał natychmiast i gońca wysłał do Krakowa, donosząc o nieszczęściu a sprawcy nie oszczędzając.

Król Beńka kochał wielce, zdawało się więc, że miarka Borkowicza dopełniała się i że go czeka surowa kara, tem większa, iż napaść była zdradziecka na starca i na powinowatego.

Stryjeczni pozwali go o głowę przed sąd królewski.

Borkowicz zdawał się do tego przygotowany.

Godzina, w której otwarcie miał bunt podnieść, jeszcze nie wybiła; — mówił głośno, że pozwany pojedzie do Krakowa i sprawę swą sam królowi przeloży.

Wszyscy druhowie i popiecznicy jego odradzali mu podróży i zło wróżyli. Maciek z zuchwalstwem największem zaklinał się, że stanie na sąd i sprawę wygra.

Kazał wszystko gotować tak, aby poczet miał i piękny i liczny do drogi.

Jakoż wskutek gońca Wierzbęty, od króla przybył urzędnik i woźny, powołując Borkowicza na sąd do Krakowa bez zwłoki.

Z wielkiem lekceważeniem, wesoło przyjął starosta to

wezwanie, urzędnika i woźnego obdarzył, nakarmił, upoił i natychmiast dał rozkazy do podróży.

Ponieważ w napaści na wojewodę brat i syn Borkowicza widziani byli i czynni, oni też oba do odpowiedzialności pociągnięci zostali, wołano i ich.

Jaśko z Czacza stchórzył i skrył się, choć Maciek chciał go mieć z sobą. Syn byłby z nim jechał, lecz po namyśle sam mu nie pozwolił towarzyszyć sobie.

Miał jednego i wahał się na niebezpieczeństwo narazić, choć sam się go nie lękał.

Podśpiewując, świszcząc, żartując ze strwożonych, butno, weselo, pańsko wybrał się pan starosta, tak pewien swego, iż nigdy go jeszcze nie widziano śmielszym... na co rachował, przyjaciele nie pojmovali, lecz to ich na duchu podtrzymało, iż go nie odstępili.

— Maciek swojego pewien, — mówiono — nic mu nie będzie!

W Krakowie król wiadomość o zabiciu Beńka przyjął z wielkiem zrazu oburzeniem przeciwko zabójcy. Dosyć już nabroił Borkowicz, wszyscy nań powstawali, ostrzegali ze-wsząd, obwiniano go jednogłośnie... król musiał domierzyć sprawiedliwość surową.

Tak się zdawało wszystkim, którzy króla bliżej nie znali. Miał to w sobie Kaźmirz, iż do czego skłonić go chciano gwałtownie, temu się instynktowo opierał.

Wszystkie dotychczasowe zarzuty przeciw Borkowiczowi żadnemi dowodami przekonywającemi nie były poparte.

Śmiałość, męstwo i energia zdala królowi go więcej zalecały, niż mówiły przeciwko niemu. Potrzebował takich ludzi.

Nim więc przybył Borkowicz, powołany przed króla, Kaźmirz sam jego sprawę czas miał rozważyć — i, powiedział sobie, że jeśli się odważy stawić osobiście a bronić, winy na nim pewnie głównej niema, nie będzie poczuwać się do niej.

Prorokowali wszyscy, iż Maciek nie przybędzie.

Tymczasem dnia jednego, wjazd do Krakowa z pańską wspaniałością uczyniwszy, gospodę zajmwszy w rynku, Maciek, przeciw wszelkim przepowiedniom, osobiście się nie wahał w obronie swej jawić do króla.

Podziwienie było niezmierne... ludzie z początku wierzyć

temu nie chcieli. Ciekawość podbudzoną była do najwyższego stopnia.

Tegoż dnia, nie zaniehbując żadnego środka obrony, Borkowicz wieczorem udał się do Wierzynka.

Zbój i zuchwalec, gdy mu tego była potrzeba, przed ludźmi i przed królem, nie zapierając się męstwa swego, umiał okazywać w świetle rycerskiem, z butą pańską. Na wykrętnych wyrazach, gdy chciał, nie zbywało mu.

Tu w Krakowie inaczej się stawić, mówić musiał, niż w Koźminie.

Wierzynek zastał, gdy od wieczerzy wstawał i rzuciwszy nań okiem, pomiarkował z chłodnej twarzy ulubieńca królewskiego, iż niełatwo mu się przyjdzie oczyszczać.

Wierzynek zdala go pozdrawiał, nie poczynając rozmowy, a choć przy nim był jeden z rajców krakowskich, Keczer, nie zważając na świadka, Borkowicz natychmiast wprost o sobie mówić począł:

— Dziwicie się może, iż mnie tu widzicie — rzekł śmiało. — Oczernili tu Borkowicza tak, iż tylko głowę pod topór nachylić... Ha! Otóż ją przyneszę królowi pod stopy, niech czyni, co chce...

Wierzynek słuchał i milczał.

— O co tam więcej mnie obwiniać będą, nie dbam, a o zabójstwo Beńka sam się skarżę. Tak jest! zabiłem go; tak, bo mnie pokrzywdził, czyniąc przeciwko panu zdrajcą, bo się on na mnie odgrażał więzieniem i gardłem... Musiałem za potwarz zemsty szukać...

Keczer, nie chcąc słuchać, wysunął się; zostali sami z Wierzyńkiem.

— Król bardzo na mnie zagniewany? — zapytał Borkowicz.

— W sprawie waszej jam z miłością jego nie mówił — odparł Wierzynek.

— Choćbyście nie mówili, — dolożył Borkowicz — wy wiecie wszystko, boście króla najbliżsi. Jak myślicie, czy mi stać będą na gardło?

Mówił to z taką obojętnością, jakby się wcale śmierci nie obawiał. Wierzynek, pópatrzywszy nań, ruszył ramiony.

— Nie pytajcie mnie, — rzekł — bom ja niewiele świadom. Gdyby szło o żupy, o kopy, o pieniądze, o skarb, domyśliłbym się, co was czeka... krwawe sprawy nie moje...

W tem się tylko nie mylicie, — dodał — iż na was oskarżeń jest różnych wiele... alem nie słyszał od króla nic, z cze-

goby o wyroku jego można wróżyć. Pan nasz cierpliwy jest i rozumny.

Napróżno Borkowicz zagadywał różnie, chcąc go wyrozumieć; nie dobył nic z rozumnego Wierzyńka i poszedł z niczem, innemi drogami szukać języka, jednać sobie przyjaciół i popleczników.

Wierzynek tegoż wieczora był na zamku. Miał on przystęp do króla, jakiego nikomu nie dawano, wchodził w każdej godzinie, mówił z nim, kiedy chciał.

Każmirza znalazł już uwiadomionym o przybyciu Borkowicza i uprzedzonym dlań lepiej tem, że w sprawiedliwości króla zaufanie miał.

Spytany Wierzynek, powtórzył Każmirzowi, co z ust jego słyszał; — król słuchał milczący.

Po Wierzyńku nadszedł Kochan i zagadnął o Borkowicza, którego niecierpiał, występując zajadle przeciwko niemu.

Większej mu przysługi nie mógł uczynić.

Zmarszczył się król, ruszył ramionami. Nastawanie na Maćka budziło w nim właśnie nieufność i chęć obronienia go...

Wysłuchawszy Rawy, król rzekł krótko:

— Sędzia obu stron słuchać powinien, nim wyrok ogłosi, a tyś pono nie słyszał więcej nikogo, tylko tych, co potępiają?

Zdziwiony Kochan zamilkł.

Drugiego dnia Borkowicz, niezbyt śpiesząc, posłał prosić o posłuchanie u króla. Naznaczono je na dzień następujący.

Gdy wieść się po Krakowie rozeszła, iż osławiony warchoł wielkopolski przybył i miał być sądzonym, ci, co przeciwko niemu mieli zarzuty wielkie, pośpieszyli z niemi do króla.

Ks. Suchywilk między innymi, któremu wuj arcybiskup polecił sprawę Beńka, przyszedł z całym spisem gwałtów, zabójstw, napaści, które przypisywano Borkowiczowi, domagając się, aby go naprzód do więzienia dać i zapobiec zdradzie, bo tej były jawne poszlaki w stosunkach z Brandenburgami.

Król wielkie miał zaufanie w Suchywilku, wierzył w jego rozum i naukę, lecz wszystkie te nalegania zawsze na nim skutek przeciwny czyniły.

Żał mu było energicznego i śmiałego czleka. Zbywał milczeniem, nic nie dając poznać po sobie.

Gdy chwila posłuchania nadeszła, a Maciek jako łaskę największą dopraszał się u króla, by mu pozwolił we cztery oczy naprzód mówić z sobą, chociaż zwyczajowi to było przeciwnem, Kaźmirz zezwolił.

Wszedł Borkowicz ani zbyt zuchwale, ni wielkiej nie okazując trwogi... Król przyjął go zimno.

— Dopelniliście miary waszych gwałtów, o które was nieustannie obwiniają... padł pod waszemi ciosami najlepszy mój stary sługa, wuj wasz Beńko.

Borkowicz ręce założył na piersiach.

— Tak, miłościwy królu, — począł gorąco i ze wzruszeniem — zabiłem go, abym sam przez niego zabitym nie był. Stawię sześciu, postawię dwunastu świadków ziemian, jako się jawnie i głośno odgrażał, iż mnie za mniemane jakieś bunt, nie czekając wyroku waszego, na gardle karać będzie.

Czynił mnie przeciwko miłości waszej zdrajcą, tego mu darować nie mogłem. Człowiek jestem. grzesznym się czuję, krwią się nieraz zmazalem, nie będę przeczył, biję się w piersi... ale mnie ludzie stokroć gorszym czynili, niż jestem... Rzucają na mnie potwarze...

Król słuchał milczący.

— Z Brandenburgami macie konszachty? — rzekł krótko.

— Na brandenburskiego, jako na sąsiada — rzekł — oko pilne mieć muszę, bo gdy ja nań patrzeć nie będę, to kto z nas u nich czuwać potrafi. Czy Wierzbięta nieudolny i łatwowierny? czy nieboszczyk Beńko, który z domu się nie wychylał.

Nie dla siebie ja ich starałem się podpatrzeć i podsłuchać, ale dla miłości waszej. I za to mnie zdrajcą czynią...

Kaźmirz nic nie odpowiedział.

— Mówić na swą obronę umiecie dobrze, — odezwał się — lecz dlaczego wszyscy na was powstają? powszechny głos was obwinia? Jeden przeciwko wszystkim nie możecie słuszności mieć. Kto za wami choć słowo rzecze?

— Miłościwy królu, — zawołał Borkowicz — w Krakowie ja obrońcy pewno' nie znajdę, ani się go szukać kuszę, a w Wielkopolsce głosów za mną więcej znajdę, niż tu przeciwko sobie... Dajcie mi ich postawić przed sobą...

Wszyscy, co się pisali do związku ze mną, za który mnie też oskarżono, potwierdzą, żem ładu i porządku chciał i o niego się starał. Musiałem się nieraz z warchołami ze-

trzeć i niejednego trupem położyć. A coby dziś w Wielkopolsce za oczyma było, gdyby nie ja...

Nie mogli na mnie innej winy znaleźć, zmyślili główną, czyniąc zdrajcą przeciwko tobie?... Czyżem ja niepamiętny, co królowi winienem, kto mnie uczynił, czem jestem, kto obdarzył i zbogacił? Bylbym wart śmierci za niewdzięczność...

Spojrzał, mówiąc to, na króla, który nie okazywał gniewu i zamyślony słuchał. Dodało mu to odwagi.

Począł się rozwodzić szeroko nad stanem Wielkopolski, nad nieprzyjaciółmi swymi, dowodząc, że oni razem królewskimi byli, albo na dobro pańskie ślepymi. Kilka razy król słowo jakieś wrzucił, naostatek powrócił znowu do zarzutu morderstwa na Beńku spełnionego.

Maciek, do niego przyznając się, na kolana padł, ręce złożył i miłosierdzia błagał. Winie swej nie zaprzeczał: ale był do niego popchnięty, zmuszony.

Posłuchanie trwało niemal godzinę, naostatek król wstał i ręką znak dał, aby się oddalił, odchodząc do komnat osobnych.

Borkowicz, z posłuchania wracając, zmęczony, znękany, przybity naumyślnie się ukazał, aby się nie domniemywano, że król nadto był dlań łaskawym i nie nastawano więcej przeciw niemu.

Poszła wieść po mieście, iż sprawa Borkowicza źle stała... On zamknął się w swej gospodzie, z wejrzenia króla i z mowy jego domyślając się wcale inaczej.

Nie mylił się, Kaźmirz, naprzekór wszystkim, choć go nie uniewinniał, skłonny był do łagodnego sądzenia.

Zabójstwo Beńka nie mogło ująć bezkarnie, lecz o te ze stryjecznymi wojewody, jak bywało zwyczajem, mógł się Borkowicz ułożyć, płacąc za głowę... Dowodów nie brakło, że Beńko się w istocie na siostrzeńca odgrażał.

Z ks. Suchywilkiem mówiąc tego wieczora, król dał mu poznać, iż Maćka zdrady winnym nie sądził, a dla zabójstwa surowo skazywać nie chciał.

Zdziwiony prawnik usiłował króla skłonić, aby nie pobłażał, lecz znalazł go twardo stojącym przy swoim.

Dnia następnego ze wszech stron posypały się znowu oskarżenia, nalegania, wpływy.

Nikt za Borkowiczem nie był, przeciwko niemu wszyscy. Kaźmirz chłodno, ale stanowczo oświadczył, że tak wielce winnym go nie widzi...

Wszelako zmęczony tem, co słyszał, nie chcąc sobie narazić Suchywilka i innych, w ostatku rzekł, że Borkowiczowi nakaże zgodę z rodziną zabitego, skaże go na grzywny, ale mu swobody nie odbierze, ani na gardle ukarze.

Tym, którzy czynili zdrajcą Borkowicza, król folgując, zgodził się na to, iżby nowe zaręczenie wierności na piśmie dał i poprzysiągł służby królowi gorliwie, pod gardłem...

Ksiądz Suchywilk kanclerzowi pismo miał kazać zgotować.

Tak w chwili, gdy go wszyscy zgubionym sądzili, Maciek cudem prawie, przytomnością umysłu, chytrością i szczęściem nadzwyczajnem ocalał.

Zdumienie było wielkie.

O zbytnią dobroć obwiniano króla, o słabość niewytłumaczoną. Kochan, który pana swojego znał dobrze, uśmiechał się dwuznacznie i mruczał.

— Wszyscy na niego się rzucili... nikt mu dobrego słowa nie dał! Nie mogło inaczej być!

Maciek, przywołany do wysłuchania wyroku, na kolana padł przed królem, bił się w piersi, obiecywał poprawę, zaręczał, że życie dać gotów za pana swego. Ochrypił, tak krzyczał i zmagał się na okazanie swej miłości i wdzięczności.

Przesadzone te objawy przywiązania na Kaźmirzu uczyniły wrażenie przykre. Ukazując mu się z tej strony, Borkowicz nie obrachował się, że król miał instynkt w poznawaniu prawdy i odróżnianiu jej od fałszu. Kaźmirz z brwiami zmarszczonemi, wysłuchawszy dziękczynienia, zimno odprawił Maćka.

W progu już był, gdy posłyszał głos króla, goniący za nim:

— Przebaczyłem wam, starosto... lecz pomnijcie, że dobroć i pobłażanie się wyczerpują... Nie spodziewajcie się łaski mej, jeżeli raz jeszcze obwinia was...

Borkowicz, pismo na siebie wydawszy pod pieczęcią przy świadkach, opuścił zamek, szczęściem swem upojony, triumfujący, zuchwalszy, niż był kiedykolwiek.

W gospodzie czekali nań Wielkopolanie, którzy mu towarzyszyli, a których był pewien.

Nie zważając na miejsce, w którem się to działo, bo izba ścianą tylko z tarcic oddzieloną była od mieszkania gospodarza, Maciek od progu wołać zaczął:

— Wszystko skończone! Winszujcie i uczcie się, że śmiałość zawsze wygrywa! Biały jestem i czysty, jak nowiutki rąbek. Pocziwy król dał się obalamucić! Wmówilem mu, co chciałem, podpisałem, co kazali, a teraz silniejszy jestem, niż kiedy! Niech mi kto się w drogę wleźć odważy!

I nim się przyjaciele na odpowiedź zebrali, dodał szydersko:

— Z tym królem ja zawsze zrobię, co zechcę, tak jak inni, co koło niego są, czynią z nim, co się im podoba. Siostra mu koronę wzięła dla swojego syna, Suchywilk mu prawa dyktuje... Żydówka mu się sprzykrzy, królowa młoda, a to moja pani, bom jej łask pewny;... przez nią i mój rozum doprowadzę do tego, com zamyślał...

Natychmiast kazał Borkowicz miodu i wina przynieść, szaty swe zrzucił, które w dworze miał, bo mu one ciążyły, rozpasał się na ławie, legł i językowi puścił wodze.

Inni, ostrożniejsi, napróżno się go hamować starali; nie dbał o nic, nie lękał się niczego.

W początku zamierzał natychmiast Kraków opuścić i do Wielkopolski powracać, nieprzyjaciółom swym okazując, że nad nimi wziął górę; namyślił się potem i dzień lub dwa, jak powiadał, dla wypoczynku chciał jeszcze zabawić.

Ci, co go znali, wiedzieli o tem dobrze, że Borkowicz spoczywać ani potrzebował nigdy, ani lubił. Coś więcej jeszcze miał do czynienia. Dnia następnego począł odwiedzać co znaczniejszych przy królu bawiących panów, pojechał do biskupa, odwiedził postarzałego Neorzę, który uzyskawszy przebaczenie króla, cicho siedział i pokątnie tylko szemrał przeciw niemu.

Z jego to ust pono wyszło po raz pierwszy owe przewisko obelżywe, które Kaźmirzowi pozostać miało jako chwała jego — króla chłopów...

Neorża przyjął wielkopolskiego warchoła z większą ciekawością, niż wiarą w niego.

— A co? — rzekł mu. — I wyście przybyli królowi do nóg paść, o przebaczenie prosić i nie myślicie już o waszych swobodach ziemskich. Tacyście wszyscy... na języku u was wiele, a gdy przyjdzie do roboty, nikogo niema!

— Tak sądzicie? — odparł szydersko Maciek. — Omylicie się pono na mnie! Ja długo moje piskłę wysiaduję, ale gdy się ono narodzi, będzie na co patrzeć...

— Znosek! — rozśmiał się Neorża, ramionami ruszając i splunął.

Borkowicz z czerwonego stał się, usłyszawszy to, karmazynowym. Spojrzał pogardliwie na ociężałego starca.

— Jakom żyw, nigdy nie miałem myśli, którejby nie dokonał! — rzekł. — Zobaczycie wy i ci, co mi zawierzyli, że mu Wielkopolskę wyrwę...

Podniósł pięść stuloną w górę.

— Może mu i co więcej wezmę, o czem mówić nie chcę — dodał, śmiejąc się. — Zobaczycie!

Neorża niedowierzająco głową trząsł; to Borkowicza rozjątrzyło. Nachylił mu się do ucha.

— Nim jego się stała, jam z terażniejszą królową miłość miał... Przez nią panem tu będę...

I pierścień na palcu ukazał zdumionemu Neorzie, który zamilkł.

— Król zestarzał, łatwowiernym się stał, miękkim, żona nim władać będzie, gdy zechce, a ja nauczę ją, jak... — mówił, przechwalając się, Borkowicz i nie dopowiedziawszy, co myślał, urwał nagle.

Rozstali się z Neorżą wkrótce, bo Maćkowi pilno było jeszcze w różne kąty zaglądać. Chciał tu mieć swych obrońców i przyjaciół, nie żałując na to, by ich ująć sobie.

Zmierzchało już dnia tego, gdy sługi swe odprawiwszy do gospody, sam jeden, okrywszy się opończą, aby łatwo poznany być nie mógł, starosta wśliznął się do zamku. Czasu wesela wypatrzywszy, gdzie było mieszkanie królowej i niewieściego jej dworu, wprost wszedł do Konradowej.

W oknach jej świeciło się już; Maciek podszedł naprzód pod nie, rozglądał się dokoła uważnie, potem śmiało do komnaty wkroczył.

Na widok jego stara ochmistrzyni, która słyszała już o jego pobycie w Krakowie, lękając się, aby przy dziewczętach, których dwie się tu znajdowało, nie począł mówić, czego one słuchać nie były powinny, skwapliwie je precz wysłała.

— Widzicie, — odezwał się Maciek z miną wesołą — że ja o starych znajomych nie zapominam, a nie mam zwyczaju z rękami próżnemi wychodzić. Choć mnie królowa źle odprawiała, sądzę, że się namysleć musiała: trzeba mi widzieć się z nią, to nic nie pomoże...

Konradowa słuchała nadąsana.

— Idźcie sobie szukać innego posła do tego, — rzekła — bo ja ani wiedzieć, ni słyszeć nie chcę!

— Jam to już i od was i od niej słyszał — odparł Borkowicz; — a no, odpędzić się nie dam... Nie doprowadzajcie mnie do ostatka... bo źle będzie... Że pierścień okażę i powiem, jakem go dostał i gdzie — to jeszcze nic, lecz gdy się mścić zechcę, powiem więcej: — to, co było i czego nie było!!

Śmiał się, mrugając okiem.

Stara ochmistrzyni, tym razem już otrzaskana z pogróżkami, tak wielkiego, jak wprzód, nie okazała strachu. Podniosła nań oczy, popatrzała i nie odpowiadając, poczęła robotę jakąś ogładać.

Borkowicz stał i czekał, ale napróżno. Gniew w nim rosł.

— Namysłiliście się? — zapytał.

— Myśleć o czym nie było — zamruczała stara. — Idźcie sobie ode mnie... nie wskóracie tu nic.

Zniecierpliwiony rzucił się Borkowicz i kląć zaczął pochichu.

— Czasu czekać nie mam — rzekł; — jutro mi stąd jechać trzeba... Tyle tylko powiadam wam, abyście królowej donieśli, że dziesięć dni czekać będę... Zechce mi dać ucha, przyjadę tak, że nikt mnie tu nie ujrzy; odpowie, że mnie nie zna, naówczas ja okażę, żeśmy się i dobrze znali... Dziesiątego dnia przyjdzie tu pacholę ode mnie po odpowiedź... Będę wiedział, co czynić: tak lub nie.

Konradowa potrząsnęła głową.

— Ja wam dziś już powiadam — nie; darmo pacholę trudzić...

— Gardłem mi odpowiesz, więdźmo stara, — zawołał z gniewem Borkowicz — jeśli pani swej zataisz, z czem jeszcze raz przyszedłem!

To mówiąc, popatrzył na nieruchomą staruszkę, zżymnął się i poszedł do drzwi.

Zaledwie się one za nim zamknęły, gdy drugie od komnaty królowej otwarły się zwolna. Zbladła twarz Jadwigi ukazała się w nich.

Na widok jej pośpiesznie wstała Konradowa, chcąc się tłumaczyć, lecz królowa, nie dając jej ust otworzyć, odezwiała się poważnie:

— Drzwi u was dla wszystkich stoją otworem? Od dziś dnia niech pacholę moje będzie na straży i nie wpuszcza nikogo bez opowiedzenia.

Konradowa tłumaczyć się chciała, królowa skinęła ręką.

— Słyszeliście? — powtórzyła surowo — taka jest wola moja!

Odwróciła się od niej i wolnym krokiem wróciła do swej komnaty.

Maciek zły i niecierpliwy przybiegł do gospody, po drodze ludzi swych okładając razami silnej pięści, zastawszy w sieni zgromadzonych nad piwem. Kazał się natychmiast do podróży sposobić.

Przyjaciele, którzy go widzieli przez te dni wesołym i rozchoconym, nie mogli odgadnąć, co się z nim stało. On sam nie przyznał się im do niczego.

— Nie mamy już tu co robić! — rzekł. — A w domu jest co poczynać. Jutro — na koń!

Dodnia wyciągnęli Wielkopoleanie, nie opowiedziawszy się nikomu, tak, że wielu potem znajomych do pustej gospody się dowiadywało.

Borkowicz zwycięsko ciągnął wprost do Poznania, nie obawiając się ani Wierzbięty, ani innych, których znał sobie nieżyczliwymi.

Przybyło mu buty jeszcze od ostatniego królewskiego wyroku, a gdy go towarzysze po drodze ostrzegali, aby ostrożnym był, śmiał się na głos, wołając:

— Z królem tym ja uczynię, co zechcę! Zna on siłę moją... Do walki za stary... będzie wołał Wielkopolski się wyrzec, niż ze wszystkimi ziemiany o nią się rozbijać — a ja teraz mieć będę ich wszystkich!

W Poznaniu zawczasu się go spodziewano, bo z Krakowa doszły wieści, że król Borkowiczowi wielkorządy miał zdać i wszystko zwierzyć.

Co było mniej śmiałych nieprzyjaciół, przycichło i usunęło się.

Wierzbięta patrzył zdala; on jeden nie zmienił ani przekonania, ani pozbył swej nieufności. Borkowicz, chociaż się nań odgrażał pocichu, po świeżej sprawie z Beńkiem zaczęć nie śmiał. Wiedział, że nastraszyć nie potrafi, a nowego gwałtu popełniać nie chciał tak rychło.

— Poczekaj on, ale nie straci na tem — mruczał. — Znajdę go później, gdy tylko zechcę.

Tak samo jak w Koźminie, rozłożył się przybyły w Poznaniu, otwierając dom i ugaszczając ziemian, którzy się do niego jeszcze skwapliwiej cisnęli.

Nadjechał brat z Czacza, przybył syn na powitanie zwyczajcy...

Z Jaśka, który odwagi nie miał towarzyszyć mu do Krakowa, Maciek niemilosiernie się wyśmiewać począł i nie-rychło mu to przebaczył.

Śmielszy, niż przedtem, głośno ziemianom mówił, iż potrzeba, aby stara Wielkopolska nie dała się, jak garść mąki na upieczenie placka, zgnieść i w nową Polskę Kaźmierzową, jak podbita Ruś, wcielić...

— My swoje prawa mamy, obyczaj dawny, odrębność, i przy tem stać musimy!!

Potakiwali mu wszyscy, bo im w to grał, że ziemianie od króla więcej znaczyć powinni, oni, co sobie książąt i panów wybierali dawniej i rzucali.

Czas upływał na tych zbiorowiskach. Borkowicz się na coś oczekiwać zdawał, dni rachował, mówił, że z Krakowa posła się z ważną wiadomością spodziewa. Co mu stamtąd przywieźć miano, nie mówił nikomu...

Upłynęło dni czternaście, a owo pacholę, zręczne chłopię, zwane Chwalkiem, które Maciek zostawił w Krakowie, nie powracało. Chwalek nie był starszy nad lat dwadzieścia, ale jak ogień żwawy, przenikający, zręczny, a Borkowicz mu zwierzał często takie sprawy, na które niejeden stary-by się nie ważył.

Codzić pytał o Chwałka, codzień się go spodziewano — nie przybywał. Piętnastego dnia wreszcie Chwalek nadbiegł. Koń mu w drodze zakulał. Ledwie z niego zsiadł, kazano mu iść do starosty.

Czekał nań we drzwiach Borkowicz.

— Coś przyniósł? — zapytał, wpatrując się w posłańca.

— Wróciłem z próżnemi rękami — odparł Chwalek. — Do baby mnie nie dopuszczono. Izby jej teraz straż pilnuje, wejść lada komu nie wolno.

— I daleś się jak mucha odegnać? — wrzasnął Borkowicz.

— Zasię! nie — rzekł rażno chłopak, rozgniewany, że go o takie niedołęstwo posądzono. — Było rozkazanie ze starą się rozmówić i odpowiedź przynieść, tom się o nią starać musiał. Nie puścili mnie drzwiami, wdrapałem się do okna i pótym stukal, aż wyjrzeć musiała. Powiedziałem jej, com zacz... i tyłem wskórał, że mnie natychmiast precz z zamku wyżeniono... Wrótny mi zapowiedział, że się do wieży dostanę, jeśli tam jeszcze nos pokażę.

Opowiadania tego słuchając, Borkowicz zbladł, zęby za-

cisnął i zgrzytnął niemi. Chwałkowi pięścią pogroził i krzyknął:

— Precz...

Nazajutrz wyszedł do swoich panów ziemian, jakby innym człowiekiem... Widać w nim było przez noc wezbrany gniew i zapamiętałość wielką.

W rozmowie u biesiady codziennej nie o Wielkopolsce i jej prawach mówić począł, ale się z króla urągał.

Tym nawet, co do jego śmiałych przechwałek byli nawykli, wydało się dziwnem, iż pomiarkowania nie miał żadnego.

— Król to żydowski i chłopski! niedarmo go tak zwać — począł na głos... Nas ziemian nie lubi, tak, jak my jego... A no, zobaczymy, czy gdy całe rycerstwo przeciwko niemu się podniesie, chłopci go, Żydzi i ziemianie obronią!...

Mało kto odważył się nawet głową mu potakiwać. Borkowicz mówił, jakby w sobie utrzymać nie zdołał, co mu dopiekało.

— Królowę sobie też dobrał, jakiej był wart. Jam ci ją znał i ścisnął, nim królowi ją dano...

Podniósł rękę do góry.

— Na świadectwo mam oto ten pierścień na palcu... Dała mi go na pamięć, żeśmy się z nią kochali, gdy już była za-swatana... A nie inny pierścień jest, tylko ten, co go od króla miała...

Śluchający osłupieli. Mówiono wprawdzie o stosunkach jego na dworze śląskim, ale tak jawne przechwalanie się wszystkim usta zamknęło.

— O! królowa! królowa! — dodał, wychylając kubek, Borkowicz — niech nam będzie zdrowa! I po ślubie przecie nie zapomniała o mnie, bom u niej w sypialni bywał... jako mnie żywego widzicie!

Kilkadziesiąt osób słuchało powieści; — nazajutrz ją z ust do ust powtarzano.

Mienia się ludzie.

Stara Konradowa, która znała księżniczkę Jadwigę dosyć blisko, wesółą a łatwą, królową jej poznać nie mogła.

Z koroną razem, włożoną na skronie, dostojność, powaga i rozum przybyły. Życie nie płynęło jej wesoło, nie hmurzyła się niem zbyt.

Król dla młodej żony ani złym, ani dobrym nie był.

Czuła, że serce jego gdzie indziej mieszkało, nie skarżyła się. Patrzała nań, jakby z miłosierdziem, oczyma śmiałemi, tak, że często przed jej wzrokiem Kaźmirz musiał uchodzić. Nadto czytała w jego duszy.

Dni kilka czasem król się u niej nie pokazywał, powiadano, że na łowach był, słyszała od drugich, że odpoczywał w Łobzowie.

Nie spytała go nigdy ani się użaliła. Ciężarem mu być nie chciała.

Zbliżył się do niej — nie okazywała żalu, ale nie kłamała czułości zbytniej. Chłód męża dumę w niej wywoływał. Była piękną, młodą i widziała się godną przywiązania, żebrać go nie chciała. Zdawało się jej może, iż ono przyjść musi samo.

Niekiedy król z ciekawością się w nią wpatrywał, badał chłodno, lecz zbliżać się więcej nie zdawał skłonny.

Była jakby obawa jakaś w nim... Chociaż na jednym zamku mieszkali, gdy Kaźmirz mógł sprawami pilnemi się wytłumaczyć, niekiedy po dni kilka ani przychodził do królowej, ani ją widywał.

Naówczas młoda pani zasiadała do krosien i szyła, lub kapelanowi rozkazując sobie czytać pobożną księgę jaką, słuchała.

— Skąd się jej te obyczaje wzięły? — mruzczała Konrada. — Ktoby to powiedział, że z niej taka będzie królowa?

Jednego poranku zdziwił się mocno król, gdy mu Kochan przyszedł oznajmić, że królowa doprasza się z nim rozmowy.

Pierwszy się to raz trafiało. Kaźmirz zadumał się, usiłując odgadnąć, czegoby żądać mogła niewiasta, która mu się dotąd nigdy nie narzucała?

Spodziewał się prośby lub skargi... Dnia tego niebardzo był rad rozmawiać. Do wyjazdu wszystko było gotowem. Esthera, która niedawno drugim synem obdarzyła pana swego, słabą jeszcze była; król widzieć ją pragnął.

Wysłał więc Kochana do Jadwigi z tem, że jeśliby sobie czego życzyła lub żalić na co chciała, mogła to posłowi zwierzyć.

Gdy Rawa przyniósł odpowiedź króla, Jadwiga, która ubrana czekała, oczyma go zmierzyła chłodno i rzekła:

— Jeśli król czasu nie ma, czekać mogę, nie chcę mu być przeszkodą; lecz sama z nim mówić muszę. Powiedzcie mu to ode mnie.

zdradzał, że się Kaźmirza widzieć spodziewała. Już przez wrodzoną niewieścią zalotność, już dlatego, że niczem innym zajmować się nie mogła, królowa codzień lubiła się

Nie okazała najmniejszej niecierpliwości, chociaż strój przystrajać bogato i wdzięcznie. Tych dni, gdy króla się mogła spodziewać, ubiór jej bywał najstaranniejszy. Dobierała szaty i klejnoty, lubować się zdawała w piękności swojej. To jedno jej z dawnych, młodszych czasów pozostało.

Po wyjściu Kochana królowa, westchnawszy, zwolna klejnoty, w które się przystroiła, zdejmować zaczęła, gdy pacholę nadbiegło, o królu znać dając.

Zarumieniona Jadwiga włożyła na palce zrzuczone pierścienie, spojrzała w male zwierciadło i krokiem wolnym wyszła do swej komnaty gościnnej, do której w tejże chwili Kaźmirz, w stroju myśliwskim, drugiemi drzwiami szybkim krokiem wchodził.

Skłoniła się nisko królowa, nie zbliżając nazbyt.

— Chcieliście mówić ze mną? — zapytał król.

— Tak jest — głosem trochę drżącym odpowiedziała królowa. — Potrzebuję mówić... Posłuchajcie mnie, a jeśli słusznem uznacie, weźcie stronę moją.

Rumieńcem oblała się twarz jej młoda. Król wpatrywał się w nią pilnie.

— Milczałam, dopóki mogłam — dodała zwolna Jadwiga; — dziś moje i wasze dostojęństwo dłużej nie dozwala.

Coraz bardziej zdziwiony król słuchał z uwagą natężoną.

— Dni temu parę — rzekła z wysiłkiem mężnym królowa — na zgromadzeniu wielkiem, na głos, jawnie przechwalał się ten, któremu wy życie darowaliście, że mnie dziewczyną znał, że mnie miłował... kłamał, żem go miłowała... śmiał rzec, że po ślubie, tu... w zamku był w sypialni mojej.

Pobladał król i krokiem się cofnął, twarz mu się zmieniła dziwnie, straszno. Nie był to już zobojętniały ów człowiek, któremu nudne życie obrzydło, ale monarcha obrażony na czci, — groźny.

— Posłuchaj mnie — ciągnęła dalej, ośmielając się, królowa. — Bywał Borkowicz na dworze naszym, widywałam go chętnie, przekupił sługi, aby się ze mną na osobności widywać. Byłam młodą, niedoświadczoną, a sługi miałam niegodziwe... Wkradłszy się do mnie raz ostatni, gwałtem mi wasz pierścień z palca ściągnął. Winą jest moją, żem nie krzyczała naówczas i śmiałka ukarać nie dała. Tym pierścieniem skradzionym on się przechwala...

Boga biorę na świadka — dodała królowa, — że nad to nie miał ode mnie więcej nic, nawet słowa dobrego. Gardzę nim. Zuchwalec czasu wesela naszego wdarł się do izby ochmistrzyni i był na progu mej sypialni. Precz go wypędziłam.

Tu królowej głosu na chwilę zabrakło.

— Zeznaję to jak na spowiedzi i gotowam poprzysiąc — dodała. — Domagam się ukarania tego człowieka... tem bardziej, tem silniej... że...

Zamilkła i twarz nowym się rumieńcem okryła.

— Że spodziewam się być matką, i ani na mnie, ni na dziecięciu cień nawet potwarzy nie powinien powstać!!

W przerwach mowy, gdyż kilkakroć uczucie wezbrane siły jej odbierało, król się nie odzywał, nie dał po sobie znaku żadnego, jak przyjmuje to zeznanie. Bładym był i oczy jego ciskały pioruny... Odgadnąć było trudno, na kogo one wymierzone były, na obwinionego, czy na niewinną i mężną królowę.

Spojrzała nań nieśmiało i odezwała się po chwili malej:

— Co mówię, sprawdzić możecie... Dlatego precz nie odegnała starej Konradowej, która była pomocnicą niegodziwego czleka, aby mi na świadectwo stanąć mogła... Badać ją każcie... wyzna... Winną nie jestem... Czlek ten tak zuchwałym był, iż mi pochwyconym pierścieniem grożąc, domagał się... tajemnego widzenia ze mną, — precz go odegnać kazałam.

Czyńcie, co przystało!!

To mówiąc, królowa, która stała dotąd, zachwiała się jak wysilona; obejrzała się, szukając siedzenia, a król pośpieszył, podając jej rękę, doprowadzić do bliskiego krzesła.

Nie powiedział słowa jeszcze...

— Człowiek ten zginąć musi — wyjąknął wreszcie, otwierając usta zaciśnięte — i zginie śmiercią taką, by dziesiąte pokolenie ją pamiętało, a wiedziało, jak ma królewski majestat szanować...

Oczy królowej podniosły się ku niemu; spotkała wzrok, jakiego nie widziała nigdy i nie знаła... Król był sędzią nieubłagany; czuła, że na łaskę jego, na miłosierdzie rachować nie mógł winowajca.

— Prawdę wyznała! — dodała cicho — na moją obronę więcej słowa nie mam...

— I obrony nie potrzebujecie wcale! — odparł król z zimną powagą. — Słowo wasze starczy mi. Prawdę w nim czuję... winy niema...

Mówiąc, król odstąpił kroków kilka zadumany.

— Śmiercią zginie okrutną... potwarca — dodał. — Przebaczyłem mu mordy i gwałty; oskarżono go o zdradę, nie wierzyłem. Urósł dobrodziejstw mojemu... padnie zgnieciony, jak nędzny robak, którego stopą moją wbije do ziemi...

Widząc królowę zbladłą i drżącą, Kaźmirz przybliżył się do niej i ujął ją za rękę.

— Proszę was, dla zdrowia i spokoju, abyście się o los tego nędznika nie dowiadywali. Rzeczcie sobie, że go już nie ma na świecie. Pomszczoną będziesz, jak być powinna królowa, na którą nikczemnik śmiał się porwać...

Słabym głosem dokończył król i w dłonie uderzył, aby służbę do nawpół omdlałej przywołać.

Dopiero, gdy stara Konradowa przełęczona pokazała się na progu, Kaźmirz z przymuszonym na ustach uśmiechem zwolna wyszedł z komnaty.

Rawa, widząc go powracającym do swych izb i konie odesłane do stajen, pośpieszył pytać, czy sukni zmienić nie zechce.

Zastał króla siedzącego w krześle przy stole i pogrążonego w myślach głęboko. Nie widział go tak zmienionym nigdy, bo zwykł był trzymać uczucia na wodzy.

Zobaczywszy Rawę, król jakby się obudził, chciał coś mówić, zatrzymał się, zamilkł, wstał, przeszedł, siadł znowu.

— Sędziego mi powołać każ — rzekł krótko.

Sędzią krakowskim, który z ramienia i rady ks. Suchwilka na ten urząd wyznaczony został, był Mikołaj Doliwczyk, którego zamłodu przezwano ślepcem, dlatego, że, krótki wzrok mając, oczy przymrużał i zbliśka wszystkiemu przypatrywać musiał.

Człowiek był w prawie biegły, niegdyś do stanu duchownego przeznaczony — zimny, obojętny i całą duszą oddany powołaniu; bezżenny i bezdzietny, nadzwyczaj skąpy, zdawał się mieć dwa w życiu cele — zostać najuczeńszym z prawników i najmajątniejszym z Doliwów.

Na zamku odbywały się właśnie sądy, gdy Mikołajowi znać dano, że król pilno go wzywał.

— Król? — to znaczyło, że wszystko porzucić natychmiast musiał i biec posłuszny.

W chwili odprawił strony, które sprawę swą wywodziły i pośpieszył do komnat pańskich.

Zastał Kaźmirza jeszcze nieostyglego...

— Sprawa jest, — rzekł król po namyśle — w której ja obrażonym i dotkniętym jestem na cześć mojej, a ta cześć moja to cześć korony i królestwa!! Sędzią być waham się, bom razem stroną... a muszę!!

Błysnęły oczy Kaźmirzowi.

— Słuchaj, — rzekł — na co zasłużył człek, potwarca i kłamca, który na sławę i spokój pana swojego nastaje... chlubi się...

Król był tak poruszony, iż mówić przestał na chwilę.

Ślepiec stał namarszczony, chciwy posłyszenia, o co chodziło.

Nie mogąc doczekać rychło reszty mowy królewskiej, odezwał się suchym głosem pedagoga:

— Obraza majestatu królewskiego, choćby tylko przedsięwzięta, a niespełniona, jest obrazą Boga, którego pomazańcem i zastępcą jest każdy monarcha na ziemi. Kara główna... śmierć!

— To mało! — zawołał król, uderzając o stół ręką.

— Rodzaj śmierci może monarcha sam naznaczyć, wedle stopnia winy — rzekł sędzia.

— Wina większą być nie może nad popełnioną przez tego zoczyńcę — odparł Kaźmirz. — Obsypałem go dobrodziejstw, przebaczyłem mu wielokroć. Świeżo przekonane-mu o zabójstwo darowałem życie.

— Maciek Borkowicz? — spytał cicho ślepiec.

— Imieniem tem ohydne-m ust sobie kalać nie chcę... — podnosząc głos, począł król.

Stało się milczenie na chwilę.

Sędzia z oczyma wlepionemi w podłogę, zamyślony, ważył, co powiedzieć miał. Król czekał.

— Pómnij, — wtrącił — że nietylko zdrajcą go dziś uznaje, czemu niedawno wierzyć nie chciałem, lecz... na królowej cześć potwarz śmiał rzucić!... Na niewiastę, na ukoronowaną małżonkę naszą!...

Sama ona ze łzami i skargą na niego przyszła do mnie... Dowodów nie potrzebuje, obrona niemożliwa, winą jawna.

Sędzia myślał.

— Gdyby gardło dał... mało-by było — rzekł. — Pod pręgierzem język mu kłamliwy wyrwać kat powinien i kara taka jak na ojcobójców, jak na świętokradców... Większej nie znamy.

Wzdrygnął się król i zadumał. Gniew zwolna ustępował, wrodzona mu dobroć brała górę.

— Chciałem sumienie moje mieć przez was objaśnione — odezwał się; — dosyć mi na tem... Przebaczyć mi niepodobna, przykładu potrzeba... zginać powinien...

— Zginać, jako ojcobójca — powtórzył sędzia z przyciskiem. — Zaszyty w wór, razem z węzem, kotem...

Król dał znak ręką, że więcej słyszeć nie chciał. Myśl jakaś przeszła mu snąć po głowie.

— Dziękuję wam — rzekł, odprawiając sędziego. — Zachowajcie przy sobie, coście słyszeli ode mnie. Milczenie nakazuję. Nie chcę, by złoczyńca, zasłyszawszy zawczasu, co go czeka, uszedł od zasłużonej zemsty mojej do swych przyjaciół Brandenburgów, do moich nieprzyjaciół krzyżaków.

Szybko zwrócił się król ku drzwiom drugim.

— Kochan! — zawołał, głos podnosząc, pewien, że ulubieniec blisko być musi.

Rawa stał już w progu, gdy Ślepiec, schylony do ziemi pokłonem, wysuwał się drugimi drzwiami.

Zobaczywszy go, Kaźmirz się przeszedł po izbie milczący, jakby sobie chciał dać czas z gniewu ochłonać.

— Maciek Borkowicz jest przeze mnie na śmierć skazany — rzekł, stając. — Potwarca śmiał się przechwalać łaskami królowej, skradzionym jej pierścieniem, usiłował wdrzeć się do sypialni jej.

Spojrzenie na Rawę wstrzymało dalsze słowa. Kochan twarzą swą i ruchami dawał znać, że o wszystkim tem był zawiadomiony.

— Mów — przerwał król.

— Dawno tego zbója na świecie już być nie powinno — odparł Kochan. — Wart najsroższej kary... ale miłosierdzie wasze...

— Będę niemiłosierny, srogi, okrutny! — zawołał król! — Wiesz wszystko?

— Wiedziałem wiele, domyślałem się wszystkiego — rzekł Kochan.

— I milczałeś? — z wyrzutem oburzenia spytał Kaźmirz.

— Czekałem sposobnej chwili.

Wejrzenie dziwne, podejrzliwe rzucił król na ulubieńca.

— Pomnisz Baryczkę? — rzekł nagle. — Za twoją sprawę, za tę śmierć, której ja nie nakazywałem, której nie chciałem... za twą samowolę, Kochan, — cierpiełem i milczałem... Ocaliłem ci życie... nie zapierając się... Pomnisz to? Dziś powinienes za to odpokutować!

Kochan zdziwiony podniósł głowę. Nie pojmował, jaki związek dwie te sprawy z sobą mieć mogły.

Król po małym przestanku mówił dalej:

— Tak, za karę, żeś śmiał być katem samowolnie, dziś ja cię katem czynię nad Borkowiczem. Daję ci moc... Rób, co chcesz... Powinieneś mu wziąć życie... Wieszaj go, ścinaj, rwij na sztuki... to rzecz twa... ale mi się nie staw na oczy, póki on żyw chodzi po świecie... Głowę mi jego przynieść musisz...

Kochan, który się najmniej podobnego polecenia spodziewał, stał jak osłupiały. Tłumaczyć się nie było sposobu, ani wypraszać. Rozkaz stanowczy, nieodwołalny, z jednej strony był dlań zaszczytnym, z drugiej trudnym i przykrym.

Wiedział Kochan, że zadanie łatwem nie było, że złoczyńca silny, przebiegły, zuchwały, w obronie życia mógł się do ostateczności posunąć. Znaczyło posłannictwo to, że życie swe stawieć musiał.

Wspomnienie Baryczki czyniło przykrzejszym rozkaz króla, który milczał długo, a winy nie zapomniał.

Kochan głowę zwiesił.

— Słyszałeś! — powtórzył król — idź, wybieraj się w drogę. Śpiesz, aby ci nie zbiegl... Jeżeli uciecze, biegnij za nim. Żyć nie powinien. Jako znak jego śmierci, przyniesiesz mi pierścień królowej, skradziony, porwany siłą. Milcz, jedź i nie daj mi czekać na spełnienie rozkazu.

Rawa chciał coś przemówić, lecz spojrzawszy na króla, nie ważył się, głowę pochylił i wyszedł.

W godzinę potem wiedział już Wierzynek, iż coś zaszło na dworze; uwiadomionym był ks. Suchywilk, który do króla pośpieszył, nawykłym będąc, iż go do rady w ważniejszych sprawach powoływał.

Kapłan zmuszony był pocieszać i uśmierzać króla, pozostał przy nim długo i nie odszedł, aż go zobaczył ulagodzonym i spokojnym. Przyczyniało się do tego, że sprawę pomsty czci swej powierzył Kochanowi, którego wierność dla siebie, przywiązanie, odwagę i przebiegłość znał dobrze.

Wybór ten i ks. Suchywilk pochwalił: trudno było o lepszy.

Wyszedłszy od króla, uczuł potrzebę widzenia się z Rawą, który, pomimo największego pośpicchu, wyjechać jeszcze nie miał czasu.

W mieszkaniu królewskiego ulubieńca panował nieład największy. Służba zjawiała się, ściągając rzeczy, gotując

oręż, wiążąc sakwy... Dworzanie napływali jedni żegnać, drudzy wybadać i coś się dowiedzieć od niego.

Kochan opowiadał fałszywie, że do Pragi był wysłanym... Nie chciał, aby cel podróży odgadywano. Dziwnem się musiało wszystkim wydawać, że najdobrańszych, najśmielszych, najsilniejszych brał do boku towarzyszków. W spokojnej Pradze postawnych i okazałych mógł potrzebować tylko.

Ujrawszy w progu ks. Jana, Kochan wybiegł na spotkanie dostojnego przyjaciela królewskiego i siedł z nim na osobność do przyległej komory.

Nie potrzebował nawet dopytywać się o to, że on o wszystkim był zawiadomiony...

— Ciężar na was spadł wielki — odezwał się ks. Suchywilk.

— Nie ludzę się, — żywo odpowiedział Kochan — głowę swą niosę, idąc ją wziąć temu warchołowi, lecz pan rzekł...

Zamyslił się nieco i dodał:

— Tak, życie mu wziąć, to nic, ale potrzeba go ukarać, jak zasłużył i przykład na nim dać zdrajcom, co się na majestat pana targać śmieją. Muszę być okrutnym, będę nim.

— Nie nad miarę — rzekł zwolna ks. Suchywilk. — Srogość kary każe się większej winy domyslać...

— Większą być nie mogła — żywo przerwał Kochan. — Wiem więcej, niż królowi powiedziano... Zdradę knuje, pani naszej sromotę uczynić chciał, a przechwalał się jej łaską. Małoż tego?

Książd popatrzał nań z nateżeniem i powagą.

— Ukarz — rzekł — a nie mścij się, zemsta dowodzi, że ciężko się czuł obrażonym. Majestat króla zbyt wysoko stoi, aby go jeden nikielczmnik mógł dosięgnąć.

Rozumne te słowa, które Kochan milczeniem przyjął, nie uczyniły na nim wrażenia, jakie zrobić były powinny. Miał już zbyt silne postanowienie okazania się okrutnym.

Miłość dla króla, gniew pana, którego był świadkiem, czyniły go tak, jak osobiście dotkniętym.

Lecz nie dosyć było powiedzieć sobie: ukarzę, pomszczę. Kochan wiedział, że porywał się na zadanie trudne, które tylko z nadzwyczajnym pośpiechem i odwagą wielką mógł spełnić. Potrzeba było dniem i nocą biec za Maćkiem Borkowiczem, nimby wieść do niego doszła, co mu grozi...

Szczeńciem tajemnica, choć w polowie niewiastom zwierzona, uchowała się na dworze i nic nie odgadnięto, a Maciek, uzuchwalony ostatnią swą bytnością w Krakowie, wca-

le nie przeczuwał, iż słowa jego, nierozważnie rzucone, tak się odbijają daleko i prędko...

Szydził z niedoleżności króla, a tym, co go do większego pomiarkowania i ostrożności skłaniali, odpowiadał grubiańskimi szyderstwami.

Z Poznania, w którym przebywał czas dość długi, właśnie gdy Kochan, mający go ścigać, z Krakowa wyruszał, Borkowicz z dosyć licznym przyjaciół poczem udał się do Kalisza.

Ciągnęło go tam coś, z czego, mimo gadatliwości swej, spowiadać się nie chciał. Miał jakieś nadzieje, że kasztelan kaliski i mała załoga, jaka na zamku była, zdadzą mu gród, lub że przynajmniej upewni się o łatwe jego opanowanie. Stąd on chciał rozpocząć otwartą wojnę przeciw królowi, pochlebiając sobie, że mu Wielkopolskę z pomocą Brandenburgów oderwie...

Na pochwycenie Poznania odrazu kusić się nie mógł jeszcze, od Kalisza chciał rozpocząć.

Wysłańcy jego, którzy dawno tam krążyli, przynieśli mu dosyć dobre wieści. Kasztelan na króla się gniewał i odgrażał, siła na zamku była niewielka.

W najlepszej więc nadziei, ze skromnym poczem, bo mu nigdzie nic nie groziło, jechał Maciek Borkowicz do Kalisza tak, jakby się wybrał na przejażdżkę.

Przyjmowano go wszędzie jako przyszłego pana, ugaszczając we dworach, wyjeżdżając przeciwko niemu i zapraszając w goście... Rosło znaczenie i moc, a z niemi zuchwalstwo człowieka zaślepionego...

Pochlebcy go wbijali w dumę.

Ochoczo więc i wesoło, tocząc się tak ku Kaliszowi, w którym zawczasu gospody sobie upatrzeć kazał, przybył Borkowicz do miasta naprzód i nimby na zamek się dostał, po podróży wypoczywał.

Drugi już dzień upływał od przybycia Maćka Borkowicza do Kalisza, a z gospody jeszcze nie wyruszył ani do zamku, ani na miasto.

Nie można było odgadnąć, czy mu się tu nie wiodło po myśli, czy jeszcze swych zabiegów nie rozpoczął; znajdował się tu wcale inaczej, niż w Poznaniu, niż w podróży, jakgdyby to, co przedsiębrał, wielkich wymagało ostrożności.

Po drodze część tłumnego dworu i orszaku swego zostawił w majątności znajomego ziemianina. Sam przybył tu

z niewielu ludźmi, cicho, nie rozkładając się nazbyt szeroko. Brata Jaśka ani syna z sobą nie miał, kilku wyrostkami się posługiwał, chodził zasępiony, jakby to, na co się teraz ważył, nawet jemu wydawało się niebezpiecznem.

Nazajutrz po przybyciu posłał się dowiedzieć o kasztelana. Nie było go w Kaliszu; siedział w majątności swej o mil parę; zapowiadano powrót jego.

Na zamku dowodził stary wojak, niejaki Wilczura, który tak samo jak Borkowicz do szczytu Napiwonów należał. W tych czasach szczyt jeden, choćby najbardziej rozrodzony, stanowił jeszcze jedną rodzinę, nawet gdy członkowie jego z różnych się majątności pisali.

Cny Wilczura przyjęty był dawniej do zawołania tego; on, lub rodzic, czy w istocie ze krwi Napiwonów pochodził, nie wiedział Borkowicz, ale w starym żołnierzu widział pobratyma.

Możny pan ubogiego rycerza, który całe życie w żelaznej koszuli przcsłużył i pamiętał sławne boje Łoktkowe, a jak inne rycerstwo króla tego w bogactwo się nie wzbil — mało sobie szacował.

Lecz, co dziwniejsza, Wilczura, wojak prosty, który, krom swego rzemiosła, niewiele znał świata, — owego straszego i potężnego Borkowicza niewiele też ważył.

Chciał się doń dawniej zbliżyć Borkowicz i wabił go sobie, ale stary mu kazał powiedzieć, że jeśli poznać się z nim życzy, aby sam pierwszy doń przybył.

Teraz Maciek go sobie ująć potrzebował koniecznie. Nazajutrz więc po przyjeździe swym posłał pierwszego dworzanina do niego z prośbą, aby przyszedł z nim chleb przełamać.

Wrócił poseł z tym, iż Wilczura go znowu zbył hardo, że czasu nie ma, stary jest, a jeśli łaska, Borkowicza u siebie z chlebem czeka.

Chleb ten starych wojaków nadto znał Maciek, aby mu się kosztować zachciało. Wprawdzie niewykwintna była własna jego kuchnia, lecz nawet w drodze na zwierzynie, na omaście i na nabiale nie zbywało i Borkowicz, jeść lubiący a żarłoczny, na strawę zamkową nie był łasy.

Przeczul on to, co w istocie było, że Wilczura jadł to samo, co jego ludzie, lada jaki mięsa kawał, chleb czarny i polewkę z krupami, często stęchłemi.

Zagniewał się w początku na tego pokrewnego, nabur-

czał, wreszcie, u siebie podjadłszy, na zamek samotrzeć konno ruszył.

Zamczysko było położeniem warowne, ale go jeszcze dotąd ręka Kaźmirzowa nie tknęła, nie odrodził się z muru jak innych wiele; bronily go wały, ostrokoły, przekopy, a we wnętrzu murów mało co było, więcej szop i szalasów.

Nie było na co spojrzeć, tak nędznie wyglądało, a przecie się krzyżakom kilkakrotnie oprzeć mogło. Nie czyniono około niego dotąd nic, właśnie może dlatego, iż wkrótce nań kolej przyjść miała, gdy cały z muru wznieść się był powinien.

Wilczura, dowodzący załogą, mieszkał w izbie poczerniałej od dymu, mającej ledwie ławy i stół a tokowisko miasto podłogi. Tuż była łaźnia, od której buchająca para małe wejście zasłaniała.

Gdy Borkowicz, wjechawszy w podwórze, butnie i głośno o Wilczurę dopytywać zaczął, w progu izby z za pary łaźiebnej ukazała mu się postać, w której trudno się było dowódcy domysleć, chociaż nim była.

Człek słusznego bardzo wzrostu, chudy, kościsty, z szyją długą, lysy, z brodą postrzyżoną, siwą, policzki zapadłemi, — stał, w boki się ująwszy, w kaftanie i spodniach skórzanych, w skórzniach grubych, w narzuconej na ramiona opończy zszarżanej.

Stał, słuchał, patrzył i milczał; dopiero, gdy Maciek narobił dużego hałasu, huknął głosem ogromnym:

— Czego od dowódcy chcecie?

Borkowicz tedy, domysławiając się, kto był, z konia zsiadł i ku niemu szedł z wesołą twarzą, powiadając, iż pobratyma poznać pragnął. Sam mu się jako starosta wielkopolski mianował.

Na Wilczurze ani przyjazd, ni wspaniała postawa, ni nazwisko i godność przybyłego nie zdawały się czynić najmniejszego wrażenia.

Sklonił nieco głowy i rzekł:

— Rad jestem panu bratu, a że innej izby na zamku nie mam, jeno tę, — wskazał na drzwi — do niej proszę.

Rad nierad, w niskich drzwiach karku ugiąwszy, Maciek musiał wniknąć.

Do wielkich zbytków nie był nawykły, wszelako ta komora ciemna, w której resztki dymu, ostatki strawy, dziegieć, smołę i tłustość czuć było, zarzucona żelastwem i skórą, — niebardzo mu się podobała.

Siadłszy na ławie wąskiej a twardej, niepokrytej niczem, u stołu, na którym bulka chleba i nóż żelazny, a na miseczce bryłka soli leżała, Borkowicz sapnął i zamruczał coś, lecz nie rzekł nic.

Wilczura, posadziwszy go, sam stał, nimby sobie miejsce znalazł.

— Cieszę się niemało, że nareszcie was poznaję, — począł Maciek — bośmy to jednego szczytu oba. Dawnom chciał się do was zbliżyć, aleście wy do mnie nie chcieli.

Śluchał Wilczura.

— Była temu przyczyna, i niejedna — odezwał się stary wojak. — Naprzód ta, żeście wy Napiwon możny, a jam Napiwon ubogi. Gdy się biedny do bogatego zbliża, daje myśleć, że od niego chce czegoś, a ja od nikogo nic nie żądam. Potem, jam żołnierz, w jarzmie żelaznem chodzę, czasu nie mam. Patrząc tego, z czego chleb jem.

— Ano! — rozśmiał się Borkowicz — wnosząc z tego chlewa, w którym wam król mieszkać każe, i chleb musi być ościsty...

— Pewnie, ale taki żołnierzowi przystało — odparł stary. — Zębów on nie łamie, a do lepszego przywyklszy, coby na wojnie robił, gdzie i o ten trudno?

— Ale wam, coście postarzel pod zbroją, jużby czas też i odpocząć — rzekł Maciek.

Wilczura potrząsł głową.

— Nie. Człowiek, choć stary, coś robić musi: cóżbym ja począł, gdy nic nie umiem innego, krom jak się zbroja chędoży i konia siodła?

To mówiąc, Wilczura siadł poufale naprzeciw starosty na siodle wysokiem, które blisko znalazł.

Starosta, bądź co bądź, dla swojego dostojęństwa, sławy i bogactw, spodziewał się od niego większego poszanowania, lecz, potrzebując człowieka, zniósł lekceważenie.

— Pierwszego was widzę, — odezwał się — co się nie skarży na swój los... i innego nie pragnie.

Wilczura się uśmiechnął.

— I na to jest przyczyna — rzekł. — Żony nie miałem, dzieci nie mam, sam do tego chleba nawykłem, naco mi więcej i inaczej?

— A jakże tu u was na zamku? — odezwał się Maciek. — Mnie się widzi, licho sklecony... król coś o nim zapomniał.

— Bo ma pilniejsze do opatrzenia; — przerwał Wilczura — a te kletki, jak je widzicie, niepozorne, woda i ziemia

broni dobrze i lepiej, niż drugie mury! — Mało to jest ludzi, — dodał stary — co niepocześnie wyglądają, a przecie coś są warci. Tak i zamek nasz!

Uśmiechnął się.

— Przyjdzie kolej i na niego! Gdy Bóg królowi życie przedłuży, to kamiennym uczyni, jak inne.

Nie wiodło się Borkowiczowi, który dwakroć o króla zaczepiwszy, odprawę dostał; począł więc z innej beczki, o sobie, o tem, co on dla Wielkopolski czynić zamierzał, a potem jakby był rad krewniakowi usłużyć czemś i lepsze obmyśleć zajęcie.

Wilczura słuchał obojętnie, lecz ująć się za serce niczem nie dawał.

Do takiego oporu nie był nawykłym Maciek; naposiadł się więc, nie żałując czasu, Wilczurę sobie pozyskać. Przyjął od niego piwsko kwaśne, rozgadał się szeroko, starego do mówienia wyciągał i słuchał, — odjeżdżać nazad do gospody ani myślał.

Kiedy się to na zamku działo, a dwaj dworzanie, przybyli z Maćkiem, w podwórcu pozostawszy, nie mając co czynić, chodzili po zamku, ciekawie się w nim rozpatrując, — na mieście zaszło coś, co nagle położenie zupełnie zmienić miało.

Kochanowi Rawie zawsze i prawie we wszystkim szczęście służyło; — tak mu się też z trudnem tem ujęciem warchoła powiodło.

Z Krakowa wyruszywszy, dniem i nocą pędził Kochan do Poznania. Nie dojechawszy tu, dowiedział się przypadkiem o wyjeździe Maćka do Kalisza. Natychmiast za nim zawrócił.

Po drodze, śledząc siły przeciwnika, Kochan z wielką radością swą przekonał się, iż poczet towarzyszący staroście był mały, a w Kaliszu ludzi przy nim zostać miało niewiele.

Tu, wprost ku gospodzie mu wskazanej dążąc, w rynku dopytał znowu Rawa, iż dziwnem losu zrządzeniem Borkowicz właśnie przed chwilą samotrzeć do zamku pojechał. Szczęśliwszego wypadku ani mógł żądać, ni się spodziewać Rawa.

Chociaż konie i ludzi miał pomęczonych, musiał natychmiast do zamku zawrócić. Drugi raz się tak złożyć nie mogło, by Maćka samotrzeć i to w zawartem miejscu chwycić.

Jak szalony popędził Kochan ku wrotom i naprzód swoimi ludźmi je obsadził. Zaczynali się, widząc to, zbiegać żołnierze; wypadł z wrót drugi pułkownik, który był pod

rozkazami Wilczury, lecz temu Rawa, rozkaz pod pieczęcią królewską pokazawszy, milczeć polecił.

Chciano wolać Wilczury, na co Kochan się zgodził, ale nie wprzód, ażby wszystko, co potrzeba, było przygotowane.

Dwaj dworzanie Maćka, posłyszawszy u wrót wrzawę, powoli szli się o nią dowiadywać, gdy Rawa spostrzegłszy ich, wnet kazał pochwyć, związać i zakneblować, aby wrzawy nie czynili. Stało się to tak szybko i łatwo, bo się wcale nie spodziewali tego, co ich spotkało, że żaden z nich nawet krzyknąć czasu nie miał.

Zwijał się Rawa jak szalony, miecza dobywszy i od wrót nie odstępując.

Chociaż wielkiego hałasu nie było na zamku, przecież czujne ucho Wilczury coś pochwyliło. Borkowicz wciąż uparcie na ławie dosiadywał, musiał więc niespokojny dowódca wyprosić mu się, aby zobaczyć, co w jego grodzie pokój zakłóciło...

Maciek, sam pozostawszy na swej ławie, kwaśny był jak piwo, które pić musiał, lecz trwał w miejscu, bo się zawsze spodziewał ująć sobie Wilczurę.

Zaledwie ten w podwórze wyszedł, Rawa poskoczył ku niemu z królewskim rozkazem. Oslupiał Wilczura, lecz na krótką chwilę w dwóch słowach Kochan objaśnił mu wszystko. Wahać się i namyślać nie było można.

Stary żołnierz uśmiechnął się tylko, widząc, jak Opatrzność Boska zoczyńcę do łapki wpędziła, dając go w ręce sprawiedliwości.

Chociaż Borkowicz sam jeden był, a ludzi wiele nań czekało, Kochan nadto go znał, by mógł pomyśleć, że się podda nie broniąc.... Trzeba się było gotować do zajadłej z nim walki.

Wilczura, zamiast do izby swej powracać, kazał sobie przynieść zbroję żołnierską i miecz. Ludzie pętle i powrozy przygotowali; Kochan stał, korda dobywszy.

Naradzano się, jak Maćka z izby wykurzyć.

Tymczasem ludzie się u wniścia ustawili kołem, aby nie uszedł na waly, z których mógł do wody się rzucić.

Po oddaleniu się Wilczury siedział Borkowicz z początku spokojnie, dumając i oczekując powrotu jego. Wrzawa przytłumiona w podwórzu wcale go nie obchodziła, nie domyślał się nic wcale.

Gdy wreszcie dowódca nazbyt długo nie powracał, a to odejście jego za ubliżające sobie począł uważać, Maciek

wstał z ławy, jeszcze się nic nie dorozumiewając, oprócz grubiaństwa Napiwona.

Klął gbura. Mialli nań czekać, czy wyniść i jechać precz obrażony? Wilczury mu przecież potrzeba było koniecznie: nie rozpaczał jeszcze, że go zjedna. Musiał więc w izbie śmierzdzącj, w zaduchu czas jakiś jeszcze spędzić. Siadł mrużąc. Wilczury jak nie było widać, tak nie było. Borkowicz z nudy nasluchiwać począł.

Co się na zamku działo, nie mógł zrozumieć. Słyszał wyraźnie szepty, stąpanie szybkie, tłumne, bieganie około ścian, stłumionemi głosy wydawane rozkazy...

Lecz i teraz jeszcze nie przeszło mu przez głowę, by się to jego tyczeć miało.

On, co marzył o panowaniu tutaj!

Oczekiwanie trwało dobry czas, gdy naostatek, djabłem wykławszy niegościnnego Napiwona, Borkowicz kolpak nałożył i do drzwi kroczył.

Drzwi, jak mówiliśmy, były niskie, a para z łaźni wprost ku nim buchała. Maciek, otwierając je, schylić się musiał i za oblokiem pary nic dojrzeć nie mógł, oprócz, że siła ludzi dokoła stało...

Głowy jeszcze zgiętej we drzwiach nie miał czasu rozprostować, gdy niewolnik Tatarzyn, który na zamku do posług był używany i konie na arkany łapał tak zręcznie, iż mu żaden nie uszedł, postawiony umyślnie z boku, na szyję staroście pętlę cisnął.

Niespodziewający się niczego Maciek na ziemię padł, ryk wydawszy z piersi, jak dzika bestja. Wnet też całą siłą, a miał ogromną, podniósł się, rzucił, targnął i byłby pętlę zerwał może, gdyby wnet ludzi kilku nie przypadło i nie obalilo go, na kark mu i na ramiona siadlszy.

Borkowicz rękami miecza sięgał, gdy mu je w tył porwano i krępować zaczęto. Drudzy nogi już, któremi wierzgał, broniąc się, wiązali.

Pomimo przewagi ludzi tylu, starosta długo się rzucał, targał i, rycząc, bronił jako mógł, w ostatku zębami chwytął, co napadł, tak, że jednemu z wiążących go kawał ucha ugryzł.

Próżny to był wysilek; po krótkiej chwili leżał obalony zbój, sznurami cały spowity, a Kochan z papierem królewskim stał nad nim.

Cizba się ogromna zbiegła z zamku całego na to widowisko, a że wszyscy niem zajęci byli, nie zważano na to,

że niespokojny o pana, starszy dworzanin Maćka wpadł dowiadywać się o niego na zamek i, ujrzawszy załedwie, co się działo, ponieważ wrót już nie strzeżono, zbiegł zaraz do miasta.

Kochan tymczasem wobec świadków czytał leżącemu wyrok królewski, skazujący go na śmierć. Kara jak na ojco-bójców wymieniona w nim była.

Piorun ten, który padł na człowieka uzuchwalonego szczęściem własnem w chwili, gdy się zwycięstwem przechwalał i robił nowe zamachy, innego byłby ubił może... Borkowicza tylko wściekłym uczynił.

Zakrwawione oczy zdawały się na wierzch wychodzić, twarz siniała, żyły nabrzmiały, piana okrywała usta, związany wyprężał się tak, iż sznury niektóre porwał i nowemi go krępować musiano, nie prosił jednak litości, ani rycząc, rzekł co innego, nad przekleństwa okrutne.

Jakgdyby tego, w czyjej był mocy, okrutniejszym chciał uczynić, zamiast go błagać, Borkowicz bezcześcił Kochana i lajał najsromotniejszymi wyrazami.

Ale Rawa w tej chwili był tak szczęśliwy, iż trudnego dzieła z nadzwyczajną łatwością dokonał, iż przekleństwa i obelgi, śmiejąc się, znosił.

Niektóre z nich utkwily w jego pamięci i sercu, choć nie dawał poznać tego po sobie, bo ludzi było dosyć przytomnych.

Przeczytawszy wyrok i rozkaz królewski, Borkowicza do izby na dole w zamku kazał zawlec, więzów nie tylko nie ulżywszy mu, ale mocniej jeszcze dla bezpieczeństwa skrupowawszy. Dwudziestu ludzi z załogi postawiono na straży, pod gardłem im zagroziwszy, aby na chwilę więźnia z oka nie spuszczały i nikomu się do niego zbliżać nie dopuszczali.

Kochan na chwilę ustąpić musiał, aby spocząć, gdyż na nogach ze znużenia ledwie się mógł utrzymać.

Z zamku natychmiast oddział wysłano silny, aby ludzi Borkowicza zagarnął i wszystko, co przy nich było, gdyż całe mienie zdrajcy i majątności, nadane mu przez króla, na skarb miały być zabrane.

Wysłani wszakże, gdy do gospody przybiegli, już w niej nie znaleźli nikogo, porozrzucaną tylko słomę, siano i jeden wóz pusty z kołem złamanem. Borkowicza ludzie wszyscy się rozbiegli, pochwyciwszy, co kto mógł.

Nie chciał Kochan, z obawy rodziny i przyjaciół, Borkowicza ani w Kaliszu trzymać na zamku, ani go tu karać,

gdyż i rodzaju śmierci nie postanowił był, i chciał o to słać do Krakowa. Wprawdzie król zostawił mu wolę tak z nim postąpić, jak sam chciał, byle życie postradał śmiercią okrutną i trwogę obudzającą, lecz Rawa na siebie za nią odpowiedzialności brać nie chciał.

Pamiętał, iż z ust króla wyrwało się, gdy go odprawiał:
— Żadnego miłosierdzia nad nim, ani względu na urząd i ród... Bydlę to, niech jak bydlęta ginie...

Śmierć ta bydlęca, jaką być mogła, Rawa nie umiał odgadnąć, a wprost leć mu uciąć kazać, za mało było...

Wieść o ujęciu Borkowicza i wyroku na niego piorunem się rozeszła po okolicy. Roznieśli ją zbiegli ludzie jego.

Tejże nocy, nieopodal znajdujący się brat dowiedział się o tem, a że mu w wielu napaściach i gwałtach posilkował, i podobnego obawiał się losu — natychmiast pośpieszył na naradę z synem, chcąc z nim razem, zabrawszy trochę ludzi i grosza, przerzucić się zagranicę.

Kochanowi z Kalisza pilno było, lecz i on, i towarzysze jego, i konie ze znużenia padały, musiano więc spoczywać.

Tymczasem brat Maćka i syn znieśli się z sobą. Jaśko uchodzić chciał, aby pomścić brata, syn ratować, odbijać, wykupić pragnął, i zdawało mu się to możliwem. Nie słuchając rady stryja, gnał co najprędzej do Kalisza, gotów za ojcem i do Olkusza pędzić, póki by go żywym wiedział.

Przybywszy do miasta, nie tracąc chwili, choć wiedział, że go to życie kosztować może, młody Borkowicz wpadł na zamek. Do ojca chciał, nie puszczono go.

Wrzawa wywołała Kochana, który miał czas ochłonąć, stał więc z krwią zimną naprzeciw młodego, który z gniewu, złości i żalu ledwie mógł mówić. Ojcowska duma nie opuściła dziecka... Uniżyć się i prosić nie umiał — począł od napaści i wyrzutów... od pogroźek... Chciał do króla jechać, czynił Kochana odpowiedzialnym za życie ojca...

Trudno go było zrozumieć, tak wszystko się w mowie jego mieszało bezładnie... Rawa, przywiązaniem dziecka tłumacząc to sobie, słuchał dosyć obojętnie.

— Posłany jestem z ramienia króla, — odparł zimno — uczynię to, co mi rozkazano. Ani postrachem, ani błaganiem nic ze mną nie uczynicie. Mamli radzić, bo mi waszej młodości żal — uchodźcie, pókiście wolni.

Niepodobna było krzyczącego i rzucającego się pozbyć inaczej, tylko go gwałtem z zamku wyganiając. A że nowych najść lękał się Kochan, natychmiast wóz sposobić ka-

zał, rzucono weń Borkowicza, przywiązując do desek, ludzie straż trzymający posiadali dokoła, otoczono wóz żołnierzem silnie uzbrojonym, sam Kochan na koń siadł i ruszył do Olkusza.

Tu z Krakowa miał wyglądać odpowiedzi, jaką śmiercią król go ukarać każe. Na zamku olkuskim bezpiecniej czekać z nim było, a przyjaciółom Maćka niełatwo się tam dostać.

Nietajno było Kochanowi, że Maciek, oprócz brata i syna, prócz tych, którzy ze strachu do niego lgnęli, miał wielu w Wielkopolsce skojarzonych i przyjaznych, którzy się mścić mogli.

W Olkusz, dokąd naprzód dano znać, znalazł Rawa u wrót przestraszonego burgrabiego zamkowego, który wypraszał się więźnia królewskiego pilnować i odpowiadać zań, wiedząc, kto był. Przynosił klucze, stał pod rozkazy Kochana, ale sam od wszystkiego się wymawiał tem, iż ani straży dosyć, ani izb zamczystych nie miał.

Postawiono w podwórzu wóz, nimby Kochan obmyślił, gdzie Borkowicza umieścić.

Czasu drogi mógł się przekonać, towarzysząc mu, iż Maciek bynajmniej nadziei wyrwania się z więzów nie rzucił. Nocami, leżąc na wozie, gryzł i rozrywał sznury, straż usiłował obictnicami wielkimi przekupywać, miotał się, na chwilę nie ustając krzyczeć i odgrażać się.

Na zamku olkuskim nie było w istocie zamknięcia bezpiecznego dla człowieka, do którego się mogli usiłować dostać brat, syn lub przyjaciele.

Burgrabia, którego Morawcem zwano, naostatek powiódł Kochana ku wieży północnej. Ta była na więzienie dla najniebezpieczniejszych złoczyńców umyślnie zbudowaną. Drugie tyle, ile jej wyżyna nad ziemią wyrosła, w głąb było obmurowanego lochu, do którego po drabinie schodzić musiano. Sklep bez okien miał jeden ten tylko otwór w górze, który drzwiami żelaznymi się zamykał. Ciemny, wilgotny, głęboki i wąski, jak studnia, służył dotąd tylko dwom zbójom, których z niego na rusztowanie wyciągnięto, po miesięcznym pobycie, już prawie ledwie żywych. Był to grób, w którym śmierć przychodziła powolnie, w męczarniach nocy, chłodu, zgnilizny...

Morawiec jedną tę jamę znajdował dla zamknięcia Borkowicza bezpieczną, a Kochan, spojrzawszy w nią, zgodził się, aby do niej spuszczonego złoczyńcę. Chciał z nim do-

czekać tu ostatniej królewskiej woli. Morawiec tylko za tę studnię chciał ręczyć, iż z niej się więzień nie dobędzie i nikt do niego dostać nie może. Litości nie miał nikt nad nielitościwym.

Tymczasem, nim od króla otrzymał wolę jego, Kochan na smutnym, pustym, więziennym zamku osiąść musiał.

Borkowicza, mimo oporu, spuszczone na dno, rozcięto mu więzy i rzucono garść słomy. Morawiec natychmiast drabinę kazał wyciągnąć, drzwi zamknął i straż u góry postawił.

Dziesięć dni czasu upłynęło, nim odpowiedź nadeszła z Krakowa. Tam skargi na Borkowicza, dowody zdrady, opowiadania o okrucieństwach, popełnionych przez niego, płynęły tak liczne, tak obarczające, a znalazło się tylu domagających się jak najsurowszej kary, iż wyrok przywieziony brzmiał... głodem go umorzyć.

Razem z nim, główny wróg Borkowicza, Nałęcz, Gruszą zwany, któremu on żonę zbezczeszczył i o śmierć przyprowadził, nadbiegł, dobrowolnie się ofiarując za oprawcę. Miał ustne pozwolenie króla tak z nim postąpić, jako chciał.

Jego to sprawą było, iż Maćkowi do lochu wiązkę siana spuszczone, jak bydłociu, i miarkę wody. Grusza sam usiadł u drzwi jamy i czatował na jęki skazanego, napawając się niemi.

Zgroza przejmowała wszystkich, bo choć zbrodnie i winy były niezliczone i wielkie, kara się wydawała nieludzką.

W sile wieku, Borkowicz męczył się dłużej, niżeli sam wróg jego się spodziewał. Pił wodę, gryzł suche siano; być bardzo może, iż, gdy Grusza spał, ludzie przez litość chleb mu rzucali — dość, że tydzień i dwa upłynęły, a na dnie studni jęk, ryk i przekleństwa słyhać było.

Grusza wołał cza-ami nań, Borkowicz mu urąganiem i obelgami odpowiadał — jedli się tak słowy, dopóki Nałęcz drzwi nie spuścił i nie położył się na nich. Następnego dnia słuchał, zawsze spodziewając się, iż śmierć go od katowania tego uwolni; lecz Borkowicz żył i żył.

Głos jego tylko, z początku silny, słabnął, chrypl i stawał się coraz niewyraźniejszym.

Grusza, gdy czwartego tygodnia nie słyszał już nic, tylko sapanie i mruczenie, spuszczał na sznurach pochodnię, aby zobaczyć, co się działo ze skazanym.

Stan jego był okropnym, lecz serca mściwego nie zmiękczył.

Opadła z niego przegniła i poszarpana odzież, ciało okryte było ranami, twarz straszliwie zmieniona. Z głodu pokąsał sobie ręce. Wstać już i ruszyć się nie mógł, leżał na barłogu, zmoczonym wilgocią, ohydnie skalanym... dysząc ostatkiem życia, a o litość nie prosząc... Wiedział pewnie, iż Grusza jej mieć nie będzie.

Kto wie, jaka nadzieja może do ostatka mu męczarnie tę osładzała?... W piątym tygodniu Nałęcz, gdy pochodnie spuścić kazał na dno, ujrzał wroga swego tak jak martwym, z głową w słomę wciśniętą, nieporuszonym, ale dyszącym jeszcze.

Gdy nad nim stanął Nałęcz i kopnął go nogą, znędzniały ten trup żywy poruszył się, podniósł głowę zwolna, wlepił w niego oczy zaszle już bielmem śmierci i wyjęknął:

— Księdza!

— Tobie? księdza? abyś piekła, które ci należy, uniknął? Giń marnie, jakeś żył... giń bez pociechy i przebaczenia...

Grusza domawiał tych słów, gdy wpatrzywszy się w twarz Borkowicza, nagle strwożony, umilkł. Mimowoli jego, mimo wiedzy, litość schwyciła go za serce...

Nie rzekł nic, i drżący, jak pijany, na drabinę się wdrapał... Siadł u góry i płakać zaczął:

Potem posłał po księdza...

Gdy kapłan, który szedł do lochu, po krótkim w nim pobycie dobył się na światło dzienne, osłabłym był tak widokiem męczarni i powietrzem, którem oddychać musiał, iż go podtrzymać trzeba było, aby nie upadł...

Czterdzieści dni konając tak, Maciek Borkowicz, po spowiedzi odbytej — słowa już nie rzekłszy — skonał.

Taki był koniec człowieka, którego wspomnienie długo potem na zamku olkuskim jak straszna baśń z prastarych wieków pozostało...

KRÓL CHŁOPÓW

Dzień był wiosenny, ale wiosna roku tego tak smutną była, jak jesień, co ją poprzedziła.

W całem królestwie Kaźmirzowem i sąsiednich krajach, jakby zagniewanego Boga prawica odjęła ludziom, co życie utrzymać miało.

Pola zasiane nie okryły się kłosami, łąki żółkły wypalone, powodzie, grady, sloty i skwary naprzemiany do ostatniego kłoska zniszczyły.

Blady głód, wiodąc mór z sobą, do chat zaglądał. Ludzie żywili się zieleń, korą drzew, wszystkim, co przez zeszlę gorączką usta przejść mogło, często śmierć, chorobę, szaleństwo przynosząc.

Wsie stały pustkami, a mieszkańcy ich rozbiegali się, szukając choćby najcięższej pracy, choćby niewoli, byle męczarni śmierci uniknąć.

Leżały na gościńcach niepogrzebione trupy, nawpół przez zwierza pożarte, przez kruki potargane, zgnilizną zatrutą napelniając powietrze.

W miasteczkach, do których ciągnęli wynędzniali wieśniacy, szerzył się mór, który przywozili z sobą. Rozpacz rozpasywała oszalałych.

Nikt bezpiecznym nie był, bo dla kawałka chleba suchego zabijali się bracia, gromady napadały na dwory, odbijano śpichrze, mordowano po gościńcach podróżnych.

Trwoga ogarniała i tych, co jeszcze chleb mieli, aby im go z życiem nie wydarto, unosili je możniejsi, chroniąc się za granicę... Ziemianie do miast się chronili. Lecz i znaczniejsze grody drżały o siebie... Mór już do nich głodowy zaglądał, rozprzegło się wszystko, gawieź mruczała i jęczała...

Po kościołach napróżno zanoszono modły do Boga, który znękanym ulitować się nie chciał...

W tym to roku, po strasznej zimie, której tysiące padło ofiarą, gromady białych i wynędzniałych widać było zbiegające się koło Bochni i Krakowa... Inne, na odgłos królewskiego miłosierdzia, szły trzebić gościńce, budować zamki... Śpichrze pańskie stały dla nich otworem.

Pod Bochnią, którą kanał poczęty miał z Krakowem połączyć, pomiędzy tłumami robotników zdaleka przywlekającymi się, wśród tych ludzi odartych i nędznych, których połowa spoczywała u ogniska, na koniu, okrytym szkarłatną oponą, widać było w małym poczcie stojącego męża, nie pierwszej młodości, którego włos piękny, ciemny i bujny gdzieś niegdyś srebrem się zasiewał.

Był to król...

Sam on chciał widzieć pracę ludu, który kochał, i płacę, którą mu ze skarbu wyznaczył. Szły na to i zapasy pańskie, i nagromadzone bogactwa...

Rycerstwo i ziemianie szemrali znowu... Zamiast karmić głodnych kmieci, czemu Kaźmirz im nie chciał do utrzymania ich na gruntach pomagać!

Tym, co się doń zgłaszali, odpowiadał pan, iż zasoby mieć byli powinni, zdawna gospodarząc, a lud, z roku na rok biednie przeżywający, czynić ich nie mógł; słuszną więc było ratować tych, co ratować się sami nie mogli...

— Sprzedajcie klejnoty, — mówił Kaźmirz — zbądźcie to, co do zbytku służy, ja też gotów jestem do ofiary, ale dla tych, którym, oprócz mnie, nikt nie wyciągnie ręki. A dając kmieciom, nie upodlę ich jałmużną... niech idą pracować, aby gościńce wodne i lądowe otworzyli dla handlu i życia. Taki głód się nawet przyda królestwu temu...

Urażony na króla jeden z ziemian krakowskich, nawykły zdawna szemrać przeciwko niemu, zadawał mu na głos, iż ziemiaństwu i rycerzom ginąć daje, a czerń nędzną żywi.

— Prawdę rzekł, — odparł król — bo z czerni tej, gdy przyjdzie zamożność i światło, łatwo uczynię ziemian i rycerzy, a z nich, gdy ręką zabraknie do roli, co żywi, do rzemiosła, które trzyma, do handlu, który bogaci, nie wydobędę nic...

Na tak jawną wzgardę, okazywaną stanowi, który się głównym a pierwszym na tej ziemi mniemał, odpowiadano cicho owem przewiskiem — król chłopów...

Kaźmirz nim być chciał i z tem się nie tał.

— Nietylkó królem, ojcembym dla nich być chciał, gdy

drudzy im braćmi być nie raczą, choć Chrystusowe mają na to przykazanie...

Tysiące łopat pracowało około kanału, który z Krakowa do Bochni kopano, zwijały się tłumy jak mrowie, pod wodzą postanowionej starszyny. Ład był w tych gromadach, jakoby w wojsku, które ciągnie na nieprzyjaciela. Nad brzegami kopanicy stały szalasy i budy, gdyby wsie naprędce sklecone... król i piece dla chleba, i łaźnie dla zdrowia, i szopy od sloty chroniące kazał powznosić.

Stał tu teraz i patrzył na lud swój, a serce mu rosło i radowało się. O wielu troskach zapominał, wiele przebytych chwil ciężkich płaciła ta godzina... Usta mu się uśmiechały, a oko, chodząc po tłumach, dumalo... Kiedy niekiedy z gromady bliższej, głową mu się jak znajomy pokłonił człek jaki, który pamiętał, że z królem mawiał, a król go też sobie przypominał. Czasem wyszedł odarty człek i z tą poufałością dziecka, które wie, iż mu rodzic źle nie życzy, zbliżał się powoli do króla.

A przykazanem było, aby nigdy nikt nie śmiał bronić ubogim przystępu do niego.

I teraz właśnie, gdy król, wysunawszy się naprzód przed orszak swój, na pracujących spoglądał, ojcowskiem ich zagrzewając okiem, dorodny, ale wynędzniały mężczyzna, łopatę swą w ziemię utkwivszy, wolnym krokiem zbliżać się począł do Kaźmirza. Król patrzył nań z uwagą wielką, usiłując go sobie przypomnieć, a poznać nie mogąc...

Rysy twarzy przypominały mu się, jakby całkiem obcemi nie były, lecz lud na pokrewne lica i braterstwo wygląda cały.

Mężczyzna był silny, zbudowany jak dziecię plemienia, którego niemowlęta słabsze, do trudów życia nie dość wyposażone, umierają w kolebce, a ci tylko na zimnie i głodzie rosną, którzy do walki są zbrojni.

I ten człek wiele przecierpieć musiał i zwyciężyć, widać to na nim było. Prawem tem, które dziwnem się zdaje, a jest rzeczywistem, cierpienie zahartowało go, nie wyczerpało. Widać było, że wiele jeszcze znieść potrafi dlatego, iż przebolewał już wiele.

Z oczów wpadłych głęboko patrzył smutek ostygły, rezygnacja męstwa wielkiego. Wyżółkły, wybladły, wyschły, przed czasem zestarzały, silnym był jeszcze... Zapracowane ręce nie drżały znużeniem, głowę niósł wysoko, plecy mu wiek nie przygniótł, trzymał się, prosty jak sosna... Odzież

miał lichą, wyszarzaną, połataną koszulę zgrzebną i grubą, skórznie korą lipową pootykane, siermięgę dziurawą, czapkę od sloty wyblakłą, lecz w tem nędznem ubraniu tak szedł przed króla śmiało i pańsko, jakgdyby jedwabiami i złotogłowy był okryty.

Król stał na koniu, chłop przystąpił i do nogi się pochylił. Podniósł potem wejrzenie smutne ku panu.

— Z czemże to przychodzisz? — spytał Kaźmirz łagodnie.

— Z pokłonem, z pokłonem — odparł wieśniak, wpatrując się w pana. — Dawnom ja nie widział króla mojego, a dobrze zapamiętał!

Westchnął, mówiąc to.

— Wszakci to biedne ojczyisko moje to szczęście miało, żeście u niego w chacie gościli, a macierz i siostra posługiwały wam... Lepsze czasy były... Przyjąć choćby pana czem się znalazło, a dziś...

— Toś ty z Prądnika? — zapytał Kaźmirz, przypominając sobie Wiaducha.

— A tak! miłościwy panie... ale dziś mnie i moich już tam niema — rzekł powoli wieśniak. — Ojca... zabił Neorża, gdy z Wiślicy powracał, macierzy się zmarło... i mnie się nie wiodło... Przyszło choróbsko i wymiotło mi chalupę... zostałem sam...

Spuścił głowę.

— Nieurodzaj, głód... bydło i chudoba wypadły, spaliła się chata... nie było co w niej robić, poszedłem w świat. Nie zlitował się nikt nade mną, do króla się dostać z bólem i skargą nie mogłem... Już myślałem, że mi gdzie pod płotem przyjdzie kończyć, kiedy nas do roboty zawołali. Poszedłem z łopatą! Niech wam Bóg płaci, panie nasz: gdybyście nie zlitowali się nad nami, nie ja jeden, ale tysiąceby nas, jak muchy, popadało...

Sluchał król westchnieniami przerywanej mowy, milczący i zadumany.

— Żleś uczynił, — rzekł — żeś nie przyszedł do mnie zawczasu... Jadłem wasz chleb, byłbym ci go obmyślił...

Chłop głową potrząsł. Swobodną miał mowę jak ojciec.

— Choćbyście chcieli, — odparł powoli z uśmiechem smutnym — nie moglibyście wszystkiej biedzie ludzkiej zaradzić. Nie jam jeden był bez chleba. A na zamek za rycerstwem, dworem i pany nie docisnąłby się człek biedny.

— Wiecie, że u mnie dla was drzwi otwarte — zawołał Kaźmirz.

— A no, strażę przy nich stać muszą, — począł wieśniak — siermięgi połataney nie przepuszczą.

— Cóż z gruntem i chatą się stało? — spytał król.

— Chałupa spłonęła, grunt zajałowiał, Neorża tam już wsadził jakiegoś przybłądę.

Potrząsł głową.

— Mnie tam już nie powracać, — rzekł — ciągleby człek na swych nieboszczyków patrzeć musiał i samby się tym żalem zamorzył.

Za królem stał pisarz, ku któremu się zwrócił Kaźmirz.

— Ziemię ci w królewszczyźnie wyznaczyć każe, — odezwał się, dając znak pisarzowi, aby go zapamiętał — zgłoś się po nią, a na chudobę także ci z Bochni grosz jaki dadzą.

Śluchał obojętnie dosyć syn Wiaducha.

— Ręk opuszczać nie trzeba, — dodał król — starym nie jesteś, pracować możesz.

Ręką ukazał mu pisarza, który skinął, aby się przybliżył.

— Ten ci sprawi wedle rozkazanja mojego. Nim starość nadejdzie, masz czas jeszcze gniazdo usłać sobie.

Nic nie mówiąc, obdarowany, w nogę króla pocałowawszy, ustąpił.

Nie pierwsza to była rozmowa i dobrodziejstwo tego rodzaju; powtarzały się niemal codziennie nadania ziemi i osadzania bezdomnych, a ze skarbu pieniężne datki.

Wszystko to w świadkach, rycerstwie i ziemianach, zamiast poszanowania dla króla, coraz większą ku niemu niechęć budziło. Ukaranie Borkowicza, o którego zbrodniach zapomniano, a śmierć straszną pamiętano tylko, szło także na karb niechęci króla ku ziemianom i rycerstwu.

Potwierdzenie Bolesławowskiego przywileju Żydom, spanoszenie się Wicrzyńka, który, służąc królowi, zebrał skarby, o których cuda prawiono — wszystko to potwierdziło przekonanie, iż Kaźmirzowi szło o poskromienie przewagi tego stanu, który nawykł się był za najzaciejszy i najdostojniejszy uważać.

Król czuł to może, lecz nie dał nigdy poznać po sobie, iżby się troszczył o to, co myślą i mówią o nim ludzie jakiegokolwiek bądź stanu... Szlachta już całą w tem pokładała nadzieję, iż następca Kaźmirza, Ludwik, dźwignie ją i dawne jej znaczenie przywróci.

Matka domniemanego następcy i on sam w ciągłych byli stosunkach z zamożniejszymi panami królestwa, których coraz większemi obietnicami ujmowali sobie.

Nadzieje męskiego potomstwa i tym razem króla zawiodły. Rodziły się córki. Z Rokiczany i Esthery byli synowie; z prawego małżeństwa Bóg nie dał Piastowi potomka. Korona szła po kądzieli na Węgry.

Król wyrzekł się już marzeń wszelkich i zamiast syna ze krwi swojej, chciał tylko pozostawić prawa i zakłady, któreby imię jego uwieczniły.

Kraj cały odżywał, zaludniał się, urządzał, zagospodarowywał. Wznosiły się mury, prostowały drogi, nasypywały śpichrze, napelniały skarbcie. Tylko po światło musiano jeszcze jeździć zagranicę i szukać go u obcych.

Wszystkiego dokonawszy, król własną szkołę wielką chciał mieć w Krakowie — i na Bawole rzucił pierwsze posady tej Akademji, która z jego myśli wyrosnąć miała na matkę — nauczycielkę narodu.

— Umierać mogą teraz spokojny — mówił do księdza Suchywilka z łagodnym uśmiechem i dumą człowieka, który cel życia osiągnął. — Ani głodu, ani nieprzyjaciela, ni ciemnoty i barbarzyństwa, ani niesprawiedliwości kraj mój obawiać się nie powinien. Sam sobie i światłem i sądem starczyć może, nie sięgając po prawa i naukę do obcych. Ziarno rzucone, Bóg ześle na nie rolę i słońce.

— Miłościwy królu, — odpowiedział Suchywilk — uczyniliście wiele, ale żyć wam potrzeba dla nas, aby to, coście zasadzili, urosło, wkorzeniło się, a pierwsza burza młodych latorośli nie obaliła.

Było to ostatnich dni września roku 1360. Jesień już przemawiała chłodem, przymrozki ścisnęły ziemię, niebo, szaremi osłonięte oponami — rzadko promieniom słońca dawało się precisnąć.

Innych lat pora ta roku przynosiła z sobą wesele — stodoły były pełne, po wsiach kojarzyły się wesela, myśliwi ciągnęli w lasy za zwierzem na zimę przyodzianem, po miastach przygrywały muzyki i wypełniały się gospody. W tym roku niepokój jakiś ogarniał wszystkich, lękano się czegoś — pomorku, głodu znowu, czy wojny? Nikt powiedzieć nie umiał. Na ludziach ciążyło jakieś klęski przeczucie.

W Krakowie tęskniono za królem. Dawno go tu już nie było. Wybrał się oglądać swe zamki i ziemie swoje, naznaczać, gdzie jeszcze nowe mury wznosić się miały i nowe karczować gościńce. Objechał był Wielkopolskę, ciągnąć

miał potem przez Sieradzkie na południe i zatrzymał się w niedawno dokończonym zamku swoim, w Przedborzu.

Spodziewano się go zpowrotem, obiecywano wkrótce... król nie powracał.

Wieczorem ostatnich dni września Mikołaj Wierzynek, spokojnie na ławie siedząc, z jednym z panów rajców rozprawiał, który stał przed nim w postawie pełnej poszanowania, jakie należało temu, co cesarza i królów miał szczęście ugaszczać i obdarzać.

Urosł był pan Wierzynek, hebru Łagoda, na jednego z najzaciejszych w królestwie tem ludzi, tak, jak samo to królestwo za panowania Kaźmirzowego urosło i spotęgniało... na jedno z wielkich mocarstw na Północy...

W komnacie gorzał piękny ogień na kominie, który wieczorne światło zastępował... Ruchomemi jego błyski lśniły się naczynia i sprzęty, których izba ta pełną była.

Najmożniejszy mieszczanin krakowski mógł się otoczyć zbytkiem i iść o lepsze z pierwszymi ziemianami. Nie posiadał może tyle, co oni, ziemi i majątności, ale w skrzyniach jego nagromadzone skarby starczyłyby nie jedne pańskie dobra opłacić.

Rozprawiano o sprawach miasta, które urosłemu z jego handlu, w jego łonie Wierzynekowi na sercu zawsze były. I ono też za tego panowania błogosławionego z nędznego i zniszczonego, mimo morów, głodów i pożarów, wzniosło się i zabudowało wspaniale. Katedra na Wawelu świeciła dachami kruszcowymi, licznych kościołów wieże podnosiły się ku niebu, zamek rozrosnął się, rozszerzył, ozdobił, okrył jakby królewską purpurą. Poznałżeby go dziś Łoktek, który na gruzach popiołem okryte wjechał tu niegdyś, ledwie izbę dla siebie i żony na schronienie znalazłszy?

Nagle, wśród spokojnej rozmowy, Wierzyńska ucho uderzył tętent konia, który się u wrót kamienicy jego zatrzymał. Nie było w tem zaiste nic niezwykłego, przecież drgnął, jakimś przeczuciem tknięty gospodarz, dał znak ręką, zamilkł i pilno ucha nadstawił.

Rajca, widząc oczy jego zwrócone na drzwi, które sobą zasłaniał, usunął się od nich zdumiony nieco.

Wkrótce pośpieszne kroki, zbliżające się ku nim, usłyszano. Wierzynek też wstał i szedł ku nim skwapliwie. Otworzyły się one i w stroju podróżnym, płaszczem przyodziany, w butach zbloconych, Kochan Rawa ukazał się na progu. Towarzyszył on panu swojemu w podróż i wracał z niej,

widać było na twarzy jego znużenie wielkie i jakby rozgo-
rączkowanie.

Wierzynek rękę doń wyciągnął z uśmiechem, lecz spoj-
rzawszy na zmienione i smutne lice jego, nie zdołał nawet
powitać. Oczy niespokojnie wlepił w Kochana.

— Wraca król? — odezwał się wreszcie do wahającego
i oglądającego się po izbie gościa.

— Nic więc dotąd nie wiecie?

— Na Boga, cóż wiedzieć mam? mówicie!... — chodziły
smutne wieści!...

— Wkrótce to dla nikogo już tajemnicą nie będzie —
zawołał Rawa z westchnieniem ciężkiem. — Niestety się
stało! Bóg może nas od większego uchwata...

— Żyw król? — krzyknął, łamiąc ręce, Wierzynek.

— Żyw, Bogu dzięki... lecz srodze cierpiący...

Kochan, stojący dotąd, rzucił czapkę na stół i padł na
bliskie siedzenie; drżał ze znużenia.

— Mówcież, na Boga, co się panu naszemu stało! — za-
wołał przerażony Wierzynek — pana naszego, ojca spotkało li
nieszczęście jakie? zachorzał?... nie wierzyliśmy pogłoskom...

Rawa spuścił głowę i potrząsł nią.

— W Przedborzu byliśmy — rzekł — na samo Narodze-
nie Najsw. Panny. Królowi się na łowy wcale nie chciało,
choć go na nie namawiano. Nieszczęsny dzień, nieszczęsna
godzina... Bogdajby był na te łowy nie jechał. Kapelan mu
odradzał dla uroczystości, on sam ociągał się, znaleźli się do-
radcy, co go namówili... Jelcnie miano gdzieś upatrzonego.
Dzień był piękny, konie gotowe, myśliwi niecierpliwi... Król
mszy na zamku wysłuchał i siadł na koń.

Wiecie, jak on poluje; kilka czasem miesięcy o łowach
nie pomyśli, ani tęskni za niemi, a wybierze się w las, po-
słyszcy psy, zobaczy drugich goniących za zwierzem, nikomu
się wyprzedzić nie da... Tak i w lasach przedborskich było...

Jeleń pomknął przed nim. Puścili się za nim łowcy ze
psy i oszczepami, król konia swego pognął w gęstym le-
sie, gdzie powalów i kłód tyle było, co żywego drzewa. Gna-
liśmy za nim, ledwie mogąc nadążyć. Jam z oka go nie
spuszczał. Nagle znikł mi, jakby się pod nim ziemia za-
padła.

Przyskoczyłem przerażony... patrzę, koń na ziemi wy-
ciągnięty, król pod nim z lewą nogą naciśniętą, która na
ostrą gałąź padła... krwią broczy. W jednej chwili zbiegło

się nas dosyć do niego, koniaśmy podnieśli, król ledwie się mógł stłuczony i ranny z ziemi podźwignąć...

Lekarze oba, i mistrz Henryk z Kolna, i pan Maciej z Krakowa, którzy nam towarzyszyli, w Przedborzu na zamku pozostali.

Jako tako chustami obwiązaliśmy ranę, krew płynącą zatamowali. Trzeba było nosze sporządzić, aby go na rękę przenieść, bo na konia sięść nie mógł.

Śmiał się przecież zrazu i lekcewał sobie ranę, choć myśmy widzieli zaraz, że szkodliwą była. Po lekarzy pobiegł łowczy, aby naprzeciw pośpieszali.

Wiadomość o przypadku jak piorun na wszystkich padła.

Jeszcześmy do zamku z królem, którego nieść trzeba było zwolna, nie nadążyli, gdy już oba lekarze, naprzeciw nas wybiegłszy, stanęli przy panu.

Gdyby z nich jeden był tylko, możeby król już zdrów do tego czasu z łoża powstał.

Westchnął Rawa i wśród milczenia ciągnął dalej:

— Znać ich obu... mistrza Henryka i pana Macieja. Oba uczeni i pana miłujący, ale z sobą jak pies z kotem. Dość, by jeden z nich powiedział bialo, aby drugi zaraz czarno zawołał.

Mistrz Henryk ma Macieja za nieuka, Maciej Niemca za kuglarza. Jeden wierzy w mądrość z księgi, drugi trzyma, że u ludu tylko tajemnice tego, co zdrowiu pomocne, przechowały się. Mistrz Henryk przyprawia lekarstwa nieustannie, Maciej ziół szuka i naturze wiele zostawuje...

Nigdy się jeszcze na nic nie zgodzili... a dnia niema, żeby ząb za ząb nie klócili się z sobą nawet o strawę, którą król żyje...

Ale mistrz Henryk w opatrywaniu ran biegleszy jest i Maciej nasz ustąpić musiał mu pierwszeństwa.

W ciągu tego opowiadana, przerywanego westchnieniami, Wierzynek i rajca słuchali z oznakami przestrachu i niecierpliwością, aż pan Miklasz, nie mogąc się przezwyciężyć, zawołał:

— Na Boga, trzebaż go było, co rychlej tu, do Krakowa, choćby na rękach nieść! Przecież i lekarzy, i dozór, i wszystkoby znalazł, czego mu tam brak, a mybyśmy nań patrzyć i czuwać nad nim mogli.

— A zapewne, i król sam chciał zaraz do Krakowa, na Wawel! — rzekł Rawa — ale mistrz Henryk nakazał spoczynek. Z rany się zaraz wywiązała gorączka... nocą mówił

bezlądnie, krzyczał aż strach, a wiecie to, że nie lubi, aby go, gdy przez sen czasem co woła, albo i w gorączce, podsluchiwano.

Wierzynek i Rawa dali sobie znak oczyma. Wiadomem to było, iż Kaźmirz przez sen często jęczał, przypominając Amadejowe proroctwo.

— Musieliśmy — mówił dalej po przestanku Rawa — z Przedborza, gdy gorączka ta jakoś ustala, co mistrzowi Henrykowi przypisać należy, wieść go i nieść naprzemiennie do Sandomierza. Na wozie zbyt go rzucało i cierpiał więcej, mieniali się więc ludzie z noszami i powoli jakoś zawlekliśmy się na zamek.

Ale chociażśmy zawczasu tam oznajmili, aby izby chędogo wyporzadzono i poopalano, bo najgorsze jesienne w murach starych i niezamieszkanych powietrze, gdyśmy stanęli na miejscu, nie było gdzie chorego położyć, takeśmy zastali w jednych izbach zaduch wilgotny, w drugich chłód przejmujący...

Niedługośmy też tam popasali, bo król do Krakowa śpieszył. Było mu lepiej znacznie, więc surowego mistrza Henryka niebardzo chciał słuchać, a Maciej, korzystając z tego, wcisnął się, chcąc mu przychlebić. Nakazał był Henryk spoczywać, jeść niewiele, łaźni wcale nie używać; król się przeciwko temu dąsał, powiadając, gdy gorączka opuściła go, że się już całkiem zdrow czuje.

Nasz mistrz Maciej począł też w to grać, mówiąc królowi, że najlepsza lekarka natura wskazuje chorym, czego im potrzeba i do czego tylko król smak czuje, żeby sobie swobodnie zażywał.

Mimo więc Henryka, opierając się na tej radzie, poszedł król gwałtem do łaźni, choć dowiedziawszy się o tem, lekarz z Kolna za włosy się chwycił.

Niedosyć na tem, że mu wszyscy radzi służyć byli, nawieźli dlań jablek, gruszek i orzechów siła, które król zawsze lubił.

Powstała o to kłótnia między lekarzami, bo Henryk trzymał, iż owoce gorączkę wznowić mogą, a Maciej się upierał, iż je natura na to właśnie dała, aby chłodziły i orzeźwiały.

Król posłuchał mistrza Macieja i zaraz po łaźni i owocach tych nocą znowu majaczyć zaczął.

Dopieroż trwoga nas zdjęła straszna, a między lekarzami spór powstał taki, iż Henryk chciał dwór opuścić. Jeden na drugiego zło składał.

Z gorączki król pragnienia strasznego dostał, wołając wody. Mistrz Henryk nie chciał jej dozwoić, Maciej się upierał, aby mu jej dano, ile zapragnie, bo to przesilenie sprowadzi.

Odstąpił więc koloński lekarz, ręce umywając i wodę pić dano. A tuśmy dopiero postrzegli, iż coraz gorzej być zaczęło. Król, cokolwiek oprzytomniawszy, do Krakowa wołał i pędził. Zaprosił go na spoczynek do siebie pan wojewoda lubelski, a że po drodze było, niesiono go tam.

Źle było. Mistrz Maciej dowodził wciąż, iż przesilenie bliskie, że wprędce choroba zniknie, że król do Krakowa zdrów przybędzie. Koloński Henryk patrzył tylko, ramionami ruszał i nic czynić już nie chciał. Myśmy głowy tracili.

Mało co zabawiwszy u pana wojewody, kazał Kaźmirz nieść się do Krakowa, bo wozu nie mógł już dla boleści wycierpieć. Choć wojewoda na klęczkach prosił, Henryk spytany nie radził się ruszać, Maciej rzekł, że króla słuchać trzeba.

Więc chociażśmy go okrywali, ale w porę chłodną i wietrzną powoli ciągnąc, często na spoczynek dymną izbę mając tylko... z biedą okrutną dobraliśmy się do Koprzywnicy, do cystersów.

Tu w klasztorze wygodniej mógł król spocząć, a i na niczem nie zbywało, bo lekarstwa się u nich znalazły i co dla chorego na stół było potrzeba. I choć śpieszno było królowi do swojego Krakowa, że gorączka powróciła i wzmogła się, staliśmy z nim w klasztorze dni ośm.

Król, co przytomność cokolwiek odzyskał, pytał ciągle, czy już w Krakowie jest, niepokoił się bardzo. Ośm dni tylko przebyliśmy w Koprzywnicy, a stalibyśmy może dłużej i lepiejby było, ale Maciej, który na siebie wszystko wziął, też do Krakowa naglił, mówiąc, że tu lekarstwa swe i księgi ma.

Ciągnęliśmy z chorym do Osieka — westchnął Rawa — i ja stamtąd za rozkazaniem króla przodem tu przybyłem.

— Więc lepiej jest? — zapytał Wierzynek niespokojnie.

— Maciej powiada, że nie gorzej, Henryk mileczy, a wygląda, jakby sam był na śmierć skazany... Źle ja z jego oczu i milczenia wróżę. Bóg jeden wiedzieć raczy, jakim go doniosą do Krakowa...

Kończąc, Rawa sparł głowę na rękę i zamilkł ponuro zadumany.

Wierzynek stał, dłonie zacisnąwszy, a dwie łzy mu po twarzy spływały.

— A! nie! nie! — przerwał nagle milczenie. — Nie może to być! Bóg nas tak nie skarże, nie dopuści... król nie jest tak stary... silną naturę ma, zwycięży ona...

— I myśmý tak sądzili — odezwał się Rawa, — dopiero dni ostatnich trwoga nas opanowała. Choroba ta straszliwie go wycieńczyła... a ja Maciejowi nie ufam, choć on ciągle prawi, że przcsilenie nastąpi rychło...

— A król, król sam, jakże się czuje? co mówi? — spytał niespokojnie Wierzynek.

Na pytanie to Kochan, pogrążony w jakichś smutnych myślach, nie dał długo odpowiedzi.

— Nie chciałbym ani was, ni siebie nękać i odbierać nadziei, — rzekł wkońcu — ale król, król straszliwie zmieniony... Piękna jego twarz wychudła, oczy tylko goreją ogniem jakimś straszliwym... policzki wypalone, usta spieczone... Więcej drzemie i sypia, niż czuwa, a przebudziwszy się nie zawsze jest przytomny. Sen ten niespokojny mistrz Henryk ma za złą oznakę, a Maciej powiada, że natura go zsyla, aby nim osłabionego pokrzepiła.

— Najlepszy lekarz Pan Bóg! — wykrzyknął, gwałtownie się rzucając, Wierzynek — ja w Nim ufność pokładam, a jednemu i drugiemu z lekarzów wiary nie daję. Gdyby umieli co, nie dopuściliby chorobie się wzmóc.

Zamilkli chwilę, słychać tylko było wyrrywające się z ust ich westchnienia...

— Kiedyż przybędzie król? — zapytał gospodarz, który, nie chcąc odejść od Kochana, w miejscu wytrwać nie mogąc, kręcił się około niego, jak nieprzytomny.

— Nie wiem i obiecywać nic nie mogę — odparł Rawa. — Nieść go muszą powoli, nieustannie spoczynek potrzebny. Któż odgadnie, co w drodze jeszcze zająć może?

Tyle wiem, że i choremu, i Maciejowi do Krakowa pilno. Ale gorączka pośpieszyć nie daje — ale...

Drzwi się otwarły nagle i młodziuchny chłopak, pięknej twarzy, wyglądający pańsko, wpadł do izby. Nie pozdrawiając nawet Wierzyńka, podbiegł wprost do Rawy.

— Król? król? — zapytał go głosem, w którym pośpiech, z jakim tu biegł, czuć było.

Rawa podniósł wzrok ku niemu, nie wstając z siedzenia.

— Na Boga, co się stało? co się dzieje? Wiemy, iż przypadek na łowach miał, że potem lepiej mu już było! Dlaczego opuścili go? Czemu nie powraca?

Kochan nie dawał odpowiedzi.

— Mówże, abym choć ja do niego jechał!... — zawołał przybyły — jeżeli gdzie obległ? Niegorzej jużci??...

Czekał napróżno odpowiedzi od Kochana, który, na podługę patrząc, milczał.

Wierzynek zwolna ujął go za rękę.

— Król nie jest lepiej, — rzekł — niosą go tu z Osieka, rana nie zagojona... gorączki dostał.. Żle się ma, ale nadzieja w Bogu...

Młody panicz ręce załamał.

— Wy tam nic nie pomożecie, choćbyście jechali do niego — odezwał się niedbale Kochan. — Rychło go się tu spodziewać można... Żle jest...

— A lekarze?

Kochan ramionami poruszył i zamilkł.

Młodzieniec padł na ławę i głowę zwiesiwszy, zadumał się, a twarz jego zmieniła się dziwnie.

— Co się ze mną? co się z nami stanie? — zamruczał — uchowaj Boże nieszczęścia...

— Z wami?... — podchwycił Wierzynek — mówcie z nami wszystkimi i z królestwem tem... Nie o was jednych idzie... Gdy jego nie stanie, wszystkim ojca zabraknie...

Słów tych domawiał Wierzynek, gdy głosy tłumne dały się słyszeć w sieniach i kroki pośpieszne... Sprzeczano się o wniście, którego odźwierny wzbraniać musiał. Wołanie coraz żywszem się stawało.

Wiadomość o chorobie królewskiej, o przybyciu Kochana rozeszła się już po mieście, mieszczenie i ziemianie, znajdujący się w Krakowie, chcieli zasięgnąć o stanie króla wieści od jego sługi. Dobijano się do Wierzyńka...

Jeden z przybyłych, któremu wstęp nie mógł być wzbroniony, wbiegł do pierwszej izby, drudzy gwałtem się za nim wparli.

Przodem szedł ks. Suchywilk, tuż cisnęli się mieszczenie, kilku dworzan z zamku, Dobek Bończa i syn kasztelana krakowskiego.

— Król! król! — zaczęto wołać od progu.

Kochan wstał, zobaczywszy ks. Jana, który z posępną twarzą przybliżał się ku niemu.

Tłum otoczył go natychmiast.

Uciszone się, aby usłyszeć spodziewane szczegóły. Wieści o chorobie króla już były tu doszły, lecz jedni im wiary nie dawali, drudzy sobie lekceważyli małą obrazę przy szwanku z konia, znając króla silnym i wielce wytrzymałym.

Dla ks. Suchywilka Kochan musiał, choć krócej, powtórzyć wszystkie szczegóły.

Słuchano ich z natężoną uwagą, a niekiedy wykrzykniki i płacz cichy przerywał mu mowę. Na twarzach przytomnych malował się niepokój i trwoga. Przyszłość bez tego króla, niepewne losy Polski, mającej się dostać pod panowanie obcego monarchy, przerażały...

Przeczcucia złowrogie mieli wszyscy, opowiadania Kochana wcale ich rozproszyć nie mogły.

— Nie jestem lekarzem, — odezwał się ks. Suchywilk — lecz widzi mi się, że dwom leczyć dać chorego, gdy się z sobą nie godzą, nie należało. Mistrza Henryka znam z nauki głębokiej, Macieja z serca dobrego, a żywego temperamentu... Czemuż Henryka nie słuchano?

Kochan nie odpowiedział.

W tej chwili na ławie siedzący zadumany panicz młody wstał, przystąpił do Suchywilka, w ręce go pocałował i rzekł głosem cichym:

— Ojczy, nie zapomnijcie o nas...

Był to Jan Boguła, Rokiczany syn, z twarzy do króla podobny, a potrosze i z temperamentu... Majętności macierzyńskiej wiele już był utracił, król nie zbyt go lubił i świadczył mało.

Ks. Suchywilk dość zimno mu odparł:

— Król, mam nadzieję, tak źle nie jest, aby wszelka nadzieja odjęta została.

— Boże uchwaj! — podniosły się głosy zgromadzonych.

— Byle do Krakowa przybył, — przerwał Dobek — tu przecie więcej lekarzy się znajdzie.

— Mistrza kolońskiego słuchać potrzeba — rzekł ks. Suchywilk. — Z kolońskiej szkoły po wielkim Albercie najlepsi medycy wychodzą.

Ten i ów zagadywał jeszcze Kochana, który, pół słowy już tylko odpowiadając niechętnie, za czapkę ze stoła wziął, i pokłoniwszy się gospodarzowi, za ks. Suchywilkiem wyszedł.

Poczęli się wysuwać i inni za nim, i wkrótce Wierzynek pozostał sam, a choć godzina była spóźniona, nierychło poszedł na spoczynek.

Długo potem jeszcze w ulicach widać było niespokojnie się przesuwających ludzi, a gdy dzień następny chmurny i posepny miasto rozbudził, całe ono zdawało się jedną tylko troską o króla zajęte.

Nie mówiono po domach, po ulicach, po sklepach tylko o chorobie króla. Brali jedni stronę lekarza Macieja, drudzy mistrza kolońskiego.

Duchowieństwo, pomimo licznych fundacyj kościołów i łask królewskich, pamiętne śmierci Baryczki, przyjaźni z Estherą, naostatek dnia, w którym król na polowanie jechał, nie chcąc poszanować uroczystości, źle wróżyło.

Wszystko wydawało się mściwym palcem Bożym, który za śmierć kapłana swego na królu domierzał karę.

Gdy mieszczanie, Żydzi, lud pospolity i mała garstka tych, co bliżej stali Kaźmirza, boleli okrutnie na samą groźbę utracenia pana swego, znaczniejsza większość spozierała ku Węgrom z nadzieją, iż Ludwik naprawi, co im Kaźmirz popsował.

Rycerstwo szczególnie i duchowni zmiany tej chciwie i z upragnieniem wyglądało. Można było poznać usposobienia z twarzy posępnych i rozjaśnionych.

Ci, co z Ludwikiem trzymali, tegoż dnia potajemnie wyprawili poselstwo do Budy, donosząc Elżbiecie i jej synowi o chorobie niebezpiecznej, wzywając, aby co rychlej spuściznę obejmować przybywali.

Dla innych nadzieja utrzymania króla przy życiu jeszcze nie była straconą. Nie mogli i nie chcieli przypuścić, aby zmarł ten, którego żywot był tak potrzebny, bo wlewał życie w tysiące tych, co pozbawieni go być mieli bez niego. Król chłopów i biednych ludzi nie mógł się rychło w nim odrodzić, bo wieki zaledwie wydają wielkie umysły i serca te wielkie...

Jak skoro wiadomość o rychłym przybyciu króla do Krakowa potwierdziła się i stała pewną, codzień go tu wyglądać poczęto. Codzień też przybywali gońce, których w ulicach zatrzymywano, dopytując troskliwie.

Lecz ci nie przynosili żadnej pociechy. Niesiono króla już nieprzytomnego prawie, dopytującego ciągle, gdy z sennych marzeń się budził, ażali jest już w Krakowie.

Pamiętał Kaźmirz, iż mistrz Maciej tu go do zupełnego zdrowia przywieść obiecywał.

Nareszcie dnia 30 października oznajmiono, iż dnia tego król na zamek przybędzie.

Miasto całe wyległo na ulicę... a choć deszcz jesienny padał dnia tego ciągle, nikt nie zszedł się schronić, chcąc powrotu umiłowanego króla doczekać. Już nad wieczór uka-

zały się wozy i konie; króla niesiono osłoniętego kabłąkami, na których skóry szczelnie były poopinane.

Sześciu ludzi zwolna postępowało z nim w milczeniu, a obok noszów pieszko szli z głowami spuszczoneymi lekarz, dwór, urzędnicy.

Pochód ten powolny, nosze te żałobne, cichość wielka, bo i w tłumie żaden gwar się słyszeć nie dawał, czyniły pochód królewski do pogrzebu podobnym.

Pocichu lży tłumiąc i jęki, plakali ludzie, spoglądając zdala na czarne owe mary, w których król, żywy jeszcze, ale bezsilny, wycieńczony, bezpamiętny spoczywał.

Oczy ciekawych mogły tylko dojrzeć opon czarnych, ludzi smutnych, orszaku, którego twarze opowiadały, co cierpiał... Lud zwolna szedł aż ku Wawelowi za panem swym, za którym wrota się zaraz jakby na wieki zawarły...

Pogłoski w mieście krążyły jak najsprzeczniesze naza-jutrz. Utrzymywali jedni, że król oprzytomniał, mówił, czuł się lepiej, że nadzieja powróciła, drudzy — że nie rozpoznawał nikogo i że najbliżsi we łzach czekali strasznej godziny.

Oprócz rozporządzenia koroną, która już niewątpliwie siostrzanowi Ludwikowi dostać się miała, król nie uczynił żadnego swem mieniem osobistem.

Pozostawił dzieci i wnuki, a oprócz potomstwa z pierwszej i ostatniej żony — syna jednego z Rokiczany, Jana Bogutę, któregośmy widzieli u Wierzynka, z Esthery jednego Niemirę, bo Pelka zmarł młodo, i córek kilka. Wszyscy oni wyglądali od króla wyposażenia, opatrzenia losu swojego.

Tymczasem głośno już z tem odzywało się duchowieństwo, aby dzieciom Esthery i Rokiczany żadnej nie dać spuścizny, pochodzenie ich uprawniającej. Chciano pamięć tych miłostek nicszczęsných zatrzeć na zawsze.

Czwartego dnia po przybyciu Kaźmirza do Krakowa nikt już nie rachował na dłuższe życie jego... Henryk z Kolonji otwarcie oświadczał, że król, którego siły się wyczerpały, żyć nie może.

Mistrz Maciej u łoża królewskiego siedział, płacząc, bezmówny, w dolnej izbie południowego skrzydła zamkowego.

Około tej części zamku gromadziły się tłumy tych, którzy przystęp na Wawel uzyskali. Opowiadano sobie pocichu, iż Kaźmirz odzyskał całą umysłu przytomność i sposobił się na śmierć, której zbliżanie się czuł od powrotu do Krakowa.

Dnia tego ujrzano przybywającego na zamek biskupa, przyjechał Władysław, książę opolski, kasztelan, wojewodowie i pierwsi urzędnicy przywołani zostali.

W dolnej izbie tej rozstrzygły się losy wielu, tylko los kraju pozostał, wedle dawnych umów, przekazany Ludwikowi.

Przez cały dzień trwały u łoża króla narady. Spisywano wolę jego. Umierający miał do zwalczenia opór duchownych, niechęć rodziny prawej ku dzieciom, którym zaledwie małe mógł zostawić wyposażenie.

Od tej chwili zdawała się już śmierć króla nieodwołalną. Czekano tylko na odczwanie się dzwonów żałobnych na Wawelu.

Dnia piątego listopada grobowa cisza panowała w mieście, ledwie ze snu o rannym brzasku rozbudzonym, gdy pierwszy dzwon wielki u św. Wacława poruszył się i jęknął.

Wielkiej duszy pan — nie żył. Płaczem rozległo się miasto.

Gdy za pogrzebem króla, żałobą odziana z dwojgiem córek szła milcząca Jadwiga, królowa, osierocona, opuszczona już, mająca wkrótce zstąpić z tego zamku, na którym nigdy nie panowała, czująca, jak się dokoła niej rozstępowali ludzie — we dworze murowanym w Łobzowie, patrząc przez okno na gałęzie drzew z liści obnażone, siedziała niewiasta piękna jeszcze, postaci wspanialej, poważna i jakby z bólu skamieniała. Czarne jej oczy, wlepione w szary widok, jesiennymi spowity mgłami, nie widziały nic — patrzała w przeszłość i zapłakać nawet nie mogła. Dla niej wszystko się skończyło z uderzeniem dzwonu na Wawelu, nie król umarł dla niej, ale ona sama skonała z nim.

Dziesięcioletnie chłopię Niemira, syn jej, siedział niedaleko, patrząc na matkę... nie rozumiejąc tej wielkiej bolesti, która jej pamięć nawet o dzieciach odjęła. Opodal nieco dwie dziewczeczki ciekawie i nieśmiało spoglądały też na matkę.

Cisza panowała dokoła, lecz wiatr przynosił na skrzydłach z Krakowa jęk oddalonych dzwonów.

Esthera od powrotu króla przebrana, osłonięta, wciśnięwszy się na Wawel, stała, czekając miłosierdzia. Nie żądała więcej nic, żadnego daru dla dzieci, żadnej ofiary dla siebie — jednego spojrzenia, jednego stygnącej ręki uścisku.

Oczy króla szukały jej dokoła, serce czuło, usta się upomnieć nie mogły.

Surowe twarze duchownych i mężów, którzy słabości życia i serca nie znali, na straży stały, aby pożegnania nie dopuścić, wspomnienia nie dozwolić.

Ci, co niedawno dworowali i klaniali się Estherze, przechodzili teraz około niej, nie widząc jej i znać nie chcąc. Stała napróżno i czekała nadaremnie, nie chciała ustąpić sama dobrowolnie.

Drugiego ranka wyszedł kapelan królewski z brwią namarszczoną, głosem ostrym i szyderskim; kazano oczyścić przedsienie, wszystkim obcym ustąpić z zamku.

A ona była obcą! Sama jej przytomność kałała zamek królewski, widzieć jej tu nie chciano. Kapelan głośno zapowiedział, że wszyscy ustępować powinni; Esthera nie poruszyła się.

Zadumany Kochan Rawa przechodził; schwyciła go za suknię, która, z ramion spadając, za nim się wlokła — ale nie odezwała się ani słowa. Podniosła zasłonę z twarzy i spojrzała nań wielkimi oczyma...

Kochan stanął, poruszając ramionami.

Mógłże on tu co jeszcze?

Noc nadchodziła, szedł do królewskiego łóża...

Kaźmirz pogrążony był w tym śnie przedśmiertelnym, ciężkim, który często jest konania zwiastunem. Leżał, rzucając się niespokojny, usta i oczy otwierały się niekiedy. Z ust wychodziły wyrazy bez związku, odbłyski wspomnień wielu, ludzi wielu, cierpień długich... oczy patrzyły i nie widziały...

W chwili, gdy król zdawał mu się przebudzonym, Kochan zniżył się do ucha jego i szepnął mu jedno słowo, imię jedno. Drgnął król i oczy otworzył szeroko, szukał niemi cienia przeszłości — nie zobaczył nic, oprócz slugi i księdza. Ksiądz na straży stał i nie opuszczał już łóża.

Powieki zwolna zapadły na oczy znużone, Kaźmirz usypiał i marzył...

Kochan wyszedł wolnym krokiem w przedsienie. Na tej samej ławie, samotna, tam gdzie ją zostawił, siedziała Esthera...

Poczuła go przychodzącego, drgnęła, podniosła się, poruszyła nadzieją jakąś. Kochan nie śmiał jej odjąć słowy, ręce rozpostarł szeroko, głowę zwiesił — ruch jego wyrażał zwątpienie...

Podał jej rękę, w milczeniu wskazując ku wrotom. Nie-

ma scena odegrała się między niemi dwojgiem, Esther wierzyć nie chciała opuszczeniu, zapomnieniu, sieroctwu. Kochan przez miłosierdzie chciał jej ostatnią odebrać nadzieję.

Prawie siłą uchwycił ją, opierającą się jeszcze, i pociągnął z sobą. Esther obejrzała się, wahając, nagle jakby odzyskawszy moc duszy, odtrąciła rękę Kochana i krokiem poważnym iść poczęła ku bramie. Rawa w milczeniu postępował za nią.

Z licznej i zamożnej rodziny Esthery mało kto, oprócz Lewka, zbliżał się do niej. Ona sama unikała z nią ściślejszych stosunków, poświęcając królowi, któremu pochodzenie przypominać mogła niemiłe. Współwyznawcy, dla których była opiekunką, gdy szło o sprawy narodu, szanowali ją i patrzyli pobożająco nawet na to, że synów ochrzcić, jak było wolą króla, zgodziła się.

Lewek przychodził czasem do niej, gdy ważne sprawy wymagały, inni też jej nie potępiali.

Lecz w ciągu lat tych mało kogo widywała, żyła od swoich odosobnioną i oprócz żeńskiej służby Izraelitek nie miała przy sobie nikogo prawie.

W tej chwili, gdy odepchnięta, osamotniona wychodziła z zamku, przeprowadzona przez Kochana, który litość jakąś miał nad nią, na drodze ku wrotom zjawił się, jakby oczekując na nią, stary Lewko.

Teraz na niego przychodziła kolej być opiekunem tej, która już nikogo nie miała. Domysleć się było łatwo, iż wszyscy, co okiem niechętnem patrzali na te miłostki królewskie, które z latami stały się trwałem przywiązaniem, teraz korzystając ze zgonu, starać się będą upokorzyć, odpędzić gdzieś, ogłocić może ze wszystkiego kobietę, której za życia Kaźmirza ani się pozbyć, ani odegnąć nie mogli od niego.

Lewko z obowiązku krwi przychodził jej w pomoc, i przez pamięć dla Kaźmirza, którego, jak dobroczyńcę narodu swojego, czcił wielce...

Kilka słów, w języku Żydów przemówionych zcicha, zatrzymały Estherę. Rawa, zobaczywszy opiekuna tego, nie widząc potrzeby iść za nią, zawrócił ku zamkowi. Stary milczącą i posłuszną wyprowadził, ciągle po kilka słów szepcząc, za wrota.

To, co mówił, ona tylko zrozumieć mogła, lecz czy słuchała, czy słyszała, czy jakie bądź słowo mogło jej w tej chwili trafić do duszy?

Prawie bezprzytomną wiodąc tak z sobą, kierując nią, bo nie wiedziała, dokąd szła, Lewko u stóp góry do stojącego tam wozu ją w adził i woźnicy jechać kazał do Łobzowa.

Stara służba Esthery czekała na nią i otuliła, posadziła, trzymać musiała przez drogę ciągle w osłupieniu rozpaczliwym pograżoną.

W Łobzowie spały dzieci, gdy ją przywieziono i bezwładną położono do łóżka. W ciągu królewskiego konania nikt się tu z zamku nie zjawił. Być może, iż Kaźmirza wołać było albo ją widzieć, lub przynajmniej dać znać o sobie, lecz pilnujący łoża kapelan, biskup Florjan, i inni duchowni pilnowali, aby nawet myślą nie powrócił do grzechu, którego wyrzec się musiał...

Przed zgonem króla jeszcze przybył stary Lewko. Znał on nadto Estherę, aby do niej z prośbą i pociechą śpieszył, wiedział, że dla niej nie było jej — że żalu po królu nic nie mogło umniejszyć. Chciał tylko przynieść wiadomość, iż w rozporządzeniu ostatniem, o którym wiedział przez Wierzyńka i ks. Suchywilka, król o małym Niemirze, równie jak o Bogucie nie zapomniał.

Pomimo oporu otaczających, przekazywał im wsie Kutaw, Jurznicz, Drugnię i coś z ruchomości na pamiątkę.

Esthera wysłuchiwała opowiadania z tą obojętnością rozpaczliwą, która ją od choroby króla nie opuszczała...

Starzec, widząc, jak małe na niej uczynił wrażenie przyniesioną wieścią, niepewien nawet, czy go zrozumiała, dokończył wierszem psalmu jakiegoś i z politowaniem spojrzawszy na tę ofiarę, oddalił się, polecając służbie czuwanie nad nieszczęśliwą.

Tak dotrwała, ust prawie nie otwierając, Esthera, aż do tego ranka, w którym dźwięk wszystkich dzwonów Krakowa oznajmił jej, że wszystko było na wieki skończone...

Plakać nie mogła...

Patrząc na nią, skamieniałą, bezmowną, dzieci, które się nieśmiało zbliżać próbowały, ogarniał strach jakiś. Mówiły do niej napróżno, targaly za suknię, nie widziała i nie czuła. Oprócz służby, przerażonej i milczącej, w ciągu tych dni nie było nikogo.

W trzy dni po zgonie... pośpiesznie, zbyt cicho i skromnie odprawiono pogrzeb królewski, lecz uroczystości tej, która wielkości zmarłego i zasługom jego nie odpowiadała, bo duchowieństwo zmarłemu nawet przebaczyć nie mogło wspomnienia ks. Baryczki — szczególnego blasku dodało

zbiegowisko ludu. Z rycerstwa i ziemian, z urzędników znajdowali się ci tylko, których obowiązki powoływały, z tych ludzi, co w zmarłym jedyne go tracili opiekuna, cisnęły się tłumy, nie mogąc już do przepelnionego, a małego dostać kościoła, i zalegały podwórca, drogę, stopy góry... Tłum ten stał w milczeniu uroczystem, smutnem, z prawdziwemi łzami, z nieklamany m bólem po panu swoim.

Gdy dostojni już się niepokoi li, nowego wyglądając pana, ci czuli, że drugiego podobnego zmarlemu mieć nie będą.

W mieście panowała żaloba, bo miasto dzisiejsze za jego panowania powstało, wzrosło, można było rzec, stolicą się dopiero stało i bijącym sercem państwa...

Żydzi, którym przystęp był bliższy wzbroniony, zdala też przytomnością swoją chcieli okazać, iż nie byli niewdzięcznymi. Lewko wprost z pogrzebu pojechał do Łobzowa.

Już w drzwiach oczekująca nań stara służa, Ruchla, opowiedziała mu, że w stanie Esthery nie było zmiany. Nie wychodziła z osłupienia, i nawet głosy dzieci wywieść jej z niego nie mogły.

Lewko, nie odpowiadając, wysłuchał skargi Ruchli, pomyślał nieco i wszedł do izby.

Jakgdyby nie posłyszała go i nie zobaczyła, Esthera blada i zmieniona siedziała, patrząc suchemi oczyma w tę dal jakąś poza światy, w której przebywała dusza.

Stary Żyd stał długo zadumany, jakgdyby szukał środka, którymby ją mógł rozbudzić do życia. Po chwili wziął za rękę Niemirę i dziewczęta, przyprowadził je do matki, i rozkazawszy im chwycić ją za ręce z wołaniem po imieniu, czekał na wrażenie tych głosów dziecięcych, błagających i płaczących.

Dzieci długo powtarzały to imię matki, nim wreszcie Esthera zadrżała, wstrząsła się i, jak zbudzona, ze szlochaniem się ku nim rzuciła, wszystko troje obejmując rękami.

Naówczas Lewko zbliżył się do niej i powolnym głosem zaczął przywoływać do życia, w imię macierzyńskiego obowiązku.

Łzy długo powstrzymane odpowiadały mu tylko, ale już Esthera żyła. Lewko spokojniejszy usiadł na ławie.

— Żal twój sprawiedliwy, — rzekł — któżby go nie żałował i nie płakał po nim. Wieki długie wspominać go będą ludzie i czcić pamięć jego, ale matce zabijać się rozpaczą nie wolno... Wielkie szczęście i cześć wielka spotkała córkę Izraela — trzymała w dłoniach swych serce pana, który

wiernym pozostał do zgonu, ale Bóg zawsze szczęście płacić każe łzami i bólem, a Imię Jego i w boleści i we łzach niech będzie błogosławione.

Piskłeta te życie ci każe, aby sierotami nie były...

Esthera podniosła ku niemu splakane oczy.

— Nie dziwuj się żalowi mojemu, ani mi go za grzech poczytuj — rzekła cicho glosem znużonym. — Błogosławię i ja Imię Pańskie, ale nigdy żadna niewiasta sierotą taką, jak ja, nie była. Odlączyłam się dla niego od narodu mojego... zaparłam krwi, wyrzekłam rodziny, któż mi teraz rękę poda, kto przyjmie? Za miłość dla niego ludzie na nienawiść i pogardę skaza... a wy? między wami ja też miejsca nie znajdę. Muszę więc być samotną, odląconą i wyklętą.

— Dzieci! — zawołał Lewko — Matce dzieci wszystko zastąpić powinny. Ani myśl, by naród twój cię odpychał, pamiętny on jest tego, coś ty dla niego uczyniła... nie potępia cię, nie potępi, szanuje.

Milczeli, Esthera płakała.

— Jam tu przybył z radą — dodał starzec. — Nie godzi ci się czekać na to, aby ludzie bez miłosierdzia mściwi z pod jego dachu z dziećmi cię wygnali. Ty sama, dla pamięci jego, dwór ten opuścić powinnaś.

Oczy Esthery podniosły się ku mówiącemu i utkwily w nim. Obejrzała się po ścianach mieszkania, którego każdy sprzęt króla jej przypominał, po komnatach, pełnych jeszcze zmarłego... i płakała znowu.

— Tak jest — odezwiała się żywo i znowu chwytając swe dzieci. — Siebie i tę krew jego od sromoty ocalić powinnam. Jedźmy... ale nie do Krakowa... Chcę powrócić tam, do starego domostwa ojca, do Opoczna.

Jedźmy... Jeśli odbierać zapragną, co on mi dał, niech biorą wszystko. Zostanie mi po nim wiele, tyle, ile potrzeba, abym, karmiąc się tem, doszła do grobu.

Nie odpowiedział Lewko, wstając także, chociaż wcale inaczej za nią myślał i rozporządził. Przewidując wyjazd z Łobzowa, przygotował wozy i śpiesznie całe mienie ruchome Esthery ładować na nie rozkazał. Wiedział, że w pierwszej godzinie nadto wszyscy zaprzątynieni będą przyszłością, skarbieniem łask nowego pana i tych, co prawdopodobnie zachowani być mieli, by myśleć o Estherze.

Spuścizna wielkiego króla, który, pomimo dzieł dokonanych, skarby zostawił ogromne, od Bolesławowskich czasów niewidziane w Polsce, rozsypać się miała na licznych spad-

kobierców. Dostojni panowie biegli przeciw Elżbiecie i Ludwikowi; nie myślał nikt o biednej Estherze, tak, jak mało kto troszczył się równie, o straszną może osieroconą królową, która nawet serca męża nie miała.

Dano jej więc ujechać z Łobzowa, i nikt cichej boleści nie urągał.

O lat parę zaledwie króla przeżywszy, którego dzieci też marnie, zapomniane, poginać miały, Esthera zmarła zabytą, miłość i cześć dla Kaźmirza unosząc z sobą do grobu.

Na osierocony tron Piastów wstępował węgierski król, sercem obcy krajowi, którego miłości pozyskać się nie kusił.

Król chłopów zstąpił do grobu z przewiskiem tem, które dzieje miały zamienić na zasłużone Wielkiego imię.

K O N I E C.

+ Edo
2

